

MISTRZOWIE  LITERATURY

RALPH ELLISON



NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK



PIEŚN

RALPH
ELLISON

NIEWIDZIALNY
CZŁOWIEK

Przełożył
Andrzej Jankowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2004

Dla Idy

Wstęp

Czy powieściopisarz może powiedzieć o swoim dziele coś, czego lepiej byłoby nie zostawiać krytykom? Oni mają przynajmniej tę przewagę, że zajmują się słowami na papierze, natomiast jego zadanie, polegające na wyjaśnianiu procesu związanego z umieszczeniem ich tam, przypomina konieczność nakłonienia uformowanego z dymu dżina do spokojnego powrotu nie po prostu do tradycyjnego dzbana, lecz do taśmy i klawiszy nie istniejącej już maszyny do pisania. A jest tak tym bardziej w tym konkretnym przypadku, ponieważ od chwili jego niespodziewanego poczęcia był to nadzwyczaj samowolny i samotworzący się kawałek prozy, zapowiedział się bowiem w czasie, gdy zmagiałem się z zupełnie inną opowieścią, słowami, które stać się miały początkiem jej prologu, wprowadził i przez jakieś siedem lat pobudzał moją wyobraźnię. Co więcej, mimo jego pokojowej scenerii, wyłonił się z utworu, który miał być w zamierzeniu powieścią wojenną.

Wszystko zaczęło się latem 1945 roku, w pewnej stodole w Waitsfield w stanie Vermont, gdzie byłem na zwolnieniu lekarskim ze służby w marynarce handlowej, a po zakończeniu wojny zaprzętało mnie w różnych częściach Nowego Jorku, włącznie z jego metrem: w adaptowanej stajni na Sto Czterdziestej Pierwszej Ulicy, w jednopokojowym mieszkaniu na St. Nicholas Avenue i, zupełnie niespodziewanie, w apartamencie zajmowanym skądinąd przez jubilerów na siódmym piętrze przy Piątej Alei 608. To właśnie tam, dzięki wspaniałomyślności Beatrice i Francisca Steegmullerów, którzy wyjechali wówczas na rok za granicę, odkryłem, że pisanie w eleganckim gabinecie kolegi po fachu może być równie trudne jak w zatłoczonym mieszkaniu w Harlemie. Były też jednak ważne różnice między tymi dwoma miejscami, a część z nich cudownie umocniła moją słabą dotychczas wiarę w siebie i stała się być może katalizatorem umożliwiającym powstanie dziwnej mieszaniny elementów, które weszły w skład powstającej powieści.

Właściciele tego apartamentu, Sam i Augusta Mannowie, zadbali o to, bym pracował bez przeszkód i robił sobie przerwy na obiad (często na ich koszt), oraz dodawali mi otuchy do dalszych wysiłków. Dzięki nim zacząłem przestrzegać szacownych godzin pracy biznesmena, a ciągły przepływ pięknych przedmiotów przez ten apartament i dokonywana przez jego mieszkańców fachowa ocena pereł i diamentów, złota i platyny dawały mi poczucie życia ponad stan. Tak oto, dosłownie i symbolicznie, siódme piętro stało się najwyższym poziomem, na którym rozwijała się ta powieść, ale jakże było to odległe od naszego mieszkania w suterenie i mogło zbić mnie z tropu, gdybym świadomie nie zajmował się fikcyjną postacią, która zawzięła się, by znaleźć sobie miejsce w sferach społeczeństwa o zaskakujących manierach, motywach i rytuałach.

Ciekawe, że moją obecność w tak eleganckim domu kwestionowali tylko windziarze, ale działało się to w końcu w okresie, w którym portierzy w budynkach znajdujących się w dzielnicach zamieszkałych przez klasę średnią i wyższą zwyczajowo kierowali takich jak ja do wind służbowych. Spieszę jednak dodać, że nic w tym rodzaju nie zdarzyło się nigdy pod numerem 608, bo gdy windziarze przywykli do mojej obecności, zachowywali się całkiem przyjaźnie. Odnosi się to również do odczytanych imigrantów w ich szeregach, których bardzo bawiła myśl o tym, że jestem pisarzem.

Natomiast niektórzy z moich sąsiadów z St. Nicholas Avenue uważali mnie za podejrzanego typu. Wynikało to na pozór stąd, że Fanny, moja żona, wychodziła z domu i wracała z regularnością osoby posiadającej konwencjonalne zatrudnienie, podczas gdy ja przebywałem często w domu i spacerowałem o dziwnych porach z naszymi szkockimi

terierami. Jednak w istocie wynikało to stąd, że nie pasowałem do żadnej, legalnej ani nielegalnej, roli znanej moim sąsiadom. Nie byłem ani oprychem, akwizytorem nielegalnych loterii czy dilerem, ani pracownikiem poczty, lekarzem, dentystą, prawnikiem, przedsiębiorcą pogrzebowym, fryzjerem, barmanem czy kaznodzieją. I chociaż moja mowa zdradzała, że mam jakieś wykształcenie wyższe, było też jasne, że nie należę do grupy przedstawicieli wolnych zawodów, którzy tam pracowali albo mieszkali. Mój nieokreślony status był zatem przedmiotem spekulacji i źródłem niepokoju, zwłaszcza wśród tych, których postawa i sposób prowadzenia się były na bakier z nakazami prawa i porządku. Sprzyjało to zachowaniu znajomości kwitowanej jedynie skinieniami głowy, podczas której i moi sąsiedzi, i ja trzymaliśmy się od siebie na dystans. Pozostawałem jednak podejrzany i pewnego śnieżnego popołudnia, kiedy szedłem cienistą ulicą w stronę zimowego słońca, pewna pijana dama wyjaśniła mi dokładnie, jakie zajmowałem miejsce na jej liście rozmaitych typów i postaci.

Opierając się niepewnie o fasadę narożnego baru, kiedy się zbliżałem, i kierując swoje uwagi do mnie zza kręgu zamroczonych kompanów, powiedziała: – Ten tam czarnuch musi być jakimś alfonsiem, bo chociaż jego stara ma jakąś robotę, to ten tylko łązi z tymi cholernymi psami i robi jakieś cholerne zdjęcia.

Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony tak niską oceną, bo przez „alfonsa” rozumiała mężczyznę, który żyje z zarobków kobiety, typa zwykle odznaczającego się krzykliwym ubiorem, ekstrawaganckim stylem bycia i bezlitosną przedsiębiorczością zdeklarowanego rajfura – cechami, których byłem tak ewidentnie pozbawiony, że sama musiała się roześmiać ze swoich prowokacyjnych uwag. Aczkolwiek ta sztuczka miała zapewne zmusić mnie do odpowiedzi, gniewnej lub pojednawczej, kobieta była zbyt pijana albo miała w nosie, czy zareaguję, czy nie, skoro rzuciła trochę światła na mroki mej egzystencji. Dlatego byłem bardziej rozbawiony niż zirytowany, a ponieważ wracałem do domu z pięćdziesięcioma legalnie zarobionymi za zdjęcia dolarami, mogłem pozwolić sobie na uśmiech, wciąż otoczony nimbem mojej tajemnicy.

Mimo to owa pijaczka była dość bliska odkrycia istoty jednej z umów ekonomicznych, które umożliwiały mi pisanie, a to również jest jednym z elementów genezy tej powieści. Moja żona faktycznie wносиła pewniejszy wkład w nasze dochody, natomiast ja – sporadyczny. Kiedy siedziałem nad tą powieścią, pracowała jako sekretarka w kilku organizacjach i miała uwieńczyć swoją karierę zawodową jako dyrektorka wykonawcza American Medical Center for Burma, grupy, która wspierała pracę doktora Gordona S. Seagrave’a, słynnego „lekarza birmańskiego”. Jeśli chodzi o mnie, to zrecenzowałem parę książek, sprzedałem parę artykułów i opowiadań, wykonywałem fotograficzne prace zlecane (w tym zdjęcia Francisca Steegmullera i Mary McCarthy zamieszczone na obwolutach ich książek), składałem wzmacniacze audio i instalowałem systemy dźwiękowe hi-fi. Miałem też nieco oszczędności z pracy w marynarce, subsydium Rosenwalda, później ponowione, małą zaliczkę od wydawcy i przez pewien czas miesięczne stypendium ufundowane przez naszą przyjaciółkę i mecenasa sztuki, nieżyjącą już żonę J. Caesara Guggenheimera.

Oczywiście nasi sąsiedzi nic o tym nie wiedzieli, podobnie jak nasz gospodarz, który uważał pisanie za tak nieodpowiednie zajęcie dla zdrowego młodego mężczyzny, że podczas naszej nieobecności nie wahał się wchodzić do naszego mieszkania i grzebać w moich papierach. Mogłem jednak ścierpieć takie uciążliwości, traktując je jako część rozpaczliwego, ryzykownego przedsięwzięcia, którym była realizacja mojego postanowienia o zostaniu powieściopisarzem. Na szczęście moja żona wierzyła w mój talent, miała doskonałe poczucie humoru i zdolność do sąsiedzkiej tolerancji. Doceniałem też komiczne odwrócenie zwykle rasowo ograniczonej mobilności społecznej, co polegało na tym, że codziennie wyjeżdżałem z dzielnicy murzyńskiej, w której obce osoby podawały w wątpliwość moją moralność jedynie na podstawie naszego wspólnego koloru skóry i mojego nieokreślonego odstępowania od przyjętych norm, by znaleźć schronienie w przeważnie białym środowisku, gdzie ten sam

kolor skóry i nieokreśloność roli sprawiały, że byłem anonimowy, a przez to znajdowałem się poza sferą publicznego zainteresowania. Z perspektywy czasu wygląda to tak, jak gdyby pisanie o niewidzialności czyniło mnie albo przezroczystym, albo nieprzejrzystym, i przerzucało tam i z powrotem między ciemnym prowincjonalizmem małej wioski a oświeconym brakiem zainteresowania wielkiej metropolii. Co, wobec trudności uzyskania od autorskiej wiedzy o tym zróżnicowanym społeczeństwie, nie było złą dyscypliną dla amerykańskiego pisarza.

Ale z wyjątkiem epizodu na Piątej Alei większość powieści pisała się w Harlemie, gdzie budowała swoją tkanę, wchłaniając obficie głosy, idiomy, folklor, tradycje i polityczne troski tych, z którymi dzielę rasowe i kulturowe pochodzenie. Tyle o ekonomii, geografii i socjologii zmagają związanych z jej pisaniem. Pora wrócić teraz do okoliczności, w których się to zaczęło.

Opowieść, którą zdominował głos mówiący z takim znanstwem o niewidzialności (mający związek z tym, o czym tutaj piszę, ponieważ okazał się niezdarnym krokiem ku niniejszej powieści), koncentrowała się na przeżyciach amerykańskiego pilota w niemieckim obozie jenieckim, w którym był on oficerem najwyższym rangą, a zatem, według konwencji wojennej, rzecznikiem towarzyszy niedoli. Zgodnie z przewidywaniami, fakt, że był jedynym Murzynem wśród Amerykanów, stał się zarzewiem dramatycznego konfliktu, a wynikające stąd napięcia na tle rasowym wykorzystywał dla swojej uciechy komendant obozu. Postawiony wobec wyboru między bezpardonową niezgodą na rodzimy rasizm a odrzuceniem rasizmu wroga, a jednocześnie wiemy tym demokratycznym wartościami, które dzielił z białymi rodakami, mój pilot musiał szukać oparcia dla morale w poczuciu indywidualnej godności i w świeżo zyskanej świadomości samotności człowieka. Ów zrodzony z doświadczeń wojennych obraz męskiego braterstwa, który tak barwnie opisał Malraux, nie docierał do niego i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu pilot stwierdził, że jedynym uzasadnieniem prób traktowania rodaków jako towarzyszy broni są dla niego stare złamane obietnice zawarte w narodowych sloganach i wyrażeniach podobnych do tych, które bohaterowi *Pożegnania z bronią* Hemingwaya wydały się tak nieprzyzwoite podczas chaotycznego odwrotu z Caporetto. Jednak podczas gdy bohaterowi Hemingwaya udało się zostawić wojnę za sobą i wybrać miłość, mój pilot nie miał ani możliwości ucieczki, ani czekającej na niego ukochanej. Dlatego musiał albo potwierdzić transcendentne ideały demokracji i własną godność, pomagając tym, którzy nim pogardzali, albo pogodzić się z myślą, że jego sytuacja jest beznadziejnie pozbawiona znaczenia, co byłoby równoznaczne z zaparciem się swojego człowieczeństwa. Szczytem ironii było to, że żaden z jego adwersarzy nie zdawał sobie sprawy z jego walki wewnętrznej.

W nieudramatyzowanej formie opowieść ta wydać się może nieco dziwna, ale jest faktem historycznym, że większość konfliktów zbrojnych, w których brał udział ten kraj, była – przynajmniej dla Afroamerykanów – wojnami toczonymi w ramach większych wojen. Odnosi się to do wojny secesyjnej, ostatniej z wojen z Indianami, wojny meksykańskiej oraz obu wojen światowych. Jeśli Murzyn chciał spełnić swój obywatelski obowiązek, musiał często walczyć o prawo do walki. A zatem mój pilot był przygotowany na złożenie największej ofiary, jakiej w czasach wojny domaga się od sprawnych fizycznie obywateli większość rządów, ale uważano, że jego życie ma mniejszą wartość niż życie białych gotowych do złożenia tej samej ofiary. Rzeczywistość ta była powodem jego egzystencjalnej udręki, którą powiększała jeszcze świadomość, że kiedy zawarty zostanie pokój, niemiecki komendant obozu może wyemigrować do Stanów Zjednoczonych i natychmiast zacząć korzystać z praw, których odmawiano najbardziej bohatersko walczącym czarnym żołnierzom. Tak oto panująca w Ameryce mistyka rasy i koloru skóry obracała w absurd zarówno demokratyczne ideały, jak i bohaterstwo na polu bitwy.

Ja sam wybrałem marynarkę handlową ze względu na bardziej demokratyczne traktowanie służących w niej osób (podobnie zrobił mój kolega, poeta, który zginął w okolicach Murmańska podczas swojego pierwszego wyjścia w morze) i w Europie spotykałem wielu czarnych żołnierzy, którzy barwnie opisywali mi zupełnie niedemokratyczne warunki, w jakich walczyli i pracowali. Ale miałem ojca, który walczył na San Juan Hill, na Filipinach i w Chinach, i wiedziałem, że takie skargi biorą się z archetypowego już wówczas amerykańskiego dylematu: jak można traktować Murzyna jako równego sobie podczas wojny, a następnie odmawiać mu równości w czasach pokoju? Wiedziałem też co nieco o udęcie czarnych lotników, których po odbyciu przeszkolenia w osobnych jednostkach, gdzie musieli znosić zniewagi białych oficerów i cywilów, nie dopuszczano do udziału w lotach bojowych.

W rzeczy samej opublikowałem opowiadanie o takiej właśnie sytuacji i właśnie podczas tej próby przekształcenia rzeczywistych przeżyć w fikcję literacką odkryłem, że kryjący się w niej dramat był znacznie bardziej złożony, niż początkowo przypuszczałem. Bo chociaż najpierw wyobrażałem go sobie w kategoriach konfliktu między czarnymi i białymi, większością i mniejszością, przy znaczącym udziale białych oficerów odmawiających człowieczeństwa Murzynowi, który dostrzegł w opanowaniu skomplikowanych umiejętności technicznych pilota szansę na godny sposób służenia krajowi, a jednocześnie na poprawę swojego statusu ekonomicznego, później uświadomiłem sobie, że również mój pilot miał kłopot z postrzeganiem siebie. A wiązało się to z jego mieszanymi uczuciami wobec istniejących w jego własnej grupie podziałów klasowych i odmienności kulturowych, z ambiwalencją, która ujawniła się, gdy wylądował awaryjnie na plantacji na Południu, gdzie udzielił mu pomocy czarny dzierżawca, którego poglądy i styl życia przypomniały mu boleśnie o jego własnym niewyraźnym statusie w wojsku i o ich wspólnym pochodzeniu od niewolników. Jako człowiek należący do dwóch różnych światów mój pilot uważał, że jest w obu błędnie postrzegany, wskutek czego w żadnym nie czuł się dobrze. Krótko mówiąc, opowiadanie to przedstawiało jego świadomą walkę o samookreślenie i znalezienie nienaruszalnej podstawy godności osobistej. Absolutnie nie zdawałem sobie sprawy z jego pokrewieństwa z niewidzialnym człowiekiem, ale jest oczywiste, że wykazywał pewne tego symptomy.

W tym samym okresie opublikowałem jeszcze jedno opowiadanie, w którym młody afroamerykański marynarz po zejściu na ląd w Swansea w Południowej Walii musi borykać się z kłopotliwymi „amerykańskimi” aspektami swojej tożsamości, po tym jak biali Amerykanie podbijają mu oko podczas zaciemnienia na ulicy o nazwie Straight (nie, nie miał na imię Szaweł ani nie stał się Pawłem!). Tutaj jednak impuls do przeprowadzenia samoanalizy wyszedł od grupy Walijczyków, którzy wybawili go z opresji i ku jego zaskoczeniu nazwali „czarnym Jankesem” i zaprosili do prywatnego klubu, gdzie odśpiewali na jego cześć hymn amerykański. Obydwa opowiadania ukazały się w 1944 roku, ale teraz, w roku 1945 na farmie w Vermoncie, temat poszukiwań tożsamości młodego Murzyna powracał na nowo w znacznie bardziej zdumiewającej formie.

Aczkolwiek bowiem wcześniej tworzyłem opowiadania na podstawie znanych mi przeżyć i miałem konkretne obrazy moich postaci i ich środowisk, teraz stanąłem wobec czegoś tak niematerialnego jak szyderczy, bezcielesny głos. I chociaż konstruowałem wówczas intrygę powieści o toczącej się wojnie, konflikt postaci i postaw, który głos ten narzucał mojej uwadze, trwał od czasów wojny secesyjnej. Opierając się na doświadczeniach z przeszłości, uważałem, że stoję na bezpiecznym historycznym gruncie, chociaż nadal pozostawał do rozwiązania czysto literacki problem ukazania złożonych ludzkich emocji i filozoficznych decyzji, które podejmować musiała jedyna w swoim rodzaju jednostka. Był to, jak myślałem, intrygujący pomysł na amerykańską powieść, ale trudne zadanie dla początkującego powieściopisarza. Dlatego bardzo się zirytowałem, gdy moje wysiłki przerwał ironiczny głos

z Południa, który wydał mi się tak zuchwały jak jazgotliwy dźwięk trąbki wciskający się, powiedzmy, w wykonanie *Requiem wojennego* Brittena.

Rozdrażniło mnie to tym bardziej, że głos ten wydawał się doskonale zdawać sobie sprawę, że utwór z gatunku science fiction był ostatnią rzeczą, którą chciałbym napisać. Tak naprawdę zdawał się ze mną droczyć, czyniąc aluzje do pseudonaukowej koncepcji socjologicznej, zgodnie z którą większość kłopotów Afroamerykanów wynika z naszej „dużej widzialności”, co jest określeniem równie obłudnym i podstępny jak jego nowszej daty oksymoronowi kuzyni, „dobroczynne zaniedbanie” i „odwrotna dyskryminacja”, które przekładają się na: „Niech te czarnuchy robią, co chcą – byle trzymały się swojego miejsca”. Moi przyjaciele przez wiele lat stroili sobie z tego określenia cierpkie żarty i mówili, że chociaż brat o ciemniejszej skórze jest niewątpliwie „opanowany i zrównoważony” – dużo bardziej opanowany niż zrównoważony – to jednak dzięki czerni swej skóry jarzy się tak intensywnie w świadomości amerykańskiej, że większość białych symuluje moralną ślepotę, by nie dostrzegać jego trudnej sytuacji, przy czym do tej większości należą również ostatnie fale emigrantów, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, w jak wielkim stopniu korzystają z jego statusu obywatela drugiej kategorii, zrzucając całą winę za jego położenie na białych południowców.

Tak oto, wbrew bezbarwnym twierdzeniom socjologów, „duża widzialność” w rzeczywistości sprawiała, że byliśmy niewidzialni – czy to w samo południe w oknie u Macy’ego, czy też oświetleni płonącymi pochodniami i reflektorami podczas rytualnego składania nas w ofierze ku czci ideału białej supremacji. Zdobywszy tę wiedzę i wzięwszy pod uwagę uporczywe utrzymywanie się przemocy rasowej i niedostępność ochrony prawnej, zadałem sobie pytanie: Cóż innego podtrzymuje w nas wolę wytrwania, jeśli nie śmiech? I czy to możliwe, by w tym śmiechu kryła się subtelna nuta triumfu, której nie wychwyciło moje ucho, nuta, która bardziej umacniała w nas tę wolę niż czysty gniew? Tajemna, ciężko zdobyta mądrość, która mogła ewentualnie zaproponować afroamerykańskiemu powieściopisarzowi skuteczniejszą strategię przekazania jego wizji?

Była to zdumiewająca myśl, ale głos ten tak sugestywnie pobrzmiwał echem bluesowego śmiechu, że wciągnął mnie w nastrój, w którym wydarzenia bieżące, wspomnienia i przedmioty zaczęły się łączyć i tworzyć niewyraźną, ale intrygującą, nową perspektywę.

Na krótko przed wtrąceniem się w moje sprawy owego rzecznika niewidzialności zobaczyłem w pobliskiej wsi w Vermonie plakat zapowiadający *Tom Show*, który to – zapomniany, jak mi się zdawało – termin oznaczał muzyczną wersję *Chaty wuja Toma* pani Stowe, w wykonaniu wędrownych śpiewaków z uczernionymi twarzami. Myślałem, że takie widowiska należą do przeszłości, ale w zabitej deskami wiosce na Północy nadal bawiły publiczność, która żywo reagowała, gdy Eliza, ślizgając się i przewracając na lodzie, wciąż starała się – i to w czasie II wojny światowej! – uciec przed psami... *Och, poszłam na wzgórze / Ukryć mą twarz / Lecz wzgórze krzyknęły / Nie skryjesz się w nas / Nie skryjesz się w nas!*

Nie, ponieważ to, co powszechnie uważa się za historię, jest w rzeczywistości częścią terażniejszości w tak dużym stopniu, jak utrzymywał William Faulkner. Sekretna, nieustępliwa i przebiegła przeszłość wpływa zarówno na obserwatora, jak i na obserwowaną przezeń scenę, na rzeczy, zachowania i atmosferę i mówi nawet wtedy, kiedy nikt nie chce słuchać.

Tak więc, w miarę słuchania, rzeczy niegdyś niejasne zaczęły nabierać wyrazistości i układać się w całość. Dziwne rzeczy, nieoczekiwane rzeczy, takie jak ten plakat, który przypomniał mi o nieustępliwości, jaką mogą wykazywać wykrety moralne, gdy znajdują się w otocze stereotypów rasowych, i łatwości, z jaką najgłębszą tragedię przekształcić można w farsę z uczernioną twarzą. Nawet zebrane przeze mnie informacje o pochodzeniu przyjaciół i znajomych pasowały do z wolna wyłaniającego się wzoru implikacji. Nasi gospodarze byli

rasowo mieszaną parą. Ona była wnuczką mieszkańca Vermontu, który był generałem podczas wojny secesyjnej, co przydawało obecności plakatu nowego wymiaru. Stare fotografie, wiersze, zagadki i gry dziecięce, ceremonie kościelne i akademickie, psikusy i działalność polityczna, której byłem świadkiem w czasach przedwojennych w Harlemie – wszystko zgrabnie się układało. Pisałem dla „New York Post” reportaże z zamieszek 1943 roku, a wcześniej agitowałem na rzecz uwolnienia Angela Herndona i chłopców ze Scottsboro, maszerowałem za Adamem Claytonem Powellem nawołującym do zniesienia segregacji rasowej w sklepach przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i byłem w tłumie blokującym Piątą Aleję w proteście przeciwko roli odgrywanej przez Niemcy i Włochy w wojnie domowej w Hiszpanii. Wszystko okazywało się wodą na młyn mojej powieści. Niektóre rzeczy i wydarzenia mówiły wyraźnie: „Wykorzystaj mnie w tym miejscu”, a inne były niepokojąco tajemnicze.

Jak na przykład nagłe przypomnienie sobie wydarzenia z czasów studenckich, kiedy otworzyłem każdą plasteliny podarowaną mojemu przyjacielowi, niepełnosprawnemu rzeźbiarzowi, przez jakieś studio z Północy i znalazłem wewnątrz tłustej masy figurki skopiowane ze stojącego na Boston Common pomnika pułkownika Roberta Goulda Shawa i jego 54. murzyńskiego regimentu z Massachusetts, dłuta Saint-Gaudensa. Nie miałem pojęcia, z jakiego powodu wypłynęło akurat to wspomnienie, ale być może dlatego, by uświadomić mi, że skoro piszę powieść i po omacku szukam obrazów braterstwa czarnych i białych, to dobrze byłoby przypomnieć, że z tymi żołnierzami walczył brat Henry’ego Jamesa, Wilky, i że ciało pułkownika Shawa wrzucono do tego samego dołu co ciała jego ludzi. Być może miało mi to również przypomnieć, że sztuka może przemienić wojnę w coś głębszego i bardziej znaczącego niż jej warstwa zewnętrzna – przemoc...

W każdym razie okazało się teraz, że głos niewidzialności wydobywa się z głębi naszego złożonego amerykańskiego podziemia. Stało się więc logiczne, że powinienem na koniec umieścić jego – och, jakże gadatliwego – właściciela w opuszczonej piwnicy. Oczywiście wszystko było dużo bardziej chaotyczne, niż to tutaj przedstawiam, ale taki właśnie, wewnętrzno-zewnętrzny, subiektywno-objektywny, był proces powstawania tego dzieła, jego nakrapianej skórki i surrealistycznego miąższu...

Mimo to nadal byłem skłonny zatkać uszy i kontynuować przerwana powieść, ale podobnie jak wielu innych pisarzy rzuconych w – jak to określił Conrad – „niszczycielski żywioł”, wpadłem w stan nadmiernej otwartości. To rozpaczliwe położenie, w którym autorowi trudno jest zignorować nawet najbardziej mglisty pomysł-emocję, jaki pojawić się może w procesie tworzenia, ponieważ przekonuje się on niebawem, że takie bezkształtne projekcje mogą być nieoczekiwanymi darami jego śniącej na jawie muzy i po właściwym zinterpretowaniu dostarczyć mu mogą akurat tych materiałów, których potrzebuje, by utrzymać się na powierzchni wzburzonych fal kompozycji. Z drugiej strony mogą równie dobrze doprowadzić go do katastrofy, zatopić w lotnych piaskach niezdecydowania. I tak już usilnie starałem się uniknąć napisania czegoś, co mogłoby się okazać jeszcze jedną powieścią antyrasistowską, a nie dramatycznym studium człowieczeństwa porównawczego, którym, jak uważałem, powinna być każda wartościowa powieść, a głos ów wydawał się prowadzić mnie w tym właśnie kierunku. Ale później, kiedy słuchałem jego szyderczego śmiechu i zastanawiałem się, jakiego rodzaju osoba mówiłaby w taki sposób, doszedłem do wniosku, że będzie to ktoś, komu, mimo iż został wykuty w podziemiach amerykańskiego doświadczenia, udało się wyłonić z ich czeluści z nastawieniem bardziej ironicznym niż gniewnym, że będzie to bluesowy śmiech przez łzy, który oskarżając kondycję człowieka, nie pomija również i siebie. Spodobał mi się ten pomysł i kiedy starałem się wyobrazić sobie owego mówcę, zacząłem go łączyć z tymi tragicznymi i komicznymi konfliktami, które pochłaniały energię mojej grupy rasowej od czasów porzucenia rekonstrukcji, a gdy skłoniłam go do wyjawienia więcej o sobie, doszedłem do wniosku, że jest on bez wątpienia „postacią”, i to w podwójnym

znaczeniu tego słowa. Stwierdziłem, że jest młody, bezsilny (czym odzwierciedlał trudności napotymane przez przywódców murzyńskich w tamtym okresie) i żądny roli przywódcy, roli, w której skazany jest na porażkę. Nie mając nic do stracenia, a jednocześnie chcąc zapewnić sobie jak najszersze pole do odniesienia sukcesu albo poniesienia klęski, nawiązałem w jego osobie, w sposób dość odległy, do narratora *Notatek z podziemia* Dostojewskiego, i wtedy ja zacząłem układać fabułę, a on zaczął przyłączać się do moich rozważań nad wyborem formy dzieła i prób rozwiązania pewnych problemów wynikających z pluralistycznej tradycji literackiej, z której czerpałem.

Do tych problemów należało pytanie, dlaczego większość bohaterów prozy afroamerykańskiej (nie wspominając już o postaciach czarnych w utworach pisanych przez białych) pozbawiona jest intelektualnej głębi. Często były to postaci uwikłane w najbrutalniejsze formy walki społecznej, znajdujące się w najtrudniejszym dla człowieka położeniu, a jednak rzadko potrafiły wyrazić, co je dręczy. Rzecz nie w tym, że wiele wartościowych jednostek nie potrafi się wysłowić, lecz w tym, że było, i jest, dosyć wyjątków w codziennym życiu, które mogłyby posłużyć spostrzegawczemu pisarzowi za wzór. A nawet gdyby tacy ludzie nie istnieli, należałoby ich wynaleźć, zarówno w interesie prozatorskiej ekspresywności, jak i po to, by stali się przykładami ludzkich możliwości. Wiele nauczył nas Henry James, tworząc swoje hiperświadome postaci, które ucieleśniały na swój własny, kulturalny, charakterystyczny dla klasy wyższej sposób amerykańskie cnoty sumienia i świadomości. Było mało prawdopodobne, by takie idealne istoty pojawiły się w świecie, który ja zamieszkiwałem, ale tego do końca nigdy nie wiadomo, ponieważ w tym społeczeństwie nie zauważa się i nie odnotowuje wielu rzeczy. Z drugiej strony uważałem, że jednym ze stałych wyzwań, którym musi stawić czoło amerykański powieściopisarz, jest obdarzenie nie potrafiących się wysłowić bohaterów, a także scen i procesów społecznych, elokwencją, ponieważ dzięki takim próbom spełnia on swój obowiązek społeczny jako amerykański artysta.

Mogłoby się wydawać, że tutaj spotykają się i jednoczą cele sztuki i demokracji, skoro powszechnie przyjętym celem demokratycznego społeczeństwa jest kształtowanie świadomych, potrafiących wyrazić swoje zdanie obywateli, a tworzenie świadomych, potrafiących wyrazić swoje zdanie postaci jest niezbędne dla stworzenia wyraźnych ośrodków kompozycji, za pomocą których osiągnąć można organiczną spójność formy literackiej. Narzucając znaczenie naszym zasadniczo odmiennym doświadczeniom amerykańskim, powieściopisarz stara się tworzyć formy, w których akty, sceny i postaci mówią nie tylko za siebie i o sobie, i w tym przedsięwzięciu ma po swojej stronie samą naturę języka. Albowiem zrzędzeniem losu (i pomimo naszych problemów rasowych) ludzka wyobraźnia ma charakter scalający, a tą samą właściwością odznacza się siła odśrodkowa, która ożywia proces demokratyzacji. I chociaż literatura jest jedynie pewną formą symbolicznego działania, czystą zabawą w „jak gdyby”, do tego sprowadza się jej prawdziwa funkcja i potencjalne możliwości wywołania zmiany. Gdyż w swoich najpoważniejszych dziełach, co odnosi się także do polityki w najlepszym wydaniu, literatura jest dążeniem do ludzkiego ideału. Zbliża się do niego poprzez subtelny proces negocjowania świata rzeczy, jaki jest nam dany, na rzecz zespołu tworzonych przez człowieka pozytywów.

A zatem skoro w rzeczywistości wymyka się nam – bo wciąż tak jest – prawdziwa polityczna równość, to dostępna jest owa powieściowa wizja demokracji idealnej, i w niej to, co rzeczywiste, łączy się z tym, co idealne, i ukazuje nam stan rzeczy, w którym osoby wysoko i nisko postawione, czarni i biali, mieszkańcy Północy i Południa, autochtoni i emigranci łączą się, by mówić nam o transcendentnych prawach i możliwościach, na przykład takich, jakie zostały odkryte, gdy Mark Twain posadził Hucka i Jima na tratwie.

To właśnie podsunęło mi myśl, że można skonstruować powieść jako tratwę nadziei, wnikliwości i zabawy, która pomogłaby nam utrzymać się na powierzchni, kiedy staramy się

pokonywać wiry i prądy, znaczące niezdecydowany kurs naszego narodu ku demokratycznemu ideałowi i odwroty od niego. Oczywiście literatura ma też inne cele, ale pamiętałem, że w pierwszych, bardziej optymistycznych latach istnienia tej republiki zakładano, że każdy obywatel może zostać (i powinien przygotowywać się do tego, żeby zostać) prezydentem. Albowiem uważano demokrację nie tylko za zbiorowisko jednostek, jak zdefiniował to W. H. Auden, ale także za zbiorowisko biegłych w sprawach politycznych jednostek, które dzięki naszemu osławionemu systemowi powszechnej edukacji i naszej swobodzie wyboru możliwości powinny być przygotowane do rządzenia. Jak się okazało, była to możliwość teoretyczna – ale nie całkowicie, o czym świadczą niedawne przykłady plantatora orzeszków ziemnych i aktora filmowego.

Przez krótki czas była nawet nadzieja dla Afroamerykanów, rozbudzona obecnością czarnych kongresmanów w Waszyngtonie podczas rekonstrukcji. Nie widziałem też żadnego powodu, by pozwolić naszemu bardziej trzeźwemu podejściu do możliwości politycznych (niedługo przed rozpoczęciem pisania tej powieści A. Phillip Randolph musiał zagrozić naszemu ukochanemu Franklinowi Delano Rooseveltowi marszem na Waszyngton, by przed Murzynami otworzył podwoje przemysł zbrojeniowy) na narzucenie zbytnich ograniczeń mojej pisarskiej swobodzie manipulowania w wyobraźni tymi możliwościami, które istniały zarówno w osobowości Afroamerykanów, jak i w ograniczonej strukturze społeczeństwa amerykańskiego. Moim zadaniem było wyjście poza te ograniczenia. Na przykład Mark Twain udowodnił, że powieść może posłużyć za komiczne antidotum na schorzenia polityki, a ponieważ w 1945 roku, tak jak i teraz, Afroamerykanie ponosili zazwyczaj porażki w walce z okolicznościami, nie było powodu, żeby nie pozwolić im podobnie jak Bratu Królikowi i jego bardziej literackim kuzynom, wielkim bohaterom tragedii i komedii, na odebranie zwycięstwa świadomej percepcji siłom, które ich przytłaczały. Dlatego musiałem stworzyć narratora, który potrafiłby nie tylko działać, ale i myśleć, i uznałem zdolność do świadomej asertywności za podstawowy element jego nieudolnego poszukiwania wolności.

Tak więc moje zadanie polegało na ukazaniu ludzkich uniwersaliów, ukrytych w losie kogoś, kto był zarówno czarnym, jak Amerykaninem, i to nie tylko w celu przekazania mojej osobistej wizji możliwości, ale również w celu podjęcia czysto retorycznego wyzwania, jakim jest porozumiewanie się ponad barierami rasy i wyznania, klasy, koloru skóry i regionu – barierami, na które składają się rozliczne strategie podziału, opracowane, i nadal funkcjonujące, po to, by zapobiegać temu, co w przeciwnym razie byłoby mniej lub bardziej naturalnym rozpoznaniem rzeczywistości braterstwa czarnych i białych. A żeby przemóc naszą narodową skłonność do odmawiania wspólnego nam wszystkim człowieczeństwa, będącego udziałem mojej postaci i tych, którzy przypadkiem mogliby przeczytać o jej przeżyciach, musiałem wyposażyć ją w coś w rodzaju światopoglądu, dać jej świadomość, umożliwiającą podnoszenie poważnych kwestii filozoficznych, obdarzyć stylem wysławiania, który wykorzystywałby nasz chętnie używany wszystkim żargon, i skonstruować fabułę, która kontaktowałaby ją z różnorodnymi amerykańskimi typami funkcjonującymi na rozmaitych poziomach społeczeństwa. Przede wszystkim musiałbym podejść do stereotypów rasowych jako do faktu procesu społecznego i ryzykując, że przekroczę cierpliwość czytelnika do poznawania fikcyjnej prawdy, ukazać ludzką złożoność, którą stereotypy mają skrywać.

Jednakże zwodnicze byłoby pozostawienie wrażenia, że cały proces pisania był tak poważny. W rzeczywistości praca ta sprawiała mi wiele frajdy i nieraz dobrze się przy niej bawiłem. Wiedziałem, że tworzę fikcję, dzieło sztuki literackiej, które pozwoli mi wykorzystać zdolność tej powieści do ukazania prawdy poprzez opowiadanie „kłamstwa”, jak w afroamerykańskim folklorze nazywa się zaimprovizowaną opowieść. Ponieważ pracowałem wcześniej w zakładach fryzjerskich, gdzie kwitła ta forma ustnego przekazu, wiedziałem, że mogę czerpać nie tylko z tradycji powieściowej, ale również z bogatej kultury

opowieści ludowej, i że, skoro nie jestem pewien swoich umiejętności, będę musiał improwizować na kanwie moich materiałów niczym muzyk jazzowy, który przeprowadza temat muzyczny przez gwałtowny wybuch metamorfozy. Zanim zdałem sobie sprawę, że w słowach Prologu tkwi załączek nie tylko początku, ale i zakończenia, mogłem swobodnie rozkoszować się niespodziewanymi wydarzeniami i postaciami pojawiającymi się w polu widzenia.

A było trochę tych niespodziewanych wydarzeń. Pięć lat przed ukończeniem książki Frank Taylor, który podpisał ze mną pierwszą w moim życiu umowę o wydanie dzieła, pokazał jej fragment Cyrilowi Connollyemu, redaktorowi angielskiego czasopisma „Horizon”, który zamieścił go w numerze poświęconym sztuce amerykańskiej. Była to pierwsza publikacja rozdziału pierwszego, który ukazał się w Ameryce krótko potem, w tomie nie istniejącego już *Magazine of the Year* z 1948 roku; dlatego właśnie książka ma daty copyrightu 1947 i 1948, co zdezorientowało badaczy. Faktyczna data publikacji pełnego dzieła to rok 1952.

Niespodzianki te były jednocześnie zachęcające i onieśmielające, bo zakosztowawszy tej odrobiny sukcesu, zacząłem się bać, że ten jeden rozdział, który zawiera scenę „walnej rozprawy”, może się okazać jedyną interesującą częścią powieści. Wyrwałem jednak w wysiłkach i w końcu doznałem do punktu, kiedy sensowna stała się współpraca z moim redaktorem, Albertem Erskine’em. Reszta, jak to się mówi, jest historią. Liczyłem jedynie na to, że powieść sprzeda się w wystarczającej liczbie egzemplarzy, by wydawca nie stracił na tej inwestycji i by okazało się, że mój redaktor nie zmarnował czasu. Ale jak napisałem na początku, była to zawsze nadzwyczaj uparta i samotworząca się powieść, a dowodzi tego fakt, że oto obecnie, trzydzieści zdumiewających lat później, znowu zmusiła mnie do pisania o niej.

Ralph Ellison
10 listopada 1981 r

– Zostałeś uratowany – krzyknął kapitan Delano, coraz bardziej zdumiony i zbolący –
zostałeś uratowany; co rzuciło na ciebie taki cień?

Herman Melville, *Benito Cereno*

HARRY: Mówię ci, to nie na mnie patrzysz,
Nie do mnie się szczerzysz, nie mnie obrażają
Twoje konfidencyjne spojrzenia, ale tę inną osobę,
Jeśli osobą, twoim zdaniem, byłem: niech twoja nekrofilia
Zeruje na tamtym zewłoku (...).

T. S. Eliot, *Zjazd rodzinny*

Prolog

Jestem człowiekiem niewidzialnym. Nie, nie widmem, takim jak te, które nawiedzały Edgara Allana Poe; ani też ektoplazmą z hollywoodzkiego filmu. Jestem człowiekiem materialnym, z ciała i kości, włókien i płynów, i można nawet powiedzieć, że posiadam umysł. Jestem niewidzialny, rozumiecie, po prostu dlatego, że ludzie nie chcą mnie widzieć. Niczym bezcielesne głowy, które napotykać czasami w towarzyszących cyrkom gabinetach osobliwości, jestem jakby otoczony lustrami z twardego, zniekształcającego szkła. Kiedy ludzie zbliżają się do mnie, widzą tylko moje otoczenie, samych siebie albo wytwory własnej wyobraźni – w rzeczy samej wszystko oprócz mnie.

Nie jest też moja niewidzialność skutkiem jakiegoś biochemicznego wypadku, który przydarzył się memu naskórkowi. Niewidzialność, o której mówię, występuje z powodu szczególnej dyspozycji oczu tych, z którymi się stykam. Jest skutkiem budowy ich oczu w wewnętrznych, tych oczu, którymi patrzą przez swoje oczy fizyczne na rzeczywistość. Nie uskarżam się ani nie protestuję. Bycie niewidzialnym jest czasami korzystne, chociaż najczęściej działa na nerwy. No i stale wpadają na ciebie ci z kiepskim wzrokiem. Poza tym często wątpisz, czy naprawdę istniejesz. Zastanawiasz się, czy nie jesteś tylko zjawą w umysłach innych ludzi. Powiedzmy, postacią z koszmarnego snu, którą śpiący stara się ze wszystkich sił zniszczyć. To właśnie wtedy, kiedy się tak czujesz, zaczynasz sam, z czystej złości, wpadać na innych. A czujesz się tak, pozwolę sobie wyznać, przez większość czasu. Doskwiera ci potrzeba przekonania samego siebie, że istniejesz w realnym świecie, że jesteś częścią tego zgiełku i udręki, i bijesz pięściami, klniesz i przysięgasz, że zmusisz ich, by cię rozpoznali. I niestety rzadko jest to skuteczne.

Pewnego wieczoru wpadłem przypadkiem na jakiegoś mężczyznę, a ten, być może z powodu nadciągających ciemności, dostrzegł mnie i obrzucił wyzwiskami. Skoczyłem na niego, chwyciłem go za kłapy marynarki i zażądałem przeprosin. Był wysokim blondynem i kiedy moja twarz zbliżyła się do jego twarzy, bezczelnie spojrzał na mnie niebieskimi oczami i rzucił we mnie przekleństwem, szarpiąc się i dysząc gorącym oddechem w moją twarz. Pociągnąłem jego brodę ostro w dół na moją głowę, uderzając go na wzór Antylczyków, i poczułem, że rozdziera się jego ciało i bucha krew, i wrzasnąłem: – Przepróż! Przepróż! – Ale on nadal przeklinał i szarpał się, więc walnąłem go jeszcze raz i jeszcze, aż opadł ciężko na kolana, obficie krwawiąc. Zacząłem go kopać, w szale, bo nadal miotał przekleństwa, chociaż usta pokryte miał pianą krwi. O tak, kopałem go! Z tej wściekłości wyciągnąłem nóż i przygotowałem się do podcięcia mu gardła, pod latarnią na pustej ulicy, trzymając go jedną ręką za kołnierz i otwierając nóż zębami, kiedy dotarło do mnie, że ten człowiek naprawdę mnie nie widzi, że ma wrażenie, iż śni koszmarny sen na jawie! Więc powstrzymałem ostrze i przeciąłem powietrze, kiedy go odepchnąłem, pozwalając mu upaść na ziemię. Spojrzałem na niego uważnie, a światła jakiegoś samochodu przeszły ciemność jak sztylety. Leżał tam, jęcząc na asfalcie, człowiek omal nie zabity przez zjawę. Wytrąciło mnie to z równowagi. Czuję obrzydzenie i wstyd. Sam wyglądałem jak pijany, chwiejąc się na osłabłych nogach. Później rozbawiło mnie to – coś wyskoczyło z tępej głowy tego człowieka i pobiło go tak, że o mały włos nie stracił życia. Zacząłem się śmiać z tego zwariowanego odkrycia. Czy obudziłby się w chwili śmierci? Czy sama Śmierć wyzwoliłaby go dla życia na jawie? Ale nie zwlekałem. Uciekłem w mrok, śmiejąc się tak przeraźliwie, że bałem się, iż dostanę przepukliny. Następnego dnia zobaczyłem w „Daily News” jego zdjęcie, pod tytułem

utrzymującym, że go „napadnięto”. Biedny głupiec, pomyślałem ze szczerym współczuciem, biedny ślepy głupiec, napadnięty przez niewidzialnego człowieka!

Przeważnie nie jestem tak otwarcie agresywny (choć nie chcę, jak to kiedyś robiłem, zaprzeczać istnieniu przemocy w moich czasach poprzez ignorowanie jej). Pamiętam, że jestem niewidzialny, i chodzę cicho, żeby nie obudzić śpiących. Czasami lepiej ich nie budzić; niewiele jest na świecie rzeczy równie niebezpiecznych jak somnambulicy. Nauczyłem się jednak w porę, że można prowadzić z nimi walkę tak, że nie zdają sobie z tego sprawy. Na przykład już od pewnego czasu prowadzę walkę z Monopolated Light & Power. Korzystam z ich usług i nic im za to nie płacę, a oni o tym nie wiedzą. Owszem, podejrzewają, że tracą energię, ale nie wiedzą gdzie. Wiedzą tylko tyle, że według głównego licznika z elektrowni gdzieś w dżungli Harlemu znika diabelnie dużo prądu. Dowcip polega oczywiście na tym, że nie mieszkam w Harlemie, ale w strefie granicznej. Parę lat temu (zanim odkryłem korzyści bycia niewidzialnym) przeszedłem rutynowy proces kupowania prądu i płacenia skandalicznych stawek. Ale skończyłem już z tym. Porzuciłem to wszystko, włącznie z mieszkaniem i starym stylem życia – tym stylem, który opierał się na błędnym założeniu, że podobnie jak inni ludzie, jestem widzialny. Teraz, świadom mojej niewidzialności, żyję, nie płacąc czynszu, w budynku wynajmowanym wyłącznie białym, w części piwnicy, która została zamknięta i skazana na zapomnienie w dziewiętnastym wieku, a którą odkryłem, kiedy próbowałem uciec nocą przed Rasem Niszczycielem. Ale za bardzo wyprzedzam bieg wydarzeń, zbliżając się prawie do końca tej opowieści, chociaż koniec zawiera się w początku i jest jeszcze daleko przed nami.

Chodzi mi o to, że znalazłem dom – albo norę w ziemi, jeśli wolicie. Nie wyciągajcie pochopnie wniosku, że skoro nazywam mój dom „norą”, jest zimny i wilgotny jak grób; są nory zimne i nory ciepłe. Moja nora jest ciepła. I pamiętajcie, że niedźwiedź wycofuje się na zimę do swojej nory, w której mieszka do wiosny, a potem wychodzi z niej wolnym krokiem jak wielkanocny kurczak z jaja. Mówię o tym wszystkim, by zapewnić was, że błędem jest zakładać, jakobym, tylko z tego powodu, że jestem niewidzialny i mieszkam w norze, był martwy. Nie jestem ani martwy, ani nie znajduję się w stanie śmierci pozornej. Nazywajcie mnie niedźwiadkiem Jackiem, gdyż jestem w stanie hibernacji.

Moja nora jest ciepła i pełna światła. Tak, pełna światła. Wątpię, czy jest jaśniejsze miejsce w całym Nowym Jorku niż ta moja nora, i nie wyłączam Broadwayu. Ani Empire State Building podczas wymarzonej nocy fotografa. Ale to jest wykorzystywanie sytuacji. Te dwa miejsca należą do najciemniejszych w całej naszej cywilizacji – przepraszam, w całej naszej kulturze (słyszałem, że to ważne rozróżnienie) – co może zabrzmieć jak głupi kawał albo sprzeczność, ale tak (to znaczy na zasadzie sprzeczności) porusza się świat. Nie jak strzała, lecz jak bumerang. (Strzeżcie się tych, którzy mówią o spirali historii, bo przygotowują oni bumerang. Trzymajcie w pogotowiu stalowy hełm.) Wiem to, tyle razy dostałem bumerangiem w głowę, że teraz widzę ciemność jasności. I kocham światło. Może pomyślicie, że to dziwne, iż niewidzialny człowiek potrzebuje światła, pragnie światła, kocha światło. Ale może jest tak właśnie dlatego, że jestem niewidzialny. Światło potwierdza, że rzeczywiście istnieję, nadaje mi kształt. Pewna piękna dziewczyna opowiedziała mi kiedyś o powracającym koszmarnym śnie, w którym leży pośrodku dużego, ciemnego pokoju i czuje, że rozszerza się jej twarz, tak że w końcu wypełnia całe pomieszczenie, stając się bezkształtną masą, a jej oczy wznoszą się jako szkaradna galareta w górę komina. Tak samo jest ze mną. Bez światła jestem nie tylko niewidzialny, ale również bezkształtny, a nie zdawać sobie sprawy z własnego kształtu to żyć śmiercią. Ja sam, po egzystowaniu przez jakies dwadzieścia lat, ożyłem dopiero wtedy, kiedy odkryłem swoją niewidzialność.

Właśnie dlatego toczę wojnę z Monopolated Light & Power. To znaczy, taki jest głębszy powód – pozwala mi to czuć, że jestem pełen życia. Walczę z nimi także dlatego, że wzięli ode mnie aż tyle pieniędzy, zanim nauczyłem się bronić. W mojej norze w piwnicy jest

dokładnie 1369 świateł. Pokryłem nimi cały sufit, każdy jego cal. I to nie świetlówkami, ale żarówkami starszego, pochłaniającego więcej energii typu, tymi z żarnikiem. No wiecie, akt sabotażu. Zacząłem już układać instalację na ścianach. Przewodów i gniazdek dostarczył mi pewien znajomy handlarz starzyzną, człowiek z wyobraźnią. Nic, ani powódź, ani burza, nie może przeszkodzić nam w zaspokojeniu potrzeby światła, coraz większej ilości coraz jaśniejszego światła. Prawda jest światłem, a światło jest prawdą. Kiedy skończę ze wszystkimi czterema ścianami, zabiorę się do podłogi. Jak mi to pójdzie, nie wiem. Ale kiedy jesteś tak długo niewidzialny jak ja, wyrabiasz w sobie pewną pomysłowość. Rozwiążę ten problem. I może wynajdę jakiś przyrząd, dzięki któremu da się umieścić dzbanek z kawą na ogniu bez wychodzenia z łóżka, a nawet przyrząd do ogrzewania łóżka – jak ten facet, którego widziałem w jednym z pism ilustrowanych, co zrobił sobie urządzenie do podgrzewania butów! Chociaż niewidzialny, kontynuuję wielką amerykańską tradycję majsterkowiczów. Łączy mnie to z Fordem, Edisonem i Franklinem. Ponieważ mam pewną teorię i pomysł, możecie mnie nazwać „majsterkowiczem-myślicielem”. Tak, ogrzeję sobie buty; trzeba to zrobić, bo zwykle są dziurawe. I nie poprzestaną na tym.

Mam teraz jedną radiolę; planuję mieć pięć. W mojej norze panuje pewna akustyczna martwota i kiedy słucham muzyki, chcę czuć jej vibracje, nie tylko uchem, ale i całym ciałem. Chciałbym słuchać pięciu nagrań Louisa Armstronga, grającego i śpiewającego *Co ja zrobiłem, że jestem taki czarny i życie mi niemiłe* – wszystkich jednocześnie.

Teraz czasami słucham Louisa, kiedy jem mój ulubiony deser, lody waniliowe z tarniówką. Polewam biały wzgórek czerwonym płynem, patrząc, jak lśni i jak unosi się z niego para, gdy Louis wydobywa z wojskowego instrumentu strumień lirycznych dźwięków. Być może lubię Louisa Armstronga za to, że z bycia niewidzialnym uczynił poezję. Myślę, że jest tak dlatego, że nie zdaje on sobie sprawy z tego, że j e s t niewidzialny. A moje własne poczucie niewidzialności pomaga mi zrozumieć jego muzykę. Pewnego razu poprosiłem o papierosa i jacyś żartownisie dali mi skręta, którego zapaliłem, kiedy wróciłem do domu i usiadłem przy włączonej radioli. Był to dziwny wieczór. Niewidzialność, pozwolę sobie wyjaśnić, daje ci nieco odmienne poczucie czasu, nigdy nie utrzymujesz tego tempa. Czasami je wyprzedzasz, czasami zostajesz w tyle. Czas nie płynie szybko i niedostrzegalnie, bo zdajesz sobie sprawę z jego węzłów, tych punktów, w których stajesz w miejscu albo gwałtownie skacze naprzód. A ty wślizgujesz się w te przerwy i rozglądasz wokół. To właśnie słyszysz niewyraźnie w muzyce Louisa.

Widziałem raz, jak zawodowy bokser walczył z kmiotkiem. Bokser był szybki, miał zadziwiająco naukowe podejście do walki. Jego ciało było jednym gwałtownym prądem błyskawicznych, rytmicznych akcji. Uderzył przeciwnika ze sto razy, a tamten tylko podnosił ręce w bezbrzeżnym zaskoczeniu. Ale nagle, okręciwszy się w huraganie rękawic bokserskich, kmiotek wyprowadził jeden cios i powalił naukę, szybkość i pracę nóg, jak kukiełkę. Pewniak runął na deski. Amator był górą. Ten kmiotek po prostu wszedł w poczucie czasu swojego przeciwnika. Tak więc pod urokiem skręta odkryłem nowy, analityczny sposób słuchania muzyki. Ujawniły się nie słyszane dźwięki, a każda linia melodyczna istniała sama z siebie, odróżniała się wyraźnie od reszty, mówiła swoje i czekała cierpliwie, aż przemówią inne głosy. Tego wieczoru stwierdziłem, że słyszę nie tylko w czasie, ale również w przestrzeni. Nie tylko wszedłem w muzykę, ale zstąpiłem, jak Dante, w jej głębię. *A pod szybkością ostrego tempa było wolniejsze tempo i jaskinia i wszedłem do niej, i rozejrzałem się, i usłyszałem starą kobietę śpiewającą spiritual pełen Weltschmerzu jak flamenco, a pod tym leżał jeszcze niższy poziom, na którym zobaczyłem śliczną dziewczynę o skórze koloru kości słoniowej, błagając głosem podobnym do głosu mojej matki, kiedy stała przed grupą właścicieli niewolników, którzy licytowali się o jej nagie ciało, a pod tym odkryłem jeszcze niższy poziom i szybsze tempo i usłyszałem czyjś krzyk:*

– *Bracia i siostry, dzisiejsze czytanie jest z Czerni nad czerniami.*

A chór głosów odpowiedział:

- Ta czerń jest bardzo czarna, bracie, bardzo czarna...*
- Na początku...*
- Na samym początku – zawołali.*
- ...była czerń...*
- Głoś to...*
- ...a słońce...*
- Słońce, o Panie...*
- ...było krwawoczerwone...*
- Czerwone...*
- Teraz czerń jest... – zawołał kaznodzieja.*
- Krwawa...*
- Powiedziałem, że czerń jest...*
- Głoś to, bracie...*
- ...i czerń nie jest...*
- Czerwona, o Panie, czerwona. Powiedział, że czerwona!*
- Amen, bracie...*
- Czerń weźmie was...*
- Tak, weźmie...*
- Tak, weźmie...*
- ...i czerń nie weźmie...*
- Nie, nie weźmie!*
- Zrobi...*
- Zrobi, o Panie...*
- ...i nie robi.*
- Alleluja...*
- ...będzie głosić twoją chwałę, o Panie, w BRZUCHU WIELORYBA*
- Głoś to, drogi bracie...*
- ...i sprawi, że będziesz kusić...*
- Dobry Boże Wszechmogący!*
- Ciotko Nelly!*
- Czerń uczyni cię...*
- Czarnym...*
- ...albo cię odczyni...*
- Czyż to nie prawda, Panie?*
- I w tym momencie wrzasnął na mnie głos o brzmieniu puzonu:*
- Zjeżdżaj stąd, głupku! Jesteś gotowy popełnić zradę?*
- I oderwałem się, słysząc, jak stara śpiewaczka spirituals zawodzi:*
- Przeklnij swojego Boga, chłopcze, i skonaj.*
- Zatrzymałem się i zapytałem ją, co się stało.*
- Bardzo kochałam mojego pana, synu – powiedziała.*
- Powinnaś była go nienawidzić – rzekłem.*
- Dał mi kilku synów – powiedziała – a ponieważ kocham moich synów, nauczyłam się kochać ich ojca, chociaż też go nienawidziłam.*
- Ja też poznałem, co to ambiwalencja – powiedziałem. – Dlatego tu jestem.*
- A co to jest?*
- Nic, słowo, które tego nie wyjaśnia. Dlaczego zawodzis?*
- Zawodzę, bo umarł – powiedziała.*
- Więc powiedz mi, kto się śmieje tam na górze?*
- To moi synowie. Cieszą się.*

– Tak, to też rozumiem – powiedziałem.
– Ja też się śmieję, ale i lamentuję. Obiecał, że nas wyzwoli, ale nigdy tego nie zrobił.
Mimo to kochałam go...
– Kochałaś go? Chcesz powiedzieć...?
– O tak, ale jeszcze bardziej kochałam coś innego.
– Co?
– Wolność.
– Wolność – powiedziałem. – Może wolność bierze się z nienawiści.
– Nie, synu, z kochania. Kochałam go i dałam mu truciznę, i zwiądnął jak jabłko na mrozie.
Chłopcy pocięliby go na kawałki własnoręcznie zrobionymi nożami.
– Popelniono gdzieś błąd – powiedziałem. – Jestem zdezorientowany.
I chciałem powiedzieć jeszcze inne rzeczy, ale śmiech na górze stał się dla mnie za głośny i zbyt podobny do jęku, więc starałem się wyrwać stamtąd, ale nie mogłem. Już wychodziłem, kiedy poczułem silne pragnienie zapytania jej, czym jest wolność, więc się cofnąłem. Siedziała z głową w dłoniach, cicho jęcząc; jej brązową twarz przepelniał smutek.
– Stara kobieto, czym jest ta wolność, którą tak kochasz? – zapytałem zza rogu umysłu.
Zrobiła zdziwioną, później zamyśloną, a później skonsternowaną minę.
– Zapomniałam, synu. Wszystko mi się pomieszało. Najpierw myślę, że to to, a potem, że tamto. Kręci mi się od tego w głowie. Teraz myślę, że to tylko tyle, jak powiedzieć, co mi chodzi po głowie. Ale to trudne, synu. Za dużo mi się przydarzyło w za krótkim czasie. To tak, jakbym miała gorączkę. Za każdym razem jak zaczynam iść, dostaję zawrotów głowy i przewracam się. A jak nie to, to chłopcy; nic, tylko się śmieją i chcą zabijać białych. Są zawzięci, tacy właśnie są...
– Ale co z wolnością?
– Daj mi spokój, chłopcze, boli mnie głowa!
Zostawiłem ją, bo mnie samemu kręciło się w głowie. Nie odszedłem daleko.
Nagle pojawił się znikąd jeden z jej synów, potężny chłop, mający dobre sześć stóp wzrostu, i uderzył mnie pięścią.
– O co chodzi, człowieku? – krzyknąłem.
– Doprowadziłeś moją mamę do płaczu!
– Ale jak? – powiedziałem, robiąc unik.
– Zadając jej pytania, oto jak. Zjeżdżaj stąd i nie wracaj, a jak następnym razem będziesz miał takie pytania, sam zadaj je sobie!
Trzymał mnie w uścisku zimnym jak gład, a jego palce zaciskały się na mojej tchawicy tak, że myślałem, że się uduszę, ale w końcu mnie puścił. Zatoczyłem się oszołomiony, a muzyka biła histerycznie w moje uszy. Było ciemno. Przejaśniło mi się w głowie i powlokłem się ciemnym, wąskim przejściem, przekonany, że słyszę za sobą jego szybkie kroki. Byłem obolały i w tym złym samopoczuciu naszała mnie głęboka chęć znalezienia ukojenia, ciszy i spokoju, stanu, którego, jak mi się wydawało, nigdy nie osiągnę. Przed wszystkim ryczała trąbka, a rytm był zbyt gorączkowy. Dźwięk tam-tamu, dudniący jak uderzenia serca, zaczął zagłuszać trąbkę, wypełniając mi uszy. Marzyłem o wodzie i słyszałem, jak mkną zimnymi rurami, których dotykały moje palce, gdy po omacku wyszukiwałem drogę, ale nie mogłem się zatrzymać, by poszukać kranu, bo słyszałem za sobą te kroki.
– Hej, Ras – zawołałem. – To ty, Niszczyciel? Rinehart?
Żadnej odpowiedzi, tylko rytmiczne kroki za mną. Chciałem przejść przez drogę, ale uderzyła mnie pędząca maszyna i zerwała mi skórę z nogi, z rykiem mknąc dalej.
Później jakoś wyszedłem z tego, wydobyłem się pospiesznie z tych podziemi dźwięku i usłyszałem, jak Louis Armstrong niewinnie pyta:
Co ja zrobiłem,
Że jestem taki czarny

I życie mi niemiłe?

Początkowo się bałem; ta znana muzyka domagała się działania, do którego byłem niezdolny, a jednak gdybym pozostał tam, pod powierzchnią, mógłbym spróbować działać. Pomimo to wiem teraz, że nieliczni naprawdę słuchają tej muzyki. Siedziałem na brzegu krzesła, ociekając potem, jak gdyby każda z 1369 żarówek stała się lampą Kliega, nastawioną na trzeci stopień przez Rasa i Rineharta. Było to wyczerpujące – jak gdybym przez godzinę wstrzymywał oddech w niesamowitym spokoju, który bierze się z wielodniowego dotkliwego głodu. A mimo to wsłuchiwanie się w ciszę było dla niewidzialnego człowieka dziwnie przyjemnym przeżyciem. Odkryłem nieznane wcześniej nieodparte potrzeby mojego istnienia, chociaż nie mogłem odpowiedzieć „tak” na ich zew. Jednak od tamtej pory nie zapaliłem ani jednego skręta; nie dlatego, że są one nielegalne, lecz dlatego, że wystarczy mi, że widzę, co jest za rogiem (nie jest to niezwykle, gdy jesteś niewidzialny). Słyszeć, co jest za rogiem, to za wiele; to powstrzymuje działanie. A pomimo brata Jacka i całego tego smutnego, straconego okresu Bractwa, nie wierzę w nic, co nie jest działaniem.

Proszę, oto definicja: hibernacja jest skrytym przygotowywaniem się do bardziej otwartego działania.

Poza tym narkotyk zupełnie niszczy poczucie czasu. Gdyby do tego doszło, mógłbym zapomnieć odskoczyć któregoś jasnego ranka i jakiś dureń rozjechałby mnie pomarańczowo żółtym tramwajem albo koszmarnym autobusem! Albo mógłbym zapomnieć opuścić moją norę, kiedy nadejdzie pora działania.

Tymczasem cieszę się życiem z pozdrowieniami od Monopolated Light & Power. Ponieważ nigdy mnie nie rozpoznacie, nawet przy najbliższym kontakcie ze mną, ponieważ bez wątplenia nie wierzycie, że istnieję, nie ma znaczenia, czy wiecie, że podłączyłem się do linii energetycznej prowadzącej do tego budynku i dociągnąłem prąd do mojej nory. Przedtem żyłem w ciemnościach, w które mnie wpędzono, ale teraz widzę. Oświetliłem czerń mojej niewidzialności – i odwrotnie. I tak gram niewidzialną muzykę mojego odosobnienia. To ostatnie twierdzenie wydaje się niepoprawne, czyż nie? Ale jest prawdziwe; słyszysz tę muzykę po prostu dlatego, że muzykę się słyszy, a rzadko widzi – wyjątkiem są muzycy. Czy zatem ta nieodparta potrzeba ujęcia niewidzialności czarno na białym może być pragnieniem uczynienia z niej muzyki? Ale ja jestem oratorem, podżegaczem... Jestem? Byłem i być może znowu będę. Kto wie? Nie każda choroba prowadzi do śmierci, tak samo niewidzialność.

Już słyszę, jak mówicie: – Co za straszny, nieodpowiedzialny łajdak! – I macie rację. Całkowicie się z wami zgadzam. Jestem jedną z najbardziej nieodpowiedzialnych istot, jakie kiedykolwiek żyły. Nieodpowiedzialność jest częścią mojej niewidzialności; z którejkolwiek strony na to spojrzycie, zobaczycie wyparcie się. Ale przed kim mam być odpowiedzialny i dlaczego miałbym być, skoro nie chcecie mnie zobaczyć? I poczekajcie, aż dowiodę, jaki naprawdę jestem odpowiedzialny. Odpowiedzialność opiera się na uznaniu, a uznanie jest formą zgody. Weźmy tego mężczyznę, którego omal nie zabiłem. Kto był odpowiedzialny za to niedosłone morderstwo – ja? Nie sądzę i odrzucam to oskarżenie. Nie kupuję tego. Nie możecie mi tego zarzucić. To on wpadł na mnie, on mnie obraził. Czy nie powinien był, dla własnego bezpieczeństwa, rozpoznać mojej hysterii, „potencjalnego niebezpieczeństwa”? On, powiedzmy, zagubił się w świecie snu. Ale czy nie panował nad tym światem snu – który, niestety, jest aż nazbyt rzeczywisty! – i czy nie wykluczył mnie z niego? A gdyby wzywał głośno policję, to czy nie mnie uznano by za napastnika? Tak, tak, tak! Pozwólcie, że się z wami zgodzę – to ja byłem tym nieodpowiedzialnym, bo powinienem był użyć noża w obronie wyższych dóbr społecznych. Któregoś dnia tego rodzaju głupota przysporzy nam tragicznych kłopotów. Cenę tę muszą płacić wszyscy śniący na jawie i lunatycy, i nawet niewidzialna ofiara ponosi odpowiedzialność za los wszystkich ludzi. Ale uchyliłem się od tej odpowiedzialności, za bardzo uwikłałem się w rozliczne myśli, które brzęczały mi w mózgu. Byłem tchórzem...

Ale co j a zrobiłem, że życie mi niemiłe? Cierpliwości.

Rozdział 1

Zaczął się to dawno temu, przed jakimiś dwudziestu laty. Przez całe życie czegoś szukałem i wszędzie, gdzie się zwróciłem, ktoś próbował mi powiedzieć, co to jest. Przyjmowałem te odpowiedzi, chociaż często były ze sobą sprzeczne, a nawet sprzeczne same w sobie. Byłem naiwny. Szukałem siebie i zadawałem każdemu oprócz siebie pytania, na które mogłem odpowiedzieć tylko ja sam. Uświadomienie sobie tego, z czym każdy inny wydaje się rodzic, że nie jestem nikim innym, tylko sobą, zajęło mi dużo czasu i kosztowało wiele boleśnie utraconych nadziei. Ale najpierw musiałem odkryć, że jestem człowiekiem niewidzialnym!

A przecież nie jestem żadnym wybrykiem natury ani historii. Moje przyjscie na świat, przy pozostałych warunkach nie zmienionych (albo zmienionych), przepowiedziały karty osiemdziesiąt pięć lat temu. Nie wstydzę się, że moi dziadkowie byli niewolnikami. Wstydzę się tylko tego, że się kiedyś wstydzilem. Około osiemdziesięciu pięciu lat temu powiedziano im, że są wolni, zjednoczeni z innymi mieszkańcami tego kraju we wszystkim, co przyczynia się do wspólnego dobra, i we wszystkich sprawach społecznych, oddzielni jak palce dłoni. A oni w to uwierzyli. Ucieszyli się z tego. Zostali na swoim miejscu, ciężko pracowali i tak wychowali mojego ojca, by robił to samo. Ale mój dziadek wyciął numer. To był dziwny facet, ten mój dziadek, i podobno w niego się wdałem. To on spowodował całe to zamieszanie. Na łożu śmierci wezwał mojego ojca i powiedział:

– Synu, chcę, żebyś po moim odejściu prowadził dalej walkę. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale nasze życie to wojna, a ja od urodzenia byłem zdrajcą, szpiegiem na terytorium wroga, odkąd oddałem strzelbę w czasach rekonstrukcji. Żyj z głową w paszczy lwa. Chcę, żebyś pokonał ich potakiwaniem, osłabił uśmiechami, pogodził ze śmiercią i zniszczeniem, pozwolił, by cię łykali, aż zaczną wymiotować albo pękną.

Myśleli, że stary zwariował. Wcześniej był najpotulniejszym z ludzi. Wygnano z pokoju młodsze dzieci, opuszczono rolety i przykręcono lampy tak, że ich płomyki ledwo pełgały na knotach, jak oddech starca.

– Naucz tego młodych – wyszeptał groźnie i zmarł.

Ale moich rodziców bardziej zaniepokoiły jego ostatnie słowa niż śmierć. Wywołały taki niepokój, jakby w ogóle nie umarł. Ostrzeżono mnie stanowczo, żebym zapomniał o tym, co powiedział, i rzeczywiście nigdy wcześniej nie wspomniano nawet o tej sprawie poza kręgiem rodziny. Jednak wywarło to na mnie ogromny wpływ. Nigdy nie byłem pewien, co miał na myśli. Dziadek był cichym staruszkiem, który nigdy nie sprawiał kłopotu, a mimo to na łożu śmierci nazwał się zdrajcą i szpiegiem, a swoją potulność uznał za niebezpieczną działalność. Stało się to dla mnie zagadką, która stale zaprzętała mój umysł. I kiedy wszystko dobrze mi szło, przypominałem sobie dziadka i czułem się winny i zażenowany. Wyglądało to tak, jakbym wbrew sobie stosował się do jego rady. A co gorsza, wszyscy mnie za to lubili. Wychwalali mnie najbielsi ludzie w mieście. Uważano mnie za wzór pożądanego zachowania, podobnie jak mojego dziadka. Zastanawiało mnie, że staruszek określił to jako zdradę. Kiedy chwalono mnie za moje zachowanie, czułem się winny tego, że robię coś, co w rzeczywistości było sprzeczne z życzeniami białych, i gdyby to zrozumieli, pragnęliby, żebym zachowywał się dokładnie odwrotnie, żebym był ponury i wredny, chociaż dawali się nabrać i myśleli, że postępuję tak, jak chcą. Obawiałem się, że pewnego dnia spojrzą na mnie jak na zdrajcę i będę zgubiony. Mimo to jeszcze bardziej bałem się postępować w jakikolwiek inny sposób, ponieważ w ogóle im się to nie podobało. Słowa dziadka były niczym klątwa.

Na uroczystości wręczenia świadectw dojrzałości wygłosiłem mowę, w której dowiodłem, że tajemnicą, ba, samą istotą postępu, jest pokora. (Nie żebym w to wierzył – jakżebym mógł, pamiętając słowa dziadka? – wierzyłem tylko, że to zadziała.) Był to wielki sukces. Wszyscy mnie chwalili i poproszono mnie, żebym wygłosił przemówienie na zebraniu wybitnych białych obywateli miasta. Był to tryumf całej naszej społeczności.

Odbywało się to w głównej sali balowej najlepszego hotelu. Kiedy tam się znalazłem, odkryłem, że mam wystąpić z okazji nieoficjalnego spotkania męskiej części śmietanki towarzyskiej naszego miasta. Powiedziano mi też, że skoro już tam jestem, mogę wziąć udział w walce bokserskiej, którą stoczy kilku moich kolegów szkolnych dla zapewnienia zebranym rozrywki. Ta walna rozprawa stanowiła pierwszy punkt programu.

Wszystkie grube ryby były w smokingach, obżerały się przekąskami w bufecie, piły piwo i whisky i paliły czarne cygara. Była to duża, wysoka sala. Z trzech stron przenośnego ringu bokserskiego ustawiono krzesła w zgrabnych rzędach. Czwarta strona pozostała otwarta na lśniąca przestrzeń wyfroterowanej podłogi. Nawiasem mówiąc, miałem złe przeczucia co do turnieju. Nie z powodu wstrętu do walki, lecz dlatego, że nie za bardzo podobali mi się pozostali uczestnicy. Byli to twardzi faceci, których spokoju umysłu zdawała się nie zakłócać żadna klątwa dziadka. Nikt nie mógł wątpić w ich siłę i zawziętość. A poza tym podejrzewałem, że udział w nawalance może zaszkodzić powodze mojego przemówienia. W owych czasach sprzed niewidzialności wyobrażałem sobie siebie jako potencjalnego Bookera T. Washingtona. Aleja też nie za bardzo podobałem się tym pozostałym facetom, a było ich dziewięciu. Czułem się lepszy od nich i nie spodobało mi się, że włączono nas wszystkich do windy dla służby. Oni też nie byli zadowoleni z mojego towarzystwa. W rzeczy samej, kiedy za drzwiami windy przesuwali się ciepło oświetlone piętra, wymieniliśmy parę słów na temat tego, że poprzez swój udział w walce pozbawiłem jednego z ich przyjaciół roboty.

Z windy poprowadzono nas przez rokokową salę do jakiejś poczekalni i polecono przebrać się w stroje bokserskie. Każdemu z nas wydano parę rękawic, po czym wprowadzono do wielkiej, wyłożonej lustrami sali, do której weszliśmy, rozglądając się wokół i rozmawiając szeptem, by nas przypadkiem nie usłyszano mimo panującego tam gwaru. W sali unosiła się mgła cygarowego dymu. Zaczynała też działać whisky. Byłem wstrząśnięty, kiedy zobaczyłem, że niektórzy z najważniejszych ludzi w mieście mają niezłe w czubie. Byli tam wszyscy – bankierzy, adwokaci, sędziowie, lekarze, komendanci straży pożarnej, nauczyciele, kupcy. Nawet jeden z modniejszych pastorów. Z przodu działo się coś, czego nie mogliśmy dojrzeć. Rozbrzmiewał zmysłowo klarnet, a mężczyźni wstawali z krzeseł i ochoczo przesuwali się w tamtą stronę. Tworzyliśmy małą ciasną grupkę, zbici razem, zetknięci nagimi tułowiami, lśnącymi od potu wywołanego oczekiwaniem na walkę, a grube ryby z przodu były coraz bardziej podniecone czymś, czego wciąż nie mogliśmy dostrzec. Nagle dyrektor szkoły, który kazał mi przyjść, wrzasnął:

– Przeprowadźcie smoluchów, panowie! Przeprowadźcie tych małych smoluchów!

Wypchnięto nas na przód sali, gdzie zapach tytoniu i whisky był jeszcze silniejszy. Omal się nie zsiąkałem. Otoczyło nas morze twarzy, niektórych wrogich, niektórych rozbawionych, a w środku, twarzą do nas, stała wspaniała blondyneczka – goła jak ją Pan Bóg stworzył. Zapanowała głucha cisza. Poczułem zimny powiew. Próbowałem się wycofać, ale byli za mną i koło mnie. Część chłopców stała ze spuszczoneymi głowami, drżąc na całym ciele. Poczułem przypływ irracjonalnego poczucia winy i strachu. Szczekałem zębami, dostałem gęsiej skórki, trzęsły mi się nogi. Mimo to blondynka przyciągała mój wzrok, więc patrzyłem wbrew sobie. Patrzyłbym, nawet gdybym miał za to zapłacić ślepotą. Włosy miała żółte jak cyrkowa cizia, twarz mocno upudrowaną i uróżowioną, jak gdyby po to, by upodobnić ją do abstrakcyjnej maski, oczy zapadnięte i umalowane chłodnym błękitem, w odcieniu pośladków pawiana. Poczułem chęć splunięcia na nią, kiedy przesuwalem powoli wzrok po jej ciele. Piersi miała jędrne i krągłe jak kopuły świątyń hinduskich, a stałem tak blisko niej, że widziałem jej

gładką skórę i perliste paciorki potu lśniące jak krople rosy wokół jej różowych i sterczących sutków. Chciałem jednocześnie wybiec z tej sali, zapaść się pod ziemię i zakryć ją własnym ciałem przed moim i innych wzrokiem; poczuć miękkie uda, pieścić ją i zniszczyć, kochać ją i zamordować, schować się przed nią, a mimo to gładzić ją tam, gdzie pod wytatuowaną na brzuchu małą amerykańską flagą jej uda tworzyły duże V. Wydawało mi się, że spośród wszystkich obecnych na sali osób tylko mnie dostrzegają jej bezosobowe oczy.

I wtedy zaczęła tańczyć, w powolny, zmysłowy sposób; w dymie setki cygar, przylegającym do niej jak najcieńszy welon, sprawiała wrażenie jasnowłosej syreny, spowitej w woale, wzywającej mnie ze wzburzonej powierzchni jakiegoś szarego, groźnego morza. Straciłem poczucie czasu i miejsca. Później dotarł do mnie dźwięk klarnetu i wrzaski grubych ryb. Niektórzy grozili, że będzie z nami źle, jeśli będziemy patrzyli, inni, że pożałujemy, jeśli nie będziemy patrzyli. Jeden chłopak po mojej prawej stronie zemdłał. Wtedy jakiś facet złapał ze stołu srebrny dzbanek, podszedł, chlusnął na niego lodowatą wodą, postawił na nogi i zmusił dwóch z nas, byśmy go podtrzymali, ślaniającego się ze zwieszoną głową, wydającego jęki grubymi, posiniałymi ustami. Inny chłopak zaczął błagać, by go puścić do domu. Był najpotężniejszy z naszej grupy i miał ciemnoczerwone bokserki, o wiele za małe, by ukryć erekcję, która pojawiła się jakby w odpowiedzi na dwuznaczne, niskie zawodzenie klarnetu. Próbował się schować za swoimi rękawicami bokserскими.

A blondynka cały czas tańczyła, uśmiechając się blado do grubych ryb, które patrzyły na nią z fascynacją, i uśmiechając się blado na widok naszego strachu. Zauważyłem pewnego kupca, który pożerał ją wzrokiem, z rozchylonymi i oślinionymi ustami. Był potężnym mężczyzną w koszuli z diamentowymi spinkami na gorsie i wydętym ogromnym brzuchem, i za każdym razem gdy blondynka kołysała falującymi biodrami, przeciągał dłonią po rzadkich włosach na łysiejącej głowie i ze wzniesionymi rękami, w niezgrabnej postawie pijanej pandy, wprawiał ten ogromny brzuch w powolny, obsceniczny ruch. Ów stwór był całkowicie zahipnotyzowany. Muzyka nabrała szybszego tempa. Kiedy tancerka miotała się z nieobecny wyrazem twarzy, zgromadzeni mężczyźni zaczęli wyciągać ręce i dotykać ją. Widziałem, jak ich grube paluchy zagłębiają się w jej miękkim ciele. Niektórzy z pozostałych próbowali ich powstrzymać, a ona zaczęła przesuwać się po parkiecie, kreśląc pełne gracji koła. Rzucili się za nią w pościg, potykając się i ślizgając na wyfroterowanej podłodze. To było szaleństwo. Przewracali z łoskotem krzesła i rozlewali trunki, biegnąc za nią ze śmiechem i wyciem. Dopadli ją, kiedy była już przy drzwiach, unieśli w górę i podrzucili tak, jak podrzuca się chłopców na uczelni podczas otrzęsin, i ponad jej czerwonymi ustami z przyklepionym uśmiechem zobaczyłem w oczach przerażenie i wstręt, niemal takie same jak moje przerażenie i to, które widziałem w oczach pozostałych chłopców. Podrzucili ją dwukrotnie, jej miękkie piersi zdawały się rozpląszczać w zderzeniu z powietrzem, a nogi szaleńczo wierzgały, gdy wirowała nad ich głowami. Trzeźwiejsi z tego towarzystwa pomogli jej uciec. Ja też ruszyłem z resztą chłopców do szatni.

Niektórzy wciąż płakali, ogarnięci histerią. Ale kiedy próbowaliśmy się ulotnić, zatrzymano nas i kazano wejść na ring. Nie pozostawało nam nic innego jak wykonać polecenie. Cała nasza dziesiątka przeszła pod linami i pozwoliła nałożyć sobie szerokie przepaski na oczy z białej tkaniny.

Jeden z mężczyzn wydawał się nam trochę współczuć i starał się dodać nam animuszu, kiedy staliśmy tam oparci plecami o liny. Niektórzy z nas próbowali się uśmiechać.

– Widzisz tego chłopaka? – powiedział jeden z mężczyzn. – Chcę, żebyś na dźwięk gongu rzucił się na niego i przyładował mu prosto w brzuch. Jeśli go nie załatwisz, to ja załatwię ciebie. Nie podoba mi się jego wygląd.

To samo powiedziano każdemu z nas. Zasłonięto nam oczy. Ale nawet wtedy powtarzałem sobie tekst mojego przemówienia. Każde słowo jawiło mi się w wyobraźni jasno

jak płomień. Poczułem, że zaciskają mi przepaskę, i zmarszczyłem brwi, by ją trochę poluznić.

Potem jednak poczułem nagły przypływ ślepego przerażenia. Nie byłem przyzwyczajony do ciemności. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w ciemnym pokoju pełnym jadowitych mokasynów błotnych. Słyszałem niewyraźne głosy natarczywie domagające się rozpoczęcia walk.

– Ruszajcie się tam!

– Dajcie mi rąbnąć tego wielkiego czarnucha!

Wyteżyłem słuch, by wychwycić głos dyrektora szkoły, jakby ten nieco bardziej znany dźwięk mógł mi przynieść odrobinę poczucia bezpieczeństwa.

– Puśćcie mnie do tych czarnych sukinsynów! – wrzasnął ktoś.

– Nie, Jackson, nie! – wrzasnął inny głos. – Niech ktoś mi pomoże przytrzymać Jacka.

– Chcę dorwać tego cynamonowego czarnucha. Rozerwać go na strzępy – darł się pierwszy głos.

Stałem przy linach rozdygotany, bo w tamtych czasach miałem skórę barwy określanej mianem cynamonowej, a mężczyzna ryczał tak, jakby mógł mnie schrupać niczym kruche ciasteczko cynamonowe.

Wokół ringu trwała niezła szamotanina. Padały przewrócone kopniakami krzesła i rozlegały się głosy stękające jak przy wielkim wysiłku. Chciałem widzieć, chciałem widzieć tak rozpaczliwie jak nigdy przedtem. Ale przepaska przylegała ściśle jak ściągający skórę świerzb, a kiedy podniosłem rękawice, by odsunąć warstwy bieli, jakiś głos wrzasnął:

– Nie rób tego, czarny sukinsynu! Zostaw to!

– Uderzcie w gong, bo Jackson zabije czarnucha! – zagrzmiął ktoś w nagłej ciszy. Usłyszałem dźwięk gongu i szuranie zbliżających się stóp.

Czyjaś rękawica grzmotnęła mnie w głowę. Obróciłem się, wyprowadziłem sztywno cios w kogoś przesuwającego się obok mnie i poczułem wstrząs przebiegający przez całą rękę aż do ramienia. Potem miałem wrażenie, że rzuciła się jednocześnie cała dziewiątka. Ciosy padały ze wszystkich stron, a ja starałem się odpowiadać na nie najlepiej jak mogłem. Dosięgło mnie ich tyle, że zacząłem się zastanawiać, czy nie ja jeden na ringu mam związane oczy albo czy nie udało się mnie w końcu dopaść temu facetowi o nazwisku Jackson.

Z zawiązanymi oczami nie mogłem kontrolować swoich ruchów. Straciłem godność. Zataczałem się jak uczące się chodzić dziecko albo jak pijany. Dym zgęstniał i z każdym nowym ciosem zdawał się coraz bardziej palić mi płuca i tamować oddech, ślina zmieniła się w gorący, gorzki klej. Jakaś rękawica połączyła się z moją głową, wypełniając mi usta ciepłą krwią. Czuję ją wszędzie. Nie mogłem się zorientować, czy wilgoć na moim ciele była potem czy krwią. Ciężki cios wylądował u nasady mojego karku. Przewróciłem się i uderzyłem głową o deski. Czarny świat pod opaską wypełniły strumienie błękitnego światła. Leżałem na brzuchu, udając, że zostałem znokautowany, ale podniesiono mnie i postawiono na nogi. – Dalej, chłopcze! Włącz się! – Ręce miałem ciężkie jak ołów, w głowie huczało mi od ciosów. Udało mi się po omacku trafić do lin. Trzymałem się ich, próbując złapać oddech. W moim dołku wylądowała rękawica i znowu poleciałem na deski, mając wrażenie, że dym stał się nożem wbitym w moje wnętrzości. Popychany to w jedną, to w drugą stronę przez kłębiące się wokół mnie nogi, wyprostowałem się w końcu i odkryłem, że widzę czarne, okryte potem sylwetki, poruszające się w niebieskim od dymu powietrzu jak pijani tancerze zataczający się w rytm szybkich, głuchych jak uderzenia bębna ciosów.

Wszyscy walczyli histerycznie. Panowała kompletna anarchia. Każdy walczył z wszystkimi innymi. Żadna grupka nie trzymała się długo razem. Dwóch, trzech, czterech biło się z jednym, potem zwracali się przeciwko sobie, sami stawali się celem ataków. Ciosy lądowały poniżej pasa i w okolicy nerek, zadawane zarówno zamkniętymi, jak i otwartymi

rękawicami, i teraz, z częściowo odkrytym okiem, nie byłem już tak przerażony. Poruszałem się ostrożnie, unikając ciosów, chociaż niezbyt wielu, by nie zwrócić na siebie uwagi, walcząc to w jednej grupie, to w drugiej. Chłopcy szukali się po omacku, jak ślepe, ostrożne kraby, kulili się, by chronić brzuchy, wciągali głowy w ramiona, nerwowo prostowali ręce, badali przepełnione dymem powietrze pięściami przypominającymi guzowate czułki nadwrażliwych ślimaków. W jednym narożniku zauważyłem kątem oka chłopaka okładającego gwałtownie powietrze i usłyszałem, jak zawył z bólu, uderzywszy w słupek ringu. Przez sekundę stał zgięty i trzymał drugą ręką bolącą dłoń, a potem padł na deski, gdy ktoś grzmotnął go w nie osłoniętą głowę. Napuszczałem jedną grupę na drugą, wślizgując się i zadając cios, a potem wychodząc z zasięgu uderzeń i pchając innych w kotłowanie, by przyjęli ciosy wymierzone na oślep we mnie. Dym rozdierał płuca i nie było rund, gongów w trzypięciominutowych odstępach, które dałyby nam chwilę wytchnienia. Sala kręciła się wokół mnie w wirze światła, dymu, spoconych ciał, otoczonych przez napięte białe twarze. Krwawiłem z nosa i z ust, krew kapłała mi na pierś.

Widzowie cały czas się darli:

– Przywal mu, chłopcze! Wypruj mu flaki!

– Hakiem go! Zabij go! Zabij tego dużego!

Kiedy dla niepoznaki leciałem na deski, ujrzałem chłopaka padającego niczym kłoda obok mnie, jak gdyby powalono nas jednym ciosem, zobaczyłem stopę w tenisówce wbijającą się w jego pachwinę, gdy ci dwaj, którzy go powalili, potknęli się o niego. Poczujęm przypływ mdłości, przekręciłem się na bok i wyostałem z zasięgu ich nóg.

Im zażarciej walczyliśmy, tym groźniejsi stawali się widzowie. Mimo to zacząłem się znowu martwić o moje przemówienie. Jak wypadnie? Czy poznają się na moich zdolnościach? Co mi za to dadzą?

Walczyłem automatycznie, kiedy nagle zauważyłem, że chłopcy jeden po drugim schodzą z ringu. Byłem zaskoczony, zdjęty paniką, jak gdybym został sam na sam z nieznanym niebezpieczeństwem. Potem zrozumiałem. Uzgodnili to pomiędzy sobą. Utarło się, że ostatni dwaj, którzy zostawali na ringu, grzmocili się o nagrodę. Odkryłem to zbyt późno. Kiedy zabrzmiał gong, wskoczyli na ring dwaj mężczyźni w smokingach i zdjęli nam przepaski z oczu. Znalazłem się naprzeciwko Tatlocka, najpotężniejszego z bandy. Zrobiło mi się niedobrze. Zaledwie przestał mi dzwonić w uszach dźwięk gongu, gdy zabrzmiał ponownie, i zobaczyłem, że Tatlock sunie szybko ku mnie. Z braku lepszego pomysłu wałęnałem go w nos. Nadal szedł na mnie, zionąc obrzydliwą, ostrą gwałtownością zaschłego potu. Jego twarz była czarną pustką, tylko oczy były żywe – płonęły nienawiścią do mnie i gorączkowym przerażeniem wywołanym tym, co się nam wszystkim przydarzyło. Ogarnął mnie niepokój. Chciałem wygłosić swoją mowę, a on natarł na mnie, jakby chciał wybić mi jej tekst z głowy. Tłukłem go raz po raz i przyjmowałem jego ciosy. Potem pod wpływem nagłego impulsu uderzyłem go lekko i kiedy się zwarliśmy, wyszeptalem:

– Udaj, że cię znokautowałem, a weźmiesz sobie nagrodę.

– Rozwałę ci dupę – szepnął ochryple.

– Dla nich?

– Dla siebie, ty sukinsynu!

Wrzeszczeli na nas, żebyśmy wyszli ze zwarcia i Tatlock uderzył mnie tak, że się obróciłem i przed moimi oczyma, niczym przed obiektywem trzęsącej się kamery podczas panoramy, przesunęły się wyjące czerwone twarze zastygłe pod obłokiem niebieskoszarego dymu. Przez chwilę świat drgał, kołysał się, płynął, a potem przejaśniło mi się w głowie i wyskoczył przede mną Tatlock. Ten trzepoczący cień przed moimi oczami był jego lewą ręką zadającą cios prosty. Padłem na niego, oparłem czoło o jego wilgotny bark i wyszeptalem:

– Dorzucę ci pięć dolarów.

– Idź do diabła!

Ale pod moim naciskiem jego mięśnie nieco się rozluźniły, więc dodałem cicho:

– Siedem?

– Daj je swojej mamie – powiedział, wyprowadzając cios pod moje serce.

Trzymając go nadal, walnąłem go głową i odskoczyłem. Zasypał mnie gradem ciosów. Odpowiadałem na nie z beznadziejną rozpaczą. Niczego na świecie nie pragnąłem tak bardzo jak wygłosić moją mowę, ponieważ uważałem, że tylko ci mężczyźni potrafią naprawdę ocenić moje zdolności, a teraz ten głupi błazen niszczył na to szanse. Zacząłem teraz walczyć ostrożnie, doskakując do niego, by go uderzyć, i odskakując z powrotem z większą szybkością. Szczęśliwie udało mi się ulokować cios na jego szczęce i ja też zacząłem mu dawać niezłe lanie, dopóki nie usłyszałem, jak ktoś głośno wrzeszczy:

– Postawiłem pieniądze na tego dużego.

Usłyszawszy to, prawie opuściłem gardę. Byłem w rozterce: czy powinienem próbować wygrać wbrew temu głosowi? Czy nie obróciłoby się to przeciwko mojej mowie i czy nie jest to odpowiedni moment na okazanie pokory, na zaniechanie oporu? Kiedy tak tańczyłem po ringu, cios w głowę wysadził mi niemal prawe oko z orbity i rozwiązał mój dylemat. Kiedy padałem, cała sala zaszła czerwienią. Był to senny upadek, moje ciało stało się ospałe i zastanawiało się, gdzie ma wylądować, aż w końcu podłoga ringu straciła cierpliwość i wyskoczyła na spotkanie ze mną. Chwilę później ocknąłem się. Hipnotyczny głos powiedział dobitnie PIĘĆ.

A ja leżałem, patrząc zamglonym wzrokiem na ciemnoczerwoną plamę mojej własnej krwi, przybierającą kształt motyla, lśniąca i wsiąkająca w zabłocony szary świat desek ringu.

Kiedy ten sam głos powiedział przeciągle DZIESIĘĆ, podniesiono mnie i zaciągnięto na stół. Siedziałem oszołomiony. Oko bolało mnie i puchło z każdym uderzeniem walącego jak młot serca i zastanawiałem się, czy teraz pozwolą mi przemówić. Byłem tak mokry, że można było mnie wyżymać, i nadal krwawiły mi usta. Ustawiono nas rzędem pod ścianą. Pozostali chłopcy ignorowali mnie, gratulując Tatlockowi i zastanawiając się, ile im zapłacą. Jeden biadolił nad rozbity ręką. Spojrzawszy przed siebie, zauważyłem, że służba hotelowa w białych marynarkach wynosi przenośny ring i rozkłada kwadratowy dywanik w pustym miejscu otoczonym przez krzesła. Być może, pomyślałem, stanę na tym dywaniku, aby wygłosić moje przemówienie.

Potem mistrz ceremonii zawołał do nas:

– Chodźcie tu, chłopcy, i weźcie swoje pieniądze.

Pobiegliśmy tam, gdzie czekali mężczyźni na krzesłach, śmiejąc się i rozmawiając. Wszyscy wydawali się teraz przyjaźnie do nas nastawieni.

– Pieniądze są na dywaniku – oznajmił mistrz ceremonii. Zobaczyłem, że dywanik pokrywają monety o różnych rozmiarach i parę zmiętych banknotów. Ale podnieciło mnie to, że rozrzucone też tam były i złote krążki.

– Chłopcy, to wszystko wasze – powiedział ten człowiek. – Zatrzymacie wszystko, co złapiecie.

– Zgadza się, Sambo – rzekł jakiś blondyn, mrugając do mnie konfidencjonalnie.

Drżałem z podniecenia, zapomniawszy o bólu. Chwycę złoto i banknoty, pomyślałem. Posłużę się obiema rękoma. Rzucę się ciałem na chłopców stojących najbliżej mnie, żeby zagrozić im drogę do złota.

– Uklęknięcie teraz wokół dywanu – zakomenderował mistrz ceremonii – i niech nikt z was niczego nie dotyka, dopóki nie dam sygnału.

– To będzie dobre – usłyszałem.

Rozstawiliśmy się, zgodnie z poleceniem, na kolanach wokół kwadratowego dywanika. Mistrz ceremonii powoli uniósł usianą piegami dłoń, a my podążyliśmy za nią wzrokiem.

Usłyszałem:

– Te czarnuchy wyglądają, jakby miały się zacząć modlić!

A potem:

– Gotowi. Start!

Rzuciłem się gwałtownie po złotą monetę leżącą na niebieskim dywanie, dotknąłem jej i wydałem pełen zaskoczenia wrzask, przyłączając się do wrzasków podnoszących się obok mnie. Rozpaczliwie starałem się cofnąć dłoń, ale nie mogłem jej oderwać. Gorąca, gwałtowna siła przeszła moje ciało, trzęsąc mną jak mokrym szczurem. Dywanik był pod napięciem. Kiedy się oswobodziłem, stały mi włosy na głowie. Drżały mi wszystkie mięśnie, zwijały się poszarpane nerwy. Ale zobaczyłem, że nie powstrzymuje to pozostałych chłopców. Śmiejąc się ze strachu i zakłopotania, niektórzy trzymali się z tyłu i zgarniali monety zrzucane z dywanika skurczami bólu kolegów. Mężczyźni ryczeli nad nami, gdy się miotaliśmy.

– Podnieś to, niech to szlag, podnieś to! – krzyczał ktoś jak obdarzona basowym głosem papuga. – No dalej, weź to!

Zacząłem szybko pełzać po podłodze, zbierając pieniądze, starając się unikać miedziaków i brać tylko banknoty i złoto. Zbywając wstrząsy śmiechem, kiedy prędko przeczesywałem monety, odkryłem, że potrafię stawić opór elektryczności – to sprzeczność, ale taka jest prawda. Potem mężczyźni zaczęli popychać nas na dywanik. Śmiejąc się z zakłopotaniem, wywijaliśmy się im z rąk i dalej zbieraliśmy monety. Byliśmy wszyscy mokrzy i śliscy i trudno było nas przytrzymać. Nagle zobaczyłem, że jakiś chłopiec unosi się do góry, lśniący od potu jak foka w cyrku, a potem spada i ląduje mokrymi plecami na naładowanym elektrycznością dywaniku, usłyszałem jego wrzask i ujrzałem, jak dosłownie tańczy na plecach, bębniąc łokciami w szalonym rytmie po podłodze, a jego mięśnie drgają jak ciało konia kąsanego przez wiele much. W końcu zsunął się z dywanika z poszarzałą twarzą i nikt go nie zatrzymywał, kiedy uciekał wśród salw grzmiącego śmiechu.

– Bierzcie pieniądze – zawołał mistrz ceremonii. – To dobra, twarda amerykańska gotówka!

Więc łapaliśmy i chwytaaliśmy, chwytaaliśmy i łapaliśmy. Uważałem teraz, żeby nie zbliżyć się za bardzo do dywanika, a kiedy poczułem, że opada na mnie niczym chmura cuchnącego powietrza gorący, przesycony wonią whisky oddech, wyciągnąłem rękę i chwyciłem się nogi krzesła. Było zajęte i trzymałem się go rozpaczliwie.

– Puszczaj, czarnuchu! Puszczaj!

Pochyliła się nade mną duża twarz, kiedy mężczyzna próbował mnie odepchnąć. Ale moje ciało było śliskie, a on zbyt pijany. Był to pan Colcord, który posiadał sieć kin i „pałaców rozrywki”. Za każdym razem kiedy mnie chwytał, wyślizgiwałem mu się z rąk. Przeistoczyło się to w prawdziwą walkę. Bałem się dywanika bardziej niż tego pijaka, więc trzymałem się kurczowo krzesła, zaskakując na chwilę sam siebie próbą rzucenia go na dywanik. Był to tak nedorzeczny pomysł, że złapałem się na wprowadzaniu go w czyn. Starałem się to zatuszować, ale kiedy chwyciłem pana Colcorda za nogę, próbując go ściągnąć z krzesła, podniósł się z gromkim śmiechem i patrząc na mnie z trzeźwością w oku, kopnął mnie brutalnie w pierś. Krzesło wyleciało mi z ręki i potoczyłem się po dywaniku. Miałem wrażenie, jakbym turlał się po rozżarzonych węglach. Wydawało mi się, że minęły wieki, nim stoczyłem się z dywanika, wieki, w których płomienie przenikały przez najgłębsze warstwy mego ciała aż do przestraszonego oddechu, a ten oddech palił mnie tak, że myślałem, iż zaraz wybuchnę. Wszystko zaraz się skończy, pomyślałem, kiedy zsunąłem się z dywanika. Wszystko zaraz się skończy.

Ale jeszcze nie teraz; mężczyźni po drugiej stronie czekali z czerwonymi twarzami, obrzmiałymi jak w apopleksji, kiedy pochylili się na krzesłach. Widząc, że ich palce zbliżają się ku mnie, potoczyłem się jak piłka futbolowa, która wysliznęła się z rąk bramkarza, z powrotem na węgle. Tym razem dopisało mi szczęście, bo popchnąłem dywanik, który pojechał po podłodze, i usłyszałem brzęk spadających monet i odgłosy szamotaniny chłopców, którzy rzucili się do ich zbierania, a potem krzyk mistrza ceremonii:

– Dobrze, chłopcy, to wszystko. Ubierzcie się i weźcie swoje pieniądze.

Byłem wiotki jak ścierka do naczyń. Piekły mnie plecy, jakby wychłostano mnie kablem.

Kiedy się ubraliśmy, wszedł mistrz ceremonii i dał nam po pięć dolarów, każdemu oprócz Tatlocka, który dostał dziesięć, bo zszedł z ringu ostatni. Potem mistrz ceremonii kazał nam sobie iść. Pomyślałem, że nie dostanę szansy wygłoszenia przemówienia. Wychodziłem już, pogrążony w rozpacz, na ciemną aleję, kiedy mnie zatrzymano i powiedziano mi, żebym wrócił. Znalazłem się z powrotem w sali balowej, gdzie mężczyźni odsuwali swoje krzesła i zbierali się w grupkach na rozmowę.

Mistrz ceremonii zastukał w blat stołu, żeby się uciszyli.

– Panowie – zaczął – o mało co nie zapomnieliśmy o ważnej części programu. Bardzo poważnej części, panowie. Sprowadzono tu tego chłopca, żeby przedstawił mowę, którą wygłosił wczoraj na wręczeniu matur...

– Brawo!

– Powiedziano mi, że to najbystrzejszy chłopak w Greenwood. Podobno zna więcej wielkich słów, niż ich zawiera słownik kieszonkowy.

Gromkie oklaski i śmiech.

– A więc teraz, panowie, wysłuchajcie go z uwagą.

Kiedy stanąłem naprzeciw nich, z wyschniętymi ustami i pulsującym okiem, nadal rozbrzmiewał śmiech. Zacząłem powoli, ale najwyraźniej miałem ściśnięte gardło, bo zawołałi:

– Głośniej! Głośniej!

– My, młodsze pokolenie, wychwalamy mądrość tego wielkiego przywódcy i pedagoga – krzychałem – który pierwszy wypowiedział te płomienne, mądre słowa: „Okręt zagubiony od wielu dni na morzu dostrzegł nagle przyjazny statek. Na maszcie pechowego okrętu wywieszono sygnał: «Wody, wody, umieramy z pragnienia!» Nadeszła odpowiedź z przyjaznego statku: «Opuśćcie wiadro tam, gdzie jesteście». Kapitan okrętu, który znalazł się w opałach, wziął w końcu pod rozwagę tę radę i polecił opuścić wiadro, które wypełniła świeża, mieniąca się woda z ujścia Amazonki”. Mówię podobnie jak on, jego słowami: „Tym należącym do mojej rasy, którzy liczą na polepszenie swojego położenia na obcej ziemi albo którzy nie doceniają wagi rozwijania przyjaznych stosunków z białym człowiekiem z Południa, naszym najbliższym sąsiadem, powiedziałbym: «Opuśćcie wiadro tam, gdzie jesteście» – opuśćcie je, zaprzyjaźniając się w każdy sposób z ludźmi wszystkich ras, którzy nas otaczają...”

Mówiłem automatycznie i z takim zapałem, że nie zdawałem sobie sprawy, iż zebrani dalej rozmawiają i śmieją się, dopóki omal nie udusiła mnie krew z rany, wypełniając moje suche usta. Zakasłałem, chciałem przerwać i podejść do jednej z wysokich, wypełnionych piaskiem sopluczek z brązu, by sobie ulżyć, ale kilku mężczyzn, a zwłaszcza dyrektor, słuchało mojego przemówienia, i ogarnął mnie niepokój. Przełknąłem więc to wszystko, ślinę, krew i resztę, i kontynuowałem. (Jaką wytrwałość przejawiałem w tamtych czasach! Jaki entuzjazm! Jaką wiarę w słuszność rzeczy!) Mimo bólu mówiłem nawet głośniej. Ale oni nadal gadali i nadal się śmiali, jak gdyby mieli watę w brudnych uszach. Mówiłem więc z większą emfazą. Zamknąłem oczy i przełknąłem krew, aż zrobiło mi się niedobrze. Przemówienie wydawało się sto razy dłuższe niż poprzednio, ale nie mogłem uronić ani słowa. Wszystko musiało zostać powiedziane, każdy wyuczony na pamięć niuans rozważony i przekazany. I nie dość na tym. Kiedy wypowiadałem słowo składające się z trzech lub większej liczby sylab, grupa głosów domagała się głośno, żebym je powtórzył. Użyłem zwrotu „społeczna odpowiedzialność”, a oni krzyknęli:

– Co za słowo powiedziałeś, chłopcze?

– Społeczna odpowiedzialność – rzekłem.

– Co?

- Społeczna...
- Głośniej.
- ...odpowiedzialność.
- Jeszcze raz!
- Odpowie...
- Powtórz!
- ...działność.

Salę wypełnił ryk śmiechu, który nie ustał, dopóki, bez wątpienia zdenerwowany koniecznością ponownego przełknięcia krwi, nie pomyliłem się i nie wykrzyczałem znanego mi zwrotu, często potępianego w gazetowych artykułach wstępnych i omawianego podczas spotkań prywatnych.

- Społeczna...
- Co? – zawołali.
- ...równość...

Śmiech zawisł jak dym w nagłej ciszy. Zaskoczony otworzyłem oczy. Salę wypełniły odgłosy niezadowolenia. Mistrz ceremonii podszedł bliżej. Podniosły się wrogie okrzyki. Nic z tego nie rozumiałem.

Drobny zasuszony mężczyzna z wąsikami, który siedział w pierwszym rzędzie, wrzasnął:

- Powtórz to powoli, synu!
- Co, proszę pana?
- To, co właśnie powiedziałeś!
- Społeczna odpowiedzialność, proszę pana – rzekłem.
- Nie jesteś za sprytny, chłopcze? – powiedział całkiem życzliwym tonem.
- Nie, proszę pana!
- Na pewno pomyliłeś się z tą „równością”?
- O tak, proszę pana – powiedziałem. – Przetykałem krew.

– No dobrze, ale lepiej mów wolniej, żebyśmy mogli cię zrozumieć. Chcemy być wobec ciebie sprawiedliwi, ale zawsze musisz znać swoje miejsce. W porządku, możesz już mówić dalej.

Bąłem się. Chciałem wyjść, ale chciałem też mówić i bąłem się, że mnie ściągną.

– Dziękuję panu – powiedziałem i zacząłem od miejsca, w którym przerwałem, a oni ignorowali mnie tak samo jak przedtem.

Jednak kiedy skończyłem, otrzymałem gromkie brawa. Ze zdziwieniem ujrzałem, że podchodzi do mnie dyrektor szkoły z paczuszką owiniętą w białą bibułkę i poprosiwszy gestem o ciszę, zwraca się do zgromadzonych:

– Panowie, widzicie, że nie przeceniłem tego chłopca. Wygłosił dobrą mowę i któregoś dnia poprowadzi swoich ludzi właściwymi ścieżkami. A nie muszę wam mówić, że jest to ważne w tych dniach i czasach. To dobry, rozgarnięty chłopiec, więc by zachęcić go do pójścia we właściwym kierunku, w imieniu Wydziału Oświaty chcę dać mu nagrodę w postaci tego... – Przerwał, zdjął bibułkę i pokazał błyszczącą teczkę z cielejącej skóry. – ...w postaci tego artykułu pierwszej klasy ze sklepu Shada Whitmore’a. – Chłopcze – zwrócił się do mnie – weź tę nagrodę i dbaj o nią. Uważaj ją za insygnia urzędu. Rozwijaj się tak dalej, a pewnego dnia stwierdzisz, że jest wypełniona ważnymi papierami, które pomogą ci kształtować los twojego ludu.

Byłem tak przejęty, że ledwie mogłem wydukać słowa podziękowania. Z moich ust poleciała strużka zmieszanej z krwią śliny, tworząc na aktówce kształt nie odkrytego kontynentu. Szybko ją starłem. Nigdy mi się nawet nie śniło, że będę aż tak ważny.

- Otwórz ją i zobacz, co jest w środku – usłyszałem.

Otworzyłem teczkę drżącymi palcami, wciągając w nozdrza zapach świeżej skóry. W środku znalazłem oficjalny dokument. Było to stypendium stanowej uczelni dla Murzynów. Do oczu napłynęły mi łzy i niezgrabnie uciekłem z parkietu.

Nie posiadałem się z radości; nie odczułem nawet rozczarowania, kiedy odkryłem, że złote monety, o które walczyłem, były mosiężnymi żetonami reklamującymi pewną markę samochodu.

Gdy dotarłem do domu, byłem podniecony. Następnego dnia przyszli sąsiedzi z gratulacjami. Czuję się nawet wyzwolony spod działania klątwy rzuconej przez dziadka na łożu śmierci, która zwykle psuła mi radość z sukcesów. Stałem pod jego fotografią z teczką w ręku i uśmiechałem się triumfalnie, patrząc na jego stateczną twarz czarnego wieśniaka. Ta twarz mnie fascynowała. Wzrok dziadka zdawał się wszędzie za mną podążać.

Tamtej nocy śniło mi się, że jestem z nim w cyrku, a on nie chce się śmiać z klaunów bez względu na to, co robią. Później powiedział mi, żebym otworzył teczkę i odczytał to, co jest w środku. Posłuchałem go i znalazłem urzędową kopertę ostemplowaną pieczęcią stanową; w niej znalazłem drugą kopertę, w tej następną i tak bez końca, aż myślałem, że padnę ze zmęczenia.

– To są lata – powiedział. – Teraz otwórz tę.

I otworzyłem, a w środku znalazłem dokument z wiadomością wydrukowaną wypukłymi złotymi literami.

– Przeczytaj to – powiedział dziadek. – Głośno!

– „Do wszystkich zainteresowanych” – wyrecytowałem. – „Niech ten młody czarnuch goni w piętę”.

Obudziłem się, a śmiech dziadka nadal dźwięczał mi w uszach.

(Był to sen, który miałem pamiętać i śnić ponownie przez wiele następnych lat. Ale w owym czasie nie miałem zielonego pojęcia, co znaczy. Najpierw musiałem iść na studia.)

Rozdział 2

Była to piękna uczelnia. Budynki były stare i oplecione winoroślą, a drogi wiły się pełnymi wdzięku zakrętami, obrzeżone żywopłotami i dzikimi różami, które w blasku letniego słońca porażały wzrok. Z drzew zwisały ciężko kapryfolium i fioletowa wistaria, a z ich zapachem mieszała się w przesyconym brzęczeniu pszczoł powietrzu woń białych magnolii. Często wspominam to w mojej norze – jak wiosną zieleniła się trawa, jak przedrzeźniacze rozpościerały swoje ogony i śpiewały, jak księżyc oświetlał budynki, jak dzwon w kaplicznej wieży wydzwaniał krótkotrwałe godziny, jak dziewczyny w jaskrawych letnich sukienkach przechadzały się po gęstym trawniku. Wiele razy zamykam nocą oczy i chodzę zakazaną drogą, która wije się obok akademików dziewcząt, obok budynku auli z zegarem na wieży, o ciepło oświetlonych oknach, i dalej, obok małego domku, gdzie odbywały się zajęcia z gospodarstwa domowego, jeszcze bielszego w księżycowej poświacie, i dalej, wznoszącą się i opadającą, krętą drogą, obok czarnej elektrowni z silnikami dudniącymi w ciemnościach w trzęsącym ziemią rytmie i oknami czerwonymi od żaru kotłów, do miejsca, gdzie droga staje się mostem nad suchym korytem rzeki, oplątanym krzakami, chwastami i czepiającą się winoroślą, mostem z bierwion, zrobionym dla miłosnych schadzek, ale dziewiczym i nie wypróbowanym przez zakochanych, i dalej, obok budynków z werandami długimi jak pół kwartału w mieście, do nagle pojawiającego się rozwidlenia, pozbawionego budynków, ptaków i trawy, gdzie droga skręca do szpitala dla obłąkanych.

Zawsze otwieram oczy, kiedy dochodzę do tego miejsca. Czar pryska i staram się ponownie zobaczyć króliki, tak niepłochliwe, bo nigdy nie polowano na nie, które bawiły się w żywopłotach i wzdłuż drogi. I widzę fiolet i srebro ostów rosnących między potłuczonym szkłem i rozgrzanymi słońcem kamieniami, mrówki idące nerwowo rządkiem, i odwracam się, i wracam śladem moich kroków na wijącą się drogę koło szpitala, gdzie nocą na pewnych oddziałach wesołe studentki, które były tam pielęgniarkami, dawały wtajemniczonym szczęściarzom coś znacznie cenniejszego niż prochy, i dochodzę do kaplicy. I wtedy nagle jest zima, księżyc jaśnieje wysoko na niebie, dzwony biją na wieży i donośny chór puzonów gra kolędę, a nad wszystkim unosi się cisza i ból, jakby cały świat był samotnością. I stoję, i słucham pod wysoko wiszącym księżycem tonów *Potęźną twierdzą jest nasz Bóg*, majestatycznie łagodnej melodii wykonywanej przez cztery puzony, a potem organy. Ten dźwięk płynie nad wszystkim, czysty jak noc, płynny, spokojny i samotny. I stoję, jakbym czekał na odpowiedź, i oczami wyobraźni widzę chaty otoczone pustymi polami za czerwonymi, glinianymi drogami, a za pewną drogą rzekę, leniwie płynącą i pokrytą algami, bardziej żółtymi niż zielonymi w swoim bezruchu, i patrzę dalej, poza następne puste pola, na skurczone od upału budy przy skrzyżowaniu torów kolejowych, gdzie okaleczeni weterani odwiedzali kurwy, kuśtykając wzdłuż torów na kulach i laskach, czasami pchając przed sobą beznogiego, bezudego kolegę w czerwonym wózku inwalidzkim. A czasami nasłuchuję, aby się przekonać, czy dochodzą do tamtego miejsca dźwięki muzyki, ale przypominam sobie tylko pijany śmiech smutnych, smutnych kurew. I stoję w kręgu, gdzie trzy drogi zbiegają się koło posągu, gdzie maszerowaliśmy czwórkami po gładkim asfalcie i obracaliśmy się i wchodziliśmy w niedziele do kaplicy w wyprasowanych mundurkach, lśniących butach, z zasznurowanymi umysłami i oczami ślepyimi jak oczy robotów dla gości i oficjeli na niskim, pobielonym wapnem podium.

Jest to tak odległe w czasie i przestrzeni, że zastanawiam się w stanie mojej niewidzialności, czy to się w ogóle wydarzyło. Potem oczami wyobraźni widzę brązowy posąg założyciela uczelni, zimny symbol Ojca, z rękami wyciągniętymi w zapierającym dech w piersiach geście unoszenia zasłony, która trzepocze w twardych, metalicznych fałdach nad twarzą klęczącego niewolnika; i stoję w rozterce, nie mogąc się zdecydować, czy naprawdę podnosi on tę zasłonę, czy jeszcze bardziej ją opuszcza, czy jestem świadkiem objawienia czy jeszcze skuteczniejszego oślepienia. A kiedy tak patrzę, słyszę łopot skrzydeł i widzę stado szpaków unoszące się przede mną, a kiedy znowu spoglądam na posąg, jego brązowa twarz o pustych oczach spoglądających na świat, którego nigdy nie widziałem, spływa płynną kredą, tworząc inną niejednoznaczność niepokojącą mój szperający po omacku umysł: dlaczego zabrudzona ptasimi odchodami statua jest bardziej imponująca niż czysty posąg?

Och, długi, zielony pas kampusu, Och, ciche pieśni o zmierzchu, Och, ten księżyc, który całował wieżę i zalewał swym blaskiem pachnące noce, Och, trąbka, która wzywała o świcie, Och, werbel, który musztrował nas wojskowym marszem w południe – co z tego było rzeczywiste, co materialne, co było czymś więcej niż tylko przyjemnym, zabijającym czas snem? No bo jak mogło to być rzeczywiste, skoro teraz jestem niewidzialny? A jeśli było rzeczywiste, to dlaczego mogę przywołać w pamięci tylko jedną fontannę, zepsutą, skorodowaną i suchą, na całej tej wyspie zieleni? I dlaczego w moich wspomnieniach nie pada w ogóle deszcz, nie dźwięczą jego krople, nie przesiakają przez twardą, suchą skorupę wciąż tak niedawnej przeszłości? Dlaczego zamiast woni nasion pękających wiosną pamiętam tylko żółtą zawartość zbiornika na martwej trawie? Dlaczego? I w jaki sposób? W jaki sposób i dlaczego?

To, że trawa rosła i że na drzewach pojawiały się zielone liście i wypełniały aleje cieniem, było tak pewne jak najazd milionerów z Północy każdej wiosny w Dniu Założycieli.

A jak oni przybywali! Przyjeżdżali z uśmiechami, dokonywali inspekcji, zachęcali, rozmawiali szeptem, wygłaszali przemówienia wpadające w nasze szeroko otwarte czarne i żółte uszy – i każdy zostawiał pokaźny czek, gdy odjeżdżał. Jestem przekonany, że był to skutek subtelnej magii, alchemii księżycowego blasku; szkoła była pokrytym kwiatami pustkowiem, skały zatopione, suche wiatry schowane, zagubione świerszcze cykające żółtym motyłom.

I och, och, och, ci multimilionerzy!

Byli taką częścią tego innego życia, które jest martwe, że nie mogę ich wszystkich pamiętać. (Był czas, i byłem też ja, ale ani tamten czas, ani tamten „ja” już nie istnieją.) Ale tego jednego pamiętam: pod koniec przedostatniego roku przez tydzień, który spędził w kampusie, pełniłem obowiązki jego kierowcy. Różowa twarz, jak u świętego Mikołaja, zwieńczona gęstą czupryną jedwabistych siwych włosów. Niewymuszony, bezpośredni sposób bycia, nawet wobec mnie. Bostończyk, palacz cygar, opowiadacz grzecznych historyjek o Murzynach, sprytny bankier, zdolny naukowiec, dyrektor, filantrop, przez czterdzieści lat dźwigający brzemię białego człowieka, a przez sześćdziesiąt uosabiający Wielkie Tradycje.

Jechaliśmy, a potężny silnik mrucał i napełniał mnie dumą i niepokojem. Samochód pachniał miętówkami i dymem z cygara. Studenci podnosili głowy i uśmiechali się z uznaniem, kiedy wolno toczyliśmy się obok nich. Właśnie wróciłem z kolacji i pochylając się do przodu, by stłumić czknięcie, nacisnąłem przypadkiem przycisk na kierownicy, tak że czknięcie przerodziło się w głośny, druzgoczący ryk klaksonu. Ludzie na drodze odwrócili się i wbili wzrok w samochód.

– Strasznie pana przepraszam – powiedziałem, bojąc się, że doniesie o tym doktorowi Bledsoe, rektorowi, który nie pozwoli mi więcej prowadzić.

– Absolutnie w porządku. Absolutnie.

- Gdzie mam pana zawieźć?
- Niech no się zastanowię...

Dostrzegłem w lusterku wstecznym, że patrzy na cienki jak opłatek zegarek, po czym chowa go do kieszonki kraciastej kamizelki. Miał koszulę z miękkiego jedwabiu, zwieńczoną niebiesko-białą muszką w kropki. Zachowywał się i poruszał jak arystokrata, był wytworny i układny.

– Za wcześnie na następne spotkanie – powiedział. – Założmy, że będziesz po prostu jechał. Dokąd chcesz.

- Widział pan cały kampus?
- Tak myślę. Widzisz, byłem jednym z założycieli.
- O rany! Nie wiedziałem o tym. Wobec tego będę musiał wybrać którąś z dróg.

Oczywiście wiedziałem, że był założycielem, ale wiedziałem też, że opłaca się schlebiać bogatym białym. Może da mi sowity napiwek, garnitur albo stypendium w przyszłym roku.

– Jedź dokądkolwiek, byle nie było to na kampusie. Kampus to część mojego życia, a moje życie znam dość dobrze.

- Tak, proszę pana.
- Nadal się uśmiechał.

Po chwili opuściliśmy zielony kampus z pokrytymi winoroślą budynkami. Samochód popędził wyboistą drogą. Jak kampus może być częścią jego życia, zastanawiałem się. I jak można poznać swoje życie „dość dobrze”?

– Młodzińcze, jesteś częścią wspaniałej instytucji. To cudowne marzenie, które się ziściło...

- Tak, proszę pana – powiedziałem.

– Czuję się tak szczęśliwy, że jestem z nią związany, jak niewątpliwie ty się czujesz. Przyjechałem tu wiele lat temu, kiedy cały wasz piękny kampus był pustkowiem. Nie było tu ani drzew, ani kwiatów, ani urodzajnej ziemi. Działo się to wiele lat przed twoimi narodzinami...

Słuchałem zafascynowany, wlepiając oczy w białą linię pośrodku szosy i starając się cofnąć myślami do czasów, o których mówił.

– Nawet twoi rodzice byli wtedy młodzi. Niewolnictwo zostało dopiero co zniesione. Twój lud nie wiedział, w jakim kierunku się zwrócić i, muszę wyznać, wiele osób z mojego ludu też nie wiedziało, w jakim kierunku powinni się zwrócić. Ale wasz wielki Założyciel wiedział. Był moim przyjacielem i wierzyłem w jego wizję. Tak bardzo wierzyłem, że czasami nie wiem już, czy była to jego wizja, czy moja...

Zachichotał cicho, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Ale oczywiście była to jego wizja; ja tylko mu asystowałem. Przyjechałem tu z nim, zobaczyłem jałową ziemię i zrobiłem, co mogłem, by dostarczyć mu pomocy. Miły los zrządził, że mogłem wracać tutaj co roku i oglądać zmiany, które przyniosły kolejne lata. Sprawiało mi to większą przyjemność i zadowolenie niż moja praca. Naprawdę był to miły los.

Miał głos aksamitny i przepełniony znaczeniem, którego nie mogłem zgłębić. Kiedy prowadziłem samochód, przez ekran mojego umysłu przemykały wiszące w bibliotece wyblakłe i pożółkłe zdjęcia z pierwszych lat istnienia szkoły – zdjęcia mężczyzn i kobiet na wozach ciągniętych przez zaprzęgi mułów i wołów, ludzi w czarnych, zakurzonych ubraniach, którzy na pozór byli niemal pozbawieni indywidualności, czarny tłum, który zdawał się czekać, spoglądając przed siebie z twarzami pozbawionymi wyrazu, a wśród nich nieodłączny zbiór białych mężczyzn i kobiet rozpląniętych w uśmiechach, z wyraźnymi rysami, eleganckich i pewnych siebie. Aż do tej pory, choć potrafiłem rozpoznać wśród nich Założyciela i doktora Bledsoe, postaci na tych fotografiach nie wydawały mi się osobami, które naprawdę żyły, lecz były raczej czymś podobnym do znaków czy symboli, które znaleźć

można na ostatnich stronach słownika... Teraz jednak poczułem, że współuczestniczę z nimi w wielkim dziele, i w samochodzie rwącym spokojnie pod naciskiem mojej stopy utożsamiałem się z bogatym człowiekiem snującym wspomnienia na tylnym siedzeniu...

– Miły los – powtórzył – i mam nadzieję, że twój będzie równie miły.

– Tak, proszę pana. Dziękuję panu – powiedziałem, ciesząc się, że życzył mi czegoś miłego.

Ale jednocześnie byłem zaintrygowany. Jak czyjś los mógł być miły? Zawsze uważałem to za coś bolesnego. Nikt, kogo znałem, nie mówił nigdy o losie, że jest miły – nawet Woodridge, który kazał nam czytać greckie sztuki.

Byliśmy już za najdalszymi krańcami ziemi należącej do szkoły i nagle postanowiłem skręcić z szosy w drogę, która wydawała mi się nieznajoma. Nie rosły tam drzewa, a powietrze było przejrzyste. Daleko w dole drogi słońce prażyło niemilosiernie na blaszany znak przybity do stodoły. Samotna postać schylona nad motyką na zboczu wzgórze podniosła się ze znużeniem i pomachała nam, przypominając na tle horyzontu bardziej cień niż człowieka.

– Jak daleko odjechaliśmy? – usłyszałem za plecami.

– Około mili, proszę pana.

– Nie przypominam sobie tej okolicy – rzekł.

Nie odpowiedziałem. Myślałem o pierwszej osobie, która wspomniała w mojej obecności o czymś takim jak los, o moim dziadku. Nie było w tym nic miłego i starałam się o tym zapomnieć. Teraz, kiedy jechałem potężnym samochodem z tym białym mężczyzną, który był tak zadowolony z tego, co nazwał swoim losem, poczułem lęk. Dziadek nazwałby to zdradą, a ja nie byłem w stanie zrozumieć, w jakim sensie mogło to nią być. Nagle poczułem się winny, bo zdałem sobie sprawę, że to samo mógł pomyśleć ten biały człowiek. Co by sobie pomyślał? Czy wiedział, że tacy Murzyni jak mój dziadek uzyskali wolność tuż przed czasem założenia uczelni?

Kiedy dojechaliśmy do bocznej drogi, zobaczyłem parę wołów zaprzęgniętych do zepsutego wozu i obszarpanego woźnicę drzemającego na koźle w cieniu kępy drzew.

– Widział pan to? – zapytałem przez ramię.

– Co takiego?

– Zaprzęg wołów, proszę pana.

– Och! Nie, nie widzę ich przez te drzewa – powiedział, oglądając się do tyłu. – To dobre drewno.

– Przepraszam. Mam wrócić?

– Nie, to drobiazg – powiedział. – Jedź dalej.

Prowadziłem samochód, przywołując w pamięci chudą, wygłodzoną twarz śpiącego mężczyzny. Był typem białego człowieka, którego się bałem. Brązowe pola ciągnęły się po horyzont. Zanurkowało stado ptaków, zatoczyło krąg, wzbiło się do góry i odleciało, jakby były powiązane ze sobą niewidzialnymi sznurkami. Nad maską silnika tańczyły fale gorącego powietrza. Opony śpiewały na szosie. W końcu przemogłem nieśmiałość i zapytałem:

– Proszę pana, dlaczego zainteresował się pan szkołą?

– Chyba – powiedział w zadumie, podnosząc głos – dlatego, że już jako młody człowiek uważałem, że twój lud jest w jakiś sposób ściśle powiązany z moim przeznaczeniem. Rozumiesz?

– Niezbyt dobrze, proszę pana – odparłem, zawstydzony, że muszę to przyznać.

– Studiowałeś Emersona, prawda?

– Emersona, proszę pana?

– Ralpha Waldo Emersona.

Byłem zażenowany, ponieważ go nie znałem.

– Jeszcze nie, proszę pana. Jeszcze do niego nie doszliśmy.

– Nie? – zapytał z nutą zdziwienia. – Mniejsza z tym. Pochodzę z Nowej Anglii, jak Emerson. Musisz go poznać, bo był ważny dla twojego ludu. Miał udział w wyznaczeniu waszego losu. Tak, być może o to mi chodzi. Miałem uczucie, że twój lud jest jakoś związany z moim przeznaczeniem. To, co przydarzyło się wam, wiązało się z tym, co miało przydarzyć się mnie...

Zwolniłem, starając się to zrozumieć. Widziałem przez szybę, jak patrzy na długi pręcik popiołu swojego cygara, trzymając je delikatnie w szczupłych, wymanikiurowanych palcach.

– Tak, jesteście moim losem, młodzieńcze. Tylko ty możesz mi powiedzieć, czym on naprawdę jest. Rozumiesz?

– Myślę, że rozumiem, proszę pana.

– Chodzi mi o to, że od ciebie zależy wynik mojej wieloletniej pomocy dla waszej szkoły. Ta jest prawdziwe dzieło mojego życia, nie prowadzenie banku ani badań, ale organizowanie ludzkiego życia.

Widziałem teraz, jak pochyła się ku przedniemu siedzeniu, mówiąc z przejęciem, którego nie było wcześniej w jego tonie. Z trudem opanowywałem się, by nie odwrócić wzroku od szosy i nie spojrzeć mu prosto w twarz.

– Jest jeszcze inny powód, powód ważniejszy, bardziej osobisty i, tak, nawet świętszy niż wszystkie pozostałe – ciągnął, jakby mnie już nie zauważał i mówił tylko do siebie. – Tak, nawet świętszy niż wszystkie pozostałe. Dziewczyna, moja córka. Była istotą rzadszą, piękniejszą, czystsza, doskonalszą i delikatniejszą niż najbardziej szalone marzenie poety. Nigdy nie mogłem uwierzyć, że to krew z mojej krwi i kość z mojej kości. Jej uroda była źródłem najczystszej wody życia i kiedy się na nią patrzyło, piło się z tego źródła i piło, i znowu piło... Była wyjątkowym, doskonałym stworzeniem, dziełem najczystszej sztuki. Delikatnym kwiatem, który rozwinął się w płynnym blasku księżyca. Natura nie z tego świata, osobowość jak u biblijnej dziewicy, łaskawa i królewska. Trudno mi było uwierzyć, że jest moją własną...

Nagle pogrzebał w kieszeni kamizelki i ku mojemu zaskoczeniu podał mi coś ponad oparciem fotela.

– Proszę, młodzieńcze, to właśnie jej zawdzięczasz szczęście uczęszczania do takiej szkoły.

Spojrzałem na pastelową miniaturę osadzoną w grawerowanej platynie. O mało jej nie upuściłem. Spoglądała na mnie młoda kobieta o delikatnych rysach. Była bardzo piękna, pomyślałem wówczas, tak piękna, że nie wiedziałem, czy mam w pełni wyrazić podziw, który czułem, czy po prostu zachować się grzecznie. A mimo to wydawało mi się, że skądś ją, albo kogoś podobnego do niej, pamiętam. Teraz wiem, że taki skutek wywarł powłóczystry strój z miękkiego, cienkiego materiału; dzisiaj, odziana w jeden z tych eleganckich, dobrze skrojonych, kanciastych, sterylnych, opływowych, wygładzonych, klimatyzowanych współczesnych ubiorów, wydawałaby się tak zwyczajna jak droga, maszynowo wyrabiana biżuteria i równie pozbawiona wyrazu. Wtedy jednak podzielałem częściowo jego zachwyt.

– Była zbyt czysta, by żyć – powiedział smutno – zbyt czysta, zbyt dobra i zbyt piękna. Pływaliśmy razem, podróżowaliśmy po świecie, tylko ona i ja. We Włoszech zachorowała. Nie przejąłem się tym wtedy i kontynuowaliśmy podróż przez Alpy. Kiedy dotarliśmy do Monachium, już gasła. Zemdląca na przyjęciu w ambasadzie. Nie mogła jej uratować najlepsza medycyna na świecie. Był to samotny powrót, gorzka podróż. Nigdy nie doszedłem do siebie. Nigdy sobie nie wybaczyłem. Wszystko, co zrobiłem od czasu jej odejścia, jest pomnikiem ku jej pamięci.

Umilkł, spoglądając niebieskimi oczami daleko poza pola rozciągające się w słońcu. Powróciłem do miniatury, zastanawiając się, co skłoniło go do otwarcia serca przede mną. Ja nigdy czegoś takiego nie robiłem; było to niebezpieczne. Po pierwsze, było niebezpieczne żywić takie uczucia wobec czegokolwiek, bo albo nigdy nie mogłeś tego osiągnąć, albo coś

czy ktoś mógł ci to zabrać; po drugie, było to niebezpieczne, bo nikt by dę nie zrozumiał i śmiano by się tylko z ciebie i myślano, że zwariowałaś.

– A więc widzisz, młodzieńcze, że jesteś bardzo uwikłany w moje życie, chodź nigdy wcześniej mnie nie widziałeś. Związany jesteś ze wspianym marzeniem i pięknym pomnikiem. Jeśli zostaniesz dobrym farmerem, szefem kuchni, kaznodzieją, lekarzem, śpiewakiem, mechanikiem – kimkolwiek zostaniesz, to nawet jeśli ci się nie powiedzie, jesteś moim losem. Musisz więc do mnie napisać i powiadomić mnie o wyniku.

Ulżyło mi, gdy zobaczyłem w lusterku, że się uśmiecha. Miałem mieszane uczucia. Czyżby sobie ze mnie żartował?

Czy mówił do mnie jak ktoś w książce tylko po to, by się przekonać, jak to przyjmę? Albo czy możliwe było, prawie bałem się o tym pomyśleć, by ten bogacz był nieco szalony? Jak mogłem mu powiedzieć o jego losie? Podniósł głowę i na moment nasze oczy spotkały się w lusterku. Opuściłem swój wzrok na oślepiającą białą linię dzielącą szosę.

Drzewa wzdłuż drogi były grube i wysokie. Wzięliśmy zakręt. Poderwały się stada przepiórek, pożeglowały nad brązowym polem i opadły, zlewając się z nim.

– Obiecasz mi, że powiadomisz mnie o moim losie? – usłyszałem.

– Słucham?

– Powiadomisz?

– Teraz, proszę pana? – spytałem zakłopotany.

– To zależy od ciebie. Teraz, jeśli chcesz.

Milczałem. Głos miał poważny, natarczywy. Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź. Mruczał silnik. Jakiś owad rozbił się o szybę, zostawiając żółtą, śluzowatą plamę.

– Nie wiem, proszę pana. Jestem dopiero na przedostatnim roku...

– Ale powiadomisz mnie, kiedy będziesz wiedział?

– Postaram się, proszę pana.

– Dobrze.

Kiedy zerknąłem szybko w lusterko, znowu się uśmiechał. Chciałem go zapytać, czy nie wystarczy mu, że jest bogaty, sławny i pomógł szkole stać się tym, czym jest, ale się bałem.

– Co myślisz o moim pomysle, młodzieńcze?

– Nie wiem, proszę pana. Myślę tylko, że już pan ma to, czego pan szuka. Bo jeśli nie dam sobie rady albo opuszczę szkołę, nie będzie to pana wina. Bo pomógł pan szkole stać się tym, czym jest.

– I myślisz, że to wystarczy?

– Tak, proszę pana. Tak mówi nam rektor. Ma pan to, co do pana należy, sam pan to zdobył, a my musimy się wznieść w taki sam sposób.

– Ale na tym nie koniec, młodzieńcze. Zdobyłem bogactwo, uznanie i prestiż – to wszystko prawda. Ale wasz wielki Założyciel miał więcej, miał dziesiątki tysięcy istnień zależnych od jego pomysłów i od jego działań. To, co zrobił, wpłynęło na twoją rasę. W pewnym sensie posiadał królewską, a nawet boską władzę. Jest to, jak uwierzyłem, ważniejsze niż moja praca, ponieważ więcej zależy od ciebie. Ty jesteś ważny, bo jeśli ci się nie powiedzie, będzie to znaczyć, że i mnie się nie udało, z powodu jednej osoby, jednego wadliwego trybiku; wcześniej nie znaczyło to dla mnie tak wiele, ale teraz się starzeję i stało się to bardzo ważne...

Ale przecież nie wie pan nawet, jak się nazywam, myślałem, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi.

– ...przypuszczam, że trudno ci pojąć, dlaczego mnie to interesuje. Ale kiedy będziesz się rozwijał, musisz pamiętać, że mój los zależy od ciebie. Dzięki tobie i twoim kolegom stanę się, powiedzmy, trzema setkami nauczycieli, siedmioma setkami wykwalifikowanych mechaników, ośmioma setkami znajdujących się na rzeczy farmerów i tak dalej. W ten sposób mogę obserwować na podstawie żyjących osób, na ile owocnie zainwestowałem moje

pieniądze, mój czas i moje nadzieje. Tworzę również żywy pomnik mojej córki. Rozumiesz? Widzę owoce, które zrodziła ziemia przekształcona przez waszego wielkiego Założyciela z jałowej gliny w żyzną glebę.

Jego głos ucichł. Zobaczyłem pasma jasnoniebieskiego dymu płynące w lusterku i usłyszałem szcęk elektrycznej zapalniczki wkładanej na miejsce za moim fotelem.

– Myślę, proszę pana, że teraz rozumiem pana lepiej – powiedziałem.

– Bardzo dobrze, mój chłopcze.

– Czy mam nadal jechać w tym kierunku?

– Ależ tak – rzekł, spoglądając przez okno na krajobraz. – Nigdy przedtem nie widziałem tej okolicy. To dla mnie nowe terytorium.

Jadąc, podążałem półświadomie za białą linią i myślałem o tym, co powiedział. Kiedy przejechaliśmy przez wzgórze, ogarnęła nas fala rozprężonego powietrza, jakbyśmy zblizali się do pustyni. Ledwie mogłem oddychać, więc pochyliłem się i włączyłem nawiew, wsłuchując się w nagły warkot wiatraczka.

– Dziękuję – powiedział, kiedy wewnątrz samochodu wypełnił lekki powiew.

Mijaliśmy teraz grupę bud i chat z bierwion, o ścianach wytartych do białości i wypaczonych przez pogodę. Umęczone słońcem gonty pokrywały dachy jak talie przesiąkniętych wodą kart, rozłożone dla wyschnięcia. Każdy z tych domów składał się z dwóch kwadratowych pomieszczeń, połączonych wspólną podłogą i dachem, z werandą pośrodku. Podczas jazdy widzieliśmy przez te werandy rozciągające się z tyłu pola. Na jego pełne przejścia polecenie zatrzymałem samochód przed domem oddalonym od reszty.

– Czy to chata z bali?

Była to stara chałupa, ze szparami między balami uszczelnionymi białą jak kreda gliną i jasnymi, nowymi gontami, którymi załatano dziury w dachu. Nagle pożałowałem, że pojechałem tą drogą. Rozpoznałem to miejsce, gdy tylko zobaczyłem grupkę dzieci w sztywnych nowych kombinezonach, które bawiły się koło chwiejącego się płotu.

– Tak, proszę pana. To chata z bali – powiedziałem.

Była to chata Jima Trueblooda, dzierżawcy, który okrył hańbą czarną społeczność. Parę miesięcy wcześniej wywołał niezłe oburzenie w szkole i teraz wymieniano jego nazwisko tylko szeptem. Nawet przedtem rzadko pojawiał się w pobliżu kampusu, ale lubiano go, bo był ciężko pracującym i dbającym o rodzinę rolnikiem, który opowiadał stare historie z poczuciem humoru i elektryzującym słuchaczy czarem. Był również dobrym tenorem i czasami, kiedy szkołę odwiedzali szczególnie biali goście, sprowadzano go z członkami wiejskiego kwartetu, by śpiewał pieśni zwane przez oficjeli „ich prymitywnymi spiritualsami”, gdy zbieraliśmy się w niedzielne wieczory w kaplicy. Byliśmy zażenowani nieudolną harmoniką wykonywanych utworów, ale ponieważ goście się nimi zachwycali, nie ośmielaliśmy się śmiać z prostackich, wysokich, żałośnie zwierzęcych dźwięków, które wydawał z siebie Jim Trueblood jako odtwórca głównej partii. Teraz z powodu jego haniebnego postępu wszystko to odeszło w przeszłość i postawa władz szkoły, która wcześniej była pogardą stępioną przez wyrozumiałość, stała się pogardą zaostrzoną nienawiścią. W tych czasach sprzed niewidzialności nie rozumiałem, że ich pogarda, i moja też, podszyta była strachem. Jakże my wszyscy w szkole nienawidziliśmy wówczas ludzi z czarnej strefy, tych „wieśniaków”! Staraliśmy się ich podnieść na wyższy poziom, a oni, jak Trueblood, zdawali się robić wszystko, by nas ściągnąć do swojego poziomu.

– Wygląda na dosyć starą – powiedział pan Norton, patrząc na nagie, twardo ubite podwórko, na którym dwie kobiety w nowych sukienkach bawełnianych w niebiesko-białą kratkę prały w żelaznym kotle ubrania. Kocioł był czarny od sadzy, a słabe płomyki, które lizały jego ściany, były bladoróżowe i obramowane czernią, jakby przywdziały żałobę. Obie kobiety poruszały się ociężale, w sposób charakterystyczny dla zaawansowanej ciąży.

– Tak, proszę pana – powiedziałem. – Ta chata i te dwie podobne do niej zostały zbudowane w czasach niewolnictwa.

– Coś takiego! Nigdy bym nie przypuszczał, że były takie trwałe. Stoją od czasów niewolnictwa!

– To prawda. A biała rodzina, do której należała ta ziemia, kiedy była tu wielka plantacja, wciąż mieszka w mieście.

– Tak – powiedział. – Wiem, że nadal żyje wiele z tych starych rodów. I osób. Rodzaj ludzki trwa, chociaż się degeneruje. Ale te chaty! – Wydawał się zdumiony i zakłopotany. – Myślisz, że te kobiety wiedzą coś o wieku i historii tej chaty? Starsza wygląda, jakby mogła coś wiedzieć.

– Wątpię, proszę pana. One... one nie są zbyt rozgarnięte.

– Rozgarnięte? – spytał, wyjmując cygaro. – Chcesz powiedzieć, że nie będą ze mną rozmawiać? – spytał podejrzliwie.

– Tak, proszę pana. Właśnie to miałem na myśli.

– Dlaczego?

Nie miałem ochoty wyjaśniać. Wstydziłem się tego, ale wyczuł, że coś wiem, i naciskał na mnie.

– To niezbyt uprzejme, proszę pana, ale nie sędzę, żeby zgodziły się z nami porozmawiać.

– Możemy wyjaśnić, że jesteśmy ze szkoły. Wtedy na pewno się zgodzą. Możesz im powiedzieć, kim jestem.

– Tak, proszę pana – powiedziałem – ale oni nienawidzą nas, tych ze szkoły. Nigdy tam nie przychodzą...

– Co?

– Tak, proszę pana.

– A te dzieci tam przy płocie?

– One też nie będą z nami rozmawiać.

– Ale dlaczego?

– Naprawdę nie wiem, proszę pana. Ale całkiem sporo ludzi tutaj nie chce. Chyba są zbyt ciemni. Nie interesuje ich to.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Dzieci przestały się bawić i patrzyły w milczeniu na samochód, z rękami założonymi do tyłu i w nowych, za dużych kombinezonach opiętych tak ciasno na ich wypukłych brzuchach, jakby i one były w ciąży.

– A ich mężczyźni?

Zawahałem się. Dlaczego uważał, że to takie dziwne?

– On nas nienawidzi, proszę pana.

– Mówisz „on”; czy nie są obie mężatkami?

Wstrzymałem oddech. Popełniłem błąd.

– Ta starsza jest – powiedziałem z ociąganiem.

– A co się stało z mężem tej młodszej?

– Ona nie ma męża... To znaczy... Ja...

– O co chodzi, młodzieńcze? Znasz tych ludzi?

– Słabo, proszę pana. Jakiś czas temu dużo mówiło się o nich w kampusie.

– Z jakiego powodu?

– No, ta młodsza jest córką tej starszej kobiety...

– No, mówią... widzi pan... Znaczą się, mówią, że córka nie ma męża.

– Och, rozumiem. Ale to nie powinno być takie dziwne. O ile wiem, twój lud... Mniejsza z tym! To wszystko?

– No...

– Co jeszcze?

- Mówią, że to zrobił jej ojciec.
- Co?!
- Tak, proszę pana... że on zrobił jej dziecko.

Usłyszałem gwałtowny wdech, jakby nagle uszło powietrze z balonika. Jego twarz poczerwieniała. Byłem zmieszany, zawstydzony z powodu tych kobiet i ze strachu, że powiedziałem zbyt dużo i uraziłem jego wrażliwość.

- A czy ktoś ze szkoły zbadał tę sprawę? – spytał w końcu.
- Tak, proszę pana – powiedziałem.
- 1 co odkryto?
- Ze to prawda... tak mówią.
- Ale czy wyjaśniono, dlaczego zrobił taką... taką... taką potworną rzecz?

Opadł na oparcie, splatając ręce wokół kolan tak ciasno, że pobladły mu kostki palców. Odwróciłem wzrok na rozżarzony beton szosy. Pragnąłem być już po drugiej stronie białej linii i wracać do spokojnego, zielonego obszaru kampusu.

- Mówią, że ten człowiek posiadał swoją żonę i córkę?
- Tak, proszę pana.
- 1 że jest ojcem obojga tych dzieci?
- Tak, proszę pana.
- Nie, nie, nie!

Krzyknął to takim głosem, jakby czuł ogromny ból. Spojrzałem na niego z niepokojem. Co się stało? Co takiego powiedziałem?

- Tylko nie to! Nie... – jęknął jak zdjęty grozą.

Ujrzałem oślepiający blask słońca na nowym niebieskim kombinezonie, kiedy zza chaty wyłonił się mężczyzna. Miał jasnobrązowe nowe półbuty i poruszał się lekko po gorącej ziemi. Był niewysoki i wykazywał znajomość terenu, która pozwoliłaby mu chodzić po podwórku w najczarniejszych ciemnościach z taką samą pewnością. Podszedł do kobiet i powiedział coś, wachlując się niebieską chustką. One jednak zdawały się na niego obrażone i tylko odburknęły coś pod nosem, nie patrząc w jego stronę.

- Czy to ten człowiek? – zapytał pan Norton.
- Tak, proszę pana. Tak myślę.
- Wsiadaj! – krzyknął. – Muszę z nim porozmawiać.

Nie mogłem się ruszyć. Byłem zaskoczony, przestraszony i urażony tym, co mógł powiedzieć Truebloodowi i jego kobietom, pytaniami, które mógł zadać. Dlaczego nie zostawi ich w spokoju!

- Szybko!

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem tylne drzwi. Wygramolił się i niemal przebiegł przez drogę na podwórko, jakby kierowała nim jakaś pilna potrzeba, której nie rozumiałem. Potem zobaczyłem nagle, że obie kobiety odwróciły się i uciekły rozpaczliwie za dom, niezgrabnie plaskając płaskimi stopami. Pospieszyłem za nimi, widząc, że się zatrzymał, kiedy doszedł do mężczyzny i dzieci. Umilkły, ich twarze sposepniały, rysy stały się niewyraźne i negatywne, oczy zwodnicze i pozbawione wyrazu. Kryły się za tymi oczami, czekając, aż przemówi – a ja trzęsłem się za swoimi. Kiedy się zbliżyłem, zauważyłem to, czego nie widziałem z samochodu – Trueblood miał na prawym policzku szramę, jak po uderzeniu młotem. Rana była niezabliźniona i wilgotna i od czasu do czasu podnosił chustkę, by odegnąć od niej muchy.

- Mu... mu... – zająknął się pan Norton – muszę z tobą porozmawiać!
- Dobrze, panie – powiedział Jim Trueblood bez zdziwienia i czekał.
- Czy to prawda... naprawdę to zrobiłeś?
- Ze jak? – spytał Trueblood, a ja odwróciłem wzrok.
- Przeżyłeś – wyrwało się panu Nortonowi. – Ale czy to prawda...?

– Że jak? – rzekł farmer, marszcząc brwi ze zdumienia.

– Przepraszam – powiedziałem – ale myślę, że on pana nie rozumie.

Pan Norton zignorował moją uwagę, wbijając wzrok w twarz Trueblooda, jakby odczytywał z niej jakieś przesłanie, którego nie mogłem uchwycić.

– Zrobiłeś to i nic ci się nie stało! – krzyknął, wpatrując się niebieskimi oczami w czarną twarz z wyrazem zazdrości i odrazy. Trueblood spojrzął na mnie bezradnie. Odwróciłem wzrok. Rozumiałem z tego nie więcej niż on. – Spoglądałeś w chaos i nie uległeś zniszczeniu!

– Nie, panie. Nic mnie nie jest.

– Naprawdę? Nie czujesz wewnętrznego wzburzenia, potrzeby wyłupienia grzesznego oka?

– Że jak?

– Odpowiedz mi!

– Nic mnie nie jest, panie – powiedział Trueblood z zakłopotaniem. – Oczywiście mam jak trza. A jak mnie pali we flaku, to bierę trochę sody i przechodzi.

– Nie, nie, nie! Chodźmy gdzieś w cień – rzekł pan Norton, rozejrzawszy się z przejęciem i ruszył szybko w miejsce, gdzie weranda rzucała pas cienia. Poszliśmy za nim. Farmer położył mi rękę na ramieniu, ale strząsnąłem ją, bo wiedziałem, że nie potrafię nic wyjaśnić. Usiedliśmy półkolem na werandzie, na składanych krzesłach, ja między dzierżawcą i milionerem. Ziemia wokół werandy była ubita i biała tam, gdzie od dawna wylewano mydliny.

– Jak sobie teraz radzisz? – spytał pan Norton. – Może mógłbym pomóc.

– Nie jest tak źle, panie. Zanim usłyszeli, co się nam tu stało, nie mogłem od nikogo dostać pomocy. Tera kupa ludzi jest ciekawa i robio, co mogo, żeb nam pomóc. Nawet te wielgie szkolniki tam na górze, tylko że był wew tym haczyk! Chciały nas wysłać z powiatu, zapłacić za drogie i wszystko i dać mnie sto dolarów, żeb się zgodził. Ale nam się tu podoba, no to ja powiedział: „Nie”. Wtedy przysłali tu takiego jednego, też wielgi gość, i on powiedział, że jak nie wyjadziem, to napuszczą na nas białych. Ja się wściek i przeląk. Te tam we szkole trzymają z białymi i ja się zląk. Ale ja pomyślał, kiedy oni przyszli tu za pierwszym razem, że so jakieś inne niż dawniej, kiedy ja poszed do nich, żeb się uczyć i dowiedzieć, jak dbać o moje uprawy. To było wtedy, kiedy ja miał własne pole. Ja pomyślał, że oni probują mnie pomóc, bo mam dwie kobiety, co bedo rodzić wew tym samym czasie.

Aleja się wściek, kiedy żem się przekonał, że chco nas się pozbyć, bo powiedzieli, że my so hańbo. Jezu, jak ja się wściek. No to ja poszed do pana Buchanana, tego szefa, i powiedział mu o tym i on mi dał kartkę do szeryfa i powiedział, żeb ja mu jo zaniós. Ja to zrobił, akuratnie jak on mnie powiedział. Poszed ja do więzienia i dał szeryfowi Barbourowi to kartkę, a on mnie kazał powiedzieć, co się stało, i ja mu powiedział, i on zawołał jeszcze parę ludzi i oni mnie znowu kazali to opowiedzieć. Chcieli posłuchać o dziewczusze dużo razy i dali mnie jeść i pić i trochę tytoniu. Ja się zdziwił, boja się bał i spodziewał czego innego. Ba, chyba nie ma kolorowego w powiecie, co by kiedy dostał tyle od białych, co ja dostał. A na koniec powiedzieli, żeb ja się nie martwił, że oni dadzo znać do szkoły, żeb ja został, gdzie jestem. Te Wielgie czarnuchy też mnie dali spokój. Znać, żeb nie wiem jak wielgi się robi czarnuch, białe zawsze so nad nim góro. Białe mnie obronili. I zaczęli tu do nas przyjeżdżać, żeb nas zobaczyć i pogadać z nami. Niektóre z nich ważne, z tej dużej szkoły z końca stanu. Dużo mnie pytali, co myślę o różnych rzeczach, o rodzinie i o dzieciakach i wszystko zapisali wew książce. Ale najlepsze że mam tera tyle roboty, żem nigdy jeszcze tyle nie miał...

Mówił teraz chętnie, z pewnego rodzaju zadowoleniem, bez śladu wahania czy wstydu. Pan Norton słuchał z wyrazem zaintrygowania na twarzy, trzymając w delikatnych palcach niezapalone cygaro.

– Tara jest bardzo dobrze – powiedział farmer. – Za każdym razem kiedy pomyśle, jak tu było zimno i jak nam było ciężko, dostaje dreszczy.

Odgryzł kawałek z prymki tytoniu do zucia. Coś zaturkotało na deskach werandy. Podniosłem ten przedmiot i przyglądałem mu się potem od czasu do czasu. Było to twarde czerwone jabłko wytłoczone z blachy.

– Widzicie, panie, było zimno, a my nie mieli dużego ognia. Nic tylko drzewo, żadnego węgla. Ja żem prosił, żeb nam ktoś pomóg, ale nikt nam nie pomóg, a ja nie móg znaleźć żadny roboty ani nic. Był taki ziąb, że my wszystkie musieli spać razem, ja, stara i dziewczucha. Tak to sie zaczęło, panie. – Odchrząknął, jego oczy zabłyśły, a głos nabrał głębokiego, deklamacyjnego tonu, jakby opowiadał tę historię wiele, wiele razy. – Tak to było – podjął. – Ja z jednej strony, stara z drugiej, a dziewczucha w środku. Było ciemno, parna noc. Czarno jak w środku beczki ze smoło. Dzieciaki spały razem w swoim łóżku w rogu. Musiałem sie położyć ostatni, bo myślałem, skąd wziąć jedzenie na drugi dzień, i o dziewczusze, i tym młodym chłopaku, co sie zaczął kole niej kręcić. Nie podobał sie mnie i stale wracał do mnie wew myślach, i postanowiłem go odstraszyć od dziewczuchy. Była czarna noc i słyszałem, jak któryś dzieciak kwili przez sen i jak ostatnie gałązki trzaskajo i strzelajo w piecu, i wydawało sie mnie, że czuje zapach tłustego mięsa, jak sie chłodzi w powietrzu, jak smalec, kiedy sie go włoży na zimny talerz melasy. I myślałem o dziewczusze i o tym chłopaku. I czułem jej ręce koło mnie i słyszałem, jak stara chrapie z drugiej strony, z takim jakby jęczeniem. Martwiłem sie o rodzinę, co bedo jeść i wogle, i myślałem, jak dziewczucha była mała jak te dzieciaki, co śpio tam w rogu, i jak mnie bardziej lubiła od starej. Tak my leżeli i oddychali w ciemności. Iyiko widziałem se ich w głowie, bo przecie tak ich znam. Dziewucha wygląda akuratnie jak moja stara, kiedy była młoda i kiedy ja jo poznał, tylko że lepiej. Wiecie, panie, zaczynamy być lepiej *wyglądająca* raso...

W każdym razie słyszał ja, jak oddychajo, i choć nie chciało mnie sie spać, to zrobił ja sie przez to śpiący. Wtedy ja usłyszał, że dziewczucha mówi: „Tato”, cicho we śnie, i spojrział na nio, żeb zobaczyć, czy nie śpi. Ale tylko czuje jej zapach i oddech na ręce, kiedy jo dotykam. Powiedziała to tak cicho, że ja nie był pewien, czy coś słyszał, więc tylko leże i słucham. Zdaje sie mnie, że słyszę, jak krzyczy lelek, i myślę sobie: „Uciekaj stąd”. Potem ja usłyszał zegar wew szkole, jak wybił cztery razy, tak jakoś samotnie.

A potem zaczął ja myśleć o tym, jak kawał czasu temu wyjechał ja z farmy i zaczął żyć w Mobile i o dziewczusze, co ja jo wtedy miał. Młody był ja wtedy – jak ten tutaj młodziak. Mieszkali my w piętrowym domu nad rzeko i latem w nocy leżeli my w łóżku i gadali, a jak ona zasnęła, ja nie spał, tylko patrzył na światła idące zez wody i słuchał, jak płyno łódki. Na tych łódkach mieli grajków i czasem ja jo budził, żeb posłuchała muzyki, kiedy oni płynęli rzeko. Leżał ja tam, i było cicho, i słyszał ja muzykę z daleka. To tak, jak kiedy polujesz na przepiórki: słyszysz starego koguta jak czyryka, żeb zebrać z powrotem stado, i podchodzi do ciebie powoli i cicho czyryka, bo wie, że jesteś tam gdzieś ze strzelbo. Ale musi je zebrać, więc podchodzi. Ten kogut jest jak dobry człowiek – co musi zrobić, robi.

A głos tych łódek to słyhać było tak. Dochodził z daleka. Najpierw to dochodził do ciebie, kiedy prawie spałeś, i brzmiał, jakby ktoś wolno walił cie dużym błyszczącym kilofem. Widzisz, jak czubek kilofa idzie prosto na ciebie, wolno idzie, i nie możesz zrobić uniku. Dopiero kiedy już ma cie dziabnąć, widzisz, że to wogle nie żaden czubek, ale ktoś daleko tłucze buteleczki z kolorowego szkła. Ale dalej idzie na ciebie. Dalej idzie. Potem słyszysz to blisko, jak kiedy stoisz w oknie na piętrze i patrzysz na dół na cały wóz arbuźów, i widzisz, że jeden młody, soczysty arbuź pęka i leży szeroko otwarty, cały rozłożony i słodki na tych wszystkich pasiatych zielonych, jakby czekał na ciebie, więc widzisz, jaki jest czerwony, dojrzały i soczysty, i wszystkie te jego czarne pestki i reszta. I słyszysz koła pluskające tak, jakby nie chciały nikogo obudzić, i my, ja i ta dziewczucha, leżymy tam i czujemy sie, jakby my byli bogacze, a te chłopaki na łódce graj o muzykę słodko jak dobra brzoskwiniówka. Potem łódka odpływa i światła znikajo zez okien i muzyka też odpływa. To jest tak, jakbyś patrzył na dziewczuchę w czerwonej sukience i szerokim, słomkowym

kapeluszu, jak przechodzi kole Ciebie ścieżką z drzewami po obu stronach. Dziewucha jest przy kości i soczysta i kręci tyłkiem, bo wie, że się na nią gapisz, a ty wiesz, że ona wie, i tylko stoisz i patrzysz, aż widzisz tylko wierzch jej czerwonego kapelusza, a potem on znika i wiesz, że ona jest za wzgórzem... Widziałem raz taką dziewczynę. A potem już tylko słyszę to moje dziewczynę z Mobile – Margaret jej było – jak oddycha obok mnie i może mówi: „Tatusiu, nie śpisz?”, a ja wtedy burczę: „Aha” i zasypiam. Panowie – rzekł Jim Trueblood – lubię się wspomnieć te czasy w Mobile.

No i to było tak samo, kiedy ja usłyszał, jak Matty Lou mówi: „Tato”, i ja już wiedział z tego, jak ona to pedziła, że musiał się jej ktoś przyśnić, i zaczął się zastanawiać, czy to nie ten chłopak. Słucham ją dobrze chwilę, jak ona mruczy, żeby usłyszeć, czy mówi moje imię, ale ona nie, i przypominam się, że mówio, że jak włożysz rękę osoby, co gada przez sen, do ciepłej wody, to wszystko wygada, ale woda jest za zimna, a zresztą ja i tak by tego nie zrobił. Ale kiedy ja czuje, jak ona się odwraca i wije się przy mnie i zarzuca mnie ręką na szyję, tam gdzie kordła nie dochodziła i było mnie zimno, to ja zrozumiał, że ona już jest kobietą. Powiedziała coś, czego ja nie dosłyszał, tak jak mówi kobieta, kiedy chce się podrażnić i zabawić z chłopem. No to ja już wiedział, że ona jest dorosła, i zaczął się zastanawiać, ile razy to już robiła i czy to było z tym cholernym chłopakiem. Zdjął ją to jej ręką i była ona miętka, ale to jej nie obudziło, no to zawołał ją, ale to też jej nie obudziło. Potem odwrócił się do niej tyłem i chciał się odsunąć, chociaż nie było dużo miejsca, i dalej czuł, że mnie dotyka, że się do mnie przysuwa. Wtedy ja musiał zasnąć. Musze wam opowiedzieć, co mnie się przyśniło.

Spojrzałem na pana Nortona i wstałem, uważając, że pora już iść, ale on słuchał Trueblooda w takim skupieniu, że w ogóle mnie nie widział. Usiadłem więc znowu, przeklinając w myślach farmera. Do diabła z jego snem!

– Nie całkiem pamiętam ten sen, ale pamiętam, że szukał ja tłustego mięsa. Poszedł ja do białych w centrum, a oni mnie kazali iść do pana Broadnaksa i powiedzieli, że on mnie da. Pan Broadnax mieszka na górze i wspinał się ja na to górę, żeby się z nim spotkać. To jakby była największa góra na świecie. Im wyżej ja wchodził, tym wyżej jakby był dom pana Broadnaksa. Ale w końcu ja tam dochodzę. Jestem taki zmęczony i bez sił przez to wspinaczkę, że włożę przez frontowe drzwi! Wiem, że tak nie powinien robić, ale nie mogę nic poradzić. Wchodzę i staję w dużym pokoju, pełno tam zapalonych świeczek i błyszczących mebli i obrazów na ścianach, i takie miękkie coś na podłodze. Ale nie widzę żywej duszy. No to ja wołam, ale dalej nikt nie przychodzi i nikt nie odpowiada. No to widzę ja drzwi i wchodzę przez te drzwi i jestem w dużej białej sypialni, jak ta, co ja ją raz widział, jak był mały i poszedł do takiego dużego domu z mamą. Wszystko w tym pokoju było białe, a ja tam stoję, wiem, że nie mam tam nic do roboty, ale tam jestem. To jest pokój kobiety. Próbuje wyjść, ale nie mogę znaleźć drzwi i wszędzie dookoła czuje zapach kobiety, czuje, że ten zapach cały czas robi się silniejszy. Wtedy ja patrzę w róg i widzę taki duży zegar dziadka i słyszę, jak on bije, i otwierają się szklane drzwiczki i wychodzi biała pani. Ma na sobie nocną koszulę z białego jedwabiu i nic więcej i patrzy prosto na mnie. Nie wiem, co robić. Chce uciec, ale jedyne drzwi, jakie widzę, to te drzwi w zegarze, a ona w nich stoi, a zresztą nie mogę się ruszyć i ten zegar robi kupę hałasu. Cały czas idzie coraz szybciej i szybciej. Ja próbuje coś powiedzieć, ale nie mogę. Wtedy ona zaczyna wrzeszczeć i myślę, że całkiem ogłuchłem, bo chociaż widzę, że się jej ruszają usta, nic nie słyszę. Ale dalej jakoś słyszę zegar i próbuje jej powiedzieć, że tylko szukam pana Broadnaksa, ale ona mnie nie słyszy.

Zamiast tego podbiega do mnie, łapie za szyję i mocno trzymie, cobym nie podszed do zegara. Wogle nie wiem, co robić. Próbuje do niej mówić i próbuje się wyrwać. Ale ona mnie trzymie, a ja się boję ją dotknąć, bo jest biała. Potem dostaje takiego stracha, że rzucam ją na łóżko i próbuje przerwać ten uścisk. Ta kobieta zdaje się zapadać i ginąć mnie z oczu, bo to łóżko jest takie miętkie. Zapada się tak głęboko, że myślę, że nas oboje udusi. Potem – frrr! –

nagle z łóżka wyfruwa stado małych białych gęsi, takich, jak mówio, co je widzisz, kiedy odkopujesz schowany skarb. Boże! Ledwie znikły, a tu słyszę, że się otwierają drzwi i głos pana Broadnaksa mówi: „To tylko czarnuchy, niech to sobie robio”.

Jak Trueblood może opowiadać coś takiego białym, pomyślałem, skoro wie, że powiedzą, iż wszyscy Murzyni robią takie rzeczy? Opuściłem wzrok na podłogę – przed oczami miałem czerwoną mgłę bólu.

– A ja nie mogę przestać, chociaż czuje, że coś jest nie tak. Uwolniłem się od tej kobiety i biegnę do zegara. Najpierw nie mogę otworzyć drzwi, bo mają na skrzydle coś takiego pomarszczonego i kłębiastego jak stalowa wata. Aleje otwieram i wchodzę do środka, a tam jest gorąco i ciemno. Ide jakimś ciemnym tunelem, tam gdzie mechanizm robi ten cały hałas i gorąc. To jest jak ta elektrownia, co ją zrobili wew szkole. Gorąc taki, jakby dom się palił, i ja zaczynam biec, próbuje się wydostać. Biegne i biegnę, aż powinien ja się poczuć zmęczony, ale nie jestem zmęczony, tylko czuje się bardziej wypoczęty, jak biegnę, i te biegnięcia jest takie dobre jak latanie, i ja lece i płynę nad miastem. Ino że dalej jestem wew tym tunelu. Potem daleko w górze widzę jasne światło jak latarnie nad grobem. Robi się jaśniejsze i jaśniejsze i wiem, że muszę się z nim zrównać, bo będzie źle. I od razu znalazł się równo z nim i buchło mi w oczy jak z wielkiej lampy elektrycznej i całego mnie poparzyło. Ino że to nie było oparzenie, ale jakby ja się topił wew jeziorze, gdzie na górze jest gorąca woda, a pod spodem zimne prądy tak, że aż człek drętwieje. Potem od razu wszystko przeszło i mnie ulżyło, bo widzę, że jestem znów na powietrzu i w zimnym świetle dnia.

Budzę się i chce powiedzieć starej o moim zwariowanym śnie. Jest rano i robi się prawie jasno. A ja tam jestem, patrzę prosto w twarz Matty Lou, a ona mnie bije, drapie, drży, trzęsie się i płacze naraz, jakby miała atak. Jestem taki zdziwiony, że się nie mogę ruszyć. Ona krzyczy: „Tato, tato, tato”, właśnie tak. I od razu przypominam sobie o starej. Jest kole mnie i chrapie, a ja się nie mogę ruszyć, bo myślę, że jak tak zrobię, to będzie grzech. I myślę, że jak się nie ruszę, to może nie będzie grzech, bo to się stało, jak ja spał – chociaż może czasem chłop spojrzy na małą dziewczynkę i zobaczy kurwę – wiecie, jak to jest? No, ale zdaje się sprawę, że jak się nie ruszę, to stara mnie zobaczy. Nie chce, coby tak było. To byłoby gorsze niż grzech. Szepcze do Matty Lou, próbuje ją uspokoić i myślę, jak się z tego wydostać bez grzeszenia. Prawie ją dusze.

Ale jak chłop wpakuje się w takie kabale, to niedużo może zrobić. To już nie od niego zależy. Próbował ja z całych sił się wydostać, ale musiał się ruszać bez ruszania. Wleciał ja, ale musiał wyleźć. Musiał się ruszać bez ruszania. Dużo ja o tym myślał od tamtej pory i kiedy dobrze pomyśleć, to widać; że ze mno zawsze tak było. Przez prawie całe moje życie. Jak tak pomyśle, to był tylko jeden sposób, żeby ja mog się z tego wydostać – zez nożem. Ale ja nie miał noża, a jak wy kiedy widzieli, jak kastrują młode wieprzki na jesień, to wiecie, co ja wiedział, że to była za duża zapłata, żeby się wstrzymać od grzeszenia. Wszystko się we mnie kotłowało, jakby we środku była jaka walka. Wtedy sama myśl, w co ja się władował, aż mnie żgła.

I wtedy jakby już nie było i tak źle, Matty Lou nie może dłużej strzymać i sama się zaczyna ruszać. Pierw próbowała mnie odepchnąć, a ja ją próbuję przytrzymać, żeby nie grzeszyć. Potem ja się odciągam i uciszam ją, żeby nie obudziła swojej mamy, kiedy ona mnie łap i trzymie mocno. Nie chciała, żeby ja wyszed i – jak Boga kocham, mówię najprawdziwszą prawdę – ja poczuł, że ja też nie chciał. Ja czuł się chyba wtedy – i chociaż żałuje od tamty pory – jak ten chłop w Birmingham. Ten, co się zamknął we swoim domu i strzelał do policji, aż podpalili dom i go upiekli. Zupełnie ja się zagubił. Im więcej my się wili i kręcili, żeby się od siebie oderwać, tym bardziej my chcieli zostać razem. No i jak ten facet, ja został i musiał walczyć do końca. On mog umrzeć, ale ja teraz podejrzewam, że miał dużo uciechy przedtem. Ja wiem, że nie ma nic takiego jak to, przez co ja przeszed. Nie umiem powiedzieć, jak to było. To jest tak, jak kiedy tego pijący chłop się upije, albo jak bardzo religijna, święta

kobieta tak się uniesie, że aż się trzęsie, albo jak hazardzista gra dalej, chociaż przegrywa. Trzymiesz się tego i nie puszczasz, chociaż chcesz.

– Proszę pana – rzekłem do pana Nortona zduszonym głosem – czas już wracać na kampus. Nie zdąży pan na spotkanie...

Nawet na mnie nie spojrział.

– Cicho – powiedział, machając z irytacją dłonią.

Wydało mi się, że Trueblood uśmiechnął się ukradkiem, kiedy przeniósł na mnie wzrok. Mówił dalej:

– Nie mogłem puścić, nawet kiedy żem usłyszał wrzask Kate. Był to wrzask, który mógł zmrozić krew w żyłach. Tak samo krzyczy kobieta, co widzi, jak dzikie konie traktują jej dzieciaka i nie może się ruszyć. Włosy Kate stoją na głowie, jakby zobaczyła ducha, koszula się jej roztwarła i żyły na szyi jakby miały pęć. Ajej oczy! Boże, te oczy. Patrzą na nią z siennika, gdzie leży z Matty Lou, i jestem za słaby, żeby się ruszyć. Ona się drze, zaczyna podnosić, co jej wpada w ręce, i rzucać we mnie. Raz nie trafia, raz trafia. Małe rzeczy i duże rzeczy. Coś zimnego i strasznie śmierdzącego uderza mnie i wali w głowę, i jestem cały mokry. Coś uderza w ścianę – bum! – jak kula od armaty, więc ja próbuję zakryć głowę. Kate gada w nieznanym języku jak pomyłona.

„Zaczekaj, Kate – mówię. – Przestań!”

Potem słyszę, że na sekundę przestaje i biega po podłodze. Wychylam głowę i patrzę: O Boże! Trzymie moje dubeltówkę!

I kiedy tak toczy pianę z ust i odciąga kurek, odzyskuje mowę.

„Wstawaj! Wstawaj!” – krzyczy.

„HEJ! NIE! KATE!” – ja krzyczę.

„Zara pośle twoje przekłeto dusze do piekła! Złaż z mojego dziecka!”

„Ale kobieto, Kate, posłuchaj...”

„Nie gadaj. WSTAWAJ!”

„Opuść to, Kate!”

„Nie opuszczę! PODNOŚ SIE!”

„Tam jest gruby śrut, kobieto, GRUBY śrut!”

„Tak, jest!”

„Opuść to, mówię!”

„Pośle cie do piekła!”

„Trafiśz Matty Lou!”

„Nie Matty Lou – CIEBIE!”

„To się rozsiewa, Kate. Matty Lou!”

Okręca się, celując we mnie.

„Ostrzegałam cie, Jim...”

„Kate, to był sen. Posłuchaj mnie...”

„To ty słuchaj – PODNOŚ SIE!”

Podrzuca strzelbę i zamykam oczy. Ale zamiast grzmotu i walącego we mnie pioruna słyszę, że Matty Lou drze się mnie w ucho:

„Mamo! Uuuu, MAMO!”

Wtedy się przekręcam i spadam na podłogę, a Kate się waha. Patrzy się na strzelbę, patrzy na nas i trzęsie się, jakby miała gorączkę. Potem od razu upuszcza strzelbę i – SMYK! – szybko jak kot odwraca się i łapie coś z pieca. Dostaje tym w bok i czuje się, jakby kto wbijał we mnie ostry szpadel. Nie mogę oddychać. Rzuca we mnie i cały czas gada.

Podnoszę głowę, patrzę: Ludzie, Luuudzie, trzymie żelaznego pręta wew ręce!

Wrzeszcze:

„Tylko bez krwi, Kate! Nie przelewaj krwi!”

„Ty parszywy psie – mówi – lepiej przelewać krew niż paskudzić!”

„Nie, Kate. Nie jest tak, jak ci się wydaje! Nie popełniaj grzechu krwi z powodu grzechu we śnie!”

„Zamknij się, czarnuchu. To było paskudztwo!”

Ale widzę, że nie ma co jej przekonywać. Myślę sobie, że przyjmę, co mi da. Zdaje mnie się, że nie mogę nic zrobić, tylko przyjąć karę. Mówię sobie: Może będzie najlepiej, jak za to pocierpisz. Może ci się należy lanie od Kate. Nie jesteś winny, ale ona myśli, że jesteś. Nie chcesz, żeby cie łała, ale ona myśli, że musi cie łać. Chcesz wstać, ale jesteś za słaby, żeby się ruszyć.

Ja był za słaby. Przymarzył ja do miejsca jak dzieciak, co przyłożył zimo usta do rączki pompy. Ja był jak sójka, co jo tak pożądlily szerszenie, że jest sparaliżowana – ale ma jeszcze życie w oczach i patrzy, jak kłują jej ciało na śmierć.

Wydało się mnie, jakby ja był daleko stamtąd, jakby ja stał za wiatrochronem w czasie burzy. Patrzę i widzę, że Kate biegnie do mnie, ciągnąc coś za sobo. Próbuje zobaczyć, co to jest, bo jestem ciekawy, i widzę, że jej koszula zaczepia o piec, a ręka pokazuje się na widoku i coś trzymie. Myślę sobie: To trzonek. Co to za trzonek? Potem widzę, że Kate już jest nade mno, wielga. Macha rękami, jak chłop macha dziesięciofuntowym młotem, i widzę, że kostki jej ręki so posiniaczone i krwawio, i widzę, że to się zaplątało w jej koszule, i widzę, że koszula podjeżdża do góry, aż widać jej uda, i widzę, jaka rdzawa i szara zrobiła się jej skóra od zimna, i widzę, jak się schyla i prostuje, i słyszę, jak stęka, i widzę, jak bierze zamach, i czuje jej pot, i poznaje po kształcie błyszczącego drewna, co chce na mnie spuścić. O Boże, tak! Widzę, że teraz zaczepia o kordle i podnosi to kordle i upuszcza na podłogę. Potem widzę, że siekiera się uwolniła! Błyszczycy się, błyszczycy, bo żem jo naostrzył parę dni nazad, i człowieku, wew sobie, za tym wiatrochronem, mówię:

„NIEEEE! KATE... Boże, Kate, NIE!!!”

Nagle jego głos zabrzmiał tak przeraźliwie, że podniosłem w popłochu głowę. Trueblood zdawał się patrzeć szklanym wzrokiem przez pana Nortona. Dzieci przestały się bawić i spoglądały z poczuciem winy na ojca.

– Jakbym gadał z maszyno – ciągnął dalej Trueblood. – Widzę, że siekiera spada. Widzę, jak się błyszczycy wew świetle, widzę zło twarz Kate, ściągam ramiona, kule głowę i czekam – mnie się zdaje, jakby ja czekał milion łamiących grzbiet lat. Czekam tak długo, że przypominam sobie wszystkie złe rzeczy, co ja zrobił, czekam tak długo, że roztwieram oczy, i zamykam, i znowuż je roztwieram, i widzę, że spada. Spada szybko jak chomąto ze sześciorogowego wołu i kiedy czekam, czuje, jak we środku coś się mnie skręca i zamienia we wodę. Widzę to, Boże, tak! Widzę to i odchylam głowę na bok. Nie mógł ja nic na to poradzić; Kate ma cela. Ruszam się. Chocia ja chciał leżeć bez ruchu, ruszam się! Tyko sam Jezus Chrystus by się nie ruszył. Czuję, jakby mnie obcięło cały bok twarzy. Jakby mnie polano wrzącym ołowiem, tak gorącym, że miasto parzyć, mrozi, i cały od tego drętwieje. Leże tam na podłodze, ale wew środku kręcę się w kółko jak pies z przetrąconym grzbietem i z powrotem zapadam w to odrętwienie z podkulonym ogonem. Czuję, jakby ja nie miał już skory na twarzy, tyko goło kość. Ale to jest coś, czego ja nie rozumie: bardziej niż ból i drętwotę czuć ulgę. Tak, i żeby mieć trochę więcej tej ulgi, zdaje się ja znowuż wybiegać z za tego wiatrochronu w to miejsce, gdzie stoi Kate ze siekiero, i otwieram oczy i czekam. Mowie prawdę. Chce jeszcze więcej tej ulgi i czekam. Widzę, jak Kate bierze zamach, patrząc się na mnie, i widzę siekiere w powietrzu, i wstrzymuje oddech, i od razu widzę, jak się zatrzymuje, jakby ktoś sięgnął z dachu i jo złapał, i widzę, że jej twarz ma skurcz, i widzę, że siekiera opada, do tyłu tą rażą, i uderza o podłogę, a Kate wypluwa jakieś rzygowiny, i zamykam ja oczy i czekam. Słyszę jo, jak jęczy, wytacza się przez drzwi i spada z ganku na podwyrko. Potem słyszę, jak rzyga, jakby się wyrzywały jej wszystkie flaki aż do korzeni. Potem patrzę w dół i widzę, jak po całej Matty Lou leci krew. To moja krew, moja twarz krwawi. To mnie

zmusza, żeb sie ruszyć. Wstaje i niezdarnie wychodzę szukać Kate, a ona klęczy pod topolo i zawodzi:

„Co ja zrobiła, Boże! Co ja zrobiła!”

Cieknie jej z ust coś zielonego i znowuż zaczyna rzygać, a kiedy podchodzę, żeb jo dotknąć, rzyga jeszcze bardziej. Stoję tam, trzymając swojo twarz i próbując zatrzymać krew, i myślę, co tera bedzie. Patrę ja na ranne słońce i jakoś czekam, że zaraz zagrzmie. Ale jest już jasno i widno, i słońce coraz wyżej, i ptaszki ćwierkajo, i wtedy bierze mnie strach jeszcze większy, niż jakby mnie piorun strzelił. Krzyczę: „Zlituj sie, Panie! Panie, zlituj sie!” – i czekam. Ale nie ma nic, tylko jasne ranne słońce.

Ale nic sie nie dzieje i wiem, że czeka mnie coś gorszego niż wszystko, o czym ja słyshał. Musiał ja tam stać jak kamień z pół godziny. Stał ja dalej, kiedy Kate sie podniosła z kolan i wróciła do domu. Krew leciała mnie po całym ubraniu i dobrały sie do mnie muchy, no to wszedł ja do domu, żeb spróbować jo zatrzymać.

Kiedy widzę rozciągnięto tam Matty Lou, myślę, że nie żyje. Jest szara na twarzy i ledwie dycha. Próbuje jej pomóc, ale nie mogę nic zrobić, a Kate do mnie nie mówi ani sie nawet na mnie nie spojrzy, i myślę, że może znowuż planuje mnie zabić, ale nie. Mam taki mętlik w głowie, że tylko siedzę cały czas, kiedy ona opatula małe i idzie z nimi do Willa Nicholasa. Widzę to, ale nie mogę nic zrobić.

I siedze tam dalej, kiedy ona wraca z innymi kobietami, żeb zająć sie Matty Lou. Nikt sie do mnie nawet nie odezwie, chocia patrzy na mnie, jakby ja był jakoś nowo maszyno do zbierania bawełny. Źle sie czuje. Mówię im, że to sie zdarzyło przez sen, ale one patrzy na mnie z pogardo. Wtedy ide precz z chałupy. Ide do kaznodziei, ale nawet on mnie nie wierzy. Mówi mnie, żeb ja sie wyniós z jego domu, że jestem najpodlejszym człowiekiem, jakiego spotkał i żeb ja lepiej wyznał moje grzechy i pojednał sie z Bogiem. Wychodzę i próbuje sie modlić, ale nie mogę. Myślę i myślę, aż mnie mało mózg nie pęknie, na ile ja jest winny, a na ile niewinny. Nic nie jem, nic nie pije i nie mogę spać w nocy. W końcu, jednej nocy, nad samym ranem, podnoszę głowę, widzę gwiazdy i zaczynam śpiewać. Nie mam zamiaru, nie myślę o tym, po prostu zaczynam śpiewać. Nie wiem, co to było, chyba jakaś pieśń kościelna. Wiem tylko, że na k o n i e c śpiewam bluesa. Śpiewam se bluesa tamtej nocy, co nigdy go jeszcze nie śpiewano, i kiedy śpiewam tego bluesa, mówię se w duchu, że jestem, kim jestem, i nie mogę nic zrobić, tylko pozwolić, żeb sie stało, co ma sie stać. Postanowił ja wrócić do chałupy i spojrzeć w oczy Kate, a także samo spojrzeć w oczy Matty Lou.

Przychodzę, a wszyscy myśla, że ja uciek. Siedzi tu z Kate kupa babów, no to ja je wygania. A jak ja je wygonił, to każe dzieciakom iść sie bawić na dwór i zamykam drzwi i mówię Kate i Matty Lou o tym śnie i że żałuje, ale co sie stało, to sie nie odstanie.

„Czemu żeś se nie poszed i nas nie zostawił? – to pierwsze słowa, co Kate do mnie mówi. – Mało żeś zrobił mnie i temu dzieciakowi?”

„Nie mogę was zostawić – mówię. – Jażem chłop, a chłop nie zostawia swojej rodziny”.

„Nie jesteś chłop – mówi ona. – Żaden chłop nie robi tego, co ty zrobił”.

„Ale i tak jestem chłop” – mówię.

„Ale co zrobisz, jak sie to stanie?” – mówi Kate.

„Jak co sie stanie?” – mówię.

„Jak sie urodzi twoje czarne obrzydlistwo, żeb wrzaskiem odkryć twój podły grzech przed oczami Boga!” (Musiała sie nauczyć tych słów od kaznodziei.)

„Urodzi? – mówię. – Kto urodzi?”

„My obie. Ja urodzę i Matty Lou urodzi. Obie urodzimy, ty brudny, podły, wstrętny psie!”

Prawie mnie to zabiło. Wtedy ja zrozumiał, czemu Matty Lou nawet na mnie nie spojrzy i do nikogo nawet słowa nie powie.

„Jak zostaniesz, to pójde po ciotkę Cloe dla nas obu – mówi Kate. – Nie bede rodzić grzechu, żeb ludzie na niego patrzyli przez reszte mojego życia – mówi – i nie chce, żeb Matty Lou urodziła”.

Ciotka Cloe, rozumiecie, to babka i chocia ledwie ja się trzymał na nogach od tego, co ja usłyszał, to nie chce, żeb robiła głupoty z moimi kobietami. To jak kłaść grzech na grzech. No to powiedział ja Kate, że jak ciotka Cloe podejdzie do tej chałupy, to zabije jo, chocia jest stara. Ja by to zrobił. To załatwia sprawę. Wychodzę z domu i zostawiam je, żeb sie same wypłakały. I znowuż chciał ja iść gdzie sam, ale od czegoś takiego nie uciekniesz. Wszędzie idzie za tobo. A zreszto, żeb nie skłamać, nie miał ja gdzie iść. Nie miał ja złamanego centa!

No i zara sie zaczęło. Przyszły czarnuchy ze szkoły, żeb mnie wygonić, i ja sie wściek. Wtedy ja poszed do białych i oni mnie pomogli. Tego ja ni w ząb nie rozumie. Zrobił ja najgorszo rzecz, jako chłop może zrobić swojej rodzinie, a oni, zamiast mnie pogonić, pomagajo mnie jak żadnemu innemu kolorowemu, żeb nie wiem, jakim był dobrym czarnuchem. Chocia moja żona i córka nie chco ze mno mówić, to powodzi mnie sie tera jak nigdy. I chocia Kate nie gada ze mno, to wzięła te nowe ubrania, co ja jej przywióz z miasta, a tera jeszcze robio jej okulary, co ich od dawna potrzebuje. Ale ja nie rozumie, jak to jest, że zrobił ja najgorszo rzecz, jako chłop może zrobić swojej rodzinie, i zamiast żeb było mu gorzej, to jest mu lepiej. Te czarnuchy zez szkoły mnie nie lubio, ale białe dobrze mnie traktujo.

Ten farmer to był ktoś. Kiedy go słuchałem, byłem tak rozdarty wewnątrznie między upokorzeniem i fascynacją, że dla zmniejszenia poczucia wstydu skupilem uwagę na jego targanej emocjami twarzy. Dzięki temu nie musiałem patrzeć na pana Nortona. Teraz jednak, kiedy skończył opowieść, siedziałem ze wzrokiem utkwionym w stopy pana Nortona. Na podwórku ochrypły kobiecy kontralt zaintonował hymn. Uniosły się dziecięce głosy w radosnym gwarze. Siedziałem pochylony, wdychając ostrą, suchą woń drewna prażącego się w upalnym słońcu. Patrzyłem na dwie pary butów przede mną. Buty pana Nortona były białe, obramowane czernią. Zrobione zostały na zamówienie i przy tanich półbutach farmera miały elegancki, szczupły, szlachetny wygląd wytwornych rękawiczek. W końcu ktoś chrząknął i gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że pan Norton wpatruje się w milczeniu w oczy Jima Trueblooda. Przestraszyłem się. Z jego twarzy odpłynęła cała krew. Wyglądał upiornie, kiedy tak wbij ał płonący wzrok w czarną twarz Trueblooda. Trueblood spojrział na mnie pytająco.

– Posłuchajcie dzieciaków – powiedział z zakłopotaniem. – Bawio sie w „Budujemy mosty dla pana starosty”.

Działo się coś, czego nie rozumiałem. Musiałem zabrać stamtąd pana Nortona.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałem.

Spojrział na mnie niewidzącym wzrokiem.

– Dobrze? – powiedział.

– Tak, proszę pana. Chodzi mi o to, że chyba już czas na popołudniową sesję – pospieszyłem z wyjaśnieniem.

Patrzył na mnie pustym wzrokiem.

Przysunąłem się do niego.

– Na pewno nic panu nie jest?

– Może to przez ten gorąc – powiedział Trueblood. – Trzeba sie tu urodzić, żeb znieść taki gorąc.

– Może to przez ten upał – rzekł pan Norton. – Lepiej już jedźmy.

Podniósł się chwiejnie z krzesła, nadal wpatrując się w skupieniu w Trueblooda. Potem zobaczyłem, że wyjmuje z kieszeni marynarki portfel z czerwonej marokańskiej skóry. Razem z portfelem wysunęła się oprawna w platynę miniatura, ale tym razem na nią nie spojrział.

– Proszę – powiedział, podając Truebloodowi banknot. – Weź to i kup dzieciom w moim imieniu jakieś zabawki.

Truebloodowi opadła szczęka, a jego oczy rozszerzyły się i powilgotniały, gdy ujmował banknot trzęsącymi się palcami. Było to sto dolarów.

– Jestem gotów, młodzieńcze – oznajmił pan Norton głosem nie silniejszym od szeptu.

Poszedłem przed nim do samochodu i otworzyłem drzwi. Kiedy wsiadał, potknął się lekko, podałem mu więc ramię. Twarz wciąż miał kredowobiałą.

– Zabierz mnie stąd – powiedział z nagłą desperacją. – Jak najdalej!

– Tak, proszę pana.

Wrzucając bieg, widziałem, jak Jim Trueblood macha nam na pożegnanie.

– Ty sukinsynu – mruknąłem pod nosem. – Ty podły sukinsynu! To t o b i e dostała się stówa!

Kiedy zawróciłem samochód i ruszałem w drogę, Trueblood wciąż stał w tym samym miejscu.

Pan Norton dotknął niespodziewanie mojego ramienia.

– Muszę coś łyknąć, żeby dojść do siebie, młodzieńcze. Trochę whisky.

– Tak, proszę pana. Dobrze się pan czuje?

– Trochę mi słabo. Ale odrobina whisky...

Jego głos ucichł. Poczułem ziąb w piersiach. Gdyby coś mu się przytrafiło, doktor Bledsoe obwiniłby o to mnie. Nacisnąłem gaz, zastanawiając się, gdzie mogę znaleźć dla niego whisky. Nie w mieście, za długo by to trwało. Było tylko jedno miejsce, Golden Day.

– Za parę minut będę coś miał dla pana – oświadczyłem.

– Jak najszybciej – powiedział.

Rozdział 3

Zobaczyłem ich, kiedy zbliżyliśmy się do krótkiego odcinka między torami kolejowymi a Golden Day. Początkowo ich nie poznałem. Ciągnęli szosą luźną gromadką, blokując drogę od białej linii pośrodku aż po spalone chwasty, które obrzeżały rozgrzaną słońcem betonową płytę. Skląłem ich w duchu. Blokowali drogę, a pan Norton z trudem łapał powietrze. Przed lśniąca krzywizną chłodnicy wyglądali jak grupa skutych łańcuchem więźniów udających się na roboty. Ale skazańcy maszerują rzędem i nie widziałem strażników na koniach. Kiedy podjechałem bliżej, rozpoznałem luźne szare koszule i spodnie noszone przez weteranów. Niech to szlag! Zmierzali do Golden Day.

– Odrobinę whisky – usłyszałem za sobą.

– Za parę minut, proszę pana.

Daleko w przodzie dostrzegłem gościa, który uważał się za tamburmajora, wydającego polecenia, energicznie stawiającego długie, rozkołysane kroki, trzymającego wysoko nad głową trzcinową pałkę, wznoszącą się i opadającą, jakby w rytm muzyki. Zwolniłem, kiedy zobaczyłem, że odwrócił się twarzą do idących, ściskając trzcinkę na wysokości piersi. Mężczyźni nadal go ignorowali i szli w bezładzie. Niektórzy rozmawiali w grupkach, a inni gestykulowali i mówili sami do siebie.

Nagle tamburmajor dostrzegł samochód i potrząsnął trzcinową pałką w moją stronę. Nacisnąłem klakson, a mężczyźni rozsunęli się na boki, kiedy powoli ruszyłem do przodu. Tamburmajor nie ustąpił i stał na rozkraczonych nogach z rękami na biodrach, więc nacisnąłem hamulec, by go nie potrącić.

Podszedł szybko do samochodu i usłyszałem, jak jego trzcina bębni po masce.

– Za kogo ty się, do diabła, uważasz, że przejeżdżasz armię? Podaj hasło. Kto dowodzi tą jednostką? Wy, pieprzem kierowcy, zawsze zadzieraliście nosa. Hasło!

– To samochód generała Pershinga, proszę pana – powiedziałem, bo słyszałem, że reaguje na nazwisko swojego głównodowodzącego z czasów wojny. Nagle jego oczy straciły dziki wyraz; cofnął się o krok i ze sztywną precyzją zasalutował. Potem patrząc podejrzliwie na tylne siedzenie, warknął:

– Gdzie jest generał?

– Tam – odparłem, odwracając się i widząc, że pan Norton, słaby i blady jak ściana, unosi się z siedzenia.

– Co się stało? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Zatrzymał nas ten sierżant, proszę pana...

– Sierżant? Jaki sierżant? – Pan Norton wyprostował się.

– To pan, generale? – spytał weteran, salutując. – Nie wiedziałem, że przeprowadza pan dzisiaj inspekcję frontu. Bardzo przepraszam, proszę pana.

– Co...? – zaczął pan Norton.

– Generał się spieszy – rzekłem szybko.

– Pewnie – powiedział weteran. – Ma dużo do obejrzenia. Dyscyplina jest zła. Artyleria kiepsko strzela. – Następnie krzyknął do idących drogą mężczyzn: – Złaźcie, do diabła, generałowi z drogi. Przejeżdża generał Pershing. Zróbcie miejsce dla generała Pershinga!

Zszedł na bok, a ja dodałem gazu i śmignąłem przez linię, by ominąć weteranów. Pozostałem po niewłaściwej stronie szosy, kierując się do Golden Day.

– Kim był ten człowiek? – wydyszał pan Norton z tylnego siedzenia.

– Byłem żołnierzem, proszę pana. Weteranem. Oni wszyscy są weteranami i cierpią na nerwicę frontową.

– Ale gdzie jest strażnik?

– Nie było żadnego, proszę pana. Chociaż oni jednak są niegroźni.

– Mimo to powinni mieć strażnika.

Musiałem zawieźć go tam i zabrać z powrotem, zanim dotrą. Był to dla nich dzień wizyty u dziewczyn, więc w Golden Day będą niezłe awantury. Zastanawiałem się, gdzie jest reszta. Powinno ich być około pięćdziesięciu. No cóż, wejdę tam szybko, wezmę whisky i wyjdę. A nawiasem mówiąc, co się stało panu Nortonowi, dlaczego aż tak przejął się Truebloodem? Ja sam, słuchając opowieści, czułem wstyd i parę razy chciałem wybuchnąć śmiechem, ale panu Nortonowi zrobiło się niedobrze. Może potrzebował lekarza. Do diabła, nie prosił przecież o lekarza. Niech szlag trafi tego sukinsyna Trueblooda.

Wbiegnę, wezmę pół litra i wybiegnę, myślałem. Wtedy nie zobaczy Golden Day. Sam rzadko tam chodziłem, chyba że z paroma kumplami, kiedy doszły nas słuchy, że przyjechały nowe dziewczyny z Nowego Orleanu. Uczelnia próbowała zrobić z Golden Day przyzwoity lokal, ale mieli w nim jakiś udział miejscowi biali i starania te spaliły na panewce. Szkoła mogła jedynie dać popalić studentom, których tam przyłapano.

Leżał jak człowiek pogrążony w śnie, kiedy wyszedłem z samochodu i wbiegłem do Golden Day. Chciałem poprosić go o pieniądze, ale postanowiłem zapłacić z własnej kieszeni. Zatrzymałem się w drzwiach; knajpa była już pełna, zatłoczona weteranami w luźnych szarych koszulach i spodniach i kobietami w krótkich, obcisłych, sztywno wykrochmalonych fartuszkach z kraciastej bawełny. Stęchły zapach piwa uderzył jak pałka przez harmider głosów i szafy grającej. Gdy tylko wszedłem, chwycił mnie za ramię jakiś mężczyzna o statecznej twarzy i spojrzał mi lodowato w oczy.

– To nastąpi o piątej trzydzieści – powiedział, patrząc na mnie jak na powietrze.

– Co?

– Wspaniałe, wszechogarniające zawieszenie broni, koniec świata! – wyjaśnił.

Zanim zdążyłem się odezwać, uśmiechnęła się do mnie niska, pulchna kobieta i odciągnęła go.

– Teraz twoja kolej, doktorku – powiedziała. – Nie pozwól, żeby to się stało, zanim ja i ty nie pobędziemy na górze. Dlaczego zawsze muszę cię namawiać?

– Ale to prawda – odparł. – Rano dostałem radiogram z Paryża.

– No to lepiej się pospieszmy, kotku. Muszę tu zarobić kupę pieniędzy, zanim to się stanie. Poczekaj chwilę, dobrze?

Puściła do mnie oko, ciągnąc go przez tłum w stronę schodów. Zacząłem przepychać się nerwowo do baru.

Wielu z tych mężczyzn było kiedyś lekarzami, prawnikami, nauczycielami, pracownikami administracji państwowej; było też tam kilku kucharzy, kaznodzieja, polityk i artysta. Jeden niezłe stuknięty był psychiatrą. Za każdym razem kiedy ich widziałem, czułem się niewyraźnie. Mieli być przedstawicielami zawodów, o których zdobyciu sam w różnych czasach mgliście marzyłem, i chociaż zdawali się nigdy mnie nie dostrzegać, nie mogłem uwierzyć, że naprawdę są pacjentami. Czasami odnosiłem wrażenie, że prowadzą ze mną i z resztą chłopaków ze szkoły jakąś skomplikowaną grę, której celem był śmiech i której reguł i misterności nie mogłem nigdy pojąć.

Na wprost mnie stało dwóch mężczyzn, z których jeden mówił z wielką powagą:

– ...i Johnson uderzył Jeffriosa pod kątem czterdziestu pięciu stopni od jego dolnego lewego siekacza, powodując natychmiastową blokadę jego całego układu wzgórzowego, oszroniając go jak zamrażarkę lodówki, rozbijając w ten sposób jego autonomiczny układ nerwowy i rozkołysując tego wielkiego murarskiego ptysia niezwykle silnymi nadskurczowymi drganiami mięśni, co powaliło go trupem na krańcowy wyrostek kości

ogonowej, a to z kolei wywołało ostrą reakcję urazową jego nerwu i mięśnia zwieracza, a potem, drogi kolego, zmiotli go, spryskali niegaszonym wapnem i wywieźli na taczkach. Naturalnie żadna inna terapia nie była możliwa.

– Przepraszam – powiedziałem, przeciskając się obok nich.

Za barem stał Wielki Halley, a jego ciemna skóra prześwitywała przez mokrą od potu koszulę.

– Co zamawiasz, uczniaku?

– Chcę podwójną whisky, Halley. Wlej ją do czegoś głębokiego, żebym jej nie rozlał, kiedy będę wychodził. To dla kogoś na zewnątrz.

Jego usta wyrzuciły:

– Nic z tego, do diabła!

– Dlaczego? – zapytałem zaskoczony złością w jego wysadzonych przez tarczycę oczach.

– Jesteś dalej w szkole, co?

– Pewnie.

– Te sukinsyny znowuż próbują mnie zamknąć, dlatego. Tutaj możesz pić, aż zsiniejesz, ale na wynos nie sprzedam ci nawet tyle, co byś splunął.

– Ale ja mam w samochodzie chorego.

– W jakim samochodzie? Nigdy nie miałeś samochodu.

– W samochodzie białego. Jestem jego kierowcą.

– Nie jesteś w szkole?

– On jest ze szkoły.

– No to kto jest chory?

– On.

– Jest za dobry, żeby wejść? Powiedz mu, że tu nie ma segregacji.

– Ale on jest chory.

– Może sobie umrzeć!

– On jest ważny, Halley, jest członkiem zarządu. Jest bogaty i chory i jeśli mu się coś przytrafi, to każą mi spakować manatki i wrócić do domu.

– Nic na to nie poradzę, chłopcze. Przeprowadź go tu i będzie mógł sobie kupić tyle, żeby w tym pływać. Może pić z mojej prywatnej butelki.

Odciał białe główki paru piw łopatką z kości słoniowej i podał je w głąb baru. Zrobiło mi się niedobrze. Pan Norton nie zechce tu wejść. Jest zbyt chory. A poza tym nie chciałem, żeby zobaczył pacjentów i dziewczyny. Kiedy torowałem sobie drogę do wyjścia, w knajpie robił się coraz większy zamęt. Nigdzie nie było widać Supercargo, strażnika w białym mundurze, który zazwyczaj utrzymywał wśród tych mężczyzn spokój. Nie podobało mi się to, bo kiedy Supercargo był na górze, oni nie mieli absolutnie żadnych zahamowań. Przecisnąłem się do samochodu. Co miałem powiedzieć panu Nortonowi? Kiedy otworzyłem drzwi, leżał zupełnie nieruchomo.

– Panie Norton, proszę pana. Nie chcą mi sprzedać whisky na wynos.

Leżał zupełnie nieruchomo.

– Panie Norton.

Leżał jak postać z kredy. Potrząsnąłem nim delikatnie, czując strach. Ledwie oddychał. Potrząsnąłem nim gwałtownie, a jego głowa zachwiała się groteskowo. Rozchylił sinawe usta, ukazując rząd długich, cienkich, zaskakująco zwierzęcych zębów.

– PROSZĘ PANA!

Ogarnięty paniką wbiegłem z powrotem do Golden Day, krzycząc przez gwar jak przez niewidzialny mur:

– Halley! Pomóż mi, on umiera!

Próbowałem się przecisnąć, ale zdawało się, że nikt mnie nie usłyszał. Miałem zatarasowaną drogę w obie strony. Byli stłoczeni jak śledzie w beczce.

– Halley!

Odwróciło się dwóch pacjentów i spojrzało mi w twarz; ich oczy oddalone były od mojego nosa o dwa cale.

– Co się stało temu dżentelmenowi, Sylvester? – spytał ten wysoki.

– Na dworze umiera człowiek! – krzyknąłem.

– Zawsze ktoś umiera – rzekł drugi.

– Owszem, i dobrze jest umrzeć pod wielkim Bożym namiotem niebios.

– On musi dostać trochę whisky!

– A, to co innego – powiedział jeden z nich i zaczęli torować przejście do baru. – Ostatni radosny kielich dla uśmierzenia cierpień. Odsuńcie się, proszę!

– Już jesteś z powrotem, uczniaku? – zapytał Halley.

– Daj mi trochę whisky. On umiera!

– Jużem ci powiedział, uczniaku, żebyś go lepiej tutaj przyprowadził. Może sobie umierać, ale ja muszę płacić moje rachunki.

– Proszę, wsadź mnie do więzienia.

– Chodzisz do szkoły, sam to rozgryź – rzekł.

– Lepiej wnieś tu tego dżentelmena – powiedział ten, którego wysoki nazwał Sylwestrem.

– Dalej, pozwól, że ci pomożemy.

Przebiliśmy się przez tłum. Leżał tak, jak go zostawiłem.

– Spójrz, Sylvester, to Thomas Jefferson!

– Właśnie miałem to powiedzieć. Od dawna chciałem z nim podyskutować.

Patrzyłem na nich oniemiały; obaj byli szaleni. A może żartowali?

– Pomóżcie mi – powiedziałem.

– Chętnie.

Potrząsnąłem nim.

– Panie Norton!

– Lepiej się pospieszmy, jeśli ma łyknąć kielicha – powiedział jeden z nich w zamyśleniu.

Podnieśliśmy go. Kołysał się między nami jak worek starych ubrań.

– Szybciej!

Kiedy nieśliśmy go do Golden Day, jeden z mężczyzn zatrzymał się nagle i głowa pana Nortona zwisała, a jego białe włosy opadły w pył drogi.

– Panowie, ten człowiek jest moim dziadkiem!

– Ale on jest biały, nazywa się Norton.

– Chyba znam własnego dziadka! To Thomas Jefferson, a ja jestem jego wnukiem – po „czarnej kądzieli” – powiedział ten wysoki.

– Sylvester, wierzę, że masz rację. Naprawdę wierzę – przyznał drugi, patrząc na pana Nortona. – Spójrz na te rysy.

Zupełnie jak twoje – spod tej samej sztancy. Jesteś pewien, że nie wypluł cię na ziemię w pełnym ubraniu?

– Nie, nie, to był mój ojciec – powiedział z powagą wysoki.

I zaczął gwałtownie przeklinać swojego ojca, gdy szliśmy do wejścia. Czekał tam Halley. Udało mu się jakoś uciszyć tłum i w środku pomieszczenia zrobiono trochę miejsca. Mężczyźni podeszli, by przyjrzeć się panu Nortonowi.

– Niech ktoś przyniesie krzesło.

– Taa, niech pan Eddy se siadnie.

– To nie żaden pan Eddy, człowieku, to John D. Rockefeller – powiedział ktoś.

– Oto krzesło dla Mesjasza.

– Cofnijcie się wszyscy – zarządził Halley. – Dajcie mu trochę powietrza.

Podszedł szybko Burnside, który dawniej był lekarzem, i zmierzył puls panu Nortonowi.

– Jest ciągły! Ten człowiek ma ciągły puls! Zamiast bić, wibruje. To bardzo niezwykle. Bardzo.

Ktoś go odciągnął. Pojawił się ponownie Halley, z butelką i szklanką.

– Niech no ktoś odchyli mu głowę do tyłu.

I zanim zdążyłem się poruszyć, zbliżył się niski, ospowaty mężczyzna, ujął głowę pana Nortona w dłonie i odchylił ją na długość ramienia, a potem przytrzymując delikatnie brodę jak fryzjer, który ma za moment przyłożyć do niej brzytwę, wykonał nagły, szybki ruch.

– Pach!

Głowa pana Nortona odskoczyła jak uderzony worek treningowy. Na białym policzku wykwitło pięć bladoczerwonych pręg, które jarzyły się jak ogień pod przezroczystym kamieniem. Nie wierzyłem własnym oczom. Chciałem uciec. Jakaś kobieta zachichotała. Widziałem, jak paru mężczyzn rzuca się do drzwi.

– Przestań, ty przeklęty durniu!

– Przypadek hysterii – powiedział spokojnie ospowaty.

– Zjeżdżaj z drogi – wrzasnął Halley. – Niech ktoś ściągnie z góry tego kapusia strażnika. Dawajcie go tutaj, szybko!

– Zwykły przypadek lekkiej hysterii – powiedział ospowaty, kiedy go odciągali.

– Pospiesz się z tym kielichem, Halley!

– Trzymaj szklankę, uczniak. To brandy, którą chowałem dla siebie.

Ktoś szepnął mi bezbarwnym głosem do ucha:

– Widzisz, mówiłem ci, że to nastąpi o piątej trzydzięci. Już przybył Stwórca. – Był to ów mężczyzna o statecznej twarzy.

Widziałem, jak Halley przechyla butelkę i przelewa do szklanki oleisty bursztyn brandy. Potem odchyliłem głowę pana Nortona do tyłu, przyłożyłem szklankę do jego ust i wlałem tam płyn. Z kącika ust pociekła po jego delikatnej brodzie cienka, brązowa strużka. W sali nagle zrobiło się cicho. Poczułem pod dłonią lekki ruch, jak piersi dziecka, kiedy kwili pod koniec napadu płaczu. Zatrzepotały pokryte drobnymi żyłkami powieki. Pan Norton zakasłał. Zobaczyłem czerwony rumieniec z wolna wypełzający na jego szyję, a potem rozszerzający się na całą twarz.

– Trzymaj mu to pod nosem, uczniak. Niech to powącha.

Poruszyłem szklanką pod nosem pana Nortona. Otworzył bladoniebieskie oczy. Przy czerwonym rumieńcu, w którym skąpana była jego twarz, wydawały się teraz wodniste. Spróbował usiąść prosto, a jego prawa dłoń uniosła się, dygocząc do brody. Otworzył szeroko oczy i przebiegł szybko wzrokiem od twarzy do twarzy. Kiedy dotarł do mojej, zatrzymał spojrzenie, a w jego wilgotnych oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– Był pan nieprzytomny, proszę pana – powiedziałem.

– Gdzie ja jestem, młodzieńcze? – spytał znużonym głosem.

– To Golden Day, proszę pana.

– Co?

– Golden Day. Coś w rodzaju domu gry i schadzek – dodałem z ociąganiem.

– Tera daj mu jeszcze jednego kielicha – powiedział Halley.

Nalałem szklankę i podałem panu Nortonowi. Powąchał, zamknął oczy, jakby ze zdziwienia, a potem wypił; jego policzki wydęły się jak małe miechy; otarł usta.

– Dziękuję – powiedział, nieco silniejszym teraz głosem. – Co to za miejsce?

– Golden Day – odparło chórem kilku pacjentów.

Potoczył powoli wzrokiem dookoła, spojrzął na balkon z drewnianymi wolutami i rzeźbami. Nad podłogą zwisała luźno duża flaga. Zmarszczył brwi.

– Do czego wykorzystywano ten budynek w przeszłości? – spytał.

– To był kościół, potem bank, potem była tu restauracja i wykwintny dom gry, a teraz my to dostaliśmy – wyjaśnił Halley. – Ktoś chyba mówił, że było tu też więzienie.

– Pozwalają nam tu przyjść raz w tygodniu, żeby trochę porozrabiać – powiedział ktoś.

– Nie mogłem kupić whisky na wynos, więc musiałem wnieść pana do środka – wyjaśniłem ze strachem.

Rozejrzał się wokół siebie. Podążyłem za jego wzrokiem i zdumiałem się na widok różnorodnych min na twarzach pacjentów, kiedy w milczeniu odpowiadali mu spojrzeniami. Niektóre były wrogie, niektóre unione, niektóre przerażone; niektórzy, najbardziej gwałtowni, kiedy byli wśród swoich, teraz wydawali się potulni jak dzieci. A niektórzy wyglądali na dziwnie rozbawionych.

– Wszyscy jesteście pacjentami? – zapytał pan Norton.

– Ja tylko prowadzę tę knajpę – wyjaśnił Halley. – Ci inni faceci tutaj...

– Jesteśmy pacjentami przysłanymi tu na terapię – powiedział niski, gruby mężczyzna o bardzo inteligentnym wyglądzie. – Ale – uśmiechnął się – przysyłają z nami strażnika, takiego jakby cenzora, dla dopilnowania, żeby terapia nie poskutkowała.

– Jesteś stuknięty. Ja jestem generatorem energii. Przychodzę tu naładować swoje baterie – powiedział z naciskiem jeden z weteranów.

– Ja jestem badaczem historii, proszę pana – przerwał mu inny, dramatycznie gestykułując. – Świat wiruje jak koło ruletki. Na początku górą jest czerni, w epokach środkowych wygrywa biel, ale wkrótce rozpostrze swe szlachetne skrzydła Etiopia! Wtedy stawiajcie pieniądze na czarne! – Głos mu drżał od emocji. – Do tego czasu słońce nie będzie dawać ciepła, w jądrze ziemi będzie lód. Za dwa lata będę w odpowiednim wieku, żeby sprawić mojej matce mulatce kąpiel, tej na poły białej suce! – dodał, zaczynając podskakiwać w napadzie szkliskookiej furii.

Pan Norton zamrugał i wyprostował się.

– Jestem lekarzem, mogę sprawdzić panu puls? – spytał Burnside, chwytając nadgarstek pana Nortona.

– Nie zwracaj pan na niego uwagi. Od dziesięciu lat nie jest lekarzem. Przyłapali go, jak próbował zmienić krew w pieniądze.

– I zrobiłem to! – wrzasnął Burnside. – Odkryłem to, a John D. Rockefeller ukradł mi przepis.

– Pan Rockefeller, powiedziałeś? – rzekł pan Norton. – Na pewno się mylisz.

– CO SIĘ DZIEJE TAM NA DOLE? – krzyknął jakiś głos z balkonu. Wszyscy się odwrócili. Zobaczyłem potężnego czarnego olbrzyma, odzianego tylko w białe szorty i chwiejącego się na schodach. Th był strażnik Supercargo. Ledwie go poznałem bez jego sztywno wykrochmalonego białego munduru. Zwykle przechadzał się, grożąc pacjentom kaftanem bezpieczeństwa, który zawsze nosił na ramieniu, i zwykle byli w jego obecności spokojni i ulegli. Teraz jednak zdawali się go nie poznawać i zaczęli miotać przekleństwa.

– Jak chcesz tu utrzymać porządek, jeśli jesteś pijany? – zawołał Halley. – Charlene! Charlene!

– Taa? – odpowiedział chmurnie z jakiegoś pokoju za balkonem zadziwiająco potężny głos kobiety.

– Zabierz z powrotem do siebie tego kablującego, psującego radość ochlapusa i wytrzeźw go. Potem nałoż mu jego biały garnitur i sprowadź na dół, żeby pilnował porządku. Mamy tu białych.

Na balkonie pojawiła się kobieta, owijając się wełnianym, różowym szlafrokiem.

– Posłuchaj no, Halley – powiedziała, przeciągając samogłoski. – Jestem kobietą. Jeśli trzeba go ubrać, sam możesz to zrobić. Ja tam wkładam ubranie tylko na jednego chłopca, a on jest w Nowym Orleanie.

– Mniejsza z tym. Ten kapuś ma być trzeźwy!

– Utrzymać porządek tam na dole – zagrzmiął Supercargo – a skoro są tam biali, utrzymać podwójny porządek!

Od mężczyzn stojących przy barze dobiegł nagle wściekły ryk. Zobaczyłem, że wbiegają szybko na schody.

- Brać go!
- Dajmy mu porządek!
- Z drogi.

Pięciu mężczyzn zaatakowało schody. Widziałem, jak olbrzym pochylił się i chwycił obiema rękami za słupki u góry, przygotowując się do odparcia szturmu. Jego ciało w białych szortach lśniło nagością. Na czele był ten drobny mężczyzna, który spoliczkował pana Nortona, i kiedy biegł po długich schodach, widziałem, jak strażnik się spręży, po czym kopie go, gdy ten dotarł do szczytu, mocno w pierś, posyłając lotem nurkowym w środek pacjentów, którzy byli z tyłu. Supercargo przygotował się znowu do zadania ciosu nogą. Schody były wąskie i mógł się na nich zmieścić tylko jeden człowiek. Ledwie któryś wbiegł, olbrzym odrzucał go kopniakiem. Machał nogą, posyłając ich w dół niczym pałkarz odbijający piłki. Na jego widok zapomniałem o panu Nortonie. Gol den Day pogrążył się w chaosie. Z pokojów za balkonem wyłoniły się na wpół ubrane kobiety. Mężczyźni wyli i ryczeli jak na meczu futbolowym.

– UTRZYMAĆ PORZĄDEK! – krzyknął olbrzym, zrzucając kolejnego mężczyznę ze schodów.

– RZUCAJĄ BUTELKAMI Z GORZAŁĄ! – wrzasnęła jakaś kobieta. – PRAWDZIWA GORZAŁĄ!

- To nie porzundek, co on chce – powiedział ktoś.

O balkon tłukł grad butelek i szklanek rozchlapujących whisky. Zobaczyłem, że Supercargo nagle się prostuje i chwytą za czoło, a twarz ma skąpaną w whisky.

- Iiii! – wrzasnął. – Iiii!

Potem ujrzałem, że się kołysze, sztywny od kostek w górę. Przez chwilę mężczyźni na schodach stali nieruchomo, obserwując go. Następnie skoczyli do przodu.

Supercargo chwycił się rozpaczliwie balustrady, kiedy złapali go za stopy i ruszyli na dół. Gdy ciągnęli jego kostki jak członkowie ochotniczej straży pożarnej wąż gaśniczy, jego głowa podskakiwała na stopniach z hukiem przywodzącym na myśl serię wystrzałów karabinowych. Tłum ruszył do przodu. Halley wrzasnął koło mojego ucha. Widziałem, że wleczono strażnika na środek sali.

- Dajcie sukinsynowi porządek!
- Mam czterdzieści pięć lat, a on się zachowuje, jakby był moim starym!
- A więc lubisz kopać, co! – powiedział wysoki mężczyzna, celując butem w głowę strażnika. Jego prawa brew podskoczyła, jakby ją nadmuchano.

Potem usłyszałem, że pan Norton krzyczy obok mnie:

- Nie, nie! Nie leżącego!
- Słuchajta białych – powiedział ktoś.
- On jest człowiekiem białych!

Teraz ludzie skakali po Supercargo oboma nogami i poczułem takie podniecenie, że chciałem się do nich przyłączyć. Nawet dziewczyny wrzeszczały:

- Dajta mu bobu!
- On mnie nigdy nie płaci!
- Zabijcie go!
- Proszę was wszystkich, nie tutaj! Nie w moim lokalu! – wrzasnął Halley.
- Nie możesz powiedzieć, co myślisz, kiedy on ma służbę!
- Tak, do diabła!

Odepchnięto mnie jakoś od pana Nortona i znalazłem się obok mężczyzny zwanego Sylwestrem.

- Popatrz na to, uczniaku – powiedział. – Widzisz to miejsce, gdzie krwawi mu z żeber?

Skinałem głową.

– Teraz nie odwracaj wzroku.

Patrzyłem w to miejsce jak urzeczony, tuż pod najniższym zębem i nad kością biodrową, kiedy Sylvester przymierzył się dokładnie do ciosu palcem stopy i kopnął tak, jakby chciał podać wysoko piłkę. Supercargo wydał jęk niczym zraniony koń.

– Spróbuj, uczniaku, to takie przyjemne. Przynosi ulgę – powiedział Sylvester. – Czasami tak się go boję, że czuję go w swojej głowie. Masz! – rzekł, dając Supercargo kolejnego kopniaka.

Wciąż się przyglądałem, kiedy jakiś mężczyzna wskoczył na klatkę piersiową Supercargo oboma nogami i strażnik stracił przytomność. Zaczęli polewać go zimnym piwem, cucić, po to tylko, by znowu skopać go do nieprzytomności. Wkrótce złany był krwią i piwem.

– Sukinsyn odjechał.

– Wyrzucicie go.

– Nie, chwila. Pomóż no mi który.

Rzucili go na bar i rozciągnęli na kontuarze z rękami złożonymi na piersi jak u nieboszczyka.

– Teraz się napijmy!

Halley zbyt wolno wchodził za bar, więc go sklęli.

– Wracaj tam i obsłuż nas, ty worku tłuszczu!

– Daj mnie żytniówkę!

– Tutaj, cykorze!

– Ruszże tą tłustą dupą!

– Dobrze, dobrze, spokojnie – rzekł Halley, przyspieszając kroku, by nalać im po kielichu.

– Tylko poprzyjcie słowa czynami i dajcie mi pieniądze.

Ponieważ Supercargo leżał bezradnie na barze, jego podopieczni miotali się jak szaleńcy. Zapewne podniecenie nieco za daleko przechyliło szalę niektórym z tych delikatniej zrównoważonych. Część z nich wygłaszała napiętymi do ostateczności głosami wrogie przemowy przeciwko szpitalowi, stanowi i uniwersytetowi. Ten, który nazywał siebie kompozytorem, wykonywał na rozstrojonym pianinie jedyny dziki utwór, który zdawał się znać, waląc w klawiaturę pięściami i łokciami i dopełniając efektu basowym głosem przypominającym jęk konającego niedźwiedzia. Jeden z najbardziej wykształconych dotknął mojego ramienia. Był dawnym chemikiem, którego nigdy nie widziano bez lśniącej odznaki Phi Beta Kappa.

– Ci ludzie stracili panowanie nad sobą – powiedział przez wrzawę. – Chyba będzie lepiej, jak stąd wyjdziecie.

– Zamierzam to zrobić – odparłem – kiedy tylko uda mi się dotrzeć do pana Nortona.

Pana Nortona nie było tam, gdzie go zostawiłem. Miotałem się w hałaśliwym tłumie, wykrzykując jego nazwisko.

Znalazłem go pod schodami. Został tam jakoś wciśnięty przez zataczających się, przepychających mężczyzn i leżał bezwładnie na fotelu jak stara lalka. W przyćmionym świetle jego rysy były ostre i białe, a zamknięte oczy rysowały się wyraźnymi liniami w dobrze wyrzeźbionej twarzy. We wrzawie zawołałem go po nazwisku, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Znowu był nieprzytomny. Potrząsnąłem nim łagodnie, a potem gwałtownie, ale jego pomarszczone powieki ani drgnęły. Wtedy kotłujący się mężczyźni popchnęli mnie na niego i nagle o dwa cale od moich oczu zamajaczyła masa bieli; była to tylko jego twarz, ale poczułem dreszcz nieokreślonego przerażenia. Nigdy wcześniej nie znalazłem się tak blisko białej osoby. Ogarnięty paniką próbowałem się od niego odsunąć. Z zamkniętymi oczami wydawał się groźniejszy niż z otwartymi. Był jak bezkształtna biała śmierć, która nagle wyrosła przede mną, śmierć, która była tam cały czas, a teraz objawiła się w szaleństwie panującym w Golden Day.

– Przestań wrzeszczeć! – rozkazał jakiś głos i poczułem, że ktoś mnie odciąga. Był to ów niski, gruby mężczyzna.

Zacisnąłem usta, uświadomiwszy sobie po raz pierwszy, że ten przenikliwy krzyk dobywał się z mojego własnego gardła. Zobaczyłem, że twarz mężczyzny rozluźnia się, kiedy obdarzył mnie kpiarskim uśmiechem.

– Tak jest lepiej – krzyknął mi do ucha. – On jest tylko człowiekiem. Zapamiętaj to. Jest tylko człowiekiem!

Chciałem mu powiedzieć, że pan Norton jest kimś więcej, że jest bogatym białym i że jest pod moją opieką, ale sama myśl o tym, że jestem za niego odpowiedzialny, była zbyt trudna do zniesienia, bym ujął ją słowami.

– Zabierzmy go na balkon – powiedział ów człowiek, popychając mnie w kierunku stóp pana Nortona. Automatycznie chwyciłem cienkie kostki, a on wziął białego pod pachy, uniósł i wyciągnął tyłem spod schodów. Głowa pana Nortona opadła na pierś, jakby był pijany albo martwy.

Weteran ruszył w górę po schodach, nadal uśmiechnięty, wchodząc tyłem stopień po stopniu. Zacząłem się martwić, czy nie jest pijany jak reszta, kiedy zobaczyłem, że trzy z dziewczyn, które wcześniej opierały się o balustradę i przyglądały burdzie, schodzą na dół, aby pomóc nam wnieść pana Nortona.

– Wygląda na to, że papcio ma słabą głowę – zawołała jedna z nich.

– Jest pijany jak bela.

– Taa, mówię wam, ten zajzajer, co go Halley wyciągnął, jest za mocny dla białych.

– Nie pijany, chory! – powiedział gruby. – Idźcie znaleźć jakieś nie używane łóżko, żeby mógł się trochę wyciągnąć.

– Ta jest, ojczulku. Masz jeszcze jakieś inne drobne życzenia, które mogłabym spełnić?

– To wystarczy – odparł.

Jedna z dziewcząt pobiegła przodem.

– Na moim dopiero co zmieniono pościel. Przynieście go tutaj – rzekła.

Po paru minutach pan Norton leżał na trzyćwierciowym łóżku, słabo oddychając. Patrzyłem, jak gruby pochyła się nad nim bardzo profesjonalnie i sprawdza mu puls.

– Jesteś lekarzem? – spytała któraś z dziewczyn.

– Teraz jestem pacjentem. Ale mam pewną wiedzę.

Jeszcze jeden, pomyślałem, odsuwając go szybko na bok.

– Nic mu nie będzie – oznajmiłem. – Pozwólcie mu dojsć do siebie, żeby mógł go stąd zabrać.

– Nie musisz się martwić, nie jestem taki jak ci na dole, młody kolego – powiedział. – Naprawdę byłem lekarzem. Nie zrobię mu krzywdy. Doznał jakiegoś lekkiego wstrząsu.

Patrzyliśmy, jak ponownie pochyła się nad panem Nortonom, mierząc mu puls i odchylając powieki.

– To lekki wstrząs – powtórzył.

– W tym Golden Day każdy może doznać wstrząsu – stwierdziła któraś z dziewczyn, wyglądając fartuch na gładkiej, zmysłowej fałdzie brzucha.

Inna odgarnęła panu Nortonowi białe włosy z czoła i pogładziła je, uśmiechając się z nieobecny wyrazem twarzy.

– Jest taki uroczy – powiedziała. – Jak małe białe dziecko.

– Niby stare dziecko? – spytała drobna, chuda dziewczyna.

– Właśnie tak, stare dziecko.

– Ty po prostu lubisz białych mężczyzn, Edna. To wszystko – rzekła ta chuda.

Edna potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, jakby rozbawiona sama sobą.

– Pewnie. Ja ich po prostu kocham. Ten tutaj, chociaż stary, może każdej nocy postawić buty pod moim łóżkiem.

– E tam, chyba bym zabiła takiego starego.

– Akurat – powiedziała Edna. – Dziewczyno, nie wiesz, że ci wszyscy starzy bogaci biali faceci mają małpie gruczoły i jaja jak kozły? Te stare sukinsyny nigdy nie mają dosyć. Chcą mieć cały świat.

Lekarz spojrział na mnie z uśmiechem.

– Widzisz, teraz dowiadujesz się wszystkiego o endokrynologii – oznajmił. – Myliłem się, kiedy ci powiedziałem, że on jest tylko człowiekiem; teraz wygląda na to, że jest częściowo kozłem albo małą. Może i jednym, i drugim.

– To prawda – powiedziała Edna. – Miałam kiedyś jednego w Chicago...

– Przecie ty nigdy nie była w żadnym Chicago, dziewczyno – przerwała jej druga.

– Skąd wiesz, że nie byłam? Dwa lata temu... E tam, nic nie wiesz. Ten stary tutaj mógł se sprawić jaja szakala!

Gruby podniósł się z szerokim uśmiechem.

– Jako uczoney i lekarz zmuszony jestem nie brać tego pod uwagę – stwierdził. – Takiej operacji jeszcze dotąd nie przeprowadzono. – Następnie udało mu się wypchnąć dziewczynę z pokoju. – Gdyby odzyskał przytomność i usłyszał tę konwersację – podjął weteran – wystarczyłoby to, by ją znowu stracił. Poza tym ich ciekawość naukowa mogłaby je doprowadzić do zbadania, czy rzeczywiście ma gruczoł jak mała. A to, obawiam się, byłoby nieco obsceniczne.

– Muszę zawieźć go z powrotem do szkoły – powiedziałem.

– W porządku – rzekł. – Zrobię, co będę mógł, żeby ci pomóc. Spróbuj znaleźć gdzieś trochę lodu. I nie martw się.

Wyszedłem na balkon i ujrzałem czubki głów pacjentów. Nadal kłębili się bezładnie, grała szafa, dudniło pianino, a na końcu sali leżał na barze jak wyczerpany koń zlany piwem Supercargo.

Schodząc na dół, zauważyłem duży kawałek lodu lśniący w resztkę jakiegoś porzuconego napoju, więc chwyciłem jego chłód w gorącą dłoń i pospiesznie wróciłem do pokoju.

Weteran siedział i gapił się na pana Nortona, który posapywał teraz nieco nieregularnie.

– Szybki byłeś – powiedział, kiedy wstał i sięgnął po lód. – Szybki, bo gnany niepokojem – dodał, jakby sam do siebie. – Podaj mi czysty ręcznik – ten obok umywalki.

Wręczyłem mu ręcznik, a on zawinał w niego lód i przyłożył do twarzy pana Nortona.

– Nic mu nie jest? – spytałem.

– Dojdzie do siebie za parę minut. Co mu się stało?

– Zabrałem go na przejażdżkę – powiedziałem.

– Miałeś wypadek czy coś takiego?

– Nie – odpowiedziałem. – Po prostu rozmawiał z jednym wieśniakiem i zmógł go upał...

Potem utknęliśmy w tym tłumie na dole.

– Ile on ma lat?

– Nie wiem, ale jest jednym z powierników...

– Jednym z pierwszych, bez wątpienia – rzekł, przykładając ręcznik do niebiesko pożyłkowanych oczu. – Powiernikiem świadomości.

– Co to znaczy?

– Nic... No proszę, wychodzi z tego.

Miałem chęć uciec z pokoju. Bałem się tego, co powie mi pan Norton, wyrazu, jaki mógł się pojawić w jego oczach. A mimo to bałem się odejść. Nie mogłem odwrócić oczu od tej twarzy z drgającymi powiekami. Głowa przechylała się w bladym świetle żarówki z boku na bok, jak gdyby zaprzeczając jakiemuś natrętnemu głosowi, którego nie słyszałem. Potem otworzyły się powieki, ukazując blade sadzawki niebieskiej mglistości, które stężyły w końcu w punkty i skupiły się na spoglądającym bez uśmiechu weteranie.

Tacy ludzie jak my nie patrzyli na takiego człowieka jak pan Norton w ten sposób, więc wysunąłem się pospiesznie do przodu.

– To prawdziwy lekarz, proszę pana – wyjaśniłem.

– Wszystko wyjaśnię – rzekł weteran. – Przynieś szklankę wody. – Zawahałem się. Spojrzał na mnie surowo. – Przynieś tę wodę – powiedział i obrócił się, by pomóc panu Nortonowi usiąść.

Na balkonie poprosiłem Ednę o szklankę wody. Zaprowadziła mnie korytarzem do małej kuchni, gdzie nałała mi jej z zielonej staromodnej chłodziarki.

– Mam dobry trunek, złotko, jeśli chcesz mu dać coś do picia – powiedziała.

– To wystarczy – rzekłem.

Tak mi się trzęsły ręce, że trochę wody wylałem. Kiedy wróciłem, pan Norton siedział bez pomocy, prowadząc rozmowę z weteranem.

– Oto woda, proszę pana – powiedziałem, wyciągając rękę ze szklanką.

Wziął ją.

– Dziękuję – powiedział.

– Nie za dużo – ostrzegł weteran.

– Pana diagnoza jest dokładnie taka jak mojego specjalisty – stwierdził pan Norton – a byłem u kilku świetnych lekarzy, zanim któremu udało się wreszcie ją postawić. Skąd pan wiedział?

– Ja też byłem specjalistą – odparł weteran.

– Ale skąd? W całym kraju tylko paru ludzi posiada tę wiedzę...

– Wobec tego jeden z nich jest pensjonariuszem zakładu dla półobląkanych – powiedział weteran. – Ale nie ma w tym niczego tajemniczego. Uciekłem na pewien czas – pojechałem do Francji z wojskowym korpusem medycznym i zostałem tam po zawieszeniu broni, żeby studiować i praktykować.

– Ach tak, a jak długo był pan we Francji? – spytał pan Norton.

– Wystarczająco długo – odparł weteran. – Wystarczająco długo, by zapomnieć o pewnych sprawach podstawowych, o których nigdy nie powinienem był zapomnieć.

– O jakich sprawach podstawowych? – rzekł pan Norton. – Co pan ma na myśli?

Weteran uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

– O sprawach związanych z życiem. O takich rzeczach, o których większość wieśniaków wie prawie zawsze z doświadczenia, chociaż rzadko ze świadomych przemyśleń...

– Proszę mi wybaczyć, proszę pana – zwróciłem się do pana Nortona – ale skoro czuje się pan już lepiej, czy nie powinniśmy jechać?

– Jeszcze nie – powiedział. Potem rzekł do lekarza: – Bardzo mnie to ciekawi. Co się panu przydarzyło? – Kropla wody zawieszona na jednej z jego brwi iskrzyła się jak okrusz diamentu. Podeszedłem bliżej i usiadłem na krześle. Niech piekło pochłonie tego weterana!

– Na pewno chciałby pan o tym usłyszeć? – spytał weteran.

– Ależ oczywiście.

– Wobec tego może ten kawaler powinien zejść na dół i poczekać...

Kiedy otworzyłem drzwi, z dołu dobiegły krzyki i łomot.

– Nie, może powinien zostać – rzekł gruby. – Może gdybym usłyszał coś z tego, o czym chcę teraz opowiedzieć, kiedy byłem studentem tam na wzgórzu, nie stałbym się tą ofiarą, którą jestem.

– Usiądź, młodzieńcze – polecił mi pan Norton. – A więc był pan studentem tej uczelni – powiedział do weterana.

Znowu opadłem na krzesło, z niepokojem myśląc o doktorze Bledsoe, a gruby opowiedział panu Nortonowi o tym, jak studiował, potem został lekarzem i popłynął do Francji podczas wojny światowej.

– Odnosił pan sukcesy jako lekarz? – spytał pan Norton.

– Owszem. Przeprowadziłem kilka operacji mózgu, dzięki którym zyskałem pewne uznanie.

– To dlaczego pan wrócił?

– Nostalgia – odparł weteran.

– To co, u licha, robi pan w tym...? – rzekł pan Norton. – Z pana zdolnościami...

– Wrzody – powiedział gruby.

– To straszny pech, ale dlaczego wrzody miałyby przerwać panu karierę?

– Niezupełnie tak było, ale przy ich okazji dowiedziałem się, że moja praca nie może mi zapewnić żadnej godności.

– Teraz słyhać w tym gorycz – stwierdził pan Norton i w tej samej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi.

Zajrzała przez nie brązowoskóra kobieta o rudych włosach.

– Jak sobie radzi biały? – zapytała, wchodząc chwiejnym krokiem do pokoju. – Białasku, doszłeś do siebie. Chcesz kielicha?

– Nie teraz, Hester – powiedział weteran. – Jest jeszcze trochę słaby.

– Toć widać. Właśnie dlatego potrzebuje kielicha. Trochę żelaza we krwi.

– No, no, Hester.

– Dobra, dobra... Ale co wy tu wszystkie robicie z gębami jak na pogrzebie? Nie wiesz, że to Golden Day? – Podeszła do mnie, bekając elegancko i zataczając się. – Spójrzta tylko na siebie. Ten ucniak wygląda, jakby był przestraszony na śmierć. A białasek gapi się na was, jakby wy byli dwa dziwne pudła. Bawta się wszystkie dobrze! Zejdź na dół i powiem Halleyowi, żeb wam podesłał parę kielichów. – Poklepała po policzku pana Nortona, na co ten się zaczerwienił. – Baw się dobrze, białasku.

– Aaa, ha! – parsknął weteran – rumieni się pan, co znaczy, że czuje się pan lepiej. Niech się pan nie wstydzi. Hester jest wielką humanistką, terapeutką o hojnej naturze i wielkich umiejętnościach, no i ma uzdrowicielski dotyk. Jej katharsis jest niezwykle ogromna – ha, ha!

– Rzeczywiście wygląda pan lepiej, proszę pana – powiedziałem, pragnąc stąd wyjść. Rozumiałem słowa weterana, ale nie to, co wyrażały, a pan Norton wyglądał tak nieswojo, jak ja się czułem. Jedno wiedziałem na pewno: że weteran zachowuje się wobec tego białego ze swobodą, która mogła przynieść kłopoty. Chciałem powiedzieć panu Nortonowi, że ten człowiek jest wariatem, a mimo to odczuwałem bojaźliwą satysfakcję, słysząc, jak rozmawia z białym. Co innego ta dziewczyna. Kobiecie uchodzą zwykle na sucho rzeczy, których mężczyźni nigdy by nie wybaczone.

Byłem mokry z niepokoju, ale weteran mówił dalej, zignorowawszy moje słowa.

– Odpoczywaj pan, odpoczywaj – rzekł, wbijając wzrok w pana Nortona. – Wszystkie zegary zostały cofnięte, a na dole szaleją siły zniszczenia. Mogą sobie nagle uświadomić, że jest pan tym, kim pan jest, a wtedy pańskie życie nie byłoby warte nawet części masy upadłościowej. Zostałby pan anulowany, przedziurkowany, unieważniony, stał się dostrzeżonym magnesem przyciągającym luźne śruby. Co by pan wtedy zrobił? Na takich ludziach pieniądze nie robią wrażenia, a skoro Supercargo leży nieprzytomny jak powalony wół, nie znają niczego wartościowego. Dla niektórych jest pan wielkim białym ojcem, dla innych oprawcą linczującym dusze, ale dla wszystkich chaosem, który zawitał do Golden Day.

– O czym pan mówi? – odezwałem się, myśląc: Oprawcą? Ogarniało go większe szaleństwo niż mężczyzn na dole. Nie śmiałem spojrzeć na pana Nortona, który wydał pomruk na znak protestu.

Weteran zmarszczył czoło.

– To sprawa, z którą mogę się zmierzyć tylko poprzez unikanie jej. Zupełnie głupie twierdzenie, a te ręce, tak pieczołowicie wyćwiczone do panowania nad skalpelem, pragną pieścić spust broni. Wróciłem, by ratować życie, i zostałem odrzucony – powiedział. –

Dziesięciu mężczyzn w maskach wywiozło mnie o północy z miasta i wychłostało biczami za ocalenie ludzkiego żyda. I zmuszono mnie do największego upokorzenia, bo posiadałem wprawne ręce i wierzyłem, że moja wiedza może przynieść mi godność – nie bogactwo, tylko godność – i zdrowie innym ludziom!

Potem wbił nagle wzrok we mnie.

– Teraz rozumiesz?

– Co? – spytałem.

– To, co usłyszałeś!

– Nie wiem.

– Dlaczego?

Powiedziałem:

– Naprawdę myślę, że czas już iść.

– Widzi pan – podjął weteran, obracając się do pana Nortona – ma oczy, uszy i dobry rozdęty afrykański nos, ale nie potrafi zrozumieć prostej, smutnej rzeczywistości. Zrozumieć. Zrozumieć? Jest jeszcze gorzej. Rejestruje ją swoimi zmysłami, ale nie dopuszcza jej do mózgu. Nic nie ma znaczenia. Pochłaniają, ale nie trawi. Już jest – na mą duszę! patrzcie! – żywym trupem! Już nauczył się tłumić nie tylko swoje emocje, ale człowieczeństwo. Jest niewidzialny, jest żywą personifikacją Negatywu, najdoskonalszym urzeczywistnieniem waszych marzeń, mój panie! Mechanicznym człowiekiem!

Pan Norton miał zdumioną minę.

– Niech mi pan powie – rzekł weteran, nagle spokojny. – Dlaczego interesuje się pan tą szkołą, panie Norton?

– Z powodu poczucia wyznaczonej mi przez los roli – powiedział drżącym głosem pan Norton. – Czułem i nadal czuję, że wasz lud jest w jakiś ważny sposób związany z moim przeznaczeniem.

– Co pan rozumie przez przeznaczenie? – spytał weteran.

– Ależ oczywiście powodzenie mojego dzieła.

– Rozumiem. A rozpoznałby je pan, gdyby je zobaczył?

– Ależ oczywiście, że rozpoznałbym – oznajmił z oburzeniem pan Norton. – Widzę, jak rośnie każdego roku, kiedy wracam na kampus.

– Kampus? Dlaczego kampus?

– Bo właśnie tam urzeczywistnia się moje przeznaczenie.

Weteran wybuchnął śmiechem.

– Kampus, co za przeznaczenie! – Wstał i ze śmiechem obszedł dookoła wąski pokój. Potem zatrzymał się tak samo nagle jak ruszył do marszu. – Trudno będzie panu w tym się zorientować, ale doskonale się złożyło, że przyszedł pan do Golden Day z tym młodym człowiekiem – powiedział.

– Przyszedłem z powodu choroby, a raczej on mnie przyprowadził – rzekł pan Norton.

– Oczywiście, ale przyszedł pan, i doskonale się złożyło.

– O co panu chodzi? – spytał pan Norton z irytacją.

– Powiedzie ich małe dziecko – rzekł weteran z uśmiechem. – Ale poważnie, bo obaj nie rozumiecie, co się wam przydarzyło. Nie widzicie, nie słyszycie ani nie czujecie prawdy tego, na co patrzycie – i to pan, szukający przeznaczenia! To typowe! A ten chłopak, ten automat, ulepiony został z błota tego regionu i widzi jeszcze mniej niż pan. Biedne niedorajdy, żaden z was nie potrafi zobaczyć drugiego. Dla pana jest on punktem na koncie pańskich osiągnięć, rzeczą, a nie człowiekiem, dzieckiem, czy nawet mniej niż dzieckiem – czarną, bezkształtną rzeczą. A pan, z powodu całej swej potęgi, nie jest dla niego człowiekiem, ale Bogiem, siłą...

Pan Norton nagle wstał.

– Chodźmy, młodzieńcze – powiedział ze złością.

– Nie, słuchaj pan. On wierzy w pana jak w bicie swojego serca. Wierzy w tę wielką, fałszywą mądrość, której uczy się zarówno niewolników, jak pragmatyków, że biel jest słuszna. Mogę panu powiedzieć, jakie jest jego przeznaczenie. Wykona pańskie rozkazy, a jego ślepotą będzie przy tym jego głównym atutem. To pański człowiek, przyjacielu. Pański człowiek i pańskie przeznaczenie. A teraz zejście po schodach w chaos i wypieprzajcie stąd. Robi mi się niedobrze przez te wasze żałosne sprośności! Zjeżdżajcie stąd, zanim wyświadczę wam obu przysługę i rozwalę wam głowy!

Zobaczyłem, że ruszył w kierunku dużego białego dzbana na umywalce, więc zasłoniłem pana Nortona i wyprowadziłem go szybko przez drzwi. Obejrzałem się na weterana i ujrzałem, że oparł się o ścianę, wydając głos, który był mieszaniną śmiechu i płacznego jęku.

– Szybko, ten człowiek jest tak samo pomyłony jak reszta – powiedział pan Norton.

– Tak, proszę pana – rzekłem, zauważając nową nutę w jego głosie.

Na balkonie było teraz równie głośno jak na parterze. Dziewczyny i pijani weterani zataczali się ze szklankami w rękach. Kiedy przechodziliśmy obok jakichś otwartych drzwi, zobaczyła nas Edna i chwyciła mnie za ramię.

– Gdzie zabierasz białaska? – zapytała wyzywająco.

– Z powrotem do szkoły – odparłem, strząsając jej dłoń.

– Nie chcesz tam wracać, białasku – powiedziała. Próbowałem się precyzyjnie obok niej. – Ja nie kłamie – powiedziała. – Jestem najlepszą gospodynią w tym interesie.

– Dobrze, ale proszę, zostaw nas w spokoju – rzekłem błagalnie. – Wpakujesz mnie w kłopoty.

Schodziliśmy teraz na dół, między kłębiących się mężczyzn, a ona wrzasnęła:

– No to mi zapłaćcie! Jak jest dla mnie za dobry, to niech zapłaci!

I zanim zdołałem ją powstrzymać, popchnęła pana Nortona i obaj zbiegliśmy niepewnym krokiem po schodach. Wylądowałem na mężczyźnie, który podniósł głowę z anonimową zażyłością pijaka i szorstko odsunął mnie na bok. Kiedy zatapiałem się dalej w tłum, widziałem, jak pan Norton obraca się obok mnie. Rozległ się wrzask jakiejś dziewczyny i krzyk Halleya:

– Hej! Hej! Hej, tam!

Później poczułem powiew świeżego powietrza i zobaczyłem, że jestem blisko drzwi, więc wyostałem się z cizby. Stałem, dysząc i przygotowując się do wskoczenia z powrotem po pana Nortona, kiedy usłyszałem, że Halley krzyczy: – Zróbcie przejście! – i zobaczyłem, że prowadzi pana Nortona do drzwi.

– Uff! – powiedział, puszczając białego i potrząsając swoją wielką głową.

– Dzięki, Halley... – zacząłem i urwałem.

Pan Norton, znowu z błądą twarzą, w pogniecionym, zniszczonym białym garniturze, skrobał głową o siatkę drzwi.

– Hej!

Otworzyłem drzwi i podniosłem go.

– Niech to szlag trafi, znowu odjechał – powiedział Halley. – Dlaczegoś przywiózł tu tego białego, uczniaku?

– Czy on umarł?

– UMARŁ! – krzyknął Halley, cofając się z oburzeniem. – On nie może umrzeć!

– Co ja zrobię, Halley?

– Nie może umrzeć w moim lokalu – dodał, klękając.

Pan Norton podniósł głowę.

– Nikt nie umarł ani nie umiera – warknął. – Zabierz ręce!

Zdumiony Halley odskoczył od niego.

– Na pewno się cieszę. Na pewno czuje się pan dobrze? Myślałem, że tym razem na pewno pan umarł.

– Na miłość boską, bądź cicho! – wybuchnąłem zdenerwowany. – Powinieneś się cieszyć, że nic mu nie jest.

Pan Norton był teraz wyraźnie zły, miał obtarte czoło, pospieszyłem więc przed nim do samochodu. Wsiadł bez pomocy, a ja zająłem miejsce za kierownicą, czując woń miętówek i dymu cygarowego. Milczał, kiedy odjeżdżałem.

Rozdział 4

Kierownica wydawała się obcą rzeczą w moich rękach, kiedy podążałem białą wstęgą szosy. Z szarego betonu unosiły się upalne promienie późnopołudniowego słońca, drgając jak znużone tony odległej trąbki słane w nieruchome powietrze o północy. W lusterku widziałem pana Nortona, patrzącego z nieobecny wyrazem twarzy na puste pola. Miał zaciśnięte usta, a jego białe czoło było sine w miejscu, gdzie otarło się o siatkę. A widząc go, czułem, jak rozwija się we mnie zimny kłębek strachu. Co się teraz stanie? Co powiedzą władze szkoły? Wyobraziłem sobie, jaką minę będzie miał doktor Bledsoe, kiedy zobaczy pana Nortona. Pomyślałem o złośliwej satysfakcji, którą odczuują pewne osoby w moim mieście, jeśli zostaną wyrzucone ze szkoły. Przez umysł przemknęła mi szeroko uśmiechnięta twarz Tatlocka. Co pomyślą biali, którzy posłali mnie na uczelnię? Czy pan Norton jest na mnie zły? W Golden Day wydawał się odczuwać raczej ciekawość niż cokolwiek innego – dopóki weteran nie zaczął wygadywać bzdur. Niech szlag trafi Trueblooda. To jego wina. Gdybyśmy nie siedzieli tak długo w słońcu, pan Norton nie potrzebowałby whisky i nie musiałbym jechać do Golden Day. I dlaczego weterani zachowali się w taki sposób wobec białego?

Z poczuciem zimnego lęku skierowałem samochód pomiędzy ceglane słupy bramy kampusu. Teraz zdawały się grozić mi nawet rzędy schludnych domów studenckich, pofałdowane trawniki miały równie wrogi wygląd jak szara szosa z białą linią pośrodku. Kiedy mijaliśmy kaplicę z jej niskimi, szerokimi okapami, samochód zwolnił jak gdyby z własnej nieodpartej chęci. Słońce świeciło chłodno przez aleję drzew, pokrywając kręty podjazd jasnymi plamami. Studenci schodzili po zacienionym, porośniętym delikatną trawą zboczu ku ceglasczerwonemu pasowi kortów tenisowych. W oddali gracze w białych strojach odcinali się ostro od czerwieni kortów otoczonych trawą, co tworzyło wesołą panoramę skąpaną w słońcu. W tej krótkiej przerwie usłyszałem podnoszący się wiwat. Świadomość mojego kłopotliwego położenia dźgnęła mnie jak nóż. Miałem wrażenie, że tracę panowanie nad samochodem, więc pośrodku drogi nacisnąłem gwałtownie na hamulec, potem przeprosiłem pana Nortona i pojechałem dalej. Tutaj, w tej cichej zieleni, zdobyłem jedyną tożsamość, jaką kiedykolwiek znałem, i właśnie ją traciłem. Podczas tego krótkiego przejazdu uświadomiłem sobie związek między tymi trawnikami i budynkami a moimi nadziejami i marzeniami. Chciałem zatrzymać samochód i porozmawiać z panem Nortonom, błagać go o wybaczenie za to, co zobaczył; pokazać mu łzy, łzy bez wstydu, jak łzy dziecka przed ojcem; potępić wszystko, co widzieliśmy i słyszeliśmy; zapewnić go, że ponieważ w niczym nie przypominam którejkolwiek ze spotkanych przez nas osób, nienawidzę ich, wierzę w zasady Założyciela całym sercem i duszą i wierzę w jego wrodzoną dobroć i życzliwość w wyciąganiu ręki szczodroliwości w celu wydobycia nas, biednych, ciemnych ludzi, z grzęzawiska i mroku. Wykonałbym jego rozkazy i uczył innych, by powstałi zgodnie z jego życzeniami, uczył ich, jak mają być oszczędnymi, przyzwoitymi, uczciwymi obywatelami, przyczyniającymi się do wspólnego dobra i unikającymi wszystkich dróg oprócz prostej i wąskiej ścieżki, którą wytyczyli nam on i Założyciel. Gdyby tylko nie był na mnie zły! Gdyby dał mi jeszcze jedną szansę!

Oczy wypełniły mi się łzami, alejki i budynki popłynęły i zastygły na moment we mgle, skrząc się jak zima, kiedy deszcz zamarzał na trawie i listowiu, przemieniając kampus w świat bieli, obciążając i zginając zarówno drzewa, jak i krzewy owocami z kryształu. Potem w

mgnieniu oka obraz się rozwiął i powrócił teraźniejszy upał i zieleń. Gdyby tylko udało mi się wytłumaczyć panu Nortonowi, co znaczy dla mnie ta szkoła.

– Czy mam się zatrzymać przy pana apartamencie? – zapytałem. – Czy może mam zawieźć pana do budynku administracji? Doktor Bledsoe może się niepokoić.

– Do mojego apartamentu, a potem przyprowadź do mnie doktora Bledsoe – powiedział krótko.

– Tak jest, proszę pana.

Zobaczyłem w lusterku, że ostrożnie muska czoło pogniecioną chusteczką.

– Lepiej przyślij też do mnie szkolnego lekarza – dodał.

Zatrzymałem samochód przed małym budynkiem z białymi filarami, podobnymi do tych, które zdobią frontony starych dworów na plantacjach, wysiadłem i otworzyłem drzwi.

– Proszę, panie Norton... Przepraszam pana... Ja...

Spojrzał na mnie surowo, zwięzionymi oczami, ale się nie odezwał.

– Nie wiedziałem... proszę...

– Przyślij do mnie doktora Bledsoe – rzucił, odwrócił się i ruszył żwirową ścieżką do budynku.

Wsiadłem z powrotem do samochodu i pojechałem wolno do budynku administracji. Jakaś dziewczyna z bukietem fiołków w ręku pomachała do mnie wesoło, kiedy ją mijałem. Dwóch nauczycieli w ciemnych garniturach rozmawiało przy zepsutej fontannie.

W budynku było cicho. Wchodząc na górę, wyobraziłem sobie doktora Bledsoe, z jego szeroką, okrągłą twarzą, która zdawała się brać swoją formę z tłuszczu prącego na nią od środka, nadającego jej, niczym powietrze wypełniające powłokę balonu, kształt i prężność. – Stary Baniak – mówili o nim niektórzy koledzy. Ja nigdy tak nie powiedziałem. Od początku był dla mnie miły, może dzięki listom, które przysłał mu dyrektor mojej szkoły, kiedy tam przybyłem. Ale przede wszystkim był on przykładem wszystkiego, co miałem nadzieję osiągnąć: miał istotny wpływ na bogaczy w całym kraju, radzono się go w sprawach dotyczących rasy, był przywódcą swojego ludu, posiadaczem niejednego, lecz dwóch cadillaców, dobrej pensji i łagodnej, atrakcyjnej żony o mlecznej cerze. Poza tym, choć był czarny, łysy i odznaczał się wszystkimi cechami, z których kpili biali, zdobył władzę i autorytet; choć był czarny i miał pomarszczoną twarz, osiągnął na świecie ważniejszą pozycję niż większość białych południowców. Mogli się z niego śmiać, ale nie mogli go lekceważyć...

– Wszędzie cię szuka – powiedziała dziewczyna przy biurku.

Kiedy wszedłem, podniósł wzrok znad telefonu i powiedział:

– Mniejsza z tym, jest teraz tutaj. – Odłożył słuchawkę. – Gdzie jest pan Norton? – zapytał podnieconym głosem. – Nic mu nie jest?

– Nie, proszę pana. Zostawiłem go w jego apartamencie i przyjechałem po pana. Chce się z panem zobaczyć.

– Czy coś jest nie tak? – spytał, wstając pospiesznie i obchodząc biurko.

Zawahałem się.

– Widzę, że jest! – zawołał.

Panikarskie bicie serca zdawało się mącić mi wzrok.

– Już nie, proszę pana.

– J u ż? Co to znaczy?

– Popadł w coś w rodzaju omdlenia, proszę pana.

– O mój Boże! Wiedziałem, że coś się stało. Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? – Chwycił czarny kapelusz i skierował się do wyjścia. – Chodź!

Poszedłem za nim, starając się wyjaśnić sytuację.

– Teraz jest już po wszystkim, proszę pana, a byliśmy za daleko, żebym mógł zatelefonować...

- Dlaczego zabrałeś go tak daleko? – powiedział, poruszając się z wielką, kipiącą energią.
- Ależ zawiozłem go tam, gdzie chciał pojechać, proszę pana.
- To znaczy gdzie?
- Na tyły części z chatami niewolników – odparłem przestraszony.
- Do chat! Chłopcze, czyś ty zgłupiał? Nie wiedziałeś, że nie należy tam zabierać członka zarządu?

– Poprosił mnie o to, proszę pana.

Szliśmy teraz alejką, w wiosennym powietrzu, i doktor Bledsoe zatrzymał się, aby spojrzeć na mnie z irytacją, jak gdybym powiedział mu nagle, że czerń jest bielą.

– Czort z tym, czego on chce – stwierdził, kiedy siadał na przednim fotelu obok mnie. – Nie masz tego wycucia, które Bóg daje byle psu? Zabieramy białych tam, gdzie my chcemy, żeby jechali, pokazujemy im to, co chcemy, żeby widzieli. Nie wiesz o tym? Myślałem, że masz trochę rozsądku.

Dojechawszy do Rabb Hall, zatrzymałem samochód. Z konsternacji zrobiło mi się słabo.

– Nie siedź tutaj – rzekł. – Chodź ze mną!

Tuż po wejściu do budynku doznałem następnego wstrząsu. Kiedy zbliżyliśmy się do lustra, doktor Bledsoe przystanął i wygładził swoją gniewną twarz niczym rzeźbiarz, czyniąc z niej maskę bez wyrazu, tak że jedynie błysk oczu zdradzał emocje, które widziałem zaledwie przed chwilą. Przez moment przyglądał się sobie bacznie; potem ruszyliśmy w milczeniu cichym korytarzem i weszliśmy na górę.

Przy eleganckim stole zasłanym czasopismami siedziała studentka. Pod wielkim oknem stało duże akwarium z kolorowymi kamieniami i małą kopią feudalnego zamku, otoczonego złotymi rybkami, które wydawały się trwać nieruchomo pomimo trzepotania koronkowych płetw, jakby doszło do chwilowego, pełnego ruchu zatrzymania się czasu.

– Czy pan Norton jest w swoim pokoju? – spytał dziewczynę doktor Bledsoe.

– Tak, psze pana – odparła. – Powiedział, żeby pan wszedł, kiedy pan przyjedzie.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami i usłyszałem, że odchrząkuje, a potem stuka delikatnie pięścią w ich skrzydło.

– Panie Norton? – odezwał się z już ułożonymi w uśmiech ustami. I po odpowiedzi pana Nortona wszedłem za nim do środka.

Był to duży, jasny pokój. Pan Norton siedział bez marynarki w ogromnym fotelu z uszakami. Na chłodnej narzucie na łóżku leżało ubranie na zmianę. Znad rozległego kominka spoglądał na mnie z oddali olejny portret Założyciela, łagodnego, smutnego i w tej gorącej chwili głęboko rozczarowanego. Potem zdało mi się, że zapada nań jakaś zasłona.

– Niepokoiłem się o pana – powiedział doktor Bledsoe. – Spodziewaliśmy się pana na popołudniowej sesji...

Teraz się zaczniesz, pomyślałem. Teraz...

I nagle rzucił się do przodu.

– Panie Norton, pańska głowa! – krzyknął z dziwną babciną troską w głosie. – Co się stało, proszę pana?

– To nic takiego. – Pan Norton miał kamienną twarz. – Zwyczajne zadrapanie.

Doktor Bledsoe obrócił się z rozgniewaną miną.

– Sprowadź tu lekarza – rzucił. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że pan Norton jest ranny?

– Już się tym zająłem, proszę pana – powiedziałem cicho, ale on okręcił się już z powrotem.

– Panie Norton, panie Norton! Tak mi przykro! – zawodził. – Myślałem, że wysłałem do pana chłopca, który jest uważnym, rozsądnym młodzieńcem! Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu wypadku. Nigdy w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat. Zapewniam pana, że zostanie ukarany, surowo ukarany.

– Ależ nie było wypadku samochodowego – powiedział łagodnie pan Norton – a ten chłopiec nie jest za to odpowiedzialny. Może pan go odesłać, nie będzie już nam potrzebny.

Nagle napłynęły mi łzy do oczu. Poczułem przyływ wdzięczności za te słowa.

– Niech pan nie będzie życzliwy – powiedział doktor Bledsoe. – Z tymi ludźmi nie można postępować łagodnie. Nie wolno ich rozpieszczać. Za wypadek, który przydarzy się gościowi tej uczelni, kiedy jest on pod opieką studenta, ponosi bez wątpienia winę ten student. To jedna z naszych najściślejszych zasad! – Potem zwrócił się do mnie: – Wracaj do akademika i zostań tam, dopóki nie otrzymasz dalszych poleceń!

– Aleja nie miałem na to wpływu, proszę pana – rzekłem – dokładnie tak, jak powiedział pan Norton...

– Ja to wyjaśnię, młodzieńcze – oznajmił pan Norton z półuśmiechem. – Wszystko zostanie wyjaśnione.

– Dziękuję panu – powiedziałem, widząc, że doktor Bledsoe patrzy na mnie z takim samym wyrazem twarzy.

– Po zastanowieniu – rzekł – życzę sobie, żebyś dziś wieczorem przyszedł do kaplicy. Rozumiesz mnie, mój panie?

– Tak, proszę pana.

Otworzyłem zgrabiłą ręką drzwi i wpadłem na dziewczynę, która siedziała przy stole, kiedy weszliśmy do środka.

– Przepraszam – powiedziała. – Wygląda na to, że rozwścieczyłeś starego Baniaka.

Nic nie odpowiedziałem, kiedy z nadzieją szła obok mnie. Gdy ruszyłem do akademika, czerwone słońce oświetlało kampus.

– Zaniesiesz mojemu chłopakowi wiadomość ode mnie? – zapytała.

– A kto to taki? – odparłem, usilnie starając się ukryć napięcie i strach.

– Jack Maston – powiedziała.

– W porządku, mieszka w pokoju obok mojego.

– To świetnie – rzekła z szerokim uśmiechem. – Dziekan wysłał mnie na dyżur, więc nie spotkałam się z nim dzisiaj. Przekaż mu po prostu, że powiedziałam, że trawa jest zielona...

– Co?

– Trawa jest zielona. To nasz szyfr, on zrozumie.

– Trawa jest zielona – powtórzyłem.

– Właśnie. Dziękuję, kochasiu – powiedziała.

Chciało mi się miotać przekleństwami, kiedy patrzyłem, jak pospiesznie wraca do budynku, i słyszałem, jak jej buty na płaskich obcasach chrzęszczą na żwirowej alejce. Bawiła się jakimś głupim szyfrem w chwili, gdy decydowano o moim losie na resztę życia. Trawa była zielona i spotkają się, i zostanie w ciąży odesłana do domu, ale mimo to nie będzie tak okryta hańbą jak ja... Gdybym chociaż wiedział, co o mnie mówią... Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł, więc wbiegłem za nią do budynku i popędziłem po schodach.

W holu tańczył w snopie światła słonecznego drobny kurz, wzniesiony jej szybkim przejściem. Ale ona sama zniknęła. Chciałem ją poprosić, żeby posłuchała pod drzwiami i powiedziała mi, o czym tam rozmawiają. Porzuciłem ten pomysł; gdyby ją przyłapano na podsłuchiwanie, miałbym i to na sumieniu. Poza tym wstydziałem się swojego przykrego położenia i nie chciałem, by ktokolwiek się o nim dowiedział, bo wszystko było zbyt głupie, by w to uwierzyć. Na końcu długiego, szerokiego holu ktoś zbiegał w podskokach ze schodów, nucąc jakąś melodię. Słodki, optymistyczny, dziewczęcy głos. Wyszedłem cicho i pospieszyłem do mojego akademika.

Leżałem w pokoju z zamkniętymi oczami, starając się myśleć. Napięcie ścisnęło mi wnętrzności. Potem usłyszałem, że ktoś idzie korytarzem, i zeszywniałem. Czy już posłano po mnie? Otworzyły się drzwi w pobliżu i zamknęły, pozostawiając mnie w takim samym napięciu. Do kogo mogłem się zwrócić o pomoc? Nikt nie przychodził mi na myśl. Nikt,

komu mógłbym wyjaśnić, co zdarzyło się w Golden Day. Byłem wewnętrznie całkowicie rozbity. Najbardziej ze wszystkiego zdezorientował mnie stosunek doktora Bledsoe do pana Nortona. Nie śmiałem powtórzyć tego, co powiedział, w obawie że zmniejszyłoby to moje szanse pozostania w szkole. To po prostu nie mogła być prawda, źle go zrozumiałem. Nie mógł powiedzieć tego, co myślałem, że powiedział. Czyż nie widziałem aż nazbyt często, jak podchodził do białych gości z kapeluszem w ręku i kłaniał się pokornie i z szacunkiem? Czyż nie odrzucał propozycji spożywania posiłków przy jednym stole w jadalni z białymi gośćmi szkoły i wchodził tam, dopiero kiedy skończyli, a potem nie chciał spocząć na krześle obok nich, lecz stał z kapeluszem w ręku, przemawiając do nich elokwentnie, i na koniec wycofywał się z pokornym ukłonem? Czyż nie robił tego, czyż nie robił? Widziałem to aż nazbyt często, kiedy zerkałem przez drzwi między jadalnią i kuchnią, widziałem na własne oczy. I czyż jego ulubionym spiritual nie było *Żyj w pokorze?* I czyż nie nauczał nas zawsze w niedzielne wieczory, stojąc na podwyższeniu w kaplicy, byśmy żyli zadowoleni z naszego miejsca w tysiącu jednoznacznych światów? Nauczał, a ja mu wierzyłem. Wierzyłem bez cienia wątpliwości w jego przykłady dobra, które płynęło z podążania drogą Założyciela. Była to moja afirmacja życia i nie mogli mnie odesłać za coś, czego nie zrobiłem. Po prostu nie mogli. Ale ten weteran! Był tak szalony, że deprawował ludzi zdrowych na umyśle. Próbował wywrócić świat na opak, niech go szlag! Rozgniewał pana Nortona. Nie miał prawa tak rozmawiać z białym, nie przy mnie, żebym poniósł za to karę...

Ktoś mną potrząsnął i wzdrygnąłem się, a moje nogi zrobiły się wilgotne i drżące. Był to mój kolega z pokoju.

– Co jest, stary – powiedział. – Chodźmy coś wrzucić na ruszt.

Spojrzałem na jego zadowoloną z siebie gębę; on na pewno zostanie rolnikiem.

– Nie mam apetytu – odparłem z westchnieniem.

– No dobra – rzekł – możesz próbować mnie bujać, ale nie mów potem, że cię nie budziłem.

– Dobrze – powiedziałem.

– Na kogo czekasz, na dziewuchę o szerokiej dupie, z biodrami na łożyskach kulkowych?

– Nie – odparłem.

– Lepiej daj sobie z tym spokój, stary. – Uśmiechnął się szeroko. – To ci zniszczy zdrowie i robi z ciebie kretyna. Powinieneś wziąć jakąś dziewuchę i pokazać jej, jak wstaje księżyc nad zieloną trawą na grobie Założyciela...

– Idź do diabła – powiedziałem.

Wyszedł roześmiany, otwierając drzwi na dźwięk wielu kroków z holu – pora kolacji. Gwar oddalających się głosów. Wraz z nim wydawało się odchodzić w siną dal coś z mojego życia, wirując w zmieszaniu. Potem ktoś zapukał do drzwi i poderwałem się z zamartwionym sercem.

Jakiś drobny student w czapce pierwszorocznika wetknął głowę do pokoju i krzyknął:

– Doktor Bledsoe powiedział, że chce cię widzieć w Rabb Hall.

I potem zniknął, zanim zdążyłem zadać mu choćby jedno pytanie, a jego kroki dudniły w korytarzu, kiedy biegł na kolację przed ostatnim dzwonkiem.

Zatrzymałem się przed drzwiami pana Nortona z ręką na klamce, mamrocząc pod nosem modlitwę.

– Wejdz, młodzieńcze – rzekł, kiedy zapukałem. Miał na sobie świeże lniane ubranie, światło padało na jego białe włosy jak na srebrny puch. Na jego czole widniał kawałek gazy. Był sam.

– Przepraszam pana – zacząłem się usprawiedliwiać – ale powiedziano mi, że doktor Bledsoe chciał się tu ze mną spotkać...

– To prawda – przyznał – ale doktor Bledsoe musiał wyjść. Będzie w swoim gabinecie po niesporach.

– Dziękuję panu – rzekłem i odwróciłem się, żeby wyjść.

Odchrząknął za mną.

– Młodzieńcze...

Odwróciłem się z nadzieją.

– Młodzieńcze, wyjaśniłem doktorowi Bledsoe, że nie ponosisz za to żadnej winy. Przypuszczam, że rozumie.

Sprawiło mi to taką ulgę, że początkowo mogłem tylko szklistym wzrokiem patrzeć na niego, na małego, srebrnowłosego, odzianego na biało świętego Mikołaja.

– Bardzo, bardzo panu dziękuję – udało mi się w końcu wykrztusić.

Przyglądał mi się w milczeniu, nieco zwężonymi oczami.

– Będę panu potrzebny wieczorem? – spytałem.

– Nie, nie będę potrzebował tej maszyny. Interesy wzywają mnie szybciej, niż się spodziewałem. Wyjeżdżam dzisiaj.

– Mógłbym odwiedzić pana na stację – powiedziałem z nadzieją.

– Dziękuję, ale doktor Bledsoe już to załatwił.

– Och – powiedziałem rozczarowany. Miałem nadzieję, że służąc mu przez resztę tygodnia, zdołam odzyskać jego uznanie. Teraz nie będę miał tej możliwości.

– Mam nadzieję, że wycieczka była dla pana przyjemna – rzekłem.

– Dziękuję ci – powiedział, uśmiechając się nagle.

– I może kiedy pan przyjedzie następnym razem, będę mógł odpowiedzieć na część pytań, które mi pan dzisiaj zadał.

– Pytań? – Jego oczy się zwęziły.

– Tak, proszę pana, o... o pana przeznaczenie – powiedziałem.

– A tak, tak – rzekł.

– 1 zamierzam też przeczytać Emersona...

– Bardzo dobrze. Samodzielność jest bardzo wartościową zaletą. Będę z największą ciekawością czekał na to, by dowiedzieć się, jaki jest twój wkład w moje przeznaczenie. – Wskazał mi ręką drzwi. – I nie zapomnij spotkać się z doktorem Bledsoe.

Wyszedłem nieco podniesiony na duchu, ale nie do końca. Nadal musiałem stawić czoło doktorowi Bledsoe. I musiałem pójść do kaplicy.

Rozdział 5

Na dźwięk dzwonów wzywających na nieszpory poszedłem powoli przez kampus z grupą studentów, rozmawiających przyciszonymi głosami w miękkim zmierzchu. Pamiętam poślizgnięte kule z matowego szkła, rzucające koronkowe cienie na żwir, i paradę liści i gałęzi nad nami podczas naszego niespiesznego marszu przez zmierzch, tak przesycony zapachem bzu, kapryfolium i werbeny, i intensywną wiosenną zieloność; i przypominam sobie nagłe arpedzia śmiechu, niosące się nad delikatną trawą – tryskające radością, daleko biegnące, spontaniczne, melodyjne głosy kobiece, później stłumione, jakby szybko i nieodwołalnie zduszone nieszpornym powietrzem, rozedrganym teraz od ponurego bicia kaplicznych dzwonów. Dong! Dong! Dong! Nad godnym chodem, odgłosem kroków oddalających się od werand odległych budynków i zmierzających ku alejkom i wzdłuż alejek, aż do asfaltowych podjazdów obramowanych bielonymi kamieniami, te tajne wieści dla mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt kierujących się cicho tam, gdzie czekali goście, a poruszaliśmy się nie w nastroju wiary, ale osądu; nawet tutaj, w filtrującym zmierzchu, tutaj, pod niebem barwy ciemnego indygo, tutaj, w powietrzu pełnym zataczających pętle języków i śmigających ciem, tutaj, w tutejszości nocy nie rozświetlonej jeszcze przez księżyc, który wisi krwawoczerwony za kaplicą jak upadłe słońce, a jego blask pada nie na tutejszy zmierzch świergocących nietoperzy ani na tamtejszą noc świerszcza i lelka, ale skupia się krótkopromieniście na naszym miejscu zbieżności; a my dryfujemy naprzód sztywnymi ruchami, ze stężalnymi nogami i już w milczeniu, jak gdyby wystawiono nas na pokaz nawet w ciemnościach, a księżyc był przekrwionym okiem białego.

A ja poruszam się sztywniej niż wszyscy pozostali, z poczuciem wyroku; vibracje kaplicznych dzwonów poruszają głębiny mojego niepokoju i posuwają się złowieszczo ku jego środkowi. I pamiętam kaplicę z jej rozległymi okapami, długą i niską, jakby wyłonioną krwawo z ziemi niczym wschodzący księżyc, porośniętą winoroślą i ziemistą, jakby zrodziła ją ziemia, a nie stworzył człowiek. I mój umysł uciekający w poszukiwaniu ulgi od tego wiosennego zmierzchu i zapachu kwiatów, od czasosceny ukrzyżowania do czasonastroju narodzenia, od wiosnozmiernych i nieszpórów do wysoko stojącego, jasnego, czystego księżyca zimy i śniegu skrzącego się na karłowatych sosenkach, gdzie, zamiast dzwonów, organy i chór puzonów głoszą kolędy zasypanym przestrzeniom, przekształcając nocne powietrze w morze kryształowej wody, chlupoczącej na drzemiącej ziemi aż po najdalsze granice dźwięku, bezkresnymi milami, przynosząc dyspensę nawet do Golden Day, nawet do domu szaleństwa. Ale w tutejszości zmierzchu zmierzam przez ukwiecone powietrze, pod wznoszącym się księżycem, ku dzwonom brzmiącym jak fatum.

Wchodzę w drzwi i w łagodne światła, w milczeniu mijam rzędy purytańskich ławek, prostych i dręczących, odnajduję tę, do której jestem przypisany, i dopasowuję ciało do jej męki. Na szczycie podium, obok kazalnicy i barierki z wypolerowanego brązu, widać urzędowione i upiramidowane głowy studenckiego chóru, opanowane i stateczne twarze ponad czarno-białymi mundurami, a nad nimi, blisko sufitu, wyniosłe piszczałki organów, gotycką hierarchię ze zmatowiałą poślizgniętością.

Wokół mnie poruszają się studenci z twarzami zastygłymi w poważne maski i niemalże już słyszę głosy mechanicznie podniesione w pieśniach, tak uwielbianych przez gości. (Uwielbianych? Żądanych. Śpiewanych? Przyjęte i zrytualizowane ultimatum, przysięga wierności recytowana na rzecz pokoju, który rozbudzała, i dlatego być może uwielbiana.

Uwielbiana tak, jak pokonani zaczynają uwielbiać symbole zwycięzców. Gest akceptacji, warunków postawionych i niechętnie przyjętych.) I tutaj, siedząc sztywno, przypominam sobie wieczory spędzone przed rozległym podium w trwożnym podziwieniu i z przyjemnością, i z przyjemnością trwogi; przypominam sobie intonowane z kazalnicy krótkie, oficjalne kazania, wygłaszane gładko i klarownie, ze spokojną pewnością, oczyszczoną z tych szalonych emocji nieokrzesanych kaznodziejów, których większość z nas znała ze swych rodzinnych miast i których bardzo się wstydziliśmy, te logiczne apele, które docierały do nas bardziej jak zasadnicza idea solidnej i formalnej konstrukcji, nie wymagającej dla podekscytowania nas i pocieszenia niczego więcej niż przejrzystości niezagraconych okresów i usypiającego ruchu wielosylabowych słów. Przypominam też sobie wykłady goszczących u nas mówców, z których wszyscy informowali nas z zapałem, iż mamy ogromne szczęście, że jesteśmy częścią „ogromnego” i oficjalnego rytuału. Mamy ogromne szczęście, że należymy do tej rodziny, chronionej przed ludźmi pogrążonymi i zagubionymi w niewiedzy i ciemności.

Na tej właśnie scenie odgrywano czarny rytuał Horatio Algiera według scenariusza samego Boga, z milionerami, którzy przybyli, aby się sportretować, odgrywając nie tylko mit swojej dobroci, bogactwa, sukcesu, potęgi hojności i władzy w tekturowych maskach, ale samych siebie, te cnoty konkretnie! Nie opłatek i wino, ale ciało i krew, tryskające energią i żywe, i tętniące życiem nawet wtedy, kiedy było już zgarbione, stare i zwiędłe. (I któż w obliczu tego nie uwierzyłby? Mógłby choćby wątpić?)

I pamiętam też, jak stawaliśmy naprzeciw tych innych, tych, którzy umieścili mnie w tym Edenie, których znaliśmy, chociaż nie znaliśmy, którzy byli nieznani w znajomości, którzy wlekli ku nam swoje słowa przez krew, przemoc, szyderstwo i protekcyjność z przeciągniętymi uśmiechami, i którzy nakłaniali i zastraszaali, onieśmielali niewinnymi słowami, kiedy opisywali nam ograniczenia naszego życia i ogromną śmiałość naszych aspiracji, zdumiewające szaleństwo naszej niecierpliwości, by wspiąć się jeszcze wyżej; którzy, kiedy mówili, wywoływali u mnie ukradkowe wizje krwawej piany musującej na ich brodach jak dobrze znany sok tytoniowy, a na ich ustach skisłego mleka z wyschniętych wymion miliona czarnych mamek i niewolnic, zdradliwej i płynnej wiedzy o naszym byciu, wypitej z naszego źródła, a teraz wyplutej na nas w obrzydliwej formie. To był nasz świat, mówili, kiedy opisywali go nam, ten nasz horyzont i jego ziemia, jego pory roku i klimat, jego wiosna i lato, i jego jesień i zimo w jakimś nieznanym tysiącleciu przed nami; a to są jego powodzie i cyklony, a oni sami naszym grzmiotem i błyskawicą, i musimy to zaakceptować i pokochać, nawet jeśli nie kochaliśmy. Musimy zaakceptować – nawet kiedy tego nie było, a mężczyźni, którzy budowali linie kolejowe, okręty i wieżowce z kamienia, znajdowali się przed naszymi oczami, materialni, o różnych głosach, nie obciążonych rozpoznawalnym niebezpieczeństwem, i przyjemność, z jaką słuchali naszych pieśni, wydawała się bardziej szczerą, względ na naszą pomyślność objawiał się niemal dobrotliwą i bezosobową obojętnością. Ale słowa innych ludzi były potężniejsze od siły filantropijnych dolarów, głębsze niż szyby drażone w ziemi do ropy i złota, bardziej godne podziwu niż cuda fabrykowane w laboratoriach naukowych. Albowiem ich najbardziej niewinne słowa były aktami przemocy, na których punkcie my, mieszkańcy kampusu, byliśmy przewrażliwieni, chociaż ich nie znosiliśmy.

I ja też wchodziłem na podium, i brałem udział w debacie, przywódca studencki kierujący głos ku najwyższym dźwigarom i najdalszym krokwiom, głos rozbrzmiewający wśród nich, bębniący akcentami staccato w kalenicę i wracający rozdzwonionym echem, jak słowa ciskane w drzewa dzikiej puszczy albo w studnię szarej jak łupek wody; więcej dźwięku niż sensu, gra na rezonansach budynku, napaść na świątynie uszu:

Ha! do siwowłosej matrony w ostatnim rządzie. Ha! panno Susie, panno Susie Gresham, co tam z tyłu patrzy na tę studentkę uśmiechającą się do tego studenta – posłuchaj mnie, nieudolnego trębacza słów, naśladowującego trąbkę i timbrpuzonu, wykonującego wariacje na temat jak barytonowy róg. Hej! stara koneserko brzmienia głosu, głosów bez komunikatu, wiatrów nie niosących wieści, posłuchaj dźwięków samogłosek i trzaskających spółgłosek zębowych; niskich, szorstkich spółgłosek gardłowych pustego bólu, płynących teraz łukiem rytmu kaznodziei, którego słyszałem dawno temu w kościele baptystów, odartym teraz z jego obrazów: żadnych słońc z krwotokami, żadnych księżyców toczących łzy, żadnych dżdżownic odmawiających uświęconego ciała i tańczących w ziemi w wielkanocny ranek. Ha! wyśpiewującego osiągnięcia. Ha! wyrykującego sukces, intonującego, Ha! akceptację, Ha! rzekę dźwięków słownych, przepełnionych zatopionymi namiętnościami, unoszącą, Ha! szczątki nieosiągalnych pragnień i poronionych rewolt, wlewającą się w ich uszy, Ha! siedzących sztywno w rzędach przede mną, z wyciągniętymi do przodu szyjami i z zasłuchanymi uszami, Ha! tryskającą na sufit i bębniącą po pociemniałej krokwi, tej sezonowanej poprzecznicy z powyginanego drewna dojrzałego w suszarni tysiąca głosów; grającego, Ha! jak na ksylofonie; słów maszerujących jak orkiestra studencka po kampusie tam i z powrotem, wydająca tryumfalne dźwięki pozbawione tryumfów. Hej, panno Susie! brzmienie słów, które nie były słowami, fałszywe nuty wyśpiewujące osiągnięcia jeszcze nie osiągnięte, unoszące się na skrzydłach mojego głosu ku tobie, stara matrono, która znałaś brzmienie głosu Założyciela i znałaś akcenty i echo jego obietnicy; twoja siwa stara głowa uniesiona przez otaczającą cię młodzież, twoje oczy zamknięte, twarz ekstatyczna, kiedy tak rzucam dźwięki słów w mój głos, moje miechy, mój wodotrysk, jak jaskrawokolorowe piłki do fontanny – usłysz mnie, stara matrono, usprawiedliw teraz ten dźwięk swoim drogim starym skinięciem głowy na potwierdzenie, swoim uśmiechem z zamkniętymi oczami i ukłonem uznania, ty, która nigdy nie dasz się zwieść samej treści słów, nie moich słów, nie tym nieopierzonym jeszcze dobrze polatywaczom, które muskają twoje powieki, aż zaczynają one trzepotać z ekstazy wywołanej zaledwie echem tej obietnicy. A po tym śpiewaniu i maszerowaniu chwytasz moją rękę i wyśpiewujesz drżącym głosem: „Chłopcze, pewnego dnia napełnisz Założyciela dumą!“ Ha! Susie Gresham, matko Gresham, strażniczko gorących młodych kobiet na purytańskich ławkach, która przez ich osobistą energię nie zdołałaś dojrzeć wody Jordanu; ty, relikcie niewolnictwa, którą kampus kochał, ale której nie rozumiał, postarzała, z niewolnictwa, nosicielko czegoś ciepłego, żywego i przetrzymującego wszystko, czego na tej wyspie wstydu się nie wstydziliśmy – to do ciebie, w ostatnim rządzie, kierowałem mój strumień dźwięku, i o tobie myślałem ze wstydem i żalem, kiedy czekałem, aż zacznie się ceremonia.

Czcigodni goście wchodzili cicho na podium, a doktor Bledsoe prowadził ich ku wysokim, rzeźbionym krzesłom z godnością tęgiego starszego kelnera. Podobnie jak niektórzy z gości, miał na sobie prążkowane spodnie i marynarkę frakową z obszytymi czarnym galonem klapami, zwieńczoną bogatym fularem. Ten ubiór regularnie wkładał na takie okazje, ale pomimo całej elegancji udało mu się zachować pokorny wygląd. Jakoś tak się stało, że spodnie wypchały mu się na kolanach, a marynarka utworzyła lekki garb na jego ramionach. Patrzyłem, jak uśmiecha się najpierw do jednego, a potem do drugiego z gości, z których wszyscy, z jednym wyjątkiem, byli biali, i kiedy ujrzałem, że kładzie dłoń na ich ramionach, dotyka ich pleców, szepcze do powiernika o kościstej twarzy, który z kolei dotyka poufale jego ramienia, przeszedł mnie dreszcz. Ja też dotykałem dzisiaj białego i czułem, że był to fatalny błąd, i uświadomiłem sobie wtedy, że doktor Bledsoe jest jedynym z nas – oprócz zapewne fryzjera albo pielęgniarki – który może bezkarnie dotknąć białego. I przypomniałem sobie też, że ilekroć na podwyższenie wchodzili biali goście, kładł na nich

dłoń, jakby rzucał potężne czary. Widziałem, jak załśniły mu zęby, kiedy ujął białą rękę; potem, kiedy wszyscy już siedzieli, poszedł na swoje miejsce na końcu rzędu krzesel.

Kilka tarasów twarzy studentów powyżej organista, błyskając oczami przy pulpicie, czekał z głową odwróconą przez ramię i zobaczyłem, że doktor Bledsoe, błędząc wzrokiem po publiczności, skinął nagle głową bez odwracania się. Wyglądało to tak, jakby dał znak niewidzialną batutą. Organista odwrócił się i zgarbił ramiona. Z organów popłynęła kaskada dźwięków i rozprzestrzeniła się, bujna i kleista, po kaplicy, z wolna wzbierając na mocy. Organista kręcił się i obracał na ławeczce, a jego stopy fruwały nad podłogą, jakby tańczyły do rytmów nie mających najmniejszego związku z godnym grzmieniem organów.

A doktor Bledsoe siedział z dobrotliwym uśmiechem wskazującym na wewnętrzną koncentrację. Jego oczy rzucały jednak szybkie spojrzenia, najpierw na rzędy studentów, potem na sektor zarezerwowany dla nauczycieli, i spojrzenia te niosły groźbę dla wszystkich. Albowiem wymagał, by wszyscy brali udział w tych sesjach. To tutaj wieszczono politykę w najszerszej retoryce. Miałem wrażenie, że czuję jego wzrok zatrzymujący się na mojej twarzy, kiedy omiatał nim sektor, w którym siedziałem. Popatrzyłem na gości na podium; siedzieli z czujnym rozluźnieniem, którym zawsze odpowiadali na nasze zwrócone w górę spojrzenia. Zastanawiałem się, do którego z nich mógłbym się zwrócić, by wstawił się za mną u doktora Bledsoe, ale w głębi duszy wiedziałem, że nie znajdę tam nikogo takiego.

Mimo grona ważnych ludzi u jego boku i pomimo postawy pokory i potulności, która sprawiała, że wydawał się mniejszy od nich (choć fizycznie był większy), obecność doktora Bledsoe wywierała na nas o wiele większe wrażenie. Pamiętałem legendę o tym, jak przybył do uczelni – bosonogi chłopiec, który w zapale do nauki maszerował z węzełkiem postrzępionych ubrań przez dwa stany. I o tym, jak dano mu pracę polegającą na karmieniu świń pomyjami, a on został najlepszym karmicielem w historii szkoły; i o tym, jakie wrażenie zrobiło to na Założycielu, który uczynił go swym gościem. Każdy z nas wiedział o jego dochodzeniu przez lata ciężkiej pracy do godności rektora i każdy z nas żałował przez jakiś czas, że nie przywędrował do szkoły pieszo, popychając wózek, albo nie dokonał jakiegoś innego aktu determinacji i poświęcenia, który świadczyłby o jego pędzie do wiedzy. Pamiętałem podziw i strach, jaki wzbudzał w każdym mieszkańcu kampusu; zdjęcia w prasie murzyńskiej podpisane PEDAGOG, czcionką, która przypominała strzały z karabinu, jego twarz spoglądającą na czytelnika z największą pewnością siebie. Dla nas był kimś więcej niż tylko rektorem uczelni. Był przywódcą, „mężem stanu”, który przekazywał nasze problemy osobom stojącym ponad nami, nawet Białemu Domowi, a w minionych czasach oprowadzał po uczelni samego prezydenta. Był naszym przywódcą i naszym czarodziejem, który dbał o to, by dofinansowanie było wysokie, fundusze na stypendia obfite a reklama płynęła kanałami prasy. Był naszym czarnym jak węgiel tatą, którego się baliśmy.

Kiedy zamarły głosy organów, zobaczyłem, że powstaje bezszelestnie szczupła brązowa dziewczyna, sztywna i opanowana jak nowoczesna tancerka, wysoko w górnych rzędach chóru, i zaczyna śpiewać a cappella. Rozpoczęła cicho, jakby nuciła piosenkę o najbardziej intymnych emocjach, której nie kierowała do zgromadzonych, ale którą oni jednak podsłuchali niemal wbrew jej woli. Stopniowo zwiększała natężenie głosu, aż chwilami zdawał się on bezcielesną siłą, która starała się w nią wejść, zgwałcić ją, wstrząsając nią rytmicznie, jak gdyby stał się raczej źródłem jej istnienia niż stworzoną przez nią płynną siecią.

Widziałem, że goście na podium odwracają się, by spojrzeć za siebie, zobaczyć tę szczupłą, brązową dziewczynę w białej szacie chórzystki, stojącą wysoko, naprzeciw piszczałek organów, która sama stała się na naszych oczach piszczałką powściąganego, opanowanego i wysublimowanego bólu, szczupłą zwykłą twarzą przemienioną przez muzykę. Nie rozumiałem słów, tylko nastrój, żalostny, nieokreślony i eteryczny, tego śpiewu. Pulsował nostalgią, żalem i skrucą i siedziałem ze ściśniętym gardłem, kiedy dziewczyna powoli

osunęła się na swoje miejsce; nie było to siadanie, lecz kontrolowane omdlenie, jakby równoważyla, podtrzymywała wzbierający bąbel ostatniego tonu jakimś delikatnym rytmem krwi swego serca albo jakąś mistyczną koncentracją swojego jestestwa, skupiona na tym dźwięku wstrzymywanym płynem swoich dużych, wzniesionych w górę oczu.

Nie było aplauzu, jedynie uznanie wyrażone dzięki głębokiej ciszy. Biali goście wymieniali uśmiechy aprobaty. Myślałem o strasznej możliwości opuszczenia tego wszystkiego, wyrzucenia; wyobrażałem sobie powrót do domu i wymówki rodziców. Spoglądałem teraz na tę scenę z oddali mojej rozpacz, postrzegając podium i jego aktorów jakby przez odwrotny koniec teleskopu; małe, podobne do lalek figurki, poruszające się w jakimś bezsensownym rytuale. Ktoś w górze, ponad na przemian suchymi jak mech i lśniącymi jak tłuszcz głowami studentów siedzących rzędami przede mną, obwieszczał coś z mównicy, na którą padało przyćmione światło. Inna figurka podniosła się i poprowadziła modlitwę. Ktoś przemówił. Potem wszyscy wokół mnie śpiewali *Przy wiedz mnie, przywiedz mnie do skały, która jest wyższa niż ja*. I jak gdyby ten dźwięk zawierał jakąś siłę bardziej nieczułą niż obraz sceny, której był żywą tkanką łączną, przywrócił mnie do rzeczywistości.

Jeden z gości podniósł się, by wygłosić przemówienie. Mężczyzna porażającej szpetoty; gruby, o okrągłej głowie osadzonej na krótkiej szyi, z nosem o wiele za szerokim dla tej twarzy, na którym tkwiły czarne okulary. Siedział obok doktora Bledsoe, ale byłem tak zajęty obserwowaniem rektora, że wcześniej właściwie go nie widziałem. Mój wzrok skupiał się tylko na białych i doktorze Bledsoe. Tak więc teraz, kiedy mężczyzna ten powstał i przeszedł powoli na środek podium, odniosłem wrażenie, że powstała i przeszła do przodu część doktora Bledsoe, pozostawiając jego drugą część uśmiechniętą na krześle.

Mężczyzna stanął w swobodnej pozycji przed nami; jego biały kołnierzyk lśnił jak obręcz między czarną twarzą a ciemnym ubraniem, oddzielając głowę od ciała; krótkie ręce złożone miał na wypukłym brzuchu jak mały czarny Budda. Przez chwilę stał nieruchomo, zadzierając ogromną głowę, jak gdyby rozmyślał; potem zaczął mówić, głosem mocnym i dźwięcznym opowiedział o przyjemności, jaką sprawiła mu możliwość ponownego odwiedzenia szkoły po tylu latach. Był kaznodzieją w mieście na Północy, więc po raz ostatni widział ją pod koniec życia Założyciela, kiedy doktor Bledsoe był „drugim po szefie”.

– To były cudowne dni – cedził. – Ważne dni. Dni wspaniałych zapowiedzi.

Kiedy mówił, zrobił ze swoich dłoni klatkę, stykając je koniuszkami palców, a potem złączył swoje małe stopy i zaczął się powoli, rytmicznie kołysać, przechylając się do przodu na palcach tak daleko, że wydawało się, iż upadnie, a później do tyłu na piętach; światło odbijało się w jego czarnych okularach, aż w końcu zdawało się, że jego głowa unosi się oddzielona od ciała, przytrzymywana przy nim jedynie białą obręczą kołnierzyka. A kiedy się tak kołysał, mówił, aż ustalił się pewien rytm.

Potem odnawiał marzenie w naszych sercach:

– ...ta jałowa ziemia po Wyzwoleniu – ciągnął monotonnym głosem – ta ziemia ciemności i smutku, niewiedzy i upodlenia, gdzie ręka brata zwróciła się przeciw bratu, ojca przeciwko synowi, syna przeciwko ojcu; gdzie pan obrócił się przeciwko niewolnikowi, a niewolnik przeciw panu; gdzie wszystko było walką i ciemnością, bolejąca ziemia. I przybył do tej ziemi pokorny prorok, niskiego stanu, jak pokorny cieśla z Nazaretu, niewolnik i syn niewolników, który znał tylko swą matkę. Urodzony jako niewolnik, leczznaczony od początku wysoką inteligencją i książęcą osobowością; urodzony w najpodlejszej części tej jałowej, oszpeconej przez wojnę ziemi, lecz w jaki sposób rzucający światło na każdy jej zakątek, przez który przeszedł. Jestem pewien, że słyszeliście o jego niebezpiecznym dzieciństwie, jego drogocennym życiu omal nie zniszczonym przez szalonego kuzyna, który oblał dziecię ługiem i wysuszył jego nasienie, i jak to nieledwie niemowlę leżało przez dziewięć dni w podobnej do śmierci śpiączce, a potem nagle i cudownie wyzdrowiało. Można by powiedzieć, że jakby zmartwychwstał albo narodził się na nowo.

Och, moi młodzi przyjaciele – zawodził, promieniejąc – moi młodzi przyjaciele, to zaprawdę piękna historia. Jestem pewien, że słyszeliście ją wielokroć. Przypomnijcie sobie, jak zaczął się uczyć, zadając swoim małym panom mądre pytania, czego starsi panowie nigdy nie podejrzewali; i jak poznał abecadło, nauczył się czytać i rozwiązał tajemnicę słów, zwracając się instynktownie po pierwociny wiedzy ku Pismu Świętemu z jego wielką mądrością. I wiecie, jak uciekł, przebył góry i doliny i zjawił się w owym miejscu nauki, i jak wytrwale pracował popołudniami, wieczorami i rankami, by uzyskać przywilej studiowania albo, jak powiedzieliby starzy ludzie, „tarcia czołem o mur uczelni”. Wiecie o jego wspaniałej karierze, o tym, jak już wówczas był poruszającym słuchaczy oratorem, o tym, jak ukończył studia bez grosza przy duszy i powrócił po latach do tego kraju.

A potem zaczyna się jego wielka walka. Wyobraźcie to sobie, młodzi przyjaciele: chmury ciemności nad całą tą ziemią, czarni i biali pełni strachu i nienawiści, chcą iść naprzód, ale jedni boją się drugich. W całym rejonie rośnie napięcie. Każdego dręczy pytanie, co trzeba zrobić, by rozwiać ten strach i nienawiść, które przyczały się nad tą ziemią jak demon gotowy do skoku, i wiecie, jak on wskazał im drogę. O tak, moi przyjaciele. Jestem pewien, że słyszeliście to nieraz, słyszeliście o dziełach tego pobożnego człowieka, o jego wielkiej pokorze i nie błędnej wizji, której owocami cieszyacie się dzisiaj, konkretnej wizji, która stała się ciałem, o jego marzeniu, zrodzonym w surowości i mrokach niewoli, spełnionym teraz nawet w powietrzu, którym oddychacie, w słodkich harmoniach waszych wymieszanych głosów, w wiedzy, którą każdy z was – córek i wnuczek, synów i wnuków niewolników czerpie w jasnych i dobrze wyposażonych salach. Musicie ujrzeć tego niewolnika, tego czarnego Arystotelesa, jak kroczy wolno, z uroczą cierpliwością, z cierpliwością już nie tylko człowieka, ale tchniętej przez Boga wiary – ujrzeć, jak powoli pokonuje każdą przeszkodę. Oddając cesarzowi to, co cesarskie, owszem, ale niezłomnie szukając dla was tego jasnego horyzontu, którym się teraz cieszyacie...

O tym wszystkim – mówił, rozkładając palce dłoni przed sobą – opowiadało się po wielokroć na całej tej ziemi, inspirując pokorny, ale szybko rozwijający się lud. Słyszeliście o tym i to – ta prawdziwa historia, z której tak wiele wynika, ta żywa przypowieść o sprawdzonej chwale i pokornej szlachetności – i to, powiadam, uczyniło was wolnymi. Wiedzą o tym nawet ci z was, którzy przybyli do tej świątyni dopiero w tym semestrze. Usłyszeliście jego nazwisko od waszych rodziców, bo to właśnie on doprowadził ich do tej drogi niczym jakiś wielki kapitan, niczym ów wielki przewodnik z dawnych czasów, który przeprowadził swój lud bezpiecznie przez dno krwistoczerwonego morza. A wasi rodzice podążali za tym niezrównanym człowiekiem przez czarne morze uprzedzeń, wyszli bezpiecznie z krainy niewiedzy, przeszli przez burze strachu i złości, a on krzychał: POZWÓLCIE IŚĆ MOJEMU LUDOWI! kiedy było to konieczne, i szeptał to w czasach, kiedy szeptanie było najmądrzejsze. I słyszano go.

Słuchałem w odrętwieniu, twarde oparcie ławki cisnęło mnie w plecy, a moje emocje wplatały się w jego słowa jak na krośnie.

– 1 pamiętajcie – ciągnął – jak wrogowie uknuli spisek na jego życie, kiedy wkroczył do pewnego stanu w porze zbierania bawełny! I przypomnijcie sobie, jak podczas tej podróży zatrzymała go dziwna postać, człowiek, którego dziobata twarz nie zdradzała, czy jest czarny czy biały. Niektórzy powiadają, że był Grekiem. Niektórzy, że Mongołem. Inni, że Mulatem, a jeszcze inni, że zwykłym białym sługą bożym. Kimkolwiek i czymkolwiek, a nie możemy wykluczyć możliwości, że był posłańcem przybyłym z niebios – o tak! – bo pamiętajcie, że ukazał się nagle i przestraszył zarówno Założyciela, jak i jego konia, kiedy przekazał ostrzeżenie, mówiąc Założycielowi, by zostawił konia i wózek na drodze i natychmiast podążył do pewnej chaty, po czym odszedł cicho, tak cicho, moi przyjaciele, że Założyciel zwątpił w samo jego istnienie. I wiecie, jak ten wielki człowiek jechał dalej w zmroku, nieugięty, choć zaintrygowany, kiedy zbliżał się do miasta. Był pogrążony, pogrążony w

zadumie, kiedy rozległ się trzask pierwszego strzału, a potem całej niemal zabójczej salwy, która wgniotła mu czaszkę – ojej! – i powaliła oszołomionego i na pozór nieżywego na ziemię.

Słyszałem na własne uszy, jak opowiadał, że wróciła mu przytomność, kiedy nadal stali nad nim, sprawdzając, czy udał im się ich podły czyn, że leżał, uciszając bicie serca, w obawie że go usłyszą i naprawią swój błąd za pomocą *coup-de-grace*, jak powiedzieliby Francuzi. Ha! I jestem pewien, że każdy z was przeżywał razem z nim jego ucieczkę – mówił, zdając się patrzeć w moje wilgotne oczy. – Obudziliście się, kiedy on się obudził, uradowaliście się, kiedy on się uradował, że tamci odjechali, nie czyniąc mu większej krzywdy, powstaliście, kiedy on powstał, widzieliście jego oczyma ślady ich beładnych kroków i łuski porzucone w pyłe obok odcisku jego powalonego ciała, tak, i tę zimną, pokrytą skorupą kurzu, ale nie pochodzącą ze śmiertelnej rany krew. I pospieszyliście z nim, pełni wątpliwości, do owej chaty wskazanej przez nieznanego, gdzie spotkał pozornie obłąkanego czarnego mężczyznę... Pamiętacie tego starca, wyśmiewanego przez dzieci na miejskim placu, starca, o komicznej twarzy, chytrego, bawelnianowłosego. A jednak to właśnie on obwiązał wasze rany wraz z ranami Założyciela. On, stary niewolnik, wykazał zadziwiającą wiedzę o takich sprawach, nazywając ją – ha! ha! – „zarazkologią” i „strupologią”; cóż za młodzieńcza zręczność rąk! Albowiem ogolił naszą głowę i oczyścił naszą ranę, i obwiązał ją zgrabnie bandażami skradzionymi z domu niczego nie podejrzewającego przywódcy tej tłuszczy, ot co! I przypomnijcie sobie, jak zanurzyliście się z Założycielem, Przywódcą, głęboko w czarną sztukę ucieczki, prowadzeni początkowo, ba, wprowadzeni w nią, przez tego rzekomego szaleńca, który nauczył się tej sztuki w niewoli. Zanurzyliście się z Założycielem w mrok nocy i ja to wiem. Szliście szybko i w milczeniu korytem rzeki, kłuci przez komary, wśród pohukiwania sów, szumu nietoperzy, syku węży, które grzechotały wśród skał, błota i gorączki, ciemności i westchnień. Cały następny dzień kryliście się w chacie, gdzie w trzech małych izbach spało trzynaścioro osób, stojąc aż do zapadnięcia ciemności w kominie paleniska, w całej tej sadzy i popiele – ha! ha! – pod ochroną babki, która drzemała przy pozornie wygasłym kominku. Staliście w czerni, a kiedy przyszli ze swoimi psami gończymi, pomyśleli, że babka jest szalona. Ale ona wiedziała, ona wiedziała! Wiedziała o ogniu! Wiedziała o ogniu, który płonął, nie trawiąc niczego! Tak, mój Boże!

– Tak, mój Boże! – odparł jakiś kobiecy głos, wzbogacając we mnie konstrukcję jego wizji.

– I wyjechaliście z nim nad ranem, ukryci w wozie bawełny, w samym środku runa, gdzie oddychaliście gorącym powietrzem przez lufę danej wam na wszelki wypadek strzelby, trzymając w pogotowiu naboje, których dzięki Bogu nie było potrzeby użyć, rozłożone jak wachlarz między palcami. I wjechaliście do tego miasta i jednej nocy ukrył was przyjazny arystokrata, a następnej biały kowal, który wykonywał czarną robotę i nie żywił nienawiści – zadziwiające sprzeczności tego podziemia. Uciekaliście, tak! dzięki pomocy tych, którzy was znali, i tych, którzy nie znali. Bo jednym wystarczyło was zobaczyć; inni pomagali nawet bez tego, czarni i biali. Ale w większości pomocą służyli nasi, ponieważ należeliście do ich ludu, a my zawsze pomagamy naszym. I tak, moi młodzi przyjaciele, moi bracia i siostry, szliście z nim, z chaty do chaty, nocą i wczesnym rankiem, przez bagna i wzgórza. Dalej i dalej, przekazywani z jednych czarnych rąk do innych, a czasami białych rąk, a wszystkie te ręce kształtowały wolność Założyciela i naszą własną wolność, niczym głosy tworzące przejmującą pieśń. A wy, każde z was, byliście z nim. Ach, jak dobrze wiecie o tym, bo to wy uciekliście do wolności. Ach, tak, i znacie tę historię.

Zobaczyłem, że przez chwilę odpoczywa i promieniuje na całą kaplicę, jego wielka głowa obraca się na wszystkie strony jak latarnia morska i nadal brzmi echo jego głosu, podczas gdy tłumiliem własne emocje. Po raz pierwszy zasmuciło mnie przywołanie postaci Założyciela, a

kampus zdawał się przesuwac obok mnie, uciekając szybko jak sen niksący po przerwaniu drzemki. Oczy studenta siedzącego obok mnie spływały kataraktą łez, jego twarz tak stężała, jakby toczył wewnętrzną walkę. Grubas grał na uczuciach całej publiczności bez najmniejszego wysiłku. Wydawał się całkowicie opanowany, ukrywał się za swymi czarnymi okularami, tylko jego ruchliwa twarz wyrażała jego wokalny dramat. Trąciłem owego sąsiada.

– Kto to jest? – szepnąłem.

Spojrzał na mnie z irytacją, niemal z oburzeniem.

– Wielebny Homer A. Barbee z Chicago – powiedział.

Teraz orator oparł rękę o mównicę i obrócił się do doktora Bledsoe:

– Słyszeliście radosny początek pięknej opowieści, moi przyjaciele. Ale koniec jest smutny i chyba pod wieloma względami bogatszy. Zachód tego wspaniałego słońca, syna poranka. – Zwrócił się do doktora Bledsoe: – Był to pamiętny dzień, doktorze Bledsoe, jeśli mogę go panu przypomnieć, bo byliśmy tam. O tak, moi młodzi przyjaciele – powiedział, znowu zwracając twarz w naszym kierunku, ze smutnym, dumnym uśmiechem. Znałem go dobrze i kochałem, i byłem tam.

Podróżowaliśmy przez kilka stanów, do których niósł posłanie. Przychodzili ludzie, by posłuchać proroka, tłum żywo reagował. Ludzie staromodni, kobiety w fartuchach, matrony w perkalach i sukienkach z kraciastej bawełny, mężczyźni w kombinezonach i połatanych alpakach, morze zwróconych w górę i zdumionych twarzy, spoglądających spod starych, zniszczonych kapeluszy słomkowych i oklapłych kapeluszków chroniących przed słońcem. Ci, którzy przyjechali zaprzęgami wołów i mułów, i ci, którzy przyszli z daleka pieszo. Było to w miesiącu wrześniu i panował niezwykły ziąb jak na tę porę roku. Przywódca wlewał spokój i pewność siebie w ich zatroskane dusze, wskazywał im gwiazdę przewodnią i przenosiliśmy się na inne sceny, nadal szerząc posłanie.

Ach, te dni nie kończącej się podróży, te młodzieńcze dni, te wiosenne dni – żyzne, ukwiecone, słoneczne, obiecujące dni. Ach, tak, te nieopisane wspaniałe dni, kiedy Założyciel tworzył marzenie nie tylko tutaj, w tej wówczas jałowej dolinie, ale we wszystkich zakątkach tej ziemi, zasiewając je w ludzkich sercach. Wznosząc rusztowanie narodu. Głosząc swoje przesłanie, które padało jak ziarno na leżącą odłogiem ziemię, składając siebie w ofierze, walcząc z wrogami obojga karnacji i wybacząc im... Och, miał wrogów, obojga karnacji. Ale kroczył naprzód, przepełniony wagą swojego posłania, przepełniony znaczeniem swej pełnionej z poświęceniem misji, i w swoim zapale, być może w swej pysze śmiertelnika, zignorował rady swojego lekarza. Widzę oczami duszy fatalną w skutkach atmosferę tamtej zatłoczonej do granic możliwości sali: Założyciel trzyma słuchaczy w delikatnym uścisku swojej elokwencji, kołysząc nimi, uspokajając ich i nauczając, a poniżej rozciągają się rzędami twarze w uniesieniu, zarumienione od gorąca buchającego z wielkiego, brzuchatego pieca, czerwonego teraz jak wiśnia od żaru; tak, urzeczone rzędy, porwane władczą prawdą jego posłania. I znowu słyszę teraz wielkie szumiące sza! kiedy jego głos doszedł do końca potężnego zdania, a jeden ze słuchaczy, mężczyzna o śnieżnobiałej głowie, podrywa się na nogi z krzykiem: „Powiedz nam, co trzeba zrobić, panie! Na miłość boską, powiedz nam! Powiedz nam w imię syna, którego porwano mi w zeszłym tygodniu!” I w całej sali podnoszą się błagalne głosy: „Powiedz nam, powiedz nam!” A Założyciel stoi oniemiały nagle od łez.

Stary Barbee podniósł głos, kiedy zaczął nagle wykonywać na podwyższeniu wymowne, nie dokończone ruchy, odgrywając to, o czym mówił. Przyglądałem się temu z chora fascynacją, bo znałem część tej historii, ale jakaś część mnie opierała się jej nieuchronnemu, smutnemu zakończeniu.

– I Założyciel milknie, a potem robi krok do przodu z oczyma załzawionymi od wielkich emocji. Wznosi ramiona, zaczyna mówić i chwieje się. A potem robi się wielkie zamieszanie. Skaczemy naprzód i wyprowadzamy go.

Publiczność zrywa się w konsternacji na równe nogi. Wszędzie przerażenie i zamęt, jęki i westchnienia. Aż, jak huk grzmotu, jak smagnięcie bicia, dobiega mnie przepełniony autorytetem głos doktora Bledsoe, pieśń nadziei. I kiedy kładziemy Założyciela na ławce, by odpoczął, słyszę, że doktor Bledsoe wybija rytm potężnymi uderzeniami w deski podwyższenia i komenderuje nie słowami, lecz potężnymi, dobywającymi się z głębi piersi tonami jego wspaniałego basu – och, ale czyż nie był on śpiewakiem? czyż nadal nie jest śpiewakiem? – a oni stoją, uspokajają się i śpiewają z nim wbrew upadkowi ich tytana. Wyśpiewują swoje długie, czarne pieśni z krwi i kości:

Myśląc o NADZIEI!

O biedzie i bólu:

Myśląc o WIERZE!

O pokorze i absurdalności:

Myśląc o WYTRWANIU!

O nieustannej walce w ciemnościach, myśląc o:

ZWYCIĘSTWIE...

Ha! – krzyknął Barbee, klaszcząc w dłonie – Ha! Śpiewając wiersz za wierszem, aż ocknął się przywódca! (Kłaśnięcie, kłaśnięcie w dłonie.)

Przemówił do nich...

(Kłaśnięcie.) Mój Boże, mój Boże!

Zapewnił ich... (Kłaśnięcie.)

Ze... (Kłaśnięcie.)

Był tylko zmęczony nieustannym wysiłkiem. (Kłaśnięcie.) Tak, i odprawił ich, wszystkich przejętych radością, wymieniając z każdym pożegnalny uścisk dłoni...

Patrzyłem, jak Barbee chodzi po półokręgu z zaciśniętymi ustami i twarzą drgającą z emocji, składając bezgłośnie dłonie.

– Ach, tamte dni, kiedy uprawiał swe ogromne pola, tamte dni, kiedy patrzył, jak przyjmują się i rosną uprawy, tamte młodzieńcze, letnie, jasne od słońca dni...

Głos Barbeego odpłynął w nostalgicznym westchnieniu. Kaplica wstrzymała oddech, kiedy głęboko westchnął. Potem patrzyłem, jak wyciąga śnieżnobiałą chusteczkę, zdejmując czarne okulary i ociera oczy, i przez powiększający się dystans mojej izolacji widziałem, jak mężczyźni na honorowych miejscach wolno potrząsają oczarowanymi głowami. Potem głos Barbeego, bezcielesny teraz, znowu podjął wątek, tak jakby nigdy nie umilkł, jak gdyby te słowa, pobrzmiwając w nas, kontynuowały swój rytmiczny wpływ, mimo że ich źródło przestało na moment bić:

– Och, tak, moi młodzi przyjaciele, och, tak – ciągnął z wielkim smutkiem. – Ludzka nadzieja potrafi, odmalować różowy obraz, przemienić szybującego sępa w szlachetnego orła albo gruchającego gołębia. O tak! Aleja wiedziałem – krzyknął, aż podskoczyłem na ławce. – Mimo tej wielkiej, bolesnej nadziei w moim sercu, wiedziałem – wiedziałem, że ten wielki duch słabnie, zbliża się do swej samotnej zimy; wspaniałe słońce zachodzi. Albowiem czasami dane jest komuś wiedzieć o tych rzeczach... I zachwiałem się pod strasznym ciężarem tej wiedzy i przeklinałem siebie, bo go niosłem. Ale taki był entuzjazm Założyciela – och, tak! – że kiedy pędziliśmy z jednego miasteczka do drugiego wśród cudownego babiego lata, wkrótce zapominałem. A potem... A potem... a... potem...

Słuchałem jego głosu opadającego do szeptu; ręce miał rozłożone, jak gdyby wprowadzał orkiestrę w głębokie i finalne diminuendo. Później jego głos znowu się podniósł, rzeczowo, niemal beznamiętnie, przyspieszył:

– Pamiętam, jak pociąg ruszył, jak zdawał się jęczeć, kiedy zaczął jechać pod stromą górę. Było zimno. Na brzegach szyb mróz tworzył lodowe wzory. A gwizd lokomotywy był przeciągły i samotny, westchnienie wydobywające się z głębi góry.

W wagonie na przedzie, w pulmanie przydzielonym mu przez samego prezesa tej linii, leżał Przywódca, przewracając się z boku na bok. Powaliła go nagła i tajemnicza choroba. I widziałem mimo bólu w moim sercu, że to słońce Zachodzi, bo same niebiosy przekazały mi tę wiedzę. Bieg pociągu, dudnienie kół na stali. Pamiętam, jak wyrzałem przez zamrażającą szybę i dostrzegłem wiszącą na niebie wspaniałą Gwiazdę Polarną, i zgubiłem ją, jak gdyby niebo zamknęło oko. Pociąg wspinał się łukiem na górę, parowóz sapał jak olbrzymi czarny pies, równoległe do ostatnich, przechylających się wagonów, wydychając bladą, białą parę, kiedy wciągał nas coraz wyżej. I niebawem niebo było czarne, bez księżycy...

Kiedy jego „księżyyy-y-yca” niosło się echem po kaplicy, opuścił brodę na pierś, aż zakrył biały kołnierzyk, przez co stał się postacią ze zrównoważonej, nieprzerwanej czerni, i usłyszałem jego chrapliwy oddech.

– Było tak, jak gdyby same konstelacje wiedziały o naszym nieuchronnie zbliżającym się smutku – zatrąbił, wznosząc głowę do sufitu, tak że głos zabrzmiał z całą siłą. – Albowiem na tle tego wielkiego – szerokiego – pasma czerni rozbłysła niczym klejnot pojedyncza gwiazda i widziałem, jak migocze i pęka, i spływa po policzku tego czarnego jak węgiel nieba podobna do mimowolnej i samotnej lzy...

Potrząsnął głową ogromnie przejęty, ściągnął wargi i jęknął: – Mmmmmmmmmmm. – Odwrócił się ku doktorowi Bledsoe, jakby niezupełnie go widział: – W tym pamiętnym momencie... mmmmmmm, siedziałem z waszym wielkim rektorem... mmmmmmmmmmm! Pograżony był w głębokich rozmyślniach, kiedy czekaliśmy na wiadomość od ludzi nauki, i powiedział do mnie o tej umierającej gwiazdzie:

„Barbee, przyjacielu, widziałeś?”

A ja odpowiedziałem: „Tak, doktorze, widziałem”.

I czuliśmy już na naszych gardłach zimne ręce smutku.

I powiedziałem do doktora Bledsoe: „Pomódlmy się”. A kiedy klęczeliśmy na kołyszącej się podłodze, w naszych słowach było mniej modłów niż dźwięków stłumionego i straszego smutku. I wtedy właśnie, kiedy podnieśliśmy się z klęczek, chwiejąc się wskutek ruchu pędzącego pociągu, zobaczyliśmy, że idzie ku nam lekarz. I patrzyliśmy z zapartym tchem na obojętną i pozbawioną wyrazu twarz tego człowieka nauki, pytając całym sobą: Przynosisz nam nadzieję czy katastrofę? I wtedy właśnie, w tamtym miejscu, poinformował nas, że Przywódca zbliża się do swego kresu...

Zostało to powiedziane, spadł okrutny cios i staliśmy odrętwiali, ale Założyciel był jeszcze póki co z nami i nadal dowodził. I spośród wszystkich w naszej podróżującej grupie posłał po tego, który siedzi przed wami, i po mnie jako sługę bożego. Ale chciał przede wszystkim widzieć swego przyjaciela z nocnych narad, kamrata z wielu bitew, który przez te trudne lata pozostawał wierny tak po klęsce jak po zwycięstwie.

Widzę to nawet teraz, ciemny korytarz oświetlony małymi lampami i doktora Bledsoe kołyszącego się w marszu przede mną. W drzwiach stali steward i konduktor, czarny i biały z Południa, i obaj płakali. Obaj szlochali. A on podniósł głowę, gdy weszliśmy, jego wielkie oczy były wypełnione rezygnacją, ale nadal płonęły na tle bieli poduszki szlachetnością i odwagą, i spojrział na swojego przyjaciela i uśmiechnął się. Uśmiechnął się ciepło do swojego starego towarzysza bojów, lojalnego szermierza, pomocnika, tego cudownego wykonawcy starych pieśni, który podnosił go na duchu w chwilach zmartwienia i zniechęcenia, który śpiewaniem starych, znanych pieśni rozwiewał wątpliwości i uśmierzał strach szerokich rzesz, tego, który podnosił na duchu ciemnych, bojaźliwych i podejrzliwych, tych nadal spowitych w łańcuchy niewolnictwa; do siedzącego tutaj waszego przywódcy, który uspokajał dzieci burzy. A kiedy Założyciel spojrział na swojego towarzysza, uśmiechnął się. I wyciągając rękę do swojego towarzysza i przyjaciela, tak jak ja wyciągam teraz moją do was, powiedział: „Podejdź bliżej. Podejdź bliżej”. I on przysunął się bliżej i stanął przy łóżku, a światło padało ukosem przez jego ramię, kiedy ukląkł obok niego. I wyciągnęła się ta ręka, i

delikatnie go dotknęła, i powiedział Założyciel: „Teraz ty musisz ponieść ten ciężar. Prowadź ich przez resztę drogi”. I och, płacz tamtego pociągu i ból zbyt wielki na ły!

Kiedy pociąg wjechał na szczyt góry, nie było go już z nami. A kiedy pociąg ruszył w dół zbocza, on odszedł.

Pociąg stał się istnym pociągiem smutku. Doktor Bledsoe siedział ze znużoną głową i ciężkim sercem. Co powinien zrobić? Przywódca nie żył, a on został nagle przeniesiony na czoło oddziałów niczym kawalerzysta rzucony z impetem na siodło generała poległego podczas szarży – umieszczony na grzbiecie jego ognistego i na poły ujeżdżonego rumaka. Ach! To wielkie, czarne, szlachetne zwierzę, zezujące na bitewną wrzawę z już drgającymi z poczucia straty mięśniami. Jaki rozkaz powinien wydać? Czy powinien wrócić ze swym brzemieniem do domu, gdzie już grzały się druty, gadając, trzaskając, przekazując żalobną wiadomość? Czy powinien zawrócić i znieść poległego żołnierza z zimnej, obcej góry w tę ojczystą dolinę? Powrócić z drogimi oczami zasnutymi mgłą, stanowczą ręką sztywną, potężnym głosem ucichłym, Przywódcą zimnym? Powrócić do ciepłej doliny, do zielonych terenów, których nie będzie już mógł rozświetlać swoją doczesną wizją? Czy powinien podążać za wizją Przywódcy, choć on sam odszedł?

Ach, oczywiście znacie tę historię: jak wniósł ciało do obcego miasta, jak wygłosił mowę, kiedy trumna z ciałem Przywódcy została wystawiona na widok publiczny, i jak ogłoszono dzień żałoby w całym mieście, kiedy rozeszła się smutna wieść. Och, i jak bogaci i biedni, czarni i biali, słabi i potężni, młodzi i starzy, wszyscy przyszli złożyć mu hołd, a wielu zdało sobie sprawę z wartości Przywódcy i wielkiej straty, dopiero gdy umarł. I jak doktor Bledsoe powrócił po wypełnieniu swojej misji, aby czuć w smutku przy przyjacielu w skromnym wagonie bagażowym, i jak przychodzili ludzie na kolejne stacje, by wyrazić swój szacunek... Powolny pociąg. Smutny pociąg. A wzdłuż całej linii, w górach i w dolinach, wszędzie gdzie tory odnajdywały kierunek, ludzie łączyli się we wspólnej żałobie i niczym zimne stalowe szyny przyszpileni byli do swojego smutku. Och, cóż za smutne odejście!

I cóż za smutny, smutniejszy jeszcze przyjazd. Patrzcie wraz ze mną, moi młodzi przyjaciele i słuchajcie ze mną: oto szloch i zawodzenie tych, którzy dzielili jego trudy. Powrócił do nich ich umiłowany Przywódca, zimny jak gład w żelaznym bezwładzie śmierci. Ten, który wyjeżdżał pełen życia, w kwiecie męskości, autor ich własnego żaru i oświecenia, powracał do nich zimny, jako już brązowy posąg. Och, ta rozpacz, moi młodzi przyjaciele. Czarna rozpacz czarnych ludzi! Widzę ich teraz; błądzą po tych terenach, gdzie każda cegła, każdy ptak, każde źdźbło trawy przypominały o czymś cennym, a każde wspomnienie było ciosem młota wbijającym tępe szpile smutku. Och, tak, niektórzy, siwowłosi, są tutaj pośród was, wciąż oddani jego wizji, wciąż pracujący w winnicy. Ale wtedy, przy okrytej czarnym kirem trumnie, która stała pośród nich – i która nieuchronnie przypominała im o wszystkim – czuli, jak raz jeszcze ogarnia ich czarna noc niewoli. Czuli ten stary, ohydny smród ciemności, ten stary zapach niewolnictwa, gorszy niż cuchnący oddech siwej śmierci. Ich miłe światło zostało zamknięte w okrytej czarnym kirem trumnie, ich majestatyczne słońce schowało się za chmurą.

Och, i ten smutny dźwięk łkających trąbek! Słyszę je teraz, rozmieszczone w czterech rogach kampusu grają pożegnanie dla poległego generała, głoszą smutne wieści, przekazują jedna drugiej w nieruchomym i stężalnym powietrzu smutną nowinę, jak gdyby nie mogły w to uwierzyć, nie mogły tego ani pojąć, ani się z tym pogodzić; trąbki zawodzą jak rodzina czułych kobiet oplakujących ukochaną osobę. I przyszli ludzie, aby śpiewać stare pieśni i wyrazić swój nieopisany smutek. Czerni, czerni, czerni! Czarni ludzie w czarniejszej jeszcze żałobie, z pogrzebową krepą zawieszoną nad ich nagimi sercami, śpiewają bez cienia wstydu swoje czarne ludowe pieśni o smutku, poruszają się boleśnie, zalewają kręte alejki i łkają pod oklapniętymi drzewami, a ich ciche, szemrzące głosy przypominają jęki wiatru na pustkowiu.

W końcu zebrali się na zboczu wzgórza i można dostrzec przez załzawione oczy, jak stoją tam ze spuszczoneymi głowami, nie przerywając śpiewu.

Później cisza. Samotna dziura, obrzeżona wymownymi kwiatami. Tuzin rąk w białych rękawiczkach, czekających w napięciu na jedwabnych linach. Ta straszna cisza. Padają ostatnie słowa. Pojedyncza dzika róża rzucona na pożegnanie powoli pęka, jej płatki opadają jak śnieg na niechętnie opuszczaną trumnę. Później do ziemi, z powrotem do starego piachu, z powrotem do zimnej czarnej gliny... matki... nas wszystkich.

Kiedy Barbee przerwał na chwilę, zapanowała tak zupełna cisza, że słyszałem agregaty prądotwórcze po drugiej stronie kampusu, dudniące w mroku jak przyspieszony puls. Gdzieś pośród zebranych głos starej kobiety zaczął coś żałośnie zawodzić; narodziny smutnej, nie ułożonej pieśni, która zmarła w szlochu, nim przyszła na świat.

Barbee stał z głową odrzuconą do tyłu, z rękami opuszczonymi sztywno po bokach, zaciśniętymi pięściami, jak gdyby rozpaczliwie starał się opanować. Doktor Bledsoe siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Obok mnie ktoś wydmuchał nos. Barbee zrobił chwiejny krok do przodu.

– O tak. O tak – powiedział. – O tak. To też jest częścią tej chwalebnej historii. Ale myślcie o tym nie jak o śmierci, lecz o narodzinach. Zasiano wspaniałe ziarno. Ziarno, które ciągle wydaje w odpowiedniej porze swój owoc, tak niezawodnie, jakby wielki stwórca został wskrzeszony. Albowiem w pewnym sensie został wskrzeszony, jeśli nie cieleśnie, to duchowo. A w pewnym sensie również cieleśnie. Bo czyż wasz obecny przywódca nie stał się jego żyjącym przedstawicielem, jego fizyczną obecnością? Rozejrzyjcie się wokół siebie, jeśli w to wątpicie. Moi młodzi przyjaciele, moi drodzy młodzi przyjaciele! Jak mam wam powiedzieć, jakiego pokroju człowiekiem jest ten, który was prowadzi? Jak mam wam przekazać, jak wiernie wywiązuje się z przyrzeczenia, które złożył Założycielowi, jak sumiennym jest zarządcą?

Przede wszystkim musicie zobaczyć szkołę z tamtych czasów. Już była wielką instytucją, niewątpliwie, ale wtedy stało osiem budynków, a teraz jest ich dwadzieścia, kadra liczyła pięćdziesiąt osób, teraz jest ich dwieście, wtedy było kilkuset studentów, podczas gdy teraz, jak słyszę, jest ich trzy tysiące. A tam gdzie teraz macie drogi z asfaltu dla gumowych opon, były drogi z tłucznia dla wołów, zaprzęgów mułów i wozów konnych. Brak mi słów, by opisać wam, jak urosło mi serce, kiedy mogłem powrócić po tak długim czasie do tej wspaniałej instytucji, chodzić wśród jej bogatej zieleni, po polach uprawnych i wonnym kampusie. Ach! i ta cudowna elektrownia dostarczająca energii obszarowi większemu niż wiele miast – a wszystko obsługiwane przez naszych pracowników. Tak więc, moi młodzi przyjaciele, światło Założyciela nadal płonie. Wasz przywódca po tysiącokrotnie dotrzymał przyrzeczenia. Chwałę go za jego własną działalność, ponieważ jest współarchitektem wielkiego i szlachetnego eksperymentu. Jest godnym następcą swojego wielkiego przyjaciela i nie przypadkiem dzięki wspaniałemu i inteligentnemu przywództwu awansował do rangi naszego czołowego męża stanu. Jego wielkość warto naśladować. Mówię wam, wzorujcie się na nim. Niech każdy z was dąży do tego, by pewnego dnia pójść w jego ślady. Trzeba jeszcze dokonać wielkich czynów. Albowiem jesteśmy młodym, chociaż szybko rosnącym, ludem. Trzeba jeszcze stworzyć legendy. Nie bójcie się wziąć na swoje barki ciężaru, który dźwiga wasz przywódca, a dzieło Założyciela będzie rozkwitać w coraz większej chwale, historia tej rasy stanie się sagą o coraz większych zwycięstwach.

Barbee stał teraz z rozpostartymi ramionami, promieniejąc na słuchaczy, a jego przywodzące na myśl Buddę ciało znieruchomiało jak onyksowy gład. W kaplicy słychać było pociąganie nosami. Głosy mruczały podziwem i poczułem się tak zgubiony, jak nigdy przedtem. Stary Barbee sprawił, że przez parę chwil widziałem tę wizję, i teraz uzmysłowiłem sobie, że opuszczenie kampusu byłoby równoznaczne z rozdarciem ciała. Obserwowałem teraz, jak opuszcza ręce i zaczyna iść do swojego krzesła, poruszając się wolno, z głową

przechyloną w bok, jak gdyby słuchał jakiejś odległej muzyki. Opuściłem głowę, by wytrzeć łzy, kiedy usłyszałem, że podnoszą się stłumione okrzyki przerażenia.

Uniosłem głowę i zobaczyłem, że dwóch białych członków rady powierniczej biegnie przez podium do miejsca, gdzie Barbee potknął się o nogi doktora Bledsoe. Stary kaznodzieja sunął po podłodze na rękach i kolanach, a dwaj biali wzięli go pod ramiona i postawili; potem zobaczyłem, że jeden z nich sięga po coś na podłodze i wsuwa mu do dłoni. Dostrzegłem to dopiero wtedy, kiedy podniosłem głowę. Przez ułamek chwili, pomiędzy tym gestem i nieprzezroczystym błysnięciem jego okularów, widziałem mruganie niewidzącego oka. Homer A. Barbee był ślepcem.

Wypowiadając słowa przeprosin, doktor Bledsoe pomógł mu wrócić na miejsce. Kiedy starzec spoczął na krześle z uśmiechem na ustach, doktor Bledsoe podszedł do krawędzi podwyższenia i uniosł ręce. Zamknąłem oczy, kiedy usłyszałem wydobywające się z jego ust głębokie, śpiewne jęki i wznoszące się crescendo przyłączających się głosów studenckiego gremium. Tym razem była to muzyka płynąca od serca, nie przeznaczona dla gości, ale dla nich samych, pieśń nadziei i egzaltacji. Chciałem wybiec z tego budynku, ale nie śmiałem. Siedziałem sztywno wyprostowany, podtrzymywany przez twardą ławkę, polegając na niej jak na pewnej postaci nadziei.

Nie mogłem teraz patrzeć na doktora Bledsoe, ponieważ wskutek słów starego Barbeego poczułem się winny i jednocześnie pogodziłem się z tą sytuacją. Bo chociaż zrobiłem wszystko nieumyślnie, każdy akt, który zagrażał kontynuacji marzenia, był aktem zdrady.

Nie słuchałem następnego mówcy, wysokiego białego, który stale przecierał chusteczką oczy i z przejęciem powtarzał niewyraźnie swoje zwroty. Później orkiestra zagrała wyjątki z symfonii Dworzaka *Z nowego świata* i stale słyszałem pobrzmiwający w jej przewodnim temacie *Przybądź z niebios, boski rydwanie* – ulubiony spiritual mojej matki i dziadka. Nie mogłem już tego znieść i zanim pojawił się następny mówca, wyszedłem szybko w noc, odprowadzany pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami nauczycieli i matron.

Przedrzeźniacz wyśpiewywał jakąś melodię z miejsca, gdzie przysiadł na rękę skąpanego w księżycowej poświacie Założyciela, potrząsając lunatycznym ogonem nad głową wiecznie klęczącego niewolnika. Ruszyłem cienistym przejazdem, słysząc za plecami jego trele. Latarnie uliczne jarzyły się olśniewająco w pogrążonym w księżycowym blasku śnie kampusu, każde światło spoczywało spokojnie w swojej klatce z cieni.

Równie dobrze mogłem poczekać do końca obrzędu, bo nie uszedłem daleko, kiedy usłyszałem słabe, radosne dźwięki orkiestry rozpoczynającej marsza, po których buchnęły głosy studentów wysypujących się w mrok. Z uczuciem strachu skierowałem się do budynku administracji, a gdy tam doszedłem, przystanąłem w ciemnych drzwiach. Mój umysł trzepotał jak ćmy otaczające latarnię, która rzucała cienie na kępę trawy obok mnie. Zaraz odbędzie się prawdziwe spotkanie z doktorem Bledsoe. Z niezadowoleniem wspominałem mowę Barbeego. Byłem pewien, że mając takie słowa świeżo w pamięci, doktor Bledsoe odniesie się o wiele mniej przychylnie do mojej sprawy. Stałem w ciemnych drzwiach, zastanawiając się, jaka czeka mnie przyszłość, jeśli zostanie wyrzucony. Gdzie pójdę, co zrobię? Jak w ogóle mógłbym wrócić do domu?

Rozdział 6

Po opadającym trawniku, poniżej miejsca, gdzie stałem, szli studenci do akademików, jacyś teraz dalecy, odlegli, każda cienista postać znacznie lepsza ode mnie, com się przez jakąś wadę wtrącił w ciemności z dala od wszystkiego, co wartościowe i inspirujące. Słuchałem cichego śpiewu przechodzącej w pobliżu grupki. Doleciał do mnie zapach świeżego chleba, przygotowywanego w piekarni. Dobry, biały chleb śniadaniowy; bułki ociekające żółtym masłem, które tak często wkładałem do kieszeni, by żuć je później w moim pokoju z domowym dżemem z dzikich czarnych jagód.

W akademikach dziewcząt zaczęły się pojawiać światła, przypominające błyszczące nasiona szeroko rozrzucone niewidzialną ręką. Przejechało kilka samochodów. Zobaczyłem zbliżającą się grupę starszych kobiet, które mieszkały w mieście. Jedna z nich korzystała z laski, którą od czasu do czasu stuknęła głucho w chodnik jak ślepiec. Docierały do mnie strzępy ich rozmowy, kiedy dyskutowały z entuzjazmem o mowie Barbeego, wspominały czasy Założyciela, przędąc i ubarwiając jego historię.

Potem na końcu długiej alei drzew ujrzałem znajomego cadillaca i wszedłem do budynku, przepełniony nagle paniką. Nie zrobiłem nawet dwóch kroków, kiedy odwróciłem się i znowu pospiesznie wyszedłem na dwór. Nie byłem w stanie od razu stanąć twarzą w twarz z doktorem Bledsoe. Lekko drżałem, kiedy przyłączyłem się do grupy chłopców idących drogą. Ruszyłem za nimi. Sprzeczali się o coś zażarcie, ale byłem zbyt podniecony, by słuchać, i po prostu szedłem w ich cieniu, obserwując przyćmiony błysk wyczyszczonej skóry ich butów w promieniach latarni. Cały czas próbowałem ułożyć sobie w głowie, co powiem doktorowi Bledsoe, i chłopcy musieli chyba skręcić do swojego budynku, bo nagle znalazłem się za bramą kampusu i stwierdziłem, że idę w stronę szosy, więc zawróciłem i pobiegłem z powrotem do budynku administracji.

Kiedy wszedłem, wycierał kark chusteczką z niebieskimi brzegami. Lampa z abażurem, przydająca blasku jego okularom, pozostawiła połowę jego szerokiej twarzy w cieniu, kiedy jego zaciśnięte pięści wysunęły się całkowicie do przodu w krąg światła. Stałem niepewnie w drzwiach, przytłoczony nagle widokiem starych, ciężkich mebli, pozostałości z czasów Założyciela, zdjęć portretowych w ramach i reliefowych tablic przedstawiających prezesów i przemysłowców – umieszczonych na ścianach jak trofea albo emblematy heraldyczne.

– Wejdz – odezwał się z półcienia; potem zobaczyłem, że się porusza i jego głowa wysuwa się do przodu, a oczy mu płoną.

Zaczął łagodnie, jakby sobie tylko żartował, aby wytrącić mnie z równowagi.

– Chłopcze – powiedział – jak rozumiem, nie tylko zawiozłeś pana Nortona do Kwater, ale wylądowałeś w tej śmierdzącej dziurze, w tym Golden Day.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Nic nie powiedziałem, a on spojrzał na mnie tym samym łagodnym wzrokiem. Czy Barbee pomógł panu Nortonowi go zmiękczyć?

– Nie – rzekł – nie dość było zabrać go do Kwater, musiałeś zakończyć tę wycieczkę mocnym akcentem, zapewnić mu pełnię wrażeń. Tak?

– Nie, proszę pana... To znaczy, on się źle poczuł, proszę pana – odparłem. – Musiał wypić odrobinę whisky...

– 1 to było jedyne znane ci miejsce, gdzie mogłeś pojechać – powiedział. – A więc pojechałeś tam, ponieważ troszczyłeś się o niego...

– Tak, proszę pana...

– 1 nie tylko to – rzekł głosem na poły drwiącym, na poły zdumionym. – Wypuściłeś go z samochodu, posadziłeś na galerii, werandzie – piazzie – czy jak tam to się teraz nazywa – i wprowadziłeś go w wyższe sfery!

– Wyższe sfery? – Zmarszczyłem czoło. – Och... ale on nalegał, żebym się zatrzymał, proszę pana. Nie mogłem nic zrobić.

– Oczywiście – powiedział. – Oczywiście.

– Interesowały go chaty, proszę pana. Był zdziwiony, że się jeszcze jakieś zachowały.

– A więc, naturalnie, zatrzymałeś się – rzekł, pochylając ponownie głowę.

– Tak, proszę pana.

– Tak, i przypuszczam, że chata się otworzyła i wyjawiała mu swoje dzieje i wszystkie wyborne plotki?

Zacząłem wyjaśniać.

– Chłopcze! – wybuchnął. – Czy ty jesteś poważny? Przed wszystkim dlaczego tam pojechaliście? Nie siedziałeś za kierownicą?

– Siedziałem, proszę pana...

– Więc czyż nie skrobaliśmy do drzwi wielu porządných domów, nie kłanialiśmy się w pas, nie błagaliśmy i nie okłamywaliśmy mieszkańców, żeby zgodzili się, byś mu je pokazał? Myślałeś, że biały musi przejechać tysiąc mil – z Nowego Jorku, Bostonu czy Filadelfii – tylko po to, byś mu pokazał slumsy? Nie stój tak, powiedz coś!

– Ale ja byłem tylko jego kierowcą, proszę pana. Zatrzymałem się tam dopiero wtedy, kiedy mi kazał...

– Kazał ci? – rzekł. – Kazał ci. Do licha, biali zawsze wydają rozkazy, taki mają zwyczaj. Dlaczego nie znalazłeś jakiejś wymówki? Nie mogłeś powiedzieć, że są chorzy – na ospę wietrzną – albo wybrać innej chaty? Dlaczego zdecydowałeś się akurat na budę Trueblooda? Mój Boże, chłopcze! Jesteś czarny i mieszkasz na Południu – czy zapomniałeś, jak się kłamię?

– Kłamię, proszę pana? Miałem go okłamać, okłamać powiernika? Ja?

Potrząsnął zboląły głową.

– A ja myślałem, że wybrałem chłopaka z głową na karku – powiedział. – Nie wiedziałeś, że narażasz szkołę na niebezpieczeństwo?

– Aleja tylko starałem się go zadowolić...

– Zadowolić? I ty jesteś studentem przedostatniego roku?! Przecież najgłupszy czarny bękart na polu bawełny wie, że jedynym sposobem na zadowolenie białego jest okłamanie go! Jakie wy tu zdobywacie wykształcenie? Kto tak naprawdę powiedział ci, żeby go tam zabrać?

– On sam, proszę pana. Nikt inny.

– Nie kłam!

– To prawda, proszę pana.

– Ostrzegam cię teraz. Mów, kto ci to podsunął?

– Przysięgam, proszę pana. Nikt nie kazał mi tam jechać.

– To nie jest czas na kłamstwa, czarnuchu. Ja nie jestem białym. Powiedz mi prawdę!

Poczułem się, jakby mnie uderzył. Patrzyłem ponad biurkiem i myślałem: Nazwał mnie tak...

– Odpowiedz mi, chłopcze!

Tak, powtórzyłem w myślach, zauważając pulsowanie żyły, która wystąpiła mu między oczami. Nazwał mnie tak.

– Nie skłamałbym, proszę pana – powiedziałem.

– Wobec tego kim był ten pacjent, z którym rozmawialiście.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem, proszę pana.

– Co mówił?

– Nie potrafię przypomnieć sobie wszystkiego – wymamrotałem. – Ten człowiek majaczył.

– Głośniej. Co powiedział?

– On uważa, że mieszkał we Francji i że jest znakomitym lekarzem...

– Mów dalej.

– Powiedział, że wierzę, że biel jest słuszna – rzekłem.

– Co? – Jego twarz drgnęła nagle i pofałdowała się jak powierzchnia ciemnego stawu. – A wierzysz, prawda? – spytał doktor Bledsoe, tłumiąc złośliwy śmiech. – No jak, wierzysz?

Nie odpowiedziałem, tylko pomyślałem: Ty, ty...

– Kto to był, spotkałeś go wcześniej?

– Nie, proszę pana, nie spotkałem.

– Z Północy czy z Południa?

– Nie wiem, proszę pana.

Rąbnął w biurko.

– Uczelnia dla Murzynów! Chłopcze, czy wiesz coś jeszcze oprócz tego, jak w pół godziny zniszczyć instytucję, której stworzenie zajęło ponad pół wieku? Czy on m ó w i ł jak człowiek z Północy czy z Południa?

– Mówił jak biały – odparłem – tyle tylko że z akcentem południowym, jak jeden z nas...

– Muszę to zbadać – stwierdził. – Taki Murzyn powinien być trzymany pod kluczem.

Po drugiej stronie kampusu zegar wybił kwadrans i coś wewnątrz mnie zdawało się tłumić ten dźwięk. Odezwałem się z rozpaczą:

– Doktorze Bledsoe, jest mi strasznie przykro. Nie miałem najmniejszego zamiaru tam jechać, ale sprawy wymknęły mi się z ręki. Pan Norton rozumie, jak do tego doszło...

– Posłuchaj mnie, chłopcze – powiedział głośno. – Norton nie jest mną, a ja nie jestem Nortonom, i chociaż może myśleć, że jest zadowolony, ja wiem, że nie jest! Twoja lekkomyślność wyrządziła tej szkole nieobliczalną szkodę. Zamiast wynieść tę rasę, strąciłeś ją w dół.

Patrzył na mnie, jakbym popełnił najgorszą zbrodnię, jaką można sobie wyobrazić.

– Nie wiesz, że nie możemy tolerować czegoś takiego? Dałem ci szansę usługiwania jednemu z naszych najlepszych białych przyjaciół, człowiekowi, który mógłby pomóc ci zbić majątek. W zamian za to wciągnąłeś całą rasę w błoto!

Sięgnął nagle po coś pod stos papierów, stare kajdany z czasów niewolnictwa, które dumnie nazywał „symbolem naszego postępu”.

– Musisz zostać ukarany, chłopcze – powiedział. – Nie ma tu żadnych „jeśli” ani „ale”.

– Ale dał pan panu Nortonowi słowo...

– Nie mów mi o tym, o czym już wiem. Bez względu na to, co powiedziałem, jako przywódca tej instytucji nie mogę pod żadnym pozorem pozwolić, żeby uszło ci to na sucho. Chłopcze, wylatujesz stąd!

Musiało się to zdarzyć, kiedy metal uderzył o biurko, bo nagle pochylałem się ku doktorowi Bledsoe i krzychałem z oburzeniem:

– Powiem mu. Pójdę do pana Nortona i powiem mu. Okłamał pan nas obu...

– Co?! – syknął. – Masz śmiałość grozić mi... w moim własnym gabinecie?

– Powiem mu – wrzeszczałem. – Wszystkim powiem. Będę z panem walczył. Przysięgam, będę walczył!

– No cóż – powiedział, odchylając się na fotelu – no cóż, niech mnie szlag!

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem i zobaczyłem, że jego głowa z powrotem pogrąża się w cieniu. Usłyszałem głośny, piskliwy dźwięk, jakby okrzyk wściekłości, a potem jego twarz wyłoniła się z ciemności i ujrzałem, że się śmieje. Przez chwilę patrzyłem na niego; potem okręciłem się i ruszyłem do drzwi, ale usłyszałem, że bełkocze za moimi plecami:

– Zaczekaj, zaczekaj.

Odwrociłem się. Próbowałem złapać oddech, opierając swoją dużą głowę na dłoniach, a po twarzy ciekły mu łzy.

– Daj spokój, daj spokój – rzekł, zdejmując okulary i wycierając oczy. – Daj spokój, synu. – Głos miał rozbawiony i pojednawczy. Było zupełnie tak, jakbym przeszedł inicjację w bractwie i powracał do niego. Patrzył na mnie, nadal skręcając się ze śmiechu. Moje oczy płonęły.

– Chłopcze, ty naprawdę jesteś głupcem – powiedział. – Twoi biali niczego cię nie nauczyli i opuścił cię zdrowy rozsądek. Co się dzieje z wami, młodymi Murzynami? Myślałem, że załapałeś, jak się tu załatwia sprawy. Ale ty nawet nie wiesz, jaka jest różnica między tym, jak się sprawy mają, a jakimi mają się wydawać. Mój Boże – westchnął – co się dzieje z tą rasą? No cóż, chłopcze, możesz powiedzieć komu chcesz... usiądź tam... Niech pan usiądzie, mówię!

Z ociąganiem usiadłem, rozdarty między złością i fascynacją, nienawidząc się za to, że go posłuchałem.

– Powiedz, komu chcesz – rzekł. – Nie dbam o to. Nie ruszyłbym małym palcem, żeby cię powstrzymać. Dlatego, synu, że nikomu niczego nie zawdzięczam. Komu, Murzynom? Murzyni nie sprawują kontroli nad tą szkołą ani nad niczym innym – nie nauczyłeś się nawet tego? Nie, mój panie, oni nie rządzą tą szkołą, zresztą biali też nie. To prawda, u t r z y m u j ą ją, ale ja tu rządzę. Jestem duży i czarny i mówię: „Tak, psze pana” równie głośno jak jakikolwiek bęcwał, kiedy trzeba, ale i tak tutaj jestem królem. Nie obchodzi mnie, jak to wygląda z zewnątrz. Władza nie musi pokazywać swojej siły. Władza jest pewna siebie, zaczyna sama z siebie, kończy sama z siebie, sama się ogrzewa i sama usprawiedliwia. Kiedy ją masz, wiesz o tym. Niech Murzyni rzą ze śmiechu, a biali nędzarze śmieją się do rozpuku! Takie są fakty, synu. Jedynymi ludźmi, których na pozór staram się zadowolić, są w i e l c y biali, a i tu bardziej ja steruję nimi niż oni mną. Taka jest struktura władzy, synu, a ja trzymam stery. Pomyśl o tym. Kiedy przeciwstawiasz się mnie, przeciwstawiasz się władzy, władzy bogatych białych, władzy narodu – czyli władzy rządu!

Przerwał, żeby dotarło to do mnie, a ja czekałem, pełen tępej, gwałtownej wściekłości.

– I powiem ci coś, co boją się wam powiedzieć wasi nauczyciele socjologii – ciągnął. – Gdyby nie było ludzi takich jak ja, kierujących takimi szkołami jak ta, nie byłoby Południa. Ani Północy. Tak, i nie byłoby kraju – takiego, jaki jest dzisiaj. Pomyśl o tym, synu. – Roześmiał się. – Tyle wygłaszałeś przemów i tyle studiowałeś, że wydawało mi się, że coś pojąłeś. Ale ty... Dobrze, rób, co chcesz. Spotkaj się z Nortonem. Przekonasz się, że on chce, żeby cię ukarać; może nie wie o tym, ale chce. Bo wie, że ja wiem, co jest najlepsze dla jego interesów. Jesteś czarnym wykształconym głupcem, synu. Ci biali mają gazety, czasopisma, radio, rzeczników do szerzenia swoich myśli. Jeśli chcą przekazać światu kłamstwo, mogą to zrobić tak dobrze, że stanie się ono prawdą, a jeśli ja im powiem, że kłamiesz, oznajmią to światu, nawet jeśli udowodnisz, że mówisz prawdę. Bo to jest takie kłamstwo, które chcą usłyszeć...

Znowu usłyszałem głośny, piskliwy śmiech.

– Jesteś nikim, synu. Nie istniejesz – nie widzisz tego? Biali mówią wszystkim, co mają myśleć – wszystkim oprócz takich ludzi jak ja. Ja to mówię im; na tym polega moje życie, na mówieniu białym, co mają myśleć o rzeczach, o których wiem. Szokuje cię to, co? Ha, tak właśnie jest. To paskudny układ i mnie samemu nie zawsze się podoba. Ale posłuchaj mnie – nie ja go zawarłem i wiem, że nie mogę go zmienić. Znalazłem sobie jednak w nim miejsce i żeby pozostać na tej pozycji, zgodziłbym się na powieszenie tej nocy na gałęzi każdego Murzyna w tym kraju.

Patrzył mi teraz w oczy, a głos miał nabrzmiały emocjami i szczerzy, jak gdyby coś mi wyznawał, ujawniał fantastyczną rewelację, w którą nie mogłem uwierzyć, ale której nie

mogłem też zaprzeczyć. Po kręgosłupie spływały mi z prędkością sunącego lodowca zimne krople potu...

– Mówię poważnie, synu – powiedział. – Musiałem być silny i zdecydowany, żeby dojść tu, gdzie jestem. Musiałem czekać, planować i włożyć w dupę... Tak, musiałem odgrywać czarnucha! – rzekł i dodał kolejne mocne: – Tak! Nie upieram się nawet, że warto było, ale teraz tu jestem i chcę zostać – kiedy wygrywasz, bierzesz nagrodę i pilnujesz jej, strzeżesz; nic innego nie można zrobić. – Wzruszył ramionami. – Człowiek starzeje się, zdobywając pozycję, synu. A więc dalej, idź śmiało i opowiedz swoją historię; postaw swoją prawdę przeciw mojej, bo to, co powiedziałem, jest prawdą, głębszą prawdą. Sprawdź to, wypróbuj... Kiedy ja zaczynałem, byłem młody...

Ale ja już go nie słuchałem ani nie widziałem niczego poza grą światła na metalicznych kręgach jego okularów, które teraz zdawały się płynąć po odrażającym morzu jego słów. Prawda, prawda, co było prawdą? Nikt, kogo znałem, nawet moja własna matka, nie uwierzyłby mi, gdybym próbował im powiedzieć. Ani ja sam jutro, pomyślałem, ani ja... Gapiłem się bezradnie na słoje biurka, potem przeniosłem wzrok na szafkę z pucharami za jego fotelem. Znad szafki spoglądał wymijająco portret Założyciela.

– Hi, hi! – roześmiał się Bledsoe. – Masz za krótkie ręce, synu, żeby się ze mną boksować. A ja od wielu lat nie musiałem przywalić żadnemu młodemu Murzynowi. Nie – powiedział, wstając – nie są teraz tacy zadziorni jak dawniej.

Tym razem ledwie mogłem się poruszyć, czułem ucisk w żołądku i rozboleły mnie nerki. Nogi miałem jak z waty. Przez trzy lata uważałem się za mężczyznę, a tutaj on, za pomocą paru słów, sprawił, że byłem bezradny jak niemowlę. Podniosłem się...

– Czekaj, nie odchodź jeszcze – powiedział, spoglądając na mnie jak człowiek, który ma zaraz rzucić monetą. – Podoba mi się twój duch, synu. Jesteś wojownikiem, a ja to lubię; brakuje ci tylko umiejętności oceny sytuacji, chociaż może cię to doprowadzić do zguby. Właśnie dlatego muszę cię ukarać, synu. Wiem też, jak się czujesz. Nie chcesz wracać do domu, żeby nie doznać upokorzenia. Rozumiem to, ponieważ masz jakieś niejasne pojęcie o godności. Wbrew mojej woli wślizgują się tu takie pojęcia wraz z kiepskimi nauczycielami i wykształconymi na Północy idealistami. Tak, i uzyskaliście poparcie pewnych białych i nie chcecie stanąć z nimi twarzą w twarz, bo nie ma nic gorszego dla czarnego niż doznanie upokorzenia od białego. O tym też wiem wszystko, stary doktorek został zrugany, poniżony i tak dalej. Nie tylko śpię wam o tym w kaplicy, ja o tym wiem. Ale przezwyciężysz ten problem; to głupie, kosztowne i bardzo nieproduktywne. Pozwalasz białym martwić się o dumę i godność – uczysz się, gdzie jest twoje miejsce, i zyskujesz władzę, wpływy, kontakty z potężnymi i wpływowymi ludźmi – a potem pozostajesz w cieniu i wykorzystujesz to!

Jak długo zostanę tutaj i będę mu pozwalał naśmiewać się ze mnie, myślałem, przywierając plecami do oparcia krzesła, jak długo?

– Jesteś bezczelnym małym wojownikiem, synu – ciągnął – a nasza rasa potrzebuje dobrych, bystrych, pozbawionych złudzeń wojowników. Dlatego zamierzam podać ci pomocną dłoń – może pomyślisz, że podaję ci lewą rękę, walnąwszy cię jednocześnie prawą – jeśli sądzisz, że jestem człowiekiem, który walczy prawą, a z pewnością nim nie jestem. Ale mniejsza o to, albo się zgadzasz, albo nie. Chcę, żebyś na lato pojechał do Nowego Jorku i zachował swoją dumę – i pieniądze. Pojedziesz tam i zarobisz na przyszłoroczne opłaty, zrozumiano?

Skinąłem głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, skręcając się w duchu z wściekłości, starając się go rozgryźć, dopasować to, co teraz mówił, do tego, co powiedział wcześniej...

– Dam ci listy do kilku przyjaciół szkoły, żeby dopilnowali, byś dostał pracę – powiedział. – Ale tym razem kieruj się rozsądkiem, miej oczy otwarte, wciągnij się w wir spraw! Potem, jeśli się dobrze spiszesz, być może... cóż, być może... To zależy od ciebie.

Umilkł i wstał, wysoki, czarny i okrągłooki, potężny.

– To wszystko, młody człowieku – rzucił ostrym, oficjalnym tonem. – Masz dwa dni na zamknięcie swoich spraw.

– Dwa dni?

– Dwa dni! – powtórzył.

Zszedłem po schodach i ruszyłem chodnikiem w mrok, wydostawszy się z budynku w samą porę, bo zgięło mnie wpół pod wistarią, która zwisała z drzew na podobnych do lin pnączach. Prawie wyrwało mi wnętrzności, a kiedy skończyłem, spojrzałem przez łukowate sklepienie wysokich i zimnych drzew nad moją głową i dostrzegłem wirujący, podwójny księżyc. Nie potrafiłem na niczym skupić wzroku.

Ruszyłem w stronę mojego pokoju, zasłaniając ręką jedno oko, by nie wpadać na drzewa i latarnie wyrastające na mojej drodze. Podczas marszu czułem w ustach żółć i dziękowałem Bogu, że jest noc i nikt nie widzi, w jakim jestem stanie. Miałem wrażenie, że mój żołądek jest obtarty do żywego mięsa. Gdzieś z drugiej strony cichego kampusu przypląnęły do mnie, niczym leniwa, drgająca fala, niczym niosący się echem gwizd samotnego pociągu, dźwięki starego gitarowego bluesa, którego ktoś brzdąkał na rozstrojonym pianinie, i moja głowa znowu poleciała do przodu, tym razem na drzewo, i usłyszałem, jak rozrywa pokryte kwiatami pnącza.

Kiedy mogłem już się poruszyć, zaczęło mi się kręcić w głowie. Przepływały przez nią wydarzenia tego dnia. Trueblood, pan Norton, doktor Bledsoe i Golden Day wirowały w moim umyśle w szalonym, surrealistycznym tańcu. Stałem na ścieżce, zakrywając oko i starając się odepchnąć od siebie ten dzień, ale za każdym razem potykałem się o decyzję doktora Bledsoe. Nadal rozbrzmiewała echem w mojej głowie i była rzeczywista, była ostateczna. Bez względu na to, w jakim stopniu ponosiłem odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, wiedziałem, że będę musiał za to zapłacić, wiedziałem, że zostanę wyrzucony, i sama ta myśl znowu dźgnęła mnie we wnętrzności. Stałem na oświetlonym przez księżyc chodniku, próbując wybiec myślą w przyszłość i ogarnąć skutki tego wydarzenia, wyobrażając sobie satysfakcję tych, którzy zazdrościli mi sukcesu, oraz wstyd i rozczarowanie rodziców. Nigdy nie zmazałbym hańby, którą się okryłem. Moi biali znajomi odwróciliby się ode mnie ze wstrętem, a pamiętałem strach unoszący się nad wszystkimi, którzy nie mogli pochwalić się protekcją ze strony potężnych białych.

Jak do tego doszło? Niezłomnie trzymałem się wytyczonej mi drogi, starałem się być dokładnie takim, jak ode mnie oczekiwano, robiłem dokładnie to, czego ode mnie oczekiwano – a jednak, zamiast zdobyć spodziewaną nagrodę, sunąłem niepewnym krokiem, zasłaniając rozpaczliwie jedno oko, by nie rozbić głowy o jakiś znany przedmiot, postawiony nagle na mojej drodze przez mój spaczony wzrok. I co jeszcze bardziej mnie wzburzyło, poczułem nagle, że unosi się nade mną mój dziadek, uśmiechając się triumfalnie z ciemności. Nie mogłem tego po prostu znieść, bo mimo złości i bólu nie znałem innego sposobu życia ani innych form sukcesu dostępnych dla takich jak ja. Byłem tak całkowicie częścią tej egzystencji, że musiałem w końcu pogodzić się z tym, co się stało. Musiałem to zrobić albo przyznać, że obecność dziadka miała sens. Co było niemożliwe, bo chociaż nadal uważałem, że jestem niewinny, wiedziałem, że jedyną alternatywą dla znalezienia się na stałe w świetle Trueblooda i Golden Day jest przyjęcie odpowiedzialności za to, co się wydarzyło. W jakiś sposób, przekonywałem sam siebie, złamałem regulamin, a zatem będę musiał poddać się karze. Doktor Bledsoe ma rację, mówiłem sobie, ma rację; trzeba chronić szkołę i to, co reprezentuje. Nie było innego sposobu i bez względu na to, jak bardzo cierpiełem, musiałem jak najszybciej spłacić dług i powrócić do budowania kariery...

W pokoju policzyłem swoje oszczędności, jakieś pięćdziesiąt dolarów, i postanowiłem jak najszybciej pojechać do Nowego Jorku. Jeśli doktor Bledsoe nie rozmyślił się i nadal chce pomóc mi znaleźć pracę, to wystarczy to na zapłacenie za pokój i wyżywienie w Domu dla

Mężczyzn, o którym dowiedziałem się od kolegów mieszkających tam w czasie letnich wakacji. Wyjadę rano.

Tak więc podczas gdy mój kolega z pokoju uśmiechał się i mamrotał coś nieświadomie przez sen, ja spakowałem swoje torby.

Następnego ranka wstałem, zanim zabrzmiała trąbka, i siedziałem już na ławce w sekretariacie doktora Bledsoe, kiedy się pojawił. Rozpięta marynarka jego granatowego serżowego garnituru ukazywała ciężki złoty łańcuch między kieszonkami kamizelki, gdy zbliżał się do mnie bezszelestnym krokiem. Przeszedł obok mnie, jakby mnie nie widział. Potem, już przy drzwiach gabinetu, oznajmił:

– Nie zmieniałem zdania o tobie, chłopcze. I nie zamierzam!

– Och, nie po to tu przyszedłem, proszę pana – powiedziałem, a on szybko się odwrócił i spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem w oczach.

– Bardzo dobrze, jeśli to rozumiesz. Wejdz i powiedz, o co ci chodzi. Mam dużo pracy.

Czekałem przed biurkiem, przyglądając się, jak umieszcza kapelusz na starym, brązowym wieszaku. Potem usiadł przede mną, złożył palce w klatkę i kiwnął głową, bym zaczął.

Piekły mnie oczy, a głos brzmiał nierealnie.

– Chciałbym wyjechać dziś rano, proszę pana – powiedziałem.

Odwrócił wzrok.

– Dlaczego dziś rano? – rzekł. – Dałem ci czas do jutra. Skąd ten pośpiech?

– To nie pośpiech, proszę pana. Ale ponieważ muszę wyjechać, chciałbym już ruszać. Pobyt do jutra niczego nie zmieni...

– Tak, nie zmieni – przyznał. – To rozsądne i masz moje pozwolenie. I co jeszcze?

– To wszystko, proszę pana, z tym że chcę powiedzieć, że przepraszam za to, co zrobiłem, i nie żywię żadnej urazy. To, co zrobiłem, było nieumyślne, ale zgadzam się, że muszę ponieść karę.

Złączył koniuszki palców, które spotkały się delikatnie, a twarz miał bez wyrazu.

– To właściwa postawa – powiedział. – Innymi słowy, nie zamierzasz być rozgoryczony, czy tak?

– Tak, proszę pana.

– Tak, widzę, że zaczynasz się uczyć. To dobrze. Nasi ludzie muszą robić dwie rzeczy – brać odpowiedzialność za swoje czyny i unikać rozgoryczenia. – Podniósł głos z tym samym przekonaniem, którym tchnęły jego mowy w kaplicy. – Synu, jeśli nie zgorzkniejesz, nic ci nie przeszkodzi w osiągnięciu sukcesu. Pamiętaj o tym.

– Będę pamiętał, proszę pana – rzekłem. Potem ścisnęło mi się gardło i miałem nadzieję, że sam przejdzie do sprawy pracy.

Zamiast tego spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem i powiedział: – I cóż? Mam dużo pracy. Dostałeś pozwolenie.

– Proszę pana, chciałbym prosić pana o przysługę...

– Przysługę – powtórzył chłodno. – To zupełnie inna sprawa. Jakiego rodzaju przysługę?

– To nic wielkiego, proszę pana. Obiecał pan, że skontaktuje mnie z pewnymi członkami zarządu, którzy dadzą mi pracę. Przyjmę każde zajęcie.

– Och, tak – powiedział – tak, oczywiście.

Przez chwilę zdawał się nad czymś zastanawiać, a jego oczy lustrowały przedmioty na biurku. Potem, dotykając lekko mojego ramienia palcem wskazującym, rzekł: – Bardzo dobrze. Kiedy masz zamiar wyjechać?

– Pierwszym autobusem, jeśli to możliwe, proszę pana.

– Jesteś spakowany?

– Tak, proszę pana.

– Bardzo dobrze. Idź po swoje bagaże i wróć tu za pół godziny. Moja sekretarka da ci parę listów, zaadresowanych do kilku przyjaciół szkoły. Jeden z nich robi coś dla ciebie.

– Dzięki, proszę pana. Bardzo panu dziękuję – powiedziałem, kiedy wstał.

– Wszystko w porządku – odparł. – Szkoła stara się dbać o swoich ludzi. Tylko jeszcze jedno. Te listy będą zapieczętowane; nie otwieraj ich, jeśli potrzebujesz pomocy. Biali są bardzo wyczuleni na takie sprawy. Te listy przedstawią cię i poproszą ich o pomoc w znalezieniu pracy. Zrobię dla ciebie, co będę mógł, i nie musisz ich otwierać, jasne?

– Och, proszę pana, nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby je otworzyć – powiedziałem.

– Bardzo dobrze, otrzymasz je od tej młodej damy, kiedy wrócisz. A co z twoimi rodzicami, poinformowałeś ich?

– Nie, proszę pana, mogliby się źle poczuć, gdybym powiedział im, że zostałem wyrzucony, zamierzam więc napisać do nich, kiedy się tam znajdę i dostanę pracę...

– Rozumiem. Może tak będzie najlepiej.

– No to do widzenia, proszę pana – powiedziałem, wyciągając rękę.

– Do widzenia – rzekł. Jego dłoń była duża i dziwnie zwiotczała.

Kiedy odwróciłem się, by odejść, nacisnął dzwonek. Jego sekretarka przeszła szybko obok mnie, gdy wychodziłem.

Kiedy wróciłem, listy już czekały, siedem kopert zaadresowanych do ludzi o robiących wrażenie nazwiskach. Szukałem listu do pana Nortona, ale nie było go wśród nich. Umieściwszy je starannie w kieszeni, chwyciłem bagaże i pospieszyłem na autobus.

Rozdział 7

Dworzec był pusty, ale kasa biletowa była otwarta, a portier w szarym mundurze popychał szczotkę. Kupiłem bilet i wsiadłem do autobusu. Ujrzałem tam tylko dwóch pasażerów, siedzących z tyłu czerwonego, niklowanego wnętrza, i nagle odniosłem wrażenie, że śnię. Był to ów weteran – który teraz obdarzył mnie uśmiechem świadczącym o tym, że mnie poznał; towarzyszył mu strażnik.

– Witaj, młodzieńcze – krzyknął weteran. – Wyobraź sobie, Crenshaw – rzekł do strażnika – że mamy towarzysza podróży!

– Dzień dobry – powiedziałem niechętnie. Rozejrzałem się za miejscem z dala od nich, ale chociaż autobus był prawie pusty, przeznaczono dla nas tylko jego tył i mogłem jedynie usiąść obok nich. Nie podobało mi się to; ten weteran odegrał zbyt dużą rolę w doświadczeniu, które próbowałem już usunąć ze świadomości. Sposób, w jaki rozmawiał z panem Nortonom, był zapowiedzią mojego nieszczęścia – tak jak to przeczuwałem. Pogodziwszy się już z tym, że muszę ponieść karę, nie chciałem pamiętać niczego, co miało związek z Truebloodem albo Golden Day.

Crenshaw, mężczyzna dużo drobniejszy od Supercargo, nic nie powiedział. Nie należał do typowych strażników, którzy zazwyczaj eskortują osobników skłonnych do gwałtu i przemocy, i cieszyłem się z tego, dopóki nie przypomniałem sobie, że jedynym przejawem gwałtowności tego weterana jest jego język. Jego jęzor już i tak napytał mi biedy i teraz miałem jedynie nadzieję, że nie obróci go przeciwko białemu kierowcy – mogliby nas za to zabić. A w ogóle co on robił w tym autobusie? Boże, czyżby doktor Bledsoe działał tak szybko? Gapiłem się na grubasa.

– No i jak sobie poradził twój przyjaciel, pan Norton? – zapytał.

– Nic mu nie jest – odparłem.

– Nie mdlał już?

– Nie.

– Nawrzeszczał na ciebie za to, co się stało?

– Nie obwinał mnie o to – powiedziałem.

– Dobrze. Myślę, że wstrząsnąłem nim bardziej niż cokolwiek innego, co zobaczył w Golden Day. Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów. Szkoła nie kończy się tak szybko, co?

– Niezupełnie – rzekłem lekkim tonem. – Wyjeżdżam wcześniej, żeby podjąć pracę.

– Cudownie? W twoim mieście?

– Nie, pomyślałem, że w Nowym Jorku mogę zarobić więcej.

– Nowy Jork! – powiedział. – To nie miasto, to marzenie. Kiedy byłem w twoim wieku, takie było Chicago. I teraz wszyscy czarni chłopcy uciekają do Nowego Jorku. Z ognia do tygla. Wyobrażam sobie, jaki będziesz, kiedy pomieszkasz w Harlemie trzy miesiące. Będziesz inaczej się wyrażał, będziesz dużo gadał o „uczelni”, chodził na wykłady w Domu dla Mężczyzn... możesz nawet poznać paru białych. I słuchaj – ściszył głos niemal do szeptu – może nawet zatańczysz z białą dziewczyną!

– Jadę do Nowego Jorku do pracy – powiedziałem, rozglądając się wokół. – Nie będę miał na to czasu.

– Będziesz miał – zakpił. – W głębi duszy myślisz o swobodzie, która, jak słyszałeś, panuje na Północy, i kiedyś tego spróbujesz, tylko po to, by przekonać się, czy to, co słyszałeś, jest prawdą.

– So inne rodzaje swobody oprócz jakichś starych białych zdzir – stwierdził Crenshaw. – Może będzie chciał zobaczyć se jakie pokazy i pojeść w ichnich wielgich restoracjach.

Weteran wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ależ oczywiście, ale pamiętaj, Crenshaw, że on tam spędzi tylko parę miesięcy. Przez większość tego czasu będzie pracował, a więc duża część jego swobody będzie tylko symboliczna. A co będzie dla niego czy jakiegokolwiek innego mężczyzny najłatwiej dostępnym symbolem swobody? Otóż oczywiście kobieta. W dwadzieścia minut napełni ten symbol całą swobodą, którą nie będzie mógł się cieszyć przez resztę czasu wskutek nawału zajęć. Sam się przekona.

Spróbowałem zmienić temat.

– Gdzie jedziecie? – zapytałem.

– Do Waszyngtonu – odparł weteran.

– A więc jest pan wyleczony?

– Wyleczony? Nie ma leku...

– Przenoszo go – wyjaśnił Crenshaw.

– Tak, mam skierowanie do szpitala Świętej Elżbiety – powiedział weteran. – Sposoby działania władz są zaiste niepojęte. Przez rok starałem się o przeniesienie, aż tu dzisiejszego ranka mówią mi nagle, że mam się pakować. Zastanawiam się, czy nie ma z tym coś wspólnego nasza pogawędka z twoim znajomym, panem Nortonem.

– Jak mógłby on mieć z tym coś wspólnego? – spytałem, przypomniawszy sobie pogroźkę doktora Bledsoe.

– A jak on może mieć coś wspólnego z tym, że jedziesz tym autobusem? – odparł.

Mrugnął do mnie. Jego oczy zaśniły.

– W porządku, zapomnij o tym, co powiedziałem. Ale na miłość boską, naucz się odróżniać pozory od rzeczywistości. I pamiętaj, że nie musisz być skończonym idiotą, by odnieść sukces. Graj w tę grę, ale nie wierz w nią – tyle jesteś sobie winien. Nawet jeśli wylądujesz przez to w kaftanie bezpieczeństwa albo w wyściełanej poduszkami celi. Graj w tę grę, ale graj po swojemu – przynajmniej częściowo. Graj w tę grę, ale podnieś stawkę, chłopcze. Poznaj jej zasady, poznaj s w o j e zasady – szkoda, że nie mam czasu, by wyjaśnić ci choćby jej fragment. Ale jesteśmy ludźmi, którzy robią wszystko na odwyrtekę. Możesz nawet wygrać. To naprawdę bardzo prymitywna sprawa. Naprawdę przedrenesansowa – a tę grę przeanalizowano, opisano w książkach. Ale oni tutaj zapomnieli zająć się książkami i w tym twoja szansa. Jesteś ukryty w pełnym świetle, to znaczy byłbyś, gdybyś tylko zdał sobie z tego sprawę. Nie zobaczyliby cię, ponieważ nie spodziewają się, że coś wiesz, skoro wierzą, że zadbali o to...

– Człowieku, co to za oni, co o nich tak dużo gadasz? – zapytał Crenshaw.

Weteran najwyraźniej się zdenerwował.

– Oni? – powiedział. – Oni? No cóż, to ci sami oni, których zawsze mamy na myśli, biali, władza, bogowie, los, okoliczności – siła, która pociąga za sznurki, dopóki przestaniesz się zgadzać, by tobą manipulowano. Ten wielki człowiek, którego nigdy nie ma tam, gdzie myślisz, że jest.

Crenshaw skrzywił się.

– Za dużo gadasz, człowieku – powiedział. – Gadasz, a nic nie mówisz.

– O, mam dużo do powiedzenia, Crenshaw. Ubieram w słowa to, co czuje większość ludzi, choćby nawet mgliście. Pewnie, jestem kimś w rodzaju nałogowego gaduły, ale tak naprawdę jestem raczej błaznem niż głupcem. Ale Crenshaw – dodał, zwijając gazetę, która leżała na jego kolanach – nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nasz przyjaciel jedzie po raz pierwszy w życiu na Północ! To pierwszy raz, prawda?

– Ma pan rację – powiedziałem.

– Oczywiście. Byłeś już na Północy, Crenshaw?

– Byłem w całym kraju – odparł Crenshaw. – Wiem, jak gdzie jest. I wiem, jak się zachować. A poza tym ty nie jedziesz na Północ, nie na prawdziwo Północ. Jedziesz do Waszyngtonu. To też południowe miasto.

– Tak, wiem – rzekł weteran – ale pomyśl, co to znaczy dla tego młodego kolegi. Jedzie wolny, w pełnym świetle dziennym i sam. Pamiętam czasy, kiedy tacy młodzi faceci jak on musieli najpierw popełnić przestępstwo albo zostać o coś oskarżeni, zanim spróbowali czegoś takiego. Zamiast wyjeżdżać w blasku poranka, wymykali się nocą. I żaden autobus nie był dosyć szybki – nieprawda, Crenshaw?

Crenshaw przestał rozwijać batonik i spojrzał na niego surowo, zwięzonymi oczyma.

– Skąd u diabła mam wiedzieć? – zapytał.

– Przepraszam, Crenshaw – powiedział weteran. – Myślałem, że jako człowiek doświadczony...

– Ja nie mam takiego doświadczenia. Pojechałem na Północ z własnej wolnej woli.

– Alenie s ł y s z a ł e ś o takich przypadkach?

– Słyszeć to nie to samo, co doświadczyć – powiedział Crenshaw.

– Nie to samo. Ale skoro w wolności jest zawsze element przestępstwa...

– Nie popełniłem żadnego przestępstwa!

– Nie chciałem powiedzieć, że popełniłeś – rzekł weteran. – Przepraszam. Zapomnij o tym.

Crenshaw odgryzł ze złością kęs batonika i mruknął:

– Chciałbym, żebyś jak najszybciej wpad w depresję, może wtedy nie będziesz tyle gadał.

– Tak, doktorze – rzekł szyderczo weteran. – Zaraz wpadnę w depresję, ale skoro jesz swój batonik, to daj pożuć opakowanie; jest całkiem treściwe.

– Eee, przestań się popisywać swoim wykształceniem – powiedział Crenshaw. – Jesteś czarnuchem tak samo jak ja. A poza tym jesteś czubkiem.

Weteran mrugnął do mnie i dalej wylewał potok słów, a autobus ruszył. W końcu już jechaliśmy, więc rzuciłem ostatnie tęskne spojrzenie na szkołę, kiedy autobus wypadł na okrążającą ją szosę. Odwróciłem się i patrzyłem przez tylną szybę, jak się oddala; słońce oświetlało wierzchołki drzew, zalewało jasnymi promieniami jej niskie budynki i porządnie utrzymane tereny. Potem zniknęła. Nie minęło pięć minut, a kawałek ziemi, który utożsamiałem z najlepszym z możliwych światów, zniknął, zagubiony w dzikiej, nieuprawnej okolicy. Mój wzrok przyciągnął jakiś ruch na poboczu i zobaczyłem mokasy na wijącego się szybko na szarym betonie i znikającego w długiej żelaznej rurze, która leżała przy drodze. Patrzyłem na przemykające za oknem pola bawełny i chaty, czując, że jadę w nieznanie.

Weteran i Crenshaw szykowali się do przesiadki na następnym przystanku i na odchodnym weteran położył z życzliwością rękę na moim ramieniu i jak zwykle się uśmiechnął.

– Pora na ojcowską radę – powiedział – ale oszczędzę ci tego, ponieważ, jak mniemam, nie jestem niczym ojcem, tylko swoim własnym. Może to jest rada dla ciebie: bądź swoim własnym ojcem, młodzieńcze. I pamiętaj, świat jest okazją, jeśli tylko ją odkryjesz. I na koniec – daj sobie spokój z panem Nortonem, a jeśli nie wiesz, o co mi chodzi, pomyśl o tym. Powodzenia.

Widziałem, jak idzie za Crenshawem przez grupę pasażerów czekających, żeby wsiąść, niska, komiczna postać, która odwróciła się, by mi pomachać, a potem zniknęła w drzwiach dworca z czerwonej cegły. Opadłem na oparcie z westchnieniem ulgi, ale gdy pasażerowie byli już w środku i autobus znowu ruszył, poczułem się smutny i zupełnie samotny.

Moje samopoczucie zaczęło się poprawiać dopiero wtedy, kiedy sunęliśmy przez Jersey. Wtedy odzyskałem dawną pewność siebie i optymizm i zacząłem snuć plany co do pobytu na Północy. Będę ciężko pracował i tak dobrze służył pracodawcy, że zasypie doktora Bledsoe

pochlebnymi sprawozdaniami. I zaoszczędzę pieniądze, i wrócę jesienią wypełniony nowojorską kulturą. Będę bezdyskusyjnie czołową postacią na kampusie. Może nawet wezmę udział w zgromadzeniu mieszkańców miasta, które transmitowano w radiu. Nauczę się sztuczek wybitnych mówców. I wykorzystam jak najlepiej moje kontakty. Kiedy spotkam się z grubymi rybami, do których były zaadresowane listy, błysnę najlepszymi manierami. Będę mówił cicho, najgładszym z moich tonów, uśmiechał się życzliwie i będę bardzo grzeczny; będę pamiętał, że jeśli on („on” odnosiło się do każdego z ważnych dżentelmenów) podejmie temat (ja sam nigdy nie zacząłbym żadnego tematu), który okaże się mi znany, uśmiechnę się i przytaknę mu. Buty będę miał wypolerowane, koszulę wyprasowaną, włosy ułożone (nie za dużo brylantyny) i z przedziałkiem po prawej stronie; paznokcie będę miał czyste, a pachy dobrze spryskane dezodorantem – trzeba było dopilnować tego ostatniego szczegółu. Nie można było pozwolić, żeby myśleli, że my w s z y s c y brzydko pachniemy. Na samą myśl o tych spotkaniach poczułem się wyrafinowanym światowcem, tak że kiedy namacałem siedem ważnych listów w kieszeni, doznałem uczucia lekkości i przyływu energii.

Marzyłem, spoglądając niewidzącym wzrokiem na krajobraz, aż w końcu uniosłem głowę i ujrzałem marszczącego brwi bagażowego.

– Kolego, wysiadasz tutaj? – zapytał. – Jeśli tak, to lepiej się zbieraj.

– Och, jasne – powiedziałem, ruszając do wyjścia. – Jasne, ale jak się stąd dostać do Harlemu?

– To łatwe – odparł. – Po prostu kieruj się cały czas na północ.

I kiedy znosiłem swoje torby i zdobyczną teczkę, nadal tak samo lśniącą jak w wieczór walnej rozprawy, pouczył mnie, jak wsiąść do metra. Następnie przedarłem się przez tłum.

Po drodze do kolejki podziemnej pchany byłem przez szary tłum, a potem chwycił mnie z tyłu krzepki strażnik w granatowym mundurze, postury niemal takiej jak Supercargo, i wepchnął, razem z bagażem, do pociągu tak zatłoczonego, że wszyscy wydawali się w nim stać z głowami odchylonymi do tyłu i wytrzeszczonymi oczami, niczym kurczaki, które zamarzyły w miejscu na sygnał o zagrożeniu. Potem zamknęły się drzwi i przyciśnięto mnie do potężnej kobiety w czerni, która potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, gdy gapiłem się z przerażeniem na dużą brodawkę wyrastającą z jej tłustej skóry jak góra wznosząca się nad mokrą od deszczu doliną. I przez cały czas czułem gumową miękkość jej ciała. Nie mogłem ani odwrócić się w bok, ani do tyłu, ani postawić moich toreb. Byłem w potrzasku, tak blisko niej, że zaledwie kiwnąwszy głową, mógłbym otrzeć jej usta moimi ustami. Rozpaczliwie chciałem podnieść ręce, by pokazać jej, że dzieje się tak wbrew mojej woli. Cały czas spodziewałem się, że zacznę krzyczeć, aż w końcu pociąg się zatrzymał i mogłem uwolnić lewe ramię. Zamknąłem oczy, desperacko trzymając się kłapy marynarki. Wagon jęczał i kołysał się, przyciskając mnie mocno do niej, ale kiedy ukradkiem rozejrzałem się dookoła, stwierdziłem, że nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. I nawet ona zdawała się pogrążona we własnych myślach. Pociąg najwyraźniej pędził teraz ze zbocza wzgórza, ale chwilę potem zahamował na stacji i wyleciałem na peron z uczuciem, że zwymiotował mnie oszalały wieloryb. Zmagając się z torbami, popłynąłem z tłumem, po schodach, na gorącą ulicę. Nie dbałem o to, gdzie jestem, resztę drogi mogłem przejść pieszo.

Przez chwilę stałem przed wystawą sklepową, patrząc na swoje odbicie w lustrze, starając się dojść do siebie po jeździe, podczas której byłem przyparty do tej kobiety. Byłem oklapły, ubranie miałem mokre. „Ale jesteś teraz na Północy – powiedziałem sobie – na Północ”. Tak, ale przypuśćmy, że zaczęłyby krzyczeć... Kiedy następnym razem będę korzystał z metra, postaram się zawsze wchodzić do kolejki z rękami zaciśniętymi na kłapach marynarki i będę je tak trzymał, dopóki nie wysiądę. Mój Boże, przecież muszą tu cały czas mieć zamieszki z powodu tych spraw. Dlaczego o nich nie czytałem?

Nigdy jeszcze nie widziałem tyłu czarnych na tle ceglanych budynków, neonów, szyb i ryczących samochodów, nawet podczas wycieczek, na które jeździłem z zespołem

dyskusyjnym do Nowego Orleanu, Dallas i Birminghamu. Byli wszędzie. Tak wielu i poruszających się tak szybko i hałaśliwie, że nie byłem pewien, czy mają obchodzić jakieś święto, czy wziąć udział w walkach ulicznych. Widziałem nawet czarne dziewczyny za ladami mijanych przeze mnie Five and Ten¹.

Potem, na skrzyżowaniu ulic, doznałem wstrząsu na widok kierującego ruchem czarnego policjanta – a byli tam biali kierowcy, którzy stosowali się do jego sygnałów, jak gdyby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Jasne, że słyszałem o tym, ale to było rzeczywiste. Wróciła mi odwaga. To naprawdę był Harlem i teraz powróciły jak żywe wszystkie opowieści, które słyszałem o tym mieście w obrębie miasta. Weteran miał rację – dla mnie nie było to miasto realiów, lecz marzeń; być może dlatego, że zawsze uważałem się za związanego z Południem. A teraz, kiedy przedzierałem się przez rzędy ludzi, zarysował się przede mną niewyraźnie świat nowych możliwości, jak cichy głos, ledwie słyszalny w zgiełku miejskich dźwięków. Szedłem z wybałuszonymi oczami, starając się poddać nawałowi wrażeń. Potem zastygłem.

To było przede mną, pełne złości i ostrych słów, i natychmiast doznałem przerażenia i szoku, które czułem jako dziecko, kiedy zaskoczył mnie głos ojca. Poczułem pustkę w żołądku. Tłum ludzi przede mną zatarasował prawie chodnik, a nad nimi krzyczał ze złością z drabiny, do której przymocowany był zbiór małych amerykańskich flag, niski, przysadzisty mężczyzna.

– Musimy ich wyrzucić – wołał. – Wyrzucić!

– Powiedz im o tym, Ras, chopie – zawołał ktoś.

I zobaczyłem, jak ten przysadzisty mężczyzna wymachuje ze złością pięścią nad ich uniesionymi do góry twarzami, wrzeszcząc coś staccato, z antylskim akcentem, na co tłum odpowiadał groźnym rykiem. Wyglądało na to, że lada chwila zaczną się zamieszki, ale nie wiedziałem, kto zostanie zaatakowany. Byłem zdumiony, zarówno wrażeniem, jakie wywarł na mnie jego głos, jak i wyraźnym gniewem tłumu. Nigdy jeszcze nie widziałem w miejscu publicznym tyłu rozwścieczonych czarnych, a jednak inni mijali zgromadzenie, nie rzuciwszy na nie nawet okiem. Kiedy podszedłem z boku, dostrzegłem dwóch białych policjantów, rozmawiających sobie spokojnie z odwróconymi plecami i śmiejących się z jakiegoś kawału. Nawet kiedy swobodnie zachowujący się tłum wrzasnął z gniewem na znak zgody z jakąś uwagą mówcy, nie zwrócili na to uwagi. Osłupiałem. Gapiłem się na policjantów, z torbami złożonymi na środku chodnika, aż w końcu jeden z nich zauważył mnie przypadkiem i trącił drugiego, który żuł leniwie gumę.

– Co możemy dla ciebie zrobić, kolego? – spytał.

– Właśnie się zastanawiałem... – rzekłem, zanim zdążyłem się opanować.

– Taa?

– Właśnie się zastanawiałem, jak dojść do Domu dla Mężczyzn, proszę pana – powiedziałem.

– To wszystko?

– Tak, proszę pana – wyjąkałem.

– Na pewno?

– Tak, proszę pana.

– To przyjezdny – odezwał się drugi. – Dopiero co przyjechałeś do miasta, kolego?

– Tak, proszę pana – powiedziałem. – Właśnie wyszedłem z metra.

– Tak? No to powinieneś uważać.

– Będę uważał, proszę pana.

– To dobry pomysł. Graj czysto – powiedział i pokazał mi drogę do Domu dla Mężczyzn.

1 Tanie sklepy wielobranżowe (przyp. tłum.).

Podziękowałem im i szybko ruszyłem. Mówca zachowywał się gwałtowniej niż przedtem, a jego uwagi dotyczyły władz. Dysonans między spokojem reszty ulicy a pasją w jego głosie nadawał tej scenie dziwny, niespójny charakter i pilnowałem się, by się nie obejrzeć, w obawie, że zobaczę rozpoczynające się zamieszki.

Dotarłem do Domu dla Mężczyzn spocony, zameldowałem się i od razu poszedłem do swojego pokoju. Będę musiał powoli oswajać się z Harlemem.

Rozdział 8

Był to czysty pokoik z ciemnopomarańczową narzutą na łóżku. Krzesło i toaletkę zrobiono z drewna klonowego, a na małym stoliku leżała Biblia organizacji Gideon. Upuściłem torby i usiadłem na łóżku. Z ulicy dobiegał dźwięk ruchu ulicznego, głośniejszy stukot kolejki podziemnej, cichsze, bardziej różnorodne ludzkie głosy. Byłem sam w pokoju i nie mogłem uwierzyć, że jestem tak daleko od domu, a jednak w moim otoczeniu nie było nic znajomego. Z wyjątkiem Biblii; podniosłem ją i umościłem się wygodnie na łóżku, pozwalając na to, by jej obrzeżone krwawą czerwienią strony zmarszczyły się pod moim kciukiem. Pamiętałem, jak doktor Bledsoe potrafił cytować Pismo Święte podczas przemówień do studentów w niedzielne wieczory. Odszukałem Księgę Rodzaju, ale nie mogłem czytać. Myślałem o domu i o staraniach, które czynił mój ojciec, by wprowadzić modlitwę rodzinną, o zbieraniu się wokół pieca w porze posiłku i klęczeniu z głowami pochylonymi nad siedzeniami krzesel, o jego drżącym głosie, przepelnionym kościelną retoryką i werbalną pokorą. Ale przez to wszystko tylko zatęskniłem za domem, odłożyłem więc Biblię. To był Nowy Jork. Musiałem dostać pracę i zarabiać.

Zdjąłem marynarkę i kapelusz, wyjąłem pakiet listów i ułożyłem się z powrotem na łóżku, nabierając poczucia ważności z odczytywania ważnych nazwisk. Co było w środku i jak mogłem je niezauważenie otworzyć? Zostały mocno zaklejone. Czytałem kiedyś, że czasami można otworzyć list nad parą, ale nie miałem pary. Porzuciłem tę myśl; nie musiałem znać ich treści, a igranie z doktorem Bledsoe nie byłoby ani uczciwe, ani bezpieczne. Wiedziałem już, że dotyczyły mnie i były zaadresowane do najważniejszych osób w całym kraju. To wystarczyło. Przyłapałem się na pragnieniu pokazania komuś tych listów, komuś, kto ukazałby mi właściwe odbicie mojej ważności. W końcu podszedłem do lustra i obdarzyłem się pełnym podziwu uśmiechem, rozkładając listy na toaletce jak wachlarz wysokich atutowych kart.

Potem zacząłem planować kampanię na następny dzień. Przede wszystkim wezmę prysznic, a potem zjem śniadanie. Wszystko to bardzo wcześnie. Będę musiał szybko działać. Z takimi ważnymi ludźmi jak ci trzeba być punktualnym. Jeśli umówisz się z którymś z nich, nie możesz do tego podchodzić z typowym dla kolorowych ociąganiem. Tak, i będę musiał kupić sobie zegarek. Zrobię wszystko zgodnie z harmonogramem. Pamiętałem ciężki złoty łańcuch, który wisiał między kieszonkami kamizelki doktora Bledsoe, i minę, z jaką otwierał zegarek, by sprawdzić czas – zasznurowane usta, broda wciągnięta tak, że robiło się kilka podbródków, zmarszczone czoło. Potem odchrząkiwał i wydawał starannie akcentowane polecenie, jak gdyby każda sylaba brzemienna była w niuansie o niezwykle ważnym znaczeniu. Przypomniałem sobie usunięcie mnie ze szkoły, wpadłem szybko w złość i starałem się natychmiast ją stłumić, ale tym razem niezbyt mi się to udało; tkwiła we mnie nadal uraza, psując mi samopoczucie. Może tak było najlepiej, pomyślałem. Może gdyby się tak nie stało, nigdy nie dostałbym szansy spotkania się z tak ważnymi osobami twarzą w twarz. W wyobraźni widziałem go nadal, spoglądającego na zegarek, ale teraz towarzyszyła mu inna postać; młodsza postać, ja sam; byłem mądry, układny i odziany nie w ponure ubranie (jak jego staroświeckie rzeczy), ale w elegancki garnitur, modnie skrojony, jak te garnitury na mężczyznach, których widywało się w reklamach prasowych, na menedżerach niższego stopnia w „Esquire”. Wyobraziłem sobie, jak wygłaszam mowę, fotografowany w robiących wrażenie pozach przez błyskające fleszami aparaty, uchwycony pod koniec wypowiedzenia jakiegoś oszałamiającego elokwencji zdania. Młodsza wersja doktora, nie tak

nieokrzesała, naprawdę wytworna. Nigdy nie będę mówił głośniej niż szeptem i zawsze będę – tak, nie było innego słowa – będę c z a r u jący. Jak Ronald Colman. Co za głos! Oczywiście nie można mówić w taki sposób na Południu, białym by się to nie podobało, a Murzyni mówiliby, że się „puszysz”. Ale tutaj, na Północy, pozbędę się południowego sposobu mówienia. W rzeczy samej na Północy będę mówił w jeden sposób, a na Południu w inny. Na Południu daj im, czego chcą, na tym polegał ten sposób. Jeśli potrafi to robić doktor Bledsoe, to ja też potrafię. Tej nocy, przed pójściem spać, wytarłem teczkę czystym ręcznikiem i starannie włożyłem do niej listy.

Następnego ranka pojechałem wcześniej kolejką podziemną do dzielnicy Wall Street, wybrawszy adres, który przywiódł mnie prawie na koniec wyspy. Panował tam mrok, bo budynki były wysokie, a ulice wąskie. Kiedy szukałem właściwego numeru, mijaly mnie opancerzone samochody z czujnymi strażnikami. Ulice zapełniali spieszący się ludzie, którzy poruszali się tak, jakby byli nakręceni i kierowani jakąś niewidoczną ręką. Wiele mężczyzn miało aktówki i teczki, więc ścisnąłem moją z poczuciem ważności. Iii i ówdzie widziałem Murzynów, którzy śpieszyli gdzieś z przymocowanymi do nadgarstków skórzanymi torbami. Przypominali mi trochę zbiegłych z konwoju więźniów z kajdanami na nogach. Ale wydawali się mieć wysokie mniemanie o sobie, więc miałem ochotę zatrzymać któregoś i zapytać, dlaczego jest przykuty do swojej torby. Może zostali za to sownie wynagrodzeni, może byli przykuci do pieniędzy. Może ten mężczyzna przede mną, w butach o startych obcasach, przykuty był do miliona dolarów!

Rozglądałem się, by zobaczyć, czy idą za nimi policjanci albo detektywi z zdobytą bronią, ale nie było ani jednego. Albo jeśli byli, ukrywali się w spieszącym się tłumie. Chciałem podążyć za jednym z tych mężczyzn, by zobaczyć, dokąd idzie. Dlaczego obdarzyli go zaufaniem i powierzyli mu takie pieniądze? I co by się stało, gdyby z nimi zniknął? Ale oczywiście nikt nie byłby taki głupi. To była Wall Street. Być może była strzeżona, tak jak podobno strzeżone były urzędy pocztowe, przez ludzi, którzy bez przerwy cię obserwowali przez wizjery w ścianach i w suficie, czekając cicho na jakiś fałszywy ruch. Może nawet teraz wybrało mnie czyjeś oko i śledziło każde moje poruszenie. Może za tarczą tego zegara na ścianie szarego budynku kryła się para badawczych oczu. Pospieszyłem pod mój adres i zdumiała mnie sama wysokość kamiennej bryły z jej rzeźbioną, brązową fasadą. Do środka wchodzili szybko mężczyźni i kobiety i pogapiwszy się chwilę, poszedłem za nimi i wsiałem do windy, gdzie wepchnięto mnie na sam tył kabiny. Uniosła się jak rakieta, wytwarzając w moim kroku wrażenie, jakby jakaś ważna część mojego ciała została na dole w holu.

Wysiałem z windy na ostatnim piętrze i ruszyłem marmurowym korytarzem, aż znalazłem drzwi oznaczone nazwiskiem członka zarządu. Ale tuż przed wejściem straciłem odwagę i cofnąłem się. Spojrzałem na korytarz. Był pusty. Biali byli dziwni; może pan Bates nie miał ochoty spotykać się z Murzynem z samego rana. Odwróciłem się, poszedłem na koniec korytarza i wyjrzałem przez okno. Trochę poczekam.

Pode mną rozciągała się South Feny, na rzekę wypływał statek z dwoma barkami, a daleko po prawej rozpoznałem Statuę Wolności z pochodnią niemal niewidoczną we mgle. Nad brzegiem unosiły się w oparach nad dokami mewy, a pode mną, tak nisko w dole, że zakręciło mi się w głowie, przesuwały się tłumy ludzi. Spojrzałem na prom mijający teraz Statuę Wolności; jego kilwater tworzył zakrzywioną linię na powierzchni zatoki, a za nim pikowały w dół trzy mewy.

Z windy za mną wysypali się pasażerowie i usłyszałem radosne głosy idących korytarzem i trajkoczących kobiet. Wkrótce będę musiał wejść. Moja niepewność wzrosła. Martwił mnie mój wygląd. Panu Batesowi może się nie spodobać mój garnitur albo moja fryzura i stracę szansę pracy. Patrzyłem na jego nazwisko starannie wypisane pismem maszynowym na kopercie i zastanawiałem się, jak zarabia swoje pieniądze. Był milionerem, wiedziałem o tym. Może zawsze nim był; może urodził się jako milioner. Nigdy wcześniej pieniądze nie

ciekawiły mnie tak jak teraz, kiedy były w moim otoczeniu. Może dostanę tutaj pracę i po kilku latach będą mnie posyłać ulicami z milionami przywiązanych do ręki, zaufanego posłańca. Potem wyślą mnie znowu na Południe, żebym kierował uczelnią – niczym ową kucharkę burmistrza, którą zrobiono kierowniczką szkoły, kiedy zaczęła za bardzo utykać, by stać przy piecu. Tylko że nie zostanę na Północy tak długo; będą mnie potrzebować wcześniej... Ale czas już na rozmowę.

Wszedłszy do środka, znalazłem się twarzą w twarz z młodą kobietą, która podniosła głowę znad biurka, kiedy rozejrzałem się szybko po dużym, jasnym pomieszczeniu, po wygodnych krzesłach, sięgających sufitu półkach z książkami oprawionymi w złoto i skórę, po rzędzie portretów, i w końcu napotkałem jej pytające spojrzenie. Była sama i pomyślałem: No, przynajmniej nie przyszedłem za wcześnie...

– Dzień dobry – odezwała się, nie zdradzając ani śladu wrogości, której się spodziewałem.

– Dzień dobry – odparłem, podchodząc bliżej. Jak powinienem zacząć?

– Tak?

– Czy to biuro pana Batesa? – spytałem.

– Tak, oczywiście – rzekła. – Jest pan umówiony?

– Nie, proszę pani – odparłem i zaraz poczułem do siebie odrazę za to, że powiedziałem „proszę pani” do tak młodej białej kobiety, do tego na Północy. Wyjąłem z teczki list, ale zanim zdążyłem wyjaśnić, zapytała:

– Mogę to zobaczyć?

Zawahałem się. Nie chciałem oddać listu nikomu poza panem Batesem, ale w jej wyciągniętej ręce był rozkaz, więc posłuchałem. Oddałem jej list, spodziewając się, że go otworzy, ale ona zamiast tego spojrzała na kopertę, wstała i bez słowa zniknęła za przeszklonymi drzwiami.

Na dywanie ciągnącym się do drzwi, przez które wszedłem, zauważyłem kilka krzeseł, ale nie wiedziałem, czy mogę tam pójść. Stałem z kapeluszem w ręku, rozglądając się wokół. Mój wzrok przyciągnęła jedna ściana. Wisiały na niej trzy portrety dystygowanych starych dżentelmenów w koszulach frakowych, którzy spoglądali z ram z pewnością siebie i arogancją, jakiej nigdy u nikogo nie widziałem, z wyjątkiem białych i kilku złych Murzynów z bliznami po brzytwie. Nawet doktor Bledsoe, któremu wystarczyło się rozejrzeć wokół siebie bez słowa, by wprawić nauczycieli w dygot, nie miał takiej pewności siebie. A więc to tacy ludzie stali za nim. Jak oni pasowali do białych z Południa, do ludzi, którzy dali mi stypendium? Nadal się gapiłem, będąc pod wrażeniem potęgi i tajemnicy, kiedy powróciła sekretarka.

Spojrzała na mnie dziwnie i uśmiechnęła się.

– Bardzo mi przykro – powiedziała – ale pan Bates jest zbyt zajęty, żeby się z panem dzisiaj zobaczyć, i prosi, żeby zostawił pan swoje nazwisko i adres. Otrzyma pan od niego wiadomość pocztą.

Zaniemówiłem z rozczarowania.

– Proszę je tutaj zapisać – rzekła, podając mi kartkę.

Kiedy naskrobałem swój adres i skierowałem się do wyjścia, dodała:

– Przykro mi.

– Można mnie tam znaleźć o każdej porze – powiedziałem.

– Bardzo dobrze – stwierdziła. – Bardzo szybko dostanie pan wiadomość.

Wydawała się bardzo miła i zaciekawiona, więc wyszedłem w dobrym nastroju. Moje obawy były bezpodstawne, wszystko okazało się łatwe. To był Nowy Jork.

W następnych dniach udało mi się dotrzeć do sekretarek paru członków zarządu, a wszystkie były życzliwe i podnosiły mnie na duchu. Niektóre dziwnie na mnie patrzyły, ale lekceważyłem to, bo nie dostrzegałem w tym wrogości. Być może były zaskoczone widokiem kogoś takiego jak ja z listami polecającymi do tak ważnych osób, myślałem. No cóż, z

Północy na Południe biegły niewidoczne linie, a pan Norton nazwał mnie swoim przeznaczeniem... Wymachiwałem teczką z pewnością siebie.

Skoro sprawy układały się tak dobrze, rankami dostarczałem listy, a popołudniami zwiedzałem miasto. Chodzenie po ulicach, siedzenie z białymi w kolejce podziemnej, jądanie z nimi w tych samych barach (choć unikałem ich stolików) napełniało mnie niesamowitym, nieostrym wrażeniem, że śnię. Wydawało mi się, że moje ubranie źle na mnie leży, i mimo wszystkich tych listów do wpływowych osób nie byłem pewien, jak powinienem się zachowywać. Snując się po ulicach, po raz pierwszy myślałem świadomie o moim postępowaniu w rodzinnych stronach. Nie przejmowałem się tam specjalnie białymi jako ludźmi. Niektórzy byli życzliwi, niektórzy nie i starałem się nikogo nie obrazić. Ale tutaj wszyscy wydawali się obojętni; a jednak kiedy byli bardzo obojętni, zaskakiwali mnie uprzejmością, przeproszaniem, gdy otarli się o mnie w tłumie. Mimo to odnosiłem wrażenie, że nawet kiedy byli uprzejmi, nie dostrzegali mnie, że przeprosiliby niedźwiedzia, nawet nie spojrzawszy w jego stronę, gdyby przypadkiem go potrącili. Było to dezorientujące. Nie wiedziałem, czy to dobrze czy źle...

Ale moim głównym zmartwieniem było spotkanie się z członkami zarządu, więc po ponad tygodniu zwiedzania miasta i wysłuchiwanie niejasnych obietnic sekretarek zacząłem się niecierpliwić. Dostarczyłem wszystkie listy oprócz listu do niejakiego pana Emersona, którego, jak wiedziałem z gazet, nie było w mieście. Parę razy wybierałem się już nawet, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale za każdym razem rozmyślałem się. Nie chciałem wydać się zbyt niecierpliwy. Ale czas naglił. Jeśli nie znajdę wkrótce pracy, nie zarobię na powrót jesienią do szkoły. Napisałem już do domu, że pracuję u członka zarządu i w jedynym liście, który dotąd dostałem, powiadomili mnie, że uważają, że jest to wspaniałe, i ostrzegali przed pokusami *g r z e s z n e g o* wielkiego miasta.

Nie mogłem teraz prosić ich o pieniądze, nie ujawniając, że skłamałem co do pracy.

W końcu spróbowałem skontaktować się z tymi ważnymi osobami telefonicznie, tylko po to, by otrzymać grzeczną odmowę każdej z sekretarek. Ale na szczęście miałem jeszcze ten list do pana Emersona. Postanowiłem go wykorzystać, ale zamiast wręczyć go sekretarce napisałem list z wyjaśnieniem, że mam wiadomość od doktora Bledsoe i proszę o spotkanie. Może myliłem się co do tych sekretarek, pomyślałem; może zniszczyły listy. Powinienem być bardziej ostrożny.

Pomyślałem o panu Nortonie. Szkoda, że ten ostatni list nie był zaadresowany do niego. Szkoda, że pan Norton nie mieszkał w Nowym Jorku i nie mogłem się do niego zwrócić osobiście! Czuję się jakoś mu bliższy i myślałem, że gdyby mnie zobaczył, przypomniaby sobie, że to właśnie ja jestem tak ściśle związany z jego losem. Teraz miałem wrażenie, że zdarzyło się to wieki temu, w innej porze roku i w odległym kraju. W rzeczywistości nie minął nawet miesiąc. Poczuję przypływ energii i napisałem do niego, wyrażając przekonanie, że moja przyszłość byłaby zupełnie inna, gdybym tylko mógł pracować u niego; że on również skorzystałby na tym. Dołożyłem szczególnych starań, by ta prośba świadczyła o moich zdolnościach. Spędziłem parę godzin na pisaniu listu, niszcząc jedną wersję po drugiej, aż skończyłem taką, która była nieskazitelna, starannie sformułowana i pełna szacunku. Zszedłem szybko na dół i wrzuciłem kopertę do skrzynki przed ostatnim wybraniem listów, przepojony nagle beztróskim przekonaniem, że wiele na tym skorzystam. Nie wychodziłem z budynku przez trzy dni, czekając na odpowiedź. Ale ten list nie przyniósł żadnej odpowiedzi. Ani, podobnie jak modlitwa nie wysłuchana przez Boga, nie został zwrócony.

Rosły moje wątpliwości. Może nie wszystko szło dobrze. Przez cały następny dzień pozostawałem w moim pokoju. Uświadomiłem sobie, że się boję, że tutaj, w tym pokoju, boję się bardziej niż kiedykolwiek na Południu. A to z tego powodu, że nie było tutaj niczego konkretnego, na czym mógłbym się oprzeć. Wszystkie sekretarki dodawały mi otuchy.

Wieczorem poszedłem do kina, na film o życiu na pograniczu, z bohaterskimi walkami z Indianami, powodzią, burzą i pożarem lasu, z garstką osadników wygrywających każdą potyczkę; epicką opowieść o wozach jadących stale na zachód. Zapomniałem o swoich problemach (choć w tych przygodach nie brał udział nikt podobny do mnie) i opuściłem ciemne pomieszczenie w lepszym nastroju. Ale w nocy przyśnił mi się dziadek i obudziłem się przygnębiony. Wyszedłem z budynku z dziwnym uczuciem, że odgrywam rolę w jakimś spisku, którego nie rozumiem. W jakiś sposób czułem, że stoją za tym Bledsoe i Norton, i przez cały dzień byłem skrepowany, zarówno w mowie, jak i w zachowaniu, ze strachu, że mogę powiedzieć albo zrobić coś skandalicznego. Ale to wszystko jest wytworem fantazji, powiedziałem sobie. Jestem zbyt niecierpliwy. Mogę czekać, aż członkowie zarządu zrobią jakiś ruch. Może jestem poddawany jakiegoś rodzaju sprawdzianowi. Wiedziałem, że nie powiedziano mi, jakie są jego zasady, ale to uczucie pozostało. Może moje wygnanie nagle się skończy i dostanę stypendium, by wrócić na kampus. Ale kiedy? Jak długo to potrwa?

Coś musiało się wkrótce wydarzyć. Będę musiał znaleźć pracę, by przetrwać. Pieniądze prawie mi się skończyły i wszystko mogło się zdarzyć. Byłem tak pewny siebie, że nie odłożyłem na bilet do domu. Czułem się nieszczęśliwy i nie śmiałem porozmawiać z nikim o moich kłopotach, nawet z szefostwem Domu dla Mężczyzn, bo odkąd dowiedzieli się, że mam dostać ważną pracę, traktowali mnie z pewnym szacunkiem, i dlatego starałem się ukrywać moje narastające wątpliwości. W końcu, myślałem, mogę poprosić o kredyt i będę musiał okazać się wtedy wiarygodny. Nie, jedyne, co mogłem zrobić, to nie tracić wiary. Rano zacznę jeszcze raz. Jutro na pewno coś się wydarzy. I tak się stało. Otrzymałem list od pana Emersona.

Rozdział 9

Kiedy wyszedłem, był pogodny dzień i słońce przypiekało mi lekko powieki. Wysoko na porannym, niebieskim niebie wisiało tylko kilka plamek śnieżnych chmur, a jakaś kobieta wieszła już pranie na dachu. Podczas marszu poczułem się lepiej. Wzrosło uczucie pewności siebie. Daleko, w głębi wyspy, wznosiły się drapacze chmur, wysokie i tajemnicze w rzadkiej pastelowej mgiełce. Obok mnie przejechała ciężarówka z mlekiem. Pomyślałem o szkole. Co teraz robią na kampusie? Czy księżyc opuścił się nisko i wspięło się jasne słońce? Czy rozległa się trąbka wzywająca na śniadanie? Czy dziś rano obudził dziewczęta w ich akademikach, jak w większość wiosennych poranków, ryk wielkiego byka rozplodowego, który brzmiał czysto i soczyście i wznosił się ponad dźwięk dzwonów i trąbek oraz odgłosy początku roboczego dnia? Przyspieszyłem kroku, zachęcony wspomnieniami, i nagle ogarnęła mnie pewność, że dzisiaj jest ten dzień. Dzisiaj coś się wydarzy. Poklepałem teczkę, myśląc o liście w środku. Ostatni był pierwszy – dobry znak.

Ujrzałem przy krawężniku mężczyznę, który pchał wózek załadowany zwojami niebieskiego papieru i śpiewał czystym, dźwięcznym głosem. Był to blues, więc poszedłem za nim, wspominając czasy, kiedy słyszałem takie piosenki w domu. Wydawało się, że moje wspomnienia przesunęły się po życiu na kampusie i powróciły do rzeczy, które dawno temu usunąłem z pamięci. Od takich wspomnień nie było ucieczki.

*Ona ma stopy jak mała,
Nogi jak żaba – Panie, Panie!
Ale kiedy zaczyna mnie kochać,
Wrzeszczę: Och, psia mać!
Bo kocham moją maaałą,
Bardziej niż samego siebie...*

A kiedy podszedłem bliżej, z zaskoczeniem usłyszałem, że krzyczy do mnie:

– Zaczekaj, koleś...

– Tak – powiedziałem, zatrzymując się i spoglądając w jego zaczerwienione oczy.

– Powiedz mi tylko jedno tego bardzo pięknego ranka... Hej! Zaczekaj chwilę, kochasiu, ide w to samo stronę.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Chce wiedzieć – rzekł – czy to ty wzięłeś tego p s a ?

– Psa? Jakiego psa?

– Jasne – rzekł, zatrzymując wózek i opierając się na jego poręczy. – To jest to. Kto – przygotował się do skoku, z jedną nogą na krawężniku, jak wiejski kaznodzieja, który za moment walnie Biblią – wzięł... tego... psa. – Jego głowa podskakiwała przy każdym słowie niczym głowa rozzłoszczonego koguta.

Roześmiałem się nerwowo i cofnąłem o krok. Przyglądał mi się bystrymi oczami.

– Och, psia mać, kochasiu – wybuchnął z wściekłością – kto wzięł tego cholernego psa? Th raz wiem, żeś z moich stron, no to czemu próbujesz udawać, jakobyś nigdy nie słyszał! Do diabła, nie ma tu dziś rano nikogo oprócz nas, kolorowych... Czemu próbujesz się mnie zapierać?

Ogarnęły mnie nagle złość i zakłopotanie.

– Zapierać się ciebie? O co ci chodzi?

– Odpowiedz tylko na to pytanie. Wziołeś go czy nie?

– P s a ?

– Tak, tego psa.

Byłem zirytowany.

– Nie, nie dziś rano – powiedziałem i zobaczyłem, że na jego twarzy rozkwita szeroki uśmiech.

– Zaczekaj, kochasiu. Nie wściekaj się. Niech to szlag, chłopie! Myślałem, że ty na pewno go masz – rzekł, udając, że mi nie wierzy. Ruszyłem naprzód, a on pchał swój wózek obok mnie. I nagle poczułem się nieswojo. Dziwnie przypominał mi jednego z weteranów z Golden Day...

– No, może jest odwrotnie – powiedział. – Może to on się przyplątał do ciebie.

– Może – powiedziałem.

– Jeśli tak, to masz szczęście, że to tylko pies – bo chłopie, powiem ci, że myślę, że ten, co sie do mnie przyplątał, to niedźwiedź...

– Niedźwiedź?

– Tak, do diabła! Ten niedźwiedź. Nie widzisz tych plam, gdzie zajechał mnie pazurami po tyłku?

Odciągnąwszy w bok siedzenie swoich spodni a la Charlie Chaplin, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Chłopie, ten Harlem to jaskinia niedźwiedzia. Ale jedno ci powiem – rzekł z szybko trzeźwiejącą twarzą – to najlepsze miejsce na świecie dla ciebie i dla mnie i jeśli czasy nie zmienią się szybko na lepsze, to dorwę tego miśka i spuszczę mu manto!

– Tylko uważaj, żeby on nie przyłożył tobie.

– Nie, kochasiu, zacznę z jakimś moich rozmiarów!

Pragnąłem przytoczyć w odpowiedzi jakieś powiedzonko o niedźwiedziach, ale przypomniałem sobie tylko królika Jacka, niedźwiadka Jacka... o których zapomniałem dawno temu i którzy teraz wyzwolili falę tęsknoty za domem. Miałem ochotę go zostawić, ale mimo to znajdowałem pewną pociechę w kroczeniu obok niego, jakbyśmy chodzili tą drogą już wcześniej, innymi rankami, w innych miejscach...

– Co tam masz? – spytałem, wskazując na rolki niebieskiego papieru, piętrzące się na jego wózku.

– Plany, chłopie. Mam tu koło stu funtów planów i nie mogłem niczego zbudować!

– A czego to są plany? – zainteresowałem się.

– Niech mnie szlag, jeśli wiem – wszystkiego. Miast, miasteczek, ośrodków za miastem. Czasami samych budynków i domów. Prawie że mógłbym se zbudować dom, jeślibym chciał mieszkać w papierowym domu, jak w Japonii. Chyba ktoś pozmieniał te ich plany – dodał ze śmiechem. – Spytałem faceta, dlaczego pozbywają się tego wszystkiego, a on powiedział, że im te papiery zawadzają i co jakiś czas muszo je wyrzucać, żeby zrobić miejsce dla nowych planów. Wiesz, wielu z nich nigdy nie wykorzystano.

– Masz tego sporo – rzekłem.

– Taa, a i to nie wszystko. Bedzie tego parę wózków. Robota na cały dzień. Ludzie zawsze robio plany i zmieniajo je.

– Tak, to prawda – przyznałem, myśląc o moich listach – ale to błąd. Trzeba się trzymać planu.

Spojrzał na mnie, nagle poważniejąc.

– Młody jesteś, kochasiu.

Nie odpowiedziałem. Doszliśmy do rogu u góry ulicy.

– No, kochasiu, dobrze było pogadać z młodzianem ze starych kątów, ale teraz musze cie zostawić. Ta tutaj to jedna z dobrych starych ulic, które schodzo na dół. Mogę se zjechać, to

nie bede wycieńczony pod koniec dnia. Niech mnie szlag, jeśli dam sie im wpędzić do grobu. Znowu cie kiedyś spotkam... I wiesz co?

– Co?

– Najpierw myślałem, że chcesz sie mnie wyprzeć, ale teraz uciesz sie, jak cie spotkam...

– Mam nadzieję – powiedziałem. – I nie przejmuj się.

– O, nie bede. Wszystko, czego trzeba, żeby sobie poradzić w tym mieście, to trochę kitu, sznytu i sprytu. Aja sie z tym urodziłem, chłopie. Prawdę mówiąc, jestem siódmym synem siódmego syna wczepku urodzonym szpakami karmionym – zatrajkotał z błyskiem w oku, szybko poruszając wargami. – Kapujesz, kochasiu?

– Za szybko lecisz – powiedziałem i parsknąłem śmiechem.

– Dobra, już zwalniam. Powiem ci do rymu, ale nie wiem czym u – jestem Piotrek Comachęć, diabła jedyny zięć, więc pieprzyć ich! Jesteś chłopak z Południa, co? – zapytał, przechylając głowę na bok jak niedźwiedź.

– Tak – odparłem.

– No to weź sie w garść! Jestem Bógwico i ide na ciebie z kłonicą. Fe Fi Fo Fum. Kto chce zastrzelić tego diabła, Pana Boga Stawonoga!

Uśmiechnąłem się mimo woli. Podobały mi się jego słowa, chociaż nie znałem na nie odpowiedzi. Pamiętałem te gadki z dzieciństwa; nauczyłem się ich dawno temu, w szkole...

– Kapujesz, kochasiu? – zaśmiał się. – Ha, ale wpadnij do mnie kiedyś, jestem pianisto i muzykiem, pijakiem i szlifobrukiem. Nauczę de paru dobrych złych nawyków. Przydadzo ci sie. Powodzenia – powiedział.

– Do zobaczenia – odparłem i patrzyłem, jak odchodzi. Patrzyłem, jak skręca za róg, pchając wózek na szczyt wzgórza, mocno pochylony nad jego rączką, i usłyszałem, jak podnosi głos, stłumiony teraz, podczas jazdy w dół.

Ona ma stopy jak małpaaa,

Nogi

Nogi, nogi jak wścieeekły Bulldog...

Co to znaczy, pomyślałem. Słyszałem te słowa przez całe życie, ale nagle do mnie dotarło, jakie jest to dziwne. Czy to było o kobiecie, czy o jakimś dziwnym, podobnym do sfinksa zwierzęciu? Z pewnością jego kobieta, ż a d n a kobieta, nie pasowała do tego opisu. I po co opisywać kogoś takimi wzajemnie przeczącymi sobie słowami? Czy to był sfinks? Czy ten stary brudnodupiec w chaplinowskich portkach kochał ją, czy jej nienawidził; czy po prostu jedynie śpiewał? A w ogóle jaka kobieta mogłaby kochać takiego brudasę? I jak nawet on mógł ją kochać, jeśli była tak odrażająca, jak opisywała piosenka? Ruszyłem dalej. Może każdy kogoś kocha; nie wiedziałem, nie mogłem za dużo myśleć o miłości; żeby zajść daleko, musisz być obojętny, a ja miałem przed sobą długą drogę powrotną na kampus. Szedłem zdecydowanym krokiem, słysząc, jak piosenka wózkarsza przeradza się teraz w samotne, silne pogwizdywanie, które rozwijało się pod koniec każdej frazy w drżący, smutno zabarwiony akord. A w jego trzepotaniu i pikowaniu słyszałem odgłos pociągu, pędzącego samotnie przez samotną noc. Był zięciem diabła, pewnie, ale był też człowiekiem, który potrafił wygwizdywać akordy złożone z trzech tonów... Niech to szlag, pomyślałem, co to za fantastyczni ludzie! I nie wiedziałem, czy ogarnęła mnie w tej chwili duma czy obrzydzenie.

Na rogu skręciłem do drogerii i zająłem miejsce przy barze. Paru mężczyzn pochylało się nad talerzami zjedzeniem. Nad niebieskimi płomieniami lekko wrzały szklane kule z kawą. Woń smażonego bekonu sięgnęła mi w głębi żołądka, kiedy przyglądałem się, jak barman otwiera drzwiczki rusztu, przewraca chude płyty na drugą stronę i z powrotem zamyka drzwiczki. U góry, naprzeciw baru, uśmiechała się jasnowłosa, opalona studentka, namawiając wszystkich do wypicia coli. Podszedł do mnie barman.

– Mam dla ciebie coś dobrego – oznajmił, stawiając przede mną szklanę wody. – Co powiesz na specjalność zakładu?

– A co to za specjalność?

– Kotlety wieprzowe, kasza kukurydziana, jajko, gorące biszkopty i kawa! – Pochylił się nad ladą z miną, która zdawała się mówić: No, to na pewno ci przypadnie do gustu, chłopcze. Czyżby wszyscy widzieli, że pochodzę z Południa?

– Wezmę sok pomarańczowy, grzankę i kawę – powiedziałem zimno.

Potrząsnął głową.

– Nabrałeś mnie – rzekł, wkładając dwie kromki chleba do toster. – Przysięgłbym, że jesteś kotleciarz. Sok duży czy mały?

– Niech będzie duży – powiedziałem.

Patrzyłem w milczeniu na tył jego głowy, kiedy kroił pomarańczę, i pomyślałem, że powinienem zamówić specjalność zakładu, wstać i wyjść. Za kogo on się uważa?

W grubej warstwie mięszu, która utworzyła się u góry szklanki, pływała pestka. Wyłowilem ją łyżeczką, a potem wypilem kwaśny napój, dumny, że oparłem się kotletom i kaszy. Był to akt dyscypliny, oznaka zmiany, która się we mnie dokonywała i dzięki której wróć na uczelnię jako człowiek bardziej doświadczony. Będę zasadniczo taki sam, myślałem, mieszając kawę, ale tak nieznacznie odmieniony, że zaintryguję tych, którzy nigdy nie byli na Północy. Na uczelni zawsze pomagało bycie nieco innym, zwłaszcza jeśli pragnęło się odgrywać przywódczą rolę. Dzięki temu biali rozmawiali o tobie, starali się cię rozgryźć. Musiałem jednak być ostrożny, nie mówić za bardzo jak Murzyn z Północy; nie podobałoby się im to. Rzecz w tym, myślałem z uśmiechem, żeby dawać im do zrozumienia, że cokolwiek robisz czy mówisz, przepełnione jest głębokim i tajemniczym znaczeniem, które znajduje się tuż pod powierzchnią. Będzie im się to podobało. A im bardziej niejasno będziesz mówił, tym lepiej. Muszą cały czas zgadywać – tak jak zgadywali, co robi Bledsoe: czy mieszkał w drogim hotelu, kiedy był w Nowym Jorku? Czy chodził na przyjęcia z białymi członkami zarządu? I jak się zachowywał?

– *Chłopie, założę się, że dobrze się bawił. Mówią, że jak stary jedzie do Nowego Jorku, to nie zatrzymuje się na czerwonym świetle. Że pije tę swoją dobrą czerwoną whisky, pali te swoje dobre czarne cygara i zupełnie zapomina o nic nie wiedzących Murzynach na kampusie. Że kiedy jedzie na Północ, wszyscy nazywają go pan doktor Bledsoe.*

Uśmiechnąłem się, kiedy przypomniła mi się ta rozmowa. Poczułem się dobrze. Może to i lepiej, że mnie odesłano. Więcej się nauczyłem. Do tej pory wszystkie te kampusowe plotki wydawały mi się po prostu złośliwe i niegrzeczne; teraz widziałem, jak korzystne były dla doktora Bledsoe. Bez względu na to, czy go lubiliśmy czy nie, cały czas o nim myśleliśmy. Dziwne, że dopiero teraz przyszło mi to do głowy, bo chociaż nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, wydawałem się cały czas o tym wiedzieć. Tyle tylko, że odległość dzieląca mnie od kampusu ukazała mi to jasno i myślałem o wszystkim bez strachu. Tutaj przyszło mi to równie łatwo jak wyciągnięcie monety, którą położyłem teraz na ladzie, płacąc za śniadanie. Cena wynosiła piętnaście centów i kiedy macałem w kieszeni, szukając pięciocentówki, wyjąłem drugą dziesięciocentówkę i pomyślałem: Czy to zniewaga, kiedy jeden z nas daje jednemu z nich napiwek?

Poszukałem wzrokiem barmana, dostrzegłem, że podaje talerz kotletów z kaszą mężczyźnie z jasnobłond wąsem, i na ten widok znieruchomiałem; później rzuciłem dziesięciocentówkę na ladę i wyszedłem, zirytowany tym, że nie zadzwięczała tak głośno jak półdolarówka.

Kiedy dotarłem do drzwi biura pana Emersona, przyszło mi do głowy, że może powinienem był zaczekać, aż rozpocznie się codzienna praca, ale zignorowałem ten pomysł i wszedłem. Miałem nadzieję, że moje wczesne przybycie będzie dowodziło zarówno tego, że

bardzo potrzebuję pracy, jak i tego, że z miejsca zajmę się każdym zleconym mi zadaniem. A poza tym czyż nie było powiedzenia, że pierwsza osoba, która wejdzie do firmy po jej otwarciu, zrobi interes? Czy może mówiono tak tylko o żydowskich firmach? Wyjąłem list z teczki. Emerson to nazwisko chrześcijańskie czy żydowskie?

Za drzwiami było jak w muzeum. Wszedłem do dużego salonu pomalowanego w chłodne tropikalne barwy. Jedna ściana była prawie zakryta ogromną, kolorową mapą, a z każdego jej kwadratu biegła mocno napięta, cienka, czerwona, jedwabna wstążka do jednego z hebanowych postumentów, na których stały szklane pojemniki na okazy, zawierające produkty naturalne różnych krajów. Była to firma zajmująca się importem. Zdumiony, rozejrzałem się po sali. Były tam obrazy, posążki z brązu, gobeliny, wszystko pięknie ustawione i powieszzone. Byłem oszołomiony i tak zaskoczony, że o mało nie upuściłem teczki, kiedy dobiegł mnie głos:

– Pan w jakiej sprawie?

Zobaczyłem postać z reklamy kołnierzyków: rumiana twarz z nienagannie uczesanymi jasnymi włosami, garnitur z tropiku zgrabnie leżący na szerokich ramionach, szare i nerwowe oczy za szklami w bezbarwnych oprawkach.

Wyjaśniłem, z czym przyszedłem.

– Och, tak – powiedział. – Mogę zobaczyć ten list?

Wręczyłem mu go, zauważając złote spinki w miękkich białych mankietach, kiedy wyciągnął rękę. Rzuciwszy okiem na kopertę, spojrział znowu na mnie z dziwnym zainteresowaniem w oczach i rzekł:

– Proszę usiąść. Za chwilę wrócę.

Bezszelestnie wyszedł, stawiając długie, taneczne kroki, na widok których zmarszczyłem czoło. Podeszedłem do krzesła z tekowego drewna, wyściełanego poduszkami ze szmaragdowozielonego jedwabiu, i usiadłem na nim sztywno z teczką na kolanach. Pewnie tam siedział, kiedy wszedłem, bo na stoliku przede mną, na którym stało piękne karłowate drzewko, zobaczyłem dym unoszący się z papierosa leżącego na jadeitowej popielniczce. Obok niej leżała otwarta książka pod tytułem *Totem i tabu*. Spojrzałem na drugą stronę salonu, na oświetloną gablotek w chińskim stylu, w której stały delikatne statuetki koni i ptaków, małe wazy i miseczki, każda na rzeźbionej drewnianej podstawie. W salonie było cicho jak w grobie – dopóki nie rozległ się nagle szalony łopot skrzydeł; spojrzawszy w okno, zobaczyłem erupcję barw, jak gdyby podmuch wiatru uniósł tobołek jaskrawych szmat. Była to ptaszarnia z tropikalnymi ptakami, umieszczona obok jednego z szerokich okien, przez które, kiedy ustał zamęt, zobaczyłem dwa statki płynące w oddali po zielonkawej zatoce. Jakiś duży ptak zaczął śpiewać, przyciągając mój wzrok do pulsowania jego błękitno-czerwono-żółtego gardła. Byłem oszołomiony, więc przyglądałem się skokom i trzepotowi ptaków, kiedy ich kolory rozpostarły się na chwilę jak rozłożony orientalny wachlarz. Chciałem podejść do klatki, żeby lepiej widzieć, ale postanowiłem tego nie robić. Mogłoby się to wydać nieprofesjonalne. Obserwowałem salon z krzesła.

Ci ludzie są Królami Ziemi! pomyślałem, słuchając skrzeczenia ptaka. W szkolnym muzeum – ani w żadnym innym miejscu, w którym kiedykolwiek byłem – nie widziałem niczego podobnego. Pamiętałem tylko parę zniszczonych pozostałości z okresu niewolnictwa: żelazny sagan, stary dzwonek, zestaw kajdan na nogi i kilka ogniw łańcucha, prymitywne krosno, kołowrotek, tykwę do picia, szkaradnego afrykańskiego bożka, który zdawał się z wszystkiego szydzić (podarowanego szkole przez jakiegoś podróżującego milionera), skórzany bicz z miedzianymi ćwiekami, żelazo do piętnowania z literami MM... Chociaż widywałem te rzeczy bardzo rzadko, miałem je w pamięci. Nie był to miły widok i za każdym razem gdy zwiedzałem muzeum, unikałem szklanej gabloty, w której spoczywały, i wolałem już oglądać fotografie z pierwszych dni po wojnie secesyjnej, z czasów, które opisał niewidomy Barbee. I nawet na nie nie patrzyłem zbyt często.

Staralem się rozluźnić; krzesło było piękne, ale twarde. Gdzie poszedł ten człowiek? Czy okazał jakąś wrogość, kiedy mnie zobaczył? Byłem zły, że nie zauważyłem go pierwszy. Trzeba dbać o takie szczegóły. Nagle z klatki dobiegł ostry krzyk i ponownie zobaczyłem wściekłe błyski, jak gdyby ptaki wybuchły samorzutnym płomieniem, trzepocząc i tłukąc złośliwie skrzydłami w bambusowe pręty, tylko po to, by równie nagle się uspokoić, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich z ręką na klamce ten blondyn, zapraszając mnie skinieniem drugiej dłoni. Podeszedłem do niego, cały spięty. Zostałem przyjęty czy odrzucony?

Miał dziwnie pytający wzrok.

– Proszę wejść – powiedział.

– Dziękuję – odparłem, czekając, aż pójdzie przodem.

– Proszę – rzekł z lekkim uśmiechem.

Ruszyłem przed nim, szukając w tonie jego słów jakiejś wskazówki.

– Chcę ci zadać parę pytań – powiedział, machając listem w kierunku dwóch krzeseł.

– Tak, proszę pana?

– Powiedz mi, co starasz się osiągnąć?

– Chcę dostać pracę, żeby zarobić dosyć pieniędzy na powrót jesienią na uczelnię.

– Do twojej starej szkoły?

– Tak, proszę pana.

– Rozumiem. – Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. – Kiedy spodziewasz się ją ukończyć?

– W przyszłym roku, proszę pana. Zaliczyłem zajęcia na przedostatnim roku...

– Ach, tak? Bardzo dobrze. A ile masz lat?

– Prawie dwadzieścia, proszę pana.

– Przedostatni rok w wieku dziewiętnastu lat? Jesteś naprawdę dobrym studentem.

– Dziękuję panu – powiedziałem. Ta rozmowa zaczynała mi się podobać.

– Uprawiałeś sport? – spytał.

– Nie, proszę pana...

– Masz odpowiednią budowę – powiedział, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głowy. – Prawdopodobnie byłbyś świetnym biegaczem, sprinterem.

– Nigdy tego nie próbowałem, proszę pana.

– I przypuszczam, że to głupie spytać cię choćby o to, co myślisz o swojej Alma Mater? – powiedział.

– Uważam, że należy do najlepszych na świecie – odparłem, słysząc w swoim głosie głębokie uczucie.

– Wiem, wiem – rzekł z nagłym niezadowoleniem, które mnie zaskoczyło.

Zrobiłem się znowu czujny, kiedy wymamrotał coś niezrozumiale o „nostalgii za dzielnikiem Harvardu”.

– A co byś zrobił, gdyby dano ci możliwość ukończenia studiów na jakiejś innej uczelni? – spytał, a jego oczy rozszerzyły się za okularami. Na jego usta powrócił uśmiech.

– Na i n n e j uczelni? – powtórzyłem. Zaczynało mi się kręcić w głowie.

– Ależ tak, powiedzmy, w jakiejś szkole w Nowej Anglii...

Patrzyłem na niego oniemiały. Czy miał na myśli Harvard? Czy to dobrze czy źle? Do czego on zmierza?

– Nie wiem, proszę pana – zacząłem ostrożnie. – Nigdy o tym nie myślałem. Został mi tylko rok, no i znam wszystkich w mojej starej szkole, a oni znają mnie...

Przerwałem zmieszany, bo nie spuszczał ze mnie wzroku, westchnął z rezygnacją. O co mu chodziło? Może mówiłem zbyt szczerze o powrocie na uczelnię, może jest przeciwny temu, byśmy mieli wyższe wykształcenie... Ale, do diabła, on jest tylko sekretarzem... Ale czy na pewno nim jest?

– Rozumiem – powiedział spokojnie. – Było bezczelnością z mojej strony, że w ogóle wspomniałem o innej szkole. Sądzę, że szkoła każdego studenta jest dla niego czymś w rodzaju matki i ojca... świętością.

– Tak, proszę pana. Właśnie tak – pospiesznie się z nim zgodziłem.

Jego oczy zwęziły się.

– Ale teraz muszę zadać ci kłopotliwe pytanie. Pozwolisz?

– Ależ oczywiście, proszę pana – odparłem nerwowo.

– Nie chcę cię o to pytać, ale to konieczne... – Pochylił się do przodu ze zmarszczonym czołem. – Powiedz mi, czy p r z e c z y t a ł e ś ten list, który przyniosłeś panu Emersonowi? Ten – rzekł, biorąc list ze stołu.

– Ależ skąd, proszę pana! Nie był zaadresowany do mnie, więc naturalnie nie przyszedłoby mi nawet do głowy, żeby go otworzyć...

– Oczywiście, że nie, wiedziałem, że nie zrobiłbyś tego – powiedział, machając ręką i prostując się na krześle. – Przepraszam, a ty musisz o tym zapomnieć, jak o jednym z tych irytujących pytań osobistych, które znajduje się obecnie tak często na rzekomo anonimowych formularzach.

Nie uwierzyłem mu.

– Ale czy był otwarty, proszę pana? Ktoś mógł się dostać do moich rzeczy...

– Och, nie, nic podobnego. Zapomnij, proszę, o tym pytaniu... I powiedz mi, proszę, co planujesz robić po zdobyciu dyplomu?

– Nie jestem pewien, proszę pana, ale chciałbym, żeby zaproponowano mi pozostanie na uczelni w charakterze nauczyciela albo pracownika administracji. I... No...

– Tak? I co jeszcze?

– No... chyba tak naprawdę chciałbym zostać asystentem doktora Bledsoe...

– Och, rozumiem – powiedział, opierając się wygodniej i układając usta w ciasny krąg. – Jesteś bardzo ambitny.

– Chyba tak, proszę pana. Ale chcę ciężko pracować.

– Ambicja jest cudowną siłą – rzekł – ale czasami może przesłaniać rzeczywistość... Z drugiej strony, może zapewnić ci sukces – jak mojemu ojcu... – W jego głosie pojawiło się zdenerwowanie; spochmurniał i spojrzał na swoje drżące ręce. – Jedyne kłopot z ambicją polega na tym, że czasami czyni nas ślepyimi na realia... Powiedz mi, ile masz tych listów?

– Miałem siedem, proszę pana – odparłem, skonsternowany jego nowym zwrotem. – Są...

– S i e d e m ! – Nagle się rozzłościł.

– Tak, proszę pana, tylko tyle mi dał...

– A mogę zapytać, z iloma z tych dżentelmenów udało ci się spotkać?

Miałem wrażenie, że tonę.

– Z żadnym z nich nie spotkałem się osobiście, proszę pana.

– A to jest ostatni list?

– Tak, proszę pana, ale spodziewam się, że dostanę od nich odpowiedź... Mówili...

– Oczywiście, że dostaniesz, i to od wszystkich siedmiu. Oni wszyscy są lojalnymi Amerykanami.

Teraz w jego głosie brzmiała wyraźna ironia i nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– Siedem – powtórzył tajemniczo. – Och, nie chcę cię niepokoić – powiedział tak, jakby odczuwał wstręt do samego siebie. – Wczoraj wieczorem miałem trudną sesję z moim psychoanalitykiem i teraz może mnie włączyć byle drobiazg. Jak rozregulowany budzik... Powiedz! – krzyknął, klepiąc się po udach. – Co to, do licha, znaczy? – Nagle się zdenerwował. Jedna strona jego twarzy zaczęła drgać i nabrzmiewać.

Patrzyłem, jak zapala papierosa, i myślałem: O co, do licha, tu chodzi?

– Niektóre rzeczy są po prostu zbyt niesprawiedliwe, żeby opisać je słowami – powiedział, wydmuchując kłęb dymu – i zbyt dwuznaczne, by wyrazić je w mowie czy dać o nich jakieś pojęcie. Nawiasem mówiąc, byłeś kiedyś w klubie Calamus?

– Chyba nawet o nim nie słyszałem, proszę pana – odparłem.

– Nie słyszałeś? Jest bardzo znany. Chodzi tam wielu moich przyjaciół z Harlemu. To miejsce spotkań pisarzy, artystów i wszelkich sławnych ludzi. Nie ma niczego podobnego w mieście i jakimś dziwnym zrządzeniem losu jest tam prawdziwie europejski klimat.

– Nigdy nie byłem w nocnym klubie, proszę pana. Będę musiał tam pójść, żeby zobaczyć, jak tam jest, kiedy zarobię trochę pieniędzy – powiedziałem, chcąc sprowadzić z powrotem rozmowę na temat pracy.

Poruszył gwałtownie głową, aby spojrzeć na mnie, a jego twarz znowu zaczęła drgać.

– Przypuszczam, że znowu unikam tego tematu – jak zawsze. Posłuchaj – wybuchnął. – Uważasz, że dwoje ludzi, dwóch nieznajomych, którzy nigdy wcześniej się nie widzieli, może rozmawiać zupełnie szczerze i otwarcie?

– Słucham?

– Och, niech to szlag! Chcę wiedzieć, czy uważasz, że jest możliwe, byśmy my dwaj rzucili maskę zwyczaju i obyczajów, które izolują człowieka od człowieka, i rozmawiali z absolutną szczerością i otwartością?

– Nie wiem dokładnie, co pan ma na myśli – powiedziałem.

– Na pewno?

– Ja...

– Oczywiście, oczywiście. Szkoda, że nie potrafię mówić wprost! Wprawiam cię w konsternację. Taka szczerść nie jest po prostu możliwa, bo wszystkie nasze pobudki są nieczyste. Zapomnij o tym, co przed chwilą powiedziałem. Postaram się ująć to tak... i pamiętaj o tym, proszę...

Kręciło mi się w głowie. Zwracał się do mnie, pochylając się konfidencjonalnie, jak gdyby znał mnie od lat, i przypominał sobie coś, co dawno temu powiedział mój dziadek: Nie pozwól żadnemu białemu, żeby ci gadał o swoich sprawach, bo potem może się wstydzić, że ci o tym powiedział, i wtedy będzie cie nienawidził. A prawda jest taka, że cie cały czas nienawidził...

– ...Chcę ci ukazać fragment rzeczywistości, który jest dla ciebie bardzo ważny – ale ostrzegam cię, to będzie bolało. Zaraz, pozwól mi skończyć – powiedział, dotykając lekko mojego kolana i szybko zabierając dłoń, kiedy zmieniłem pozycję. – To, co chcę zrobić, robi się bardzo rzadko, i szczerze mówiąc, nie doszłoby do tego teraz, gdybym nie doznał całej serii nieprawdopodobnych zawodów. Widzisz... jestem takim nieudolnym... Och, niech to szlag, znowu to samo, myślę tylko o sobie... Obu nam się nie powiodło, rozumiesz? Obu, a ja chcę ci pomóc...

– To znaczy, że pozwoli mi pan spotkać się z panem Emersonem?

Zmarszczył brwi.

– Proszę, nie ciesz się tak z tego i nie wyciągaj pochopnych wniosków. Chcę pomóc, ale mamy tu do czynienia z tyranią...

– Z t y r a n i ą? – Zaparło mi dech w płucach.

– Tak. Tak można to ująć. Bo żeby ci pomóc, muszę pozbawić cię iluzji...

– Och, nie mam nic przeciwko temu, proszę pana. Jak tylko zobaczę się z panem Emersonem, to będzie zależało już tylko ode mnie. Chcę tylko z nim porozmawiać.

– P o r o z m a w i a ć z n i m – powiedział, szybko wstał i rozgniół trzęsącymi się palcami papierosa w popielniczce. – Nikt z nim nie rozmawia. To on mówi... – Nagle urwał. – Po namyśle dochodzę do wniosku, że może byłoby lepiej, gdybyś zostawił mi swój adres, a ja przesłałbym ci rano odpowiedź pana Emersona. To naprawdę bardzo zajęty człowiek.

Zmienił się cały jego sposób bycia.

– Ale mówił pan... – Wstałem, zupełnie zbity z tropu. Czy on sobie ze mnie żartuje? – Czy nie pozwoliliby mi pan porozmawiać z nim tylko przez pięć minut? – poprosiłem. – Jestem pewien, że uda mi się go przekonać, że zasługuję na pracę. A jeśli ktoś grzebał w moich listach, dowiodę swojej tożsamości... Doktor Bledsoe...

– Tożsamość! Mój Boże! Kto ma jeszcze jakąś tożsamość? To nie jest takie proste. Posłuchaj – rzekł ze zboląłą miną. – Zaufasz mi?

– Ależ oczywiście, proszę pana, ufam panu.

Pochylił się do przodu.

– Słuchaj – zaczął, a jego twarz gwałtownie zmieniała wyraz. – Próbowałem ci powiedzieć, że wiem o tobie dużo – nie o tobie konkretnie, ale o gościach takich jak ty. Może nie aż tak dużo, ale i tak więcej niż przeciętny obywatel. Jeśli o nas chodzi, to wciąż jesteśmy jak Jim i Huck Finn. Wielu moich przyjaciół to muzycy jazzowi i widziałem to i owo. Znam warunki, w jakich żyjecie... Dlaczego chcesz tam wracać, człowieku? Tu, gdzie jest więcej swobody, możesz zrobić tak wiele. W każdym razie nie znajdziesz tego, czego szukasz, kiedy tam wrócisz, bo w grę wchodzi tyle spraw, o których nie masz pojęcia. Proszę, nie zrozum mnie źle; nie mówię tego po to, by zrobić na tobie wrażenie. Albo żeby osiągnąć jakieś sadystyczne katharsis. Naprawdę. Ale wiem na pewno, że ten świat, z którym starasz się nawiązać kontakt – wszystkie jego cnoty i okropności... Ha, tak, okropności. Obawiam się, że mój ojciec uważa m n i e za jedną z tych okropności... Widzisz, jestem Huckleberry...

Roześmiał się szyderczo, kiedy próbowałem wyłowić jakiś sens z jego gadaniny. H u c k l e b e r r y? Dlaczego uparcie nawracał do tej powieści dla dzieci? Byłem zdziwiony i zirytowany, że mógł tak do mnie mówić, bo stał pomiędzy mną i pracą, kampusem...

– Aleja chcę tylko dostać pracę, proszę pana – powiedziałem. – Ja tylko chcę zarobić dosyć pieniędzy, żeby wrócić na studia.

– Oczywiście, ale na pewno podejrzewasz, że jest w tym coś więcej. Nie jesteś ciekaw, co kryje się pod powłoką rzeczy?

– Tak, proszę pana, ale przede wszystkim interesuje mnie praca.

– Oczywiście – powiedział – ale życie nie jest takie proste...

– A l e j a się nie przejmuję wszystkimi pozostałymi sprawami, proszę pana, jakiegokolwiek one są. Nie mogę się do nich mieszać i będę zadowolony, jeśli wrócę na uczelnię i pozostanę tam tak długo, jak mi pozwolą.

– Aleja chcę ci pomóc zrobić to, co najlepsze – powiedział. – To, co najlepsze, pamiętaj. Chcesz zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze?

– Ależ oczywiście, proszę pana. Myślę, że tak...

– No to zapomnij o powrocie na tę uczelnię. Jedź gdzie indziej...

– M a m ją rzucić?

– Tak, zapomnij o niej...

– Ale przecież powiedział pan, że mi pomoże!

– Powiedziałem i ci po...

– A co ze spotkaniem z panem Emersonem?

– O Boże! Nie rozumiesz, że będzie dla ciebie najlepiej, jeśli się z nim nie spotkasz?

Odebrało mi nagle oddech. Potem wstawałem, chwytając teczkę.

– Co ma pan przeciwko mnie? – wybuchnąłem. – Co ja panu zrobiłem? Nigdy nie zamierzał pan pozwolić mi spotkać się z nim. Mimo że dałem list polecający. Dlaczego? Dlaczego? Nigdy nie zagroziłbym p a ń s k i e m u stanowisku...

– Nie, nie, nie! Oczywiście, że nie – krzyknął, podrywając się na nogi. – Nie zrozumiałeś mnie. Czekał! Boże, co za nieporozumienie. Proszę, nie myśl, że próbuję ci przeszkodzić w spotkaniu z moim... w spotkaniu z panem Emersonem wskutek uprzedzeń...

– Ale tak myślę, proszę pana – powiedziałem ze złością. – Przysłał mnie tutaj jego znajomy. Przeczytał pan list, ale nadal nie zgadza się pan, żebym się z nim spotkał, a teraz

próbuję pan skłonić mnie do porzucenia uczelni. Jakim pan jest człowiekiem? Co pan ma przeciwko mnie? Pan, biały z Północy!

Wyglądał na zranionego.

– Źle to rozegrałem – powiedział – ale musisz mi uwierzyć, że chcę, żebyś zrobił to, co jest dla ciebie najlepsze. – Ściągnął okulary.

– Ale to ja wiem, co jest dla mnie najlepsze – odparłem. – A przynajmniej wie to doktor Bledsoe i jeśli nie będę mógł spotkać się dzisiaj z panem Emersonem, proszę tylko powiedzieć, kiedy będzie to możliwe, a ja tu przyjdę...

Zagryzł usta i zamknął oczy, trzęsąc głową z boku na bok, jakby tłumiał krzyk.

– Przepraszam, naprawdę przepraszam, że zacząłem to wszystko – powiedział, już uspokojony. – Głupio zrobiłem, że próbowałem ci doradzić, ale, proszę, nie wolno ci myśleć, że mam coś przeciwko tobie... albo waszej rasie. Jestem waszym przyjacielem. Niektórzy z najwspanialszych ludzi, jakich znam, to Murzy... No cóż, widzisz, pan Emerson jest moim ojcem.

– Pana ojcem!

– Moim ojcem, tak, chociaż wolałbym, żeby tak nie było. Ale jest i mógłbym umówić cię na spotkanie z nim. Ale mówiąc zupełnie szczerze, nie jestem zdolny do takiego cynizmu. Nie wyszłoby ci to na dobre.

– Ale chciałbym skorzystać z szansy, panie Emerson... To dla mnie bardzo ważne. Zależy od tego cała moja kariera.

– Ale nie masz żadnych szans – rzekł.

– Ale przysłał mnie tutaj doktor Bledsoe – powiedziałem, coraz bardziej rozgorączkowany. – Muszę mieć jakąś szansę...

– Doktor Bledsoe – wycedził z niesmakiem. – On jest jak mój... powinno się go wychłostać! Masz – powiedział, zgarniając list i rzucając mi go. Wziąłem kartkę, spoglądając w jego płonące oczy. – Dalej, przeczytaj go – krzyknął z niecierpliwością. – No dalej!

– Ale ja o to nie prosiłem – powiedziałem.

– Przeczytaj go!

Szanowny panie Emerson!

Doręczyciel tego listu jest naszym byłym studentem (piszę „byłym”, ponieważ nigdy, w żadnym wypadku, nie zostanie tutaj ponownie przyjęty), który został usunięty z uczelni za bardzo poważne odstępstwo od naszych ścisłych reguł zachowania.

Jednakże, z powodu okoliczności, których charakter wyjaśnię panu osobiście przy okazji następnego posiedzenia zarządu, dla dobra uczelni ten młody człowiek nie może się dowiedzieć, że jego usunięcie jest ostateczne i nieodwołalne. Ma on bowiem nadzieję powrócić tutaj jesienią na zajęcia. Jednak jest bardzo ważne dla powodzenia tego wielkiego dzieła, w którego realizację tak się zaangażowaliśmy, by trwał przy swoich próżnych nadziejach, pozostając jednocześnie jak najdalej od nas.

Sprawa ta należy, szanowny panie Emerson, do tych rzadkich, delikatnych przypadków, w których jeden ze studentów, z którymi wiązaliśmy wielkie oczekiwania, bardzo zbłądził i przez swój upadek może naruszyć pewne delikatne więzi między pewnymi zainteresowanymi osobami i szkołą. A zatem chociaż ten doręczyciel nie jest już członkiem naszej szkolnej rodziny, jest bardzo ważne, by przecięcie jego związków ze szkołą przeprowadzone zostało jak najmniej boleśnie. Bardzo pana proszę, by pomógł mu pan dążyć w kierunku tej obietnicy, która, jak horyzont, stale się oddala od pełnego nadziei podróżnika.

Z wyrazami szacunku,
pana pokorny sługa,
A. Hebert Bledsoe

Podniosłem głowę. Zdawało mi się, że między otrzymaniem od niego tego listu a zrozumieniem przeze mnie jego treści minęło dwadzieścia pięć lat. Nie mogłem w to uwierzyć, spróbowałem przeczytać go jeszcze raz. Nie mogłem w to uwierzyć, ale miałem wrażenie, że wszystko to wydarzyło się już wcześniej. Potarłem oczy; czułem w nich piasek, jakby nagle wyschły wszystkie płyny.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Strasznie mi przykro.

– Co ja takiego zrobiłem? Zawsze starałem się robić to, co należy...

– Ty mi to powiedz – rzekł. – O czym on tu pisze?

– Nie wiem, nie wiem...

– Ale musiałeś coś zrobić.

– Zabrałem pewnego człowieka na przejażdżkę i wszedłem z nim do Golden Day po pomoc, kiedy źle się poczuł... Nie wiem...

Opowiedziałem mu nieskładnie o wizycie u Trueblooda, wyprawie do Golden Day i usunięciu mnie z uczelni, obserwując jego ruchliwą twarz, która odzwierciedlała reakcję na każdy szczegół.

– To niewiele – stwierdził, kiedy skończyłem. – Nie rozumiem tego człowieka. Jest bardzo skomplikowany.

– Chciałem tylko wrócić – powiedziałem.

– Nigdy nie wrócisz. Teraz nie możesz już wrócić – rzekł. – Nie rozumiesz? Strasznie mi przykro, ale cieszę się, że uległem impulsowi, by z tobą porozmawiać. Zapomnij o tym; oto rada, której sam nie jestem w stanie przyjąć, niemniej i tak jest to dobra rada. Nie ma sensu zasłaniać oczu przed prawdą. Nie zasłaniaj oczu...

Wstałem otumaniony i ruszyłem do drzwi. Poszedł za mną do salonu, gdzie płonęły jaskrawymi kolorami ptaki w klatce, a ich piski brzmiały jak krzyki w koszmarnym śnie.

– Muszę cię prosić, żebyś nigdy nie wspomniał nikomu o tej rozmowie – wyjąkał z poczuciem winy.

– Nie wspomnę – odparłem.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, ale mój ojciec uznałby ujawnienie treści tego listu za największą zdradę... IV uwolniłeś się od niego, ale ja nadal jestem jego więźniem. Jesteś wolny, nie rozumiesz? Ja nadal toczę walkę. – Wydawał się bliski łez.

– Nie wspomnę nikomu – powiedziałem. – Nikt by mi nie uwierzył. Ja sam nie mogę w to uwierzyć. To musi być jakaś pomyłka. To musi być...

– Słuchaj, chłopcze – rzekł. – Wieczorem wydaję przyjęcie w Calamusie. Nie chciałbyś przyłączyć się do moich gości? Mogłoby ci to pomóc...

– Nie, dziękuję panu. Dam sobie radę.

– Może chciałbyś zostać moim pokojowym?

Spojrzałem na niego.

– Nie, dziękuję panu – odparłem.

– Proszę – rzekł. – Naprawdę chcę ci pomóc. Słuchaj, tak się składa, że wiem o możliwości zatrudnienia w Farbach Wolność. Mój ojciec posłał tam paru ludzi... Powinieneś spróbować...

Zamknąłem drzwi.

Winda łyknęła mnie jak kielich gorzały. Wyszedłem na dwór i ruszyłem ulicą przed siebie. Słońce świeciło teraz bardzo jasno, a ludzie na chodniku wydawali się jacyś odlegli. Zatrzymałem się przed szarym murem, nad którym wznosiły się jak szczyty budynków nagrobki na przykościelnym cmentarzu. Po drugiej stronie ulicy, w cieniu markizy, uwijał się dla paru groszy pucybut. Poszedłem na róg, wsiałem do autobusu i machinalnie przeszedłem na jego tył. Na siedzeniu przede mną ciemny mężczyzna w panamie wygwizdywał przez zęby jakąś melodię. Moje myśli krążyły w kółko, od Bledsoe do Emersona i z powrotem. Nie

mogłem w tym znaleźć żadnego sensu. To był żart. Do diabła, to nie może być żart. Tak, to żart... Autobus nagle szarpnął, zatrzymując się na przystanku, i usłyszałem, że nucę tę samą melodię, którą wygwizdywał mężczyzna naprzeciw mnie, i powróciły do mnie słowa:

*Oj, oskubali biednego Drozda do skóry,
Oj, oskubali biednego Drozda do skóry.
Przywiązali biednego Drozda do słupa
I darli pierze, aż ukazała się goła dupa.
Oj, oskubali biednego Drozda do skóry.*

Potem byłem już na nogach i pędziłem do drzwi. Słyszałem pogwizdywanie cienkie jak wygrywana na grzebieniu melodia, które towarzyszyło mi nawet po wyjściu na przystanek. Stałem przy krawężniku, drząc, patrząc i żywiąc cichą nadzieję, że ten człowiek wyskoczy z autobusu i podąży za mną, gwizdząc starą, zapomnianą śpiewkę o gołodupnym drożdżu. Nie mogłem się uwolnić od tej melodii. Wsiadłem do kolejki podziemnej, a piosenka dźwięczała mi w uszach nawet wtedy, kiedy znalazłem się w swoim pokoju w Domu dla Mężczyzn i położyłem się na łóżku. Kto-co-kiedy-dlaczego-gdzie zrobił tak z biednym starym Drozdem? W czym on zawinił i kto go związał, i dlaczego go oskubali i dlaczego śpiewaliśmy o jego losie? To było dla śmiechu, dla śmiechu, wszystkie dzieciaki śmiały się do rozpuku, a zabawny muzyk grający na tubie w zespole starego Elka wykonywał ją solo na swym spiralnym instrumencie, z komicznymi ozdobnikami i smętnymi frazami: Buu buu buu b u u u u, Biednego Drozda do skóry – parodia pieśni pogrzebowej... Ale kim był Drozd i za co go okaleczono i upokorzono?

Nagle zatrzęsłem się ze złości. Wszystko na nic. Pomyślałem o młodym Emersonie. A jeśli skłamał z jakichś swoich powodów? Każdy zdawał się mieć dla mnie jakiś plan, a pod nim bardziej ukryty plan. Jaki był plan młodego Emersona – i dlaczego miałby obejmować mnie? A tak w ogóle kim ja jestem? Przewróciłem się niespokojnie. Może to był sprawdzian mojej dobrej woli i wiary... ale to kłamstwo, pomyślałem. To kłamstwo i wiesz, że to kłamstwo. Widziałem list, który praktycznie polecał mnie zabić. Stopniowo...

– Szanowny panie Emerson – powiedziałem głośno. – Drozd, który przynosi ten list, jest byłym studentem. Proszę dać mu nadzieję, którą będzie miał aż do śmierci. Niech goni w piętkę. Pana najpokorniejszy i posłuszny sługa, A. H. Bledsoe...

Na pewno tak to właśnie było, pomyślałem, krótkie, zwarte, werbalne *coup de grace*, prosto w nasadę karku. A co Emerson napisze w odpowiedzi? Na pewno: Drogi Bied! Spotkałem się z Drozdem i ogoliłem mu tyłek. Podpisano: Emerson.

Usiadłem na łóżku i zacząłem się śmiać. Wysłali mnie do slumsów, bez dwóch zdań. Śmiałem się, odrętwiały i osłabiony, wiedząc, że wkrótce nadejdzie ból i że bez względu na to, co mi się przydarzy, nigdy nie będę już taki jak przedtem. Byłem odrętwiały i śmiałem się. Kiedy przestałem, łapiąc z trudem oddech, postanowiłem, że wrócę i zabiję Bledsoe. Tak, pomyślałem, jestem to winien naszej rasie i sobie. Zabiję go.

A śmiałość tego postanowienia i kryjący się za nią gniew skłoniły mnie do podjęcia nowej decyzji. Musiałem mieć pracę i zrobiłem to, co – jak miałem nadzieję – prowadziło najszybciej do tego celu. Zadzwoiłem do fabryki, o której wspomniał młody Emerson, i dopiąłem swego. Powiedziano mi, żebym się zgłosił rano. Stało się to tak szybko i tak łatwo, że przez chwilę czułem się wystrychnięty na dudka. Czyżby to zaplanowali? Ale nie, drugi raz mnie nie nabiorą. Tym razem ja zrobiłem ruch.

Nie mogłem zasnąć, bo marzyłem o zemście.

Rozdział 10

Zakłady znajdowały się na Long Island, przeszedłem więc we mgle przez most, by się tam dostać, i znalazłem się w strumieniu robotników. Przede mną duży elektryczny znak głosił swoje przesłanie przez unoszące się pasma mgły:

UTRZYMUJCIE AMERYKĘ W CZYSTOŚCI FARBAMI WOLNOŚĆ

Na każdym z labiryntu budynków pod tym neonem łopotały w bryzie flagi i przez chwilę wszystko to wyglądało jak jakaś oglądana z daleka ogromna patriotyczna ceremonia. Ale nie oddawano żadnych salw i nie rozbrzmiewały żadne fanfary. Pospieszyłem z innymi przez mgłę.

Niepokoilem się, ponieważ powołałem się na pana Emersona bez jego zgody, ale kiedy dotarłem do działu kadr, jego nazwisko podziało jak zaklęcie magiczne. Przepytałem mnie niski człowiek o zmęczonych oczach, pan MacDuffy, i posłał do pracy do niejakiego pana Kimbro. Pojawił się gońiec, żeby mnie zaprowadzić.

– Jeśli Kimbro będzie go potrzebował – rzucił MacDuffy gońcowi – wróć i powiedz, żeby umieszczono jego nazwisko na liście płac działu wysyłki.

– Jakie to ogromne – zauważyłem, kiedy wyszliśmy z budynku. – Wygląda jak małe miasto.

– Jest duże, owszem – odparł gońiec. – Jesteśmy jedną z największych firm w tej branży. Robimy dużo farb dla rządu.

Weszliśmy teraz do jednego z budynków i ruszyliśmy czystym białym korytarzem.

– Lepiej zostaw swoje rzeczy w szatni – powiedział, otwierając drzwi, przez które zobaczyłem pomieszczenie z niskimi zielonymi ławkami i rzędami zielonych szafek. W paru zamkach tkwiły klucze i wybrał jedną z tych szafek dla mnie. – Włóż tu wszystko i weź klucz – powiedział. Kiedy się przebierałem, byłem zdenerwowany. Ułożył się z jedną nogą na ławce, przyglądając mi się uważnie i żując zapałkę. Czyżby podejrzewał, że nie przysłał mnie Emerson? – Robią tu nowy szwindel – rzekł, obracając zapałkę między palcem wskazującym i kciukiem. W jego głosie pojawiła się nuta insynuacji, podniosłem więc głowę znad sznurowanego buta, starając się równo oddychać.

– Jaki szwindel? – zapytałem.

– Och, wiesz. Te mądrale wywalają stałych pracowników i przyjmują was, kolorowych chłopaków z uczelni. To całkiem sprytne – powiedział. – Dzięki temu nie muszą płacić tyle, ile uzgodnili ze związkami zawodowymi.

– Skąd wiedziałeś, że byłem na studiach? – zapytałem.

– No, jest was tu już z sześciami. Niektórzy w laboratorium doświadczalnym. Każdy o tym wie.

– A le ja nie miałem pojęcia, że dlatego właśnie mnie zatrudniono – powiedziałem.

– Daj spokój, koleś – odparł. – To nie twoja wina. Wy, nowicjusze, nie wiecie, jak wygląda sytuacja. Jak mówią w związkach, to te mądrale z biura. – To oni robią z was lamistrąjków... Hej! lepiej się pospieszmy.

Weszliśmy do długiego, podobnego do szopy pomieszczenia, w którym zobaczyłem po jednej stronie ciąg drzwi nad głową, a po drugiej rząd małych biur. Podążyłem korytarzem za

gońcem, między ciągnącymi się bez końca szeregami puszek, kubłów i beczek z nalepkami z godłem firmy, krzyczącym orłem. Farba była ułożona w rzędy zgrabnych piramid na betonowej posadzce. Potem, przed wejściem do jednego z biur, chłopak zatrzymał się i szeroko uśmiechnął.

– Posłuchaj tylko!

Ktoś wewnątrz wściekle klął przez telefon.

– Kto to? – zapytałem.

Znowu się uśmiechnął.

– Twój szef, straszny pan Kimbro. Mówimy na niego „Pułkownik”, ale nie daj mu się przyłapać.

Nie podobało mi się to. Ten głos pieklił się z powodu jakiegoś błędu w laboratorium i poczułem się nieswojo. Nie podobała mi się myśl, że zacznę pracować pod kierunkiem człowieka, który jest w takim podłym nastroju. Może był zły na któregoś z tych chłopaków ze szkoły, a to nie nastawiłoby go do mnie życzliwie.

– Wejźmy – powiedział goniec. – Muszę zaraz wracać.

Kiedy wkroczyliśmy do biura, ów mężczyzna trzasnął słuchawką i podniósł jakieś papiery.

– Pan MacDuffy chce wiedzieć, czy przyda się panu ten nowy człowiek? – rzekł goniec.

– Masz cholerną rację, że mi się przyda i... – Jego głos ucichł, a oczy ponad sztywnymi wojskowymi wąsami nabrały twardego wyrazu.

– No to przyda się panu? – spytał goniec. – Muszę iść wyrobić mu kartę.

– Dobrze – powiedział w końcu mężczyzna. – Przyda mi się. Musi. Jak się nazywa?

Goniec odczytał z kartki moje nazwisko.

– W porządku – stwierdził mężczyzna – ruszaj od razu do roboty. A ty – powiedział do gońca – zabieraj się stąd w diabły, zanim dam ci szansę zarobienia tych pieniędzy marnowanych na każdą twoją dniówkę!

– Wal się, ty poganiaczu niewolników – odparł goniec, wybiegając z pokoju.

Kimbro spurpurowiał i zwrócił się do mnie:

– Chodź, weźmy się do roboty.

Poszedłem za nim do długiego pomieszczenia, gdzie ustawione były w stertach pojemniki z farbą pod zwisającymi z sufitu ponumerowanymi tablicami. Na końcu hali dostrzegłem dwóch mężczyzn, którzy wyładowywali z ciężarówki ciężkie kubły i ustawiali je porządnie na rampie załadowniczej.

– Teraz słuchaj uważnie – powiedział szorstko Kimbro. – Na tym oddziale jest duży ruch i nie mam czasu powtarzać wyjaśnień. Masz stosować się do instrukcji, a będziesz robił coś, czego nie rozumiesz, więc zapamiętaj polecenia za pierwszym razem i wypełniaj je! Nie będę miał czasu, żeby przerywać robotę i wyjaśniać wszystko od nowa. Musisz się wciągnąć, robiąc dokładnie to, co ci karzę. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową, zauważywszy, że zaczął mówić głośniejszym głosem, kiedy ludzie po drugiej stronie przerwali pracę, by go posłuchać.

– Dobrze – powiedział, podnosząc parę narzędzi. – Chodź tutaj.

– To Kimbro – rzekł jeden z przysłuchujących się rozmowie.

Patrzyłem, jak kłeka, otwiera jeden z kubłów i miesza gęstą brunatną maź. Uniósł się przyprawiający o wymioty smród. Chciałem się cofnąć. Ale on mieszał energicznie, aż substancja stała się biała i błyszcząca, trzymając łopatkę jak delikatny instrument i przyglądając się badawczo farbie opadającej z niej strużką do kubła. Zmarszczył czoło.

– Niech diabli porwą tych przygłupków z laboratorium! Do każdego z tych skurwysyńskich kubłów trzeba dodać lakieru. I to właśnie masz robić, i to tak, żeby można to było wywieźć stąd przed jedenastą trzydzieści. – Wręczył mi biały, emaliowany pojemnik i coś, co wyglądało na areometr. – Chodzi o to, żeby stworzyć każdy kubeł i wlać dziesięć

kropel tego – powiedział. – Potem mieszasz to, aż zniknie. Kiedy jest już wymieszane, bierzesz ten pędzel i malujesz próbkę na jednej z tych. – Wyciągnął z kieszeni marynarki kilkanaście małych, prostokątnych plakietek. – Rozumiesz?

– Tak, proszę pana. – Ale kiedy spojrzałem na biały pojemnik, zawahałem się; płyn w środku był zupełnie czarny. Czyżby próbował mnie nabrać?

– Coś nie tak?

– Nie wiem, proszę pana... To znaczy, nie chcę zaczynać od zadawania mnóstwa głupich pytań, ale czy pan wie, co jest w tym pojemniku?

W jego oczach pojawiły się błyskawice.

– Wiem, do cholery – warknął. – Rób, co ci polecono!

– Chciałem się tylko upewnić, proszę pana – powiedziałem.

– Słuchaj – rzekł i wciągnął powietrze tak, jakby okazywał bezbrzeżną cierpliwość. – Weź zakraplacz i napełnij go do końca... No dalej, zrób to!

Napełniłem.

– Teraz odmierź dziesięć kropli w farbę... Dobrze, tak, nie za szybko, do cholery. No. Potrzebujesz nie więcej niż dziesięć i nie mniej.

Odmierzyłem powoli dziesięć lśniących czarnych kropli, widząc, jak osiadają na powierzchni i robią się coraz czarniejsze, kiedy uciekają szybko ku krawędziom kubła.

– O to chodzi. To wszystko, co masz robić – powiedział. – Nie przejmuj się tym, jak to wygląda. To moje zmartwienie. Po prostu rób, co ci polecono, i staraj się o tym nie myśleć. Kiedy zrobisz pięć czy sześć kubłów, wróć i sprawdź, czy próbki wyschły... I pospiesz się, bo musimy wysłać tę partię do Waszyngtonu przed jedenastą trzydzieści...

Pracowałem szybko, ale uważnie. Z takim człowiekiem jak Kimbro najdrobniejsza rzecz zrobiona niewłaściwie spowodowałaby kłopoty. A więc miałem nie myśleć! Do diabła z nim. Zwyczajny sługus, wsiok z Północy, jankeski ćwok! Mieszałem starannie farbę, potem rozprowadzałem ją gładko na jednej z plakietek, dbając o równomierne pociągnięcia pędzla.

Szarpiąc jedną, szczególnie trudną do zdjęcia pokrywę, zastanawiałem się, czy tych samych farb Wolność używano na kampusie albo czy tę „Biel Optyczną” wykonano wyłącznie dla rządu. Być może była ona lepszej jakości, była jakąś specjalną mieszanką. I oczami wyobraźni ujrzałem starannie utrzymane i świeżo odnowione budynki kampusu, tak jak prezentowały się w wiosenne poranki – po jesiennym malowaniu i lekkich zimowych opadach śniegu, z żeglującym nad nimi obłokiem i śmigającym ptakiem – obrzeżone drzewami i oplecione winoroślą. Budynki te zawsze wydawały się bardziej imponujące, ponieważ były jedynymi, które regularnie malowano; pobliskie domy i chaty pozostawały nie tknięte pędzlem, aż w końcu zyskiwały matową, żyłkową szarość wyschniętego drewna. Przypomniałem sobie, jak wiatr, słońce i deszcz uwypuklały żyłki słoików w niektórych deskach, aż zaczynały one w końcu lśnić satynowym, srebrzystym, srebrnorybim połyskiem: jak chata Trueblooda albo Golden Day... Golden Day był kiedyś pomalowany na biało; teraz, z upływem lat, farba się złuszczała, wystarczyło skrobnięcie paznokciem, by posypała się jak łupież. Niech szlag trafi Golden Day! Ale to było bardzo dziwne, jak życie połączyło dwa wydarzenia – ponieważ zawiozłem pana Nortona do tego starego, podniszczonego budynku z odpadającą farbą, znalazłem się tutaj. Gdyby, myślałem, można było spowolnić uderzenia serca i pracę pamięci, dostosowując ją do tempa tych czarnych kropli, spadających tak wolno do kubła, ale reagujących tak szybko, to wydałoby się to ciągiem zdarzeń w gorączkowym śnie... Byłem tak pogrążony w zadumie, że nie usłyszałem nadejścia Kimbro.

– Jak idzie? – spytał, stając z rękami na biodrach.

– W porządku, proszę pana.

– Zobaczmy – powiedział, po czym wybrał jedną z próbek i przeciągnął po niej kciukiem. – To jest to, biała jak niedzielna peruka Jerzego Waszyngtona i solidna jak wszechmocny dolar! To jest farba! – rzekł z dumą. – Farba, która pokryje prawie wszystko!

Miał minę, jakbym wyraził jakąś wątpliwość, pospieszyłem więc z zapewnieniem:

– Na pewno jest biała jak trzeba.

– Biała! To najczystsza biel, jaką można znaleźć. Nikt nie robi bielszej farby. Ta partia jedzie na pomnik narodowy!

– Rozumiem – powiedziałem; zrobiło to na mnie wrażenie.

Spojrzał na zegarek.

– Pracuj dalej – rzucił. – Jeśli się nie pospieszę, spóźnię się na naradę produkcyjną! A, lakier prawie ci się skończył, lepiej idź do magazynu i uzupełnij... I nie trać czasu! Muszę iść.

Wypadł z hali, nie powiedziawszy mi, gdzie jest magazyn. Łatwo było go znaleźć, ale nie byłem przygotowany na tyle zbiorników. Było ich siedem; każdy z namalowanym na nim zagadkowym kodem. To podobne do Kimbro, że mi nie powiedział, pomyślałem. Nikomu z nich nie można ufać. Mniejsza z tym, wybiorę zbiornik, kierując się zawartością wiszących na kranach ociekaczy, do których skapywała znajdująca się w zbiornikach ciecz.

Ale chociaż pierwsze pięć zbiorników zawierało przezroczysty płyn, który pachniał jak terpentyna, dwa ostatnie wypełnione były czymś czarnym jak lakier, ale oznaczonym różnymi kodami. Musiałem więc dokonać wyboru. Wybrawszy zbiornik z ociekaczem, którego zapach najbardziej przypominał lakier, napełniłem menzurkę, gratulując sobie, że nie muszę tracić czasu i czekać na powrót Kimbro.

Praca szła mi teraz szybciej, mieszanie łatwiej. Pigment i ciężkie oleje podnosiły się z dna o wiele szybciej i kiedy wrócił Kimbro, działałem na najwyższych obrotach.

– Ile skończyłeś? – spytał.

– Myślę, że około siedemdziesięciu pięciu, proszę pana. Straciłem rachubę.

– To bardzo dobrze, ale nie dość szybko. Naciskają na mnie, żebym wypchnął ten towar. No, pomogę ci.

Musieli dać mu popalić, pomyślałem, kiedy, stękając, uklęknął i zaczął zdejmować pokrywy z kubłów. Ale zaledwie zaczął, ktoś go zawołał.

Kiedy odszedł, rzuciłem okiem na ostatnią grupkę próbek i doznałem wstrząsu – zamiast gładkiej, twardej powierzchni, jak na początku, pokryte były kleistą breją, przez którą widziałem słoje drewna. Co się, do licha, stało? Farba nie była tak biała i lśniąca jak poprzednio; miała szarawy odcień. Wymieszałem ją energicznie, później chwyciłem szmatę, wytarłem każdą deseczkę do czysta, a potem wziąłem nową próbkę z każdego kubła. Bałem się, żeby Kimbro nie wrócił, zanim skończę.

Uwijałem się jak w ukropie i udało mi się zrobić wszystkie próbki, ale ponieważ farba potrzebowała paru minut, żeby wyschnąć, podniosłem dwa gotowe kubły i zacząłem taszczyć je na rampę załadowniczą. Postawiłem je z głuchym stuknięciem, kiedy rozległ się za mną jakiś głos. Był to Kimbro.

– Co, do diabła! – wrzasnął, przejeżdżając palcem po jednej z próbek. – To jest jeszcze wilgotne!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Złapał kilka z później zrobionych próbek, rozmazał na nich farbę i jęknął.

– Że też musiało mi się to przydarzyć. Najpierw zabierają mi wszystkich dobrych ludzi, a potem przysyłają ciebie. Co z tym zrobiłeś?

– Nic, proszę pana. Postępowałem zgodnie z pana wskazówkami – broniłem się.

Patrzyłem, jak zagląda do mieszanki, podnosi zakraplacz i wacha go. Twarz mu pociemniała ze złości.

– Kto, do diabła, ci to dał?

– Nikt...

– No to skąd to wziąłeś?

– Z magazynu.

Nagle rzucił się do magazynu, rozchlapując po drodze płyn. O cholera, pomyślałem, ale zanim zdążyłem za nim pobiec, wypadł stamtąd z furją.

– Wybrałeś zły zbiornik – krzyknął. – Co, u diabła, próbujesz sabotować firmę? Ten płyn nie podziała i za milion lat. To zmywacz, skoncentrowany zmywacz! Nie potrafisz tego odróżnić?

– Nie, proszę pana, nie potrafię. Dla mnie wyglądał tak samo. Nie wiedziałem, czego używam, a pan mi nie powiedział. Staralem się zaoszczędzić czas i wziąłem to, co wydawało mi się dobre.

– Ale dlaczego akurat to?

– Bo pachniało tak samo... – zacząłem.

– Pachniało! – ryknął. – Niech to szlag, nie wiesz, że w tych oparach nie poczujesz nawet zapachu gówna? Chodź do mojego biura!

Wahałem się między pokusą zaprotestowania a chęcią poproszenia o sprawiedliwą ocenę. To nie była tylko moja wina i nie chciałem ponosić za to odpowiedzialności, ale pragnąłem przepracować cały dzień. Trzęsąc się ze złości, poszedłem za nim i słuchałem, jak rozmawia z kadrami.

– Halo? Mac, tu Kimbro. Chodzi o tego faceta, którego mi rano przysłałeś. Odsyłam go, żeby odebrał zapłatę... Co zrobił? Nie jestem z niego zadowolony, ot co. Nie podoba mi się jego praca... Stary musi mieć raport? I co z tego? Zrób mu raport. Powiedz, że ten facet, niech go szlag, zepsuł całą partię towaru dla rządu... – Hej! Nie, nie mów tego... Posłuchaj, Mac, masz tam jeszcze kogoś?... Dobra, mniejsza z tym. – Trzasnął słuchawką i obrócił się do mnie. – Przysięgam, że nie wiem, dlaczego was zatrudniają. Po prostu nie powinniście się znaleźć w fabryce farb. Chodź.

Oszołomiony podążyłem za nim do magazynu, pragnąc rzucić tę robotę i powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła. Ale potrzebowałem pieniędzy i chociaż to była Północ, nie byłem gotowy do walki, jeśli nie zostaną do niej zmuszony. Byłbym tu sam przeciwko ilu ludziom?

Przeglądałem się, jak opróżnia menzurkę, wlewając płyn z powrotem do zbiornika, i zakonotowałem sobie w pamięci, że podszedł do innego, oznaczonego SKA-3-69-T-Y i napełnił ją. Następnym razem będę wiedział.

– Teraz, na miłość boską – rzekł, wręczając mi menzurkę – bądź ostrożny i postaraj się porządnie wykonać tę robotę. A jeśli nie będziesz wiedział, co zrobić, zapytaj kogoś. Będę w moim biurze.

Z kłębiącymi się emocjami wróciłem do kubłów. Kimbro zapomniał powiedzieć, co mam zrobić z zepsutą farbą. Na ich widok poczułem nagły przypływ złości i napełniwszy zakraplacz lakierem, wpuściłem do każdego kubła dziesięć kropel i wcisnąłem ich pokrywki. Niech się tym martwi rząd, pomyślałem i zabrałem się do nieotwartych kubłów. Mieszałem, aż rozboleła mnie ramię, i malowałem próbki tak równomiernie, jak potrafiłem, zyskując coraz większą wprawę.

Kiedy przyszedł Kimbro i zaczął mnie obserwować, rzuciłem na niego w milczeniu okiem i dalej mieszałem.

– Jak to wygląda? – spytał ze zmarszczonym czołem.

– Nie wiem – powiedziałem, podnosząc próbkę, i zawahałem się.

– No?

– Nic takiego... drobina kurzu – odparłem, wstałem i wyciągnąłem do niego rękę z próbką, czując narastające w środku napięcie.

Trzymając próbkę blisko twarzy, przejechał palcami po powierzchni i zerknął z ukosa na fakturę.

– To już bardziej podobne do farby – oznajmił. – Taka powinna być.

Nie wierząc własnym oczom, patrzyłem, jak pociera kciukiem deseczkę, oddaje mi ją i odchodzi bez słowa.

Spojrzałem na pomalowaną płytkę. Wydawała się taka sama: przez biel przeziarał szarawy odcień, a Kimbro tego nie zauważył. Gapiłem się na nią prawie przez minutę, zastanawiając się, czy nie mam zwidów, a potem zbadalem kilka kolejnych płytek. Wszystkie były takie same, lśniąca biel przeniknięta szarością. Zamknąłem na chwilę oczy i przyjrzałem im się jeszcze raz, nadal nie zauważając żadnej zmiany. No, pomyślałem, ale skoro on jest zadowolony...

Miałem jednak uczucie, że coś było nie tak, coś dużo ważniejszego niż farba, że albo ja spłatałem Kimbro figła, albo on, podobnie jak członkowie zarządu i Bledsoe, stroi sobie ze mnie żarty...

Kiedy do rampy podjechała tyłem ciężarówka, wcisnąłem pokrywę na ostatni kubeł – a nade mną stanął Kimbro.

– Zobaczmy twoje próbki – powiedział.

Sięgnąłem po nie, starając się wybrać najbielsze, a przez drzwi ładunkowe weszli tragarze w niebieskich koszulach.

– No i jak, Kimbro – odezwał się jeden z nich – możemy zaczynać?

– Chwilę – powiedział, przyglądając się próbce – jedną chwilę...

Obserwowałem go nerwowo, czekając, aż wpadnie w szał z powodu tego szarego odcienia, i czując do siebie odrazę za to, że jestem zdenerwowany i przerażony. Co ja powiem? Ale on odwrócił się do tragarzy.

– W porządku, chłopcy, wynoście się z tym do diabła. A ty – rzekł do mnie – idź do MacDuffy’ego; skończyłeś.

Spojrzałem na tył jego głowy, na różowy kark pod czapką i szpakowate włosy. A więc pozwolił mi zostać tylko po to, bym dokończył mieszanie. Odwróciłem się; nie mogłem nic zrobić. Przeklinałem go przez całą drogę do biura kadr. Czy powinienem napisać do właścicieli o tym, co się stało? Może nie wiedzieli, że Kimbro ma aż taki wpływ na jakość farby. Może tak to się tutaj robi, myślałem, może rzeczywistą jakością farby z a w s z e określa ten, kto ją wysyła, a nie ci, co ją mieszają. Do diabła z tym wszystkim... Znajdę inną pracę.

Ale nie zwolniono mnie. MacDuffy posłał mnie do piwnicy budynku nr 2 z nowym zadaniem.

– Kiedy tam przyjdiesz, powiedz tylko Brockwayowi, że pan Sparland nalega, żeby miał pomocnika. Rób, co ci powie.

– Może pan powtórzyć to nazwisko? – zapytałem.

– Lucius B r o c k w a y – powiedział. – On jest tam szefem.

Była to głęboka piwnica. Trzy poziomy pod ziemią pchnąłem ciężkie metalowe drzwi z napisem „Niebezpieczeństwo” i zszedłem do pełnego hałasu, słabo oświetlonego pomieszczenia. W kłębiących się tu oparach było coś znajomego i zaledwie pomyślałem „sosna”, kiedy nad grzmot maszyn wzbił się piskliwy głos murzyński.

– Kogo tu szukasz?

– Szukam szefa – krzyknąłem, wyżej słuch, by umiejscowić ten głos.

– Gadasz z nim. Czego chcesz?

Mężczyzna, który wyłonił się z cienia i spoglądał na mnie z ponurą miną, był niski, żyłasty i bardzo szykowny w swoim brudnym kombinezonie. Kiedy się do niego zbliżyłem, zobaczyłem wymizerowaną twarz i kędzierzawe siwe włosy pod ciasną, pasiastą czapką mechanika. Jego zachowanie mnie zdumiało. Nie potrafiłem stwierdzić, czy sam czuł się winny z jakiegoś powodu, czy uważał, że ja popełniłem jakieś przestępstwo. Podeszedłem bliżej, przyglądając się mu. Miał zaledwie pięć stóp wzrostu, a jego kombinezon wyglądał teraz tak, jakby unurzany był w smole.

– W porządku – rzekł. – Mam dużo pracy. Czego chcesz?

– Szukam Luciusa – powiedziałem.

Zmarszczył brwi.

– To ja – i nie mów do mnie po imieniu. Dla ciebie i takich jak ty jestem pan Brockway...

– Pan...? – zacząłem.

– Taa, ja! A w ogóle kto cie tu przysłał?

– Biuro kadr – odparłem. – Powiedziano mi, żeby panu powiedział, że pan Sparland chce, żeby dano panu pomocnika!

– Pomocnika! – powtórzył. – Nie potrzebuje żadnego cholernego pomocnika! Stary Sparland pewnie myśli, że się starzeje tak jak on. Przez te wszystkie lata sam tu wszystkiego doglądałem, a teraz oni stale próbują przysłać mi jakiegoś pomocnika. Wracaj tam i powiedz im, że jak będę chciał pomocnika, to sam o niego poproszę.

Byłem tak zniesmaczony tym, że szefem jest taki człowiek, że odwróciłem się bez słowa i zacząłem wspinać się po schodach do wyjścia. Najpierw Kimbro, pomyślałem, a teraz ten stary...

– Hej, zaczekaj chwile!

Odwróciłem się i zobaczyłem, że przyzywa mnie gestem dłoni.

– Zejdź tu na chwile – krzyknął głosem przecinającym się ostro przez ryk pieców.

Zawróciłem i ujrzałem, że wyciąga z bocznej kieszeni białą szmatkę i wyciera szklaną tarczę manometru, a potem pochyla się nad nią, by zerknąć na pozycję wskazówki.

– Masz – rzekł, wyprostowując się i wręczając mi szmatkę – możesz zostać, póki się nie skontaktuje ze Starym. Te tutaj trzeba utrzymywać w czystości, żebym wiedział, jakie mam ciśnienie.

Wziąłem szmatkę bez słowa i zacząłem przecierać szkła. Obserwował mnie krytycznie.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

Powiedziałem mu, przekrzykując ryk pieców.

– Zaczekaj chwile – zawołał, po czym odszedł i przekręcił jakiś zawór w zawiłej sieci rur. Usłyszałem, że hałas wznosi się na wyższy, niemal histeryczny poziom, tak że nasze głosy płynęły pod jego powierzchnią i mogliśmy się słyszeć, nie wrzeszcząc do siebie.

Wróciwszy, spojrział na mnie surowo, a jego zwiędła twarz wyglądała jak ożywiony czarny orzech włoski z chytrymi, przekrwionymi oczkami.

– Pierwszy raz przysyłają mi kogoś takiego jak ty – oznajmił, jakby był zdumiony. – To dlatego zawołałem cie z powrotem. Zwykle przysyłają mnie tu jakiegoś młodego białego, który myśli, że się mnie poprzygląda przez parę dni i zada kupę pytań, a potem wejdzie na moje miejsce. Niektórzy so za proste, żeby w ogóle z nimi gadać – powiedział, krzywiąc się i machając lekceważąco ręką. – Jesteś technikiem? – spytał, przenosząc wzrok na mnie.

– T e c h n i k i e m ?

– Taa, o to cie zapytałem – powiedział wyzywającym tonem.

– A skąd, proszę pana, nie jestem żadnym technikiem.

– Pewien jesteś?

– Oczywiście, że jestem pewien. Dlaczego miałbym nim być?

Zdawało się, że się odprężył.

– No to w porządku. Musze mieć oko na tych z kadr. Jeden z nich myśli, że mnie stąd wysiuda, a powinien już wiedzieć, że marnuje tylko czas. Lucius Brockway nie tylko ma zamiar się bronić, ale wie, jak to zrobić! Każdy wie, że ja tu jestem, odkąd tu jest jakieś tu – że nawet pomagałem kopać pierwsze fundamenty. Stary mnie przyjął do roboty, nikt inny, i na Boga, żeby mnie zwolnić, trzeba będzie Starego!

Wycierałem wskaźniki, zastanawiając się, co wywołało ten wybuch złości, i ulżyło mi nieco, że najwyraźniej nie ma nic przeciwko mnie osobiście.

– Gdzie chodzisz do szkoły? – zapytał.

Powiedziałem mu.

– Naprawdę? Czego się tam uczysz?

– Tylko przedmiotów ogólnych, normalny kurs uniwersytecki – wyjaśniłem.

– Mechanika?

– O nie, nic podobnego, tylko nauki humanistyczne. Żadnego rzemiosła.

– Naprawdę? – rzekł z powątpiewaniem. Potem nagle: – Jakie ciśnienie mam na tym wskaźniku?

– Na którym?

– Widzisz go? – wskazał. – Na tym tam!

Spojrzałem i krzyknąłem:

– Czterdzieści trzy i dwie dziesiąte funta.

– Aha, aha, zgadza się. – Zerknął na wskaźnik i z powrotem na mnie. – Gdzie się uczysz tak dobrze odczytywać wskaźniki?

– Na lekcjach fizyki w liceum. To jak sprawdzanie godziny na zegarze.

– Uczono tego w liceum?

– Zgadza się.

– To będzie jedno z twoich zadań. Te wskaźniki trzeba sprawdzać co piętnaście minut. Powinieneś umieć to zrobić.

– Myślę, że tak.

– Niektórzy umio, niektórzy nie. A tak w ogóle to kto cie przyjął do roboty?

– Pan MacDuffy – powiedziałem, zastanawiając się, po co te wszystkie pytania.

– No to gdzieś był przez cały ranek?

– Pracowałem w budynku numer 1.

– To wielgachny budynek. Gdzie dokładnie?

– U pana Kimbro.

– Rozumie, rozumie. Ja żem wiedział, że nie przyjmują nikogo do roboty tak późno. A co Kimbro kazał ci robić?

– Wlewać lakier do farby, która się zepsuła – wyjaśniłem znużonym głosem, zirytowany całym tym wypytywaniem.

Wydął wojowniczo wargi.

– Jaka farba się zepsuła?

– Chyba jakaś dla rządu...

Przekrzywił głowę.

– Ciekawe, czemu nikt mnie nic o tym nie powiedział – rzekł w zamyśleniu. – Była w kubłach czy tych małych puszkach?

– W kubłach.

– O, to nie tak źle, z tymi małymi jest kupa roboty. – Roześmiał się oschle. – A skąd ty żeś się dowiedział o tej robocie? – warknął zniechęcony, jakby próbował mnie zaskoczyć.

– Niech pan posłucha – powiedziałem powoli – o tej pracy powiedział mi pewien człowiek, którego znam; zatrudnił mnie MacDuffy; rano pracowałem u pana Kimbro, a potem pan MacDuffy przysłał mnie do pana.

Jego twarz stężała.

– Jesteś przyjacielem któregoś z tych kolorowych?

– Kogo?

– Tach z laboratorium?

– Nie – odparłem. – Chce pan wiedzieć coś jeszcze?

Obrzucił mnie przeciągłym, podejrzliwym spojrzeniem i splunął na gorącą rurę, tak że zaczęła wściekle parować. Patrzyłem, jak wyjmując z kieszeni na piersiach ciężki inżynierski zegarek i zerka nań z ważną miną, a potem odwraca się, by porównać jego wskazania z elektrycznym zegarem, który jarzył się na ścianie.

– Wycieraj te wskaźniki – powiedział. – Muszę spojrzeć na moją zupe. I patrz tutaj. – Wskazał na jeden z manometrów. – Chce, żebyś się szczególnie bystro przyglądał temu

sukinsynowi. Przez ostatnich parę dni weszło mu w zwyczaj szybkie podskakiwanie. Mam przez niego kupę kłopotów. Jak zobaczysz, że wychodzi powyżej siedemdziesięciu pięciu, krzycz, i to głośno!

Wrócił w cień i zobaczyłem snop jasności oznaczający otwarcie drzwi.

Przecierając szmatką tarczę wskaźnika, zastanawiałem się, jak ów niewykształcony stary człowiek mógł dostać taką odpowiedzialną pracę. Na pewno nie mówił jak technik, a jednak był sam na zmianie. I nigdy nie można mieć pewności, bo w moim rodzinnym mieście stary mężczyzna zatrudniony jako dozorca w wodociągach był jedynym człowiekiem, który znał położenie wszystkich głównych rur. Zatrudniono go na początku, kiedy nie przechowywano jeszcze żadnych planów, i rzeczywiście pełnił funkcję technika, chociaż pobierał pensję dozorca. Może ten stary Brockway chronił się przed czymś. Przecież niechętnie nas zatrudniano. Może symulował, jak pewni nauczyciele z college'u, którzy, by uniknąć kłopotów, kiedy przejeżdżali przez małe okoliczne miasteczka, wkładali czapki szoferów i udawali, że ich samochody należą do białych. Ale dlaczego udawał przede mną? I jakie zajmował stanowisko?

Rozejrzałem się. Nie była to tylko maszynownia; wiedziałem o tym, bo odwiedziłem ich kilka, ostatnią na uczelni. Było to coś więcej. Przede wszystkim piece wyglądały inaczej, a płomienie, które błyskały przez szczeliny palenisk, były zbyt intensywne i zbyt niebieskie. No i zapachy. Nie, on coś tutaj wytwarzał, coś, co miało jakiś związek z farbą i prawdopodobnie było zbyt paskudne i niebezpieczne, by chcieli to robić biali, nawet za duże pieniądze. Nie była to farba, bo powiedziano mi, że robi się ją na wyższych poziomach, gdzie dostrzegłem przelotnie mężczyzn w poplamionych fartuchach, którzy pracowali przy dużych kadziach wypełnionych wirującym pigmentem. Jedno było pewne: musiałem uważać przy tym narwanym Brockwayu; nie podobało mu się, że tu jestem... A oto i on, schodzi teraz ze schodów.

– Jak idzie? – zapytał.

– Dobrze – powiedziałem. – Tylko zrobiło się chyba głośniej.

– O, tu się robi całkiem głośno, tak jest; to tutaj to wydział ryku, ja tu rządze... Nie poszedł nad kreskie?

– Nie, trzyma się w miejscu – odparłem.

– To dobrze. Ostatnio mam z nim kupę kłopotów. Bede musiał go przymknąć i zrobić mu dobry przegląd, jak wyczyszczyć zbiornik.

Może on i j e s t technikiem, pomyślałem, przyglądając się, jak sprawdza manometry i idzie do innej części pomieszczenia, by wyregulować szereg zaworów. Odszedł stamtąd i powiedział parę słów do wiszącej na ścianie słuchawki, a potem zawołał mnie i wskazał na zawory.

– Musze pchnąć to na górę – rzekł poważnie. – Kiedy dam ci znak, otwórz je szeroko. A jak dam drugi znak, to znowuż je zamknij. Zaczynij od tego czerwonego i idź po kolei...

Zająłem stanowisko i czekałem, aż stanie koło manometru.

– Dawaj – krzyknął. Otworzyłem zawory i dobiegł mnie szum cieczy pędzącej ogromnymi rurami. Na dźwięk brzęczyka podniosłem głowę...

– Zaczynij zamykać – wrzasnął. – Na co się gapisz? Zamykaj te zawory! – Kiedy skończyłem, zapytał: – Co z tobą?

– Myślałem, że pan zawoła.

– Powiedziałem, że dam ci z n a k . Nie umiesz odróżnić znaku od wołania? Do diabła, wcisnąłem brzęczyk. Żebyś tego więcej nie robił. Kiedy zadzwonię, masz coś zrobić, i to szybko!

– Pan jest szefem – stwierdziłem sarkastycznie.

– Żebyś wiedział, ja tu jestem szefem, i nie zapominaj o tym. Chodź tu tera, mamy robotę.

Podeszliśmy do dziwnie wyglądającej maszyny, składającej się z ogromnego zestawu wskaźników, łączących szereg podobnych do beczek walców. Brockway wziął szuflę, nabrał na nią brązowych kryształków ze sterty na podłodze i wrzucił je ostrożnie do pojemnika na górze.

– Łap łychę i ładuj – zakomenderował dziarsko. – Robił żeś to kiedy? – spytał, kiedy wbiłem szuflę w stertę.

– Dawno temu – odparłem. – Co to za materiał?

Przerwał szuflowanie i obrzucił mnie przeciągłym, wściekłym spojrzeniem, po czym wrócił do sterty, dzwoniąc szuflą po posadzce. Musisz zapamiętać, żeby nie zadawać temu podejrzliwemu staremu sukinsynowi żadnych pytań, pomyślałem, szuflując brązową stertę.

Wkrótce ociekałem potem. Bolały mnie ręce i zacząłem odczuwać zmęczenie. Brockway obserwował mnie kątem oka i rżał bezgłośnie.

– Tylko się nie przepracuj, młokosie – powiedział beznamiętnie.

– Przyzwyczaję się – odparłem, podnosząc ciężką szuflę.

– No, pewnie, pewnie – mruknął. – Pewnie. Ale lepiej odpocznij se trochę, jak się zmachasz.

Nie przerywałem. Szuflowałem kryształki, dopóki nie powiedział:

– O taki właśnie urobek my się starali. Tyle nam trzeba. Lepiej się trochę cofnij, bo zaraz jo uruchomię.

Odsunąłem się i patrzyłem, jak odchodzi i przesuwa jakąś dźwignię. Drgnąwszy, maszyna nagle zazgrzytała, jak piła tarczowa i wyrzuciła chmurę ostrych kryształków prosto w moją twarz. Odskokyłem niezdarnie, dostrzegając, że Brockway marszczy się w uśmiechu jak suszona śliwka. Potem, przy zamierającym buczeniu wirujących wściekle bębnow, usłyszałem, jak kryształki przesiewają się leniwie w nagłej ciszy, ześlizgując się jak piasek po zsypie do stojącego poniżej kotła.

Przyglądałem się, jak podchodzi i otwiera zawór. Buchnął świeży, ostry zapach oleju.

– Tera jest nastawiona na gotowanie; musimy tylko podłożyć pod nio ogień – oznajmił, wciskając guzik na czymś, co wyglądało jak palnik pieca olejowego. Rozległo się gniewne buczenie i lekki wybuch, po którym coś zaczęło grzechotać; potem rozległ się cichy ryk.

– Wiesz, co to będzie, jak się ugotuje?

– Nie, proszę pana – powiedziałem.

– To będzie najważniejsza część, to co nazywają nośnikiem farby. Znaczy się, jak skończę dokładać inszy materiał.

– Myślałem, że farby robią na górze...

– Nie, oni tylko domieszują kolor, żeby wyglądała ładnie. Prawdziwe farbę robi się tutaj. Bez tego, co ja tu robie, nic by nie zrobili, robiliby coś z niczego. A ja robie nie tylko bazę, mieszam lakiery i kupę olejów...

– Więc to tak – rzekłem. – Zastanawiałem się, co pan tutaj robi.

– Mnóstwo ludzi zastanawia się nad tym i do niczego nie dochodzą. Ale jak mówiłem, ani jedna cholerna kropla farby nie wyjedzie z fabryki, jak nie przejdzie przez ręce Luciusa Brockwaya.

– Długo już pan to robi?

– Tak długo, że wiem, co robie – powiedział. – I nauczył się ja tego bez całego wykształcenia, co to je niby muszo mieć te wszystkie, co ich tu przysyłają. Nauczył się ja tego, robiąc to. Te z kadr nie chco widzieć faktów, ale Farby Wolność nie byłyby warte złamanego centa, jakby ja tutaj nie doglądał, żeby miały dobro, silno bazę. Ale stary Sparland o tym wie. Nie mogę przestać się śmiać, jak se przypominę, co to było, kiedy złapałem zapalenie płuc i dali tu tych tak zwanych techników. Zaczęli mieć tyle niedobrej farby, że nie wiedzieli, co robić. Farba puszczała i marszczyła się, nie kryła ani nic – wiesz, ktoś mógł zarobić kupę pieniędzy, jakby doszedł do tego, czemu farba puszcza. W każdym razie

wszystko szło źle. Potem ja się dowiedział, że wyznaczyli tego gościa na moje miejsce i że jak ja wyzdrowieje, nie będę mógł wrócić. A ja tu był tak długo i wiernie pracowałem i w ogóle. A niech tam, zawiadomił ja ich, że Lucius Brockway idzie na emeryturę!

No i zaraz potem przychodzi do mnie Stary. Sam jest taki stary, że jego szofer musiał mu pomóc wejść po stromych schodach do mojego mieszkania. Przychodzi, sapiący i dyszący, i mówi: „Lucius, co to ja słyszę, ty na emeryturę idziesz?”

„No bo, panie Sparland – mówię – byłem ciężko chory, jak pan dobrze wie, i w latach żem się posunął, jak pan dobrze wie, i słyszę, że ten Włoch, co to go pan wziął na moje miejsce, tak dobrze się radzi, że ja się pomyślałem, że mogę się posiedzieć spokojnie w domu”.

Wiesz, pomyślałby kto, że ja go skłóli albo co. „Co ty gadasz, Luciusie Brockwayu – powiedział – o spokojnym siedzeniu w domu, kiedy cie potrzebujemy w fabryce? Nie wiesz, że najszybsza droga do śmierci to emerytura? Przecież ten facet w fabryce nic nie wie o piecach. Tak się martwię, że on coś zrobi, że jeszcze wysadzi całą fabrykę w powietrze albo co, że wzięłem dodatkowe ubezpieczenie. On nie może wykonywać twojej roboty – powiedział. – On nie ma tej smykałki. Odkądś odszedł, nie wysłali my ani jednej partii farby pierwszej klasy”. To rzekł sam Stary! – zakończył Lucius Brockway.

– No i co się stało? – zapytałem.

– Jak to, co się stało? – odparł z taką miną, jakby było to najgłupsze pytanie na świecie. – A niech to, parę dni później stary ściągnął mnie tu z powrotem i dał mi pełną kontrolę. Ten technik tak się wściekł, kiedy się okazało, że ma robić, co mu każe, że na drugi dzień odszedł.

Splunął na podłogę i roześmiał się.

– He, he, he, był głupi, ot co. Głupi! Chciał szefować mi, a ja wiem więcej o tej piwnicy niż ktokolwiek, o bojlerach i wszystkim. Pomagał ja kłaść rury i reszta, znaczy się, wiem, gdzie jest każda rura i wyłącznik, i kabel, i drut, i wszystko inne – w podłogach i w ścianach, i na zewnątrz. Tak, mój panie! I co więcej, mam to tak dobrze w głowie, że potrafię to narysować na papierze do ostatniej śrubki; a nigdy nie był ja w żadnej szkole inżynierskiej ani nawet, o wiele wiem, nie przechodził koło żadnej. No i co o tym myślisz?

– Myślę, że to niezwykle – stwierdziłem, myśląc: Nie podoba mi się ten stary.

– O, ja bym tego tak nie nazwał – powiedział. – Chodzi tylko o to, że ja tu jestem już tak długo. Studiuję te maszyny ponad dwadzieścia pięć lat. Tak, a ten facet myślał, że jak był w jakiejś szkole i nauczył się, jak odczytać plan i rozpalić pod kotłem, to wie o tej fabryce więcej niż Lucius Brockway. Z tego głupka żaden technik, bo nie widzi, co ma przed oczami... Uwważaj, zapominasz patrzeć na manometry.

Popędziłem do nich i stwierdziłem, że wszystkie wskazówki utrzymują się na stałym poziomie.

– Wszystko w porządku – krzyknąłem.

– Dobrze, ale ostrzegam cie, żebyś miał na nie oko. Nie możesz zapominać, bo jak zapomnisz, to jeszcze coś wysadzisz. Majo tu to całe maszynerie, ale to nie wszystko; my so maszyny w maszynach.

Gdy chwilę potem pomagałem mu napełnić kadź śmierdzącą substancją, zapytał:

– Wiesz, jaka farba najlepiej się sprzedaje, jaka rozkręciła cały ten interes?

– Nie wiem.

– Nasza biała, Biel Optyczna.

– Dlaczego akurat biała, a nie inne?

– Bo zaczęli my to podkreślać od początku. Robimy najlepszą białą farbę na świecie, nieważne, co tam kto gada. Nasza biel jest taka biała, że możesz pomalować nio bryłę węgla i musisz ją rozbić młotem, żeby udowodnić, że nie jest biała w środku!

Jego oczy załśniły pozbawioną humoru pewnością siebie i musiałem opuścić głowę, by ukryć uśmiech.

– Widział ty ten znak na szczycie budynku?

– Trudno go nie zauważyć – odparłem.

– Czytałeś hasło?

– Nie pamiętam, bardzo się spieszyłem.

– Pewnie nie uwierzysz, ale to ja żem pomóg Staremu je ułożyć. „Jeśli to Biel Optyczna, to Biel Doskonała” – zacytował z uniesionym w górę palcem, jak kaznodzieja cytujący Pismo Święte. – Za to, żem pomóg to wymyśleć, dostałem trzysta dolarów premii. Ci nowomodni faceci od reklamy próbują coś wymyślić o innych kolorach, gadają o jakichsi tęczach czy czym, ale diabła tam, nic im nie wychodzi.

– „Jeśli to Biel Optyczna, to Biel Doskonała” – powtórzyłem i musiałem stłumić śmiech, kiedy nagle przemknęła mi przez umysł pewna rymowanka z dzieciństwa. – Jeśli jesteś biały, jesteś doskonały – powiedziałem.

– Właśnie – stwierdził. – I także z tego powodu Stary nie pozwoli nikomu tutaj przyjść i zadzierać ze mno. On wie to, czego nie wiedzą te nowe; on wie, że nasza farba jest taka dobra, ponieważ Lucius Brockway zajmuje się tymi olejami i żywicami, zanim opuszczą zbiorniki. – Roześmiał się złośliwie. – Oni myśle, że wszystko tutaj robią maszyny, że na tym polega cała sztuka. Co za idioci! Nic by tu dobrze nie wyszło, jakby ja nie przyłożył do tego mojej czarnej ręki! Te maszyny tylko gotują, ale to te ręce doprawiają. Tak, mój panie! Lucius Brockway wie, co robi! Wkładam palec i doprawiam! Chodź, trza coś przegiąć...

– A co z tymi manometrami? – zapytałem, widząc, że odchodzi i bierze termos z półki obok jednego z pieców.

– Ach, będziemy teraz na tyle blisko, żeby mieć je na oku. Nie martw się tym.

– Ale zostawiłem swój lunch w szatni w budynku numer 1.

– Idź, weź go, wracaj tu i jedz. Tutaj na dole musimy być zawsze na miejscu. Człowiek nie potrzebuje więcej niż piętnaście minut, żeby zjeść, a potem trza wracać do roboty.

Kiedy otworzyłem drzwi, pomyślałem, że przez pomyłkę trafiłem gdzie indziej. Na ławkach siedzieli mężczyźni w zachlapanych czapkach malarskich i kombinezonach, słuchając chudego, wyglądającego na gruźlika człowieka, który przemawiał do nich nosowym głosem. Wszyscy na mnie spojrzeli i już miałem wyjść, kiedy ten chudzielec krzyknął:

– Jest mnóstwo miejsc dla spóźnialskich. Wejdz, bracie...

B r a c i e ? Było to zaskakujące nawet po paru tygodniach spędzonych na Północy.

– Szukałem szatni – wybełkotałem.

– Jesteś w niej, bracie. Nie powiedziano ci o zebraniu?

– O zebraniu? Ależ nie, proszę pana, nie powiedziano.

Przewodniczący spochmumiał.

– Widzicie, szefowie nie współpracują – zwrócił się do pozostałych. Bracie, kto jest twoim brygadzystą?

– Pan Brockway, proszę pana – odparłem.

Nagle zebrani zaczęli szurać stopami i rzucać przekleństwa. Rozejrzałem się wokół. Co się stało? Sprzeciwiali się temu, że nazwałem Brockwaya „panem”?

– Cisza, bracia – rzucił przewodniczący, pochylając się nad stołem z ręką przyłożoną do ucha. – Co powiedziałaś, bracie; kto jest twoim brygadzystą?

– Lucius Brockway, proszę pana – odparłem, opuszczając „pan”.

Ale to tylko wywołało u nich jeszcze większą wrogość.

– Zabierzcie go stąd do diabła – krzyknęli.

Obróciłem się. Grupa po przeciwnej stronie szatni przewróciła kopniakami ławkę, wrzeszcząc:

– Wyrzucicie go! Wyrzucicie go!

Cofnąłem się pomalutku, słysząc, że ten drobny mężczyzna wali w stół, by przywołać ich do porządku.

– Ludzie, bracia! Dajcie temu bratu szansę...

– Mnie on wygląda na podłego kapusia. Pierwszorzędnego, cwane kapusia!

To wypowiedziane ochryplym głosem słowo ubodło mnie jak „czarnuch” w ustach rozżłoszczonego mieszkańca Południa...

– Bracia, p r o s z ę! – Przewodniczący machał rękami, kiedy sięgnąłem po omacku do tyłu, by ująć klamkę, i dotknąłem czyjegoś ramienia, które gwałtownie się cofnęło. Opuściłem dłoń.

– Kto przysłał tego kapusia na to zebranie, bracie przewodniczący? Zapytaj go! – zawołał jakiś mężczyzna.

– Nie, zaczekajcie – powiedział przewodniczący. – Nie szafujcie tak tym słowem...

– Zapytaj go, bracie przewodniczący! – krzyknął inny mężczyzna.

– Dobrze, ale nie nazywajcie człowieka kapusiem, dopóki nie będziecie tego wiedzieć na pewno. – Przewodniczący odwrócił się do mnie. – Dlaczego tu przyszedłeś, bracie?

Zebrani uciszyli się i nadstawili uszu.

– Zostawiłem w szafce lunch – powiedziałem, czując suchość w ustach.

– Nie p r z y s ł a n o cię na zebranie?

– Nie, proszę pana, nic nie wiedziałem o żadnym zebraniu.

– Do diabła z tym, co mówi. Żaden z tych kapusiów nigdy nic nie wie!

– Wyrzucić tego wszawego sukinsyna!

– Zaraz, zaczekajcie – powiedziałem.

Zrobili się głośniejsi, groźni.

– Proszę o szacunek dla prezydium! – krzyknął przewodniczący. – Jesteśmy demokratycznym związkiem, przestrzegającym demokratycznych...

– Mniejsza z tym, wywalcie kapusia!

– ...procedur. Naszym zadaniem jest nawiązanie przyjaznych stosunków ze wszystkimi robotnikami. Naprawdę ze w s z y s t k i m i . Właśnie tak tworzymy się związku. Posłuchajmy teraz, co ten brat ma do powiedzenia. Dość już tego psioczenia i przerywania!

Ociekałem zimnym potem, wydawało się, że wzrok mi się niezwykle wyostriżył, ponieważ każda twarz rysowała się wyraźnie w pełni swej wrogości.

Usłyszałem:

– Kiedy cię zatrudniono, przyjacielu?

– Dziś rano – odparłem.

– Widzicie, bracia, on jest nowy. Nie chcemy przecież błędnie oceniać robotnika po jego brygadziście. Niektórzy z was też pracują u sukinsynów, pamiętacie?

Nagle zebrani zaczęli się śmiać i kłać.

– Jeden jest tutaj – wrzasnął któryś.

– Mój chce się ożenić z córką szefa – tym pieprzonym ósmym cudem!

Ta nagła zmiana zaskoczyła mnie i rozżłościła, jakby stroili sobie ze mnie żarty.

– Spokój, bracia! Może ten brat chciałby wstąpić do związku. Co ty na to, bracie?

– Słucham...? – Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Wiedziałem bardzo mało o związkach zawodowych – ale większość z tych mężczyzn wydawała się wrogo nastawiona... I zanim zdążyłem się odezwać, poderwał się na nogi gruby mężczyzna z kudłatymi siwymi włosami i krzyknął ze złością:

– Jestem przeciwny! Bracia, ten facet może być kapusiem, nawet jeśli został zatrudniony w tej właśnie chwili! Nie chcę być dla nikogo niesprawiedliwy. Może nie jest kapusiem – wołał z pasją – ale, bracia, chcę wam przypomnieć, że nikt tego nie wie, i wydaje mi się, że każdy kto by przepracował pod nadzorem tego podstępnego sukinsyna Brockwaya więcej niż piętnaście minut, musi być kapusiem z natury! Proszę, bracia! – krzyczał, machając rękami, by się uciszyli. – Jak się przekonali niektórzy z was, ku rozgoryczeniu swoich żon i dzieci, kapuś nie musi nic wiedzieć o związkach zawodowych, żeby być kapusiem!

Kapowanie? Do diabła, prowadziłem badania nad kapowaniem! U niektórych facetów kapowanie jest w r o d z o n e . U niektórych jest wrodzone, tak jak inni mają wrodzone dobre oko do kolorów. To prawda, to szczerą, naukową prawdą! Kapuś nie musi nawet wcześniej słyszeć o związku – darł się w gorączce słów. – Wystarczy tylko przyprowadzić go w sąsiedztwo związku, a zaraz, trzask! zaczniesz kapować, aż zakapuje swoją kapującą dupę!

Zagłuszyły go okrzyki aprobaty. Ludzie odwracali się gwałtownie, by popatrzeć na mnie. Czułem się przybity. Chciałem spuścić głowę, ale patrzyłem im prosto w oczy, jakby stawianie im czoła było samo w sobie zaprzeczeniem ich oskarżeń. Ponad okrzyki aprobaty wzbił się inny głos, wydobywający się pośpiesznie z ust małego gościa w okularach, który mówił z uniesionym wskazującym palcem jednej ręki i kciukiem drugiej założonym za szelkę kombinezonu:

– Chcę ująć słowa tego brata w formę wniosku: wnoszę, żebyśmy przeprowadzili dokładne śledztwo i ustalili, czy ten nowy pracownik jest kapusiem, czy nie, a jeśli jest, to odkryjmy dla kogo kapuje! A dzięki temu, bracia, miałby czas, jeśli n i e j e s t kapusiem, zapoznać się z pracą związku i jego celami. W końcu, bracia, nie zapominajmy, że tacy robotnicy jak on nie są tak bardzo rozwinięci jak niektórzy z nas, co są w ruchu związkowym od długiego czasu. A więc mówię, dajmy mu czas, żeby zobaczył, co zrobiliśmy dla poprawy sytuacji robotników, a potem, jeśli nie jest kapusiem, możemy postanowić w demokratyczny sposób, czy chcemy przyjąć tego brata do związku. Bracia członkowie związku, dziękuję wam! – Usiadł z łoskotem.

Szatnia huczała. Narastała we mnie gorzka złość. A więc nie byłem tak bardzo rozwinięty jak oni! Co miał na myśli? Czyżby wszyscy mieli doktoraty? Nie mogłem się ruszyć; za wiele mi się przydarzało. Wyglądało to tak, jakbym wchodząc do tego pomieszczenia, wystąpił automatycznie z podaniem o członkostwo, chociaż nie miałem najmniejszego pojęcia, że istniał w tym zakładzie jakiś związek zawodowy, i przyszedłem po prostu po kanapkę z kotлетem schabowym. Drżałem z obawy, że poproszą mnie, żebym się do nich przyłączył, ale byłem zły, że tak wielu od razu mnie odrzuciło. A na domiar złego wiedziałem, że będą mnie zmuszać do akceptacji wszystkiego na ich własnych warunkach, a ja nie byłem w stanie stąd wyjść.

– Dobrze, bracia. Zrobimy głosowanie – krzyknął przewodniczący. – Wszyscy, którzy są za tym wnioskiem, niech powiedzą: „Tak”.

Zagłuszyło go gromkie „tak”.

– Wniosek przegłosowany – oznajmił przewodniczący, a paru mężczyzn odwróciło się, by spojrzeć na mnie. W końcu zdołałem się poruszyć. Skierowałem się do wyjścia, zapominając, po co przyszedłem.

– Wejdz, bracie – zawołał przewodniczący. – Teraz możesz wziąć swój lunch. Przepuście go, bracia koło drzwi!

Twarz paliła mnie, jakbym został spoliczkowany. Podjęli decyzję, nie dawszy mi szansy przemówienia w mojej sprawie. Czułem, że wszyscy obecni patrzą na mnie wrogo; i chociaż przez całe życie stykałem się z wrogością, wydawało mi się, że teraz po raz pierwszy mnie dosięgnęła, jak gdybym oczekiwał od tych mężczyzn więcej niż od innych – choć wcześniej nie wiedziałem nawet o ich istnieniu. Th taj, w tym pomieszczeniu, zanegowano moje mechanizmy obronne, zdarto je ze mnie, odebrano przy wejściu tak, jak w sobotni wieczór odbierano wiejskim chłopakom w drzwiach Golden Day broń, noże, brzytwy i pistolety. Ze spuszczonego wzrokiem mamrotałem: „Przepraszam, przepraszam” przez całą drogę do zielonej szafki, skąd wyjąłem kanapkę, na którą nie miałem już apetytu; gmerałem chwilę w torbie, bojąc się spojrzeć w twarze mężczyzn po drodze do wyjścia. Potem, nadal czując do siebie odrazę za te ponawiane przeprosiny, przeszedłem obok nich w milczeniu.

Kiedy dotarłem do drzwi, przewodniczący zawołał:

– Chwileczkę, bracie, zrozum, że osobiście nic przeciwko tobie nie mamy. Widzisz tu tylko skutki pewnych warunków w fabryce. Chcemy, żebyś wiedział, że staramy się tylko bronić. Mamy nadzieję, że pewnego dnia zostaniesz członkiem naszego związku i zdobędziesz dobrą pozycję.

Tu i tam rozległy się niepewne oklaski, które wkrótce ucichły. Przełknąłem ślinę i gapiłem się przed siebie niewidzącym wzrokiem, a słowa mknęły do mnie z czerwonej, mglistej oddali.

– W porządku, bracia – rzekł głos – dajcie mu przejść.

Na miękkich nogach przeszedłem przez rozświetlony słońcem plac, obok urzędników gawędzących na trawie, z powrotem do budynku numer 2, do piwnicy. Stałem na schodach, czując się tak, jakby moje wnętrze zostało zalane kwasem. Dlaczego po prostu stamtąd nie wyszedłem, pomyślałem w udręce. A skoro już zostałem, dlaczego nie powiedziałem czegoś, nie broniłem się? Zerwałem nagle papier z kanapki i wbiłem się w nią gwałtownie zębami, ale prawie nie czułem smaku suchych kawałków, które przeciskały mi się przez ściśnięte gardło. Wrzuciwszy resztę do torby, złapałem się poręczy, bo nogi trzęsły mi się tak, jakbym uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. W końcu uspokoiłem się i otworzyłem metalowe drzwi.

– Co cie zatrzymało tak długo? – warknął Brockway z taczki, na której siedział. Popijał z białego kubka, który trzymał teraz w usmolonych dłoniach.

Przeniosłem na niego z roztargnieniem wzrok i ujrzałem, jak odbija się światło od jego pokrytego zmarszczkami czoła, od jego śnieżnobiałych włosów.

– Zapytałem, co cie zatrzymało tak długo!

A co mu do tego, pomyślałem, patrząc na niego przez jakąś mgłę, świadom, że go nie lubię i że jestem bardzo zmęczony.

– Pytam... – zaczął, a ja usłyszałem, że z mojego ściśniętego gardła wydobywa się cichy głos, kiedy zauważyłem na zegarze, że nie było mnie zaledwie dwadzieścia minut.

– Trafiłem na zebranie związku zawodowego...

– Związku! – Usłyszałem grzechot jego kubka na posadzce, gdy zdjął jedną nogę z drugiej i wstał. – Ja żem wiedział, że ty należysz do tej bandy obcych wichrzycieli! Ja to wiedział! Wynocha! – krzyknął. – Wynocha z mojej piwnicy!

Rzucił się w moją stronę jak we śnie, drżąc jak wskazówka któregoś z tych manometrów, kiedy z wraskiem wskazywał mi schody. Gapiłem się na niego; chyba coś poszło nie tak, moje odruchy zostały zablokowane.

– Ale o co chodzi? – wyjąkałem, głos mój był cichy, a umysł pojmował, a jednak nie potrafił dokładnie pojąć. – Co się stało?

– Słyszałeś, co żem powiedział. Wynocha!

– Ale nie rozumiem...

– Zamknij się i wynocha!

– Ale panie Brockway – zawołałem, starając się ze wszystkich sił przytrzymać coś, co mi się wymykało.

– Ty podła, wichrzycielska gnido ze związku!

– Posłuchaj, człowieku – krzyknąłem, tym razem z gniewem. – Nie należę do żadnego związku.

– Jak zara stąd nie wyjdiesz, ty śmierdzący skunksie – powiedział, rozglądając się dookoła dzikim wzrokiem – to cie chyba zabije. Bóg mi świadkiem, ZABIJE CIE!

To było niewiarygodne, wszystko działo się tak szybko.

– Co zrobisz? – wybełkotałem.

– ZABIJE CIE, TO ZROBIĘ!

Powtórzył to i coś się we mnie przełamało, i powiedziałem sobie jak w gorączce: Nauczono cię znosić z pokorą głupotę takich starych jak ten, nawet jeśli uważasz ich za błaznów i głupców; nauczono cię udawać, że ich szanujesz i uznajesz, że mają taki sam autorytet i władzę w twoim świecie jak biali, którym się kłaniają, którym czapkują, których się boją, których kochają i naśladują, i nauczono cię, żebyś przyjmował z pokorą, kiedy rozszoszczeni, mściwi albo pijani władzą rzucają się na ciebie z kijem albo laską, i nie próbował nawet im oddać, ale uciekał, tuląc uszy po sobie. Ale tego było już za wiele... on nie był ani moim dziadkiem, ani wujem czy ojcem, ani kaznodzieją czy nauczycielem. Poczulem, że coś rozwija swoje sploty w moim żołądku, i ruszyłem na niego z krzykiem, raczej na czarną, rozmazaną plamę, która drażniła mi oczy, niż niewyraźnie zarysowaną ludzką twarz. – KOGO ZABIJESZ?

– CIEBIE!

– Słuchaj, ty stary ośle, nie gadaj, że mnie zabijesz! Pozwól mi wyjaśnić. Nie należę do żadnego... No dalej, podnieś to! Dalej! – ryknąłem, widząc, że patrzy na żelazny pręt. – Masz tyle lat, że mógłbyś być moim dziadkiem, ale jeśli dotkniesz tego pręta, to przysięgam, że zmuszę cię, żebyś go zeżarł!

– Ja żem ci powiedział, WYNOŚ SIE Z MOJEJ PIWNICY! Ty bezczelny suk i nsynu! – wrzasnął.

Ruszyłem naprzód, zobaczywszy, że pochyła się i sięga po pręt; i rzuciłem się na niego, a on przewrócił się ze stęknieniem, uderzając ciężko o posadzkę i turlając się pod impetem mojego ataku. Miałem wrażenie, jakbym wylądował na szcurze o szorstkiej sierści. Wił się przede mną i uderzył mnie w twarz, kiedy spróbował posłużyć się prętem. Wykręciłem mu rękę, aby wyrwać mu narzędzie, i poczułem ostre, bolesne dźgnięcie w ramię. Ma nóż, przemknęło mi przez głowę, i walnąłem go łokciem prosto w twarz, widząc, jak głowa odskakuje do tyłu, podnosi się i znowu odskakuje po moim ponownym uderzeniu, usłyszałem, jak coś mu wypada i toczy się po posadzce, i pomyślałem: Już po nożu, już nie ma noża... i walnąłem jeszcze raz, kiedy próbował mnie chwycić za gardło, dźgnąłem łokciem w jego podskakującą głowę, odebrałem mu pręt i zamierzyłem się nim na jego głowę, ale chybiłem, metal zadzwonił o posadzkę, podniosłem więc pręt, żeby spróbować po raz drugi, i usłyszałem, jak on ryczy:

– Nie, nie! Jesteś najlepszy, jesteś najlepszy!

– Rozbiję ci łeb! – powiedziałem, czując suchość w gardle – dźgnąłeś mnie...

– Nie – wydyszał. – Mam dosyć. Nie słyszałeś? Mam dosyć!

– Jak nie możesz wygrać, to chcesz przestać! Niech cię szlag, jeśli mnie pociąłeś, urwę ci łeb!

Patrząc na niego nieufnie, podniosłem się na nogi. Upuściłem pręt, kiedy ogarnęła mnie fala gorąca – miał wklęsniętą twarz.

– Co z tobą, stary? – wrzasnąłem nerwowo. – Nie wiesz, że nie można atakować człowieka, który jest trzy razy młodszy od ciebie? – Zbladł, kiedy nazwałem go starym, powtórzyłem to więc, dodając wyzwiska, które słyszałem z ust mojego dziadka: – Ty staromodny, niewolniczy ryju, bękarcie mamki, powinienes to wiedzieć! Co ci strzeliło do pustego łba, żeby mi grozić? Dla mnie nic nie znaczysz, przyszedłem tu, bo mnie tu skierowano. Nie wiedziałem nic o tobie ani o związku. Dlaczego używałeś sobie na mnie, odkąd tu przyszedłem? Czyście wszyscy tu powariowali? Czy ta farba uderza wam do głowy? Pijecie ją?

Patrzył na mnie ze złością, ciężko dysząc. Na jego kombinezonie pojawiły się wielkie fałdy, zlepione breją, która go pokrywała, i pomyślałem: Brudna Sprawa, i chciałem wymazać Brockwaya z pola widzenia. Ale teraz przepełniająca mnie złość przenosiła się z czynów do słów.

– Idę wziąć lunch, a oni pytają, u kogo pracuję, i kiedy im mówię, nazywają mnie kapusiem. K a p u s i e m ! Wy musicie mieć coś z głowami. Ledwie zdążyłem tutaj wrócić, ty zaczynasz wrzeszczeć, że mnie zabijesz! Co się dzieje? Co masz przeciwko mnie? Co ja zrobiłem?

Popatrzył na mnie gniewnym wzrokiem, ale bez słowa, a potem wskazał na posadzkę.

– Tylko tam sięgniesz, a zarobisz guza – ostrzegłem.

– Nie można nawet wziąć swoich zębów? – wymamrotał dziwnym głosem.

– ZĘBÓW?

Marszcząc czoło ze wstydu, otworzył usta. Zobaczyłem siny błysk zapadniętych dziąseł. To, co zagrzechotało na posadzce, nie było nożem, lecz sztuczną szczęką. Przez ułamek sekundy gorączkowo biłem się z myślami, czując, że opuszcza mnie chęć zabicia tego człowieka. Moje palce podskoczyły do ramienia i stwierdziłem, że jest mokre, ale nie krwawi. Ten stary głupiec mnie ugryzł. Mimo gniewu zachciało mi się śmiać. Ugryzł mnie! Spojrzałem na posadzkę i zobaczyłem roztrzaskany kubek i jego zęby słabo połyskujące po drugiej stronie pomieszczenia.

– Weź je – powiedziałem zawstydzony. Bez zębów wydawał się mniej odrażający. Ale trzymałem się blisko niego, kiedy podniósł zęby, podszedł do kranu i przytrzymał je pod strumieniem wody. Pod naciskiem jego kciuka jeden ząb wypadł i usłyszałem, jak Brockway mamrocze coś pod nosem, wkładając sztuczną szczękę. Potem poruszył brodą i stał się z powrotem sobą.

– Ty żeś mnie naprawdę chciał zabić – rzekł, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– To ty zacząłeś. Ja nie szukam zwady – odparłem. – Dlaczego nie pozwoliłeś mi się wytłumaczyć? Czy przynależność do związku zawodowego jest przestępstwem?

– Ten przeklęty związek – krzyknął niemal ze łzami w oczach. – Ten przeklęty związek! Dybio na moje stanowisko! Jak który z nas wstępuje do ichniego związku, to tak jakby gryz rękę człowieka, który nauczył nas myć się w łazience! Ja to nienawidzę i bede robił wszystko, co mogę, żeby ich wywalić z fabryki. Dybio na moje stanowisko, te zasrane sukinsyny!

W kącikach jego ust pojawiła się ślina; wydawał się wrzeć z nienawiści.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – zapytałem, czując się nagle starszy.

– Bo te młode kolorowe w laboratorium próbują się do tego przyłączyć, ot co! To biały dał im te robotę – wyrzeźbił, jakby bronił jakiejś sprawy. – I to d o b r e robotę, a oni tak się mu odwdzięczają, że ido i się przyłączają do tego obszczekującego związku! Nigdy przedtem żem nie widział takiej niewdzięcznej hołoty. Przez to, co robio, my wszystkie bedziem mieć gorzej!

– Przykro mi – rzekłem – ale nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Przyszedłem tu, bo chciałem dostać jakąś pracę, i na pewno nie miałem zamiaru mieszać się w żadne spory. Ale jeśli o nas chodzi, gotów jestem zapomnieć o naszej sprzeczce... jeśli ty też... – Wyciągnąłem dłoń, przez co poczułem ból w ramieniu.

Obrzucił mnie szorstkim spojrzeniem.

– Powinieneś mieć więcej szacunku dla siebie i nie bić się ze starym człowiekiem – powiedział. – Mam chłopaków starszych od ciebie.

– Myślałem, że próbujesz mnie zabić – wyjaśniłem, nadal trzymając dłoń w powietrzu. – Myślałem, że mnie dźgnąłeś.

– Hmm, ja sam nie lubie kłótni i awantur – powiedział, unikając mojego wzroku. I stało się tak, jak gdyby zaciśnięcie się jego kleistej dłoni na mojej było jakimś sygnałem. Usłyszałem przenikliwy syk w znajdujących się za mną kotłach i odwróciłem się, a Brockway wrzasnął: – Mówiłem ci, żebyś pilnował tych manometrów. Leć do tych dużych zaworów, szybko!

Rzuciłem się tam, gdzie obok kruszarki wystawał ze ściany szereg pokręteł zaworów; kątem oka dostrzegłem, że Brockway gramoli się w przeciwną stronę, i pomyślałem: Dokąd on idzie? kiedy dotarłem do zaworów. Usłyszałem, że wrzeszczy: – Zakręć go! Zakręć go!

– Który? – ryknąłem, sięgając pokręteł.

– Ten biały, głupku, ten biały!

Chwyciłem pokrętełło i nacisnąłem nań całym ciężarem ciała, czując, że ustępuje. Ale to tylko zwiększyło szum i wydało mi się, że słyszę śmiech Brockwaya, kiedy rozejrzawszy się, dostrzegłem, że czmyha ku schodom, obejmując rękami głowę i wciskając głowę w ramiona, jak mały chłopiec, który podrzucił do góry cegłę.

– Hej, ty! Hej, ty! – wrzasnąłem. – Hej!

Ale było już za późno. Wszystkie moje ruchy, razem wzięte, wydawały się zbyt wolne. Poczułem, że pokrętełło stawia opór, i bezskutecznie spróbowałem obrócić je w drugą stronę, klejące się do moich dłoni i palców, sztywnych i lepkich, odwróciłem się i puściłem się biegiem, bo wskazówka jednego z manometrów kręciła się szaleńczo, jak latarnia morska, nad którą nikt nie panuje; starałem się myśleć jasno, mój wzrok biegał tu i tam po pomieszczeniu pełnym zbiorników i maszyn, aż ku tak odległym schodom, i dosłyszałem wzbierającą nową wyraźną nutę, gdy pogałem szybko po pochyłości i wystrzeliłem z nagłym przyspieszeniem w mokry wybuch czarnej pustki, który był jakby kąpielą w bieli.

Był to upadek w przestrzeń, który wydawał się nie upadkiem, lecz zawieszeniem. Potem wylądował na mnie ogromny ciężar i odniosłem wrażenie, że leżę w antrakcie jasności pod stertą rozwalonej maszynierii, z głową przyciśniętą do wielkiego koła, cały pokryty śmierdzącą mazią. Jakiś silnik kręcił się gdzieś wściekle i na próżno, głośno zgrzytając, aż w końcu ból przeszył mi głowę i cisnął mnie w odległą czerń, po to tylko, by następna fala bólesci odrzuciła mnie z powrotem. I w tym jasnym momencie świadomości otworzyłem oczy i ujrzałem oślepiający błysk.

Kiedy z determinacją starałem się to wytrzymać, dobiegł mnie głos kogoś, kto chlupotał i brodził w pobliżu, gderliwy głos starego człowieka:

– Ja żem im mówił, że te młode chłopaki sie do tego nie nadajo. Nie majo do tego smykałki. Tak, proszę pana, po prostu nie majo smykałki.

Spróbowałem się odezwać, odpowiedzieć, ale znowu przesunęło się coś ciężkiego, i rozumiałem coś całkowicie, i znowu spróbowałem odpowiedzieć, ale zdawałem się tonąć w jeziorze ciężkiej wody i dałem spokój, sparaliżowany poczuciem, że nieodwracalnie mi się wymknęło ważne zwycięstwo.

Rozdział 11

Siedziałem na zimnym, białym, sztywnym krześle, a jakiś człowiek patrzył na mnie jasnym trzecim okiem, które miał na środku czoła. Wyciągnął rękę, delikatnie dotykając mojej głowy, i powiedział coś pocieszającym tonem, jakbym był małym dzieckiem. Jego palce się oddaliły.

– Weź to – rzekł. – To ci dobrze zrobi. – Przełknąłem. Nagle zaczęło mnie swędzieć całe ciało. Miałem na sobie nowy kombinezon, dziwny, biały. W ustach rozchodził mi się gorzki smak. Drżały mi palce.

Cienki głos z lusterkiem na końcu spytał:

– Co z nim?

– Myślę, że to nic poważnego. Jest po prostu oszołomiony.

– Powinien wrócić teraz do domu?

– Nie, dla wszelkiej pewności zatrzymamy go parę dni. Chcę go mieć pod obserwacją. Potem może wyjść.

Leżałem teraz na pryczy, a jasne oko nadal płonęło, chociaż człowiek ten odszedł. Było cicho, a ja byłem odrętwiały. Ledwie zamknąłem oczy, zaraz mnie obudzono.

– Jak się nazywasz? – spytał jakiś głos.

– Moja głowa... – powiedziałem.

– Tak, ale jak się nazywasz. Adres?

– Moja głowa... to palące oko... – powiedziałem.

– Oko?

– W środku – rzekłem.

– Weźcie go na rentgen – przemówił inny głos.

– Moja głowa...

– Ostrożnie!

Zaczęła gdzieś buczeć jakaś maszyna, a ja nie ufałem mężczyźnie i kobiecie, którzy stali nade mną.

Trzymali mnie mocno i było płomiennie, a ponad wszystkim słyszałem motyw otwierający *Piątą symfonię* Beethovena – trzy krótkie brzęczenia i jedno długie, powtarzane ze zmiennym natężeniem, i z wielkim trudem powoli się podniosłem, by stwierdzić, że leżę na plecach, a nade mną pochyla się dwóch roześmianych mężczyzn o różowych twarzach.

– Leż teraz spokojnie – powiedział stanowczo jeden z nich. – Nic ci nie będzie.

Podniosłem oczy i dostrzegłem dwie nieokreślone młode kobiety w bieli, patrzące na mnie. Trzecia, oddalona o pustynię gorących fal, siedziała przy pulpicie pełnym cewek i tarcz. Gdzie byłem? Głęboko pode mną rozległ się łomot fotela fryzjerskiego i poczułem, że się unoszę na wierzchołku tego dźwięku z podłogi. Jakaś twarz zrównała się teraz z moją, przyglądając mi się bacznie i mówiąc coś bez znaczenia. Rozległ się warkot, który pstrykał i trzaskał zakłóceniami, i nagle wydało mi się, że jestem wtłoczony między podłogę i sufit. Dwie siły szarpały mi brutalnie żołądek i plecy Ogarnął mnie błysk gorąca o zimnych krawędziach. Rozcierały mnie miażdżące elektryczne siły; elektrody pod napięciem rozciągały moje ciało jak grajek rozciąga akordeon. Płuca miałem ściśnięte jak miechy i za każdym razem gdy odzyskiwałem oddech, wrzeszczałem, akcentując rytmiczną pracę elektrod.

– Ucisz się, do diabła – nakazała jedna z twarzy. – Próbujemy cię znowu postawić na nogi. Zamknij się teraz!

Głos ten pulsował lodowatym autorytetem, więc zamilkłem i starałem się powściągnąć ból. Odkryłem teraz, że moją głowę otacza pas chłodnego metalu, podobny do żelaznego hełmu skazańca na krześle elektrycznym. Bezskutecznie próbowałem oswobodzić się, krzyknąć. Ale ci ludzie byli tak daleko, a ból tak blisko. W kręgu światła pojawiła się jakaś twarz, przyglądała mi się przez chwilę badawczo, potem zniknęła. Pojawiła się piegowata, rudowłosa kobieta ze złotymi okularami na nosie; następnie mężczyzna z przymocowanym do czoła okrągłym lusterkiem – lekarz. Tak, on był lekarzem, a te kobiety pielęgniarkami; stawało się to jasne. Byłem w szpitalu. Zaopiekują się mną. To wszystko miało na celu złagodzenie bólu. Poczuję wdzięczność.

Spróbowałem sobie przypomnieć, jak się tam znalazłem, ale nic z tego nie wyszło. Mój umysł był pusty, jakbym dopiero co zaczął życie. Kiedy pojawiła się następna twarz, dostrzegłem za grubymi szklami oczy, które mrugały tak, jak gdyby zauważyły mnie po raz pierwszy.

– Nic ci nie jest, chłopcze. Jesteś cały. Bądź tylko cierpliwy – powiedział głos, pusty w głębokiej obojętności.

Wydawało mi się, że odchodzę; światła oddalały się jak tylne światła samochodu pędzącego kiepską drogą. Nie mogłem za nimi podążyć wzrokiem. Ramię przeszył mi ostry ból. Okręciłem się na plecach, walcząc z czymś, czego nie widziałem. Po chwili wzrok mi się poprawił.

Teraz przy pulpicie siedział odwrócony do mnie tyłem mężczyzna, manipulując tarczami. Chciałem go zawołać, ale dręczył mnie rytm *Piątej symfonii*, a człowiek ten wydawał się zbyt spokojny i zbyt odległy. Między nami sterczały jaskrawe metalowe pręty i kiedy wyciągnąłem szyję, odkryłem, że nie leżę na stole operacyjnym, ale w jakimś pudle ze szkła i niklu, którego wieko było otwarte. Dlaczego tu byłem?

– Doktorze! Doktorze! – krzyknąłem.

Żadnej odpowiedzi. Może nie usłyszał, pomyślałem, wołając go ponownie, i znowu poczułem dżgające pulsowanie maszyny, i odniosłem wrażenie, że idę na dno, i opierałem się temu, i słyszałem głosy prowadzące rozmowę za moją głową.

Statyczne dźwięki przeszły w ciche buczenie. Z oddali napływały strzępy muzyki, nastrój niedzieli. Z zamkniętymi oczami, prawie nie oddychając, odegnałem ból. Głosy buczały harmonijnie. Czy to było radio... fonograf? *Vox humana* ukrytego organu? Jeśli tak, jakiego organu i gdzie ukrytego? Poczuję ciepło. Przed moimi oczami pojawiły się zielone żywopłoty, oślepiające czerwonymi dzikimi różami, rozciągające się po łagodnej krzywiźnie do nieskończoności pozbawionej przedmiotów, do przezroczystej, niebieskiej przestrzeni. Przesuwały się obrazy zacienionego trawnika w lecie; zobaczyłem orkiestrę wojskową ustawioną godnie do koncertu, każdy muzyk miał dobrze wybrylantynowane włosy, usłyszałem słodko brzmiącą trąbkę grającą *Święte miasto* jakby z rozbrzmiewającej echem oddali, podjęte przez chór stłumionych rogów, a nad tym szydercze obligato przedrzeźniacza. Zakręciło mi się w głowie. Powietrze zdawało się gęstnieć od drobnych, białych komarów, wpadających mi do oczu, kłębiących się tak gęsto, że trębacz wdychał je i wyrzucał przez swój złoty róg, żywą, białą chmurę mieszającą się z jego dźwiękami w zastygłym powietrzu.

Ocknąłem się. Nadal buczały nade mną głosy. Nie podobały mi się. Dlaczego nie odeszli? Ci zadowoleni z siebie. Och, doktorze, pomyślałem sennie, czy kiedykolwiek brodziłeś w strumieniu przed śniadaniem? Czy kiedykolwiek żuleś trzinę cukrową? Wiesz, doktorku, tego samego jesiennego dnia kiedy zobaczyłem po raz pierwszy psy goniące czarnych mężczyzn w pasiakach i łańcuchach, siedziała ze mną moja b a b k a i śpiewała z iskierkami w oczach:

Bóg wszechmocny stworzył małą,
Bóg wszechmocny stworzył słońce

*I stworzył aligatora,
Z plamami na całym ogonie...*

Albo ty, siostrze, czy wiedziałaś, że kiedy przechadzałaś się pomiędzy rzędami jaśminów w różowej organdynie i kapeluszu z dużym rondem, gruchając do swojego kawalera głosem ochryłym z namiętności, my, mali, czarni chłopcy, ukryci w krzakach, krzyczeliśmy tak głośno, że nie ośmieliłaś się tego usłyszeć:

*Widziałeś, jak panna Gosia gotuje wodę?
Chłopie, leci z sykiem wspaniała struga,
Na siedemnaście i ćwierć mili długa,
A daje tyle pary, że nie widać jej szpary...*

Ale teraz muzyka przeistoczyła się w odległy kobiecy jęk. Otworzyłem oczy. Unosiły się nade mną szkło i metal.

– Jak się czujesz, chłopcze? – spytał jakiś głos.

Przez soczewki grube jak denka butelek coca-coli spoglądała na mnie para oczu, wybałuszonych, błyszczących i pożyczkowanych, jak na jakiś zakonserwowany w alkoholu stary okaz.

– Nie mam dość miejsca – powiedziałem ze złością.

– Och, to niezbędna część kuracji.

– Ale potrzebuję więcej miejsca – nalegałem. – Ciasno mi.

– Nie przejmuj się tym, chłopcze. Po pewnym czasie przyzwyczaisz się do tego. Jak tam brzuch i głowa?

– Brzuch?

– Tak, i głowa?

– Nie wiem – odparłem, uświadamiając sobie, że nie czuję nic oprócz ucisku wokół głowy i na czulej powierzchni ciała. Ale moje zmysły zdawały się gwałtownie wyostrzać. – Nie czuję jej – krzyknąłem przestraszony.

– Aha! Widzisz! Mój przyrząd wszystko rozwiąże! – wybuchnął.

– No, nie wiem – odezwał się inny głos. – Nadal opowiadam się za operacją. A zwłaszcza w tym przypadku, przy tym, eee... pochodzeniu, nie jestem pewien, czy nie wierzę w skuteczność zwykłej modlitwy.

– Nonsens, od tej pory niech pan zanoszą modły do mojej maszyny. Ja zapewnię kurację.

– Nie wiem, ale uważam, że jest błędem zakładać, że rozwiązania – to znaczy, metody leczenia – które stosuje się w... eee... w prymitywnych przypadkach, są... eee... równie skuteczne, kiedy mamy do czynienia z bardziej zaawansowanymi stanami. A gdyby to był mieszkaniec Nowej Anglii po Harvardzie?

– Teraz wyjeżdżasz z polityką – rzekł pierwszy głos kpiarskim tonem.

– Och, nie, ale to rzeczywiście jest problem.

Słuchałem z rosnącym niepokojem tej rozmowy przechodzącej powoli w niewyraźny szept. Ich najprostsze słowa zdawały się odnosić do czegoś innego, podobnie jak wiele myśli, które przemykały mi przez głowę. Nie byłem pewien, czy mówią o mnie, czy o kimś innym. Część tej wymiany zdań brzmiała jak dyskusja o historii...

– To urządzenie wywoła takie same skutki jak lobotomia przedczołowa bez negatywnych skutków noża – powiedział głos. – Widzi pan, zamiast usuwać płat przedczołowy, pojedynczy płat, stosujemy ucisk w odpowiednim stopniu na główne ośrodki kontroli nerwowej – zgodnie z koncepcją Gestalt – a rezultatem tego jest kompletna zmiana osobowości, jak w waszych słynnych baśniowych przypadkach przestępców przemienionych w życzliwych facetów po

całej tej krwawej operacji mózgu. A co więcej – kontynuował tryumfalnie ów głos – pacjent pozostaje zarówno w sensie fizycznym, jak i neurologicznym całością.

– Ale co z jego psychiką?

– To jest absolutnie bez znaczenia! – odparł głos. – Pacjent będzie żył tak, jak ma żyć, jako człowiek zupełnie prawy. Któż mógłby chcieć więcej? Nie będzie przeżywał żadnych poważnych konfliktów wewnętrznych i co nawet ważniejsze, w najmniejszym stopniu nie zaszkodzi społeczeństwu.

Nastąpiła chwila ciszy Pióro zaskrzypiało na papierze. Potem:

– A dlaczego nie kastracja, doktorze? – spytał żartobliwie drugi głos, przyprawiając mnie o dreszcze i rwący ból.

– Znowu dochodzi do głosu pańskie zamiłowanie do krwi – roześmiał się pierwszy głos. – Jaka jest definicja chirurga? „Rzeźnik z nieczystym sumieniem”?

Parsknęli śmiechem.

– To nie jest takie zabawne. Bardziej naukowym podejściem byłaby próba zdefiniowania tego przypadku. Rozwija się od jakichś trzystu lat...

– Zdefiniowania? Do diabła, człowieku, wiemy o tym wszystko.

– To dlaczego nie spróbuje pan użyć więcej prądu?

– Proponuje pan to?

– Tak, a dlaczego nie?

– Ale czy to nie jest niebezpieczne...? – Głos odpłynął.

Usłyszałem, że odchodzą; skrzypnęło krzesło. Maszyna buczała i wiedziałem na pewno, że rozmawiali o mnie, przygotowałem się więc na wstrząsy, ale i tak zostałem porażony. Impulsy nachodziły szybko i staccato, zwiększając się stopniowo, aż prawie zacząłem tańczyć między elektrodami. Szczękały mi zęby. Zamknąłem oczy i zagryzłem wargi, by zdusić krzyk. Usta wypełniła mi ciepła krew. Pomiędzy powiekami zobaczyłem oślepiający krąg rąk i twarzy. Niektóre zapisywały coś na kartkach.

– Popatrzcie, on tańczy – zawołał ktoś.

– Nie, naprawdę?

Do środka zajrzała tłusta twarz.

– Oni naprawdę czują rytm, co? Rozgrzej się, chłopcze! Rozgrzej się! – powiedziała ze śmiechem.

I nagle stan oszołomienia minął, i chciałem wpaść we wściekłość, straszną wściekłość. Ale jakoś nie dopuszczały do tego impulsy prądu przebiegające przez moje ciało. Coś zostało odłączone. Bo chociaż rzadko wykorzystywałem zdolność wybuchania złością i oburzania się, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ją posiadam, więc jak człowiek, który wie, że musi walczyć, bez względu na to, czy jest zły, czy nie, kiedy zostanie nazwany sukinsynem, starałem się wyobrazić sobie, że ogarnia mnie wściekłość – po to tylko, by odkryć poczucie jeszcze większego oddalenia. Byłem daleki od złości. Byłem tylko zdumiony. A ci nade mną zdawali się to wyczuwać. Nie mogłem umknąć wstrząsu i wzburzona fala poniosła mnie w ciemność.

Kiedy się wyłoniłem z ogarniającej mnie czerni, światła nadal płonęły. Leżałem pod taflą szkła, czując się tak, jakby uszło ze mnie powietrze. Miałem wrażenie, że amputowano mi wszystkie kończyny. Wysoko nade mną rozciągał się niewyraźny biały sufit. Oczy miałem pełne łez. Dlaczego, nie wiedziałem. Zaniepokoiło mnie to. Chciałem zapukać w szybę, by zwrócić czyjąś uwagę, ale nie mogłem się ruszyć. Męczył mnie najmniejszy wysiłek, wszystko, co zaledwie wykraczało poza czyste pragnienie. Leżałem, doznając nieokreślonych procesów, zachodzących w moim ciele. Wydało mi się, że straciłem wszelkie wycucie proporcji. Gdzie kończyło się moje ciało, a zaczynał się kryształowy i biały świat? Myśli mi umykały, kryjąc się na ogromnym obszarze klinicznej bieli, z którą zdawałem się połączony jedynie gamą coraz jaśniejszych szarości. Żadnych dźwięków oprócz ospałego,

wewnętrznego ryku krwi. Nie mogłem otworzyć oczu. Zdawałem się istnieć w jakimś innym wymiarze, zupełnie sam, dopóki po chwili nie pochyliła się nade mną pielęgniarka i nie wlała mi siłą w usta jakiejś ciepłej cieczy. Zakrztusiłem się, przełknąłem, a ta ciecz popłynęła powoli do nieokreślonego środka mego ciała. Zdawał się mnie otaczać ogromny, opalizujący bąbel. Poruszały się po mnie łagodne dłonie, przywołując niejasne wrażenia z przeszłości. Obmywano mnie ciepłymi płynami, czułem, jak łagodne dłonie poruszają się po nieokreślonym obszarze mojego ciała. Ogarnęła mnie sterylna i nieważka faktura prześcieradła. Czułem, jak odbijam się, żeglując niczym piłka rzucona w mgłę ponad dachem, uderzająca w ukryty mur za stertą popsutych maszyn i wracająca z powrotem. Nie wiedziałem, jak długo to trwało. Ale teraz ponad ruchem tych dłoni usłyszałem życzliwy głos, wymawiający znane słowa, którym nie potrafiłem przypisać żadnego znaczenia. Słuchałem w skupieniu, świadom formy i ruchu zdań, wychwytyując subtelne teraz różnice rytmiczne między pytającymi a twierdzącymi ciągami dźwięków. Ale ich sens był nadal zagubiony w tej rozległej bieli, w której ja sam byłem zagubiony.

Pojawiły się inne głosy. Zawisły nade mną twarze przypominające nieprzeniknione ryby, spoglądające krótkowzrocznie przez szklaną ścianę akwarium. Widziałem je zawieszane bez ruchu nade mną, a potem dwie odpłynęły, najpierw głowy, później koniuszki płetwopodobnych palców, oddalając się jak we śnie od wierzchu skrzyni. Całkowicie tajemnicze przybliżanie się i oddalanie, jak wzbieranie niemrawych fal. Przyglądałem się, jak te dwie twarze wściekle ruszają ustami. Nie rozumiałem. Spróbowały znowu, ale sens nadal mi się wymykał. Zobaczyłem zapisaną kartę, którą trzymano nade mną. Pomieszenie alfabetów. Gorączkowo się naradzali. Czułem się w jakiś sposób za to odpowiedzialny. Ogarnęło mnie straszne poczucie osamotnienia; wydawali się odgrywać jakąś tajemniczą pantomimę. A ich widok pod tym kątem był niepokojący. Wyglądali stąd na zupełnych głupców, a to mi się nie podobało. To nie było w porządku. W nosie jednego lekarza dostrzegłem brud; pielęgniarka miała dwa zwiotczone podbródki. Zbliżyły się inne twarze; ich usta poruszały się z bezgłośną furią. Ale wszyscy jesteśmy ludźmi, pomyślałem, zastanawiając się, co to znaczy.

Pojawił się mężczyzna w czerni, długowłosa facet, którego przenikliwe oczy spoglądały na mnie ze skupionej i życzliwej twarzy. Pozostali unosili się koło niego, a ich oczy były zatroskane, kiedy na przemian spoglądał na mnie i sprawdzał moją kartę. Potem napisał coś na dużej kartce i podetknął mi ją pod oczy:

JAK SIĘ NAZYWASZ?

Wstrząsnął mną dreszcz; odniosłem wrażenie, jakby nagle nadał nazwę tej mglistości, która unosiła się w mojej głowie, uporządkował ją, i nagle ogarnął mnie wstyd. Uświadomiłem sobie, że nie znam już swojego nazwiska. Zamknąłem oczy i ze smutkiem potrząsnąłem głową. Oto pierwsza ciepła próba porozumienia się ze mną, a ja zawodzę. Spróbowałem ponownie, rzucając się w czerń mojego umysłu. Na nic się to nie zdało; nie znalazłem tam nic oprócz bólu. Znowu zobaczyłem tę kartę, a on wskazywał powoli na każde słowo:

JAK... SIĘ... NAZYWASZ?

Rozpaczliwie nurkowałem w tej czerni, aż osłabłem ze zmęczenia. Czułem się tak, jakby otworzono mi jakąś żyłę i jakby wypłynęła ze mnie cała energia; w odpowiedzi mogłem tylko gapić się bez słowa. Ale w drażniącym przypiływie aktywności wskazał na inną kartkę i napisał:

KIM... TY... JESTEŚ?

Coś wewnątrz mnie obróciło się z niemrawym podnieceniem. Tak sformułowane pytanie zdawało się wyzwalać szereg słabych i odległych światełek tam, gdzie pierwsze rzuciło iskrę, która zgasła. Kim jestem? zapytałem siebie. Ale przypominało to próby zidentyfikowania jednej określonej komórki, płynącej niemrawymi żyłami w moim ciele. Może byłem tylko tą czernią, oszołomieniem i bólem, ale to zapewne nie była właściwa odpowiedź, raczej coś, co gdzieś przeczytałem.

Znowu pojawiła się kartka:

JAK SIĘ NAZYWA TWOJA MATKA?

Matka, kto był moją matką? Matka, ta jedyna, która jęczy, kiedy cierpisz – ale kto to? Co za idiotyzm, każdy wie, jak się nazywa jego matka. Kto tutaj jęczał? Matka? Ale ten jęk wydobywał się z maszyny. Maszyna moją matką...? Najwyraźniej postradałem zmysły.

Zasypywał mnie pytaniami: Gdzie się urodziłeś? Postaraj się pomyśleć o swoim nazwisku.

Staralem się, myślałem na próżno o wielu nazwiskach, ale żadne zdawało się nie pasować, a jednak czułem się tak, jakbym był jakoś częścią ich wszystkich, zanurzył się w nich i zagubił.

Musisz sobie przypomnieć – głosił plakat. Ale było to bezcelowe. Za każdym razem wracałem do lepkiej białej mgły, a moje nazwisko wyczuwałem tuż pod czubkami palców. Potrząsnąłem głową i patrzyłem, jak on znika na chwilę i wraca z towarzyszem, niskim mężczyzną o wyglądzie naukowca, który spojrzał na mnie z obojętnym wyrazem twarzy. Przyglądałem się, jak ten drugi wyciąga dziecięcą tabliczkę i kawałek kredy, po czym pisze na niej:

KTO BYŁ TWOJĄ MATKĄ?

Spojrzałem na niego z gwałtownie wzbierającą niechęcią i pomyślałem na poły z rozbawieniem: Nie bawię się w wymianę obelg. A jak czuje się dzisiaj twój a stara?

POMYŚL

Gapilem się, a on zmarszczył czoło i długo coś pisał. Tabliczka pokryta była nic mi nie mówiącymi nazwiskami.

Uśmiechnąłem się, widząc, jak w jego oczach pojawia się błysk irytacji. Stara Życzliwa Twarz coś powiedziała. Ten nowy napisał pytanie, na które spojrzałem z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami:

KIM BYŁ KRÓLIK Z OHIO?

Nie mogłem zebrać myśli. Dlaczego pomyślał akurat o tym? Wskazał na pytanie, dotykając każdego słowa po kolei. Roześmiałem się w głębi duszy, ciesząc się, że odkryłem siebie, i starając się tego nie wyjawić. To ja jestem Królikiem z Ohio... albo byłem, kiedy jako dzieci tańczyliśmy boso na zakurzonych ulicach i śpiewaliśmy:

*Króliku z Ohio,
Złap jajo, złap jajo,
Króliku z Ohio,*

Stłucz jajo, stłucz jajo...

Tak, nie mogłem się zmusić, by to przyznać, było to zbyt groteskowe – i w jakiś sposób zbyt niebezpieczne. Zdenerwowałem się, że wpadł na moją starą tożsamość, potrząsnąłem więc głową i zobaczyłem, że zaciska usta i mierzy mnie ostrym wzrokiem.

CHŁOPCZE, KIM BYŁ BRAT KRÓLIK?

Był gościem, który zakradał się chyłkiem do twojej matki, pomyślałem. Każdy wiedział, że była to jedna i ta sama postać: „Z Ohio”, kiedy byłeś bardzo młody i kryłeś się za szeroko otwartymi, niewinnymi oczami; „Brat”, kiedy byłeś starszy. Ale dlaczego on się wygłupiał z tymi dziecinnymi imionami? Czyżby myślał, że jestem dzieckiem? Dlaczego nie zostawił mnie w spokoju? Przypomnę sobie wszystko, jak tylko wypuszczą mnie z tej maszyny... Jakaś dłoń klapnęła gwałtownie w szybę, ale miałem ich już dość. Kiedy jednak skupiłem wzrok na Starej Życzliwej Twarzy, stwierdziłem, że jest zadowolona. Nie rozumiałem tego, ale uśmiechnęła się i odeszła z tym nowym asystentem.

Zostawiony sam, niepokoiłem się problemem mojej tożsamości. Podejrzywałem, że w rzeczywistości prowadzę ze sobą jakąś grę i że oni w tym uczestniczą. Rodzaj walki. Tak naprawdę wiedzieli to równie dobrze jak ja, ale z jakiegoś powodu woleli nie patrzeć prawdzie w oczy. Było to irytujące i wzbudziło we mnie czujność. W następnej chwili rozwiązę tę zagadkę. Wyobraziłem sobie, że kręcę się w swym umyśle jak staruszek próbujący schwytać małego psotnika, i myślę: Kim ja jestem? Nic to nie dało. Czułem się jak błazen. Bycie jednocześnie przestępcą i detektywem – chociaż nie wiedziałem, dlaczego przestępcą – przekraczało moje siły.

Zająłem się obmyśleniem sposobów na wywołanie zwarcia w maszynie. Może gdybym nieco przekręcił ciało, tak by zetknęły się obie elektrody... Nie, nie tylko nie było na to dosyć miejsca, ale i mógłbym zostać śmiertelnie porażony prądem. Zadrzałem. Kimkolwiek byłem, na pewno nie byłem Samsonem. Nie miałem ochoty się zniszczyć, nawet gdyby zniszczyło to tę maszynę; pragnąłem wolności, nie zagłady. Było to wyczerpujące, bo bez względu na to, jaki plan wymyśliłem, pozostawała stale jedna wada – ja sam. Nie można było tego obejść. Nie mogłem uciec, tak jak nie mogłem myśleć o mojej tożsamości. Być może, pomyślałem, te dwie rzeczy są ze sobą powiązane. Kiedy odkryję, kim jestem, będę wolny.

Zdawało się, że moje myśli o ucieczce ich zaalarmowały. Spojrzawszy w górę, zobaczyłem dwóch przejętych lekarzy i pielęgniarkę i pomyślałem: Teraz jest za późno, i leżałem w welonie potu, obserwując, jak manipulują przyciskami na pulpicie. Przygotowałem się na zwykły wstrząs, ale nic się nie zdarzyło. Zamiast tego zobaczyłem, że zbliżają ręce do pokrywy i luzują zasuwy, i zanim zdążyłem zareagować, otworzyli wieko i podnieśli mnie.

– Co się stało? – zacząłem, a pielęgniarka znieruchomiała i spojrzała na mnie.

– Tak? – powiedziała.

Moje usta poruszyły się bezgłośnie.

– No dalej, wykrztuś to – rzekła.

– Co to za szpital? – zapytałem.

– To szpital fabryczny – odparła. – A teraz bądź cicho.

Stali teraz wokół mnie, badając moje ciało, a ja przyglądałem się temu z rosnącym zdziwieniem i myślałem: Co to jest szpital f a b r y c z n y ?

Poczułem szarpnięcie za brzuch i ujrzałem, że jeden z lekarzy mocuje się z przewodem podłączonym do elektrody na brzuchu, ciągnąc mnie do przodu.

– Co to jest? – spytałem.

– Weź nożyczki – powiedział.

– Jasne – rzekł drugi. – Nie traćmy czasu.

Wzdrygnąłem się w duchu, jakby ten przewód był częścią mnie. Później odczepili go, a pielęgniarka przecięła mi pas na brzuchu i usunęła ciężką elektrodę. Otworzyłem usta, by przemówić, ale jeden z lekarzy potrząsnął głową. Pracowali szybko. Po zdjęciu elektrod podeszła do mnie pielęgniarka z alkoholem do nacierania. Potem kazali mi wyskoczyć ze skrzyni. Przenosiłem spojrzenie z jednej twarzy na drugą, owładnięty niezdecydowaniem, bo teraz, kiedy wyglądało na to, że mnie uwalniają, nie śmiałem w to uwierzyć. A jeśli przenoszą mnie do jakiejś innej, zadającej jeszcze większy ból maszyny? Siedziałem, nie chcąc się poruszyć. Czy powinienem się opierać?

– Weź go za rękę – powiedział jeden z nich.

– Dam sobie radę – rzekłem, wyskakując bojaźliwie z pudła.

Kazali mi stać prosto, gdy przesuwali po moim ciele stetoskopem.

– Jak ten staw? – spytał ten z kartą, kiedy drugi badał mój bark.

– Świetnie – padła odpowiedź.

Czułem tam napięcie, ale żadnego bólu.

– Powiedziałbym, że jest zadziwiająco silny, zważywszy na to, co przeszedł – rzekł ten drugi.

– Mamy zawołać Drexela? To raczej niezwykle, że jest taki silny.

– Nie, po prostu zanotuj to w karcie.

– W porządku, siostró, proszę dać mu ubranie.

– Co chcecie ze mną zrobić? – zapytałem.

Pielęgniarka podała mi czystą bieliznę i biały kombinezon.

– O nic nie pytaj – powiedziała. – Tylko jak najszybciej się ubierz.

Powietrze na zewnątrz maszyny wydawało się niezwykle rzadkie. Kiedy pochyliłem się, by zasznurować buty, pomyślałem, że zemdleję, ale przemogłem to. Stałem chwiejnie, a oni oglądali mnie od stóp do głowy.

– No, chłopcze, wygląda na to, że zostałeś wyleczony – powiedział jeden z nich. – Jesteś nowym człowiekiem. Doskonale to przetrzymałeś. Chodź z nami.

Wyszliśmy powoli z tego pomieszczenia i ruszyliśmy długim, białym korytarzem do windy, a potem szybko zjechaliśmy trzy piętra niżej, do izby przyjęć z rzędami krzesel. Z przodu mieściło się kilka gabinetów z drzwiami z matowego szkła.

– Usiądź tutaj – powiedzieli. – Zaraz przyjmie Cię dyrektor.

Usiadłem, a oni zniknęli na chwilę w jednym z gabinetów, po czym wyłonili się i przeszli obok mnie bez słowa. Drżałem jak liść. Czy naprawdę mnie uwalniają? Kręciło mi się w głowie. Spojrzałem na mój biały kombinezon. Pielęgniarka powiedziała, że to szpital fabryczny... Dlaczego nie mogłem sobie przypomnieć, co to za fabryka? I dlaczego szpital, fabryczny? Tak... pamiętałem niejasno jakąś fabrykę; może tam mnie odsyłają. Tak, i on mówił o dyrektorze, a nie o lekarzu naczelnym; czyżby był to jeden i ten sam człowiek? Może już byłem w fabryce. Wyteżyłem słuch, ale nie usłyszałem żadnych maszyn.

Po drugiej stronie pokoju leżała na krześle gazeta, ale byłem zbyt zaniepokojony, by ją wziąć. Gdzieś szumiał wentylator. Później otworzyły się jedne z tych drzwi z szybą z matowego szkła i zobaczyłem wysokiego, surowego mężczyznę w białym kitlu, który pokiwał na mnie kartą.

– Chodź – rzucił.

Wstałem i przeszedłem obok niego do dużego, prosto umeblowanego gabinetu, myśląc: Teraz się dowiem. Teraz.

– Usiądź – rzekł.

Spocząłem na krześle obok jego biurka. Przyjrzał mi się spokojnym wzrokiem naukowca.

– Jak się nazywasz? A, mam to tutaj – powiedział, patrząc na kartę. I poczułem się tak, jakby ktoś siedzący we mnie próbował mu powiedzieć, by milczał, ale on odczytał już głośno

moje nazwisko; usłyszałem, jak mówię: „Och!”, kiedy ból dźgnął mnie w głowę, poderwałem się na nogi, rozejrzałem wokół błędnym wzrokiem, bardzo szybko usiadłem, podniosłem się i znowu usiadłem, przypominając sobie wszystko. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale nagle zauważyłem, że przygląda mi się bacznie, więc tym razem pozostałem na miejscu.

Zaczął zadawać pytania i słyszałem, że płynnie na nie odpowiadam, chociaż w duchu zataczałem się pod wpływem szybko zmieniających się, naładowanych emocjami obrazów, które przeraźliwie skrzeczały i trajkotały, jak ścieżka dźwiękowa przesuwana z dużą prędkością do tyłu.

– No cóż, mój chłopcze – powiedział – jesteś wyleczony. Mamy zamiar cię zwolnić. Co o tym sądzisz?

Nagle nie miałem pojęcia. Obok stetoskopu i miniaturowego srebrnego pędzelka do malowania zauważyłem firmowy kalendarz. Czy on mówił o zwolnieniu ze szpitala czy pracy...?

– Słucham?

– Pytałem, co o tym sądzisz?

– Cieszę się – odparłem nierzeczywistym głosem. – Z radością wrócę do pracy.

Spojrzał w kartę, marszcząc czoło.

– Zostaniesz zwolniony, ale obawiam się, że w sprawie pracy czeka cię rozczarowanie – powiedział.

– Co pan ma na myśli?

– Przeżyłeś przykrą przygodę – rzekł. – Nie jesteś jeszcze gotowy do pracy w ciężkich warunkach przemysłowych. Chcę, żebyś teraz odpoczął, przeszedł okres rekonwalescencji. Musisz się przestawić i odzyskać siły.

– Ale, proszę pana...

– Nie wolno ci zaczynać za szybko. Cieszysz się, że zostaniesz zwolniony, prawda?

– O tak. Ale jak mam żyć?

– Żyć? – Jego brwi uniosły się i opadły. – Weź inną pracę – powiedział. – Coś łatwiejszego, spokojniejszego. Coś, do czego jesteś lepiej przygotowany.

– Przygotowany? – Spojrzałem na niego, myśląc: On też bierze w tym udział? – Wezmę cokolwiek, proszę pana – oznajmiłem.

– Nie na tym polega problem, mój chłopcze. Nie jesteś po prostu przygotowany do pracy w naszych warunkach przemysłowych. Być może później będziesz, ale nie teraz. I pamiętaj, za ten wypadek dostaniesz odpowiednie odszkodowanie.

– Odszkodowanie, proszę pana?

– O tak – odparł. – Prowadzimy politykę oświeconego humanitaryzmu; wszyscy nasi pracownicy są automatycznie ubezpieczeni. Musisz tylko podpisać parę papierków.

– Jakich papierków, proszę pana?

– Wymagamy pisemnego oświadczenia zwalniającego kompanię z odpowiedzialności – powiedział. – Twój przypadek był trudny i trzeba było wezwać kilku specjalistów. No, ale w końcu z każdym nowym zajęciem łączy się pewne ryzyko. To część dorastania, jak gdyby przystosowania się. Podejmuje się ryzyko i chociaż niektórzy są przygotowani, to i n i e.

Patrzyłem na jego pobrużdżoną twarz. Był lekarzem, urzędnikiem w tej fabryce, czy jednym i drugim? Nie mogłem tego zrozumieć; a teraz zdawał się przesuwac w tę i z powrotem w polu mojego widzenia, chociaż siedział zupełnie spokojnie na fotelu.

Samo to ze mnie wyszło:

– Zna pan pana Nortona? – zapytałem.

– Nortona? – Ściągnął brwi. – Którego Nortona?

Wtedy odniosłem wrażenie, jakbym nie zadał mu tego pytania; to nazwisko zabrzmiało obco. Przeciągnąłem ręką po oczach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Przyszło mi do głowy, że może go pan znać. To po prostu pewien człowiek, którego kiedyś poznałem.

– Rozumiem. A więc – podniósł jakieś papiery – tak to wygląda, mój chłopcze. Trochę później być może będziemy w stanie coś zrobić. Możesz zabrać ze sobą te papiery, jeśli chcesz. Prześlij je do nas pocztą. Dostaniesz czek po ich odesłaniu. Masz na to tyle czasu, ile chcesz. Przekonasz się, że jesteśmy absolutnie uczciwi.

Wziąłem złożone papiery i patrzyłem przez chwilę na niego, zapewne zbyt długo. Wydawał się nad czymś zastanawiać. Potem usłyszałem, jak mówię podniesionym głosem:

– Zna go pan?

– Kogo?

– Pana Nortona – powiedziałem. – Pana Nortona!

– Och, skądże, nie.

– Nie – rzekłem – nikt nikogo nie zna i było to zbyt dawno temu.

Zmarszczył czoło, a ja się roześmiałem.

– Oskubali biednego Drozda do skóry – powiedziałem. – Nie zna pan przypadkiem Bieda? Spojrzał na mnie z głową przechyloną na bok.

– Czy ci ludzie to twoi znajomi?

– Znajomi? O tak – powiedziałem – jesteśmy wszyscy dobrymi znajomymi. Kumplami z dawnych lat. Ale przypuszczam, że nie obracamy się w tych samych kręgach.

Jego oczy się rozszerzyły.

– Nie – rzekł – nie sądzę. Jednakże mieć dobrych znajomych jest cenną rzeczą.

Poczułem się beztrosko i zacząłem się śmiać, a on znowu zdawał się nad czymś zastanawiać, więc przyszło mi do głowy, żeby zapytać go o Emersona, ale on właśnie odchrząknął, dając mi do zrozumienia, że już skończył.

Wsunąłem złożone papiery do kieszeni kombinezonu i ruszyłem do wyjścia. Drzwi za rzędami krzeseł wydawały się bardzo odległe.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Nawzajem – rzekłem, myśląc: Już czas, już po czasie.

Odróciwszy się nagle, podszedłem z trudem do biurka, widząc, że patrzy na mnie swym spokojnym wzrokiem naukowca. Ogarnęły mnie ceremonialne uczucia, ale nie mogłem sobie przypomnieć odpowiedniej formułki. A więc gdy z rozmysłem wyciągnąłem rękę, zdusiłem kaszlnięciem śmiech.

– To było całkiem przyjemne, ta nasza czcza gadanina, proszę pana – powiedziałem. Słuchałem siebie i jego odpowiedzi.

– Tak, istotnie – odparł.

Uścisnął mi poważnie dłoń, bez zdziwienia czy niesmaku. Patrzyłem na niego z góry, był tam gdzieś za pobrużdżoną twarzą i wyciągniętą ręką.

– A teraz nasza czcza gadanina dobiegła końca – dodałem. – Do widzenia.

Uniósł rękę.

– Do widzenia – odrzekł wymijającym tonem.

Opuszczając jego gabinet, wychodząc na pełne oparów farby powietrze, miałem uczucie, że mówiłem nie swoim głosem, użyłem słów i przejawiałem postawy, które nie były moimi, że znajdowałem się w szponach jakiejś obcej osobowości, która zamieszkała głęboko we mnie. Jak owa służąca, o której czytałem na zajęciach z psychologii, recytująca w transie całe strony greckiej filozofii, podsłuchane pewnego dnia podczas pracy. Czułem się tak, jakbym odgrywał scenę z jakiegoś zwariowanego filmu. A może doganiałem sam siebie i ujmowałem w słowa uczucia, które dotąd tłumiliłem. A może, myślałem, zaczynałem iść drogą, której już się nie bałem? Zatrzymałem się i spojrzałem na budynki w dole jasnej ulicy, oświetlone słońcem i rzucające cień. Już się nie bałem. Ani ważnych ludzi, ani członków zarządu i

innych takich, bo wiedząc teraz, że nie mogę niczego od nich oczekiwać, nie miałem powodu się bać. Czy to było to? Czułem się lekko, dzwoniło mi w uszach. Poszedłem dalej.

Wzdłuż chodnika wyrastały budynki, jednakowe, blisko siebie. Był teraz koniec dnia i na szczycie każdego budynku łopotały i opadały flagi. I czułem, że upadnę, że już upadłem, poruszałem się jak pod wartki prąd. Za terenem fabryki, nad ulicą, odnalazłem most, przez który tu przyszedłem, ale schody wiodące na górę, do tramwaju, który tamtędy przejeżdżał, były zawrotnie strome, zbyt strome, by się po nich wspiąć, wpłynąć lub wzlecieć, więc zamiast tego znalazłem przystanek metra.

Wszystko wirowało wokół mnie zbyt szybko. Mój umysł stawał się na przemian to jasny, to przyćmiony, powoli toczącymi się falami. My, on i ja – mój umysł i ja – nie obracaliśmy się już w tych samych kręgach. Zresztą moje ciało też. Po drugiej stronie przejścia młoda platynowa blondynka ugryzła czerwone jabłko odmiany Delicious, kiedy odpływały w tył obok niej światła stacji. Pociąg zanurzył się. Opadłem w łoskot kolejki, z wirującą pustką w głowie, wessany przez późnopołudniowy Harlem.

Rozdział 12

Kiedy wyszedłem z metra, Lenox Avenue zdawała się odchyłać ode mnie pod pijanym kątem, skupiłem się więc na tej chwiejnej scenie, przyglądając się jej błędnym wzrokiem niemowlęcia, z pękającą głową. Dwie potężne kobiety o cerze jak zepsuta śmietana zdawały się zmagać ze swoimi masywnymi ciałami, kiedy przechodziły obok mnie, a ich rozkwitłe biodra drgały jak groźne płomienie. Szły po drugiej stronie chodnika przede mną, jasnopomarańczowy promień słońca przybrał na sile i zobaczyłem, że padam, nogi mam jak z waty, ale umysł jasny, na tyle jasny, że rejestruje tłum omijający mnie łukiem: nogi, stopy, oczy, ręce, ugięte kolana, zniszczone buty, zębokie podniecenie; a niektórzy szli dalej, nie zatrzymując się.

I ta potężna smagła kobieta, mówi: *Chłopcze, dobrze sie czujesz, co sie stało?* ochryplym kontraltem. I ja mówię: *Nic mi nie jest, po prostu zasłabłem, i próbuję wstać,* i ona mówi: *Czemu wy wszystkie nie odsunięta sie i nie pozwolita temu człowiekowi złapać tchu? Odsuńta się wszystkie,* po czym wtóruje jej ktoś oficjalnym tonem: *Przechodzić, rozejść się.* I ona stoi z jednej strony, jakiś mężczyzna z drugiej pomaga mi podnieść się na nogi, a ten policjant pyta: *Nic panu nie jest?* i ja odpowiadam: *Nic, po prostu zrobiło mi się słabo i zemdląłem, ale teraz wszystko jest już dobrze,* i on każe tłumowi iść dalej, i inni idą, oprócz tego mężczyzny i tej kobiety, i on mówi: *Na pewno dobrze się czujesz,* i ja kiwam głową, że tak, a ona pyta: *Gdzie mieszkasz, synu, gdzieś tutaj?* I ja mówię jej, że w Domu dla Mężczyzn, a ona patrzy na mnie, potrząsa głową i mówi: *Dom dla Mężczyzn, Dom dla Mężczyzn, a niech to, to nie miejsce dla kogoś w twoim stanie, co je słabowity i potrzebuje kobiety, żeby miała na niego oko przez jakiś czas.* I ja mówię: *A że zaraz mi przejdzie,* a ona: *Może przejdzie, a może nie. Mieszkam tu zara za rogiem, chodź lepiej ze mno i trochę odpocznij, aż sie poczujesz silniejszy. Zadzwońię do Domu dla Mężczyzn i powiem, gdzie jesteś.* I ja jestem zbyt zmęczony, żeby się opierać, a ona już mnie wzięła pod jedno ramię i poleciała temu facetowi, żeby wziął mnie pod drugie, ja stoję między nimi, w duchu się buntuję, a mimo to akceptuję jej szarogęszenie się, słyszę: *Spokojnie, zaopiekuje sie tobo, jak zaopiekowałam sie kupo innych, nazywam sie Mary Rambo, w tej części Harlemu wszyscy mnie znajo, słyszałeś o mnie, nie?* I ten facet mówi: *No pewnie, jestem synem Jenny Jackson, ja panią znam, panno Mary.* I ona mówi: *Jenny Jackson, a jakże, jasne, że mnie znasz, a ja znam ciebie, ty jesteś Ralston, a twoja mama ma jeszcze dwoje dzieci, chłopaka o imieniu Flint i dziewczuchę o imieniu Laura-jean, jasne, że cie znam – ja, twoja mama i twój tata żeśmy...* I ja mówię: *Już czuję się dobrze, naprawdę dobrze.* I ona mówi: *Jak tak wyglądasz, to musi być z tobo gorzej, niż wyglądasz,* i ciągnie mnie teraz i mówi: *O, tutaj jest mój dom, pomóż mi wprowadzić go po schodach i do środka, nie musisz sie martwić, synu, nigdy wcześniej zem cie nie widziała i to nie mój interes, i nie obchodzi mnie, co sobie myślisz, ale jesteś teraz słaby i ledwie leziesz i wogle, i co więcej, wyglądasz, jakbyś był głodny, więc po prostu chodź ze mno i pozwól, że dla ciebie zrobię to, co mam nadzieje, ty byś zrobił dla starej Mary, jakby trzeba było, i to nie bedzie de kosztowało ani centa, a ja nie chce pchać nosa w twoje sprawy, chce tylko, żebyś poleżał, aż odpoczniesz, a wtedy będziesz mógł se iść.* I ten facet przytakuje temu i mówi: *Jesteś w dobrych rękach, tatku, panna Mary zawsze komuś pomaga, a ty potrzebujesz pomocy, boś czarny jak ja, ale biały jak ściana, jak by powiedziały białasy...* *Uważaj na stopnie.* I idę po jakichś schodach, a potem jeszcze po następnych, coraz słabszy i tych dwoje ciepłych ludzi kroczy przy mnie, a potem w zimnym, ciemnym pokoju słyszę: *Tutaj, łóżko jest tutaj, połóż go tam, dobrze, dobrze, właśnie tak,*

Ralston, teraz podnieś mu nogi – nie przejmuj się narzuto – dobrze, właśnie tak, a tera idź do kuchni i przynies mu szklanę wody, butelkę znajdziesz w lodówce. I on wychodzi, a ona podkłada mi drugą poduszkę pod głowę i mówi: *Tera poczujesz się lepiej, a kiedy dojdiesz do siebie, dowiesz się, w jakim kiepskim byłeś stanie, masz, łyknij tej wody,* i ja piję i widzę jasną szklanę w jej zniszczonych brązowych palcach, i ogarnia mnie uczucie starej, niemal zapomnianej ulgi, i myślę do wtóru jej słów: *Jeśli sądzisz, że nie tonę, spójrz, w jakiej jestem norze,* a potem nadchodzi miękka, chłodna plama snu.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem ją po drugiej stronie pokoju; czytając gazetę w okularach nisko opuszczonych na nos, w skupieniu patrzącą na stronę. Potem zdałem sobie sprawę, że chociaż okulary nadal ma pochylone w dół, jej oczy nie patrzą już na gazetę, lecz na moją twarz, roziskrzona życzliwością.

– No i jak się tera czujesz? – zapytała.

– Dużo lepiej.

– Tak myślałam. A bedziesz się czuł jeszcze lepiej, jak wypijesz kubek zupy, która mam dla ciebie w kuchni. Spałeś bardzo długo.

– Tak? – rzekłem. – Która jest godzina?

– Koło dziesiątej, a z tego, jak spałeś, widzę, że potrzebowałeś tylko trochę odpoczynku... Nie, jeszcze nie wstawaj. Musisz wypić swojo zupę, potem pójdiesz – powiedziała i wysłała.

Wróciła z filiżanką na talerzu.

– To cie postawi na nogi – oznajmiła. – Nie masz takiej obsługi w Domu dla Mężczyzn, co? Siedz i nie spiesz się. Nie mam nic do roboty, tylko to gazete do przeczytania. I lubie towarzystwo. Musisz rano wstawać?

– Nie, byłem chory – odparłem. – Ale muszę poszukać pracy.

– Wiedziała, że nie jesteś zdrowy. Dlaczego próbowałeś to ukryć?

– Nie chciałem nikomu sprawiać kłopotu – wyjaśniłem.

– Każdy musi komuś sprawiać kłopot. A do tego właśnie wyszedłeś ze szpitala.

Podniosłem głowę. Siedziała na fotelu bujanym, pochylona do przodu, z rękami złożonymi spokojnie na podolku. Czyżby przeszukała mi kieszenie?

– Skąd pani to wie? – zapytałem.

– Oho, robisz się podejrzliwy – powiedziała surowo. – Oto, co się dzisiaj dzieje ze światem, nikt nikomu nie ufa. Czuje na tobie ten szpitalny zapach, synu. Masz w tym ubraniu dosyć eteru, żeby uśpić psa!

– Nie przypominam sobie, że bym pani mówił, że byłem w szpitalu.

– Nie mówiłeś i nie musiałeś mówić. Wyczułam to nosem. Masz tu w mieście rodzinę?

– Nie, proszę pani – odparłem. – Rodzice są na Południu. Przyjechałem tu do pracy, żeby zarobić na szkołę, i zachorowałem.

– A to ci pech! Ale dasz sobie rade. Kim chcesz zostać?

– Teraz nie wiem; kiedy tu przyjechałem, chciałem być pedagogiem. Teraz nie wiem.

– A co jest złego w byciu pedagogiem?

Myślałem o tym, łykając dobrą, gorącą zupę.

– Przypuszczam, że nic. Myślę po prostu, że chciałbym robić coś innego.

– Cokolwiek to jest, mam nadzieje, że wyjdzie na dobre naszej rasie.

– Też mam taką nadzieję – powiedziałem.

– Nie miej nadziei, tylko to zrób.

Spojrzałem na jej ciężką, opanowaną postać, myśląc o tym, co chciałem robić i dokąd mnie to doprowadziło.

– To wy, młodzi, zmienicie świat – powiedziała. – Wy wszyscy. Musicie przewodzić, musicie walczyć i podnieść nas trochę wyżej. I powiem ci coś jeszcze, to te z Południa muszo to zrobić, te, co znajo ogień i pamiętaj, jak parzy. Tutaj zbyt wielu zapomina. Znajdujo

miejsce dla siebie i zapominają o tych na dzień. O, kupa ich gada o robieniu różnych rzeczy, ale naprawdę to zapomnieli. Nie, to wy, młodzi, musicie pamiętać i objąć przewodnictwo.

– Tak – powiedziałem.

– I musisz zadbać o siebie, synu. Nie pozwól, żeby cie wciągnął ten Harlem. Ja jestem w Nowym Jorku, ale Nowy Jork nie jest we mnie. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie daj się zepsuć.

– Nie dam. Będę za bardzo zajęty.

– Dobrze już, mnie się widzi, że możesz się wykierować na człowieka, więc uważaj.

Wstałem, a ona podniosła się z fotela i poszła ze mną do drzwi.

– Jakbyś kiedy chciał wynająć pokój poza Domem, spróbuj u mnie – powiedziała. – Czyszczenie jest umiarkowane.

– Będę o tym pamiętał – odparłem.

Miałem sobie o tym przypomnieć wcześniej, niż się spodziewałem. Gdy tylko wszedłem do jasnego, tętniącego życiem holu Domu dla Mężczyzn, opanowało mnie uczucie wyobcowania i niechęci. Mój kombinezon przyciągał zdziwione spojrzenia i wiedziałem, że nie mogę już tam dłużej mieszkać, że ta faza mojego życia się zakończyła. Hol był miejscem spotkań różnych grup nadal ulegających iluzjom, które właśnie wybito mi z głowy: studentów zarabiających na powrót do szkoły na Południu; starszych zwolenników rozwoju rasy, snujących utopijne plany budowy czarnych imperiów przemysłowych; kaznodziei wyświęconych przez samych siebie, bez kościołów i kongregacji, bez chleba i wina, ciała i krwi; „przywódców” społeczności bez zwolenników; starych mężczyzn, mających po sześćdziesiąt lat albo więcej, nadal snujących swoje, zrodzone po wojnie secesyjnej, marzenia o wolności w ramach segregacji rasowej; żalosnych typów, nie posiadających niczego oprócz marzeń o byciu dżentelmenami, którzy piastowali skromne stanowiska albo otrzymywali skromne emerytury, ale wszyscy udawali, że zaangażowali się w jakieś ogromne, chociaż nieokreślone przedsięwzięcie, którzy naśladowali pseudodworskie maniery pewnych kongresmanów z Południa i kłaniali się i kiwali głowami, kiedy przechodzili, jak dziecięciniały na starość koguty na gumnie; tłum młodzieńców, których darzyłem teraz taką pogardą, jaką może żywić tylko rozczarowany marzyciel dla ludzi nadal nieświadomych tego, że żyją marzeniami – studentów z wydziałów handlowych uczelni z Południa, dla których biznes był niejasną, abstrakcyjną grą o regułach równie przestarzałych jak arka Noego, ale którzy mimo to upajali się finansami. Tak, i ta grupa starszych z podobnymi aspiracjami, „fundamentalistów”, „aktorów”, którzy starali się zdobyć pozycję maklerów dzięki samej wyobraźni, grupa woźnych i posłańców, wydających większość zarobków na ubrania, które były akurat modne wśród maklerów z Wall Street, na garnitury od braci Brooks i meloniki, angielskie parasole, buty z czarnej cielęcej skóry i żółte rękawiczki; z ich ortodoksyjnymi i gorącymi sporami o to, jaki krawat należy nosić do jakiej koszuli, jaki odcień szarości jest właściwy dla getrów i jak będzie ubrany książę Walii na pewnym sezonowym wydarzeniu; czy lornetkę powinno się nosić na prawym, czy na lewym ramieniu; d nigdy nie czytali stron poświęconych finansom, chociaż z religijną żarliwością kupowali „Wall Street Journal” i nosili go pod lewym łokciem, tuż przy ciele, przytrzymując papier lewą dłonią – zawsze wymanikiowaną i w rękawiczce, bez względu na pogodę – ze spokojną precyzją (Och, mieli styl), podczas gdy druga ręka wymachiwała w przód i w tył, pod obliczonym kątem, ciasno zwiniętym parasolem; z ich homburgami i chesterfieldami², kurtkami do gry w polo i tyrolskimi kapelusikami, noszonymi dokładnie tak, jak nakazywała moda.

Czułem na sobie ich wzrok, widziałem tych ludzi i widziałem też chwilę, w której dowiedzą się, że nie mam już perspektyw, i widziałem już pogardę, jaką poczują do mnie,

2 Rodzaje kapeluszy (przyp. tłum.).

studenta, który utracił perspektywy i dumę. Widziałem to wszystko i zdawałem sobie sprawę, że będą mną gardzili nawet urzędnicy i starcy, jak gdybym w jakiś sposób, tracąc miejsce w świecie Bledsoe, ich zdradził... Widziałem to w ich spojrzeniach na mój kombinezon.

Ruszyłem do windy, gdy dobiegł mnie czyjś śmiech i odwróciwszy się, zobaczyłem go, jak perorował coś grupie siedzącej na fotelach w holu; ujrzałem wałki tłuszczu na karku, pod pomarszczoną, wysoko sklepioną głową, i byłem pewien, że to on, więc schyliłem się bez namysłu i podniosłem lśniące, wypełnione nieczystościami naczynie, zrobiłem dwa długie kroki i wylałem jego brunatną, przezroczystą zawartość na tę głowę, za późno ostrzeżoną przez kogoś z drugiego końca holu. I za późno dla mnie, ty zobacz, że to nie był Bledsoe, lecz jakiś kaznodzieja, znany baptysta, który podskoczył z oczami okrągłymi z niedowierzania i wściekłości, a ja wypadłem z holu, zanim przyszło komukolwiek do głowy, by mnie zatrzymać.

Nikt za mną nie pobiegł, włóczyłem się więc po ulicach, zdumiony moim czynem. Później zaczął padać deszcz, zakradłem się więc w pobliże Domu dla Mężczyzn i przekonałem rozbawionego portiera, by przyniósł moje rzeczy. Dowiedziałem się, że otrzymałem zakaz wstępu do tego budynku na „dziewięćdziesiąt dziewięć lat z okładem”.

– Możesz mieć zakaz wstępu, chłopie – powiedział portier – ale przysięgam, że po tym, co zrobiłeś, nigdy nie przestanę o tobie mówić. Naprawdę ochrzciłeś³ wielebno!

Tak więc jeszcze tego samego wieczoru wróciłem do Mary, gdzie mieszkałem w małym, ale wygodnym pokoiku aż do nadejścia lodów.

Był to okres spokoju. Płaciłem za siebie pieniędzmi z odszkodowania i mieszkało mi się u niej przyjemnie, jeśli nie liczyć jej stałych przemów o przywództwie i odpowiedzialności. A nawet i to nie było takie złe, dopóki mogłem za siebie płacić. Było to jednak niewysokie odszkodowanie i kiedy po kilku miesiącach pieniądze mi się skończyły i znowu szukałem pracy, zacząłem jej słuchać z coraz większą irytacją. Mimo to nigdy nie upomniała się o zapłatę i nakładała mi równie szczodre porcje jedzenia jak przedtem.

– Po prostu przyszły dla ciebie ciężkie czasy – mówiła. – Każdy, kto jest coś wart, przechodzi ciężkie chwile, a kiedy zostaniesz kimś, przekonasz się, że te ciężkie czasy dużo ci pomogły.

Ja nie widziałem tego w ten sposób. Straciłem cel, do którego dążyłem. Kiedy nie szukałem pracy, spędzałem czas w moim pokoju, gdzie czytałem niezliczone książki z biblioteki. Czasami, kiedy miałem jeszcze pieniądze albo kiedy zarobiłem parę dolarów jako kelner, jadałem na mieście i włóczyłem się po ulicach do późnej nocy. Oprócz Mary nie miałem żadnych znajomych i nie pragnąłem mieć. Zresztą nie uważałem jej za znajomą; była czymś więcej – pewną siłą, siłą tak znaną jak coś z mojej przeszłości, siłą powstrzymującą mnie przed upadkiem w nieznane, któremu nie śmiałem stawić czoła. Była to bardzo bolesna sytuacja, bo jednocześnie Mary przypominała mi stale, że oczekuje się czegoś ode mnie, jakiegoś czynu godnego przywódcy, jakiegoś wartego wzmianki osiągnięcia; wahałem się więc pomiędzy urazą, jaką do niej z tego powodu żywiłem, a miłością za tę mglistą nadzieję, która utrzymywała mnie przy życiu.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że muszę coś zrobić, ale co i jak? Nie miałem żadnych kontaktów i w nic nie wierzyłem. Powróciła też z nową siłą obsesja na punkcie mojej tożsamości, która rozwinęła się w szpitalu. Kim byłem, skąd się wziąłem? Z pewnością nie mogłem nic poradzić na to, że różniłem się od osoby, która wyjechała z kampusu; ale teraz pojawił się jakiś nowy, sprzeczny głos wewnętrzny i targany poczuciem winy i skonsternowany miotałem się między jego naleganiami, bym podjął akcję odwetową, a cichą presją Mary. Chciałem pokoju i spokoju, ale wszystko się we mnie gotowało. Gdzieś pod

3 „Baptysta”, po angielsku *Baptist*, znaczy „chrzciciel” (przyp. tłum.).

warstwą mrożącego emocje lodu, którą nauczył się wytwarzać mój mózg, żarzył się płomyk czarnego gniewu i rzucał gorące czerwone światło o takiej intensywności, że gdyby lord Kelvin wiedział o jego istnieniu, musiałyby zrewidować swoje obliczenia. Gdzieś daleko nastąpił wybuch, może u Emersona albo tamtego wieczoru w gabinecie Bledsoe, i stopił i uszczuplił lodową czapę. Ale to drobne, minimalne cofnięcie się tej pokrywy było nieodwołalne. Przyjazd do Nowego Jorku był być może nieświadomą próbą podtrzymania działania tego zamrażającego mechanizmu, ale próba ta się nie powiodła; do jego węzownic dostała się gorąca woda. Być może tylko kropla, ale ta kropla zwiastowała pierwszą falę powodzi. W jednej chwili wierzyłem, byłem absolutnie oddany, chciałem leżeć na rozpalonych do białości węglach, zrobić wszystko, by zostać w kampusie, a w następnej – trzask! Skończyło się, ustało, przeminęło. Teraz jedynym problemem było usunięcie tego z pamięci. Gdyby tylko wszystkie te sprzeczne głosy krzyczące w mojej głowie ucichły i zaśpiewały zgodnym chórem, cokolwiek, byleby bez dysonansu; tak, i unikały niepewnych skrajnych punktów gamy. Ale nie doznałem ulgi. Uraza doprowadzała mnie do wściekłości, ale byłem pod zbyt silną „samokontrolą”, tą zamarznąłą cnotą, tą mrozącą wadą. A im większą czułem urazę, tym bardziej powracało stare pragnienie wygłaszania mów. Kiedy chodziłem ulicami, z moich ust wylewały się bełkotliwe słowa, nad którymi prawie w ogóle nie panowałem. Zacząłem się bać tego, co mogę zrobić. W rzeczy samej wszystko w moim umyśle było zalane. Tęskniłem za domem.

I kiedy tak topił się ten lód, by wywołać w końcu powódź, która groziła mi śmiercią, obudziłem się pewnego popołudnia i stwierdziłem, że nadeszła moja pierwsza zima na Północy.

Rozdział 13

Najpierw odwróciłem się od okna i zacząłem czytać, ale myślami stale wracałem do starych problemów, więc nie mogąc tego już dłużej znieść, wybiegłem z domu, niezwykle wzburzony, ale zdecydowany uciec od gorących myśli na mroźne powietrze.

W bramie wpadłem na jakąś kobietę, która mnie brzydko zwymyślała, wskutek czego jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Po paru minutach byłem o kilka przecznic dalej, na następnej alei i w centrum. Ulice pokryte były lodem i przyprószonym sadzą śniegiem, a z góry przeświecało przez mgiełkę słabe słońce. Szedłem ze spuszczoną głową, czując kąsające powietrze. Mimo to było mi gorąco, płałem od wewnętrznej gorączki. Prawie nie podnosiłem oczu, dopóki jakiś samochód, któremu towarzyszyło podczas jazdy głucho dudnienie łańcuchów śniegowych, nie wykonał pełnego obrotu na lodzie, a potem ostrożnie skręcił i odjechał, znowu z dudnieniem.

Kroczyłem powoli przed siebie, mrużąc oczy w chłodnym powietrzu, kręciło mi się w głowie od nadal toczącego się we mnie zażartego sporu. Cały Harlem zdawał się rozpadać w kłębach śniegu. Wyobraziłem sobie, że się zgubiłem, i przez chwilę panował niesamowity spokój. Wyobraziłem sobie, że słyszę śnieg padający na śnieg. Co to znaczyło? Szedłem ze wzrokiem skupionym na nie mającym końca ciągu zakładów fryzjerskich, salonów piękności, cukierni, knajpek, smażalni ryb i garmażerii, trzymając się blisko okien, a między tym wszystkim i mną opadały szybko płatki śniegu, jednocześnie tworząc kurtynę, zasłonę, i ją odciągając. Mój wzrok przyciągnął błysk czerwieni i złota z wystawy wypełnionej dewocjonaliami. Za warstewką lodu tworzącego akwafortę na szybie zobaczyłem dwie zuchwale pomalowane gipsowe figurki Marii i Jezusa, otoczone sennikami, pudrami miłości, znaczkami z napisem „Bóg jest miłością”, olejkiem zapewniającym pieniądze i plastikowymi kośćmi do gry. Czarna statuetka nagiej niewolnicy nubijskiej uśmiechała się do mnie szeroko spod złotego turbanu. Przeszedłem do drugiej wystawy, udekorowanej freskami kędzierzawych sztucznych włosów i maściami, które gwarantowały cudowne wybielenie skóry. „Ty też możesz być naprawdę piękna – głosiła reklama. – Zapewnij sobie większe szczęście dzięki bielszej cerze. Wyróżnij się w swoim otoczeniu”.

Ruszyłem spiesznie dalej, stłumiwszy szaloną chęć walnięcia pięścią w tę szybę. Wzmagął się wiatr, śnieg sypał rzadziej. Gdzie iść? Do kina? Czy mogę tam zasnąć? Nie zwracałem teraz uwagi na wystawy i szedłem dalej, uświadamiając sobie, że znowu mruczę coś do siebie. Później zobaczyłem na rogu starego mężczyznę, ogrzewającego dłonie o bok dziwnie wyglądającego wózka z kominem, wypuszczającego cienką spiralę dymu, która niosła zapach piekących się patatów, napełniając mnie niespodziewanie nostalgią. Zatrzymałem się jak trafiony pociskiem, głęboko wdychając ten zapach, przypominając sobie wszystko, a mój umysł sięgał wstecz, daleko wstecz. W domu piekliśmy je w gorących węglach kominka i zabieraliśmy je zimne do szkoły na drugie śniadanie; żuliśmy je potajemnie, wyciskając z miękkich łupin słodki miąższ, ukryci przed nauczycielem za największą książką, *Geografią świata*. Tak, i uwielbialiśmy je kandyzowane albo pieczone w cieście, smażone w głębokim tłuszczu w słodkiej panierce albo pieczone z wieprzowiną, glazurowane dobrze zrumienionym tłuszczem; żuliśmy je też na surowo – wiele patatów i wiele lat temu. Więcej patatów niż lat temu, chociaż ten czas zdawał się rozciągnięty w nieskończoność, rozciągnięty jak wąska, wijąca się smużka dymu, poza najdalsze granice pamięci.

Znowu ruszyłem przed siebie.

– Kup se gorącego, pieczonego jamsa z Karoliny – zawołał ten stary człowiek na rogu. Owinięty kurtką z demobilu, ze stopami okrytymi jutowymi workami, w zrobionej na drutach czapce na głowie, gmerał w stercie papierowych torebek. Kiedy wszedłem w krąg ciepła rzucanego przez żarzący się na ruszcie węgiel, zobaczyłem na ścianie wózka niezdarny napis: PATATY.

– Po ile są te pataty? – zapytałem, poczuwszy nagle głód.

– So po dziesięć centów i so słodkie – odparł drżącym ze starości głosem. – I nie so z tych, co sie ma po nich zaparcia. Te tutaj to prawdziwe, słodkie, żółciutkie pataty. Ile?

– Jednego – odparłem. – Jeśli są takie dobre, jeden powinien wystarczyć.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. W kąciku jego oka widniała łza. Zachichotał, otworzył drzwiczki zaimprovizowanego piekarnika i sięgnął tam ostrożnie ręką w rękawicze. Pataty, niektóre pieniające się od syropu, leżały na drucianym ruszcie nad rozżarzonym węglem, który buchnął niskim, niebieskim płomykiem, kiedy padł nań strumień powietrza. Kiedy wyjął jeden patat i zamknął drzwiczki, ciepły powiew rozpałił mi twarz.

– Proszę – powiedział i zaczął wkładać patat do torebki.

– Mniejsza o torebkę, zaraz go zjem. Na miejscu...

– Dzięki. – Wziął dziesiątaka. – Jeśli nie jest słodki, dam ci drugiego za darmo.

Wiedziałem, że jest słodki, jeszcze zanim go przełamałem; przez skórę wydostały się na wierzch bąbelki brunatnego syropu.

– Śmiało, przełam go – powiedział stary. – Przełam go, to dam ci trochę masła, skoro chcesz go zjeść na miejscu. Mnóstwo ludzi bierze je do domu. W domu mają swoje masło.

Przełamałem patat i ujrzałem, jak słodki miąższ paruje na zimnie.

– Przytrzymaj go tutaj – powiedział. Wziął kubek z półki na boku wózka. – Tutaj.

Wyciągnąłem patat i patrzyłem, jak polewa go łyżką roztopionego masła, które w niego wsiąka.

– Dzięki.

– Proszę. I coś ci powiem.

– Co takiego? – spytałem.

– Jak to nie jest najlepsze jedzenie, które żeś próbował od dłuższego czasu, to oddam ci pieniądze.

– Nie musisz mnie przekonywać – powiedziałem. – Wystarczy, że na to spojrzę, i już wiem, że jest dobre.

– Masz rację, ale nie wszystko, co dobrze wygląda, musi być dobre – rzeki. – Ale te jamsy so dobre.

Ugryzłem kęs, stwierdziłem, że takiego słodkiego i gorącego jeszcze nigdy nie jadłem, i ogarnęła mnie taka tęsknota za domem, że odwróciłem się do ściany, aby zapanować nad sobą. Poszedłem dalej, pogryzając patat, równie nagle owładnięty intensywnym uczuciem swobody – tylko dlatego, że jadłem na ulicy. Było to upajające. Nie musiałem już przejmować się tym, kto mnie zobaczy albo czy jest to stosowne. Do diabła z tym wszystkim i chociaż patat był rzeczywiście słodki, na myśl o tym zaczął mi smakować jak nektar. Szkoda, że nie widzi mnie ktoś, kto zna mnie ze szkoły albo z domu. Ależ byłby wstrząśnięty! Wepchnąłbym go w boczną uliczkę i rozsmarował miąższ na jego twarzy. Cóż za ludźmi byliśmy, myślałem. Przecież można było nas dokumentnie upokorzyć, dzięki samemu ukazaniu nam tego, co lubimy. Nie wszystkich z nas, ale tak wielu. Wystarczyło po prostu podejść do nas w jasnym świetle dnia i potrząsnąć nam przed nosem miską flaków wieprzowych albo dobrze ugotowanym świńskim podgardlem! Jakąż konsternację by to wywołało! I ujrzałem siebie, jak ruszam na Bledsoe, który stoi bez fałszywej pokory w zatłoczonym holu Domu dla Mężczyzn, widząc mnie i ignorując, i jak z gniewem błyskawicznie wyciągam długi na parę stóp sznur flaków, surowych, nieoczyszczonych i ociekających tłustymi kroplami na podłogę, i rzucam mu je w twarz, krzyząc:

– Bledsoe, jesteś bezwstydnym pożeraczem flaków! Oskarżam cię o delectowanie się świńskimi jelitami! Ha! I nie tylko pożerasz flaki, ale jadasz je potajemnie, kiedy myślisz, że nikt cię nie widzi! Jesteś zakamuflowanym miłośnikiem flaków wieprzowych! Oskarżam dę o oddawanie się wstrętnemu nałogowi, Bledsoe! Wyciągnij je stamtąd, Bledsoe! Wyciągnij je, żebyśmy zobaczyli! Oskarżam cię na oczach całego świata!

A on je wyciąga, całe jarzy flaków, z zieleń gorczycy i masą świńskich uszu, i kotletami schabowymi, i poobijanymi ziarnami grochu o zmętniałych, oskarżycielskich oczach.

Wydałem z siebie taki dziki śmiech, że aż prawie zakrztusiłem się patatem, kiedy rozwijała się przede mną ta scena. Przecież, w obecności innych, byłoby to gorsze, niż gdybym oskarżył go o zgwałcenie dziewięćdziesięciodziewięcioletniej staruszki, ważącej dziewięćdziesiąt funtów... ślepej na jedno oko i kulawej! Bledsoe rozpadłby się, uszłoby z niego powietrze! Z głębokim westchnieniem opuściłby zhańbioną głowę. Przestałby należeć do kasty. Atakowałyby go tygodniki. Podpisy pod jego zdjęciem: „Wybitny pedagog powraca do Murzyństwa na roli”. Jego rywale potępiliby go za to, że daje zły przykład młodzieży. Artykuły wstępne domagałyby się, by albo wyparł się wszystkiego, albo wycofał z życia publicznego. Na Południu opuściliby go jego biali poplecznicy; dyskutowano by o nim, jak kraj długi i szeroki, i wszystkie pieniądze członków zarządu nie mogłyby podtrzymać jego upadającego prestiżu. Skończyłby jako wygnaniec zmywający talerze w Automacie, bo na Południu nie dostałby pracy nawet w kiblu.

To wszystko jest bardzo szalone i infantylne, pomyślałem, ale do diabła ze wstydem z powodu tego, co się lubi. Już z tym skończyłem. Jestem, kim jestem! Pochłonałem łączywie patat, wróciłem biegiem do staruszka i wręczyłem mu dwadzieścia centów.

– Daj mi jeszcze dwa – powiedziałem.

– Pewnie, wszystko, co chcesz, póki je mam. Widzę, że ty naprawdę lubisz pataty. Zara je zjesz?

– Jak tylko mi je dasz – odparłem.

– Majo być polane masłem?

– Poproszę.

– Pewnie, tak najlepiej smakuje. Proszę pana – powiedział, podając mi pataty. – Widzę, że z ciebie jeden z tych staromodnych jadaków patatów.

– Są moim znamieniem – odparłem. – Jam sam jamsem!

– No to pewnie jesteś z Karoliny Południowej – rzekł z szerokim uśmiechem.

– Co tam Karolina Południowa, tam, skąd pochodzę, naprawdę lubimy jamsy.

– Wróć dziś wieczorem albo jutro, jak będziesz mógł zjeść więcej – zawołał za mną. – Moja stara będzie tutaj z gorącymi plackami z słodkich patatów.

Gorące placki, pomyślałem smutno, odchodząc. Prawdopodobnie dostałbym niestrawności, gdybym zjadł choćby jeden – teraz, kiedy nie wstydzilem się już rzeczy, które zawsze lubilem, prawdopodobnie nie mógłbym ich już zbyt wielu strawić. Co i jak dużo straciłem, starając się robić tylko to, czego ode mnie oczekiwano, zamiast tego, co pragnąłem robić? Jaka strata, jaka bezsensowna strata! Ale co z tymi rzeczami, których się rzeczywiście nie lubiło, nie dlatego, że oczekiwano, że nie będziesz ich lubił, nie dlatego, że nielubienie ich uważano za oznakę wyrafinowania i wykształcenia, ale dlatego, że rzeczywiście stwierdziłeś, że są wstrętne? Na samą myśl o tym ogarnęła mnie irytacja. Skąd miałbym to wiedzieć? Wszystko jest kwestią wyboru. Będę musiał starannie rozważyć wiele rzeczy, zanim podejmę decyzję, a parę z nich sprawi mi nieco kłopotów, po prostu dlatego, że nigdy nie miałem na ich temat wyrobionego zdania. Przyjąłem przyjęte postawy i wskutek tego życie wydawało się prostsze...

Ale z patatami nie miałem żadnych kłopotów i będę je jadał gdziekolwiek i kiedykolwiek przyjdzie mi na to ochota. Poprzestań na poziomie patatów, a życie będzie słodkie – chociaż nieco mdłe. Jednak możliwość spożywania patatów na ulicy nie zaspokajała oczekiwań, które

miałem, kiedy przybyłem do tego miasta. Teraz, kiedy odgryzłem koniec patata, rozkwitł mi w ustach nieprzyjemny smak i wyrzuciłem go na ulicę; był pokąsany przez mróz.

Wiatr zepchnął mnie w boczną uliczkę, gdzie grupa chłopaków podpaliła kartonowe pudło. Szary dym wisiał nisko i zdawał się gęstnieć, kiedy szedłem ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczami, starając się uniknąć jego kłębow. Zaczęły mnie boleć płuca, a potem, ocierając oczy i kaszłając, omal się o to nie potknąłem – pudło leżało na bezładnej stercie na chodniku, przesypanych przez krawężnik na jezdnię i wyglądającej jak kupa śmieci czekająca na wywiezienie. Potem zobaczyłem tłum o ponurych twarzach, wpatrzony w budynek, gdzie dwóch białych taszczyło fotel, na którym siedziała staruszka, bijąca ich słabymi pięściami. Stara kobieta o matczynym wyglądzie, z chustką zawiązaną na głowie, w męskich butach i męskim, grubym, niebieskim swetrze. Było to zdumiewające: przyglądający się w milczeniu tłum, dwóch białych, którzy dźwigali fotel i starali się uniknąć ciosów, i twarz staruszki spływająca łzami złości, gdy młóciła ich pięściami. Nie wierzyłem własnym oczom. Przepęliło mnie jakieś złe przeczucie, nagłe poczucie nieczystości.

– Zostawcie nas! – krzyczała staruszka – zostawcie nas! – kiedy mężczyźni odsunęli głowy poza jej zasięg, postawili nagle fotel z nią przy krawężniku i ruszyli pospiesznie z powrotem do budynku.

Co, u licha, pomyślałem, rozglądając się wokół. Co, u licha? Staruszka szlochała, wskazując na stertę rzeczy na chodniku:

– Popatrzcie, co oni nam robią. Popatrzcie. – I spojrzała prosto na mnie. Zdałem sobie sprawę, że to, co wzięłem za śmieci, było w rzeczywistości podniszczonymi sprzętami domowymi. – Popatrzcie, co oni robią – rzekła, wbijając załzawione oczy w moją twarz.

Zakłopotany przeniosłem wzrok na szybko rosnący tłum. Z okien na górze wyglądały ponuro twarze. A teraz, kiedy ci dwaj pojawili się ponownie na szczycie schodów, niosąc poobijaną komodę, zobaczyłem, że wychodzi trzeci i staje za nimi, skubiąc ucho i spoglądając na tłum.

– Pospieszcie się, chłopcy – powiedział – pospieszcie się. Nie będziemy tu sterczeć cały dzień.

Później ci ludzie zeszli z komodą i widziałem, jak tłum rozstępuje się ponuro, a ta dwójka drepcze, stękając, stawia komodę przy krawężniku, po czym wraca do budynku, nie zerknąwszy nawet w lewo ani w prawo.

– Popatrzcie na to – powiedział szczupły mężczyzna obok mnie. – Powinniśmy przetrzepać skórę tym białasom!

Spojrzałem w milczeniu na jego twarz, napiętą i szarą od zimna. Skupił wzrok na wchodzących na schody mężczyznach.

– Pewnie, powinni my ich powstrzymać – rzekł ktoś inny – ale w tej całej bandzie jest mało odwagi.

– Jest dużo odwagi – powiedział ten szczupły. – Trzeba tylko kogoś, żeby ją wyzwolił. Trzeba im tylko przywódcy. Chcesz powiedzieć, że to ty nie masz odwagi.

– Kto, ja? – odparł tamten. – Kto, ja?

– Tak, ty.

– Tylko popatrzcie – powiedziała staruszka, z twarzą wciąż zwróconą ku mojej – tylko popatrzcie. – Odwróciłem się, przysuwając się bliżej do tych dwóch.

– Co to za ludzie? – zapytałem ich.

– Komornicy czy ktoś tam. Gwiżdże na to, kim so.

– Komornicy, psiakrew – powiedział drugi. – Ci faceci, co to wszystko wynoszo, to areztanci pod nadzorem. Jak tylko skończo, zara znowuż ich zamkno.

– Nie obchodzi mnie, kim so. Nie powinni wywalać tych starych na bruk.

– To znaczy, że wyrzucają ich z mieszkania? – zapytałem. – Mogą to tutaj robić?

– Człowieku, skąd ty się wzięłeś? – powiedział, obracając się ku mnie. – A jak to wygląda, że skąd ich wyrzucają, z wagonu pulmanowskiego? Eksmituj ich.

Byłem zażenowany; inni zaczęli się na mnie gapić. Nigdy jeszcze nie widziałem eksmisji. Ktoś zachichotał.

– Skąd on się wzięł?

Ogarnęła mnie fala gorąca i odwróciłem się.

– Posłuchaj, przyjacielu – rzekłem, słysząc, jak mój głos przybiera ostry ton. – Zadałem grzeczne pytanie. Jeśli nie chcesz odpowiedzieć, to nie odpowiadaj, ale nie próbuj robić ze mnie błazna.

– Błazna? Do diabła, wszystkie uczniaki to błazny. Kim ty, do diabła, jesteś?

– Mniejsza z tym, jestem, kim jestem. Po prostu nie rób ze mnie balona – powiedziałem, rzucając mu świeżo poznany zwrot.

Akurat wtedy zszedł ze schodów jeden z tych białych z naręczem różnych rzeczy i zobaczyłem, że staruszka biegnie w jego stronę i krzyczy:

– Ręce precz od mojej Biblii!

Thum zafalował i posunął się do przodu. Biały omiół go rozbieganym wzrokiem.

– Gdzie, proszę pani? – powiedział. – Nie widzę żadnej Biblii.

I zobaczyłem, jak staruszka wyrywa Księgę z jego ramion, ściska ją kurczowo i wydaje dziki wrzask.

– Mogą przyjść do twojego domu i zrobić ci, co chcą – rzuciła. – Przyjść z głośnym tupotem i wyrwać twoje życie z korzeniami! Ale tego już za wiele. Nie będą pomiatać moją Biblią!

Biały spojrzał na tłum.

– Niech pani posłucha – powiedział, bardziej do nas niż do niej. – Ja nie chcę tego robić, ale muszę. Przysłali mnie tu, żebym to zrobił. Jakby to ode mnie zależało, to mogłaby pani tu mieszkać, dopóki piekło nie zamarźnie...

– Ci biali, Panie. Ci biali – jęczała z oczami zwróconymi do nieba, a jakiś staruszek przepchnął się obok mnie i podszedł do niej.

– Kochanie, kochanie – odezwał się, kładąc dłoń na jej ramieniu. – To ten agent, nie ci panowie. To on. Mówi, że to bank, ale wiemy, że to on. Przez ponad dwadzieścia lat prowadziliśmy z nim interesy.

– Nie mów mi takich rzeczy – odparła. – To wszyscy biali, nie tylko ten jeden. Oni wszyscy są przeciw nam. Każdy z nich, śmierdzących nikczemników.

– Słusznie gada! – krzyknął ochryply głos. – Słusznie gada! Oni wszyscy!

Coś się we mnie gwałtownie burzyło i na chwilę zapomniałem o tłumie. Teraz rozpoznałem u nich samoświadomość, jak gdyby oni, jak gdybyśmy wstydzieli się być świadkami eksmisji, jakbyśmy wszyscy byli mimowolnymi intruzami, którzy trafili na haniebne wydarzenie, a zatem staraliśmy się nie dotykać skutków tego wydarzenia, ustawionych wzdłuż krawężnika, ani nie przyglądać się zbyt nachalnie, gdyż byliśmy świadkami czegoś, czego nie chcieliśmy widzieć, chociaż ciekawskimi świadkami, zafascynowanymi tym mimo naszego wstydu, a w środku tego wszystkiego rozdierająco płakała ta stara kobieta.

Patrzyłem na staruszków, czując, że palą mnie oczy i ściska mi się gardło. Szloch staruszki wywierał na mnie dziwny wpływ – jakbym był dzieckiem, które na widok łez rodziców samo zaczyna płakać ze strachu. Odwróciłem się, świadom, że przyciąga mnie do tych staruszków ciepły, mroczny, wznoszący się wir emocji, którego się bałem. Miałem się na baczności przed tym, co zaczynałem czuć na ich widok, płaczących tam, na chodniku. Chciałem odejść, ale za bardzo się wstydziłem, szybko stawałem się zbyt dużą częścią tej sceny.

Odwróciłem się w bok i spojrzałem na rupiecie, które ci dwaj nadal składali na chodniku. A kiedy tłum mnie popchnął, spojrzałem w dół i dostrzegłem owalny portret tej starej pary, z czasów, kiedy byli młodzi, zobaczyłem smutną, sztywną godność ich twarzy; obudziło to dziwne wspomnienia, które zaczęły dźwięczeć mi w głowie jak histeryczny głos jękający się na ciemnej ulicy. Widziałem, jak odwzajemniają moje spojrzenie, tak jakby nawet owego dnia w dziewiętnastym wieku niewiele oczekiwali, i to z ponurą, pozbawioną złudzeń dumą, która wydała mi się nagle wyrzutem, jak i ostrzeżeniem. Mój wzrok padł na parę niezdarnie wyrzeźbionych, wytartych do połysku kości, „stukających kości”, używanych dla akompaniowania muzyce w wiejskich tańcach, używanych przez czarnoliczych minstrel; płaskie żebra krowy, wołu czy owcy, płaskie kości, które po zderzeniu wydawały dźwięk jak ciężkie kastaniety (czy on był minstrelem?) albo drewniane instrumenty perkusyjne. W brudnym śniegu stało mnóstwo doniczek z zielonymi roślinami, które z pewnością zginą z zimna: bluszcz, kanna, pomidor. A w koszyku zobaczyłem grzebień do prostowania włosów, treski, lokówkę, kartkę ze srebrnymi literami na tle ciemnoczerwonego aksamitu, układającymi się w napis „Boże, błogosław naszemu domowi”; na szyfonierce natomiast rozrzucone były samorodki Dużego Jana Zdobywcy, kamienia szczęścia; a kiedy się temu przyglądałem, biali znieśli na dół kosz, w którym ujrzałem butelkę po whisky, wypełnioną słodkimi soplami i kamforą, małą flagę abisyńską, wyblakły dagerotyp Abrahama Lincolna, wyrwaną z jakiegoś czasopisma uśmiechniętą podobiznę hollywoodzkiej gwiazdy. A na poduszce roztrzaskane kawałki delikatnej porcelany, tabliczkę upamiętniającą wystawę światową w St. Louis... Stałem oszołomiony, patrząc na stary, złożony, koronkowy wachlarz, wysadzany dżetami i wykładany macicą perłową.

Tłum poruszył się, kiedy wrócili biali i przewrócili szufladę, której zawartość wysypała się w śnieg u moich stóp. Pochyliłem się i zacząłem na powrót wkładać te przedmioty: pogięty symbol masonski, pokryty patyną komplet spinek do mankietów, trzy brązowe pierścionki, dziesięciocentówkę ze zrobioną gwoździem dziurką, by można ją było nosić na szczęście, przywiązana na sznurku do nogi powyżej kostki, ozdobną kartkę z pozdrowieniami, ze słowami „Babciu, Kocham cię”, napisanymi niewprawną dziecięcą rączką; drugą kartkę z wizerunkiem kogoś, kto wyglądał jak biały z uczernioną twarzą, siedział na progu chaty i grał na banjo pod taktem ze słowami „Wracam do mojej starej, rodzinnej chaty”; niezdatny do użytku inhalator, sznur jaskrawych szklanych koralików z zaśniedziałą zapinką, króliczą łapkę, celuloidową kartę wyników bejsbolowych w kształcie rękawicy łapacza, z zapisem meczu wygranego lub przegranego przed laty; starą pompkę do odciągania pokarmu z piersi, z poźółką ze starości gumową gruszką, znoszony bucik niemowlęcy i zakurzony kosmyk dziecięcych włosów, przewiązany wypłowiałą i zmiętą niebieską wstążką. Zrobiło mi się niedobrze. Trzymałem w dłoni trzy polisy na życie ostemplowane wypukłą pieczętą „Unieważnione”; poźółkły gazetowy portret potężnego czarnego mężczyzny z podpisem: MARCUS GARVEY DEPORTOWANY.

Odwróciłem się, pochyliłem i przeczesalem brudny śnieg w poszukiwaniu czegoś, czego nie zdołały dostrzec moje oczy, i moje palce zacisnęły się na czymś spoczywającym w zamrzniętym odcisku stopy: kruchym papierku, rozpadającym się ze starości, zapisanym czarnym niegdyś, teraz poźółkłym atramentem. Przeczytałem: ŚWIADECTWO WOLNOŚCI. *Niechaj będzie wszystkim wiadome, że wyzwoliłem mojego murzyna, Primusa Provo, szóstego dnia sierpnia 1859 roku. Podpisano: John Samuels. Macon...* Szybko złożyłem dokument, strząsając kroplę roztopionego śniegu, która lśniła na poźółkłej karcie, i wrzuciłem go z powrotem do szuflady. Trzęsły mi się ręce, oddech miałem chrapliwy, jakbym przebiegł długi dystans albo natknął się na węża zwiniętego ha ruchliwej ulicy. *To było jeszcze dłuższe, bardziej oddalone w czasie*, powiedziałem sobie, a jednak wiedziałem, że to nieprawda. Wsunąłem szufladę do komody i przepchnąłem się jak pijany do krawężnika.

Ale to nie przeszło, tylko wypełnił mi usta gorzki strumień żółci i opryskał dobytek staruszków. Odwróciłem się i znowu wbiłem wzrok w tę stertę rupieci, nie patrząc na to, co miałem przed oczami, ale wewnątrz-zewnątrz, za róg, w ciemność, odległą i dawną, nie tyle z moich własnych wspomnień, ile z zapamiętanych słów, połączonych ech werbalnych, obrazów, słyszanych w domu nawet wtedy, kiedy nie słuchałem. I poczułem się tak, jakby mnie samego wywłaszczono z jakiejś przykrej, ale cennej rzeczy, której utraty nie mogłem znieść; czegoś przekłętego, jak zepsuty ząb, przez który będzie się raczej cierpieć bez końca niż znieść się krótką, gwałtowną erupcją bólu oznaczającą jego usunięcie. A z tym poczuciem wywłaszczenia pojawiło się ukłucie niejasnego rozpoznania: te wytarte krzesła, te ciężkie, staromodne żelazka, cynowe wanny z powgniatanymi dnami – wszystko to pulsowało we mnie większym znaczeniem, niż powinno mieć: *dlaczego, stojąc w tym tłumie, ujrzałem jak zjawę moją matkę, wieszającą pranie w jakiś zimny, wietrzny dzień, tak zimny, że ciepłe ubrania zamarzyły, zanim ulotniła się para, i wisiały sztywne na sznurze, a jej ręce, białe i poobcierane, na trzepoczącym spódnicami wietrze i jej siwa głowa, goła pod pociemniałym niebem... dlaczego to wszystko wprawiało mnie w zakłopotanie tak dalece nie przystające do ich rzeczywistego znaczenia jako przedmiotów? I dlaczego widziałem je teraz, jak za zasłoną, którą bałem się podnieść, poruszane przez ten zimny wiatr na tej wąskiej uliczce?*

Dobiegł mnie wrzask:

– Wchodzę!

Ta stara para stała teraz na schodach, staruszek podtrzymywał ją pod ramię, biali na górze pochylali się do przodu, a tłum popchał mnie bliżej budynku.

– Nie może pani wejść – powiedział mężczyzna.

– Chcę się pomodlić! – zawołała.

– Nic na to nie poradzę, proszę pani. Będzie pani musiała odprawić swoje modły tutaj.

– Wchodzę!

– Nie!

– Chcemy tylko wejść i się pomodlić – powiedziała, ściskając Biblię. – Nie uchodzi modlić się na ulicy.

– Przykro mi.

– No, pozwólcie kobiecie się pomodlić – zawołał jakiś głos z tłumu. – Macie wszystkie ich rzeczy tutaj, na chodniku – czego jeszcze chcecie, krwi?

– Pewnie, pozwólcie się im, starym, pomodlić.

– To nas właśnie rozkłada, te przekłete modlitwy – krzyknął inny głos.

– Nie wejdziecie z powrotem, zrozumcie – powiedział biały. – Zostaliście wyeksmitowani zgodnie z prawem.

– Ale my chcemy tylko wejść i ukląć na podłodze – powiedział staruszek. – My tu mieszkali ponad dwadzieścia lat. Nie rozumie, czemu nie pozwolisz nam wejść tylko na parę minut...

– Słuchajcie, powiedziałem wam – rzekł biały. – Muszę zrobić to, co mi kazano. Przez was tracę czas.

– Wchodzimy! – krzyknęła kobieta.

Zdarzyło się to tak szybko, że ledwie mogłem za tym nadążyć: zobaczyłem, że staruszka ściska Biblię i wspina się pędem po schodach, za nią podąża jej mąż, a biały zastępuje im drogę i wyciąga rękę.

– Uduszę cię – wrzasnął – na Boga, uduszę cię!

– Zabierz ręce od tej kobiety! – krzyknął ktoś z tłumu.

Później, na szczycie schodów, para szamotała się z tym mężczyzną, staruszka poleciała do tyłu, a tłum eksplodował.

– Brać tego białego sukinsyna!

– On ją uderzył! – wrzasnęła mi w ucho jakaś Antylka. – Ten wredny łobuz ją uderzył!

– Odsuńcie się, bo będę strzelał! – krzyknął ten człowiek, patrząc błędnym wzrokiem, gdy wyciągnął rewolwer i cofnął się do wejścia, gdzie stali dwaj oszołomieni robotnicy, z naręczami różnych przedmiotów. – Przysięgam, że będę strzelał! Nie wiecie, co robicie, ale będę strzelał!

Zawahali się.

– W tym jest tylko sześć kul – zawołał jakiś mały gość. – No to co chcecie zrobić?

– Taa, na pewno nie ma się gdzie schować.

– Radzę wam trzymać się od tego z daleka! – krzyknął szeryf.

– Myślisz, że możesz tu przyjść i bić nasze kobiety, głupku?

– Do diabła z całym tym gadaniem, pogońmy tego sukinsyna!

– Lepiej się zastanówcie – zawołał biały.

Zobaczyłem, że ruszają na schody, i odniosłem wrażenie, że zaraz mi pęknie głowa. Wiedziałem, że lada chwila zaatakują tego człowieka, i czułem zarówno strach, jak i złość, odrazę i fascynację. Jednocześnie chciałem tego i bałem się konsekwencji, byłem oburzony i rozwścieczony tym, co widziałem, a mimo to przejęty strachem, nie przed tym człowiekiem ani skutkami napaści, ale przed tym, co mógł we mnie wyzwolić widok przemocy. A pod tym wszystkim wrzały wszystkie te amortyzujące wstrząsy frazy, których uczyłem się przez całe życie. Wydawało mi się, że chwięję się nad brzegiem ogromnej czarnej dziury.

– Nie, nie – usłyszałem swój krzyk. – Bracia! Czarni bracia! To nie jest dobry sposób. My przestrzegamy prawa. Jesteśmy ludźmi szanującymi prawo i nieskorymi do złości.

Utorowałem sobie szybko drogę przez tłum, stanąłem na schodach, odwróciłem się twarzą do tych z przodu i powiedziałem prędko, bez namysłu, kierowany ścierającymi się ze sobą emocjami:

– Jesteśmy ludźmi przestrzegającymi prawa, ludźmi nieskorymi do złości...

Zamarli, nadstawiając uszu. Nawet biały był zaskoczony.

– Taa, ale tera my so wściekli – odezwał się jakiś głos.

– Tak, masz rację – zawołałem. – Jesteśmy rozgniewani, ale bądźmy mądrzy. Pozwólmy, znaczy, nie pozwólmy... Uczmy się od tego wielkiego przywódcy, o którego mądrych czynach doniosły kiedyś gazety...

– Jakiego przywódcy? Kogo? – krzyknął jakiś głos z antylskim akcentem.

– Dalej! Do diabła z tym facetem, załatwmy białasa, zanim przyślą mu posiłki...

– Nie, zaczekajcie – wrzasnąłem. – Podążajmy za przywódcą, zorganizujmy się. Zorganizujmy. Potrzebujemy kogoś takiego jak ów mądry przywódca, czytaliście o nim, ten z Alabamy. Był na tyle silny, by wbrew temu, co sam czuł, zdecydować się na mądre posunięcie...

– Kto, człowieku? Kto?

To jest to, pomyślałem, słuchają, chcą słuchać. Nikt się nie śmiał. Jeśli zaczną się śmiać, umrę! Napiałem przeponę.

– Ten mądry człowiek – podjąłem – czytaliście o nim, który, kiedy tamten zbieg uciekł przed tłuszcą do jego szkoły, szukając ochrony, był na tyle silny, że zrobił coś zgodnego z prawem, świadczącego, że przestrzega prawa – oddał go siłom prawa i porządku...

– Taa – rozległ się jakiś głos – taa, żeby mogli powiesić go za dupę.

O Boże, to wcale nie było to. Kiepska technika i zupełnie nie to, o co mi chodziło.

– On był mądrym przywódcą – wrzasnąłem. – Działal w granicach prawa. Czy to nie było mądre posunięcie?

– Taa, pewnie, był mądry – zaśmiał się ze złością ten facet. – A teraz złaż z drogi, żeby my mogli skoczyć na tego białasa.

Tłum zawył, a ja w odpowiedzi roześmiałem się jak zahipnotyzowany.

– Ale czy to nie było ludzkie? W końcu musiał chronić samego siebie, bo...

– Był tchórzliwym szczurem! – wrzasnęła jakaś kobieta głosem pełnym pogardy.

– Tak, masz rację. Był mądry i tchórzliwy, ale co z nami? Co my mamy robić? – krzyknąłem, nagle podekscytowany tą reakcją. – Spójrzcie na niego – zawołałem.

– Tak, spójrzcie na niego! – wykrzyknął stary gość w meloniku, jakby odpowiadał kaznodziei w kościele.

– 1 spójrzcie na tę starą parę...

– Taa, co z siostrą i bratem Provo? – zapytał. – To nieludzka hańba!

– I spójrzcie na ich dobytek, rozrzucony na chodniku. Spójrzcie tylko na ich dobytek na śniegu. Ile ma pan lat? – krzyknąłem.

– Osiemdziesiąt siedem – odparł stary, głosem cichym i oszołomionym.

– Co wy na to? Krzyknij, dziadku, żeby usłyszeli cię nasi nieskorzy do złości bracia.

– Osiemdziesiąt siedem!

– Słyszeliście go? Ma osiemdziesiąt siedem lat. Osiemdziesiąt siedem lat i spójrzcie, co zgromadził przez te osiemdziesiąt siedem lat, spójrzcie na te rzeczy rozrzucone na śniegu jak jelita kurczaka, a my jesteśmy nieskorzy do złości, przestrzegającymi prawa ludźmi, którzy nadstawiają każdego dnia tygodnia drugi policzek. Co zrobimy? Co wy, co ja, co on zrobiłby? Co trzeba zrobić? Proponuję, żebyśmy postąpili dobrze, z poszanowaniem prawa. Popatrzcie na te graty! Czy tych dwoje starszków powinno żyć wśród takich gratów, zamkniętych w brudnym pokoju? To wielkie niebezpieczeństwo, wielkie zagrożenie! Stare popękane talerze i rozpadające się krzesła. Tak, tak, tak! Popatrzcie na tę starszkę, czyjąś matkę, może czyjąś babkę. Nazywamy je „Wielkimi Mamami”, a one nas rozpuszczają i... wy wiecie, wy pamiętacie... Popatrzcie na jej kołdry i zniszczone buty. Wiem, że jest czyjąś matką, bo widziałem na śniegu starą pompkę do ściągania mleka z piersi, że jest czyjąś babką, bo widziałem kartkę ze słowami „Droga Babciu”... ale jesteśmy ludźmi przestrzegającymi prawa... Zajrzałem do koszyka i zobaczyłem kości, nie kości szyjne, ale żebra, stukające kości... Ci starszki kiedyś tańczyli... Widziałem... Jaką pracę wykonujesz, ojczulku? – zawołałem.

– Jestem robotnikiem pracującym na dniówkę...

– ...Pracującym na dniówkę, słyszeliście, ale popatrzcie na te rzeczy rozrzucone w śniegu jak flaki wieprza... Na co poszła cała jego praca? Czy on kłamie?

– Nie, do diabła, nie kłamie.

– Nie, panie!

– Więc na co poszła jego praca? Popatrzcie na jego stare płyty bluesowe i na jej doniczki z kwiatami, oni są domatorami, a tu wszystko wyrzucone jak rupiecie, osiemdziesiąt siedem lat jak porwane przez cyklon. Osiemdziesiąt siedem lat i puff! jak parsknięcie w wichrze. Popatrzcie na nich, wyglądają jak moja mama i mój tata, i moja babcia i dziadek, a ja wyglądam jak wy i wy wyglądacie jak ja. Popatrzcie na nich, ale pamiętajcie, że jesteśmy mądrymi, przestrzegającymi prawa ludźmi. I pamiętajcie o tym, kiedy patrzycie na tamte drzwi i na przedstawiciela prawa stojącego tam ze swoją czterdziestką piątką. Popatrzcie na niego, stojącego ze stalowoniebieskim pistoletem w granatowym serżowym garniturze, albo na jedną czterdziestkę piątkę, ujrzenie dziesięciu takich na każdego z nas, dziesięć pistoletów i dziesięć ciepłych garniturów, i tłustych brzuchów, i dziesięć milionów praw. P r a w o – tak nazywamy je na Południu! Prawo! A my jesteśmy mądrzy i przestrzegamy prawa. I popatrzcie na tę starszkę z jej Biblią z oślimi uszami. Co ona próbuje tu osiągnąć? Pozwoliła, żeby religia uderzyła jej do głowy, ale my wszyscy wiemy, że religia jest dla serca, nie dla głowy. „Błogosławieni czystego serca” – powiada Pismo. Ani słowa o słabych na umyśle. Co ona próbuje zrobić? A co z tymi o bystrym umyśle? I o bystrym oku, tymi obdarzonymi przenikliwym jak kryształ wzrokiem, którzy widzą zbyt wyraźnie, by nie zauważyć kłamstwa? Spójrzcie tam, na jej komodę z ziejącymi szufladami. Osiemdziesiąt siedem lat na ich wypełnienie, a wypełnia je chłam, i ona chce złamać prawo... Co się im stało? Th nasi ludzie, wasi ludzie i moi, wasi rodzice i moi. Co się im stało?

– Ja ci powiem! – wrzasnął jakiś facet wagi ciężkiej, przeciskając się przez tłum z wykrzywioną złością twarzą. – Do diabła, zostali wywłaszczeni, ty zwariowany sukinsynu, złaż z drogi!

– Wywłaszczeni? – krzyknąłem, wznosząc w górę ręce i pozwalając temu słowu wyrwać się ze świstem z mego gardła. – To dobre słowo, „wywłaszczeni”! „Wywłaszczeni”, osiemdziesiąt siedem lat i wywłaszczeni z czego? Nic nie ma, a, niczego nie mogą sobie sprawić, nigdy niczego nie mieli. No więc kto został wywłaszczony? – warknąłem. – Przestrzegamy prawa. No więc kogo się tu wywłaszcza? Czy to możliwe, że nas? Ci starzy zostali wyrzuceni na śnieg, ale my jesteśmy tu z nimi. Popatrzcie na ich dobytek, nie ma tu nawet dziury, w którą można syknąć, nawet okna, przez które można przekazać nowiny, a my jesteśmy z nimi. Popatrzcie na nich, nie mają nawet szalasu, żeby się pomodlić, ani alejki, w której można zaśpiewać bluesa! Patrzą w lufę pistoletu, a my patrzymy razem z nimi. Nie chcą świata, ale tylko Jezusa. Chcą tylko Jezusa, tylko piętnastu minut Jezusa na gołej podłodze... No więc jak, panie Prawo? Dostaniemy nasze piętnaście minut Jezusa? Wy macie świat, a czy my możemy mieć naszego Jezusa?

– Dostałem rozkaz, koleś – krzyknął ten mężczyzna, machając z szyderczym uśmiechem pistoletem. – Dobrze robisz, powiedz im, żeby trzymali się od tego z daleka. To jest zgodne z prawem i jeśli będą musiał, zacznę strzelać...

– Ale co z tą modlitwą?

– Nie wrócą tu!

– Na pewno?

– Możesz się założyć o swoje życie – powiedział.

– Spójrzcie na niego – krzyknąłem do rozgniewanego tłumu. – Z tym stalowoniebieskim pistoletem i w granatowym serżowym garniturze. Słyszeliście go, jest przedstawicielem prawa. Mówi, że zastrzeli nas, bo jesteśmy ludźmi przestrzegającymi prawa. Tak więc zostaliśmy wywłaszczeni, a co więcej, on myśli, że jest Bogiem. Popatrzcie na niego, opartego plecami o śłup, z przestępcami po bokach. Czy nie słyszycie zimnego wiatru, nie słyszycie, jak pyta: „Co zrobiliście z waszą ciężką pracą? Co zrobiliście?” Kiedy popatrzycie na wszystko, czego nie zdobyliście w ciągu osiemdziesięciu siedmiu lat, poczujecie wstyd.

– Powiedz im o tym, bracie – przerwał mi jakiś starszek. – Przez to nie czujesz się człowiekiem.

– Tak, ci starzy mieli sennik, ale jego strony wyblakły, więc nie znaleźli tam szczęśliwego numeru. Nosił tytuł: Widzące oko, Wielka konstytucyjna księga marzeń, Sekrety Afryki, Mądrość Egiptu – ale to oko było ślepe, straciło błysk. To wszystko ma zaćmę, jak zezowaty stolarz, który nie pijuje prosto. Mamy tylko Biblię, ale ten pan Prawo to neguje. Gdzie więc pójdziemy? Gdzie stąd pójdziemy, bez garnka...

– Idziemy na tego białasa – krzyknął ten mężczyzna wagi ciężkiej, wbiegając na schody.

Ktoś mnie popchnął.

– Nie, zaczekajcie – krzyknąłem.

– Z drogi, ale już.

Tłum rzucił się do przodu i upadłem, słysząc pojedynczy wystrzał, na plecy, w wir kotłujących się nóg, kaloszy, gdzie zdeptyany śnieg ochłodził mi dłonie. Kolejny wystrzał zabrzmiał nade mną jak odgłos pękającej torebki. Kiedy udało mi się wstać, zobaczyłem na szczycie schodów pięść z pistoletem popychaną w górę, ponad podskakujące głowy tłumu, a w następnej chwili ściągali go już ze schodów na śnieg; zadawali mu ciosy pięściami z lewej i z prawej, wydając niski, rozpaczliwy wzbierający pomruk; sapanie, które wybuchło tysiącem wypływanych pod nosem, skwierczących nienawiścią przekleństw. Widziałem kobietę, która zadawała ciosy ostrym obcasem buta, jej twarz przypominającą obojętną maskę, kiedy wymierzyła i uderzyła, wymierzyła i uderzyła, aż bryzgnęła krew, spływająca teraz obok tego człowieka, postawionego na nogi i przeganianego między dwoma szeregami bijących. Nagle

ujrzałem kajdanki wzbijające się błyszczącym łukiem w powietrze i żeglujące nad ulicą. Jakiś chłopak wybiegł z tłumu w sztywnym kapeluszu szeryfa na głowie. Okręcano białego we wszystkie strony, a potem szybki grad ciosów popędził go w dół ulicy. Nie posiadałem się z podniecenia. Tłum ruszył za nim, kłębiąc się jak olbrzym próbujący się obrócić w klitce – niektórzy się śmiali, inni przeklinali, a jeszcze inni bacznie milczeli.

– Ten zwierz uderzył tę łagodną kobietę, to biedactwo! – zaintonowała Antylka. – Czarni mężczyźni, czy widzieliście kiedy takiego łobuza? Czy on jest dzentelmenem? pytam was. Ten zwierz? Oddajcie mu, czarni mężczyźni. Odpłaćcie łobuzowi tysiąckrotnie! Oddajcie mu do trzeciego i czwartego pokolenia. Bijcie go, nasi wspaniali czarni mężczyźni. Chronście wasze czarne kobiety! Odpłaćcie tej aroganckiej kreaturze do trzeciego i czwartego pokolenia!

– Wywłaszczono nas – zaśpiewałem najgłośniejszym głosem, jak mogłem – wywłaszczono i chcemy się pomodlić. Chodźmy i módlmy się. Urządźmy wielkie zgromadzenie modlitewne. Ale potrzebujemy krzesel, żeby na nich usiąść... spocząć, gdy uklękniemy. Potrzebujemy krzesel!

– Tutaj jest parę krzesel – zawołała jakaś kobieta z chodnika. – Może wnieść parę krzesel?

– Pewnie – zawołałem – weźcie wszystko. Weźcie to wszystko, schowajcie te rupiecie! Zanieście je z powrotem tam, skąd się wzięły. Blokują ulicę i chodnik, a to wbrew prawu. Przestrzegajmy prawa, oczyśćmy więc ulicę z tego rumowiska. Usuńcie to z widoku! Ukryjcie to, ukryjcie waszą hańbę! Ukryjcie naszą hańbę! – Chodźcie, ludzie – wrzasnąłem, zbiegłem ze schodów, chwyciłem krzesło i ruszyłem z powrotem, nie walcząc już ze sobą ani nie myśląc o charakterze mojego działania. Inni poszli za moim przykładem, podnosząc meble i wciągając je do budynku.

– Powinni my już dawno to zrobić – stwierdził jakiś mężczyzna.

– Pewnie, cholera, że powinni my to zrobić.

– Czuję się tak dobrze – wyznała jakaś kobieta. – Czuję się tak dobrze!

– Czarni mężczyźni, jestem z was dumna – wrzasnęła Anty lka. – Dumna!

Wbiegliśmy do ciemnego, małego mieszkania, w którym pachniało stęchlą kapustą, postawiliśmy meble i wróciliśmy na ulicę po resztę. Mężczyźni, kobiety i dzieci chwyтали przedmioty i pędzili do środka, krzycząc i śmiejąc się. Szukałem tych dwóch aresztantów, ale wyglądało na to, że zniknęli. Potem, kiedy wychodziłem na ulicę, zobaczyłem jednego. Wnosił z powrotem krzesło.

– A więc ty też przestrzegasz prawa – zawołałem, zanim zdałem sobie sprawę, że to ktoś inny. Biały, ale zupełnie inny człowiek.

Roześmiał się i poszedł dalej. A kiedy znalazłem się na ulicy, ujrzałem kilkoro białych mężczyzn i kobiet, którzy wiwatowali, kiedy zwracano każdy kolejny mebel. Przypominało to jakieś święto. Nie chciałem, żeby się skończyło.

– Kim są tamci ludzie? – zawołałem ze schodów.

– Jacy ludzie? – odkrzyknął ktoś.

– Tamci – powiedziałem, wskazując dłonią.

– Chodzi ci o tych białasów?

– Tak, czego oni chcą?

– Jesteśmy przyjaciółmi tych ludzi – krzyknął jeden z białych.

– Przyjaciółmi których ludzi? – zawołałem, gotów skoczyć na niego, gdyby odpowiedział: „Was”.

– Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich zwykłych ludzi – krzyknął. – Przyszliśmy pomóc.

– Wierzymy w braterstwo – zawołał inny.

– No to bierzcie tę kanapę i chodźcie – odkrzyknąłem. Byłem zaniepokojony ich obecnością i rozczarowany, kiedy przyłączyli się do tłumu i zaczęli taszczyć wyrzucone rzeczy z powrotem do środka. Gdzie ja o nich słyszałem?

– A może byśmy urządzili marsz? – zawołał jeden z białych, przechodząc obok mnie.

– Może byśmy urządzili marsz! – wrzasnąłem w stronę chodnika, zanim zdążyłem pomyśleć.

Natychmiast to podchwycili.

– Maszerujemy...

– To dobry pomysł.

– Zróbmy demonstrację...

– Zróbmy paradę!

Usłyszałem syrenę i w tej samej chwili zobaczyłem, jak skręcają w ulicę samochody zwiadowcze. To była policja! Spojrzałem w tłum, starając się skupić wzrok na twarzach, i usłyszałem, jak ktoś wrzeszczy: – Jadą gliny – a inny odpowiada: – Niech przyjadą!

Do czego to wszystko prowadzi? pomyślałem, widząc, że jakiś biały wbiega do budynku, kiedy policjanci wyskoczyli z samochodów i ruszyli biegiem w naszą stronę.

– Co tu się dzieje? – krzyknął policjant ze złotą odznaką w stronę schodów.

Zapanowała cisza. Nikt nie odpowiedział.

– Zapytałem, co się tu dzieje – powtórzył. – Ty – zawołał, wskazując prosto na mnie.

– Oczy... oczyściliśmy chodnik z mnóstwa śmieci – krzyknąłem, maskując napięcie.

– Co to jest? – zapytał.

– Akcja oczyszczania – zawołałem; zbierało mi się na śmiech. – Rzeczy tych starych poniewierają się na chodniku, a my oczyściliśmy ulicę...

– Chcesz powiedzieć, że przeszkadzacie w eksmisji – krzyknął, ruszając przez tłum.

– On nic nie robi – zawołała jakaś kobieta za mną.

Obejrzałem się; schody zapełniali ci, którzy wcześniej byli w środku.

– Jesteśmy wszyscy razem – krzyknął ktoś, kiedy policjanta otoczył tłum.

– Oczyścić ulicę – rozkazał policjant.

– Th właśnie robimy – odkrzyknął ktoś z tłumu.

– Mahoney! – ryknął policjant do innego funkcjonariusza – zawiadom o zamieszkach!

– Jakich zamieszkach? – krzyknął do niego jeden z białych. – Nie ma tu żadnych zamieszek.

– Jak mówię, że są zamieszki, to są – powiedział policjant. – A co wy, biali, robicie w Harlemie?

– Jesteśmy obywatelami. Chodzimy, gdzie nam się podoba.

– Słuchajcie! Przyjeżdżają nowe gliny! – zawołał ktoś.

– Niech przyjadą!

– Niech przyjedzie komisarz!

Tego było dla mnie już za wiele. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Co ja takiego powiedziałem, że wywołałem to wszystko? Przesunąłem się ukradkiem za tłum na schodach i wycofałem do korytarza. Dokąd iść? Ruszyłem szybko do mieszkania tych staruszków. Ale tam się nie schowam, pomyślałem i skierowałem się z powrotem w stronę schodów.

– Nie. Nie możesz tam iść – powiedział jakiś głos.

Obróciłem się. Była to biała dziewczyna, która stała w drzwiach.

– Co ty tutaj robisz? – krzyknąłem, a mój strach przerodził się w gorączkową złość.

– Nie chciałam cię przestraszyć – powiedziała. – Bracie, to była niezła mowa. Słyszałam tylko koniec, ale z pewnością skłoniłeś ich do działania...

– Działania – powtórzyłem – działania...

– Nie bądź taki skromny, bracie – rzekła. – Słyszałam cię.

– Słuchaj, panienko, lepiej się stąd wynośmy – powiedziałem, opanowawszy w końcu pulsowanie w gardle. – Na dole jest mnóstwo policjantów i przyjeżdżają nowi.

– Och, tak. Idź lepiej przez dach. W przeciwnym razie ktoś na pewno cię wskaże.

– Przez dach?

– To łatwe. Po prostu wyjdź na dach tego budynku i przechodź przez następne, aż dojdiesz do końca tego kwartału. Potem otwórz drzwi i zjedź na dół, jakbyś wracał z odwiedzin. Lepiej się pośpiesz. Im dłużej pozostaniesz nie znany policji, tym dłużej będziesz działał skutecznie.

Skutecznie? pomyślałem. Co ona ma na myśli? I o co jej chodzi z tym „bratem”?

– Dzięki – powiedziałem i pospieszyłem na schody.

– Do widzenia – głos dziewczyny wzniósł się płynnie za mną. Odwróciłem się, a jej biała twarz mignęła mi w słabym świetle pociemniałego korytarza.

Pokonałem schody jednym susem i ostrożnie otworzyłem drzwi, i nagle na dachu błysnęło jasne słońce i powiał zimny wiatr. Przedemną, przez całą długość kwartału, ciągnęły się niczym płotki niskie, pokryte śniegiem murki i drżały na wietrze sznury do wieszania prania. Przez wyrzeźbiony przez wiatr śnieg dostałem się na sąsiedni dach, a potem na następny, poruszając się szybko i ostrożnie. Daleko na południowym wschodzie unosiły się samoloty nad lotniskiem, a ja biegłem teraz i widziałem wznoszące się i opadające wieże kościołów i kominy z opierającym się ostro o niebo dymem, a w dole na ulicy rozbrzmiewały dźwięki syren i krzyki. Przyspieszyłem. Potem, przełaząc przez murek, obejrzałem się i zobaczyłem mężczyznę podążającego pospiesznie za mną, ślizgającego się, potykającego i z trudem i sapaniem przechodzącego przez niskie murki oddzielające dachy. Odwróciłem się i pobiegłem dalej, starając się zniknąć za rzędami kominów i zastanawiając się, dlaczego nie krzyknął „Stój!”, nie wrzasnął albo nie strzelił. Szybko schowałem się za budkę windy, potem przeskoczyłem na następny dach, zjechałem po nim, czując zimny śnieg pod dłońmi, objijając sobie kolana i zapierając się palcami stóp, potem popędziłem dalej, zerknąłem do tyłu i dostrzegłem nadal biegnącą za mną niską postać w czerni. Przecznicą wydawała się odległa o milę. Próbowałem policzyć liczbę podskakujących przede mną dachów, które jeszcze musiałem pokonać. Kiedy doszedłem do siedmiu, pobiegłem, słysząc krzyki, nowe syreny, a kiedy spojrzałem do tyłu, on był nadal za mną, sunął krótkonogim truchtem, wciąż za mną, kiedy próbowałem otworzyć drzwi na jakimś dachu, żeby zbiec na dół, a stwierdziwszy, że są zamknięte, pobiegłem dalej, starając się poruszać po śniegu zygzakiem i słysząc chrzęst żwiru pod stopami, a on był wciąż za mną, kiedy przerzuciłem swoje ciało przez murek działowy, po czym w biegu otarłem się o dużą klatkę i poderwałem stado oszalałych ptaków, nagle sprawiających wrażenie tak dużych jak myszołowy, kiedy biły szaleńczo skrzydłami przed moimi oczami, oślepiając słońce, gdy z trzepotem wzbily się w górę i odleciały, zataczając koło wściekłym ślizgiem, a ja znowu biegnę i oglądam się do tyłu, i myślę przez ułamek sekundy, że zrezygnowałem, i raz jeszcze widzę, jak pojawia się i znika, pędząc za mną. Dlaczego nie strzela? Dlaczego? Gdybyż to się działo w moim mieście, gdzie znałem kogoś w każdym domu, znałem z widzenia i z nazwiska, z krwi i pochodzenia, wstydu i dumy, i wyznania.

Na podłodze w holu leżała wykładzina dywanowa; schodziłem na dół z walącym głośno sercem i nagle zaczął wściekle ujadać pies w mieszkaniu na najwyższym piętrze. Wtedy ruszyłem szybciej, a kiedy zbiegałem na dół, trzymając się z dala od krawędzi schodów, czułem się, jakbym był zrobiony ze szkła. Spojrzawszy w dół klatki schodowej, zobaczyłem w jej głębi blade światło sączące się przez szybę w drzwiach. Ale co się stało z tą dziewczyną, czy to ona skierowała tego mężczyznę na mój trop? Co tam robiła? Zbiegłem na dół wielkimi susami i zatrzymałem się w holu, oddychając głęboko, nasłuchując szelestu jego dłoni na drzwiach u góry i przywracając ubranie do porządku. Później wyszedłem na ulicę z nonszalancją wzorowaną na postaciach, które widziałem w kinie. Żadnego dźwięku z góry, nawet złośliwego szczekania psa.

Był to długi kwartał, wyszedłem więc przez budynek, który zwrócony był fasadą nie do tej ulicy, lecz do alei. Zza rogu wysunął się oddział policji konnej i przegalopował obok mnie; podkowy dudniły głucho na śniegu, mężczyźni unosili się wysoko w siodłach, krzycząc.

Przyspieszyłem kroku, pilnując się, by nie przejść do biegu. To było straszne. Co ja takiego powiedziałem, że wywołałem to wszystko? Jak to się skończy? Ktoś może zostać zabity. Kule pistoletowe mogą smagać głowy. Zatrzymałem się na rogu i rozejrzałem za ścigającym mnie mężczyzną, tym detektywem, i autobusem. Długi, biały pas ulicy był pusty, poderwane z dachu gołębie nadal zataczały w górze koła. Zlustrowałem dachy, spodziewając się, że go zobaczę, spoglądającego w dół. Nadal słyhać było krzyki, potem zza rogu wyjechał z wyciem syreny jeszcze jeden zielono-biały policyjny samochód patrolowy i minął mnie z dużą szybkością, kierując się w stronę tamtego kwartału. Przeciąłem kwartał, w którym było prawie tuzin zakładów pogrzebowych, każdy przystrojony neonowymi reklamami, a wszystkie ulokowane w starych budynkach z brązowej cegły. Wzdłuż krawężnika stały wymyślnie ozdobione karawany, jeden matowoczarny, z oknami w kształcie gotyckich haków, przez które widziałem ułożone na trumnie wieńce i wiązanki. Przyspieszyłem.

Nadal widziałem twarz tej dziewczyny, pod krótkim biegiem schodów. Ale kim była postać, która przedzierała się za mną po dachach? Goniła mnie? Dlaczego był taki cichy i dlaczego był sam? Właśnie, i dlaczego nie wysłali za mną w pościg samochodu? Wyszedłem szybko z kwartału domów pogrzebowych na jasne słońce, które omiało śnieg alei, i zwolniłem teraz do niespiesznego spaceru, starając się sprawiać wrażenie, że nigdzie się nie śpieszę. Pragnąłem wyglądać jak głupek, którzy zupełnie nie potrafi myśleć ani mówić, i spróbowałem powłóczyć nogami, ale z niesmakiem zrezygnowałem z tego, kiedy ktoś obejrzał się za mną ukradkiem. Zobaczyłem, że tuż przede mną zatrzymuje się nagle samochód i wyskakuje z niego mężczyzna z lekarską torbą.

– Szybko, panie doktorze – zawołał jakiś mężczyzna z ganku – ona zaczyna już rodzić!

– To dobrze – krzyknął lekarz. – Na to czekaliśmy, prawda?

– Taa, ale nie zaczęło się wtedy, kiedy się spodziewaliśmy.

Patrzyłem, jak znikają w korytarzu. Co za piekielny czas, żeby się urodzić, pomyślałem. Na rogu przyłączyłem się do paru osób czekających na zmianę świateł. Byłem już prawie przekonany, że udało mi się uciec, kiedy odezwał się za mną cichy, przenikliwy głos:

– Ta mowa to był majstersztyk, bracie.

Napięty nagle jak struna, odwróciłem się niemal apatycznie. Obok mnie stał niski, niepozornie wyglądający mężczyzna o krzaczastych brwiach, ze spokojnym uśmiechem na twarzy, zupełnie nie przypominający policjanta.

– O co panu chodzi? – zapytałem ospałym, odległym głosem.

– Nie denerwuj się, jestem przyjacielem.

– Nie mam się czym denerwować, a pan nie jest moim przyjacielem.

– Wobec tego powiedzmy, że jestem pełen podziwu.

– Podziwu dla czego?

– Dla twojej mowy – rzekł. – Słuchałem.

– Jakiej mowy? Nie wygłosiłem żadnej mowy – odparłem.

Uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Widzę, że zostałeś dobrze wyszkolony. Chodź, lepiej, żeby nie widziano cię ze mną na ulicy. Chodźmy gdzieś na filiżankę kawy.

Coś mi podpowiadało, żebym odmówił, ale byłem zaintrygowany, a w głębi duszy mile polechtany wyrazami uznania. Poza tym gdybym odmówił, zostałoby to poczytane jako przyznanie się do winy. No i on nie wyglądał na policjanta ani detektywa. Poszedłem z nim w milczeniu do kawiarni na końcu kwartału; zerknął do środka przez szybę, zanim tam weszliśmy.

– Zajmij stolik, bracie. Tam, przy ścianie, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Ja wezmę kawę.

Patrzyłem, jak idzie sprężystym, posuwistym krokiem, potem znalazłem stolik i usiadłem, przyglądając się mu. W kawiarni było ciepło. Było teraz późne popołudnie i przy stolikach

siedziało zaledwie parę osób. Przyglądałem się, jak niski mężczyzna podchodzi niczym stały bywalec do lady i składa zamówienie. Jego ruchy, kiedy uważnie oglądał jasno oświetlone półki z wypiekami, przypominały ruchy energicznego małego zwierzaka, łasicy, zainteresowanego tylko odkryciem celu – kawałek ciasta. A więc słyszał moją przemowę; no cóż, posłucham, co ma do powiedzenia, pomyślałem, widząc, że rusza w moją stronę tym swoim szybkim, posuwistym, sprężystym krokiem, z pięty na palce, z pięty na palce. Wyglądało to tak, jakby nauczył się chodzić w taki sposób, i odniosłem wrażenie, że gra, że coś w nim nie jest do końca rzeczywiste – ale odrzuciłem natychmiast tę myśl, bo całe to popołudnie przenikała aura nierzeczywistości. Podszedł prosto do stolika, nawet nie rozejrzawszy się, gdzie siedzę, jakby spodziewał się, że zajmę akurat ten stolik, a nie żaden inny, chociaż wiele innych było wolnych. Balansował kawałkiem ciasta na każdej filiżance, postawił je z wprawą i podsunął mi jedną, kiedy usiadł.

– Pomyślałem, że może będziesz miał ochotę na kawałek sernika – powiedział.

– Sernika? – rzekłem. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Jest dobry. Cukru?

– Posłodź sobie – powiedziałem.

– Nie, ty pierwszy, bracie.

Spojrzałem na niego, a potem wsypałem trzy łyżeczki i przesunąłem cukierniczkę w jego stronę. Znowu byłem spięty.

– Dzięki – powiedziałem, tłumiąc impuls, by zapytać go, o co chodzi z tym całym „bratem”.

Uśmiechnął się, pokroił swoje ciastko widelczykiem i włożył o wiele za duży kawałek do ust. Ma prostackie maniery, pomyślałem, starając się postawić go w niekorzystnej sytuacji przez ostentacyjne nabranie małego kawałka sernika i zgrabne umieszczenie go w ustach.

– Wiesz – powiedział, pociągnąwszy łyk kawy – nie słyszałem takiego efektownego popisu elokwencji od czasów, kiedy byłem w... no, od długiego czasu. Tak szybko pobudziłeś ich do działania. Nie rozumiem, jak ci się to udało. Szkoda, że nie mogli tego posłuchać niektórzy z naszych mówców! Paroma słowami skłoniłeś ich do działania! Inni nadal traciliby czas na pustostowiu. Chcę ci podziękować za bardzo pouczające przeżycie!

Piłem swoją kawę w milczeniu. Nie tylko nie ufałem mu, ale nie wiedziałem, ile mogę bezpiecznie powiedzieć.

– Dobry mają tutaj sernik – rzekł, zanim zdążyłem się odezwać. – Naprawdę bardzo dobry. A tak w ogóle to gdzie nauczyłeś się przemawiać?

– Nigdzie – odparłem, o wiele za szybko.

– No to jesteś bardzo utalentowany. Jesteś urodzonym mówcą. Aż trudno uwierzyć.

– Byłem po prostu rozgniewany – powiedziałem, zdecydowawszy się wyznać tylko tyle, by zobaczyć, co on ujawni.

– Wobec tego umiejętnie kontrolowałeś swój gniew. Miał wymowę. Dlaczego to zrobiłeś?

– Dlaczego? Przypuszczam, że było mi żal... nie wiem. Może po prostu miałem ochotę wygłosić mowę. Tłum czekał, więc powiedziałem parę słów. Może w to nie uwierzysz, ale nie wiedziałem, co powiem...

– Daj spokój – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– Starasz się, by brzmiało to cynicznie, ale cię przejrzałem. Wiem, słuchałem bardzo uważnie tego, co miałeś do powiedzenia. Byłeś niezwykle poruszony. Twoje uczucia zostały urażone.

– Chyba tak – przyznałem. – Może widok tej pary przypomniał mi o czymś.

Pochylił się do przodu, bacznie mi się przyglądając, nadal z uśmiechem na ustach.

– Przypomniał ci o ludziach, których znasz?

– Chyba tak – odparłem.

– Myślę, że rozumiem. Oglądałeś śmierć...
Upuściłem widelczyk.

– Nikt nie został zabity – powiedziałem w napięciu. – Do czego zmierzasz?

– *Śmierć na wielkomijskim chodniku* – to tytuł jakiejś powieści kryminalnej czy czegoś, co gdzieś czytałem... – Roześmiał się. – Mówię tak tylko me-ta-fo-rycz-nie. Oni żyją, ale są martwi. Martwi żywi... jedność przeciwieństw.

– Och – powiedziałem. Co to za pokrętna mowa?

– Ci starzy, wiesz, wieśniacy. Zmiażdżeni przez warunki przemysłowe. Wyrzuceni na śmietnik i odtrąceni. Bardzo dobrze to wykazałeś. „Osiemdziesiąt siedem lat i nie mają niczego”, powiedziałeś. Miałeś absolutną rację.

– Myślę, że ich widok w takim stanie sprawił, że poczułem się bardzo źle – powiedziałem.

– Tak, oczywiście. I wygłosiłeś przekonującą mowę. Ale nie wolno ci marnować emocji dla jednostek, one się nie liczą.

– Kto się nie liczy? – spytałem.

– Ci starzy – powiedział ponuro. – To smutne, owszem. Ale oni są już martwi, nie istnieją. Historia przeszła obok nich. Niestety, nie można nic z nimi zrobić. Są jak martwe gałęzie, które trzeba odciąć, żeby drzewo mogło rodzić świeże owoce, bo i tak zdmuchną ich burze historii. Lepiej, żeby zmiotła ich ta burza...

– Ale posłuchaj...

– Nie, pozwól mi skończyć. Ci ludzie są starzy. Ludzie się starzeją i pewne typy ludzi się starzeją. A ci są bardzo starzy. Została im już tylko religia. Tylko o niej myślą. Zostaną więc odrzuceni. Są martwi, rozumiesz, ponieważ nie potrafią dorosnąć do konieczności tej sytuacji historycznej.

– Ale ja ich l u b i ę – powiedziałem. – Lubię ich, przypominają mi ludzi, których znam na Południu. Długo trwało, zanim to poczułem, ale są tacy jak ja, z tą różnicą, że ja przez parę lat chodziłem do szkoły.

Pokręcił swoją okrągłą, rudowłosą głową.

– O nie, bracie, mylisz się i jesteś sentymentalny. Nie lubisz ich. Może lubiłeś, ale już nie lubisz. W przeciwnym razie nigdy nie wygłosiłbyś tej mowy. Może ich lubiłeś, ale to wszystko przeszłość, to wszystko umarło. Może teraz jeszcze tego nie widzisz, ale ta część ciebie umarła! Nie zrzuciłeś jeszcze całkowicie tej starej skóry, tego wiejskiego ja, ale ono jest martwe, więc odrzucisz je kompletnie i wyłoni się coś nowego. W twoim mózgu narodziła się h i s t o r i a .

– Posłuchaj – powiedziałem – nie wiem, o czym mówisz. Nigdy nie mieszkałem na farmie i nie studiowałem rolnictwa, ale wiem, dlaczego wygłosiłem tę mowę.

– No więc dlaczego?

– Dlatego, że rozgniewał mnie widok tych staruszków wyrzuconych na ulicę. Nie obchodzi mnie, jak ty to nazywasz, Me byłem zły.

Wzruszył ramionami.

– Nie sprzecajmy się o to – powiedział. – Wydaje mi się, że znowu mógłbyś to zrobić. Może zainteresowałaby cię praca dla nas.

– Dla kogo? – spytałem z nagłym zainteresowaniem. Do czego on zmierzał?

– Dla naszej organizacji. Potrzebujemy dobrego mówcy w tej dzielnicy. Kogoś, kto potrafi wyrazić skargi tych ludzi.

– Ale ich skargami nikt się nie przejmuje – powiedziałem. – Załóżmy, że zostałyby wyrażone. Kto by ich wysłuchał albo zajął się nimi?

– Oni istnieją – powiedział ze swoim znaczącym uśmiechem. – Oni istnieją, a kiedy rozlegnie się krzyk protestu, pewni ludzie go usłyszą i zaczną działać.

W sposobie, w jaki się wypowiadał, była jakaś tajemniczość i zadowolenie z siebie, tak jakby wszystko dokładnie zaplanował – bez względu na to, o czym mówił. Popatrzcie na tego

tak bardzo pewnego siebie białego, pomyślałem. Nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że się boję, a mimo to mówi z taką śmiałością. Podniosłem się.

– Przepraszam – powiedziałem. – Mam pracę i nie interesują mnie niczyje skargi oprócz moich...

– Ale przejąłeś się tą parą starszków – powiedział ze zmrużonymi oczyma. – To twoi krewni?

– Jasne, przecież jesteśmy czarni – odparłem, zaczynając się śmiać.

Uśmiechnął się, patrząc badawczo na moją twarz.

– Poważnie, są twoimi krewnymi?

– Jasne, wypieczono nas w tym samym piecu – powiedziałem.

Efekt był piorunujący.

– Dlaczego wy zawsze mówicie w kategoriach rasy! – warknął, a jego oczy miały błyskawice.

– Aj jakie znasz inne kategorie? – zapytałem zdziwiony. – Myślisz, że byłbym tam, gdybym był biały?

Wyrzucił w górę ręce i roześmiał się.

– Nie kłóćmy się teraz o to – powiedział. – Bardzo skutecznie im pomogłeś. Nie wierzę, że jesteś takim indywidualistą, jakiego udajesz. Wyglądałeś na człowieka, który wiedział, jaki ma obowiązek wobec tych ludzi, i dobrze go spełniłeś. Bez względu na to, co sam o tym myślisz, byłeś rzecznikiem swojego ludu i masz obowiązek działać w ich interesie.

Było to dla mnie zbyt skomplikowane.

– Słuchaj, przyjacielu, dzięki za kawę i ciasto. Ci ludzie interesują mnie nie bardziej niż twoja praca. Chciałem wygłosić mowę. Lubię wygłaszać mowy. To, co się później stało, jest dla mnie zagadką. Wybrałeś niewłaściwego człowieka. Powinieneś był zatrzymać któregoś z tych facetów, co zaczęli wrzeszczeć na tego policjanta... – Wstałem.

– Zaczekaj sekundę – powiedział, wyciągnął kawałek koperty i napisał coś na nim. – Może zmienisz zdanie. Jeśli chodzi o tych innych facetów, to już ich znam.

Spojrzałem na biały papier w jego wyciągniętej dłoni.

– Mądrze robisz, że mi nie ufasz – powiedział. – Nie wiesz, kim jestem, więc mi nie ufasz. Tak być powinno. Aleja nie tracę nadziei, bo pewnego dnia poszukasz mnie z własnej woli i będzie to wyglądało inaczej, gdyż wtedy będziesz gotowy. Zadzwoń pod ten numer i poproś brata Jacka. Nie musisz mi podawać swojego nazwiska, powołaj się tylko na naszą rozmowę. Gdybyś zdecydował się dziś wieczorem, zadzwoń około ósmej.

– Dobrze – powiedziałem, biorąc kartkę. – Wątpię, bym kiedykolwiek jej potrzebował, ale kto wie?

– Pomyśl o tym, bracie. Czasy są ciężkie, a ty wydajesz się bardzo oburzony.

– Chciałem tylko wygłosić mowę – powtórzyłem.

– Ale byłeś oburzony. A czasami różnica między jednostkowym a zorganizowanym oburzeniem jest różnicą między działalnością przestępczą a działalnością polityczną – powiedział.

Roześmiałem się.

– I co z tego? Nie jestem ani przestępcą, ani politykiem, bracie. Tak więc wybrałeś niewłaściwego człowieka. Ale dzięki raz jeszcze za kawę i sernik... b r a c i e .

Zostawiłem go siedzącego ze spokojnym uśmiechem na twarzy. Kiedy przeszedłem na drugą stronę alei, zerknąłem przez szybę, ujrzałem, że nadal tam jest, i przyszło mi do głowy, że to ten sam człowiek, który biegł za mną po dachach. Nie ścigał mnie, lecz po prostu zmierzał w tym samym kierunku. Niewiele zrozumiałem z tego, co powiedział, tyle tylko, że mówił z wielką pewnością siebie. W każdym razie ja byłem lepszym biegaczem. Może był to jakiś podstęp. Sprawiał wrażenie, że rozumie więcej i dysponuje dużo głębszą wiedzą niż ta, którą wyrażały bezpośrednio jego słowa. Być może była to jedynie wiedza o tym, że uciekł tą

samą drogą co ja. Ale czego on miał się obawiać? To ja wygłosiłem tę mowę, nie on. Ta dziewczyna w mieszkaniu staruszków powiedziała, że im dłużej pozostanę nie widziany, tym dłużej będę skuteczny, co też nie miało sensu. Ale może właśnie dlatego on uciekł. Chciał pozostać nie widziany i skuteczny. Skuteczny w czym? Bez wątpienia śmiał się ze mnie. Musiałem głupio wyglądać, pędząc po dachach i kurcząc się ze strachu jak czarnolicy komik na widok ducha, kiedy poderwały się nagle koło mnie białe gołębie. Do diabła z nim. Niepotrzebnie jest taki pewny siebie, wiem o paru rzeczach, o których on nie ma pojęcia. Niech sobie poszuka kogoś innego. Chciał mnie tylko do czegoś wykorzystać. Wszyscy chcą cię wykorzystać dla jakichś celów. Dlaczego ja miałbym być mówcą? Niech sobie sam wygłasza mowy. Skierowałem się w stronę domu, zadowolony, że odprawiłem go z kwitkiem.

Robiło się ciemno i coraz zimniej. Zimniej niż kiedykolwiek dotąd doświadczyłem. Co, u licha, dumalem, pochylając głowę przed wiejącym mi w twarz wiatrem, skłaniało nas do porzucenia ciepłego, łagodnego klimatu stron ojczystych dla tego całego zimna, by nigdy już tam nie wrócić, jeśli nie coś wartego nadziei, marznięcia, a nawet eksmisji? Minęła mnie stara kobieta, pochylona pod ciężarem dwóch toreb z zakupami, ze wzrokiem utkwionym w pokryty breją chodnik, i pomyślałem o eksmisji tego starego małżeństwa. Jak to się skończyło i gdzie oni teraz są? Co za okropne uczucie. Jak on to nazwał – śmierć na wielkomiejskim chodniku? Jak często zdarzają się takie rzeczy? I co powiedziałyby o Mary? Była daleka od śmierci i od zmiążdżenia przez Nowy Jork. Do diabła, wiedziała bardzo dobrze, jak tu żyć, o wiele lepiej niż ja z moim uniwersyteckim wykształceniem – wykształceniem! „Bledsoeniem”, tak trzeba to nazwać. I to mnie miażdżono, nie Mary. Na myśl o niej poczułem się lepiej. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Mary była tak bezradna jak ta staruszka podczas eksmisji, i zanim dotarłem do domu, zacząłem się otrząsać z przygnębienia.

Rozdział 14

Zapach kapusty Mary zmienił moje postanowienie. Kiedy stałem w wypełniających hol oparach, zrozumiałem, że realnie rzecz biorąc, nie mogę odrzucić tej oferty pracy. Kapusta zawsze w przygnębiający sposób przypominała mi o chudszych latach mojego dzieciństwa i cierpiełem w milczeniu za każdym razem, gdy ją podawano, ale w tym tygodniu był to już trzeci raz i zaświtało mi nagle w głowie, że u Mary musi być krucho z pieniędzmi.

A ja tutaj gratuluję sobie, że odmówiłem przyjęcia pracy, pomyślałem, kiedy nawet nie wiem, ile pieniędzy jestem jej winien. Poczułem, że zbiera mi się nagle na mdłości. Jak mogłem jej spojrzeć w oczy? Poszedłem cicho do mojego pokoju, położyłem się na łóżku i zatopiłem w myślach. Byli inni lokatorzy, którzy mieli pracę, widziałem też, że pomagają jej krewni, a jednak pomyłka była wykluczona – Mary lubiła urozmaicone jedzenie, a więc ta koncentracja na kapuście nie była przypadkowa. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? Była zbyt dobra, nigdy nie upominała się o pieniądze i słyszałem: „Nie zawracaj mi głowy swoimi drobnymi kłopotami, chłopcze. Znajdziesz coś” – kiedy próbowałem przeproszać ją za to, że nie płacę za pokój i wikt. Może jakiś inny lokator wyniósł się albo stracił pracę. A nawiasem mówiąc, jakie Mary miała problemy, kto „wyrażał jej skargi”, jak to ujął ów rudowłosy mężczyzna? Od miesięcy dodawała mi otuchy, a mimo to nie miałem o tym żadnego pojęcia. Jakim stawałem się człowiekiem? Tak się przyzwyczailem do jej opieki, że nawet nie pomyślałem o długu, jaki u niej mam, kiedy odrzuciłem tę ofertę. Nie zastanowiłem się też nad tym, w jak kłopotliwej sytuacji mogłem ją postawić, gdyby przyszła tutaj policja, aby aresztować mnie za tę szaloną mowę. Poczułem nagle silną chęć popatrzenia na nią, bo być może tak naprawdę nigdy jej nie widziałem. Zachowywałem się jak dziecko, nie jak mężczyzna.

Wyjawszy zmiętą kartkę, spojrzałem na numer telefonu. Wspomniał o jakiejś organizacji. Jak się nazywała? Nie zapytałem go. Cóż za głupiec ze mnie! Powinienem przynajmniej wiedzieć, czyją ofertę odrzucam, chociaż nie ufałem temu rudemu. Czy odmówiłem nie tylko ze strachu, ale i z niechęci? Dlaczego nie powiedział mi po prostu, o co w tym wszystkim chodzi, zamiast starać się zaimponować mi swoją wiedzą?

Później usłyszałem z holu śpiew Mary; głos miała czysty i beztroski, chociaż śpiewała piosenkę pełną troski. Był to *Blues starorzeczka*. Leżałem, słuchając napływających i otaczających mnie dźwięków, które wywoływały spokojne poczucie wdzięczności. Kiedy ucichły, wstałem i włożyłem kurtkę. Może nie było jeszcze za późno. Znajdę telefon i zadzwonię do niego, wtedy będzie mógł mi dokładnie powiedzieć, czego chce, a ja będę mógł podjąć sensowną decyzję.

Tym razem Mary mnie usłyszała.

– Chłopcze, kiedyś ty wróciłeś? – zapytała, wychylając głowę z kuchni. – Nawet cię nie słyszałam.

– Niedawno – powiedziałem. – Byłaś bardzo zajęta, więc ci nie przeszkadzałem.

– No to gdzie znowu idziesz, nie będziesz jadł kolacji?

– Będę, Mary – odparłem – ale teraz muszę wyjść. Zapomniałem załatwić pewną sprawę.

– E tam! Co za sprawę możesz mieć w taki zimny wieczór? – rzekła.

– Och, nie wiem, może będę miał dla ciebie niespodziankę.

– Mnie tam nic nie zaskoczy – powiedziała. – A ty się pospiesz z powrotem i wrzuć coś gorącego na żołądek.

Idąc przez ziąb i szukając budki telefonicznej, zdałem sobie sprawę, że zobowiązałem się zrobić jej pewną niespodziankę, i ogarnął mnie umiarkowany entuzjazm. Była to w końcu praca, która rokowała nadzieję, że będę mógł się wykazać talentem do publicznego przemawiania, a jeśli jeszcze płaciliby mi coś za to, byłoby to więcej, niż miałem teraz. Mógłbym przynajmniej zwrócić Mary część długu. A ona miałaby być może pewną satysfakcję, że spełniły się jej przewidywania.

Odniosłem wrażenie, że prześladują mnie opary gotowanej kapusty; śmierdziała nimi restauracyjka, w której znalazłem telefon.

Brat Jack nie był w ogóle zaskoczony, że zadzwoniłem.

– Chciałbym uzyskać trochę informacji o...

– Przyjedź tu tak szybko, jak zdołasz, wkrótce wychodzimy – powiedział, po czym podał mi numer przy Lenox Avenue i odłożył słuchawkę, zanim zdołałem dokończyć moją prośbę.

Wyszedłem na ziąb, zirytowany zarówno jego brakiem zdziwienia, jak i sposobem, w jaki mówił – krótkimi, urywanymi zdaniami, ale udałem się tam, nie spiesząc się zbytnio. Nie było to daleko i kiedy doszedłem do rogu Lenox, natknąłem się na jakiś samochód; w środku zobaczyłem paru mężczyzn, a wśród nich uśmiechniętego Jacka.

– Wsiadaj – powiedział. – Możemy pogadać tam, gdzie jedziemy. To przyjęcie; może ci się spodoba.

– Ale nie jestem ubrany – odparłem. – Zadzwoń jutro...

– Ubrany? – Zachichotał. – Wyglądasz dobrze, wsiadaj.

Usiadłem obok niego i kierowcy, zauważywszy, że z tyłu siedzą trzej mężczyźni. Potem samochód ruszył.

Nikt nic nie mówił. Brat Jack pogrążył się natychmiast w głębokim zamyśleniu. Pozostali patrzyli w noc. Siedzieliśmy, jakbyśmy byli przypadkowymi pasażerami w wagonie metra. Czułem się niepewnie i zastanawiałem się, dokąd jedziemy, ale postanowiłem się nie odzywać. Samochód pędził szybko poprzez breję.

Spoglądając na przesuwaną się za oknem noc, zastanawiałem się, co to za ludzie. Na pewno nie zachowywali się tak, jakby mieli w perspektywie bardzo miły wieczór. Byłem głodny, a nie wyglądało na to, że zdążę na kolację. Ha, może skorzystam na tym, wraz z Mary. Przynajmniej nie będę musiał jeść tej kapusty!

Samochód zatrzymał się na chwilę na światłach, a potem krążyliśmy szybko po długich pasach śnieżnego krajobrazu, oświetlonych tu i ówdzie ulicznymi latarniami i nerwowo wbijającymi się w ciemność snopami światła przejeżdżających samochodów; mknęliśmy przez Central Park, całkowicie teraz przemieniony przez śnieg. Zdawało się, jakbyśmy się nagle zanurzyli w wiejskim spokoju, ale wiedziałem, że jest tutaj, gdzieś blisko w ciemności, zoo z groźnymi zwierzętami. Tygrysy i lwy w ogromnych klatkach, pograżone w śnie niedźwiedzie, węże ciasno zwinięte pod ziemią. I był tam też zbiornik ze zmętniałą wodą, całkowicie przykryty śniegiem i nocą, opadami śniegu i opadłą nocą. Potem zobaczyłem obok głowy kierowcy wyłaniającą się za szybą ścianę budynków. Samochód włączył się powoli w ruch uliczny, zjechał szybko ze wzgórza.

Zaparkowaliśmy przed jakimś luksusowym budynkiem w nie znanej mi części miasta. Zauważyłem słowo „Chtoniczny” na daszku przeciwdeszczowym ciągnącym się ponad chodnikiem, kiedy wysiadłem z pozostałymi z samochodu i szedłem szybko w stronę holu oświetlonego przyćmionymi żarówkami, osadzonymi w kloszach z matowego szkła, mijając umundurowanego odźwiernego z niesamowitym uczuciem swojskości; kiedy weszliśmy do dźwiękoszczelnej windy i popędziliśmy z prędkością mili na minutę, odniosłem wrażenie, że już kiedyś przeżyłem to wszystko. Potem zatrzymaliśmy się z łagodnym wstrząsem i nie byłem pewien, czy wjechaliśmy na górę, czy zjechaliśmy na dół. Brat Jack poprowadził mnie korytarzem pod drzwi, na których spostrzegłem brązową kołatkę w kształcie wielkookiej sowy. Teraz zawahał się chwilę, wysunął głowę do przodu, jakby nasłuchiwał, a następnie

jego dłoń zakryła sowę, wydobywając, zamiast stuknięcia, którego się spodziewałem, lodowaty dźwięk czystych kurantów. Krótco potem otworzyły się drzwi, ukazując szykownie ubraną kobietę, której surowa, ładna twarz przyoblekła się w uśmiech.

– Wejdźcie, bracia – powiedziała kobieta, a hol wypełnił zapach jej egzotycznych perfum.

Zauważyłem na jej sukni broszkę z jaskrawych diamentów; chciałem przepuścić pozostałych, ale brat Jack popchnął mnie do przodu.

– Przepraszam – powiedziałem, ale nie ruszyła się z miejsca; napałem na jej wyperfumowaną miękkość, a ona uśmiechnęła się, jakbyśmy byli tam tylko we dwoje. Potem znalazłem się za nią, zaniepokojony nie tyle tym bliskim kontaktem, ile wrażeniem, że kiedyś już przez to wszystko przeszedłem. Nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy jego źródłem była jakaś podobna scena w obejrzanym filmie, książki, które przeczytałem, czy jakiś powracający, ale głęboko pogrzebany sen. Cokolwiek to było, czułem się tak, jakbym wkraczał w scenę, którą z powodu jakichś pokrętnych okoliczności oglądałem dotąd tylko z daleka. Skąd oni mają taki kosztowny lokal, zastanawiałem się.

– Połóżcie płaszcze w gabinecie – powiedziała kobieta. – Pójdę zająć się napitkami.

Weszliśmy do pokoju z rzędami książek, ozdobionego starymi instrumentami muzycznymi. Na ścianie zawieszono były na owiązanych wokół gryfów różowych i niebieskich wstążkach harfa irlandzka, róg myśliwski, klarnet i drewniany flet. Stały tam skórzany tapczan i pewna liczba głębokich foteli.

– Rzuć kurtkę na tapczan – powiedział brat Jack.

Wyśliznąłem się z kurtki i rozejrzałem wokół. Świeciła się skala radia wbudowanego w biblioteczkę z prawdziwego mahoni, ale nie słyszałem żadnego dźwięku, było też tam obszerne biurko, na którym spoczywały srebrne i kryształowe akcesoria do pisania, a kiedy jeden z mężczyzn podszedł do biblioteczki, by zerknąć na jej zawartość, uderzył mnie kontrast między bogactwem tego pokoju a ich dość ubogimi ubiorami.

– Teraz przejdziemy do drugiego pokoju – powiedział brat Jack, biorąc mnie za ramię.

Weszliśmy do większego pokoju, w którym jedną ścianę pokrywały czerwone draperie, opadające z sufitu w obfitych fałdach. Zgromadziło się tam w grupkach wielu dobrze ubranych mężczyzn i kobiet, niektórzy stali obok fortepianu, inni rozsiedli się na jasnobieżowym obiciu jasnych drewnianych foteli. Tu i ówdzie dostrzegłem kilka atrakcyjnych młodych kobiet, ale starannie unikałem obrzucania ich więcej niż jednym spojrzeniem. Czułem się niezwykle skrępowany, mimo że po przelotnych rzutach oka nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. Było tak, jakby mnie nie widzieli, jakbym był tutaj, ale jednocześnie nie tutaj. Ci, z którymi przyjechałem, dołączali teraz do różnych grup i brat Jack ujął mnie za ramię.

– Chodź, napijmy się – powiedział, prowadząc mnie w drugi koniec pokoju.

Za ładnym barem, który był wystarczająco duży, by uświetniać nocny klub, mieszała drinki kobieta, która nas wpuściła.

– Dasz nam drinka, Emma? – spytał brat Jack.

– Hmm, będę musiała o tym pomyśleć – odparła, przekrzywiając swoją ostro wyrzeźbioną głowę i uśmiechając się.

– Nie myśl, działaj – powiedział. – Jesteśmy bardzo spragnionymi ludźmi. Ten młody człowiek popchnął dzisiaj historię dwadzieścia lat do przodu.

– Och – rzekła, skupiając wzrok. – Musisz mi o nim opowiedzieć.

– Po prostu przeczytaj poranne gazety, Emmo. Sprawy zaczynają się posuwać do przodu. Tak, dokonał się skok. – Roześmiał się gromko.

– Co chciałbyś, bracie? – zapytała, omiatając powoli oczyma moją twarz.

– Bourbona – powiedziałem, nieco za głośno, kiedy przypomniałem sobie o najlepszym, co Południe miało do zaoferowania. Twarz miałem rozgrzaną, ale odpowiedziałem na jej spojrzenie, najpewniej jak śmiałem. Nie był to surowy, nie zainteresowany tobą jako ludzką

istotą wzrok, który znałem z Południa, przesuwający się po czarnym, jakby był koniem lub owadem, lecz coś więcej, bezpośrednie spojrzenie w rodzaju jakiego typu człowieka tutaj mamy”, które zdawało się wnikać pod moją skórę... Gdzieś w nodze zaczął mi gwałtownie drgać jakiś mięsień.

– Emmo, bourbon! Dwa bourbony – powiedział brat Jack.

– Wiesz – rzekła, podnosząc karafkę – jestem zaintrygowana.

– Naturalnie. Zawsze – powiedział. – Zaintrygowana i intrygująca. Ale umieramy z pragnienia.

– Tylko z niecierpliwości – stwierdziła, nalewając bourbona. – To znaczy ty umierasz. Powiedz mi, gdzie znalazłeś tego bohatera ludu?

– Nie znalazłem – odparł brat Jack. – Po prostu wyłonił się z tłumu. – Lud zawsze rodzi swoich przywódców, rozumiesz...

– Rodzi – powtórzyła. – Bzdura, żuje ich i wypluwa. Przywódców się robi, nie rodzi. Potem się ich niszczy. Sam zawsze to mówiłeś. Proszę, bracie.

Przyjrzał się jej bacznie. Wziąłem ciężką kryształową szklankę i podniosłem do ust, zadowolony, że mam pretekst, by odwrócić od niej wzrok. Przez pokój płynął obłok dymu papierosowego. Usłyszałem za sobą mocne arpeggio na fortepianie i odwróciłem się, by tam spojrzeć, a ta kobieta, Emma, powiedziała niezbyt cicho:

– Ale nie sądzisz, że powinien być trochę czarniejszy?

– Csss, nie bądź cholerną idiotką – odparł ostro brat Jack. – Nie interesuje nas jego wygląd, ale głos. I radzę ci, Emmo, żebyś ty też się tym zainteresowała...

Poczułem nagle, że robi mi się gorąco i nie mogę złapać tchu. Zobaczyłem po drugiej stronie pokoju okno, podszedłem więc tam i wyjrzałem na ulicę. Byliśmy bardzo wysoko, latarnie uliczne i samochody kreśliły wzory w nocy na dole. A więc ona uważa, że nie jestem wystarczająco czarny. Kogo potrzebuje, komika z uczernioną twarzą? A w ogóle kim ona jest – żoną brata Jacka, jego dziewczyną? Może chce widzieć, jak pocę się smołą, tuszem, pastą do butów, grafitem. Czym ja jestem – człowiekiem czy bogactwem naturalnym?

Okno znajdowało się tak wysoko, że ledwie słyszałem odgłosy ruchu ulicznego... Był to zły początek, ale, do diabła, zatrudnił mnie brat Jack, jeśli nadal mnie chce, a nie ta kobieta Emma. Dobrze by było jej pokazać, jaki naprawdę jestem czarny, pomyślałem, pociągając duży łyk bourbona. Był gładki, zimny. Będę musiał z tym uważać. Wszystko się może zdarzyć, jeśli wypiję za dużo. Muszę być ostrożny z tymi ludźmi. Zawsze ostrożny. Muszę być ostrożny ze wszystkimi ludźmi...

– Ładny widok, prawda? – usłyszałem, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. – Czy mógłbyś teraz dołączyć do nas w bibliotece? – zapytał.

Czekali tam brat Jack, mężczyźni, którzy przyjechali samochodem, i dwóch innych, których wcześniej nie widziałem.

– Wejdz, bracie – powiedział Jack. – Najpierw interesy, potem przyjemność – to zawsze dobra zasada, bez względu na to, kim jesteś. Pewnego dnia stanie się zasadą, że interesy będą szły w p a r z e z przyjemnością, bo przywrócona zostanie radość z pracy. Usiądź.

Usadowiłem się na fotelu na wprost niego, zastanawiając się, do czego zmierza ta gadka.

– Wiesz, bracie – podjął – normalnie nie przerywamy spotkań towarzyskich, żeby rozmawiać o interesach, ale w twojej sprawie jest to konieczne.

– Bardzo mi przykro – rzekłem. – Powinienem być zadzwonić wcześniej.

– Przykro? Ależ cieszymy się, że możemy to zrobić. Czekaliśmy na ciebie od wielu miesięcy. Albo na kogoś innego, kto potrafiłby zrobić to, co ty zrobiłeś.

– Ale co...? – zacząłem.

– Co robimy? Jaki jest nasz cel? To proste; pracujemy nad lepszym światem dla wszystkich ludzi. I tyle. Zbyt wielu wyzuto z ich dziedzictwa, więc połączyliśmy się w bractwie, żeby coś z tym zrobić. Co o tym myślisz?

– Cóż, myślę, że to wspaniałe – powiedziałem, starając się pojąć w pełni znaczenie jego słów. – Uważam, że to świetnie. Ale jak?

– Przez mobilizowanie ich do działania, tak jak ty to zrobiłeś dzisiaj rano... Bracia, byłem tam – zwrócił się do pozostałych – a on był wspaniały. Paroma słowami wywołał skuteczną demonstrację przeciwko eksmisjom!

– Ja też tam byłem – powiedział inny. – To było niezwykle.

– Powiedz nam coś o swoim pochodzeniu – rzekł brat Jack, wskazując głosem i zachowaniem, że domaga się szczerych odpowiedzi. A ja wyjaśniłem krótko, że przyjechałem tutaj w poszukiwaniu pracy, żeby zapłacić za studia i że nie udało mi się jej znaleźć.

– Nadal planujesz powrót?

– Już nie – powiedziałem. – Skończyłem z tym.

– No i dobrze – rzekł na to brat Jack. – Niewiele byś się tam nauczył. Jednak wyższe wykształcenie nie jest złe – chociaż będziesz musiał zapomnieć większość tego, czego się tam dowiedziałeś. Studiowałeś ekonomię?

– Trochę.

– Socjologię?

– Tak.

– Posłuchaj mojej rady i zapomnij o tym. Dostaniesz książki do przeczytania, razem z materiałami, które szczegółowo wyjaśnią nasz program. Ale trochę się zagalopowaliśmy. Może nie jesteś zainteresowany pracą dla Bractwa.

– Nie powiedziałeś mi, co miałbym robić – rzuciłem.

Patrząc na mnie nieruchomym wzrokiem, podniósł powoli szklanekę i pociągnął długi łyk.

– Ujmijmy to w ten sposób – rzekł. – Nie chciałbyś zostać nowym Bookerem T. Washingtonem?

– Co?! – Spojrzałem w jego bezbarwne oczy, szukając w nich iskerek śmiechu, i zobaczyłem, że przechyla swą rudą głowę lekko w bok. – Bez żartów, proszę – powiedziałem.

– Ależ mówię poważnie.

– Wobec tego nie rozumiem cię. – Czy ja byłem pijany? Popatrzyłem na niego; on wydawał się trzeźwy.

– Co sądzisz o tym pomysłe? Albo jeszcze lepiej, co sądzisz o Bookerze T. Washingtonie?

– Cóż, oczywiście uważam, że był ważną postacią. Przynajmniej większość ludzi tak mówi.

– Ale?

– No cóż – Zabrakło mi słów. Znowu się zagalopował. Cały ten pomysł był poroniony, a mimo to pozostali patrzyli na mnie ze spokojem; jeden z nich zapalił wygiętą fajkę. Trzasnęła zapalka, zapłonęła.

– O co chodzi? – drążył brat Jack.

– No cóż, raczej nie sądzę, żeby był równie wielki jak Założyciel.

– Ach tak? A dlaczego?

– Otóż po pierwsze, Założyciel pojawił się przed nim i zrobił praktycznie to samo co Booker T. Washington, i dużo więcej. I wierzyło w niego więcej ludzi. Toczy się wiele sporów o Bookera T. Washingtona, ale o Założyciela niewielu się spiera...

– Tak, ale być może dlatego, że Założyciel znajduje się poza historią, a Washington jest nadal żywą siłą. Jednakże n o w y Washington będzie pracował dla biednych...

Spojrzałem w moją kryształową szklanekę bourbona. Było to niewiarygodne, ale dziwnie podniecające i miałem wrażenie, że jestem obecny przy tworzeniu wielkich wydarzeń, jak gdyby rozsunała się jakaś zasłona i pozwolono mi zerknąć na to, jak funkcjonuje ten kraj. A jednak żaden z tych mężczyzn nie był osobą ogólnie znaną, a przynajmniej nigdy nie widziałem ich twarzy w gazetach.

– W tych czasach niezdecydowania, kiedy wykazano, że wszystkie stare odpowiedzi są fałszywe, lud spogląda na nieżyjących, szukając u nich jakiejś wskazówki – ciągnął dalej brat Jack. – Odwołuje się najpierw do jednego, a potem do drugiego z tych, którzy działali w przeszłości.

– Jeśli pozwolisz, bracie – przerwał ten z fajką – myślę, że powinniśmy mówić konkretniej.

– Nie przerywaj, proszę – powiedział lodowato brat Jack.

– Chcę tylko wskazać, że istnieje terminologia naukowa – rzekł tamten, akcentując swoje słowa fajką. – W końcu my tutaj określamy się mianem naukowców. Mówmy jak naukowcy.

– W odpowiednim czasie – odparł brat Jack. – W odpowiednim czasie... Widzisz, bracie – zwrócił się do mnie – kłopot polega na tym, że martwi nie mogą wiele zrobić; w przeciwnym razie nie byliby martwi. Nie! Ale z drugiej strony byłoby błędem zakładać, że martwi są absolutnie bezsilni. Są bezsilni tylko wtedy, kiedy trzeba dać pełną odpowiedź na nowe pytanie stawiane żyjącym przez historię. Ale próbują! Kiedy tylko słyszą naglące krzyki ludu podczas kryzysu, odpowiadają. Właśnie teraz w tym kraju, z jego wieloma grupami narodowymi, przywołuje się do życia wszystkich starych bohaterów – Jeffersona, Jacksona, Pułaskiego, Garibaldiego, Bookera T. Washingtona, Sun Yat-sena, Danny’ego O’Connella, Abrahama Lincolna i niezliczone rzesze innych prosi się o to, żeby znowu wkroczyli na scenę historii. Mogę powiedzieć bez najmniejszej przesady, że znaleźliśmy się w ostatecznym momencie historii, w chwili największego światowego kryzysu. Jeśli nic się nie zmieni, czeka nas zagłada. A musi się zmienić. I to lud musi to zmienić. Dlatego, bracie, że wrogowie człowieka wywłaszczają świat! Rozumiesz?

– Zaczynam rozumieć – odparłem, nie mogąc ochłonąć z wrażenia.

– Są inne terminy, inne sposoby wyrażania tego wszystkiego, ale teraz nie mamy na to czasu. Używamy teraz terminów, które łatwo zrozumieć. Tak jak ty, kiedy dziś rano przemawiałeś do tłumu.

– Rozumiem – powiedziałem, czując się niepewnie pod jego spojrzeniem.

– A więc nie chodzi o to, czy chcesz zostać nowym Bookerem T. Washingtonem, przyjacielu. Booker Washington został dzisiaj wskrzeszony podczas pewnej eksmisji w Harlemie. Wyłonił się z anonimowości tłumu i przemówił do ludzi. Tak więc widzisz, że nie stroję sobie z ciebie żartów. Nie stosuję też gry słów. Istnieje naukowe wyjaśnienie tego zjawiska – jak łaskawie przypomniał mi nasz uczoney brat – poznasz je w swoim czasie, ale bez względu na to, jak to nazwiesz, kryzys światowy jest faktem. My tutaj jesteśmy realistami i materialistami. To kwestia tego, kto nada kierunek wydarzeniom. Właśnie dlatego sprowadziliśmy cię do tego pokoju. Dzisiejszego ranka odpowiedziałeś na apel ludu i chcemy, byś był jego prawdziwym rzecznikiem. Będziesz nowym Bookerem T. Washingtonem, ale staniesz się jeszcze większy niż on.

Zapanowało milczenie. Słyszałem wilgotne trzeszczenie fajki.

– Może powinniśmy pozwolić temu bratu powiedzieć, co myśli o tym wszystkim – odezwał się mężczyzna z fajką.

– No więc, bracie? – spytał brat Jack.

Patrzyłem na ich pełne oczekiwania twarze.

– To wszystko jest dla mnie takie nowe, że nie wiem dokładnie, co o tym myśleć – powiedziałem. – Naprawdę uważacie, że macie właściwego człowieka?

– Tym się nie przejmuj – rzekł brat Jack. – Dorośniesz do zadania; musisz tylko ciężko pracować i stosować się do instrukcji.

Powstali teraz. Spojrzałem na nich, walcząc z poczuciem nierzeczywistości. Wpatrywali się we mnie jak członkowie uczelnianej korporacji, kiedy mnie do niej wprowadzano. Tylko że to działało się naprawdę i nadszedł teraz czas, bym się zdecydował albo powiedział, że oszaleli, i wrócił do Mary. Me co mam do stracenia? pomyślałem. Przynajmniej zaprosili

mnie, jednego z nas, na początek czegoś wielkiego; a poza tym jeśli im odmówię, gdzie pójdę – do pracy jako tragarz na kolei? Tutaj miałem przynajmniej szansę przemawiać.

– Kiedy mam zacząć? – zapytałem.

– Jutro, nie mamy nawet chwili do stracenia. A tak w ogóle to gdzie mieszkasz?

– Wynajmuję pokój u pewnej kobiety w Harlemie – powiedziałem.

– Gospodyni domowej?

– Jest wdową – odparłem. – Wynajmuje pokoje.

– Jakie ma wykształcenie?

– Nieduże.

– Mniej więcej takie jak ta para eksmitowanych staruszków?

– Coś w tym rodzaju, ale ona potrafi zatroszczyć się o siebie. Jest twarda – powiedziałem ze śmiechem.

– Zadaje dużo pytań? Jesteś z nią w przyjaznych stosunkach?

– Jest dla mnie bardzo miła – powiedziałem. – Pozwoliła mi zostać, kiedy już nie byłem w stanie płacić czynszu.

Potrząsnął głową.

– Nie.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Najlepiej, żebyś się przeprowadził – powiedział. – Znajdziemy ci coś bliżej centrum, żebyś był pod ręką...

– Aleja nie mam pieniędzy, a jej można całkowicie ufać.

– To się załatwi – rzekł, machając ręką. – Musisz sobie natychmiast uświadomić, że duża część naszej działalności ma przeciwników. Dlatego nasza dyscyplina wymaga, byśmy z nikim nie rozmawiali i unikali sytuacji, w których nieświadomie moglibyśmy przekazać jakieś informacje. Musisz więc zapomnieć o swojej przeszłości. Masz rodzinę?

– Tak.

– Kontaktujesz się z nimi?

– Oczywiście. Od czasu do czasu piszę do domu – odparłem. Przystawał mi się podobać ten sposób wypytywania. Głos brata Jacka stał się zimny, dociekliwy.

– Wobec tego najlepiej będzie, jak przestaniesz na pewien czas – powiedział. – Tak czy owak będziesz zbyt zajęty. Proszę. – Zagłębił dłoń w kieszeni kamizelki i poderwał się nagle na nogi.

– Co się stało? – spytał ktoś.

– Nic, przepraszam – rzucił, podszedł do drzwi i przywołał kogoś skinięciem dłoni. Za chwilę ujrzałem, że pojawia się ta kobieta. – Emma, ten papierek, który ci dałem. Przekaż go nowemu bratu – powiedział, kiedy weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Och, a więc to ty – powiedziała ze znaczącym uśmiechem.

Patrzyłem, jak sięga za stanik swej taftowej sukni gospodyni i wydobywa białą kopertę.

– To twoja nowa tożsamość – powiedział brat Jack. – Od tej chwili zacznij o sobie myśleć jako o człowieku noszącym to nazwisko. Przyswój to sobie tak głęboko, żebyś reagował na nie, nawet jeśli ktoś zawoła cię w środku nocy. Niebawem staniesz się znany pod tym nazwiskiem w całym kraju. Masz nie odpowiadać na żadne inne, rozumiesz?

– Postaram się – odparłem.

– Nie zapomnij o jego mieszkaniu – powiedział ten wysoki.

– Tak – powiedział brat Jack, marszcząc brwi. – Emma, proszę o trochę funduszy.

– Ile, Jack? – zapytała.

Obrócił się ku mnie.

– Ile zalegasz za czynsz?

– Za dużo – powiedziałem.

– Niech będzie trzysta, Emma – rzekł. – Nie ma o czym mówić – dodał, kiedy okazałem zdziwienie. – To starczy na twoje długi i ubranie. Zadzwoń do mnie rano, do tej pory wybiorę ci mieszkanie. Płaca na początek – sześćdziesiąt dolarów tygodniowo.

Sześćdziesiąt na tydzień! Z wrażenia zaparło mi dech. Kobieta przeszła przez pokój do biurka, wróciła z pieniędzmi i włożyła mi je do ręki.

– Lepiej je odłóż – poradziła serdecznie.

– No, bracia, myślę, że to wszystko – oznajmił brat Jack. – Emma, może byśmy się czegoś napili?

– Oczywiście, oczywiście – rzekła, podchodząc do serwantki i wyjmując karafkę i szklanki, do których nalała około cała przezroczyściego płynu. – Proszę, bracia – powiedziała.

Wziąwszy swoją szklankę, brat Jack podniósł ją do nosa i zaciągnął się głęboko zapachem.

– Za Braterstwo Człowieka... za Historię i Zmianę – oznajmił, stukając nią moją szklankę.

– Za Historię – powiedzieliśmy wszyscy.

Trunek rozpałił mi gardło i musiałem pochylić głowę, aby ukryć łzy, które pociekły mi z oczu.

– Aaaach! – powiedział ktoś z wielkim zadowoleniem.

– Chodźmy – powiedziała Emma. – Dołączmy do reszty.

– Teraz coś dla przyjemności – rzekł brat Jack. – I zapamiętaj swoją nową tożsamość.

Chciałem trochę pomyśleć, ale nie dali mi czasu. Wepchnięto mnie do tego dużego pokoju i przedstawiono, podając moje nowe nazwisko. Każdy uśmiechał się i zdawał się chcieć zawrzeć ze mną znajomość, jakby wszyscy wiedzieli, jaką mam odegrać rolę: Wszyscy ciepło ściskali mi dłoń.

– Jakie jest twoje zdanie na temat obecnych praw kobiet, bracie? – zapytała mnie jakaś kobieta w szkockim berecie z czarnego welwetu.

Zanim jednak zdążyłem otworzyć usta, brat Jack popchnął mnie ku grupce mężczyzn, z których jeden najwyraźniej wiedział wszystko o tej eksmisji. Tuż obok grupka gości skupiona wokół fortepianu śpiewała piosenki ludowe raczej głośno niż melodyjnie. Przechodziliśmy od grupy do grupy, brat Jack bardzo apodyktyczny, pozostali zawsze pełni szacunku. Pewnie jest potężnym człowiekiem, pomyślałem, bynajmniej nie błaznem. Ale do diabła z tą sprawą z Bookerem T. Washingtonem. Będę wykonywał tę robotę, ale nie będę nikim innym, tylko sobą – kimkolwiek tam jestem. Będę wzorował swoje życie na życiu Założyciela. Mogą myśleć, że chciałem się zachować jak Booker T. Washington; niech sobie myślą. Ale to, co ja sam będę o sobie myślał, zachowam dla siebie. Tak, i będę też musiał ukryć fakt, że naprawdę się bałem, kiedy wygłaszałem tę mowę. Poczulem nagle, że zbiera mi się na śmiech. Będę musiał się podciągnąć w tej nauce historii.

Podeszliśmy teraz do fortepianu, gdzie jakiś zasadniczy młodzieniec zaczął mnie wypytywać o różnych przywódców społeczności Harlemu. Znałem ich tylko z nazwisk, ale udawałem, że znam ich wszystkich osobiście.

– Dobrze – stwierdził – dobrze, musimy współpracować z tymi wszystkimi siłami w nadchodzącym okresie.

– Tak, masz zupełną rację – powiedziałem, zakręciwszy szklanką. Dostrzegł mnie pewien niski, szeroki mężczyzna i machnął do reszty, żeby przerwali.

– Słuchaj, bracie – zawołał. – Przestańcie grać, chłopcy, przestańcie!

– Tak, eee... bracie – rzekłem.

– Ciebie właśnie potrzebujemy. Szukaliśmy cię.

– O – powiedziałem.

– A może by tak spiritual, bracie? Albo jedną z tych dobrych starych murzyńskich pieśni pracy? Jak *ta: Pojechał ja do Atlanty – nie był tam nigdy przedtem* – zaśpiewał, z rękami

sterczącymi jak skrzydła pingwina, trzymając w jednej dłoni szklanke, w drugiej cygaro. – *Biały śpi na piecu, czarnuch śpi na podłodze...* Ha! Ha! No i jak, bracie?

– Ten brat nie śpi e w a! – ryknął staccato brat Jack.

– Bzdura, w s z y s c y kolorowi śpiewają.

– To odrażający przykład nieświadomego szowinizmu rasowego! – stwierdził Jack.

– Bzdura, ja l u b i ę ich śpiew – rzekł z uporem ten szeroki.

– Ten brat nie śpi e w a! – krzyknął brat Jack, a jego twarz gwałtownie spurpurowiała.

Szeroki popatrzył na niego przekornie.

– Dlaczego nie pozwolisz, żeby on sam powiedział, czy umie śpiewać czy nie...? No, bracie, rozgrzej się! *Hej, Mojżeszu* – ryknął nierównym barytonem, odkładając cygaro i strzelając palcami. – *Tam daleko, w ziemi egipskiej. Powiedz staremu faraonowi, żeb pozwolił kolorowym śpiewać!*

Jestem za prawem tego kolorowego brata do śpiewania! – krzyknął wojowniczo.

Brat Jack wyglądał tak, jakby miał się za chwilę udusić; podniósł rękę, dając jakiś znak. Zobaczyłem, jak z drugiej strony pokoju podbiega dwóch mężczyzn i wyprowadza bez ceregieli tego niskiego. Kiedy zniknęli za drzwiami, wyszedł za nimi brat Jack. Zapanowała niesamowita cisza.

Stałem tam przez chwilę, ze wzrokiem utkwionym w drzwi, potem się odwróciłem. Szklanka w mojej dłoni zrobiła się gorąca, a twarz paliła mnie, jakby miała za moment wybuchnąć. Dlaczego wszyscy gapili się na mnie, jakbym ponosił za to winę? Dlaczego, do diabła, gapili się na mnie? Nagle wrzasnąłem:

– Co się z wami dzieje? Nie widzieliście nigdy pijanego...

A wtedy gdzieś spoza holu dotarł do nas zawodzący pijacko głos tego szerokiego:

– *Mamaaa z St. Louis z diamentowymi pieeerścionkami...*

Ucięło go trzaśnięcie drzwi, zostawiając cały pokój oszołomionych twarzy. I nagle roześmiałem się histerycznie.

– Uderzył mnie w twarz – wyrzeźbiłem. – Uderzył mnie w twarz jardem flaków! – Z rykiem zgiałem się wpół, a cały pokój zdawał się skakać w górę i w dół z każdym szybkim wybuchem śmiechu. – Rzucił we mnie głowizną – zawołałem, ale nikt zdawał się nie rozumieć. Oczy zasły mi łzami, ledwo widziałem. – On jest wysoki jak sosna z Georgii – roześmiałem się, obracając się do stojącej najbliższej mnie grupki. – Jest absolutnie pijany... muzyką!

– Tak. Pewnie – powiedział nerwowo jakiś mężczyzna. – Ha, ha...

– Trzy prześcieradła na wietrze – śmiałem się, odyskując teraz oddech i odkrywając, że milczące napięcie pozostałych gości przeradza się w bąbel śmiechu, który rozbrzmiewa w całym pokoju, wzmacnia się szybko i przechodzi w ryk, w śmiech wszystkich wymiarów, nateżeń i intonacji. Przyłączali się wszyscy. Pokój podskakiwał.

– A widzieliście twarz brata Jacka – krzyknął jakiś mężczyzna, potrząsając głową.

– To było morderstwo!

– Hej, Mojżeszu!

– Mówię wam, to było morderstwo!

Po drugiej stronie pokoju walili kogoś w plecy, żeby się nie zakrztusił. Pojawiły się chusteczki do nosa, nastąpiło wysiakiwanie nosów, wycieranie oczu. Jakaś szklanka roztrzaskała się na podłodze, przewróciło się krzesło. Walczyłem z bolesnym śmiechem i kiedy się uspokoiłem, zobaczyłem, że spoglądają na mnie z wyrazem skrępowanej wdzięczności. Było to otrzewiające, a mimo to wydawali się udawać, że nie zdarzyło się nic niezwykłego. Uśmiechali się. Kilka osób podeszło do mnie i poklepało mnie po plecach, potrząsnęło moją dłońią. Wszyscy zachowywali się tak, jakbym powiedział im coś, co bardzo chcieli usłyszeć, wyświadczył ważną usługę, której nie rozumiałem. Ale widać to było w ich

twarzach. Rozbolał mnie żołądek. Chciałem wyjść, zejść im z oczu. Wtedy podeszła do mnie niska, drobna kobieta i ścisnęła moją dłoń.

– Przykro mi, że musiało się to zdarzyć – powiedziała powolnym jankeskim tonem – naprawdę przykro. Wiesz, nie wszyscy z naszych braci są wysoko rozwinięci. Chociaż mają dobre intencje. Pozwól mi za niego przeprosić...

– Och, on był tylko zalany – stwierdziłem, patrząc w jej wąską twarz z Nowej Anglii.

– Tak, wiem, i to w wielce wymowny sposób. Ja nigdy nie poprosiłabym naszych kolorowych braci, żeby zaśpiewali, chociaż lubię ich słuchać. Bo wiem, że byłby to przejaw zacofania. Masz wspierać nas w walce, a nie zabawiać. Myślę, że mnie rozumiesz, prawda, bracie?

Posłałem jej spokojny uśmiech.

– Oczywiście, że rozumiesz. Muszę już iść, do widzenia – powiedziała, podała mi drobną dłoń w białej rękawiczce i ruszyła do wyjścia.

Byłem zdumiony. O co jej chodziło? Czy o to, że rozumiała, iż nie podoba się nam, kiedy inni myślą, że wszyscy jesteśmy artystami estradowymi i urodzonymi pieśniarzami? Ale teraz ten odwzajemniony śmiech nieco mnie zaniepokoił: Czy nie powinien istnieć jakiś sposób poproszenia nas, byśmy zaśpiewali? Czy ten niski facet nie powinien mieć prawa do popełnienia błędu bez przypisywania mu świadomych czy nieświadomych złośliwych pobudek? W końcu to on śpiewał, a przynajmniej próbował śpiewać. A gdybym to ja poprosił go, żeby zaśpiewał? Patrzyłem na tę drobną kobietę, ubraną na czarno jak misjonarka, idącą krętą drogą przez tłum. Co, u licha, ona tutaj robiła? Jaką odgrywała rolę? Bez względu na to, o co jej chodziło, była miła i podobała mi się.

Akurat wtedy podeszła Emma i wyrwała mnie do tańca, a ja prowadziłem ją po parkiecie przy akompaniamencie dźwięków fortepianu, myśląc o przepowiedni weterana i przyciskając ją do siebie, jakbym co wieczór tańczył z takimi jak ona. Bo zaangażowawszy się, czułem, że nigdy nie będę mógł sobie pozwolić na okazanie zaskoczenia albo niepokoju – nawet w sytuacjach najdalszych od mojego doświadczenia. W przeciwnym razie mógłbym zostać uznany za osobę, na której nie można polegać, albo za osobę niegodną zaufania. Czułem, że oczekują ode mnie, iż będę wykonywał nawet te zadania, do których nie przygotowało mnie żadne z moich dotychczasowych doświadczeń – może z wyjątkiem mojej wyobraźni. Niemniej jednak nie było to nic nowego, biali zawsze zdawali się oczekiwać, że będziesz znał się na sprawach, przed których poznaniem powstrzymywali cię w każdy możliwy sposób. Pozostawało mi tylko być przygotowanym – jak przygotowany był mój dziadek, kiedy dla sprawdzenia jego zdolności do głosowania zażądano, by wyrecytował całą konstytucję Stanów Zjednoczonych. Wprowadził ich wszystkich w zakłopotanie, zdając ten sprawdzian, chociaż i tak odmówiono mu prawa wzięcia udziału w wyborach... W każdym razie ci tutaj byli inni.

Była prawie piąta nad ranem, wiele tańców i bourbonów później, kiedy dotarłem do Mary. Z jakiegoś powodu zdziwiłem się, że mój pokój jest nadal taki sam – jeśli nie liczyć tego, że Mary zmieniła pościel. Dobra stara Mary. Otrzeźwiałem i ogarnąłem mnie smutek. A kiedy się rozebrałem, zobaczyłem swoje znoszone ubranie i zdałem sobie sprawę, że będę musiał je odrzucić. Na pewno był już czas, żeby to zrobić. Wyrzucę nawet kapelusz; jego zielenie spłowiała od słońca i zbrązowiała, jak liść strącony przez zimowy śnieg. Będę potrzebował nowego kapelusza dla mojego nowego nazwiska. Czarny, z szerokim rondem; może homburg... humbug? Roześmiałem się. No cóż, pakowanie się mogę odłożyć do jutra – miałem bardzo mało rzeczy, być może to i lepiej. Będę podróżował lekki, daleko i szybko. Ci ludzie byli naprawdę szybcy. Istniała ogromna różnica między Mary a tymi, dla których ją opuszczałem. Ale dlaczego musiało się to odbyć w ten sposób, że ta akurat praca, która mogła mi umożliwić zrobienie pewnych rzeczy, jakich Mary ode mnie oczekiwała, wymagała, bym ją opuścił? Jaki pokój wybierze dla mnie brat Jack i dlaczego nie pozostawiono tego wyboru

mnie? Nie wydawało się właściwe, bym musiał mieszkać gdzie indziej, żeby zostać przywódcą Harlemu. Ale nic nie wydawało się właściwe i będę musiał zdać się na ich osąd. Wydawali się ekspertami w tych sprawach.

Ale jak dalece mogłem im ufać i czym różnili się od członków zarządu szkoły? Bez względu na to, jak się sprawy mają, podjąłem już pewne zobowiązanie; dowiem się podczas pracy z nimi, pomyślałem, przypomniawszy sobie o pieniądzach. Banknoty były świeże i szeleszczące i starałem się wyobrazić sobie zdumienie Mary, kiedy ureguluję dług za czynsz i wyżywienie. Pomyśli, że żartuję. Ale pieniędzmi nigdy nie odpłacę jej za wielkoduszność. Nigdy nie zrozumie, dlaczego chcę się wyprowadzić tak szybko po znalezieniu pracy. A jeśli w ogóle odniosę jakiś sukces, będzie się to wydawało szczytem niewdzięczności. Jak spojrzę jej w oczy? Nie prosiła o nic w zamian. Albo prawie o nic, bo pragnęła, bym stał się, jak to określała, „przywódcą rasy”. Zadrżałem z zimna. Trudno będzie jej powiedzieć, że się wyprowadzam. Nie chciałem o tym myśleć, ale nie można być sentymentalnym. Jak powiedział brat Jack, Historia stawia nam wszystkim ostre wymagania. Ale były to wymagania, którym trzeba było sprostać, jeśli ludzie mieli być panami, a nie ofiarami swoich czasów. Czy w to wierzyłem? Może już zacząłem płacić. Poza tym mogę od razu przyznać, pomyślałem, że wiele mi się nie podoba u ludzi takich jak Mary. Przed wszystkim rzadko wiedzą, gdzie kończy się ich osobowość, a zaczyna twoja; myślą zwykle w kategoriach „my”, podczas gdy ja zawsze miałem skłonność do myślenia w kategoriach „ja”, co wywoływało pewne tarcia, nawet w mojej rodzinie. Brat Jack i ci pozostali również mówili w kategoriach „my”, ale to było inne, większe „my”.

No cóż, miałem nowe nazwisko i nowe problemy. Lepiej zrobię, zostawiając stare za sobą. Może najlepiej będzie w ogóle nie spotkać się z Mary, ale po prostu włożyć pieniądze do koperty i zostawić na stole w kuchni, gdzie je na pewno znajdzie. Tak będzie lepiej, pomyślałem sennie; nie będę musiał stać przed nią i potykać się o emocje i słowa, które były w najlepszym razie zablokowane i nieodróżnicowane... O ludziach z Chtonicznego trzeba było powiedzieć jedno – wszyscy potrafili wyrażać to, co czuli i myśleli, za pomocą twardych, jasnych terminów. Tego też będę musiał się nauczyć... Wyciągnąłem się na łóżku, słysząc jęk sprężyn. W pokoju było zimno. Słuchałem nocnych odgłosów domu. Tykał zegar z próżnym pośpiechem, jak gdyby chciał dogonić czas. Na ulicy zawyła syrena.

Rozdział 15

Potem, obudzony i nie obudzony, siedziałem sztywno na łóżku, starając się przeniknąć wzrokiem szare, mdłe światło i usiłując dociec znaczenia nieprzyjemnego, szarpiącego nerwy dźwięku. Odsunąwszy na bok koc, zatkałem rękami uszy. Ktoś walił w rurę w pionie ciepłowniczym i gapilem się bezradnie przed siebie przez długie minuty. Pękały mi uszy. Zaczął mnie strasznie swędzieć bok, więc rozerwałem piżamę, by się podrapać, i nagle wydało mi się, że ból przeskoczył z uszu w bok, i zobaczyłem szare ślady, pojawiające się tam, gdzie złuszczała się pod moimi kopiącymi paznokciami stara skóra. A kiedy się temu przyglądałem, dostrzegłem zbierające się w zadrapaniach cienkie strużki krwi, które niosły ból i znowu łączyły czas z miejscem, pomyślałem: Podczas ostatniego dnia mojego pobytu u Mary w pokoju wysiadło ogrzewanie, i nagle zrobiło mi się źle na sercu.

Budzik, którego dzwonek zginął w tym głośniejszym dźwięku, wskazywał siódmą trzydzieści, wstałem więc z łóżka. Musiałem się pospieszyć. Zanim zadzwonię do brata Jacka po instrukcje, muszę zrobić zakupy, no i dać Mary pieniądze... Dlaczego nie przestają hałasować? Sięgnąłem po buty, wzdrygając się, kiedy stukanie rozległo się, jak odniosłem wrażenie, o cal od mojej głowy. Dlaczego nie przestaną, pomyślałem. I dlaczego czuję się taki zawiedziony? Bourbon? Puszczają mi nerwy?

Nagle przeskoczyłem jednym susem pokój i zacząłem walić wściekle w rurę obcasem buta.

– Przestań, ty nieokrzęsany głupcze!

Hałas rozsadzał mi głowę. Nie panując nad sobą, obtłukiwałem z rury strzępki srebra i obnażałem czarne, zardzewiałe żelazo. Ten ktoś używał teraz kawałka metalu, a uderzenia rozbrzmiewały nierównym tonem.

Gdybym tylko wiedział kto to, pomyślałem, rozglądając się za czymś ciężkim, by się zrewanżować. Gdybym tylko wiedział!

Potem zobaczyłem koło drzwi coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyłem: żeliwną figurkę bardzo czarnego Murzyna o czerwonych wargach i szerokich ustach, którego białe oczy łypały na mnie z podłogi, twarz wykrzywiona była w ogromnym uśmiechu, a jedyna duża czarna ręka uniesiona była spodem dłoni do góry na wysokości piersi. Była to skarbonka, przykład wczesnej amerykańskiej sztuki użytkowej; jeśli umieści się monetę na dłoni figurki i naciśnie dźwignię na jej plecach, podniesie ona rękę i wrzuci monetę w szeroko uśmiechnięte usta. Zastygłem na sekundę, czując, że wzbiera we mnie nienawiść, a potem rzuciłem się do przodu i chwyciłem ją, rozwścieczony nagle zarówno tolerancją czy brakiem wyczucia Mary, czy czymkolwiek innym, co pozwoliło jej trzymać w mieszkaniu tę autoironiczną podobiznę, jak i stukaniem.

W mojej dłoni wyraz twarzy figurki przywodził na myśl raczej duszenie się niż uśmiech. Dławiła się, zapchana po gardło monetami.

Jak, do diabła, dostała się tutaj, pomyślałem, po czym podskoczyłem do rury i wymierzyłem jej cios kędzierzawą, żelazną głową.

– Cisza! – wrzasnąłem, co chyba jeszcze bardziej rozwścieczyło stukającego. Łoskot był ogłuszający. Przyłączyli się lokatorzy z góry i z dołu całego pionu. Walnąłem znowu żelazną czupryną i ujrzałem, że fruujące srebro uderza mi w twarz jak gnany wiatrem piasek. Rura dosłownie dygotała od ciosów. Otwierały się okna. Głosy miały sprośności w szyb wentylacyjny.

Kto to wszystko zaczął, zastanawiałem się, kto jest za to odpowiedzialny?

– Dlaczego nie zachowujecie się jak odpowiedzialni ludzie, żyjący w dwudziestym wieku? – zawołałem, wymierzając cios w rurę. – Pozbądźcie się swoich chamskich manier! Zachowujcie się w kulturalny sposób!

Potem usłyszałem trzask i poczułem, że żelazna głowa pęka i rozpada się w mojej dłoni. Monety pofrunęły przez pokój jak świerszcze, dzwoniąc, grzechocząc o podłogę, turlając się. Zamarłem.

– Słuchajta ich! Słuchajta ich! – krzyknęła Mary z korytarza. – Taki hałas, że może obudzić umarłego! Wiedzo, że kiedy ciepło nie dochodzi, to palacz się spił abo polaz szukać swojej kobity, abo co. Dlaczego ludzie sie zachowujo tak, jakby tego nie wiedzieli?

Była teraz pod moimi drzwiami, pukając w rytm ciosów lądujących na rurze i wołając:

– Synu! Czy to stukanie nie idzie trochę stąd?

Obróciłem się niezdecydowany to w jedną, to w drugą stronę, patrząc na kawałki roztrzaskanej głowy i małe monety o wszystkich nominałach rozrzucone po całej podłodze.

– Słyszysz mnie, chłopcze? – krzyknęła.

– O co chodzi? – zapytałem, rzucając się na podłogę i zbierając gorączkowo szczątki figurki. Pomyślałem: Jeśli otworzy drzwi, jestem zgubiony...

– Pytałam, czy ten harmider nie idzie trochę stąd?

– Tak, stąd, Mary – odparłem – ale nic mi nie jest... Już nie śpię.

Zobaczyłem, że porusza się klamka, i zamarłem, kiedy usłyszałem:

– Dla mnie to tak brzmiało, jakby dużo tego hałasu szło stąd. Jesteś ubrany?

– Nie – wrzasnąłem. – Właśnie się ubieram. Za minutę będę gotowy.

– Przyjdź do kuchni – powiedziała. – Tam jest ciepło. Ana kuchence jest gorąca woda dla umycia twarzy... i kawa. Panie, co za łomot!

Stałem jak skamieniały, dopóki nie odeszła od drzwi. Musiałem się pospieszyć. Ukląknęłem, podniosłem kawałek skarbonki, fragment odzianej w czerwoną koszulę piersi, i odczytałem napis, NAKARM MNIE, z ułożonych w półkole białych, żelaznych liter, podobny do nazwy zespołu na koszulce sportowca. Figurka roztrzaskała się na kawałki jak granat, a poszarpane fragmenty pomalowanego żelaza upadły bezładnie wśród monet. Spojrzałem na dłoń; pokazała się na niej mała strużka krwi. Starłem ją, myśląc: Muszę ukryć ten bałagan! Nie mogę zanieść jej jednocześnie i tego, i wiadomości, że się wyprowadzam. Wziąwszy z krzesła gazetę, złożyłem ją sztywno i zmiotłem na nią monety i pokruszony metal. Gdzie to schować, zastanawiałem się, patrząc z głębokim niesmakiem na żelazne skręty włosów, matową czerwień fragmentu uśmiechniętych ust. Dlaczego, pomyślałem z bólem, Mary trzymała coś takiego? Po prostu dlaczego? Zajrzałem pod łóżko. Nie było tam ani śladu kurzu, nie było mowy, żebym mógł tam to schować. Mary była zbyt porządną gospodynią. A poza tym co zrobić z monetami? Do diabła! Może zostawił tę rzecz poprzedni lokator. W każdym razie, bez względu na to, do kogo należała, szczątki figurki trzeba było ukryć. Mogłem skorzystać z szafy, ale tam Mary też to znajdzie. Kiedy nie pokażę się przez parę dni, sprzętne moje rzeczy, a figurka tam będzie. Stukanie już dawno wyszło poza zwykły protest przeciwko brakowi ogrzewania, przekształciło się w urywany rytm rumbi:

Stuk!

Stuk-stuk.

Stuk-stuk!

Stuk!

Stuk-stuk

Stuk-stuk!

wprawiający w wibrację nawet podłogę.

– Jeszcze tylko parę minut, sukinsyny – powiedziałem głośno – i już mnie tu nie będzie! Żadnego szacunku dla jednostki. Dlaczego nie pomyślicie o tych, którzy może chcą spać? A jeśli ktoś jest bliski załamania nerwowego...?

Ale była jeszcze ta paczuszka. Nie pozostawało mi nic innego, jak pozbyć się jej po drodze do centrum. Zwinąłem ją ciasno i włożyłem do kieszeni kurtki. Będę po prostu musiał dać Mary dość pieniędzy, żeby wyrównać stratę tych monet. Dam jej tyle, ile będę mógł, połowę tego, co mam, jeśli będzie trzeba. To powinno jej częściowo wynagrodzić stratę. Powinna to docenić. I teraz uświadomiłem sobie z uczuciem strachu, że muszę spotkać się z nią twarzą w twarz. Nie było innego wyjścia. Dlaczego nie mogę po prostu powiedzieć jej, że się wynoszę, zapłacić i odejść? Ona była gospodynią, ja lokatorem... Nie, było w tym coś więcej, a ja nie byłem wystarczająco twardy, nie miałem wystarczająco naukowego podejścia, żeby choć powiedzieć jej, że odchodzę. Powiem jej, że mam pracę, cokolwiek, ale muszę to zrobić teraz.

Siedziała przy stole, pijąc kawę, kiedy wszedłem; na kuchence syczał czajnik, wyrzucając strumienie pary.

– Jezu, ale się guzdrzesz dziś rano – odezwała się. – Weź trochę wody z czajnika i idź umyć twarz. Chociaż jak jesteś taki zaspany, jak wyglądasz, to może lepiej umyj się tylko w zimnej.

– Ta może być – powiedziałem beznamiętnie, czując osiadającą mi na twarzy, szybko wilgotniejącą i ziębnącą parę. Zegar nad kuchenką spóźnił się w porównaniu z moim.

W łazience włożyłem korek do umywalki, wlałem trochę gorącej wody i ochłodziłem ją wodą z kranu. Przez długi czas zanurzałem twarz w wodzie ciepłej jak łyż, potem spuściłem ją i wróciłem do kuchni.

– Dolej do pełna – powiedziała, kiedy wróciłem. – Jak się czujesz?

– Tak sobie – odparłem.

Siedziała z łokciami opartymi na emaliowanym blacie, z kubkiem w obu dłoniach, lekko odchylając jeden zniszczony od pracy mały palec. Podeszedłem do zlewu i odkręciłem kurek, czując zimny strumień wody na dłoni, myśląc o tym, co muszę zrobić...

– Starczy, chłopcze – powiedziała Mary. Drgnąłem na dźwięk jej głosu. – Obudź się!

– Chyba nie jestem tu całym sobą – rzekłem. – Mój umysł gdzieś błądził.

– No to zawołaj go z powrotem i weź sobie kawy. Jak tylko dopije swojo, zobaczę, co bede mogła upitrasić na śniadanie. Myślę, że masz ochotę se pojeść. Nie wróciłeś wczoraj na kolacje.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wystarczy mi kawa.

– Chłopcze, lepiej znowu zacznij jeść – ostrzegła, nalewając mi pełen kubek kawy.

Wziąłem kubek i pociągnąłem łyk kawy, czarnej. Była gorzka. Mary zerknęła na cukierniczkę i znowu na mnie, ale nic nie powiedziała, a potem zakręciła swoim kubkiem, patrząc na jego zawartość.

– Chyba bede musiała kupić lepsze filtry – rzuciła. – Przez te, co mam, razem z kawo leco fusy, dobre ze złym. Ale jeszcze nie wiem, bo nawet przy tych najlepszych filtrach zawsze znajdzie się trochę fusów na dnie.

Dmuchałem na parujący płyn, unikając wzroku Mary. Stukanie znowu stało się nie do zniesienia. Muszę stąd iść. Popatrzyłem na gorącą, metaliczną powierzchnię kawy i zauważyłem jakąś tłustą, opalizującą plamę.

– Posłuchaj, Mary – powiedziałem, przystępując do rzeczy – chcę z tobą o czymś porozmawiać.

– Daj spokój, chłopcze – odparła szorstko – nie chce, żebyś z samego rana zawracał mi głowę swoim czynszem. Ja się tym nie martwię, bo wiem, że jak dostaniesz pieniądze, to mi zapłacisz. A na razie nie myśl o tym. Nikt w tym domu nie będzie głodował. Poszczyło ci się z szukaniem pracy?

– Nie... to znaczy niezupełnie – wybąkałem, korzystając z okazji. – Ale dzisiaj mam spotkanie w tej sprawie...

Jej twarz pojaśniała.

– O, to dobrze. Coś jeszcze dostaniesz. Wiem to.

– Ale chodzi o mój dług – zacząłem znowu.

– Nie przejmuj się tym. Może zjesz parę naleśników? – zapytała, podnosząc się i podchodząc do kredensu. – Będziesz miał coś w brzuchu w ten ziąb.

– Nie mam czasu – powiedziałem. – Ale mam coś dla ciebie...

– Co takiego? – spytała stłumionym głosem, zaglądając do kredensu.

– Proszę – odparłem, sięgając pospiesznie do kieszeni po pieniądze.

– Co? Zobaczmy, czy mam syrop...

– Ale patrz – powiedziałem niecierpliwie, wyjmując studolarowy banknot.

– Pewnie jest na wyższej półce – rzekła, nadal odwrócona do mnie tyłem.

Westchnąłem, kiedy wyciągnęła zza kredensu drabinę, weszła na nią, trzymając się drzwi, i zajrzała na górną półkę. Nigdy nie uda mi się tego powiedzieć...

– Ale próbuję ci coś dać – rzuciłem.

– Dlaczego nie przestaniesz zwracać mi głowy, chłopcze? Co mi próbujesz dać? – spytała, spoglądając przez ramię.

Podniosłem banknot w górę.

– To – powiedziałem.

Wyciągnęła szyję.

– Chłopcze, co tam masz?

– Pieniądze.

– Pieniądze? Dobry Boże, chłopcze! – powiedziała, omal nie straciwszy równowagi, kiedy odwróciła się całym ciałem. – Skądś wziół tyle pieniędzy? Grasz na loterii?

– Właśnie. Wypadł mój numer – odparłem z wdzięcznością... i pomyślałem: A co powiem, jeśli zapyta mnie, jaka to była liczba? Nie wiedziałem. Nigdy nie grałem.

– Ale czemuś mi nie powiedział? Postawiłabym na niego choć pięć centów.

– Nie sądziłem, że coś z tego będzie – powiedziałem.

– Nie do wiary. I założę się, że zagrałeś pierwszy raz.

– Tak.

– A widzisz, wiedziałam, że masz szczęście. Ja gram już tyle lat, a tyś spróbował pierwszy raz i trafiasz takie pieniądze. Ciesze się, synu. Naprawdę. Ale nie chce twoich pieniędzy. Zaczekaj, aż dostaniesz prace.

– Ale ja ci nie daję całej sumy – powiedziałem szybko. – Tylko zaliczkę.

– Ale to jest sto dolarów. Jak to weźme i spróbuje rozmienić, biali bedo chcieli poznać cało historie mojego życia. – Prychnęła. – Bedo chcieli wiedzieć, gdzie się urodziłam, gdzie pracuje, gdzie byłam przez ostatnie pół roku, a jak im powiem, to dalej bedo myśleli, że to ukradłam. Nie masz nic mniejszego?

– To najmniejszy. Weź to – nalegałem. – Zostanie mi dosyć.

Spojrzała na mnie przenikliwie. – Na pewno?

– Naprawdę – odparłem.

– Nie do wiary... Poczekaj, niech stąd zejde, zanim zlece i skręcę kark! Synu – powiedziała, schodząc z drabiny – ja to naprawdę doceniam. Ale mówię ci, część tych pieniędzy zatrzymam dla siebie, a reszta odłożę dla ciebie. Jak zostaniesz bez grosza, przyjdź prosto do Mary.

– Myślę, że teraz moje problemy się skończą – powiedziałem, patrząc, jak składa starannie banknot i umieszcza go w skórzanej torebce, która zawsze wisiła na oparciu krzesła.

– Naprawdę się ciesze, bo teraz będę mogła zająć się tym rachunkiem, o który wierco mnie dziurę w brzuchu. Dobrze mnie zrobi, jak tam pójdę, rzucę pieniądze na biurko i

powiem, żeby mnie dali spokój. Synu, wierze, że szczęście ci się odmieniło. Ten numer ci się przyśnił?

Zerknąłem na jej przejętą twarz.

– Tak – odparłem – ale to był poplątany sen.

– Co to była za liczba... Jezu! A to co?! – krzyknęła, podrywając się i wskazując na linoleum koło pionu grzewczego.

Zobaczyłem stadko karaluchów, uciekających gorączkowo wzdłuż rury z piętra nad nami i spadających na podłogę wskutek wstrząsów rury.

– Bierz szczotkę! – wrzasnęła Mary. – Z tamtej szafki!

Obszedłszy krzesło, złapałem szczotkę i przyłączyłem się do niej; tłukłem owady szczotką i stopami, słysząc trzaski i chrzęst, kiedy gwałtownie je naciskałem.

– Brudne, śmierdzące stwory – krzyczała Mary. – Bierz tamtego pod stołem! Tam lezie, nie daj mu uciec. Obrzydły drań!

Machałem szczotką, bijąc i zmiatając zmiażdżone insekty na kupki. Dysząc z podniecenia, Mary wzięła szufelkę i podała mi ją.

– Niektórzy ludzie żyją w brudzie – powiedziała z odrazą. – Niech no tylko zaczną się jakieś stukanie, zaraz toto wyłazi. Wystarczy tylko trochę wstrząsów.

Popatrzyłem na mokre plamy na linoleum, a potem odłożyłem drżącymi rękami szczotkę i szufelkę i ruszyłem do wyjścia.

– Nie będziesz wogle jadł śniadania? – zapytała. – Jak tylko sprzątnę ten bałagan, zaraz biorę się do szykowania.

– Nie mam czasu – powiedziałem, kładąc dłoń na klamce. – Mam to spotkanie wcześniej, a przedtem muszę jeszcze załatwić parę spraw.

– No to lepiej zajdź gdzieś i zjedz coś gorącego, jak tylko znajdziesz czas. Nie chodź w taki ziąb z pustym żołądkiem. I nie myśl sobie, że zaczniesz jeść na mieście, bo masz trochę pieniędzy!

– Nie myślę. Zadbam o to – powiedziałem do jej pleców, kiedy myła ręce.

– No to powodzenia, synu – krzyknęła. – Naprawdę zrobiłeś mi miło niespodziankę – a jeśli kłamie, to niech ugryzie mnie coś dużego!

Roześmiała się wesoło, a ja poszedłem do mojego pokoju i zamknąłem drzwi. Włożywszy kurtkę, wyjąłem z szafy teczkę, którą dostałem w nagrodę. Była wciąż tak nowa jak owego wieczoru po walce i wybrzuszyła się teraz, kiedy włożyłem do niej rozbitą skarbonkę i monety i przekręciłem kluczyk w zamku. Potem zamknąłem drzwi szafy i wyszedłem.

Stukanie nie przeszkadzało mi już tak bardzo. Mary śpiewała coś smutnego i spokojnego, kiedy szedłem przez hol, i nadal to śpiewała, kiedy otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Wtedy przypomniałem sobie wszystko i w małym świetle korytarzowej lampy wyjąłem z portfela delikatnie pachnący perfumami paperek i starannie go rozłożyłem. Przeszedł mnie dreszcz; w korytarzu było zimno. Potem to minęło, zmrużyłem oczy i zastanowiłem się poważnie nad moim nowym, nadanym mi przez Bractwo nazwiskiem.

Przejeżdżające samochody miesiły już na błoto śnieg, który spadł w nocy, było też cieplej. Włączając się w tłum przechodniów na chodniku, czułem, jak teczka obija mi się o nogę pod ciężarem pakunku, postanowiłem więc wyrzucić monety i roztrzaskaną skarbonkę do pierwszego kubła na śmieci. Nie chciałem, żeby coś takiego przypominało mi o ostatnim ranku u Mary.

Skierowałem się w stronę rzędu pogiętych kubłów na śmieci, ustawionych przed rzędem starych prywatnych budynków, i po drodze wrzuciłem niedbale pakunek do jednego z pojemników, ale usłyszałem, że otwierają się za mną drzwi i rozlega się jakiś głos:

– No nie, nie rób tego, no nie, nie rób! Natychmiast wracaj i zabierz to!

Odwróciwszy się, zobaczyłem drobną kobietę, która stała na ganku w zarzuconym na głowę i ramiona zielonym płaszczu z rękawami, zwisającymi bezwładnie jak dodatkowe, uschnięte ręce.

– Do ciebie mówię – zawołała. – Wracaj i zabieraj swoje śmieci. I nie waż się więcej wrzucać niczego do mojego kubła!

Była to niska, żółta kobieta z pince-nez na łańcuszku i włosami upiętymi w kok.

– Dbamy o to, żeby było tu czysto i porządnie, i nie chcemy, żebyście wy, kmiotki z Południa, to niszczyli – wrzasnęła z nienawiścią.

Ludzie przystawali, żeby popatrzeć. Z budynku na końcu kwateru wyszedł cięć i stanął na środku chodnika, waląc pięścią w dłoń z suchym trzaskiem. Zawahałem się, zażenowany i zirytowany. Czy ta baba oszalała?

– Do ciebie mówię! Tak, do ciebie! Mówię do ciebie! Zabieraj to stąd, i to już! Rosalie – krzyknęła do kogoś w domu – dzwoń na policję, Rosalie!

Nie mogę na to pozwolić, pomyślałem i wróciłem do kubła.

– No i co się stało? – zawołałem do niej. – Kiedy przyjadą śmieciarze, nie robi im to żadnej różnicy. Śmieci to śmieci. Po prostu nie chciałem wyrzucić tego na ulicę. Nie wiedziałem, że jedne śmieci są lepsze od innych.

– Mniejsza o twoją bezczelność – powiedziała. – Mam już powyżej uszu Murzynów z Południa, którzy psują nam wszystko!

– W porządku – powiedziałem. – Wyjmę to.

Sięgnąłem do na wpół wypełnionego kubła, macając w poszukiwaniu pakunku, a w nozdrza uderzył mnie fetor gnijących odpadków. Dotykając tego świństwa ręką wydawało mi się niezdrowe i obrzydliwe, a pakunek zsunął się na dół. Zakląłem, podciągnąłem czystą dłoń rękaw i grzebałem tam, dopóki go nie znalazłem. Potem wytarłem rękę chusteczką i odszedłem, dostrzegając kątem oka gapiów, którzy śmiali się ze mnie.

– To ci dobrze robi – krzyknęła ta baba z ganku.

Odwróciłem się i ruszyłem w jej stronę.

– Dosyć tego, ty żółty wyciruchu. Chyba że dalej chcesz wezwać policję. – W moim głosie pojawiła się nowa, ostra nuta. – Zrobiłem, co chciałaś, żebyś zrobił; jeszcze słowo i zrobię to, co ja chcę zrobić...

Spojrzała na mnie rozszerzonymi oczami.

– Wierzę, że byś to zrobił – powiedziała, otwierając drzwi. – Wierzę, że byś zrobił.

– Nie tylko bym zrobił, ja się aż palę do tego – rzekłem.

– Widzę, że nie jesteś dżentelmenem – krzyknęła, zatrzaskując drzwi za sobą.

Przy następnym rzędzie kubłów wytarłem ręce kawałkiem gazety, a potem w jej resztę zawinałem pakunek. Następnym razem wyrzucę to na ulicy.

Dwa kwartały dalej przeszła mi złość, ale poczułem się dziwnie samotny. Nawet ludzie, którzy stali wokół mnie na skrzyżowaniu, wydawali się osamotnieni, każdy pogrążony we własnych myślach. A teraz, dokładnie w chwili kiedy zmieniły się światła, upuściłem pakunek w zdeptany śnieg i przeszedłem szybko na drugą stronę ulicy, myśląc: No, zrobione.

Minąłem dwa kwartały, kiedy ktoś krzyknął za mną:

– Hej, kolego! Hej tam! Panie... Zaczekaj pan sekunde!

Usłyszałem chrzęst pospiesznych kroków na śniegu. Potem znalazł się obok mnie przysadzisty mężczyzna w znoszonym ubraniu, a z jego ust wydobyły się białe na tym zimnie pasma pary, kiedy uśmiechnął się do mnie zdyszany.

– Szedłeś tak szybko, że myślałem, że cie nie dogonię – powiedział. – Nie zgubiłeś czegoś kawałek stąd?

Och, do diabła, przyjaciel w potrzebie, pomyślałem, zdecydowany temu zaprzeczyć. – Czy czegoś nie zgubiłem? – rzekłem. – Ależ skąd.

– Na pewno? – zapytał z uniesionymi brwiami.

– Tak – odparłem i ujrzałem, jak jego czoło marszczy się z niepewności, a w jego spoglądających na mnie badawczo oczach pojawia się gorący ładunek strachu.

– Aleja żem cie widział... Słuchaj, kolego – rzekł, oglądając się szybko na ulicę za sobą – co ty chcesz zrobić?

– Zrobić? O co ci chodzi?

– O te gadanie, żeś nic nie zgubił. Robisz jakiś kant czy co? – Odsunął się do tyłu i zerknął pospiesznie na przechodniów w górze ulicy, skąd przyszedł.

– O czym ty, do licha, gadasz? – zapytałem. – Mówię ci, że niczego nie zgubiłem.

– Człowieku, nie opowiadaj mi takich rzeczy! Ja żem cie widział. O co tu, do diabła, chodzi? – powiedział, wyciągając ukradkiem paczuszkę z kieszeni. – To tutaj wygląda na pieniądze, pistolet albo coś takiego i dobrze wiem, cholera, żem cie widział, jak żeś to upuszczał.

– Ach, to – rzekłem. – To nic takiego... myślałem, że...

– Zgadza się. „Ach”. Więc tera se przypominasz, tak? Myślę, że wyrządzą ci przysługę, a ty robisz ze mnie dumnia. Jesteś jakimś tajniakiem, handlujesz prochami czy co? Próbujesz mnie wrobić w to gównno?

– W gównno? – spytałem. – Mylisz się...

– Mylę, psiakrew! Weź to cholerstwo – powiedział i wcisnął mi w ręce pakunek, jakby to była bomba z odbezpieczonym zapalnikiem. – Ja mam rodzinę, człowieku. Staram się wyrządzić ci przysługę, a ty próbujesz wpakować mnie w kłopoty... Uciekasz przed detektywem czy kim?

– Chwilę – powiedziałem. – Dajesz się ponieść wyobraźni, to tylko śmieci...

– Nie próbuj mnie wciskać takich naiwnych bzdetów – rzekł chrapliwie. – Ja wiem, co to za śmieci. Wy, młode nowojorskie Murzyny, jesteście jak zaraza! Przysięgam na Boga! Mam nadzieje, że cie złapio i zamkno w pierdłu!

Odskoczył ode mnie, jakbym miał ospę. Spojrzałem na pakunek. On myśli, że to pistolet albo jakieś kradzione rzeczy, pomyślałem, patrząc, jak odchodzi. Parę kroków dalej miałem już cisnąć zawiniątko na ulicę, ale obejrawszy się, zobaczyłem, że stoi z jeszcze jednym mężczyzną i wskazuje na mnie z oburzeniem. Oddaliłem się pospiesznie. Dać mu czas, a ten dureń wezwie policjanta. Wrzuciłem pakunek z powrotem do teczki. Poczekam, aż znajdę się w centrum.

W metrze ludzie wokół mnie czytali poranne gazety, wysuwając do przodu niemile twarze. Jechałem z zamkniętymi oczami, starając się zobojętnić umysł na myśli o Mary. Później, odwróciwszy się, zobaczyłem artykuł *Gwałtowny protest przeciw eksmisji w Harlemie*, ale ten mężczyzna opuścił gazetę i wysiadł przez rozsuwane drzwi. Nie mogłem się doczekać, kiedy dojadę do Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie znalazłem ten artykuł na pierwszej stronie brukowca i przeczytałem z przejęciem. Wspomniano o mnie jedynie jako o nieznanym „wichrzycielu”, który zniknął w zamieszaniu, ale nie miałem wątpliwości, że odnosiło się to właśnie do mnie. Zamieszki trwały dwie godziny, tłum nie chciał się rozejść. Wszedłem do domu towarowego z wysokim mniemaniem o sobie.

Wybrałem droższy garnitur, niż zamierzałem i kiedy go dopasowywano, kupiłem kapelusz, koszule, buty, bieliznę i skarpetki, po czym pospieszyłem zadzwonić do brata Jacka, który rzucił mi krótkie rozkazy niczym generał. Miałem jechać pod pewien numer na górnym East Side, gdzie czekał na mnie pokój, i przeczytać trochę wydanej przez Bractwo literatury, którą zostawiono tam dla mnie, gdyż mam wygłosić mowę na wiecu w Harlemie, zaplanowanym na ten wieczór.

Pod podanym adresem znajdował się nie wyróżniający się niczym szczególnym budynek, położony w mieszanej hiszpańsko-irlandzkiej dzielnicy. Kiedy naciskałem dzwonek dozorczy, na ulicy chłopcy rzucali w siebie śnieżkami. Drzwi otworzyła niska kobieta o miłej twarzy, która się do mnie uśmiechnęła.

– Dzień dobry, bracie – powiedziała. – Mieszkanie już na ciebie czeka. Powiedział, że o tej mniej więcej porze przyjdiesz, i właśnie w tej chwili zesłam na dół. O rany, popatrz na ten śnieg.

Poszedłem za nią na trzecie piętro, zastanawiając się, co, u licha, pocznę z całym mieszkaniem.

– To tutaj – powiedziała, wyjmując z kieszeni pęk kluczy i otwierając drzwi na początku korytarza. Wszedłem do małego, wygodnie urządzonego pokoju, rozjaśnionego promieniami zimowego słońca. – To salon – oznajmiła z dumą – a tam jest sypialnia.

Była dużo większa, niż potrzebowałem, z komodą, dwoma tapicerowanymi krzesłami, dwoma szafami, biblioteczką i biurkiem, na którym leżał stos wspomnianej literatury. Obok sypialni znajdowała się łazienka, była tam też mała kuchnia.

– Mam nadzieję, że ci się podoba, bracie – powiedziała kobieta na odchodnym. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń.

Mieszkanie było czyste i schludne i podobało mi się, zwłaszcza łazienka z wanną i prysznicem. Czym prędzej napełniłem wannę wodą i wymoczyłem się. Potem, czysty i radosny, wszedłem do sypialni, by głowić się nad książkami i broszurami Bractwa. Teczka z rozbitą figurką leżała na stole. Później pozbędę się pakunku; teraz musiałem pomyśleć o wieczornym wiecu.

Rozdział 16

O siódmej trzydzieści przyjechał po mnie taksówką brat Jack z paroma innymi mężczyznami i popędziliśmy do Harlemu. Tak jak poprzednio, nikt nic nie mówił. Jedyne dźwięki dolatywały od mężczyzny w rogu, który pykał hałaśliwie fajkę pełną tytoniu o zapachu rumowym, sprawiając, że rozżarzała się i przygasła, czerwony krąg w ciemności. Byłem coraz bardziej zdenerwowany; miałem wrażenie, że w taksówce jest nienaturalnie ciepło. Wysiedliśmy w bocznej uliczce i poszliśmy w ciemnościach wąską alejką na tył wielkiego, przypominającego stodołę budynku. Inni członkowie już tam byli.

– No to jesteśmy – powiedział brat Jack, prowadząc nas przez ciemne tylne wejście do przebieralni oświetlonej nagimi, nisko wiszącymi żarówkami – małego pomieszczenia z drewnianymi ławkami i rzędem stalowych szafek z wy drapanymi na drzwiczkach nazwiskami. Unosił się tam charakterystyczny dla szatni piłkarskiej zapach starego potu, jodyny, krwi i alkoholu do nacierania i poczułem przypływ wspomnień. – Zostaniemy tutaj, dopóki budynek się nie zapełni – oznajmił brat Jack. – Potem pojawimy się – dokładnie w chwili kiedy ich zniecierpliwienie sięgnie zenitu. – Obdarzył mnie szerokim uśmiechem. – Tymczasem pomyśl o tym, co powiesz. Przejrzałeś materiały?

– Przeglądałem je cały dzień – odparłem.

– Dobrze. Radzę jednak, żebyś uważnie słuchał pozostałych. Wszyscy wystąpimy przed tobą, żeby dać ci wskazówki co do twoich uwag. Będziesz ostatni.

Skinąłem głową, a on wziął dwóch z pozostałych mężczyzn pod rękę i odprowadził w kąt. Zostałem sam, reszta przeglądała swoje notatki i rozmawiała. Przeszedłem na drugą stronę szatni, do rozerwanego zdjęcia przypiętego do spłowiełej ściany. Było to ujęcie, w postawie do walki, byłego mistrza boksu zawodowego, znanego pięściarza, który stracił wzrok na ringu. Pewnie doszło do tego w tej właśnie hali, pomyślałem. Zdarzyło się to przed wielu laty. Fotografia przedstawiała mężczyznę tak ciemnego i poobijanego, że mógł być dowolnej narodowości. Wielki i gibki, wyglądał na dobrego człowieka. Pamiętałem opowieść ojca o tym, jak ten pięściarz został pobity i oślepiiony w nieuczciwej walce, o wyciszonym skandalu, o tym, jak zmarł w zakładzie dla niewidomych. Kto by pomyślał, że kiedykolwiek znajdę się tutaj? Jak to się wszystko pokręciło! Ogarnął mnie dziwny smutek i wyciągnąłem się na ławce. Pozostali rozmawiali ściszymi głosami. Przyglądałem się im z nagłą odrazą. Dlaczego to ja mam wystąpić jako ostatni? A jeśli zanudzą publiczność na śmierć, zanim dojdę do głosu?! Prawdopodobnie zostaną zakrzyczani, zanim zdążę zacząć... Ale może nie, myślałem, odtrącając podejrzenia. Może uda mi się osiągnąć dobry efekt dzięki samemu kontrastowi między moim a ich podejściem. Może na tym polegała ich strategia... Tak czy inaczej, muszę im ufać. Muszę.

Mimo to nie opuszczało mnie zdenerwowanie. Źle się czułem w tym otoczeniu. Zza drzwi dobiegało odległe szuranie krzeseł, szmer głosów. W głowie kłębiły mi się niepokojące myśli: że mogę zapomnieć nowego nazwiska, że ktoś z sali może mnie rozpoznać. Pochyliłem się do przodu i dostrzegłem nagle moje nogi w niebieskich spodniach. Ale skąd wiesz, że to twoje nogi? Jak się nazywasz? pomyślałem, strojąc z siebie smutne żarty. Było to absurdalne, ale zmniejszyło moje zdenerwowanie, bo oto poczułem się tak, jakbym po raz pierwszy patrzył na moje własne nogi – niezależne obiekty, które mogły ze swojej własnej woli poprowadzić mnie ku bezpieczeństwu lub niebezpieczeństwu. Wbiłem wzrok w zakurzoną podłogę. Potem wydało mi się, jakbym stał jednocześnie po przeciwnych stronach tunelu. Jakbym oglądał się z odległości kampusu, siedząc jednocześnie na ławce w starej arenie sportowej, w nowym,

niebieskim garniturze, siedząc naprzeciw stojącej po drugiej stronie szatni skupionej grupki mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą stłumionymi, przejętymi głosami, podczas gdy w oddali słyszałem stukot krzesel, inne głosy, kaszel. Wydawałem się dostrzegać to wszystko z jakiegoś punktu w głębi siebie, ale w tym, co widziałem, była niepokojąca nieokreśloność, niepokojąca nie ukształtowana właściwość, jak na zdjęciu, które zrobiono ci w okresie dojrzewania: twarz bez wyrazu, uśmiech bez charakteru, pryszcze, zbyt liczne i zbyt wyraźne. Zdawałem sobie sprawę, że jest to nowa faza, nowy początek, i że będę musiał trzymać się tej części mojego ja, która patrzyła na to wszystko odległym okiem, i utrzymywać ją zawsze na odległość kampusu, maszyny w szpitalu i walnej rozprawy – wydarzeń teraz tak odległych. Być może ta część mnie, która obserwowała apatycznie, lecz wszystko widziała, nie przeocząc niczego, była nadal częścią złośliwą, kłótniową, głosem sprzeciwu, częścią, którą odziedziczyłem po dziadku, tą cyniczną, niedowierzającą częścią – tym zdradzieckim ja, które zawsze zagrażało wewnętrzzną niezgodą. Czymkolwiek była, wiedziałem, że będę musiał trzymać ją na uwięzi. Musiałem. Bo jeśli odniosę dzisiaj sukces, znajdę się na drodze prowadzącej do czegoś wielkiego. Koniec z rozłazaniem się w szwach, koniec przypominania sobie zapomnianych krzywd... Nie, pomyślałem, zmieniając ułożenie ciała, to te same nogi, które zaniósł mnie tak daleko od domu. A jednak były w jakiś sposób nowe. Nowy garnitur nadawał mi pewną nowość. To to ubranie, nowe nazwisko i okoliczności. Była to nowość zbyt subtelna, by nadać jej myślowy kształt, ale realna. Stawałem się kimś innym.

Wyczuwałem niejasno i w przypiływie paniki, że w chwili gdy wyjdę na trybunę i otworzę usta, stanę się kimś innym. Nie jakimś nikim ze sfabrykowanym nazwiskiem, które mogłoby należeć do każdego albo do nikogo, ale inną osobowością. Teraz zna mnie niewiele osób, ale po dzisiejszym wieczorze... Jak to jest? Może po prostu być znanym, być oglądanym przez tak wiele osób, być punktem ogniskującym spojrzenia tak wielu skupionych oczu, może to wystarczało, by stać się kimś odmiennym, wystarczało, by przemienić się w coś innego, w kogoś innego, tak jak przez stawanie się coraz większym chłopcem stawałeś się pewnego dnia mężczyzną o niskim głosie – chociaż mój głos był niski, odkąd skończyłem dwanaście lat. Ale co będzie, jeśli wśród publiczności zabłąka się ktoś z kampusu? Albo ktoś od Mary... nawet sama Mary? – Nie, to niczego nie zmieni – usłyszałem swój cichy głos – to wszystko przeszłość. – Miałem inne nazwisko i wykonywałem rozkazy. Nawet gdybym spotkał Mary na ulicy, musiałbym przejść obok niej nierozpoznany. Przygnębiająca myśl – podniosłem się nagle i wyszedłem z szatni na ciemną alejkę.

Bez płaszcza było mi zimno. Nad wyjściem paliło się słabe światło, w którym iskrzył się śnieg. Przeszedłem na drugą, ciemną stronę alei i zatrzymałem się przy płocie, pachnącym karbolem, co, kiedy obejrzałem się do tyłu, przywołało wspomnienie wielkiej, zaniedbanej dziury w miejscu, gdzie stała kiedyś hala sportowa, która spłonęła, zanim się urodziłem. Została po niej tylko, w przepaści opadającej pionową ścianą jakieś czterdzieści stóp poniżej wypaczonego przez żar chodnika, betonowa skorupa z dziwacznie powyginanymi i zardzewiałymi prętami, która była kiedyś jej podziemiem. Dziurę tę wykorzystywano jako wysypisko śmieci i po deszczu cuchnęła stęchlą wodą. I teraz stałem w wyobraźni na chodniku, z którego widać było stojący za dziurą szalás, sklecony ze skrzynek i pogiętych tablic drogowych, i znajdującą się za nim parowozownię. W dziurze widniała ciemna tafla bezdennej wody, a za szalásem stała na lśniących szynach lokomotywa, i kiedy z jej komina uniósł się powoli pióropusz białej pary, zobaczyłem, jak z szalásu wychodzi człowiek i idzie ścieżką prowadzącą w górę, na chodnik. Zgarbiony, ciemny, w szmatach wyłażących z butów, kapelusza i rękawów, szedł powoli ku mnie, powłócząc nogami, spowity groźnym obłokiem woni karbolu. Był to syfilityk, który mieszkał samotnie w tym szalásie między dziurą a parowozownią i wychodził na ulicę tylko po to, by żebrać o pieniądze na jedzenie i środek dezynfekujący, którym nasączał swoje łachmany. Potem zobaczyłem w wyobraźni, jak

wyciąga dłoń o wyzartych palcach, i uciekłem – z powrotem w ciemność, ziąb i terażniejszość.

Zadrzałem, spoglądając na ulicę, gdzie, u wejścia na alejkę, w tunelu uczynionym przez mrok, majaczyło w kręgu skrzącego śnieg światła latami ulicznej trzech konnych policjantów, trzymających konie za uzdy; głowy zarówno ludzi, jak i zwierząt pochylone były ku sobie, jak gdyby knuli spisek, lśniła skóra siodła i bryczesów. Trzech białych mężczyzn i trzy czarne konie. Później przejechał samochód i ukazali się wyraźnie, niczym jakaś wypukła płaskorzeźba, a ich cienie tańczyły niczym sny w migotaniu śniegu i w ciemności. Kiedy odwróciłem się, by odejść, jeden z koni poderwał gwałtownie głowę i zobaczyłem pięść w rękawicy szarpiącą uzdę w dół. Później rozległo się dzikie rzenie i koń pograżył się w ciemnościach, a czysty, gorączkowy brzęk metalu i tupot kopyt odprowadzały mnie aż do drzwi. Może powinien się o tym dowiedzieć brat Jack.

Ale wewnątrz nadal się naradzali, wróciłem więc na ławkę.

Przyglądałem się im, czując się bardzo młodym i niedoświadczonym, a mimo to dziwnie staro, a ta starość obserwowała wszystko i spokojnie we mnie czekała. Na zewnątrz zaczynała szemrać publiczność; był to odległy, kłębiący się szum, który przywołał grozę eksmisji. Mój umysł uleciał. Za ogrodzeniem z siatki stało dziecko w pajacyku, patrząc na potężnego, czarno-białego psa, przywiązanego łańcuchem do jabłoni. Był to Master, buldog, a ja byłem tym dzieckiem, które bało się go dotknąć, chociaż, dysząc z gorąca, zdawał się do mnie uśmiechać jak gruby, dobroduszny mężczyzna, a ślina ciekła mu srebrzystymi nitkami z pyska. I kiedy głosy tłumu kłębiły się i wznosiły, i przeszły w niecierpliwy grzmot oklasków, pomyślałem o niskim, gardłowym warczeniu Mastera. Szczekał na tę samą nutę, kiedy był głodny i kiedy przynoszono mu jedzenie, kiedy leniwie kłapał zębami, chwytając muchy, i kiedy rozrywał intruza na strzępy. Lubiłem Mastera, ale mu nie ufałem; chciałem zadowolić tłum, ale mu nie ufałem. Potem spojrzałem na brata Jacka i szeroko się uśmiechnąłem – właśnie, w pewnym sensie przypominał on miniaturowego bulteriera.

Ale teraz ryk i oklaski przeszły w pieśń i zobaczyłem, że brat Jack przerywa rozmowę i podskakuje do drzwi.

– Dobrze, bracia – powiedział – to sygnał dla nas.

Wyszliśmy wszyscy z szatni i ruszyliśmy słabo oświetlonym przejściem, rozbrzmiewającym odległym rykiem. Potem zrobiło się jaśniej i zobaczyłem reflektor tnący oslepiającym światłem mgiełkę dymu. Szliśmy w milczeniu, brat Jack za dwoma bardzo czarnymi Murzynami i dwoma białymi, którzy prowadzili tę procesję, i teraz ryk tłumu zdawał się wznosić ponad nami i potężnieć z każdą chwilą. Zauważyłem, że pozostali uformowali czwórkową kolumnę i zostałem sam z tyłu, jak kapral prowadzący musztrę. Przed nami ukośna smuga światła wskazywała wejście na jeden z poziomów i kiedy przez nią przechodziliśmy, tłum wydał ryk. Później znaleźliśmy się na powrót w mroku i wspinaliśmy się, a ryk zdawał się tonąć pod nami; wprowadzono nas w jaskrawe niebieskie światło i na rampę, po której obu stronach widziałem ciągnące się półkolem rzędy zamazanych twarzy – potem nagle zostałem oslepiony i poczułem, że wpadam na męczycznę przede mną.

– To się zawsze zdarza za pierwszym razem – krzyknął, zatrzymując się, bym odzyskał równowagę; jego głos ledwo było słyhać w tym ryku. – To reflektor!

Strumień światła wyłuskał nas teraz, poprowadził na arenę i otoczył całym swoim blaskiem, a tłum huczał. Buchnęła jak rakietka piosenka do rytmu klaszczących dłoni:

*Ciało Johna Browna leży, gnijąc w grobie,
Ciało Johna Browna leży, gnijąc w grobie,
Ciało Johna Browna leży, gnijąc w grobie,
– Jego dusza maszeruje dalej!*

Pomyślcie tylko, przemknęło mi przez głowę, dzięki nim stara pieśń brzmi jak nowa. Najpierw byłem tak od tego oddalony, jakbym stał na najwyższym balkonie i spoglądał na to z góry. Potem zanurzyłem się w wibracjach tych głosów, dostroiłem do nich i poczułem elektryczne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Pomaszerowaliśmy ku udrapowanemu flagami podium, ustawionemu z przodu hali, podążając przejściem między rzędami ludzi siedzących na składanych krzesłach, a potem weszliśmy na podium, mijając kilkanaście kobiet, które wstały, kiedy się tam znaleźliśmy. Brat Jack wskazał nam krzesła i przyjęliśmy owacje na stojąco.

Pod nami i nad nami była publiczność, rząd za rzędem twarzy, hala misko watą sumą ludzkości. Później ujrzałem policjantów i ogarnął mnie niepokój. A jeśli mnie rozpoznali? Stali wszyscy wzdłuż ściany. Dotknąłem ramienia mężczyzny przede mną i ujrzałem, że się odwraca, a jego usta zatrzymują się w połowie wersetu pieśni.

– Po co ci wszyscy policjanci? – zapytałem, pochylając się do przodu z rękami na oparciu jego krzesła.

– Gliny? Nie przejmuj się. Dzisiaj kazano im nas ochraniać. Ten wiec ma ogromne konsekwencje polityczne! – powiedział, odwracając się ku publiczności.

Kto kazał im nas ochraniać? pomyślałem... Ale teraz kończyła się pieśń i budynek rozbrzmiewał brawami, krzykami, aż wreszcie na końcu sali rozległo się i rozniosło skandowanie:

Nigdy więcej wywłaszczania wywłaszczonych!

Nigdy więcej wywłaszczania wywłaszczonych!

Zdawało się, że publiczność stała się jednym ciałem – jej oddechy i słowa się zsynchronizowały. Spojrzałem na brata Jacka. Stał przy mikrofonie ze stopami osadzonymi pewnie na zakurzonej, pokrytej brezentem podium, spoglądając to w lewo, to w prawo; przybrał godną i dobrotliwą pozę, jakby był speszonym ojcem przysłuchującym się występowi uwielbiających go dzieci. Zobaczyłem, jak jego ręka wznosi się w geście pozdrowienia, a publiczność odpowiada gromkimi brawami. I zdawałem się do tego zbliżać, jak obiektyw aparatu fotograficznego, ogniskując się na tej scenie i czując żar i podniecenie, i grzmot głosu i aplauzu bijący w moją przepoń, a mój wzrok przenosił się z twarzy na twarz, szybko, przelotnie, szukając kogoś, kogo mógłbym rozpoznać, kogoś z mojego dawnego życia, i widząc, jak te twarze stają się tym bardziej zamazane, im bardziej oddalają się od podium.

Zaczęły się przemówienia. Najpierw inwokacja, którą wygłosił młody murzyński kaznodzieja, później jakaś kobieta mówiła o tym, co się dzieje z dziećmi. Potem nastąpiły przemówienia o różnych aspektach sytuacji gospodarczej i politycznej. Słuchałem uważnie, starając się podchwycić tu jakiś zwrot, tam jakieś słowo z arsenału twardych, precyzyjnych terminów. Robił się z tego ważny wieczór. Między przemówieniami rozlegały się pieśni, śpiew buchał tak spontanicznie jak okrzyki na spotkaniu członków ruchu odnowy religijnej na Południu. A ja dostroiłem się jakoś do tego wszystkiego, czułem to całym ciałem. Siedziałem ze stopami na zabłoconym brezencie i miałem wrażenie, że zabłądziłem do sekcji perkusyjnej orkiestry symfonicznej. Działo to na mnie tak mocno, że porzuciłem wkrótce próby zapamiętania zwrotów i po prostu pozwoliłem się porwać entuzjazmowi.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw płaszcza – nadeszła moja kolej. Podeszedłem do mikrofonu, gdzie czekał sam brat Jack, i wkroczyłem w plamę światła, która otoczyła mnie niczym bezszwowa klatka z nierdzewnej stali. Zatrzymałem się. Światło było tak silne, że nie widziałem już publiczności, misy pełnej ludzkich twarzy. Było tak, jakby między nami opadła półprzezroczysta kurtyna, przez którą mnie widzieli – bo słyszałem ich aplauz – sami będąc niewidoczni. Czułem tę samą twardą, mechaniczną izolację co w maszynie w szpitalu i nie

podobało mi się to. Ledwie słyszałem wstęp brata Jacka. Potem skończył i rozpętała się burza zachęających oklasków. I pomyślałem: Pamiętaj; niektórzy z nich tam byli.

Mikrofon był obcy i onieśmielający. Zbliżyłem się do niego niewłaściwie, mój głos brzmiał chropawo i świszcząco i po paru słowach przerwałem zakłopotany. Zaczęłem źle, trzeba było coś zrobić. Pochyliłem się ku niewyraźnie mającej publiczności najbliższej podium i powiedziałem:

– Przepraszam, kochani. Aż do tej pory trzymali mnie tak daleko od tych błyszczących elektrycznych gadżetów, że nie nauczyłem się z nich korzystać... I prawdę mówiąc, ten przyrząd wygląda, jakby mógł ugryźć! Popatrzcie tylko na niego, wygląda zupełnie jak stalowa ludzka czaszka! Myślicie, że umarł wskutek wywłaszczenia?

Podziałało, a kiedy się śmiali, ktoś podszedł i poprawił mikrofon.

– Nie stój za blisko – poradził.

– No i jak teraz? – odezwałem się, a mój głos zadudnił w całej hali. – Lepiej?

Odezwały się oklaski.

– Widzicie, potrzebowałem tylko szansy. Daliście mi ją, a reszta zależy ode mnie!

Oklaski przybrały na sile, a z przodu rozległ się donośny głos mężczyzny:

– My z tobą, bracie. Ty rzucaj, my będziemy łapać!

Tego tylko było mi trzeba, nawiązałem kontakt, a jego głos był jakby głosem ich wszystkich. Byłem zdenerwowany, roztrzęsiony. Mogłem być kimkolwiek, mogłem próbować przemawiać w obcym języku, bo nie pamiętałem właściwych słów i zwrotów z broszur. Musiałem uciec się do tradycji, a ponieważ był to mityng polityczny, wybrałem jedną z technik politycznych, które tak często miałem okazję słyszeć w domu – praktyczne, trzeźwe podejście w stylu „mam dość sposobu, w jaki oni nas traktują, i robi mi się od tego niedobrze”. Nie widziałem słuchaczy, zwróciłem się więc do mikrofonu i chętnego do współpracy głosu przede mną.

– Wiecie, są tacy, którzy myślą, że my, zebrani tutaj, jesteśmy tępi – krzyknąłem. – Powiedzcie, czy mam rację.

– Dobry rzut, bracie – zawołał ten głos. – Zdobyłeś punkt.

– Tak, oni myślą, że jesteśmy tępi. Nazywają nas „pospolitymi ludźmi”. Ale ja siedzę tutaj, słucham i patrzę, i próbuję zrozumieć, co jest w nas takiego pospolitego. Myślę, że są oni winni bardzo błędnego stwierdzenia faktu – jesteśmy ludźmi niepospolitymi...

– Drugi punkt – zawołał ten głos w burzy oklasków, a ja podniosłem rękę, by uciszyć hałas.

– Tak, jesteśmy niepospolitymi ludźmi – i powiem wam dlaczego. Nazywają nas tępymi i traktują jak tępych. A co robią z tępymi? Pomyślcie o tym, rozejrzyjcie się wokół! Mają hasło i politykę, mają coś, co brat Jack nazwałby „teorią i praktyką”. Hasło to brzmi: „Nigdy nie daj frajerowi złapać oddechu”. To znaczy: Wywłaszcz go! Eksmituj! Użyj jego pustej głowy jako spluwaczki, a grzbietu jako wycieraczki pod drzwiami! Złam go! Pozbaw go zarobków! Wykorzystaj jego protest jako grzmiącą trąbę, by napędzić mu strachu i zmusić do milczenia, wbij jego ideały, nadzieje i niewyszukane aspiracje w dzwoniące czynele! Małe, popękane czynele, które dzwonią Czwartego Lipca! Tylko stłum ich dźwięk! Nie pozwól, by brzmiały zbyt głośno! Uderzaj w nie w czasie odpoczynku, zagraj tępym królikom do tańca! Niech stepują w baletkach! Zagraj Wielkie robaczywe jabłko, Chicagowską ucieczkę! I wiecie, co sprawia, że jesteśmy tacy niepospolici? – spytałem ochryplym szeptem. – Pozwalamy im to robić!

Zapadła głęboka cisza. W świetle kłębił się dym.

– Kolejny punkt – usłyszałem, jak odzywa się ze smutkiem ten głos. – Na nic się nie zda protest przeciw tej decyzji! – I pomyślałem: Czy on jest ze mną czy przeciwko mnie?

– Wywłaszczenie! O wywłaszczeniu tutaj mówię! – ciągnąłem dalej. – Starają się nas wywłaszczyć z naszej męskości i kobiecości. Z naszego dzieciństwa i dojrzenia...

Słyszeliście przedstawione przez siostrę dane statystyczne dotyczące wskaźnika umiERALNOŚCI naszych niemowląt. Nie wiecie, że macie szczęście, że się urodziliście, co wcale nie jest takie pospolite? Ba, starają się nawet wywłaszczyć nas z naszej niechęci do bycia wywłaszczonymi! I powiem wam coś jeszcze – jeśli się temu nie przeciwstawimy, wkrótce im się uda! Czasy obecne to czasy wywłaszczani a, sezon bezdomności, pora eksmisji. Wywłaszczą nas nawet z naszych mózgów! A jesteśmy tak niepospolic, że nawet tego nie widzimy! Może jesteśmy zbyt grzeczni. Może nie chcemy patrzeć na niemiłe rzeczy. Myślą, że jesteśmy ślepi – niepospolicie ślepi. I nie dziwi mnie to. Pomyślcie, wywłaszczyli każdego z nas z jednego oka w dniu, w którym się urodził. Tak więc teraz widzimy tylko wzdłuż prostych białych linii. Jesteśmy narodem jednookich myszy... Widzieliście kiedyś coś takiego? Coś tak niepospolitego!

– A to ci dopiero – odezwał się ten głos przez gorzki chichot. – Kolejny punkt!

Pochyliłem się do przodu.

– Wiecie, jeśli nie będziemy uważać, podkradną się z tej strony, której nie widzimy i – prask! wypadnie nam ostatnie dobre oko i będziemy ślepi jak nietoperze! Ktoś boi się, że coś zobaczymy. Może właśnie dlatego jest tu dzisiaj z nami tak wielu naszych dobrych przyjaciół – z niebieskimi stalowymi pistoletami, w niebieskich serżowych mundurach! – ale wierzę, że wystarczy jedno oko, by przegrać bez oporu, i myślę, że wy też w to wierzycie. Połączmy więc siły. Czy zauważyliście kiedykolwiek, moi tępi, jednoocy bracia, jak dwóch całkowicie ślepych łączy siły i pomaga sobie nawzajem? Potykają się, wpadają na różne przedmioty, ale unikają niebezpieczeństw, radzą sobie. Połączmy siły, niepospolic ludzie. Obojgiem oczu możemy dostrzec, co sprawia, że jesteśmy tak niepospolic, zobaczymy, kto sprawia, że jesteśmy tak niepospolic! Byliśmy dotąd jak dwoje jednookich idących po przeciwnych stronach ulicy. Ktoś zaczyna rzucać kamieniami, a my zaczynamy oskarżać się wzajemnie i walczyć ze sobą. Ale jesteśmy w błędzie! Bo jest tu jeszcze ktoś oprócz nas. Środkiem tej szerokiej, szarej ulicy biegnie gładki, śliski drań, rzucając kamieniami... To on! To on wyrządza te szkody! Twierdzi, że potrzebuje przestrzeni – nazywa to swoją wolnością. On wie, że nacierał na nas ze strony, z której nie widzimy, i odskakiwał, aż nas prawie ogłupił – niepospolicie ogłupił! Faktycznie, oślepiła nas prawie jego wolność! Sza, nie rzucajcie wyzwisk! – zawołałem, wznosząc dłoń. – Słuchajcie, do diabła z tym facetem! Słuchajcie, przejdźcie na drugą stronę! Zawrzyjmy sojusz! Ja będę się troszczył o was, a wy o mnie! Jestem niezłym łapaczem i cholernie dobrze potrafię rzucać!

– Nie rzucisz żadnej piłki, bracie! Ani jednej!

– Dokonajmy cudu – krzychałem. – Odbierzmy nasze wyłupione oczy! Odzyskajmy wzrok, połączmy się i poszerzmy nasze pole widzenia. Zerknijcie za róg – nadciąga burza. Spójrzcie na aleję – jest tylko jeden wróg. Nie widzicie jego twarzy?

Przerwałem, by nabrać tchu, i rozległy się oklaski, ale wtedy uświadomiłem sobie, że zabrakło mi słów. Co zrobię, kiedy znowu zaczną słuchać? Pochyliłem się do przodu, wyęzając wzrok, by widzieć przez barierę światła. Byli moi i nie mogłem sobie pozwolić na to, by ich stracić. Jednak nagle poczułem się nagi i zdałem sobie sprawę, że słowa powracają i że zaraz zostanie powiedziane coś, czego nie powinienem ujawniać.

– Spójrzcie na mnie! – Słowa te wyrwały mi się ze splotu słonecznego. – Mieszkam tu od niedawna. Czasy są ciężkie, poznałem, co to rozpacz. Jestem z Południa, a od przybycia tutaj poznałem, co to eksmisja. Przestałem ufać światu... Ale spójrzcie teraz na mnie, dzieje się ze mną coś dziwnego. Stoję tu przed wami. Muszę wyznać...

I nagle stanął przy mnie brat Jack, udając, że poprawia ustawienie mikrofonu.

– Ostrożnie – szepnął. – Żebyś nie przestał być użyteczny, zanim zacząłeś.

– Panuję nad sobą – odparłem i nachyliłem się do mikrofonu. – Czy mogę coś wyznać? – zawołałem. – Jesteście moimi przyjaciółmi. Łączy nas wspólne wydziedziczenie, a powiada się, że wyznania są dobre dla duszy. Pozwalacie mi na to?

– Odbijasz za 500 punktów, bracie – zawołał ten głos.

Ludzie za moimi plecami poruszyli się nerwowo na krzesłach. Poczekalem, az powróci spokój, i czym prędzej podjąłem:

– Milczenie oznacza zgodę, więc wyrzucę to z siebie, wyznam to! – Wyprostowałem ramiona, wypiąłem do przodu brodę, a wzrok wbiłem w światło. – Kiedy stoję przed wami, dzieje się ze mną coś dziwnego, cudownego, coś, co mnie przeobraża!

Czułem, że słowa te same się układają i powoli opadają na właściwe miejsca. Światło zdawało się kłębić opalizująco, jak mydło w płynie po delikatnym potrząśnięciu butelką.

– Pozwólcie, że wam to opiszę. To coś niesamowitego. Coś, czego – jestem pewien – nie doświadczyłbym w żadnym innym miejscu na świecie. Czuję na sobie wasz wzrok. Słyszę rytm waszych oddechów. A teraz, w tym właśnie momencie, kiedy wasze czarne i białe oczy utkwione są we mnie, czuję... czuję...

Zająknąłem się w ciszy tak zupełnej, że słyszałem tryby ogromnego zegara umieszczonego gdzieś na balkonie i gryzącego czas.

– Co, synu, co czujesz? – krzyknął przenikliwy głos.

Zniżyłem głos do ochryplego szeptu:

– Czuję, nagle czuję, że stałem się bardziej ludzki. Rozumiecie? Bardziej ludzki. Nie to, że stałem się człowiekiem, bo urodziłem się człowiekiem. Ale że jestem bardziej ludzki. Czuję się silny, czuję się zdolny do wielkich rzeczy! Czuję, że patrzę przenikliwym wzrokiem w głąb mglistego korytarza historii i wyraźnie widzę, co w nim jest, i słyszę kroki wojującego braterstwa! Nie, zaraz, pozwólcie, że wyznam... muszę wyznać moje uczucia... czuję, że tutaj, po długim, rozpaczliwym niepospolitym błędzeniu na oślep, znalazłem dom... Dom! Widząc wasze utkwione we mnie oczy, czuję, że znalazłem moją prawdziwą rodzinę! Mój prawdziwy lud! Mój prawdziwy kraj! Jestem nowym obywatelem kraju z waszej wizji, tubylcem na waszej braterskiej ziemi. Czuję, że dzisiaj wieczorem, w tej starej hali, rodzi się nowe i odradza wciąż żywe stare. W każdym z was, we mnie, w nas wszystkich.

SIOSTRY! BRACIA!

MY JESTEŚMY PRAWDZIWYMI PATRIOTAMI! OBYWATELAMI ŚWIATA JUTRA!

NIE BĘDZIEMY JUŻ WIĘCEJ WYWŁASZCZANI!

Aplauz uderzył we mnie jak grzmot pioruna. Stałem porażony, nic nie widząc, a moje ciało drżało od ryku wypełniającego halę. Wykonałem nieokreślony ruch. Co powinienem zrobić – pomachać do nich? Stałem zwrócony twarzą ku krzykom, brawom, przenikliwym gwizdom, paliły mnie oczy od blasku. Poczułem, że po policzku stacza mi się duża łza, i otarłem ją z zawstyżeniem. Pozostali zaczęli schodzić z podium. Dlaczego ktoś nie pomoże mi wydostać się z kręgu światła, zanim wszystko zepsuje? Ale łzy wywołały jeszcze większy aplauz, podniosłem więc zaskoczony głowę, a z oczu ciekły mi prawdziwe strumienie. Ryk zdawał się wznosić falami. Widzowie zaczęli walić nogami w podłogę, a ja śmiałem się i pochylałem głowę teraz już bez wstydu. Było coraz głośniejsze, gdzieś z tyłu dobiegł dźwięk pękającego drewna. Poczułem znużenie, ale oni nadal wiwatowali, aż w końcu poddałem się i zacząłem wycofywać ku krzesłom. Przed oczami tańczyły mi czerwone plamy. Ktoś wziął mnie za rękę i nachylił się do mojego ucha.

– Dokonałeś tego, cholera! Dokonałeś! – I byłem zaskoczony wybuchową mieszanką nienawiści i podziwu przebijającą przez jego słowa, kiedy podziękowałem mu i wyrwałem dłoń z miażdżącego uścisku.

– Dzięki – odparłem – ale to pozostali nastroili ich na właściwy ton.

Zadrzałem; wypowiedział te słowa tak, jakby chciał mnie udusić. Nic nie widziałem i zapanował ogromny zamęt, i nagle ktoś mnie obrócił, wytrącając z równowagi, i poczułem, że przylgnąłem do ciepłej, kobiecej miękkości.

– Och, bracie, bracie! – krzyknął mi do ucha kobiecy głos – braciszku! – i poczułem gorący, wilgotny nacisk jej ust na policzku.

Obijały się o mnie zamazane postaci. Potykałem się jak podczas gry w ciuciubabkę. Ścisano mi ręce, klepano po plecach. Twarz miałem spryskaną śliną entuzjazmu i pomyślałem, że kiedy następnym razem stanę w świetle reflektora, mądrze będzie włożyć czarne okulary.

Była to ogłuszająca demonstracja. Kiedy wychodziliśmy, ludzie wiwatowali, stukali w krzesła, tupali w podłogę. Brat Jack sprowadzał mnie z podium.

– Pora wyjść – krzyknął. – Coś naprawdę się ruszyło. Trzeba nadać ład całej tej energii!

Prowadził mnie przez rozwrzeszczany tłum, a kiedy przedzierałem się niepewnym krokiem, nadal dotykały mnie ręce. Potem znaleźliśmy się w ciemnym przejściu, a kiedy doszliśmy do jego końca, zniknęły mi plamy sprzed oczu i znowu zacząłem widzieć. Brat Jack zatrzymał się przy drzwiach.

– Posłuchaj ich – rzekł. – Tylko czekają, żeby powiedzieć im, co zrobić! – I nadal słyszałem za nami dudniący aplauz. Potem kilku z pozostałych przerwało rozmowę i spojrzęło na nas, gdy za zamykającymi się drzwiami aplauz ucichł.

– No i co myślicie? – powiedział entuzjastycznie brat Jack. – Jak wypadł na początek?

Odpowiedziało mu pełne napięcia milczenie. Ogarnięty paniką, przenosiłem wzrok z twarzy na twarz, z czarnej na białą, z białej na czarną. Wszystkie były ponure.

– No więc? – zapytał szorstko brat Jack.

Usłyszałem skrzypienie czyichś butów.

– No więc? – powtórzył.

Wtedy przemówił ten z fajką, a napięcie szybko wzrosło.

– Był to bardzo nieudany początek – oznajmił spokojnie, podkreślając słowo „nieudany” dźwięciem fajki. Patrzył prosto na mnie, a ja byłem zaskoczony. Spojrzałem na pozostałych. Ich miny były wymijające, nijakie.

– Nieudany! – wybuchnął brat Jack. – A jakież to skomplikowany proces myślowy doprowadził cię do tego błyskotliwego twierdzenia?

– Nie pora na tani sarkazm, bracie – rzekł brat z fajką.

– Sarkazm? To ty pozwalasz sobie na sarkazm. Tak, nie pora na sarkazm ani debilizmy. Ani na zwykłe cholerne wygłupy! To kluczowy moment naszej walki, coś się zaczyna dziać – i nagle jesteś niezadowolony. Boisz się sukcesu? Co się stało? Czy nie o to właśnie walczyliśmy?

– Sam sobie zadaj to pytanie. To ty jesteś wielkim przywódcą. Spójrz w swoją kryształową kulę.

Brat Jack zaklął.

– Bracia! – powiedział ktoś.

Brat Jack zaklął i odwrócił się do innego brata.

– Ty – rzekł do krzepkiego mężczyzny. – Masz odwagę powiedzieć mi, co się tutaj dzieje? Stał się uliczną bandą?

Milczenie. Ktoś zaszczał stopami. Człowiek z fajką patrzył teraz na mnie.

– Czy zrobiłem coś złego? – zapytałem.

– Najgorszego, co mogłeś zrobić – odparł zimno.

Oślupiały, patrzyłem na niego bez słów.

– Nie przejmuj się – powiedział spokojnie brat Jack. – W czym problem, bracie? Wyjaśnijmy to od razu, tutaj. Czego dotyczy twoja skarga, bracie?

– To nie skarga, lecz opinia. Jeśli wolno nam jeszcze wyrażać swoje opinie – powiedział brat z fajką.

– A więc opinia – rzekł brat Jack.

– Uważam, że ta mowa była chaotyczna, historyczna, politycznie nieodpowiedzialna i niebezpieczna – warknął. – A co gorsza, błędna! – Wymówił „błędna”, jak gdyby termin ten opisywał najohydniejszą zbrodnię, jaką można sobie wyobrazić, a ja gapiłem się na niego z otwartymi ustami i poczuciem nieokreślonej winy.

– Ach taaak – rzekł brat Jack, przenosząc wzrok z twarzy na twarz – odbyło się zamknięte zebranie partyjne i zostały podjęte decyzje. Sporządziłeś protokół, bracie przewodniczący? Zapisaleś waszą mądrą dyskusję?

– Nie było żadnego zebrania, ale nadal podtrzymujemy tę opinię – powiedział brat z fajką.

– Nie było żadnego zebrania, ale mimo to spotkała się pewna grupa i podjęła decyzje, zanim wydarzenie, do którego się odnosiły, dobiegło końca.

– Ależ, bracie – ktoś spróbował interweniować.

– Fantastyczny zabieg – ciągnął dalej brat Jack, uśmiechając się teraz. – Doskonały przykład biegłych w teorii Niżyńskich wyskakujących przed historię. Ale powstrzymajcie się trochę, bracia, powstrzymajcie się, bo wylądujecie na waszej dialektyce; to stadium historii jeszcze się tak dalece nie rozwinęło. Może za dwa miesiące, ale nie teraz. A co ty myślisz, bracie Wrestrum? – spytał, wskazując palcem na ogromnego faceta o posturze Supercargo.

– Myślę, że przemówienie tego brata było wsteczne i reakcyjne! – powiedział.

Chciałem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Nic dziwnego, że w jego głosie brzmiała taka mieszanka uczuć, kiedy mi gratulował. Mogłem tylko gapić się na jego szeroką twarz z płonącymi nienawiścią oczami.

– A ty? – zwrócił się brat Jack do innego mężczyzny.

– Mnie się podobała jego mowa – odparł tamten. – Uważam, że była dość skuteczna.

– A ty? – spytał brat Jack następnego.

– Jestem zdania, że to był błąd.

– A to dlaczego?

– Bo musimy apelować do inteligencji ludzi...

– Właśnie – powiedział brat z fajką. – Była to antyteza podejścia naukowego. Nasz punkt widzenia jest racjonalny. Jesteśmy szermierzami naukowego podejścia do społeczeństwa, a taka mowa, z jaką się dzisiaj utożsamiliśmy, niszczy wszystko, co zostało wcześniej powiedziane. Publiczność nie myśli, tylko wrzeszczy aż do ochrypnięcia.

– Jasne, zachowuje się jak motłoch – powiedział potężny czarny brat.

Brat Jack roześmiał się.

– A ten motłoch – powiedział – jest motłochem występującym przeciwko nam czy też motłochem opowiadającym się z a nami – co myślą o tym nasi muskularni naukowcy?

Ale zanim zdążyli się odezwać, podjął na nowo:

– Może macie rację, może to jest motłoch, ale jeśli tak, to ten motłoch aż się pali, żeby pójść za nami. I chyba nie muszę mówić wam, teoretykom, że nauka opiera swoje sądy na eksperymencie! Wyciągacie pochopnie wnioski, zanim ten eksperyment dobiegł końca. Tak naprawdę, to, co się tutaj dzisiaj dzieje, jest tylko jednym etapem tego eksperymentu. Etapem wstępnym, uwolnieniem energii. Rozumiem, że mogło was to oneśmielić – boicie się przejścia do następnego etapu – bo to wy powinniście uporządkować i ukierunkować tę energię. Cóż, zostanie ukierunkowana, i to nie przez grupkę bojaźliwych, odsuniętych na bok teoretyków, dyskutujących w próżni, ale przez kogoś, kto wyprowadzi i poprowadzi tych ludzi!

Był w bojowym nastroju, przenosił wzrok z twarzy na twarz, jego rude włosy zjeżyły się, ale nikt nie podjął wyzwania.

– To obrzydliwe – powiedział, wskazując na mnie. – Nasz nowy brat osiągnął dzięki swojemu instyktowi to, czego od dwóch lat nie udawało się osiągnąć waszej „nauce”, a jedynym, co możecie teraz zaoferować, jest destrukcyjne krytykanctwo.

– Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie – rzekł brat z fajką. – Wskazanie na groźny charakter jego przemówienia nie jest destrukcyjnym krytykanctwem. W najmniejszym stopniu. Podobnie jak reszta nas, ten nowy brat musi się nauczyć mówić naukowo. Musi przejść szkolenie!

– A więc w końcu dociera to do ciebie – powiedział brat Jack, ściągając kąciki ust. – Szkolenie. Nie wszystko stracone. Jest nadzieja, że może uda się poskromić naszego dzikiego, ale skutecznego mówcę. Naukowcy dostrzegają możliwość! Bardzo dobrze, to już zostało ustalone, może nie naukowo, ale jednak ustalone. Przez najbliższych kilka miesięcy nasz nowy brat ma przejść kurs intensywnych studiów i indoktrynacji pod kierunkiem brata Hambro. W porządku – rzekł, kiedy otworzyłem usta, by się odezwać. – Miałem zamiar powiedzieć ci o tym później.

– Ale to (Bugi okres – powiedziałem. – Z czego będę żył?

– Będziesz nadal otrzymywał swoją pensję – odparł. – Tymczasem nie będziesz ponosił winy za żadne dalsze nienaukowe przemówienia, które mogłyby zakłócić naukowy spokój naszych braci. W ogóle, będziesz się trzymał z dala od Harlemu. Może wtedy przekonamy się, czy wy, szanowni bracia, jesteście tacy dobrzy w organizowaniu jak w krytykowaniu. Teraz wasz ruch, bracia.

– Myślę, że brat Jack ma rację – powiedział niski, łysy mężczyzna. – I nie sądzę, że akurat my powinniśmy się bać entuzjazmu ludu. Musimy jedynie skierować go tam, gdzie zrobi najwięcej dobrego.

Reszta milczała, brat z fajką niezłomnie wpatrywał się we mnie.

– Chodźmy – powiedział brat Jack. – Wyjdźmy stąd. Jeśli nie spuścimy z oczu rzeczywistego celu, to będziemy mieli większe szanse niż kiedykolwiek dotąd. I pamiętajmy, że nauka to nie gra w szachy, chociaż w szachy można grać naukowo. Musimy też pamiętać o tym, że jeśli mamy zorganizować masy, musimy najpierw sami się zorganizować. Dzięki naszemu nowemu bratu sytuacja się zmieniła; nie wolno nam przepuścić tej okazji. Od tej chwili zależy to od was.

– Zobaczymy – rzekł brat z fajką. – A co do tego nowego brata, to parę rozmów z bratem Hambro nikomu nie zaszkodzi.

Hambro, myślałem, wychodząc, kim on, do diabła, jest? Chyba mam szczęście, że mnie nie zwolnili. A więc teraz będę musiał znowu iść do szkoły.

Na zewnątrz grupa rozdzieliła się i brat Jack odciągnął mnie na bok.

– Nie martw się – powiedział. – Przekonasz się, że brat Hambro jest interesującą osobą, a poza tym szkolenia nie dałoby się uniknąć. Twoja dzisiejsza mowa była sprawdzianem, który zdałeś celująco, teraz więc zostaniesz przygotowany do rzeczywistego działania. Masz tutaj adres: skontaktuj się z nim z samego rana. Został już powiadomiony.

Kiedy dotarłem do domu, zmęczenie zdawało się mnie rozsadzać. Moje nerwy pozostały napięte nawet po wzięciu prysznic i włożeniu się do łóżka. Przez to rozczarowanie chciałem tylko zasnąć, ale mój umysł powracał stale do wiecu. To się rzeczywiście stało. Miałem szczęście i wypowiedziałem właściwe słowa we właściwym czasie, i spodobałem się im. A może wypowiedziałem niewłaściwe słowa we właściwych miejscach – nieważne, podobało im się to bez względu na to, co myśleli bracia, i od tej chwili moje życie się odmieni. Już się odmieniło. Bo teraz zdałem sobie sprawę, że wszystko, co powiedziałem publiczności, było szczerą prawdą, chociaż nie miałem pojęcia, że to powiem. Zamierzałem tylko dobrze wypaść, powiedzieć tyle, by Bractwo nadal się mną interesowało. To, co z tego wyszło, było zupełnie niezaplanowane, jak gdyby przejęło nade mną kontrolę jakieś drugie ja. I miałem szczęście, że przejęło, bo mógłbym zostać zwolniony.

Nawet moja technika przemawiania była inna; nikt z tych, co znali mnie z uczelni, nie rozpoznałby mojej mowy. I tak być powinno, bo byłem kimś nowym – mimo iż przemawiałem w bardzo staromodny sposób. Zostałem przemieniony i teraz, leżąc niespokojnie w ciemności, poczułem coś w rodzaju sympatii dla tej zamazanej publiczności, której twarzy ani razu wyraźnie nie ujrzałem. Byli ze mną od pierwszego słowa. Chcieli, żeby mi się udało, i na szczęście przemówiłem w ich imieniu, a oni rozpoznali moje słowa. Należałem do nich. Usiadłem na łóżku, obejmując w ciemności kolana, kiedy to sobie uświadomiłem. Może takie właśnie było znaczenie określenia „oddany i odsunięty”. Bardzo dobrze, jeśli tak, zgadzam się na to. Moje możliwości nagle się poszerzyły. Jako rzecznik Bractwa będę reprezentował nie tylko moją grupę, ale grupę o wiele większą. Publiczność była mieszana, a jej żądania wykraczały poza sprawy rasy. Zrobię, co będzie trzeba, żeby dobrze im służyć. Jeśli będą chcieli dać mi szansę, zrobię co w mojej mocy. Jak inaczej mógłbym uchronić się od rozpadu?

Siedziałem w ciemności, próbując przypomnieć sobie porządek przemówienia. Już teraz wydawało mi się, że wygłosiła je jakaś inna osoba. Mimo to wiedziałem, że było moje i tylko moje, a jeśli zapisał je stenograf, jutro rzucę na nie okiem.

Przez umysł przemykały mi słowa, zwroty; znowu widziałem niebieskawą mgiełkę. Co miałem na myśli, mówiąc, że stałem się „bardziej ludzki”? Czy było to wyrażenie, które zapożyczyłem od kogoś z poprzedzających mnie mówców, czy przejęzyczenie? Przez chwilę pomyślałem o dziadku, ale szybko pozbyłem się tej myśli. Co wspólnego miał stary niewolnik z ludzkością? Może było to coś, co powiedział Woodridge na zajęciach z literatury na uczelni. Widziałem go wyraźnie, jak na wpół pijany od słów, egzaltowany i pełen pogardy, chodzi tam i z powrotem przed tablicą z wypisanymi kredą cytatami z Joyce’a, Yeatsa i Seana O’Caseya; chudy, nerwowy, schludny, przemierzał salę wykładową tak, jakby chodził po zawieszanej wysoko linii znaczenia, na którą nikt z nas nie ośmieliłby się nigdy wspiąć. Jakbym go słyszał: „Problemem Stefana, podobnie jak naszym, było w istocie nie tyle stworzenie nie utworzonego sumienia jego rasy, ile stworzenie nie utworzonych rysów jego twarzy. Naszym zadaniem jest utworzenie nas jako jednostek. Sumienie rasy jest darem składających się na nią jednostek, które widzą, oceniają, zapisują. (...) Tworzymy tę rasę, tworząc siebie, a potem, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, okaże się, że stworzyliśmy coś o wiele ważniejszego – stworzyliśmy kulturę. Dlaczego mamy tracić czas na tworzenie sumienia czegoś, co nie istnieje? Bo, rozumiecie, krew i skóra nie myślą!”

Ale nie, to nie był Woodridge. „Bardziej ludzki”... Czy chodziło mi o to, że stałem się w mniejszym stopniu tym, kim byłem, mniej Murzynem, albo że byłem mniej osamotnionym bytem; w mniejszym stopniu wygnańcem z ojczystej ziemi, z Południa...? Ale to wszystko jest ujemne. Stać się mniej – po to by stać się bardziej? Być może o to chodziło, ale w jaki sposób bardziej ludzki? O takich rzeczach nie mówił nawet Woodridge. Raz jeszcze była to tajemnica, tak jak podczas tej eksmisji, kiedy wypowiedziałem słowa, które mną zawładnęły.

Pomyślałem o Bledsoe i o Nortonie, i o tym, co zrobili. Wrzucając mnie w mrok, sprawili, że dostrzegłem możliwość osiągnięcia czegoś naprawdę wielkiego i ważnego, przekraczającego moje najśmielsze marzenia. Oto była droga, która nie prowadziła przez tylne wejście, droga nie ograniczona czernią i bielą, ale taka, która – jeśli się żyło wystarczająco długo i pracowało wystarczająco ciężko – mogła doprowadzić do nagrody najwyższej z możliwych. Oto była droga do udziału w podejmowaniu ważnych decyzji, do przejrzenia tajemnicy rzeczywistego funkcjonowania tego kraju, całego świata. Leżąc w ciemności, po raz pierwszy dostrzegłem możliwość stania się kimś więcej niż tylko członkiem pewnej rasy. Nie była to mrzonka, ale realna możliwość. Po to by dostać się na szczyt, musiałem tylko pracować, uczyć się i przetrwać. Oczywiście, że będę studiował pod kierunkiem Hambro, dowiem się, czego musi mnie nauczyć i dużo więcej. Oby wreszcie

nastał ranek. Im szybciej skończę z tym całym Hambro, tym szybciej będę mógł się zająć swoim własnym dziełem.

Rozdział 17

Cztery miesiące później, kiedy zadzwonił do mnie o północy brat Jack i powiedział, żebym przygotował się do wyjazdu, ogarnęło mnie podniecenie. Na szczęście nie spałem jeszcze i byłem ubrany, kiedy więc przyjechał parę minut później, czekałem na niego pełen nadziei na ulicy. Być może, pomyślałem, kiedy zobaczyłem go zgarbionego w płaszczu nad kierownicą, nadeszła chwila, na którą czekałem.

– Jak się masz, bracie? – powiedziałem, wsiadając.

– Jestem trochę zmęczony – odparł. – Za mało snu, za dużo problemów.

Potem, kiedy włączył samochód do ruchu, umilkł, a ja postanowiłem nie zadawać mu żadnych pytań. Tego właśnie się już nauczyłem. Coś się musi dziać we Chtonycznym, pomyślałem, przyglądając się, jak patrzy na drogę, jakby był zatopiony w myślach. Może bracia czekają, żeby sprawdzić, czy zrobiłem postępy. Jeśli tak, to znakomicie, czekam na egzamin...

Ale kiedy spojrzałem przez szybę, odkryłem, że zamiast do Chtonicznego przywiózł mnie do Harlemu i parkował samochód.

– Wypijemy po kieliszku – oznajmił, wysiadł i skierował się ku miejscu, gdzie neonowy kontur byczej głowy anonsował bar El Toro.

Byłem rozczarowany. Nie chciałem kielicha, chciałem pokonać kolejny próg, który znajdował się pomiędzy mną i moim zadaniem. Zirytowany wszedłem za nim do środka.

W barze było ciepło i cicho. Na półkach stały zwykłe w takich miejscach rzędy butelek z egzotycznymi nazwami, a z tyłu, gdzie sprzeczało się po hiszpańsku nad kuflami piwa czterech mężczyzn, z szafy grającej, jarzącej się zielenią i czerwienią, dobiegały dźwięki *Media Luz*. A kiedy czekaliśmy na barmana, starałem się dociec, jaki był cel tej wycieczki.

Po rozpoczęciu studiów z bratem Hambro rzadko widywałem się z bratem Jackiem. Moje życie było zbyt ściśle zorganizowane. Ale powinienem był wiedzieć, że gdyby miało się coś wydarzyć, brat Hambro na pewno by mnie powiadomił. Zamiast tego miałem się z nim spotkać rano, jak zwykle. Ten Hambro, myślałem, to fantastyczny nauczyciel! Wysoki, życzliwy mężczyzna, prawnik i główny teoretyk Bractwa, okazał się wymagającym pedagogiem. Codzienne dyskusje z nim i sztywny kanon lektur zmuszały mnie do bardziej wyteżonej pracy niż zajęcia na uczelni. Nawet wieczory miałem zajęte; codziennie byłem na jakimś wiecu czy zgromadzeniu w którejś z wielu dzielnic (choć to była moja pierwsza wyprawa do Harlemu od czasu tamtej mowy) i siedziałem na podium z mówcami, robiąc notatki, które omawiałem z nim następnego dnia. Wszystkie wydarzenia należało przeanalizować, nawet przyjęcia, które wydawano czasami po mityngach. Podczas tych ostatnich musiałem zauważyć i zapamiętać postawy ideologiczne przejawiające się w rozmowach gości. Ale wkrótce poznałem w tym metodę – nie tylko poznałem wiele aspektów polityki Bractwa i jego podejścia do różnych ugrupowań społecznych, ale również zaznajomili się ze mną jego członkowie w całym mieście. Dobrze pamiętano rolę, którą odegrałem podczas eksmisji, i chociaż zakazano mi wygłaszania jakichkolwiek przemówień, przyzwyczałem się, że przedstawiano mnie jako swoistego bohatera.

Mimo to był to dla mnie głównie czas słuchania, więc jako urodzony mówca, zacząłem się niecierpliwić. Teraz znałem już większość argumentów Bractwa tak dobrze – tych, w które wątpiłem, jak i tych, w które wierzyłem – że mogłem wyrecytować je wyrwany z głębokiego snu, ale nie wspominano nic o moim zadaniu. A zatem miałem nadzieję, że ten telefon o północy znaczy, że ma się zacząć jakieś działanie...

Obok mnie brat Jack był nadal zatopiony w myślach. Wydawało się, że nigdzie mu się nie spieszy ani że nie odczuwa potrzeby porozmawiania, kiedy więc barman o leniwych ruchach przygotowywał nam napitki, zastanawiałem się na próżno, po co mnie tam przywiózł. Przed sobą, w oprawie, w której zazwyczaj umieszczone jest lustro, widziałem scenę z corridy – byka szarżującego na mężczyznę, który okręcał czerwoną pelerynę tak blisko ciała, że on i byk wydawali się stopieni w jednym wirze spokojnego, czystego ruchu. Czysta gracia, pomyślałem, patrząc nad kontuar, skąd uśmiechała się z reklamy piwa, z kalendarza z datą Pierwszego Kwietnia, nadnaturalna, różowobiała podobizna dziewczyny. Brat Jack się ożywił, a jego nastrój się zmienił, jakby nagle rozwiązał problem, który spędzał mu sen z oczu.

– Hej, wróć na ziemię – powiedział, trącając mnie żartobliwie. – Ta dziewczyna to tylko plakatowy obraz zimnej, stalowej cywilizacji.

Roześmiałem się, ciesząc się, że żartuje.

– A to? – zapytałem, wskazując na scenę z corridy.

– Zwykłe barbarzyństwo – odparł, przyglądając się barmanowi i ścisząc głos do szeptu.

– Ale powiedz mi, jak ci się podoba praca z bratem Hambro?

– O, bardzo – oświadczyłem. – Jest surowy, ale gdybym miał na uczelni takich nauczycieli jak on, to dowiedziałbym się paru rzeczy. Dużo mnie nauczył, ale nie wiem, czy to wystarczy, by zadowolić braci, którym nie podobała się moja mowa w tej hali sportowej. Mamy porozmawiać naukowo?

Roześmiał się, przy czym jedno jego oko zajaśniało bardziej niż drugie.

– Nie przejmuj się tymi braćmi – rzekł. – Bardzo dobrze sobie poradzisz. Sprawozdanie brata Hambro o twoich postępach było znakomite.

– Miło mi to słyszeć – powiedziałem, zauważywszy teraz inną scenę z corridy, na tyłach baru, przedstawiającą matadora wyrzuconego wysoko w powietrze rogami czarnego byka. – Ciężko pracowałem, starając się opanować tę ideologię.

– Opanuj ją – rzekł brat Jack – ale nie przedobrzyj. Nie pozwól, żeby ona opanowała ciebie. Nic nie usypia ludzi bardziej niż sucha ideologia. Ideałem jest osiągnięcie równowagi między ideologią i inspiracją. Mów to, co ludzie chcą usłyszeć, ale mów to w taki sposób, by robili to, co chcemy. – Roześmiał się. – Pamiętaj też, że teoria idzie zawsze za praktyką. Najpierw działaj, później teoretyzuj; to też zasada, przerażająco skuteczna!

Patrzył na mnie, jakby mnie nie widział, i nie wiedziałem czy śmieje się ze mnie, czy ze mną. Pewien byłem tylko tego, że się śmieje.

– Tak – powiedziałem – postaram się opanować wszystko, co trzeba.

– Możesz – rzekł. – I nie musisz się przejmować krytyką ze strony braci. Rzuć w nich czymś z ideologii, a dadzą ci spokój – jeśli, oczywiście, będziesz miał odpowiednie poparcie i osiągniesz wymagane wyniki. Jeszcze jednego?

– Dzięki, dosyć już wypilem.

– Na pewno?

– Tak.

– Dobrze. Przejdźmy teraz do twojego zadania. Jutro zostaniesz głównym rzecznikiem obwodu Harlemu...

– Co?!

– Tak. Wczoraj komitet podjął decyzję.

– Ale nie miałem o tym pojęcia.

– Poradzisz sobie. A teraz posłuchaj. Masz kontynuować to, co zacząłeś podczas tej eksmisji. Utrzymuj ich w stanie wzburzenia. Nakłoń ich do działania. Postaraj się, żeby przyłączyło się do ciebie jak najwięcej z nich. Para starszych członków da ci wskazówki, ale na razie masz się zorientować, co możesz zrobić. Będziesz miał swobodę działania – i będziesz ściśle podlegał komitetowi.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Nie, niezupełnie rozumiesz – odparł – ale zrozumiesz. Nie wolno ci bagatelizować dyscypliny, bracie. Czyni cię ona odpowiedzialnym za to, co robisz, wobec całej organizacji. Nie bagatelizuj dyscypliny. Jest bardzo surowa, ale w jej ramach masz pełną swobodę działania. A twoja praca jest bardzo ważna. Zrozumiano? – Jego wzrok zdawał się napierać na moją twarz, kiedy potakująco skinąłem głową. – Lepiej już wyjdźmy, żebyś mógł się trochę przespać – rzucił i osuszył swoją szklankę. – Jesteś teraz żołnierzem, twoje zdrowie należy do organizacji.

– Będę gotowy – powiedziałem.

– Wiem, że będziesz. A więc do jutra. Spotkasz się z egzekutywą obwodową Harlemu o dziewiątej rano. Oczywiście wiesz, gdzie się mieści?

– Nie, bracie, nie wiem.

– Doprawdy? Dobrze... – wobec tego lepiej będzie, jeśli pojedziesz tam ze mną na chwilę. Muszę się tam z kimś zobaczyć, a ty rzucisz okiem na miejsce, gdzie będziesz pracował. Podwożę cię do domu w drodze do centrum.

Biura okręgu znajdowały się w byłym kościele, którego parter zajmował lombard z wystawą pełną matowo połyskujących w ciemnej uliczce łupów. Weszliśmy po schodach na drugie piętro, do dużej sali z gotyckim sklepieniem.

– To tutaj – rzekł brat Jack, kierując się ku końcowi pomieszczenia, gdzie zobaczyłem rząd mniejszych pokoi, z których tylko jeden był oświetlony. Potem ujrzałem, że w drzwiach ukazuje się jakiś człowiek i kuśtyka do nas.

– Dobry wieczór, bracie Jacku – odezwał się.

– Ależ bracie Tarp, spodziewałem się zastać tu brata Tobitta.

– Wiem. Był tutaj, ale musiał wyjść – rzekł kulawy. – Zostawił dla ciebie ten list i powiedział, że zadzwoni do ciebie później.

– Dobrze, dobrze – powiedział brat Jack. – Poznaj nowego brata...

– Miło mi – rzekł tamten z uśmiechem. – Słyszałem twoje przemówienie w hali. Dobrze im powiedziałeś.

– Dzięki – rzekłem.

– A więc podobało ci się, bracie Tarp, tak? – spytał brat Jack.

– Podoba mi się ten chłopak.

– No to będziesz go często widywał, bo jest waszym nowym rzecznikiem.

– Znakomicie – odparł tamten. – Wygląda na to, że coś się u nas zmieni.

– Zgadza się – rzekł brat Jack. – Rzucimy teraz okiem na jego gabinet i pójdziemy sobie.

– Jasne, bracie – powiedział Tarp, ruszył przede mną do jednego z ciemnych pokoi i zapalił światło. – To tutaj.

Zajrzałem do małego gabinetu, zawierającego biurko z telefonem, maszynę do pisania na stoliku, biblioteczkę z książkami i broszurami i ogromną mapę świata ze starymi znakami nawigacyjnymi i bohaterską postacią Kolumba z jednej strony.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, powiedz bratu Tarpowi – rzekł brat Jack. – On jest tu stale.

– Dzięki – powiedziałem. – Rano się zorientuję.

– Tak, a teraz chodźmy, żebyś się trochę przespał. Dobranoc, bracie Tarp. Dopilnuj, żeby rano było dla niego wszystko przygotowane.

– Nie będzie się musiał o nic martwić, bracie. Dobranoc.

– Zwycięzimy, bo przyciągamy takich ludzi jak brat Tarp – oznajmił brat Jack, kiedy wsiedliśmy do samochodu. – Fizycznie jest stary, ale ideologicznie bardzo jary, jak młodzieniec. Można na nim polegać w najbardziej niepewnych sytuacjach.

– Sprawia wrażenie człowieka, którego dobrze jest mieć koło siebie – przytaknąłem.

– Przekonasz się o tym – odparł i pogrążył się w milczeniu, które trwało, dopóki nie stanęliśmy przed drzwiami mojego domu.

Kiedy przyszedłem, komitet był zgromadzony w wysokiej sali o gotyckim sklepieniu, siedząc na składanych krzesłach wokół dwóch zsuniętych razem stolików.

– No – przemówił brat Jack – jesteś punktualny. Bardzo dobrze, cenimy dokładność u naszych przywódców.

– Bracie, zawsze będę starał się być punktualny – rzekłem na to.

– Oto on, bracia i siostry – oznajmił – wasz nowy rzecznik. A teraz zacznijmy. Wszyscy obecni?

– Wszyscy, oprócz brata Toda Cliftona – ktoś powiedział.

Ruda głowa brata Jacka podskoczyła z zaskoczeniem.

– Tak?

– Przyjdzie tutaj – wyjaśnił jakiś młodszy brat. – Pracowaliśmy do trzeciej nad ranem.

– Mimo to powinien przyjść punktualnie... Dobrze – rzekł brat Jack, wyjmując zegarek – zaczynamy. Mam mało czasu, ale mało czasu wystarczy. Wszyscy znacie wydarzenia ostatniego okresu i rolę, jaką odegrał w nich nasz nowy brat. Krótko mówiąc, macie dopilnować, żeby tego nie zaprzepaszczono. Musimy osiągnąć dwie rzeczy: zaplanować metody zwiększenia skuteczności naszej agitacji i ująć w karby tę energię, która została wyzwolona. Wymaga to szybkiego wzrostu liczby członków. Ludzie zostali rozbudzeni; jeśli nie uda się nam poprowadzić ich do działania, staną się bierni albo cyniczni. A zatem musimy uderzyć natychmiast, i to uderzyć mocno! W tym celu – ciągnął, skinąwszy głową w moją stronę – nasz brat został wyznaczony na rzecznika tego obwodu. Macie zapewnić mu lojalne poparcie i uważać go za nowy instrument władzy komitetu...

Usłyszałem skromne brawa, które zamarły wraz z otwarciem się drzwi, i spojrzałem ponad rzędami krzesel w miejsce, gdzie wchodził do sali mężczyzna bez kapelusza w moim mniej więcej wieku. Miał na sobie gruby sweter i luźne spodnie, a kiedy inni podnieśli głowy, usłyszałem radosne westchnienie jakiejś kobiety. Potem ten młody człowiek wszedł niedbałym, murzyńskim krokiem z cienia w światło i zobaczyłem, że jest bardzo czarny, bardzo przystojny, a kiedy dotarł do środka pomieszczenia, że posiada rzeźbione jak w czarnym marmurze rysy, które czasami ujrzeć można u posągów w północnych muzeach i u ludzi w południowych miastach, gdzie białe potomstwo dzieci z domu i czarne potomstwo dzieci z podwórza ma nazwiska, łysy i cechy charakteru tak identyczne jak pociski wystrzelone z jednej lufy. A potem, gdy pochylił się, wysoki i rozluźniony, nad stolikiem, zobaczyłem szerokie, napięte przestrzenie między jego kłykciami na ciemnych słojach drewna, muskularne ramiona w swetrze, wypiętą Unię jego klatki piersiowej, wznoszącej się ku swobodnemu pulsowaniu gardła, ku kwadratowej, gładkiej brodzie, i dostrzegłem mały znak w kształcie X z plastra na subtelnie zmieszonym, jak aksamit z kamieniem, jak granit z kością, afroanglosaskim konturze jego policzka.

Pochylił się tam i spojrzał na nas wszystkich z odległą wyniosłością, w której wyczułem, pod przyjaznym wzrokiem, nieme pytanie. Wyczuwając możliwego rywala, przyglądałem się mu nieufnie i zastanawiałem się, kim on jest.

– Ach więc brat Tod Clifton się spóźnił – rzekł brat Jack. – Nasz przywódca młodzieży się spóźnił. A dlaczego?

Młodzieniec wskazał na swój policzek i uśmiechnął się.

– Musiałem iść do lekarza – powiedział.

– Co to jest? – spytał brat Jack, patrząc na krzyż przylepca na czarnej skórze.

– Drobną utarczką z nacjonalistami. Z chłopcami Rasa Agitatora – wyjaśnił brat Clifton. I usłyszałem stłumiony jęk zgrozy jednej z kobiet, która patrzyła na niego błyszczącymi, współczującymi oczami.

Brat Jack obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

– Bracie, słyszałeś o Rasie? To obłąkany człowiek, który nazywa siebie czarnym nacjonalistą.

– Nie przypominam sobie – odparłem.

– Wkrótce o nim usłyszysz. Usiądź, bracie Clifton, usiądź. Musisz być ostrożny. Jesteś cenny dla organizacji, nie możesz się narażać.

– To było nieuniknione – rzekł ów młody człowiek.

– Wszystko jedno – powiedział brat Jack, powracając do dyskusji o potrzebie pomysłów.

– Bracie, mamy nadal walczyć z eksmisjami? – zapytałem.

– Dzięki tobie stało się to jedną z głównych spraw.

– Dlaczego więc nie mielibyśmy nasilić tej walki? – powiedziałem.

Przyjrzał się uważnie mojej twarzy.

– Co proponujesz?

– Skoro przyciągnęło to tak dużo uwagi, dlaczego nie wystąpić z tą sprawą wobec całej społeczności?

– A jak, twoim zdaniem, mielibyśmy się do tego zabrać?

– Proponuję, żebyśmy postarali się uzyskać poparcie przywódców tej społeczności.

– Są z tym pewne kłopoty – powiedział brat Jack. – Większość tych przywódców jest nam przeciwna.

– Aleja myślę, że on ma rację – rzekł brat Clifton. – A jeśli postaralibyśmy się, żeby poparli tę sprawę bez względu na to, czy podobamy się im czy nie? Ta sprawa jest sprawą społeczności, nie sprawą takiej czy innej partii.

– Właśnie – powiedziałem. – Tak to dla mnie wygląda. Z powodu tego całego podniecenia, spowodowanego eksmisjami nie mogą wystąpić przeciw nam, nie narażając się na zarzut działania przeciw interesom społeczności...

– Tak więc trzymamy ich na muszce – dodał brat Clifton.

– To trafne spostrzeżenie – powiedział brat Jack.

Pozostali zgodzili się z tym.

– Widzicie – rzekł brat Jack z szerokim uśmiechem – zawsze unikaliśmy tych przywódców, ale z chwilą gdy nacieramy szerokim frontem, sekciarstwo staje się brzemieniem, którego trzeba się pozbyć. Jakież inne propozycje? – Rozejrzał się.

– Bracie – powiedziałem, przypomniawszy coś sobie – kiedy po raz pierwszy znalazłem się w Harlemie, jedną z rzeczy, które wywarły na mnie ogromne wrażenie, był mężczyzna przemawiający z drabiny. Mówił z ogromną pasją i jakimś akcentem, ale miał entuzjastycznych słuchaczy... Dlaczego nie mielibyśmy głosić naszego programu w taki sam sposób na ulicach?

– A więc poznałeś go – rzekł, uśmiechając się nagle. – No cóż, Ras Agitator ma monopol w Harlemie. Ale teraz, kiedy się rozrośliśmy, moglibyśmy spróbować. Komitet pragnie konkretnych wyników.

A więc to był Ras Agitator, pomyślałem.

– Będziemy mieli kłopot z tym Prestygitatorem... To znaczy z Agitatorem – odezwała się potężna kobieta. – Jego łobuzy zaatakowałyby i zadenujcowwały białe mięso pieczonego kurczaka.

Roześmialiśmy się.

– Dostaje szału, kiedy widzi czarnych razem z białymi – powiedziała do mnie.

– Zajmiemy się tym – rzekł brat Clifton, dotykając policzka.

– Dobrze, ale bez przemocy – powiedział brat Jack. – Bractwo jest przeciwko przemocy, terrorowi i jakiegokolwiek prowokacji – to znaczy, agresywnej. Zrozumiano, bracie Clifton?

– Zrozumiano – odparł.

– Nie zgodzimy się na żadną agresywną przemoc. Zrozumiano? Żadnych napaści na urzędników i funkcjonariuszy ani innych, którzy nas nie atakują. Jesteśmy przeciwko wszelkim formom przemocy, rozumiano?

– Tak, bracie – rzekłem.

– Bardzo dobrze, skoro już to wyjaśniłem, opuszczam cię teraz – powiedział. – Sprawdź, co uda ci się osiągnąć. Masz duże poparcie z innych obwodów i wszystkie wskazówki, które są ci potrzebne. A tymczasem pamiętaj, że obowiązuje nas wszystkich dyscyplina.

Wyszedł, a my podzieliliśmy się pracą. Zaproponowałem, żeby każdy pracował w rejonie, który zna najlepiej. Ponieważ między bractwem a przywódcami lokalnej społeczności nie było żadnych kontaktów, wziąłem na siebie zadanie ich nawiązania. Postanowiono, że mityngi uliczne zaczną się od zaraz i że brat Tod Clifton ma wrócić i omówić ze mną szczegóły.

Kiedy trwała dyskusja, przyglądałem się ich twarzom. Wydawali się zaabsorbowani sprawą i całkowicie zgodni, czarni i biali. Ale kiedy spróbowałem określić, jakiego typu człowiekiem jest każdy z nich, nic z tego nie wyszło. Ta potężna kobieta, która wyglądała jak piwoszka z Południa, kierowała pracą kobiet i posługiwała się w swoich wypowiedziach abstrakcyjnymi, ideologicznymi terminami. Pozornie nieśmiały mężczyzna z plamami wątrobowymi na szyi mówił z odważną bezpośredniością i zapałem do działania. A brat lód Clifton, młody przywódca, wyglądał trochę jak modniś, trochę jak cwaniaczek – tyle tylko, że jego kędzierzawa, przypominająca karakuły fryzura nie zaznała nigdy płynu prostującego włosy. Nie potrafiłem nikogo z nich zaliczyć do żadnej kategorii. Wydawali się znajomi, ale byli tak odmienni, jak odmienny był brat Jack i ci pozostali biali od wszystkich białych, których znałem. Wszyscy byli przemienieni, jak znani ludzie widziani we śnie. No cóż, pomyślałem, ja też jestem inny, a przekonają się o tym, gdy tylko zakończy się to gadanie i zacznie działanie. Będę musiał uważać, by nikogo nie nastawić przeciwko sobie. Mogłoby się komuś nie spodobać, że mnie powierzono kierownictwo.

Ale kiedy brat Tod Clifton przyszedł do mojego gabinetu omówić mityng uliczny, nie zauważyłem u niego żadnych oznak niechęci, ale za to całkowite pochłonięcie strategią mityngu. Instruował mnie drobiazgowo, jak radzić sobie z krzykaczami, co robić, jeśli zostaniemy zaatakowani, i jak odróżniać członków naszej organizacji od reszty tłumu. Mimo swoich cech modnisiawypowiadał się z precyzją i nie miałem wątpliwości, że zna się na tym, co robi.

– Jak twoim zdaniem wypadniemy? – zapytałem, kiedy skończył.

– Człowieku, to będzie wielka rzecz – oświadczył. – Większa niż cokolwiek od czasów Garveya.

– Chciałbym mieć twoją pewność – rzekłem. – Nigdy nie widziałem Garveya.

– Ja też nie – powiedział – ale wiem, że w Harlemie był kimś bardzo wielkim.

– Ale my nie jesteśmy Garveyem, a poza tym on nie przetrwał.

– Nie, ale musiał coś mieć – rzekł z nagłą pasją. – Musiał coś mieć, skoro udało mu się poruszyć tych wszystkich ludzi! Naszych ludzi ciężko jest zmobilizować. Musiał coś mieć.

Popatrzyłem na niego. Spoglądał gdzieś w głąb siebie; potem się uśmiechnął.

– Nie martw się – powiedział. – Mamy naukowy plan, a ty ich pchniesz do działania. Jest tak źle, że będą słuchali, a kiedy będą słuchali, ruszą.

– Mam nadzieję – odparłem.

– Na pewno. Nie jesteś w tym ruchu tyle czasu co ja; to już trzy lata i wyczuwam zmianę. Są gotowi, by ruszyć.

– Mam nadzieję, że wycucie cię nie myli – powiedziałem.

– Nie ma obawy, nie myli – odparł. – Musimy tylko ich zebrać.

Wieczór był prawie zimowo chłodny, róg ulicy dobrze oświetlony, a tłum Murzynów duży i gęsty. Stałem teraz na drabinie, otoczony członkami młodzieżówki Cliftona, a za ich plecami z postawionymi kołnierzami widniały twarze wątpiących, ciekawskich i przekonanych. Było wcześniej i rzuciłem mój głos przeciwko dźwiękom ruchu ulicznego, czując wilgotne zimno powietrza na policzkach i rękach, gdy emocje rozgrzewały moje słowa. Zacząłem właśnie odczuwać żywą więź między mną i tłumem, usłyszawszy, jak odpowiadają wiwatami i okrzykami zgody, kiedy moją uwagę przykuł Tod Clifton, który wskazywał na coś ponad głowami zgromadzonych. Obok ciemnych witryn sklepowych i neonów zauważyłem zbliżającą się szybko grupę około dwudziestu mężczyzn. Spojrzałem w dół.

– Mamy kłopoty, mów dalej – rzekł Clifton. – Daj chłopcom sygnał.

– Moi bracia, nadszedł czas do działania – krzyknąłem. I zobaczyłem teraz, że młodzi członkowie wraz z paroma starszymi mężczyznami przesuwałą się na tył tłumy i idą na spotkanie nadchodzącej grupy. Później coś nadleciało z ciemności i uderzyło mnie mocno w czoło. Poczułem, że tłum napiera na drabinę i przesuwa ją do tyłu, i byłem niczym człowiek chwiejący się nad tłumem na szczudłach, a potem spadłem na ulicę, słysząc, jak drabina przewraca się z łoskotem. Teraz wszyscy kotłowali się w panice i zobaczyłem obok siebie Cliftona.

– To Ras Agitator – wrzasnął. – Masz sprawne ręce?

– Mam sprawne pięści! – Byłem rozdrażniony.

– A więc dobrze. Nadarzyła się okazja. Dalej, zobaczymy, jak walczysz!

Przesunął się do przodu i wydawało się, że dał nurka w kłębiący się tłum, a ja skoczyłem obok niego i ujrzałem, że ludzie się rozpraszają, wbiegając do klatek schodowych i znikając w mroku.

– Tam jest Ras, tam – zawołał Clifton. Usłyszałem huk rozbijanego szkła i ulica pograżyła się w ciemności. Ktoś stłukł lampę i zobaczyłem przez półmrok Cliftona kierującego się w miejsce, gdzie w ciemnym oknie jarzył się czerwony neon, a potem coś przeleciało mi obok głowy. Podbiegł jakiś mężczyzna z rurką i ujrzałem, że Clifton zbliża się do niego, pochyła się, dopada go, chwytą za przegub i wykręca mu nagle rękę jak żołnierz wykonujący w tył zwrot, tak że znalazł się teraz twarzą naprzeciwko mnie, przytrzymując sztywny łokieć tego mężczyzny ponad jego barkiem, a ten mężczyzna wspinał się na czubki palców i wrzasnął, kiedy Clifton wyprostował się płynnie i założył dźwignię na jego rękę.

Usłyszałem suchy trzask i zobaczyłem, że mężczyzna pada, a jego rurka zadzwoniła o chodnik i potem ktoś walnął mnie mocno w żołądek i nagle wiedziałem, że ja też walczę. Osunąłem się na kolana, zwinąłem i wyprostowałem, aby stawić mu czoło. – Wstawaj, Wuju Tomie – powiedział i szczepiłem się z nim. Obaj potrafiliśmy posługiwać się rękoma i pojedynek był wyrównany, ale on miał mniejsze szczęście. Nie upadł i nie został znokautowany, ale trafiłem go dobrze dwa razy, postanowił więc bić się gdzie indziej. Kiedy się odwrócił, podstawiłem mu nogę i odskoczyłem.

Bójka przenosiła się teraz w ciemności, gdzie rozbito aż do rogu latarnie uliczne, i odbywała się w ciszy, przerywanej tylko sapaniem i odgłosami ciężkich kroków i ciosów. W mroku czułem się zdezorientowany i nie mogłem odróżnić naszych od wrogów, poruszałem się więc ostrożnie, starając się coś dojrzeć. Ktoś w górze ulicy wrzasnął: – Przerwać to! Przerwać! – i pomyślałem: Gliny, i rozejrzałem się za Cliftonem. Neon jarzył się tajemniczo, było mnóstwo bieganiny i przekleństw i wreszcie zobaczyłem go walczącego umiejętnie w holu sklepu przed czerwoną tabliczką z napisem TU REALIZOWANE SĄ CZEKI, i pobiegłem tam, słysząc przelatujące obok mojej głowy przedmioty i brzęk szkła. Ręce Cliftona wyprowadzały krótkie, dokładne ciosy w głowę i brzuch Rasa Agitatora, punktując go szybko i naukowo, przy czym Clifton uważał, by nie posłać go na okno i samemu nie uderzyć pięścią w szybę, kiedy obrabiał go tak szybkimi prawymi i lewymi, że Ras chwiał się

między nimi jak pijany byk, z boku na bok. A kiedy podszedłem bliżej, Ras spróbował się przebić przez grad ciosów i zobaczyłem, jak Clifton odrzuca go do tyłu, a Ras ląduje w przysiadzie, z dłońmi na ciemnej podłodze holu i piętami zapartymi o drzwi jak biegacz w blokach startowych. Potem, wystrzeliwszy do przodu, dosięgnął idącego na niego Cliftona, uderzając go głową, i Clifton upadł na plecy, i coś błysnęło w ręku Rasa i ruszył do przodu, mała, ciężka postać, szeroka jak ten hol, teraz z nożem, poruszająca się niespiesznie. Okręciłem się, rozglądając się za rurką, nurkując w jej poszukiwaniu i pełzając na czworakach, i jest, jest – a kiedy się podniosłem, zobaczyłem, jak Ras sięga w dół i chwytą jedną dłonią Cliftona za kołnierz, trzymając nóż w drugiej, patrzy na niego i sapie jak rozwścieczony byk. Zamarłem, widząc, że unosi rękę z nożem i zatrzymuje ją w połowie drogi; unosi i zatrzymuje, przeklinając; potem znowu unosi i znowu zatrzymuje, wszystko bardzo szybko, po czym zaczyna płakać i mówić jednocześnie, a ja ostrożnie posuwam się do przodu.

– Człowieku – wybuchnął Ras. – Powinienem cie zabić. Niech to szlag, powinienem cie zabić i na świecie byłoby lepiej. Ale ty żeś jest czarny, człowieku. Dlaczego żeś czarny? Przysięgam, że powinienem cie zabić. Nikt nie uderzy bezkarnie Agitatora, niech to szlag, nikt!

Zobaczyłem, że kolejny raz unosi nóż, ponownie go opuszcza, popycha Cliftona na ulicę i staje nad nim, łkając.

– Dlaczego ty trzymasz z tymi białymi? Dlaczego? Ja cie od dawna obserwuje. Mówię sobie: „Szybko zmądrzeje i zmęczy się. Da się z tym spokój”. Dlaczego taki dobry chłopak jak ty z nimi trzyma?

Nadal posuwając się do przodu, zobaczyłem, że twarz Rasa lśni od łez złości, czerwonych od blasku neonowego szyldu, kiedy stoi on nad Cliftonem z nadal niewinnym nożem.

– Ty żeś mój brat, człowieku. Bracia so tego samego koloru; jak, do diabła, możesz nazywać tych białych braćmi? Gównu, chłopie, gównu! Bracia so tego samego koloru. My so synami mamy Afryki, zapomniał żeś? Ty czarny, CZARNY! Ty... cholera, człowieku! – powiedział, wymachując nożem dla podkreślenia swoich słów. – Masz złe włosy! Masz grube wargi! Mówio, że śmierdzisz! Oni cie nienawidzo, człowieku. Tyś Afrykanin. AFRYKANIN! Dlaczego trzymasz z nimi? Zostaw to gównu, chłopcze. Oni cie sprzedadzo. To gównu to przeżytek. Oni nas zniewalajo – zapomniał żeś o tym? Jak oni mogo życzyć czarnemu czegoś dobrego? Jak oni mogo być twoimi b r a ć m i ?

Dotarłem teraz do niego, uderzyłem mocno rurką i ujrzałem, że nóż wylatuje w ciemność, kiedy złapał się za nadgarstek; znowu podniosłem rurkę i odczułem nagle strach i nienawiść, kiedy spojrział na mnie swoimi wąskimi, małymi oczkami i przyjął bojową postawę.

– A ty, człowieku – powiedział Agitator – ty mały, czarny diable! Przekłeta, chytro mangusto! Myślisz, że skąd ty żeś jest, że się zadajesz z białymi? Ja to wiem, cholera; ja to dobrze wiem! Ty żeś z Południa! Z Trynidadu! Z Barbados! Jamajki, Afryki Południowej, a biały wsadził ci nogę w dupę aż po biodro. Czemu próbujesz się wyprzeć i zdradzić czarnych? Dlaczego walczysz przeciwko nam? Wy, młodzi. Wy, młodzi czarni z wykształceniem; słyszałem wasze podżeganie. Dlaczego przechodzicie do ciemności ciel a? Co to za wykształcenie? Co to za czarny, który zdradza swojo marne?

– Zamknij się – powiedział Clifton, podrywając się z chodnika. – Zamknij się!

– Nie, do diabła – zawołał Ras, wycierając oczy pięściami. – Ja mówię! Walnij mnie to ruro, ale, na Boga, posłuchaj Agitatora! Chodź z nami, człowieku. Budujemy wspaniały ruch czarnych. Czarnych! Co oni robio, dajo wam pieniądze? Na co komu ich przekłete pieniądze? Ich pieniądze krwawio czarno krwio, człowieku. So nieczyste! Branie ich pieniędzy to branie gówna, chłopie. Pieniądze bez godności – to w i e l k i e gównu.

Clifton rzucił się ku niemu. Powstrzymałem go, kręcąc głową.

– Daj spokój, ten facet jest szalony – powiedziałem, ciągnąc go za ramię.

Ras uderzył się pięściami po udach.

– Ja szalony, człowieku? Mnie nazywasz szalonym? Popatrz na was dwóch i popatrz na mnie – czy to normalne? Stoimy tu w trzech odcieniach czerni! Trzech czarnych mężczyzn bije się na ulicy z powodu białego ciemniźcyela? Czy to normalne? Czy to jest świadomość, naukowe zrozumienie? Czy taki jest nowoczesny czarny mężczyzna w dwudziestym wieku? Do diabła, człowieku! Czy to szacunek dla samego siebie – czarny przeciwko czarnemu? Co wam dają za zdradę – swoje kobiety? Na to was wzięli?

– Chodźmy – powiedziałem, przypomniawszy sobie przerażającą walną rozprawę w mroku, ale Clifton patrzył na Rasa ze ściągniętą, zafascynowaną miną i odsunął się ode mnie. – Chodźmy – powtórzyłem, ale on pozostał na miejscu.

– Pewnie, ty idź – podjął Ras – ale bez niego. Ty jesteś skażony, ale on jest prawdziwym czarnym. W Afryce ten mężczyzna byłby wodzem, czarnym królem! Tutaj mówią, że gwałci te ichnie cholerne kobiety bez kropli krwi w żyłach. Założę się, że nie może się od nich opędzić kijem bejsbolowym – psiakrew! Co to za głupoty? Kopać go w dupę od kołyski do grobu, a potem nazywać go bratem? Czy to się matematycznie układa? Czy to logiczne? Popatrz na niego, człowieku; otwórz oczy – zwrócił się do mnie. – Ja wyglądam, jakbym chwiały tym pieprzonym światem! Wiedzą o mnie w Japonii, w Indiach – we wszystkich kolorowych krajach. Młodość! Inteligencja! Naturalne księstwo tego człowieka! Gdzie ty masz oczy? Gdzie twój szacunek do siebie? Pracować dla tych przeklętych ludzi? Ich dni są policzone, ich czas prawie minął, a ty się wygłupiasz, jakby to był dziewiętnasty wiek. Nie rozumiem ciebie. Czy ja jestem tępy? Odpowiedz mi, człowieku!

– Tak – wybuchnął Clifton. – Do diabła, tak!

– Myślisz, że jestem szalony, bo mówię źle po angielsku? Do diabła, to nie jest mój ojczysty język, człowieku, ja jestem Afrykanin! Naprawdę myślisz, że jestem szalony?

– Tak, tak!

– Wierzysz w to? – spytał Ras. – Co oni z tobą zrobili, czarny człowieku? Dają ci te swoje śmierdzące kobiety?

Clifton znowu rzucił się do przodu, a ja znowu go chwyciłem; i znowu Ras ani drgnął, a jego głowa jarzyła się czerwono.

– Kobiety? Niech to szlag, człowieku! To jest równość? To jest wolność czarnego mężczyzny? Klepięcie po plecach i kawałek pizdy bez namiętności? Robaki! Tak cholernie tanio was kupują? Za te szmaty? Za to wodę z żółcio? Co oni robią z moim ludem! Gdzie wasz pomysłupek? Wiecie, że biały z wyższej klasy nienawidzi czarnego, to proste. No więc teraz wykorzystuje te swoje szmaty i chce, żeby wy, młodzi czarni, zrobili za niego brudną robotę. Zdradzają was, a wy zdradzacie czarnych. Oszukują was. Niech walczą między sobą. Niech się pozabijają. My się organizujemy – organizacja jest dobra – ale organizujemy się na czarno. NA CZARNO!

Do diabła z tym sukinsynem! Bierze jedno z tych dziwek i mówi czarnemu, że jego wolność leży między jej chudymi nogami – a sam skurwysyn bierze całość władzy i stolice i czarnemu nie zostawia nic. Porządny biały kobietom mówi, że czarny to gwałciiciel, i trzyma je w zamknięciu i niewiedzy, a sam robi z czarnego rasę bękartów.

Kiedy czarny będzie miał w końcu dosyć tej dziecinnej perfidii? Tak cie skołował, że nie ufasz swojej czarnej inteligencji? Wy, młodzi, nie poniżajcie się. Nie zapierajcie się siebie! Trzeba było miliard galonów czarnej krwi, żeby was zrobić. Rozpoznajcie się w środku, a zbledno przy was królowie! Mężczyzna wie, że jest mężczyzną, kiedy nic nie ma, kiedy jest nagi – nikt nie musi mu tego mówić. Masz sześć stóp wzrostu, człowieku. Ty młody i inteligentny. Ty czarny i piękny – nie pozwól im mówić, że jest inaczej! Nie byłbyś ty taki, jakbyś był martwy, człowieku. Martwy! Ja bym de zabił, człowieku. Ras Agitator podniósł swój nóż i próbował to zrobić, ale nie mógł. Dlaczego tego nie zrobisz? pytam siebie. Zrobię to teraz, myślę, ale coś mnie mówi: „Nie, nie! Mógłbyś zabić swojego czarnego króla!” I ja

odpowiadam: Tak, tak! Więc ja się godzę z twoim upokarzającym działaniem. Ras rozpoznał twoje czarne możliwości, człowieku. Ras nie poświęci swojego czarnego brata dla białego ciemniźcyela. Zamiast tego Ras płacze. Ras jest mężczyzną – żaden biały nie musi mu tego mówić – i Ras płacze. No więc dlaczego nie rozpoznasz swojego obowiązku wobec czarnych, człowieku, i nie przyłączysz się do nas?

Jego pierś falowała, a w ostrym głosie pojawiła się błagalna nuta. Stał, czekając na odpowiedź. I nagle nisko nad budynkiem przeleciał duży samolot transportowy i, podniósłszy głowę, zobaczyłem smugę ognia dobywającą się z jego silnika; w milczeniu we troje śledziliśmy go wzrokiem.

Nagle Agitator potrząsnął pięścią w stronę samolotu i krzyknął:

– Do diabła z nim, któregoś dnia my też będziemy je mieli! Do diabła z nim!

Stał tak, potrząsając pięścią, kiedy potężny ryk samolotu wprawił budynki w drżenie. Potem samolot zniknął, a ja rozejrzałem się po nierzeczywistej ulicy. Bili się teraz w ciemnościach na drugim końcu ulicy i byliśmy tu sami. Popatrzyłem na Agitatora. Nie wiedziałem, czy jestem zły czy zdumiony.

– Słuchaj – odezwałem się, potrząsając głową – porozmawiajmy rozsądnie. Od dzisiaj będziemy co wieczór na rogach ulic, przygotowani na awantury. Nie chcemy ich, szczególnie z tobą, ale nie będziemy też uciekać...

– Cholera, człowieku – powiedział, wyskakując do przodu – to jest Harlem. To mój teren, teren czarnych. Myślisz, że pozwolimy tu przychodzić białym i rozprowadzać ich truciznę? Że pozwolimy im przychodzić i przejąć loterie? Tak jak wszystkie sklepy, które już mają? Mów rozsądnie, człowieku, jak rozmawiasz z Rasem, mów rozsądnie.

– To jest rozsądne – rzekłem – a ty słuchaj, jak my słuchaliśmy ciebie. Będziemy tu co wieczór, zapamiętaj. Będziemy tu i kiedy następnym razem rzucisz się z nożem na któregoś z naszych braci – obojętnie, białego czy czarnego – nie zapomnimy o tym.

Potrząsnął głową.

– Ja ciebie też nie zapomnę, człowieku.

– Nie zapomnij. Nie chcę, żebyś zapomniał, bo jeśli zapomnisz, będzie awantura. Jesteś w błędzie, nie widzisz, że jest was zbyt mało? Żeby zwyciężyć, potrzebujecie sojuszników...

– Teraz mówisz rozsądnie. Czarnych sojuszników. Żółtych i śniadych sojuszników!

– Wszystkich ludzi, którzy chcą braterskiego świata – powiedziałem.

– Nie bądź głupi, człowieku. Oni so bi ali, nie muszo być sojusznikami żadnych czarnych. Jak dostano, czego chco, zwróco się przeciwko tobie. Gdzie twoja czarna inteligencja?

– Jeśli będziesz myślał w taki sposób, zmiotą cię fale historii – oznajmiłem. – Zaczynj myśleć rozumem, a nie emocjami.

Potrząsnął gwałtownie głową, patrząc na Cliftona.

– Ten czarny gada mi o rozumie i o myśleniu. Pytam was obu – macie oczy otwarte czy śpicie? Jaka jest wasza przeszłość i dokąd idziecie? Mniejsza z tym, bierzcie swoje zepsute ideologie i zeżryjcie własne bebechy jak śmiejąca się hiena. Nie jesteście nigdzie, człowieku. Nigdzie! Ras nie jest głupi ani się nie boi. Nie! Ras jest czarny i będzie walczył o wolność czarnych, kiedy biali dostano, czego chco, i odejdo, śmiejąc się wam w twarz, a wy zostaniecie, śmierdzący i zadławieni białymi robakami.

Splunął ze złością na ciemną ulicę. Ślina zaślśniła różowo w czerwonym świetle neonu.

– O mnie się nie martw – rzekłem. – Tylko pamiętaj o tym, co ci powiedziałem. Chodźmy, bracie Clifton. Tego człowieka przepelnia ropa, czarna ropa.

Odwróciliśmy się; pod moją stopą trzasnęło szkło.

– Może i tak – rzucił Ras – aleja nie jestem durniem! Nie jestem czarnym, wykształconym durniem, który myśli, że wszystko między czarnymi i białymi można załatwić paroma przeklętymi kłamstwami z jakichś cholernych książek napisanych przez białych. Zbudowanie

tej cywilizacji białych kosztowało trzysta lat czarnej krwi i nie da się jej zetrzeć w minutę. Krew domaga się krwi! Pamiętajcie o tym. I pamiętajcie, że ja nie jestem taki jak wy. Ras wie, o co naprawdę chodzi, i nie boi się być czarny. I nie jest zdrajco na usługach białych. Zapamiętajcie to – ja nie jestem czarnym zdrajco czarnych na usługach białych.

I zanim zdążyłem odpowiedzieć, Clifton okręcił się szybko w mroku i rozległ się trzask; zobaczyłem, że Ras pada na ziemię, a Clifton ciężko dyszy; Ras leżał na ulicy, gruby, czarny mężczyzna z twarzą pokrytą czerwonymi łzami, w których odbijał się blask napisu TU REALIZOWANE SĄ CZEKI.

I kiedy Clifton spojrzał poważnie w dół, Ras zdawał się zadawać mu nieme pytanie.

– Chodźmy – powiedziałem. – Chodźmy!

Ruszyliśmy, kiedy rozległ się dźwięk syren, a Clifton przeklinał pod nosem.

Potem wydostaliśmy się z ciemności na ruchliwą ulicę i odwrócił się do mnie. W oczach miał łzy.

– Biedny, pomyłony sukinsyn – rzekł.

– On też tak myśli o tobie – odparłem. Cieszyłem się, że wyszliśmy z mroku i znaleźliśmy się daleko od tego agitującego głosu.

– Ten człowiek jest szalony – powiedział Clifton. – Doprowadzi cię do szaleństwa, jeśli na to pozwolisz.

– Skąd ma to imię? – zapytałem.

– Sam je sobie nadał. Tak mi się zdaje. „Ras” to szanowany tytuł na Wschodzie. Aż dziw, że nie powiedział czegoś o „Etiopii rozpościerającej swe skrzydła” – rzekł, małpując Rasa. – W jego wykonaniu brzmi to, jakby kobra rozkładała swój kaptur... Nie wiem... Nie wiem...

– Będziemy musieli mieć go na oku – stwierdziłem.

– Lepiej tak – rzekł. – On nie przestanie walczyć... I dzięki za wytrącenie mu noża.

– Nie musiałeś się martwić – powiedziałem. – Nie zabiłby swojego króla.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, jakby myślał, że mówię poważnie, a potem się uśmiechnął.

– Przez chwilę myślałem, że jest już po mnie – rzekł.

Kiedy kierowaliśmy się ku biuru okręgu, zastanawiałem się, co powiedziałyby o tej bójce brat Jack.

– Będziemy musieli go pokonać dzięki lepszej organizacji – powiedziałem.

– Zrobimy to, nie ma obawy. Ras jest silny w środku – rzekł Clifton. – W środku jest niebezpieczny.

– Nie wejdzie do środka – powiedziałem. – Uważałyby się za zdrajcę.

– Tak – zgodził się Clifton – nie wejdzie. Słyszałeś, o czym gadał? Słyszałeś, co mówił?

– Pewnie, że słyszałem.

– Sam nie wiem – powiedział. – Przypuszczam, że czasami człowiek musi wyskoczyć z historii...

– Co?

– Wyskoczyć z historii, znaleźć się poza nią, odwrócić od niej plecami... W przeciwnym razie mógłby kogoś zabić, zwariować.

Nic nie odpowiedziałem. Może ma rację, pomyślałem, i nagle bardzo się ucieszyłem, że odkryłem Bractwo.

Następnego ranka padał deszcz i przyszedłem do biura, zanim pojawili się pozostali bracia; spojrzałem przez okno mojego gabinetu, obok wystającej ściany budynku, i za monotonnym wzorem z jego cegieł i zaprawy dostrzegłem rząd drzew wznoszących się w deszczu wysoko i z wdziękiem. Jedno z nich roślo blisko, widziałem więc krople wody ciekące po jego korze i lepkich pączkach. Drzewa ciągnęły się rzędem wzdłuż całego długiego kwateru, wznosząc się wysoko w kąpiącej wilgoci ponad ciągiem zagraconych

podwórek. I przyszło mi do głowy, że oczyszczone z rozpadających się płotów i obsiane kwiatami i trawą mogłyby utworzyć miły park. I akurat wtedy z okna po mojej lewej stronie wyfrunęła papierowa torba, pękła jak cichy granat, rozsiewając śmieci wśród drzew, i opadła na ziemię z miękkim, pozbawionym energii kłapnięciem. Wzdrygnąłem się z odrazą, a później pomyślałem: Któregoś dnia słońce zaświeci również na tych podwórkach. W martwym sezonie warto by może przeprowadzić społeczną kampanię sprzątnięcia. Nie wszystko może być tak ekscytujące jak ostatnia noc.

Odwróciwszy się z powrotem do biurka, usiadłem twarzą do mapy i chwilę potem pojawił się brat Tarp.

– Dzień dobry, synu, widzę, że już jesteś w pracy – powiedział.

– Dzień dobry. Mam tyle roboty, że pomyślałem, żeby lepiej zacząć wcześniej – odparłem.

– Dasz sobie radę – rzekł. – Ale nie przyszedłem tu po to, żeby zabierać ci czas. Chcę powiesić coś na ścianie.

– No to bierz się do tego. Pomóc ci?

– Nie, sam to zrobię – rzekł, wspiął się chromą nogą na krzesło, które stało pod mapą, powiesił na gzymsie biegnącym pod sufitem obraz, starannie go wyrównał i zszedł, by stanąć obok mojego biurka.

– Synu, wiesz, kto to jest?

– Ależ tak – powiedziałem – to Frederick Douglass.

– Tak, mój panie, to właśnie on. Dużo o nim wiesz?

– Niedużo. Opowiadał mi o nim dziadek.

– To wystarczy. Był wielkim człowiekiem. Popatrz sobie na niego od czasu do czasu. Masz wszystko, czego ci trzeba – papier i tak dalej?

– Tak, mam, bracie Tarp. I dziękuję za ten portret Douglassa.

– Nie dziękuj mi, synu – powiedział od drzwi. – On należy do nas wszystkich.

Kiedy tak siedziałem naprzeciw portretu Fredericka Douglassa, ogarnęło mnie oddanie dla sprawy, przypomniałem sobie echo głosu dziadka i odepchnąłem je od siebie. Potem podniosłem słuchawkę telefonu i zacząłem dzwonić do przywódców lokalnej społeczności.

Stawali w szeregu jak więźniowie: kaznodzieje, politycy, przedstawiciele różnych wolnych zawodów, potwierdzając, że Clifton miał rację. Zamieszki spowodowane tamtą eksmisją okazały się tak dramatycznym wydarzeniem, że większość przywódców obawiała się, iż ich zwolennicy zjednoczyliby się z nami nawet bez nieb. Nie pominąłem nikogo, choćby był mało ważną osobą; rozmawiałem z grubymi rybami, lekarzami, właścicielami nieruchomości i kaznodziejami głoszącymi swoje nauki przed sklepami. I poszło to tak szybko i gładko, że wydawało mi się, że zrobiłem to nie ja, ale ktoś, kto rzeczywiście nosił moje nowe nazwisko. Omal nie roześmiałem się w słuchawkę, kiedy usłyszałem, z jakim głębokim szacunkiem zwraca się do mnie kierownik Domu dla Mężczyzn. Moje nowe nazwisko stawało się znane. To bardzo dziwne, pomyślałem, ale wszystko jest dla nich normalnie tak nierzeczywiste, iż wystarczy coś nazwać, by się tym stało. A jednak jestem tym, za kogo mnie biorą...

Praca szła nam tak dobrze, że parę niedziel później urządziliśmy paradę, która umocniła naszą kontrolę nad społecznością Harlemu. Pracowaliśmy gorączkowo. I teraz odnosiłem wrażenie, że rozterki i konflikt wewnętrzny, które przeżywałem w ostatnich dniach pobytu u Mary, przeniosły się ze mnie na utarczki wewnątrz tej społeczności, dzięki czemu byłem w głębi ducha spokojny i opanowany. Nawet zgiełk i zamęt otaczające pikietę i przemówienia zdawały się korzystnie mnie stymulować; udawały mi się najbardziej szalone pomysły.

Usłyszawszy, że jeden z bezrobotnych braci jest byłym nauczycielem musztry z Wichity w stanie Kansas, zorganizowałem oddział mierzących po sześć stóp chłopaków, których zadaniem było maszerowanie ulicami takim krokiem, że spod ich podkutych butów strzelały iskry. W dniu parady przyciągnęli tłumy szybciej niż walka psów na wiejskiej drodze.

Nazwaliśmy ich Ludowym Oddziałem Gorących Stóp, a kiedy o wiosennym zmierzchu wykonywali na Siódmej Alei fantazyjne układy, cała ulica stanęła w ogniu. Społeczność śmiała się i wiwatowała, a policja stała jak osłupiała. Ale chłopakom w końcu się to znudziło i Oddział Gorących Stóp poszedł dalej, powłócząc nogami. Potem nadciągnęły flagi i transparenty, i tablice z hasłami, i oddział dziewczyn z werblami, najładniejszych dziewczyn, jakie udało się nam znaleźć, które podskakiwały, idąc tanecznym krokiem, obracały się i po prostu wdzięczyły entuzjastycznie na rzecz Bractwa. Wyciągnęliśmy na ulicę piętnaście tysięcy mieszkańców Harlemu, którzy pomaszzerowali Broadwayem za naszymi hasłami aż do ratusza. Byliśmy, bez przesady, na ustach całego miasta.

Sukces ten wprawił mnie w zawrotne tempo. Moje nazwisko rozchodziło się jak dym w nie wietrzonym pokoju. Byłem cały czas w ruchu. Przemówienia tu, tam, wszędzie, w centrum i na przedmieściach. Pisałem artykuły do gazet, prowadziłem parady, przewodniczyłem delegacjom humanitarnym i tak dalej. A Bractwo wychodziło ze skóry, by nadać rozgłos mojemu nazwisku. Artykuły, telegramy i wiele druków wychodziły z moim podpisem – niektóre z nich sam pisałem, ale większość nie. Reklamowano mnie, utożsamiano z organizacją – zarówno moje słowa, jak i mój wizerunek przedstawiany w gazetach. Pewnego późnowiosennego ranka w drodze do pracy naliczyłem pięćdziesiąt pozdrowień od nie znanych mi ludzi, uświadamiając sobie, że jest nas dwóch: moje stare ja, które sypia zaledwie kilka godzin na dobę i czasami śni o dziadku, Bledsoe, Brockwayu i Mary, to ja, które fruwa bez skrzydeł i rzuca się z ogromnych wysokości, i nowe, publiczne ja, które przemawia w imieniu Bractwa i staje się o tyle ważniejsze niż to pierwsze, że zdaję się ścigać sam ze sobą.

Mimo to lubiłem moją pracę w tym niepewnym okresie. Nadstawiałem uszu i miałem oczy szeroko otwarte. Bractwo było światem w większym świecie, a ja byłem zdecydowany odkryć wszystkie jego sekrety i wznieść się tak wysoko, jak będę mógł. Nie widziałem żadnych granic, była to jedyna organizacja w całym kraju, w której mogłem dostać się na sam szczyt, i miałem zamiar to zrobić. Nawet gdyby miało to oznaczać wspinanie się na szczyt góry słów. Bo teraz zacząłem wierzyć, mimo tego całego gadania o nauce wokół mnie, że w słowach mówionych jest magia. Czasami obserwowałem grę światła na portrecie Douglasa, przypominającą refleksy promieni na wodzie, myśląc, że w tym, iż za pomocą mowy uitorował sobie drogę od niewolnictwa do stanowiska ministra w rządzie, i to tak szybko, było coś magicznego. Być może, myślałem, przydarza mi się coś w tym rodzaju. Douglass uciekł na Północ i znalazł pracę w stoczni – ogromny facet w marynarskim stroju, który, podobnie jak ja, przybrał inne nazwisko. Jakie było jego prawdziwe nazwisko? Bez względu na to, jakie było, stał się sobą, kiedy określił się jako „Douglass”. I to nie jako budowniczy łodzi, jak oczekiwał, lecz jako orator. Być może sens tej magii krył się w niespodziewanych przemianach. „Zaczynasz jako Szaweł, kończysz jako Paweł” – mawiał często mój dziadek. „Kiedy jesteś młody, toś Szaweł, ale niech tylko życie da ci trochę po głowie, zaczynasz starać się być Pawłem – chociaż z drugiej strony jesteś dalej Szawłem”.

Nie, nigdy nie wiesz, dokąd zmierzasz, to rzecz pewna. Jedyna pewna rzecz. Nigdy nie wiesz też, jak się tam dostać – chociaż kiedy już się tam znajdziesz, wygląda, jakby tak właśnie powinno być. No bo czyż nie zacząłem od przemówienia i czyż to nie dzięki przemówieniu dostałem stypendium na uczelnię, gdzie oczekiwałem, że wygłaszanie mów zagwarantuje mi miejsce obok Bledsoe i wyniesie mnie w końcu do godności przywódcy narodu? Cóż, wygłosiłem mowę i zostałem dzięki niej przywódcą, tylko nie takiego rodzaju, jak oczekiwałem. A więc tak się to odbyło. I żadnych narzekań, pomyślałem, patrząc na mapę; zacząłeś szukać czerwonoskórych i znalazłeś ich, chociaż należeli do innego plemienia i żyli w nowym świetlanym świecie. Świat ten był dziwny, jeśli się nad tym zastanowić, ale mimo to był to świat, który można było kontrolować za pomocą nauki, a Bractwo miało i naukę, i historię pod kontrolą.

Tak oto przez jeden samotny odcinek czasu żyłem równie intensywnie jak owi nałogowi gracze loteryjni, którzy dostrzegają znaki, mające przywieść ich do fortuny w najdrobniejszych i najbardziej niepozornych zjawiskach: w obłokach, na przejeżdżających ciężarówkach i wagonach metra, w snach, historyjkach obrazkowych, kształcie psich odchodów na chodniku. Opanowała mnie wszechobejmująca idea bractwa. Organizacja ta dała światu nowy kształt, a mnie istotną rolę. Nie uznawaliśmy żadnych nie ustalonych ani nie wyjaśnionych szczegółów, nasza nauka mogła kontrolować wszystko. Całe życie przebiegało według schematu i zgodnie z dyscypliną, a urok dyscypliny objawia się wtedy, gdy się ona sprawdza. A sprawdzała się bardzo dobrze.

Rozdział 18

Tylko powstały pod wpływem Bledsoe i członków zarządu szkoły przymus czytania wszystkich pism, które dostały się w moje ręce, powstrzymał mnie przed odrzuceniem na bok tej koperty. Była nieostemplowana i wydawała się najmniej ważną pozycją w porannej poczcie:

Bracie,

Oto rada przyjaciela, który dokładnie cię obserwuje. Nie wybiegaj za bardzo przed szereg. Pracuj dalej dla ludu, ale pamiętaj, że jesteś jednym z nas, i nie zapominaj, że jeśli za bardzo urośniesz, oni cię przytną. Jesteś z Południa i wiesz, że to jest świat białych. Przyjmij więc przyjacielską radę i nie wyrywaj się do przodu, byś mógł nadal pomagać kolorowym. Oni nie chcą, żebyś posuwał się za daleko, i wykoszą cię, jeśli to zrobisz. Bądź sprytny...

Poderwałem się na równe nogi, a pismo zagrzechotało jadownicie w moich dłoniach. Co to znaczyło? Kto mi coś takiego przysłał?

– Bracie Tarp! – zawołałem, ponownie czytając drżące rzędkie pisma, które wydawało mi się jakoś znajome. – Bracie Tarp!

– O co chodzi, synu?

Podniósłszy głowę, doznałem kolejnego wstrząsu. Z jego oczu zdawał się spoglądać mój dziadek, obramowany w szare, wczesnoporanne światło otwartych drzwi. Nagle wydałem stłumiony okrzyk zdumienia, a potem zapanowała cisza, w której słyszałem jego świszczący oddech, gdy przyglądał mi się nieporuszony.

– Co się stało? – zapytał, kuśtykając do pokoju.

Sięgnąłem po kopertę.

– Skąd to przyszło? – powiedziałem.

– A co to jest? – spytał, biorąc ją spokojnie z moich rąk.

– Jest nieostemplowana.

– Ach tak – sam ją widziałem – powiedział. – Myślę, że ktoś wrzucił ją do skrzynki wczoraj wieczorem. Wyjąłem ten list razem z normalną pocztą. Czy to nie było do ciebie?

– Było – odparłem, unikając jego wzroku. – Ale... nie ma daty. Zastanawiałem się, kiedy to przyszło... Dlaczego tak się na mnie gapisz?

– Bo wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Źle się czujesz?

– To nic takiego – powiedziałem. – Jestem tylko trochę zdenerwowany.

Zapanowało niezręczne milczenie. Wciąż tam stał, więc zmusiłem się, by znowu spojrzeć mu w oczy, i stwierdziłem, że dziadek zniknął, zostawiając jedynie badawczy spokój. Powiedziałem:

– Usiądź na chwilę, bracie Tarp. Skoro tu jesteś, chciałbym cię o coś zapytać.

– Jasne – rzekł, opadając na krzesło. – Pytaj.

– Bracie Tarp, kręcisz się tutaj i znasz członków... Co oni naprawdę o mnie myślą?

Przekrzywił głowę.

– Ależ oczywiście... myślą, że będzie z ciebie prawdziwy przywódca...

– Ale?

– Nie ma żadnych ale, tak właśnie myślą, dlatego więc mam ci o tym nie mówić?

– A co z innymi?

– Jakimi innymi?

– Tymi, którzy nie mają o mnie tak dobrego mniemania?

– O takich nie słyszałem, synu.

– Ale przecież muszę mieć jakichś wrogów – powiedziałem.

– Pewnie, chyba każdy ich ma, ale nigdy nie słyszałem o nikim tutaj, w Bractwie, kto by ciebie nie lubił. Jeśli chodzi o naszych ludzi, to oni myślą, że jesteś tym, kogo nam trzeba. Słyszałeś coś innego?

– Nie, ale byłem ciekaw. Robię, co do mnie należy, uważając, że mogę zawsze na nich liczyć, pomyślałem więc, że lepiej sprawdzę, czy mogę być pewny ich poparcia.

– Nie musisz się o to martwić. Jak dotąd prawie wszystko, czego się tknąłeś, przypadło im do gustu, nawet sprawy, którym część z nich była przeciwna. Weźmy to – rzekł, wskazując na ścianę obok mojego biurka.

Był to plakat z symboliczną grupą bohaterskich postaci: parą Indian, przedstawiających przeszłość, z której zostaliśmy wywłaszczeni; bratem o blond włosach (w kombinezonie) i przodującą siostrą irlandzkiego pochodzenia, przedstawiających teraźniejszość, z której nas wywłaszczono, oraz bratem Todem Cliftonem i młodą białą parą (uznano, że byłoby niemądre pokazać tylko Cliftona i tę dziewczynę), otoczonych gromadką mieszanych rasowo dzieci, przedstawiających przyszłość, kolorowe zdjęcie jasnej faktury skóry i łagodnego kontrastu.

– No więc? – spytałem, patrząc na podpis:

„Po walce – tęcza amerykańskiej przyszłości”

– No więc kiedy to po raz pierwszy zaproponowałeś, niektórzy członkowie byli przeciwko tobie.

– To prawda.

– Jasne, i podnieśli wrzask, że członkowie młodzieżówki będą chodzić do metra i zaklejać tym reklamy środków na zatwardzenie i takich tam rzeczy – a wiesz, co robią teraz?

– Myślę, że mają mi to teraz za złe, bo niektórych naszych dzieciaków aresztowano – powiedziałem.

– Mają ci to za złe? Do diabła, chodzą i chwają się tym. Ale chciałem ci powiedzieć, że biorą te tęczowe zdjęcia i wieszają je u siebie na ścianach obok makatek z napisem „Boże, błogosław temu domowi” i z Modlitwą Pańską. Dostali bzika na tym punkcie. Tak samo jest z Oddziałem Gorących Stóp i resztą. Nie musisz się martwić, synu. Mogą przeciwstawić się niektórym twoim pomysłom, ale kiedy zostaną one przyjęte i spodobają się, będą stać przy tobie do końca. Twoim wrogiem może być tylko ktoś z zewnątrz, kto ci zazdrości, że wyskoczyłeś nagle znikąd i zacząłeś robić to, co powinno być zrobione już wiele lat temu. Ale co cię to obchodzi, że niektórzy zaczynają cię atakować? To znak, że zajmujesz jakieś miejsce.

– Chciałbym w to wierzyć, bracie Tarp – powiedziałem. – Dopóki będę miał przy sobie ludzi, będę wierzył w to, co robię.

– Bardzo dobrze – rzekł. – Kiedy sprawy idą jak po grudzie, to świadomość, że masz poparcie, trochę pomaga... – Urwał i zdawał się patrzeć na mnie z góry, chociaż siedział po drugiej stronie biurka, na tym samym poziomie co ja.

– O co chodzi, bracie Tarp?

– Jesteś z Południa, prawda, synu?

– Tak – odparłem.

Obrócił się na krześle, wkładając jedną rękę do kieszeni, a na drugiej opierając brodę.

– Brakuje mi słów, żeby ci powiedzieć, co mi właśnie przyszło do głowy, synu. Widzisz, zanim tu przyjechałem, byłem tam przez długi czas, a kiedy tu przybyłem, szukali mnie. Chodzi o to, że musiałem uciekać, musiałem tu przybiec.

– Myślę, że ze mną w pewnym sensie było podobnie – powiedziałem.

– Chcesz powiedzieć, że też cię poszukiwano?

– Niezupełnie, bracie Tarp. Tylko tak się czuję.

– No to niezupełnie to samo – rzekł. – Zauważyłeś, że kuleję?

– Tak.

– Nie zawsze byłem kulawy i teraz też właściwie nie jestem, bo lekarze stwierdzili, że z tą nogą jest wszystko w porządku. Mówią, że jest zdrowa jak kawałek stali. Chodzi o to, że nabawiłem się tego kuśtykania od ciągnięcia łańcucha.

Nie widziałem tego w jego twarzy ani nie słyszałem w mowie, ale wiedziałem, że ani nie kłamie, ani nie stara się mnie zaszokować. Potrząsnąłem głową.

– To prawda – potwierdził. – Nikt o tym nie wie, myślę, że mam reumatyzm. Ale to był łańcuch i po dziewiętnastu latach nie potrafiłem już przestać powłóczyć tą nogą.

– Dziewiętnastu latach!

– Dziewiętnastu latach, sześciu miesiącach i dwóch dniach. A to, co zrobiłem, nie było wielkim przestępstwem; to znaczy, nie było to nic wielkiego, kiedy to zrobiłem. Ale po tym całym czasie zmieniło się w coś innego i wydawało się tak złe, jak mówili, że było. To ten długi czas sprawił, że stało się złe. Zapłaciłem za to wszystkim, co miałem, z wyjątkiem życia. Straciłem żonę, synów i kawałek ziemi. I tak coś, co zaczęło się jako sprzeczka między dwoma mężczyznami, okazało się przestępstwem kosztującym mnie dziewiętnaście lat życia.

– Co, u licha, zrobiłeś, bracie Tarp?

– Powiedziałem „nie” człowiekowi, który chciał coś wziąć ode mnie; oto, ile kosztowało mnie to „nie”, i nawet teraz ten dług nie jest w pełni spłacony i według nich nigdy nie będzie spłacony.

Poczułem w gardle pulsujący ból i ogarnęła mnie jakby tępa rozpacz. Dziewiętnaście lat! A on mówił o tym tak spokojnie i bez wątpienia był to pierwszy raz, kiedy próbował komuś o tym opowiedzieć. Ale dlaczego mnie, pomyślałem, dlaczego wybrał mnie?

– Powiedziałem: „Nie” – ciągnął. – Powiedziałem: „Do diabła, nie!” I powtarzałem „nie”, dopóki nie rozerwałem łańcucha i nie uciekłem.

– Ale jak?

– Od czasu do czasu pozwalali mi podchodzić do psów, oto jak. Zaprzyjaźniłem się z psami i czekałem. Tam naprawdę uczysz się czekać. Czekałem dziewiętnaście lat, a potem pewnego ranka, kiedy wylała rzeka, uciekłem. Myśleli, że należałem do tych, co utonęli, kiedy został przerwany wał przeciwpowodziowy, ale ja rozerwałem łańcuch i uciekłem. Stałem w szlamie, trzymając łopatę o długim stylisku, i myślałem: Tarp, dasz radę to zrobić? I powiedziałem sobie w duchu „tak”, cała ta woda, błoto i deszcz mówiły „tak”, więc zabrałem się stamtąd.

Nagle roześmiał się tak wesoło, że aż się przestraszyłem.

– Opowiadam ci to lepiej, niż mógłbym przypuszczać – powiedział, pogrzebał w kieszeni, wyjął coś, co wyglądało jak zrobiony z impregnowanego materiału woreczek na tytoń, i wydobyl z niego jakiś przedmiot owinięty w chusteczkę do nosa. – Od tamtej pory, synu, stale szukam wolności. I czasami nieźle sobie radziłem. Dopóki nie przyszły te ciężkie czasy, radziłem sobie bardzo dobrze, jeśli wziąć pod uwagę, że mam nie najlepsze zdrowie. Ale nawet kiedy układało mi się najlepiej, pamiętałem. Ponieważ nie chciałem zapomnieć o tych dziewiętnastu latach, trzymałem to jako pamiątkę, która mi o tym przypominała.

Odwijał teraz ten przedmiot, a ja przyglądałem się jego starczym dłoniom.

– Chciałbym przekazać to tobie, synu. Proszę – powiedział, wręczając mi to. – Dziwna to rzecz jak na podarunek dla kogoś, ale myślę, że jest w tym zawarte ogromne znaczenie i może pomoże ci to zapamiętać, przeciwko czemu tak naprawdę walczyliśmy. Nie myślę o tym w kategoriach tylko dwóch słów, „tak” i „nie”; oznacza to dużo więcej...

Zobaczyłem, że kładzie dłoń na biurku.

– Bracie – powiedział, nazywając mnie po raz pierwszy „bratem” – chcę, żebyś to wziął. Myślę, że to coś w rodzaju amuletu. W każdym razie jest to ogniwo, które przepiłowałem, żeby uciec.

Wziąłem to do ręki, gruby, ciemny, naoliwiony kawałek przepiłowanej stali, którego końce zostały rozchylone, a potem częściowo znowu dociśnięte, i zauważyłem na nim znaki, zrobione być może ostrzem siekiery. Było to takie samo ogniwo jak to, które widziałem na biurku Bledsoe, tyle że tamto było gładkie, a ogniwo Tarpa nosiło znaki przemocy i wyglądało tak, jakby zostało zaatakowane i zwyciężone, zanim się z oporem poddało.

Spojrzałem na niego i potrząsnąłem głową, gdy przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie znajdując słów, by wypytać go o to bardziej szczegółowo, wsunąłem ogniwo na kłykcie i uderzyłem nim ostro w biurko.

Brat Tarp zachichotał.

– Popatrz, nigdy nie pomyślałem, żeby użyć tego w taki sposób – powiedział. – Bardzo dobry sposób. Bardzo dobry.

– Ale dlaczego mi to dajesz, bracie Tarp?

– Chyba dlatego, że muszę. Ale nie staraj się skłonić mnie, żebym powiedział to, czego nie potrafię powiedzieć. To ty jesteś mówcą, nie ja – powiedział, wstał i pokuśtykał do drzwi.

– Przynosiło mi szczęście i myślę, że może przynieść szczęście również tobie. Tylko miej to przy sobie i od czasu do czasu rzuć na to okiem. Oczywiście jeśli będziesz miał go dosyć, możesz mi oddać z powrotem.

– Och, nie – zawołałem za nim. – Chcę to mieć i myślę, że rozumiem. Dzięki, że mi to dałeś.

Popatrzyłem na ciemną metalową opaskę na mej pięści i rzuciłem ją na anonimowy list. Ani tego nie chciałem, ani nie wiedziałem, co z tym zrobić, chociaż nie ulegało wątpliwości, że zatrzymam to choćby z tego tylko powodu, że czułem, iż gest brata Tarpa ma dla niego głębokie znaczenie, które byłem zmuszony uszanować. Było to być może coś podobnego do przekazania przez mężczyznę synowi zegarka jego ojca, który syn przyjmował nie dlatego, że chciał mieć ów staroświecki chronometr dla niego samego, lecz z powodu podtekstu nie wyrażonej wprost powagi i podniosłości rodzicielskiego gestu, natychmiast łączącego go z przodkami, oznaczającego apogeum terażniejszości i obiecującego nadać pewną konkretność jego mglistej i chaotycznej przyszłości. I teraz przypomniałem sobie, że gdybym wrócił do domu, zamiast jechać na Północ, ojciec dałby mi staromodnego, dziadkowego hamiltona, z długim pokrętem, zakończonym główką w kształcie rzepu. No cóż, wobec tego dostanie go mój brat, a zresztą nigdy nie chciałem go mieć. Co oni teraz robią, zadumałem się, poczuwszy nagłą tęsknotę za domem.

Czułem na karku gorące powietrze z okna, kiedy przez woń porannej kawy usłyszałem gardłowy głos, śpiewający z mieszaniną śmiechu i powagi:

*Nie przychodź wczesnym rankiem
Ani w dnia spiekocie,
Ale przyjdź chłodnym wieczorem,
Zmyj moje grzechy i pociesz...*

Zaczął napływać cały szereg wspomnień, ale je odtrąciłem. Nie było czasu na pamięć, bo wszystkie zawarte w niej obrazy przedstawiały czasy minione.

Upłynęło zaledwie kilka minut, odkąd zawołałem brata Tarpa, by zapytać go o ten list, i od jego wyjścia, ale wydawało mi się, jakbym dał głębokiego nurka w studnię lat. Patrzyłem teraz spokojnie na pismo, które na chwilę zachwiało całą moją strukturą pewności, i cieszyłem się, że był tam na zawołanie brat Tarp, a nie Clifton czy ktoś z pozostałych, przed którymi moja panika okryłaby mnie wstydem. Natomiast po rozmowie z nim otrzeźwiałem i

poczułem się pewny siebie. Być może dzięki wstrząsowi wywołanemu wrażeniem, że jego oczami spogląda na mnie mój dziadek, być może dzięki samemu spokojowi swego głosu, a może dzięki swojej historii i ogniwu łańcucha przywrócił mi właściwą perspektywę.

On ma rację, pomyślałem; ktokolwiek przysłał mi ten list, stara się zamącić mi w głowie; jakiś wróg próbuje powstrzymać nasz rozwój, niszcząc moją wiarę poprzez obudzenie mojej starej południowej nieufności, naszej obawy przed zdradą białych. Wyglądało to tak, jakby autor anonimu dowiedział się o moich przykrych doświadczeniach z listami Bledsoe i próbował wykorzystać tę wiedzę dla zniszczenia nie tylko mnie, ale całego Bractwa. Ale było to niemożliwe; nikt z tych, którzy teraz mnie znali, nie znał tej historii. Był to po prostu nieprzyzwoity zbieg okoliczności. Gdybym tylko mógł zacisnąć dłonie na jego głupim gardle. Tutaj, w Bractwie, znajdowało się jedyne miejsce w kraju, w którym byliśmy wolni i zachęcano nas w najwyższym stopniu do wykorzystywania naszych zdolności, a on starał się to zniszczyć! Nie, on nie martwił się tym, że to ja stanę się zbyt wielki, lecz że zbyt wielkie stanie się Bractwo. A Bractwo właśnie chciało stać się wielkie. Czyż nie otrzymałem polecenia, by przedstawić pomysły, jak zorganizować więcej ludzi? Poza tym to przecież Bractwo występowało przeciwko „światu białych”. Byliśmy oddani idei stworzenia świata opartego na braterstwie.

Ale kto to przysłał – Ras Agitator? Nie, to nie było do niego podobne. On był bardziej bezpośredni i absolutnie przeciwny jakiegokolwiek współpracy czarnych z białymi. To był ktoś inny, ktoś bardziej podstępny niż Ras. Ale kto, zastanawiałem się, wpychając to pod świadomość, kiedy zabrałem się do wykonywania bieżących zadań.

Ranek zaczął się od ludzi proszących mnie o radę, jak zdobyć pomoc, członków wchodzących po instrukcje w sprawie małych zebrań komitetów urządzanych w rogach wielkiej sali i właśnie odprawiłem kobietę, która zabiegała o uwolnienie jej męża, uwięzionego za to, że ją bił, kiedy do pokoju wszedł brat Wrestrum. Odpowiedziałem na jego pozdrowienie i patrzyłem, jak siada ostrożnie na krześle, omiatając wzrokiem pokój – z niepokojem. Zdawał się mieć jakiegoś rodzaju władzę w Bractwie, ale jego dokładna funkcja była dla mnie niejasna. Po prostu, jak mi się wydawało, wtrącał się w nie swoje sprawy.

Zaledwie się usadowił, spojrzał na moje biurko, mówiąc:

– Co tam masz, bracie? – i wskazał na stos papierów.

Odchyliłem się powoli do tyłu, patrząc mu w oczy:

– Th moja praca – odparłem zimno, zdecydowany powstrzymać go na samym początku, gdyby próbował się do niej mieszać.

– Aleja mówię o tym – powiedział z uniesioną dłonią, a jego oczy zaczęły płonąć – o tym tam.

– To praca – rzekłem – wszystko moja praca.

– To też? – zapytał, wskazując na ogniwo z łańcucha noszonego przez Tarpa na nodze.

– To rzecz osobista, prezent, bracie – odparłem. – Co mógłbym dla ciebie zrobić?

– Nie o to cię pytałem, bracie. Co to jest?

Podniosłem ogniwo i wyciągnąłem ku niemu; teraz, w promieniach słońca wpadających ukosem przez okno, naoliwiony metal był dziwnie podobny do ludzkiej skóry.

– Chciałbyś się temu przyjrzeć, bracie? Jeden z naszych członków nosił to przez dziewiętnaście lat na robotach.

– Nie, do diabła! – Wzdrygnął się. – To znaczy, nie, dziękuję. Prawdę mówiąc, bracie, sądzę, że nie powinniśmy mieć tutaj takich rzeczy!

– To ty tak myślisz – powiedziałem. – A właściwie dlaczego?

– Bo nie sądzę, że powinniśmy robić dramat z naszych różnic.

– Ja z niczego nie robię dramatu. To moja własność prywatna, która przypadkiem leży na moim biurku.

– Ale ludzie to widzą!

– To prawda – powiedziałem. – Ale myślę, że to im przypomina, przeciw czemu walczy nasza organizacja.

– Nie, panie! – powiedział, potrząsając głową – nie, panie! Tak jest gorzej dla Bractwa, ponieważ chcemy, żeby ludzie myśleli o rzeczach, które są nam wszystkim wspólne. To służy Bractwu. Musimy przestać stale opowiadać, jacy jesteśmy inni. W Bractwie wszyscy jesteśmy braćmi.

To było zabawne. Wyraźnie nie dawało mu spokoju coś poważniejszego niż potrzeba zapomnienia o różnicach. W jego oczach widniał strach.

– Nigdy nie myślałem o tym w taki sposób, bracie – rzuciłem, huśtając kawałkiem żelaza, który trzymałem między kciukiem i palcem wskazującym.

– Ale powinieneś o tym myśleć – rzekł. – Musimy być zdyscyplinowani. Trzeba wykorzenić to, co nie służy Bractwu.

Mamy wrogów, wiesz przecież. Uważam zawsze na to, co mówię i robię, żeby mieć pewność, że nie zaszkodzię Bractwu – bo to wspaniały ruch i musimy go takim zachować. Musimy się pilnować, bracie. Wiesz, o co mi chodzi? Zbyt często zdarza się nam zapominać, że przynależność do niego jest przywilejem. Zdarza się nam mówić rzeczy, które tylko zwiększają niezrozumienie.

Co nim kieruje, pomyślałem, co to wszystko ma wspólnego ze mną? Czy to on przysłał mi ten list? Upuściwszy ogniwo, wyłowiłem spod sterty papierów anonim i trzymałem go za róg, tak że słońce przeświecało przez papier i ukazywało kontury nagryzmołonych liter. Baczenie go obserwowałem. Siedział teraz pochylony nad biurkiem, patrząc na kartkę, ale nic w jego oczach nie wskazywało na to, że ją rozpoznaje. Upuściłem kartkę na fragment łańcucha, bardziej z rozczarowaniem niż z ulgą.

– Tak między nami, bracie – podjął – są wśród nas tacy, którzy w rzeczywistości nie wierzą w Bractwo.

– Doprawdy?

– Żebyś wiedział, że nie wierzą! Są w nim tylko po to, żeby wykorzystać je dla własnych celów. Niektórzy nazywają cię bratem, kiedy patrzysz im w twarz, ale gdy tylko odwracasz się do nich tyłem, jesteś czarnym sukinsynem! Musisz na nich uważać.

– Nie spotkałem się z tym, bracie – powiedziałem.

– To się spotkasz. Wokół jest dużo trucizny. Niektórzy nie chcą podawać ci ręki, innym nie podoba się pomysł zbyt częstego spotykania się z tobą, ale czort z tym, w Bractwie muszą to robić!

Spojrzałem na mego. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Bractwo mogłoby kogoś zmusić do podania mi ręki, a to, że cieszył się, iż mogło to zrobić, było dla mnie zarówno szokujące, jak niesmaczne.

Nagle się roześmiał.

– Tak, cholera, muszą! Co do mnie, to nie pozwalam, żeby sobie poszli z niczym. Jeśli mają być braćmi, to niech nimi będą! O, ale ja jestem sprawiedliwy – powiedział z zadufaną nagle miną. – Jestem sprawiedliwy. Zadaję sobie codziennie pytanie: „Co robisz przeciwko Bractwu?”, a kiedy znajdę coś takiego, wyrwam to z korzeniami, wypalam jak człowiek przyżegający ranę po ukąszeniu wściekłego psa. Bycie bratem to praca na pełen etat. Musisz mieć czyste serce i musisz mieć zdyscyplinowany umysł i ciało. Bracie, rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, myślę, że rozumiem – odparłem. – Niektórzy odnoszą się tak do religii.

– Do religii? – Zamrugał powiekami. – Ludzie tacy jak ja i ty są pełni nieufności – rzekł. – Byliśmy tak deprawowani, że niektórym z nas trudno uwierzyć w braterstwo. A niektórzy chcą nawet zemsty! To o tym właśnie mówię. Musimy to wyrwać z korzeniami! Musimy się nauczyć ufać naszym braciom. W końcu czy to nie oni założyli Bractwo? Czy to nie oni przyszli i wyciągnęli rękę do nas, czarnych, i powiedzieli: „Chcemy, żebyście wszyscy byli

naszymi braćmi?” Nie zrobili tego? No co, nie zrobili? Nie zaczęli nas organizować i pomagać nam toczyć naszą walkę i tak dalej? Jasne, że zrobili to wszystko, i musimy o tym pamiętać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bractwo. To słowo musimy w każdej sekundzie mieć przed oczami. I właśnie z tego powodu przyszedłem się z tobą zobaczyć, bracie.

Usiadł wygodniej na krześle, obejmując potężnymi rękami kolana.

– Mam plan, który chcę z tobą omówić.

– O co chodzi, bracie? – zapytałem.

– Sprawa wygląda tak. Myślę, że powinniśmy w jakiś sposób pokazywać, kim jesteśmy. Powinniśmy mieć jakieś transparenty i tego typu rzeczy. Zawłaszcza my, czarni bracia.

– Rozumiem – powiedziałem z zainteresowaniem. – Ale dlaczego uważasz, że to ważne?

– Bo to pomaga Bractwu, dlatego. Przede wszystkim pamiętaj o tym, że kiedy przyglądasz się naszym ludziom, podczas parady, pogrzebu, tańców czy czygoś takiego, to zawsze mają jakieś flagi i transparenty, nawet jeśli nic one nie znaczą. To jakby sprawia, że wydarzenie staje się ważniejsze. Ludzie przystają, patrzą i słuchają. „Co się tu dzieje?” Ale wiesz i ja wiem, że nikt z nich nie ma prawdziwej flagi – może z wyjątkiem Rasa Agitatora, ale on twierdzi, że jest Etiopczykiem czy Afrykaninem. Ale nikt z nas nie ma prawdziwej flagi, bo tamta flaga tak naprawdę nie należy do nas. Ludzie chcą prawdziwej flagi, takiej, która należałaby tak samo do nich jak do kogoś innego. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak, myślę, że wiem – powiedziałem, przypominając sobie, że zawsze nachodziło mnie poczucie odrębności, kiedy obok przesuwiała się ta flaga. Uzmysławiało mi to, dopóki nie znalazłem się w Bractwie, że mojej gwiazdy jeszcze tam nie ma...

– Jasne, że wiesz – rzekł brat Wrestrum. – Każdy potrzebuje jakiejś flagi. My potrzebujemy flagi, która reprezentowałaby Bractwo, i znaku, który moglibyśmy nosić.

– Znaku?

– No wiesz, znaczka czy odznaki.

– Chodzi ci o emblemat?

– Właśnie! Coś, co moglibyśmy nosić, znaczek przypinany do ubrania czy coś takiego. Po to, żeby jak brat spotka brata, obaj mogli się rozpoznać. Dzięki temu nie wydarzyłoby się to, co się przydarzyło bratu Todowi Chitonowi...

– Co by się nie wydarzyło?

Odchylił się do tyłu.

– Nie wiesz o tym?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O czymś takim, że najlepiej byłoby, żeby o tym zapomniano – powiedział, pochylając się znowu ku mnie ze złączonymi i wysuniętymi do przodu dłońmi. – Widzisz, był wiec, jacyś chuligani próbowali rozpędzić to zebranie i w tej bójce brat Tod Clifton dorwał przez pomyłkę jednego z białych braci i pobił go, bo, jak powiedział, myślał, że to jeden z tych chuliganów. Niedobrze, że dochodzi do takich rzeczy, bracie, b a r d z o niedobrze. Ale z tymi emblematami nie zdarzyłoby się coś takiego.

– A więc to się naprawdę zdarzyło – powiedziałem.

– Jasne, że tak. Ten brat Clifton zachowuje się jak dzikus, kiedy się wścieknie... Ale co sądzisz o moim pomysle?

– Uważam, że powinien zostać przedstawiony komitetowi – powiedziałem ostrożnie, a w następnej chwili zadzwonił telefon. – Przepraszam, bracie – rzekłem.

Był to redaktor naczelny nowego pisma ilustrowanego, który prosił o wywiad z jednym z naszych najbardziej rzutkich młodych mężczyzn”.

– Bardzo mi to pochlebia – powiedziałem – ale obawiam się, że jestem zbyt zajęty, żeby znaleźć czas na wywiad. Proponuję jednak, żeby przeprowadził pan wywiad z

przewodniczącym naszej młodzieży, bratem Todem Cliftonem; przekona się pan, że jest dużo bardziej interesującą osobą.

– Nie, nie! – odezwał się Wrestrum, potrząsając gwałtownie głową.

Natomiast redaktor powiedział:

– Ale my chcemy pana. Pan...

– I wie pan – przerwałem mu – naszą działalność uważa się za bardzo kontrowersyjną, a przynajmniej niektórzy tak twierdzą.

– Właśnie dlatego chcemy pana. To pana utożsamia się z tą kontrowersyjnością, a naszym zadaniem jest przedstawianie czytelnikom takich tematów.

– Ale tak samo utożsamia się brata Cliftona – powiedziałem.

– Nie, proszę pana; to pan jest najważniejszy i powinien pan za naszym pośrednictwem opowiedzieć młodzieży swoją historię. Jest pan jej to winien – rzekł, a ja patrzyłem, jak brat Wrestrum pochyła się do przodu. – Uważamy, że powinno się ich zachęcić do walki o sukces. W końcu jest pan jednym z ludzi, którzy ostatnio wywalczyli sobie drogę na szczyt. Potrzebujemy wszystkich bohaterów, jakich uda się nam znaleźć.

– Ależ proszę – roześmiałem się do słuchawki – nie jestem żadnym bohaterem i daleko mi do szczytu; jestem trybem w maszynie. Tutaj, w Bractwie, działamy jako zespół – powiedziałem i ujrzałem, że brat Wrestrum kiwa potakująco głową.

– Ale nie może pan zaprzeczyć, że jest pan pierwszym z naszych ludzi, którzy zwrócili na to Bractwo powszechną uwagę, prawda?

– Brat Clifton był działaczem co najmniej trzy lata przede mną. Poza tym to nie jest takie proste. Jednostki niewiele się liczą; ważne jest to, czego chce grupa, co robi grupa. Każdy tutaj podporządkowuje swoje osobiste ambicje wspólnym celom.

– Dobrze! To bardzo dobre. Nasi ludzie z przyjemnością tego posłuchają. Muszą mieć kogoś, kto im to powie. Dlaczego nie zgadza się pan, żebym przysłał dziennikarkę? Będzie tam za dwadzieścia minut.

– Bardzo pan nalega, aleja jestem bardzo zajęty – powiedziałem.

I gdyby brat Wrestrum nie zwijał się i nie skręcał, żeby mi podpowiedzieć, co mam mówić, odmówiłbym. Ale w tej sytuacji się zgodziłem. Może, pomyślałem, trochę reklamy nie zaszkodzi. Takie pismo dotrze do wielu bojaźliwych dusz, mieszkających z dala od nas. Musiałem tylko pamiętać, żeby mówić jak najmniej o mojej przeszłości.

– Przepraszam za tę przerwę, bracie – rzekłem, odkładając słuchawkę i spoglądając w jego zaciekawione oczy. – Przedstawię twój pomysł na zebraniu komitetu tak szybko, jak to będzie możliwe.

Wstałem, żeby zniechęcić go dalszej rozmowy, więc on też się podniósł, chociaż aż go roznosiło, żeby kontynuować.

– No, ja sam muszę się jeszcze spotkać z paroma innymi braćmi – powiedział. – Niedługo się zobaczymy.

– Kiedy tylko będziesz chciał – oznajmiłem i podniosłem jakieś dokumenty, aby nie spróbował mi podać ręki.

Na odchodnym obrócił się z dłonią na ościeżach drzwi, ze zmarszczonym czołem.

– Aha, bracie, nie zapominaj o tym, co powiedziałem o tej rzeczy, którą trzymasz na biurku. Takie przedmioty powodują tylko zamieszanie. Nie powinno się ich trzymać na widoku.

Ucieszyłem się, że wyszedł. Te próby powiedzenia mi, co mam mówić w rozmowie, której tylko część mógł usłyszeć! I było oczywiste, że nie lubi Cliftona. No cóż, ja nie lubiłem jego. I cała ta głupota i strach wywołany ogniem kajdanów. Tarp nosił je przez dziewiętnaście lat i potrafił się śmiać, a ten wielki...

Potem zapomniałem o bracie Wrestrumie na jakieś dwa tygodnie, kiedy to w śródmiejskiej centrali zwołano zebranie w celu omówienia strategii.

Wszyscy przyszli przede mną. Z jednej strony sali, rozgrzanej i zadymionej, ustawiono długie ławy. Zazwyczaj na takich zebraniach panował gwar jak na meczu bokserskim albo na spotkaniu kumpli w knajpie, ale teraz wszyscy milczeli. Biali bracia mieli niewyraźne miny, a część braci z Harlemu wojownicze. Nie dano mi czasu o tym pomyśleć. Za ledwie zdążyłem przeprosić za spóźnienie, brat Jack uderzył młotkiem w stół i skierował do mnie swoje pierwsze uwagi.

– Bracie, niektórzy bracia zdają się nie rozumieć twojej pracy i twoich ostatnich poczynań – powiedział.

Gapiałem się na niego w osłupieniu, a mój umysł szukał po omacku jakiegoś punktu zaczepienia.

– Przykro mi, bracie Jack – rzekłem – ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Chcesz powiedzieć, że coś jest nie tak z moją pracą?

– Na to wygląda – odparł z całkowicie obojętną miną. – Postawiono pewne zarzuty...

– Zarzuty? Nie zastosowałem się do jakiejś dyrektywy?

– Co do tego są pewne wątpliwości. Ale lepiej niech opowie o tym brat Wrestrum – rzekł.

– Brat Wrestrum!

Byłem wstrząśnięty. Nie pojawił się w biurze od czasu naszej rozmowy i spojrzałem przez stół na jego wymijającą twarz, a on wstał zgarbiony, z jakimś papierem wystającym z kieszeni.

– Tak, bracia – zaczął – wniosłem zarzuty, chociaż z ciężkim sercem. Ale obserwowałem, co się dzieje, i doszedłem do wniosku, że jeśli z a r a z się to nie skończy, ten brat ośmieszy Bractwo!

Odezwało się parę głosów protestu.

– Tak, powiedziałem to i podtrzymuję! Ten brat stanowi jedno z największych zagrożeń, przed jakimi stanął kiedykolwiek nasz ruch.

Spojrzałem na brata Jacka; jego oczy błyszczały. Wydawało mi się, że nieznacznie się uśmiechnął, kiedy pisał coś w notesie. Było mi coraz goręcej.

– Mów konkretniej, bracie – odezwał się brat Gamett, biały brat. – To poważne zarzuty, a wszyscy wiemy, że ten brat spisuje się świetnie. Mów konkretnie.

– Jasne, będę mówił konkretnie – zagrzmiał Wrestrum, wyciągając nagle z kieszeni jakiś papier, rozwijając go i rzucając na stół. – O to mi chodzi!

Zrobiłem krok do przodu; był to mój portret, spoglądający ze strony czasopisma.

– Skąd to się wzięło? – zapytałem.

– No właśnie – zagrzmiał. – Udawaj, że nigdy tego nie widziałeś.

– Bo nie widziałem – powiedziałem. – Naprawdę nie widziałem.

– Nie okłamuj tych białych braci. Nie okłamuj!

– Nie kłamie. Nigdy w życiu tego nie widziałem. Ale załóżmy, że widziałem – co w tym złego?

– Wiesz, co w tym złego! – powiedział Wrestrum.

– Słuchaj, nic o tym nie wiem. O co ci chodzi? Wszyscy jesteśmy na miejscu, a więc jeśli masz coś do powiedzenia, wal śmiało.

– Bracia, ten człowiek jest... jest... oportunistą! Wystarczy przeczytać ten artykuł, żeby się przekonać. Oskarżam tego człowieka o wykorzystywanie Bractwa w jego własnych, egoistycznych interesach.

– Artykuł? – W tym momencie przypomniałem sobie wywiad, o którym dawno zapomniałem. Napotkałem spojrzenia pozostałych, kiedy przenosili wzrok ze mnie na Wrestruma.

– A co tam mówią o nas? – spytał brat Jack, wskazując na czasopismo.

– Co mówią? – odparł Wrestrum. – Nic nie mówią. Cały artykuł jest o nim. Co on myśli, co on robi, co on chce robić. Ani słowa o całej reszcie braci, którzy tworzyli ten ruch, kiedy nikt o nim nawet nie słyszał. Zobaczcie sami, jeśli myślicie, że kłamię. Zobaczcie sami!

Brat Jack obrócił się ku mnie.

– Czy to prawda?

– Nie czytałem tego – powiedziałem. – Zapomniałem, że udzieliłem wywiadu.

– Ale teraz przypominasz to sobie? – spytał brat Jack.

– Tak, teraz tak. A on akurat był w moim gabinecie, kiedy umawiałem się na spotkanie.

Zapadła cisza.

– Do diabła, bracie Jack – powiedział Wrestrum – to stoi tu czarno na białym. On sugeruje ludziom, że jest całym ruchem Bractwa.

– Nic takiego nie robię. Starałem się namówić redaktora naczelnego, żeby przeprowadzili wywiad z bratem Todem Cliftonem, i ty wiesz o tym. Skoro wiesz tak mało o tym, co ja robię, może powiesz braciom, o co t o b i e chodzi.

– Obnażam dwulicowca. Oto, co teraz robię. Obnażam ciebie. Bracia, ten człowiek jest typowym oportunistą!

– W porządku – powiedziałem – obnaż mnie, jeśli potrafisz, ale przestań mnie szkalować.

– Dobrze, obnażę cię – rzucił, wypinając brodę. – Mam taki zamiar. On robi wszystko to, o czym powiedziałem, bracia. I powiem wam coś jeszcze – stara się wszystko tak poukładać, żeby członkowie nie mogli wykonać żadnego ruchu, jeśli on im nie każe. Popatrzcie, co zdarzyło się parę tygodni temu, kiedy wyjechał do Philly. Próbowaliśmy zwołać wiec i co się stało? Przyszło tylko około dwustu osób. On stara się ich tak wyćwiczyć, żeby nie słuchali nikogo oprócz niego.

– Ależ, bracie, czy nie stwierdziliśmy, że wezwanie było niewłaściwie sformułowane? – przerwał mu jakiś brat.

– Tak, wiem, ale czy to nie było...

– Przecież komitet przeanalizował to wezwanie i...

– Wiem, bracia, i nie mam zamiaru podważać opinii komitetu. Ale, bracia, odnosicie takie wrażenie tylko dlatego, że nie z n a c i e tego człowieka. On działa w ciemności, knuje jakiś spisek...

– Jaki spisek? – zapytał jeden z braci, pochylając się nad stołem.

– Po prostu spisek – rzekł Wrestrum. – Chce kontrolować cały ruch w centrum miasta. Chce być d y k t a t o r e m !

W pomieszczeniu zapanowała cisza; słychać było tylko szum wentylatorów. Spojrzeli po sobie z nową obawą.

– To bardzo poważne oskarżenia, bracie – powiedziało dwóch braci jednym głosem.

– Poważne? Wiem, że poważne. Dlatego je wniosłem. Ten oportunistą myśli, że ponieważ ma trochę więcej wykształcenia, to jest lepszy niż inni. On jest – jak to nazywa brat Jack – małostkowym... małostkowym indywidualistą!

Walnął pięściami w stół konferencyjny, a jego małe i okrągłe oczka spoziały z napiętej twarzy. Miałem ochotę wymierzyć cios w tę twarz. Nie wydawała się już prawdziwą twarzą, ale maską, za którą ta prawdziwa twarz prawdopodobnie śmiała się ze mnie i z całej reszty. Bo niemożliwe było, by wierzył w to, co powiedział. To było po prostu niemożliwe. To on był spiskowcem, a poważne miny członków komitetu świadczyły, że intryga mu się udała. Teraz kilku braci zaczęło mówić jednocześnie i brat Jack zastukał młotkiem, by przywrócić porządek.

– Bracia, proszę – rzekł brat Jack. – Nie wszyscy naraz. Co wiesz o tym artykule? – zwrócił się do mnie.

– Niedużo – odparłem. – Zadzwoił do mnie redaktor naczelny i powiedział, że wysyła reporterkę, żeby przeprowadziła ze mną wywiad. Zadała mi parę pytań i zrobiła parę zdjęć małym aparatem. To wszystko, co wiem.

– Dałeś tej reporterce jakieś przygotowane wcześniej materiały?

– Niczego jej nie dałem oprócz paru naszych oficjalnych broszur. Nie mówiłem jej, ani o co ma mnie pytać, ani co ma pisać. Naturalnie starałem się z nią współpracować. Skoro artykuł o mnie miał pomóc przyjacielom ruchu, to uważałem, że jest to mój obowiązek.

– Bracia, to zostało zaaranżowane – powiedział Wrestrum. – Mówię wam, że ten oportunistą załatwił, żeby przysłano do niego tę reporterkę. Postarał się, żeby ją przysłano, i powiedział jej, co ma napisać.

– To wierutne kłamstwo – rzekłem. – Byłeś obecny przy rozmowie z redaktorem i wiesz, że starałem się go nakłonić, żeby przeprowadzili wywiad z bratem Cliftonem!

– Kto kłamie?

– Ty jesteś kłamcą i podłym draniem. Jesteś kłamcą i dla mnie żadnym bratem.

– Teraz obrzuca mnie wyzwiskami. Bracia, słyszeliście go.

– Trzymajmy nerwy na wodzy – rzekł spokojnie brat Jack. – Bracie Wrestrum, wniosłeś poważne oskarżenia. Możesz je udowodnić?

– Mogę. Wystarczy, że przeczytacie to pismo, a sami znajdziecie dowody.

– Przeczytamy. I co jeszcze?

– Wystarczy posłuchać ludzi w Harlemie. Mówią tylko o nim. Nigdy nic o tym, co robi reszta nas. Powtarzam wam, bracia, ten człowiek stanowi niebezpieczeństwo dla ludzi z Harlemu. Powinien zostać wyrzucony!

– Decyzja o tym należy do komitetu – powiedział brat Jack. Potem do mnie: – A co ty masz na swoją obronę, bracie?

– Na moją obronę? – spytałem. – Nic. Nie mam czego bronić. Starałem się wykonywać swoją pracę i jeśli ci bracia tego nie wiedzą, to za późno, żeby ich o tym teraz poinformować. Nie mam pojęcia, co się za tym kryje, ale nie sprawuję jeszcze kontroli nad dziennikarzami. I nie zdawałem sobie sprawy, że przychodzę tu na proces.

– Nie zamierzaliśmy przekształcać tego zebrania w proces – powiedział brat Jack. – Jeśli kiedykolwiek staniesz przed sądem, a mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, zostaniesz o tym powiadomiony. Tymczasem ponieważ jest to sprawa pilna, komitet prosi, żebyś opuścił ten pokój i został na zewnątrz, dopóki nie przeczytamy i nie omówimy spornego artykułu.

Wyszedłem i udałem się do jakiegoś pustego gabinetu, kipiąc ze złości i obrzydzenia. Wrestrum porwał mnie z powrotem na Południe w trakcie obrad jednego z najwyższych komitetów Bractwa i poczułem się nagi. Mógłbym go udusić za to, że zmusił mnie do wzięcia udziału w tej infantylnej dyspucie w obecności pozostałych. Musiałem jednak walczyć z nim, najlepiej jak potrafiłem, na warunkach, które rozumiał, nawet jeśli wyrażaliśmy się jak postaci z pełnej wymachiwania brzytwami parodii wodewilu. Może powinienem wspomnieć o anonimowym liście, tyle tylko, że wówczas mógłby ktoś dojść do wniosku, że nie mam pełnego poparcia swojego rejonu. Gdyby był tutaj Clifton, wiedziałby, jak potraktować tego błazna. Czyżby biali brali go poważnie tylko dlatego, że jest czarny? Co się im stało, nawiasem mówiąc, czyżby nie widzieli, że mają do czynienia z błaznem? Ale załamałbym się, gdyby zaczęli się śmiać czy choćby uśmiechać, pomyślałem, bo nie mogli się śmiać z niego, nie śmiejąc się jednocześnie ze mnie... A jednak gdyby się roześmiali, byłoby to mniej nierzeczywiste – gdzie ja, do diabła, jestem?

– Możesz już wejść – zawołał do mnie jakiś brat, więc wszedłem, aby wysłuchać ich decyzji.

– No więc – zaczął brat Jack – wszyscy przeczytaliśmy ten artykuł, bracie, i z radością komunikujemy, że naszym zdaniem jest raczej nieszkodliwy. To prawda, że byłoby lepiej,

gdyby poświęcono więcej słów innym członkom z rejonu Harlemu. Ale nie znaleźliśmy dowodów, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego. Brat Wrestrum się pomylił.

Jego bezbarwny głos i wiedza, że stracili czas, by dostrzec prawdę, wyzwoliły we mnie złość.

- Powiedziałbym, że ta pomyłka była przestępstwem – rzuciłem.
- Nie przestępstwem, lecz nadgorliwością – sprostował.
- Mnie się wydaje, że i przestępstwem, i nadgorliwością – powiedziałem.
- Nie, bracie, nie przestępstwem.
- Ale podważył moją reputację...

Brat Jack uśmiechnął się.

– Tylko dlatego, że był szczery, bracie. Myślał o dobru Bractwa.
– Ale dlaczego mnie oczernił? Nie rozumiem cię, bracie Jack. Nie jestem wrogiem, o czym on dobrze wie. Ja też jestem bratem – powiedziałem, widząc jego uśmiech.

– Bractwo ma wielu wrogów i nie wolno nam podchodzić zbyt surowo do braterskich pomyłek.

Zobaczyłem głupią, speszoną minę Wrestruma i rozluźniłem się.

– Dobrze, bracie Jack – powiedziałem. – Sądzę, że powinienem się cieszyć, że uznaliście mnie za niewinnego...

– Jeśli chodzi o ten artykuł w czasopiśmie – rzekł, dźgając palcem powietrze.

Coś stężało z tyłu mojej głowy; poderwałem się na nogi.

– Jeśli chodzi o ten artykuł! Chcesz powiedzieć, że wierzycie w te pozostałe mrzonki? Czy teraz każdy czyta Dicka Tracy’ego?

– To nie jest sprawa Dicka Tracy’ego – warknął. – Nasz ruch ma wielu wrogów.

– A więc teraz stałem się wrogiem – powiedziałem. – Co się z wami dzieje? Zachowujecie się tak, jakby żaden z was nie utrzymywał ze mną w ogóle żadnych kontaktów.

Jack spojrział na stół.

– Interesuje cię nasza decyzja, bracie?

– O tak – odparłem. – Tak, interesuje. Interesują mnie wszystkie dziwaczne zachowania. A kogo by nie zainteresowało to, że jednemu pomyłonemu facetowi udało się doprowadzić do tego, że cała sala ludzi, których zaliczam do najlepszych umysłów w tym kraju, traktuje go poważnie? Oczywiście, że to mnie interesuje. W przeciwnym razie zachowałbym się jak rozsądny człowiek i wybiegłbym stąd!

Rozległy się okrzyki protestu i brat Jack, czerwony na twarzy, zastukał w stół, by przywrócić spokój.

– Może powinienem skierować parę słów do tego brata – odezwał się brat MacAfee.

– Proszę bardzo – rzekł ochrypłym głosem brat Jack.

– Bracie, wiemy, jak się czujesz – zaczął brat MacAfee – ale musisz zrozumieć, że nasz ruch ma wielu wrogów. To szczerą prawdą i musimy dbać o naszą organizację kosztem naszych osobistych uczuć. Bractwo jest czymś większym niż my wszyscy. Kiedy chodzi o jego bezpieczeństwo, nie liczy się nikt z nas jako jednostka. I bądź pewien, że nikt z nas nie żywi osobiście wobec ciebie nic oprócz życzliwości. Wykonujesz dobrą robotę. To po prostu sprawa bezpieczeństwa organizacji i naszym obowiązkiem jest dokładnie zbadać wszystkie takie oskarżenia.

Poczułem się nagle jak przekłuty balon; w tym, co powiedział, była pewna logika, z którą musiałem się zgodzić. Mylili się, ale mieli obowiązek odkrycia swojej pomyłki. Niech sprawdzają dalej – przekonają się, że żaden zarzut nie jest prawdziwy, i zostaną z wszystkiego oczyszczeni. Atak w ogóle skąd się bierze ta obsesja na punkcie wrogów? Popatrzyłem na ich otoczone dymem twarze; jeśli nie liczyć początku, ani razu nie miałem tak poważnych wątpliwości. Aż do tej pory czułem taką spójność swojej pracy i kierunku działania, jakiej nie dane mi było wcześniej zaznać, nawet w czasach poronionego pobytu na

uczelni. Bractwu można się było oddać całkowicie; to było jego siłą i moją siłą, i właśnie to poczucie spójności gwarantowało, że zmieni ono bieg historii. Wierzyłem w to całą duszą, ale teraz, chociaż w sercu nadal podtrzymywałem tę wiarę, odczułem niweczący te nadzieje ból, który powstrzymał mnie od dalszej obrony. Stałem w milczeniu, czekając na ich decyzję. Ktoś bębnił pilicami po blacie stołu. Słyszałem sucholistny szelest pelurowych papierów.

– Bądź pewien, że możesz polegać na sprawiedliwości i mądrości komitetu – dopłynął z końca stołu głos brata Tobitta, ale między nami był dym i ledwie widziałem jego twarz.

– Komitet postanowił – zaczął rzeczowo brat Jack – że do czasu oczyszczenia z wszystkich zarzutów możesz robić jedno z dwojga: albo zostaniesz w Harlemie i nie będziesz tam działać, albo przyjmiesz zadanie w centrum. W tym drugim przypadku masz natychmiast zakończyć swoje obecne zadanie.

Ugięły się pode mną nogi.

– To znaczy, że mam zrezygnować z mojej pracy?

– Jeśli nie zdecydujesz się służyć ruchowi gdzie indziej.

– Ale czy nie rozumiecie... – powiedziałem, przenosząc wzrok z twarzy na twarz i widząc w ich oczach obojętność i stanowczość.

– Twoim zadaniem, jeśli zdecydujesz się pozostać aktywny – ciągnął brat Jack, sięgając po młotek – będzie wygłaszanie w centrum wykładów o sprawie kobiecej.

Nagle poczułem się tak, jakby odkręcono mnie niczym nakrętkę butelki.

– O czym?!

– O sprawie kobiecej. Twoim przewodnikiem będzie moja broszura *O sprawie kobiecej w Stanach Zjednoczonych*. Na tym, bracia – powiedział, omiatając wzrokiem siedzących wokół stołu – kończymy zebranie.

Stałem tam, mając w uszach echo uderzenia jego młotka, myśląc: Sprawa kobieca, szukając oznak rozbawienia na ich twarzach, nasłuchując, czy w ich głosach, kiedy wychodzili do holu, nie pojawi się najśłabszy choćby ślad stłumionego chichotu, stałem tam, walcząc z wrażeniem, że zażartowali sobie moim kosztem, tym bardziej że ich twarze nie zdradzały świadomości tego, co się stało.

Mój umysł rozpaczliwie starał się zaakceptować tę odmianę. Nic nie zmieni biegu spraw. Przeniosą mnie i przeprowadzą śledztwo, a ja, nadal wierząc w Bractwo, nadal poddając się dyscyplinie, będę musiał przyjąć ich decyzję. Z pewnością nie był to czas na bierność, brak działania; nie teraz, kiedy zacząłem poznawać pewne aspekty organizacji, o których nic nie wiedziałem (wyższe komitety i przywódców, którzy nigdy się nie pokazywali, sympatyków i sojuszników z ugrupowań, które wydawały się odległe od naszych spraw), nie teraz, kiedy wszystkie sekrety potęgi i władzy, nadal osłonięte przede mną mgłą tajemnicy, wydawały się bliskie objawienia. Nie, mimo mojej złości i odrazy, moje ambicje były zbyt duże, abym poddał się tak łatwo. I dlaczego miałbym się ograniczać, poddać samego siebie segregacji? Byłem r z e c z n i k i e m, mówcą – dlaczego więc nie miałbym mówić o kobietach czy na jakikolwiek inny temat? Nie było takiej rzeczy, której nie obejmowałby nasz program ideologiczny, mieliśmy jasne zdanie w każdej sprawie, a moim głównym celem było wyrobienie sobie ważnej pozycji w tym ruchu.

Opuszczałem gmach, czując się nadal tak, jakby gwałtownie strącono mnie z góry, ale i z rosnącym optymizmem. Odsunięcie od Harlemu było wstrząsem, ale takim, który zaboli nie tylko mnie, lecz również ich, bo nauczyłem się, że kluczem do tego, czego chce Harlem, jest to, czego ja chcę; a moja wartość dla Bractwa nie różniła się od wartości, jaką miały dla mnie moje najbardziej pożyteczne kontakty: zależała od całkowitej szczerości i uczciwości w przedstawianiu nadziei i niechęci, obaw i pragnień tej społeczności. Przemawiało się zarówno do komitetu, jak i do lokalnej społeczności. Niewątpliwie tak samo będzie w centrum. Nowe zadanie było wyzwaniem i okazją do sprawdzenia, ile z tego, co wydarzyło się w Harlemie, zawdzięczałem własnym wysiłkom, a ile czystemu zapałowi samych jego mieszkańców. A

poza tym, mówiłem sobie, zadanie to jest również świadectwem dobrej woli komitetu. Bo czyż wybierając mnie, bym mówił z całym jego poparciem na temat, który gdzie indziej w naszym społeczeństwie byłby tabu, nie potwierdzali swojej wiary w moją osobę i w zasady Bractwa i nie udowodniali, że jeśli chodzi o kobiety, nie wytyczają żadnych granic? Musieli zbadać zarzuty przeciwko mnie, ale to nowe zadanie potwierdzało bez żadnych sentymentów, że ich wiara we mnie została nienaruszona. Zadrżałem na gorącej ulicy. Nie pozwoliłem tej myśli przybrać konkretnej formy w moim umyśle, ale na chwilę pozwoliłem dojść do głosu staremu południowemu zacofaniu, którego, jak myślałem, już dawno się pozbyłem i które zniszczyłoby mi całą karierę.

Odejście z Harlemu miało jednak smutne strony i nie mogłem się zmusić, by się z kimkolwiek pożegnać, nawet z bratem Tarpem czy Cliftonem, nie mówiąc już o innych, którzy dostarczali mi informacji o grupach najniżej stojących w całej społeczności. Wrzuciłem po prostu swoje papiery do teczki i wyjechałem, jakbym udawał się do śródmieścia na zebranie.

Rozdział 19

Na pierwszy wykład poszedłem z pewnym podnieceniem. Temat gwarantował zainteresowanie publiczności, a reszta zależała ode mnie. Gdybym był o stopę wyższy i ze sto funtów cięższy, mógłbym po prostu stanąć przed nimi z tabliczką na piersiach, głoszącą WIEM O NICH WSZYSTKO, a oni czuliby taki respekt, jakbym był straszidłem – w jakiś sposób odmienionym i udomowionym. Nie musiałbym nawet wiele mówić, tak jak Paul Robeson nie musiał grać; ekscytowaliby się po prostu samym moim widokiem.

Poszło mi zupełnie dobrze; oni sami, dzięki swojemu entuzjazmowi sprawili, że wykład okazał się sukcesem, a grad pytań po jego zakończeniu nie pozostawił w moim umyśle żadnych wątpliwości. Dopiero kiedy zebrani zaczęli się rozchodzić, wydarzenia rozwinęły się w sposób, którego nie pozwoliły mi przewidzieć nawet moje zmienne podejrzenia. Zegnałem się z publicznością, kiedy pojawiła się ona – kobieta z rodzaju tych, które promieniuje tak, jakby świadomie odgrywały symboliczną rolę życia i żeńskiej płodności. Miała pewne problemy, powiedziała, z pewnymi aspektami naszej ideologii.

– Ta jest dość zagmatwane, naprawdę – ciągnęła z przejęciem – i chociaż nie powinnam zabierać ci czasu, to czuję, że ty...

– Och, absolutnie nie zabierasz mi czasu – powiedziałem, prowadząc ją na bok i stając z nią obok częściowo rozwiniętego węża przeciwpożarowego wiszącego przy wejściu – absolutnie.

– Ale, bracie – rzekła – jest już naprawdę późno i musisz być zmęczony. Mój problem może poczekać do innej okazji...

– Nie jestem aż tak zmęczony – stwierdziłem. – Jeśli coś nie daje ci spokoju, to moim obowiązkiem jest to jak najlepiej wyjaśnić.

– Ale jest dosyć późno – powiedziała. – Może jakiegoś innego wieczoru, kiedy nie będziesz zajęty, wpadniesz do nas. Wtedy moglibyśmy szczegółowo porozmawiać. Chyba że...

– Chyba że?

– Chyba że – uśmiechnęła się – uda mi się skłonić cię, żebyś wpadł dzisiaj. Mogę dodać, że robię naprawdę dobrą kawę.

– Wobec tego jestem do usług – powiedziałem, otwierając drzwi.

Jej mieszkanie znajdowało się w jednej z lepszych dzielnic i wszedłszy do przestronnego salonu, niewątpliwie okazałem zdziwienie.

– Bo widzisz, bracie – ciepło, z jakim wypowiedziała to słowo, było niemal niepokojące – tak naprawdę interesują mnie duchowe wartości Bractwa. Bez żadnych moich starań mam bezpieczeństwo ekonomiczne i czas na rozrywki, ale tak naprawdę cóż to znaczy, kiedy jest tyle zła na świecie? Cóż to znaczy, kiedy nie ma bezpieczeństwa duchowego czy emocjonalnego i sprawiedliwości?

Wyślizgiwała się teraz z płaszczka, patrząc mi szczerze w twarz, i pomyślałem: Czy ona jest członkinią Armii Zbawienia, „purytanką z wsteczną angielszczyzną”? – przypomniawszy sobie osobiste zdanie brata Jacka o bogatych członkach naszej organizacji, którzy, jak mówił, szukają politycznego zbawienia, wspierając finansowo Bractwo. Jak na mój gust, za bardzo się spieszyła. Spojrzałem więc na nią poważnie.

– Widzę, że dogłębnie to przemyślałaś – zauważyłem.

– Próbowałam – rzekła – i jest to bardzo kłopotliwe... Ale rozgość się, a ja tymczasem odłożę moje rzeczy.

Była drobną, nieco zaokrągloną tu i ówdzie kobietą o kruczoczarnych włosach, w których niemal niezauważalnie zaczęło się pokazywać cienkie pasemko siwizny, a kiedy pojawiła się ponownie w intensywnie czerwonej sukni gospodyni przyjęcia, wyglądała tak olśniewająco, że musiałem odwrócić nieco spłoszony wzrok.

– Jaki piękny masz pokój – powiedziałem, spoglądając nad wiśniową poświatą mebli na naturalnej wielkości akt, różowego Renoira. Tu i tam wisiały inne płótna i rozległe ściany zdawały się płonąć ciepłymi, czystymi barwami. Co można na to wszystko powiedzieć? pomyślałem, patrząc na abstrakcyjną rybę z wypolerowanego brązu, spoczywającą na hebanowym piedestale.

– Cieszę się, że uważasz, że jest tu przyjemnie, bracie – powiedziała. – Nam samym się tu podoba, chociaż muszę powiedzieć, że Hubert znajduje bardzo mało czasu, by się tym cieszyć. Jest za bardzo zajęty.

– Hubert? – rzekłem.

– Mój mąż. Niestety, musiał wyjechać. Bardzo by się ucieszył ze spotkania z tobą, ale zawsze mu się gdzieś spieszy. Interesy, rozumiesz.

– Przypuszczam, że to nieuniknione – powiedziałem zakłopotany.

– Tak – przyznała. – Ale mamy porozmawiać o Bractwie i ideologii, prawda?

W jej głosie i uśmiechu było coś, co napełniało mnie jednocześnie dobrym samopoczuciem i podnieceniem. Nie była to tylko atmosfera bogactwa i wystawnego życia, która była mi obca, ale po prostu bycie tam z nią i przeczuwana możliwość porozumienia; jak gdyby to, co było niezgodnie niewidzialne, i to, co było wyraźnie enigmatyczne, osiągały delikatnie zrównoważoną harmonię. Jest bogata, ale jest człowiekiem, pomyślałem, obserwując płynną grę jej rozluźnionych rąk.

– Ruch ma wiele aspektów – powiedziałem. – Od czego zaczniemy? Może z tym akurat nie dam sobie rady.

– Och, to nie jest nic aż tak głębokiego – rzekła. – Jestem pewna, że wyprostujesz moje ideologiczne zakręty. Ale usiądź na kanapie, bracie; tu jest wygodniej.

Usiadłem, widząc, że idzie do drzwi, a tren jej sukni ciągnie się zmysłowo po orientalnym dywanie. Potem odwróciła się i uśmiechnęła.

– Może wolałbyś wino albo mleko zamiast kawy?

– Poproszę o wino – powiedziałem, bo pomysł napicia się mleka wydał mi się dziwnie odpychający. Zupełnie się tego nie spodziewałem, pomyślałem. Wróciła z dwoma kieliszkami i karafką na tacy, postawiła ją na niskim stoliku koktajlowym, i usłyszałem, jak wino spływa melodyjnie do kieliszków, z których jeden postawiła przede mną.

– Za ruch – powiedziała, wznosząc kieliszek ze śmiejącymi się oczami.

– Za ruch – rzekłem.

– Iz a Bractwo.

– Iz a Bractwo.

– To bardzo miłe – powiedziałem, a ona niemal zamknęła oczy, unosząc w górę, ku mnie, brodę – ale jaką część naszej ideologii mamy przedyskutować?

– Wszystko – powiedziała. – Chcę ogarnąć jej całość. Życie bez niej jest tak straszliwie puste i chaotyczne. Szczerze wierzę, że tylko Bractwo stwarza nadzieję, że życie znowu warto będzie przeżyć... Och, wiem, że jest to zbyt ogromna filozofia, by ją pojąć natychmiast, niemniej jednak jest tak pełna wigoru, że ma się uczucie, że powinno się przynajmniej tego spróbować. Zgadzasz się?

– No tak – powiedziałem. – To najbardziej sensowna rzecz, jaką znam.

– Och, tak się cieszę, że się ze mną zgadzasz. Przypuszczam, że właśnie dlatego zawsze z przyjemnością słucham, jak przemawiasz, bo oddajesz pulsującą witalność ruchu. To naprawdę zdumiewające. Dajesz mi takie poczucie bezpieczeństwa... Chociaż – dodała z tajemniczym uśmiechem – muszę wyznać, że napełniasz mnie również strachem.

– Strachem? Nie mówisz tego poważnie – rzekłem.

– Naprawdę – stwierdziła, kiedy się roześmiałem. – To jest takie potężne, takie... takie pierwotne!

Poczułem, jak z pokoju ucieka część powietrza, pozostawiając po sobie nienaturalną ciszę.

– Nie mówisz chyba tego poważnie? – spytałem.

– Tak, pierwotne; nikt ci nie powiedział, bracie, że czasami w twoim głosie słychać rytm tam-tamów?

– Mój Boże – roześmiałem się – myślałem, że to rytm głębokich idei.

– Oczywiście masz rację – powiedziała. – Nie mówię, że to jest rzeczywiście pierwotne. Chodzi mi raczej o to, że jest energiczne, potężne. Bierze we władanie zarówno emocje słuchacza, jak i intelekt. Nazywaj to, jak chcesz, ale ma to w sobie tyle nagiej siły, że przenika słuchacza. Drzę na samą myśl o takiej witalności.

Popatrzyłem na nią, tak bliską teraz, że widziałem pojedyncze, kruczoczarne pasmo niesfornych włosów.

– Tak – przyznałem – jest w tym emocja, ale wyzwala ją nasze naukowe podejście. Jak mówi brat Jack, jesteśmy przede wszystkim organizatorami. A ta emocja nie zostaje po prostu wyzwolona, jest ukierunkowana, skanalizowana – to prawdziwe źródło naszej skuteczności. W końcu to bardzo dobre wino może wyzwolić emocje, ale poważnie wątpię, czy potrafi coś zorganizować.

Pochyliła się ku mnie z gracją, z ręką na oparciu kanapy, i powiedziała:

– Tak, i w swoich przemówieniach osiągasz jedno i drugie. Trzeba tylko reagować, nawet jeśli nie rozumie się jasno, o co ci chodzi. Tylko, że ja wiem, o czym mówisz, a to jest jeszcze bardziej inspirujące.

– Wiesz, tak naprawdę publiczność tak samo wpływa na mnie jak ja na nią. Jej reakcja pomaga mi dać z siebie wszystko.

– Jest jeszcze inny ważny aspekt – powiedziała – który bardzo mnie interesuje. Zapewnia on kobietom pełną możliwość wyrażania własnego ja, która jest bardzo ważna, bracie. To zupełnie tak, jakby każdego dnia był rok przestępny – czyli tak, jak powinno być. Kobiety powinny mieć absolutnie taką samą wolność jak mężczyźni.

Gdybym ja był naprawdę wolny, pomyślałem, podnosząc kielich, zaraz bym stąd zmiatał.

– Dziś wieczorem byłeś wyjątkowo dobry – nadszedł czas, żeby kobieta miała swojego szermierza w ruchu. Aż do dzisiaj zawsze mówiłeś o problemach mniejszości.

– To nowe zadanie – powiedziałem. – Ale od teraz jedną z naszych głównych trosk będzie sprawa kobieca.

– To cudownie i chyba już pora na to. Coś powinno dać kobietom szansę zmierzenia się z życiem. Proszę, opowiedz mi o swoich ideach – powiedziała, przechylając się i kładąc dłoń na moim ramieniu.

A ja mówiłem dalej, uniesiony moim własnym entuzjazmem i ciepłem wina. I dopiero kiedy się do niej odwróciłem, by zadać jej pytanie, zdałem sobie sprawę, że oddalona jest ode mnie jedynie o czubek nosa i skupia wzrok na mojej twarzy.

– Mów dalej, proszę, mów dalej – usłyszałem. – W twoich ustach wszystko wydaje się takie oczywiste... proszę.

Zobaczyłem szybkie jak ruch skrzydeł ćmy trzepotanie jej powiek, które przerodziło się w miękkość jej ust, gdy przysunęliśmy się do siebie. Nie było w tym żadnej myśli czy koncepcji, a jedynie czyste ciepło; potem zadzwieczał dzwonek, otrząsnąłem się z tego, poderwałem na nogi i usłyszałem, że znowu dzwoni, a ona podniosła się równocześnie ze mną, w czerwonej sukni opadającej ciężkimi fałdami na dywan, mówiąc:

– Przedstawiasz to wszystko w tak cudownie żywy sposób.

Znowu odezwał się dzwonek. Starąłem się poruszyć, wyjść z tego mieszkania, szukałem kapelusza i coraz bardziej rozzłoszczony myślałem: Czy ona oszalała? Czy nie słyszy? kiedy

stała przede mną oszołomiona, jak gdybym zachowywał się irracjonalnie. A potem ujęła mnie z nagłą energią za ramię i rzuciła:

– Tędy, tutaj – niemal ciągnąc mnie za sobą, kiedy znowu zadźwięczał dzwonek, przez drzwi i krótki korytarz, do satynowej sypialni, w której przyjrzała mi się z uśmiechem i rzekła: – To mój pokój – a ja wbiłem w nią wzrok z oburzeniem i niedowierzaniem.

– Twój, twój? A co z tym dzwonkiem?

– Mniejsza z nim – zagruchała, zaglądając mi w oczy.

– Ale bądź rozsądna – powiedziałem, odsuwając ją na bok. – Co z drzwiami?

– Och, oczywiście, pytasz o telefon, prawda, kochanie?

– Ale twój stary... twój mąż?

– W Chicago...

– Ale czy nie mógłby...

– Nie, nie, kochanie, on nie...

– Ale mógłby!

– Ależ bracie, kochanie, rozmawiałam z nim i wiem.

– Co takiego? Co to za gra?

– Och, biedne kochanie! To nie jest gra, naprawdę nie masz czym się martwić, mamy swobodę. On jest w Chicago, bez wątplenia szuka swojej utraconej młodości – powiedziała i roześmiała się z własnych słów. – Jego nie interesuje poprawa stanu rzeczy – wolność i konieczność, prawa kobiet i reszta. Sam wiesz, to przypadłość naszej klasy... bracie, kochanie.

Zrobiłem krok do przodu; z mojej lewej strony były inne drzwi, przez które widziałem lśniący chrom i płytki.

– Bractwo, kochanie – powiedziała, chwytając mnie za biceps drobnymi dłońmi. – Naucz mnie, porozmawiaj za mną. Naucz mnie pięknej ideologii Bractwa. – I chciałem zarówno ją uderzyć i zostać z nią, i wiedziałem, że nie powinienem robić ani tego, ani tamtego. Czy chciała zrujnować mi życie, czy też była to pułapka zastawiona przez jakiegoś ukrytego wroga ruchu, który czekał za drzwiami z aparatami fotograficznymi i łomami?

– Powinnaś odebrać telefon – powiedziałem z wymuszonym spokojem, starając się uwolnić ręce bez dotykania jej, bo gdybym jej dotknął...

– A będziesz mówił dalej? – spytała.

Skinąłem głową, a ona odwróciła się bez słowa, ruszyła ku toalecie z dużym, owalnym lustrem i podniosła słuchawkę telefonu z kości słoniowej. I w tej lustrzanej chwili zobaczyłem siebie, jak stoję pomiędzy jej podnieconą postacią a ogromnym białym łóżkiem, przyłapany w pozycji winnego, z napiętą twarzą, dyndającym krawatem; a za łóżkiem widniało drugie lustro, które teraz jak falowanie morza oddalało i przybliżało, oddalało i przybliżało nasze odbicia, wściekle zwielokrotniając nas, miejsce i okoliczności. Obraz, który widziałem, zdawał się pulsować na przemian wyraźnie i mętnie, poruszany jakimś wściekłym miechem, kiedy jej usta rzekły bezgłośnie: „Przepraszam”, a potem niecierpliwie do słuchawki:

– Tak, to ja – a potem znowu do mnie, uśmiechając się, kiedy zakryła mikrofon ręką: – To tylko moja siostra, za sekundę skończę.

W głowie wirowały mi zapomniane opowieści o służących wzywanych w celu umycia pleców pani, o szoferach dzielących się ze swoimi panami ich żonami, o portierach wagonów pulmanowskich zapraszanych do przebieralni bogatych żon zdążających do Reno... Pomyślałem: Ale to jest przecież nasz ruch, Bractwo. I teraz ujrzałem, że kobieta się uśmiecha i mówi:

– Tak, kochana Gwen. Tak.

Jej wolna ręka podniosła się, jakby po to, by przygładzić włosy, i po jednym szybkim ruchu czerwona suknia rozsunęła się jak zasłona, a mnie zatkało na widok drobnej i hojnie

zaokrąglonej naguski, obramowanej delikatnie i solidnie w szkło. Było to niczym sen i w jednej chwili odpłynęło, i widziałem tylko jej tajemniczo uśmiechnięte oczy nad intensywnie czerwoną suknią.

Zmierziałem do drzwi, rozdarty między złością i gwałtownym podnieceniem, i usłyszałem, jak odkłada słuchawkę telefonu, kiedy obok niej przechodziłem; wyczułem, że zbliża się do mnie, i byłem zgubiony, bo konflikt między ideologią i biologią, obowiązkiem i pożądaniem, stał się zbyt subtelnie zagmatwany. Podeszedłem do niej, myśląc: Niech wyważają drzwi, niech przychodzi tu, kto chce.

Nie wiedziałem, czy to sen czy jawa. Panowała zupełna cisza, a jednak byłem pewien, że usłyszałem jakiś hałas i że dobiegł on z drugiej strony pokoju, kiedy ona obok mnie cicho westchnęła. Było to dziwne. Mój umysł rozważał to pod różnymi kątami. Uciekałem wśród kasztanowców przed bykiem. Biegłem pod górę; całe wzgórze falowało. Usłyszałem ten dźwięk i kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem mężczyznę patrzącego prosto na mnie z miejsca, gdzie stał w mdłym świetle padającym z holu, patrzącego na mnie bez zainteresowania ani bez zdziwienia. Twarz miał bez wyrazu, oczy wbite we mnie. Słyszałem równy oddech. Potem ona poruszyła się koło mnie.

– Och, cześć, kochanie – powiedziała głosem dobiegającym z bardzo daleka. – Już wróciłeś?

– Tak – odparł. – Obudź mnie rano, mam mnóstwo pracy.

– Będę pamiętała, kochanie – rzekła sennie. – Spij dobrze...

– Ty też – powiedział z krótkim, suchym śmiechem.

Drzwi się zamknęły. Leżałem przez chwilę w ciemnościach, szybko oddychając. To było dziwne. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej. Żadnej reakcji. Pochyliłem się nad nią i poczułem na twarzy jej ciepły i czysty oddech. Chciałem tam zostać dłużej, bo doświadczyłem czegoś cennego, niebezpiecznie uzyskanego zbyt późno, co miałem teraz utracić na zawsze – wzruszenia. Ale wyglądała tak, jakby w ogóle się nie obudziła, a gdybym obudził ją teraz, krzyczałyby i wrzeszczała. Zsunąłem się pospiesznie z łóżka i wbijałem wzrok w tę stronę ciemności, z której wcześniej dobiegało światło, kiedy próbowałem znaleźć moje ubranie. Poruszając się po omacku, znalazłem krzesło, puste krzesło. Gdzie moje ubranie? Co ze mnie za głupiec! Dlaczego wpakowałem się w taką sytuację? Nagi, wymacałem w ciemności drogę, znalazłem krzesło z moim ubraniem, szybko się ubrałem i wysliznąłem, zatrzymując się tylko na chwilę w drzwiach, by się obejrzeć za siebie w mdłym świetle płynącym z holu. Spała bez westchnienia i bez uśmiechu, piękna i pogrążona w marzeniach sennych, z jednym ramieniem jak z kości słoniowej zakrywającym kruczoczną głowę. Waliło mi serce, kiedy zamknąłem drzwi i poszedłem korytarzem, spodziewając się, że zatrzyma mnie mężczyzna, mężczyźni, tłumy. Potem wszedłem na schody.

W budynku było cicho. W holu wejściowym drzemał portier, jego wykrochmalony gors wydymał się pod brodą w rytm oddechu, jego siwa głowa była goła. Wyszedłem na ulicę zwiotczały od potu, nadal niepewny, czy naprawdę widziałem tego mężczyznę, czy tylko mi się przyśnił. Czy mogłem go zobaczyć, sam nie będąc przez niego widziany? Albo może mnie zobaczył, ale zachował milczenie z powodu wyrafinowania, dekadencji, przesadnej grzeczności? Szedłem spiesznie ulicą, a z każdym krokiem mój niepokój wzrastał. Dlaczego nic nie powiedział, nie rozpoznał mnie, nie przeklął? Nie zaatakował? Albo przynajmniej nie wściekł się na nią? A jeśli był to sprawdzian, który miał pokazać, jak zareaguję na taką presję? Była to w końcu sprawa, która wywołałaby gwałtowny atak naszych wrogów. Szedłem w pocie katuszy. Dlaczego oni musieli mieszać do wszystkiego swoje kobiety? Pomędzy nami i wszystkim, co chcieliśmy zmienić na święcie, postawili kobietę – towarzysko, politycznie, ekonomicznie. Dlaczego, do diabła, dlaczego tak upierają się przy

mieszaniu walki klasowej z walką dup, upokarzając zarówno nas, jak i siebie – to wszystko z ludzkich pobudek?

Cały następny dzień czułem się wyczerpany i czekałem z napięciem na ujawnienie tego planu. Teraz byłem pewien, że ten mężczyzna stał w drzwiach, mężczyzna z teczką, który zajrzał do środka i w żaden sposób nie okazał, że mnie zobaczył. Mężczyzna, który mówił jak obojętny mąż, ale który zdawał się przypominać mi jakiegoś ważnego członka Bractwa – kogoś tak znanego, że moja niemożność zidentyfikowania go doprowadzała mnie niemal do szaleństwa. Moja praca leżała przede mną nietknięta. Każdy dzwonek telefonu napęlał mnie strachem. Bawiłem się ogniwem z kajdan Tarpa.

Jeśli nie zadzwonią do czwartej, jestem bezpieczny, mówiłem sobie. Ale nadal żadnego znaku, nawet wezwania na zebranie. W końcu wykręciłem jej numer i usłyszałem jej głos, zadowolony, radosny i dyskretny; ale ani słowa o tej nocy ani o tym mężczyźnie. I słysząc ją tak zrównoważoną i wesołą, byłem zbyt skrępowany, by poruszyć ten temat. Być może tak to się robiło w wyrafinowany i kulturalny sposób? Być może on tam był i zawarli wcześniej porozumienie, że jest kobietą z pełnią praw.

Chciała wiedzieć, czy wrócę na dalszą dyskusję.

– Tak, oczywiście – powiedziałem.

– Och, bracie – rzekła.

Zakończyłem rozmowę z mieszaniną ulgi i niepokoju i nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że poddano mnie próbie i że nie przeszedłem jej pomyślnie. Przez cały następny tydzień zastanawiałem się nad tym, jeszcze bardziej zdezorientowany, bo nie wiedziałem nic pewnego o tym, w jakiej jestem sytuacji. Próbowałem odkryć jakieś zmiany w moich stosunkach z bratem Jackiem i pozostałymi, ale nie dawali żadnego znaku. A nawet gdyby dali, nie miałbym pewności, co znaczy, bo mogło to mieć jakiś związek z poprzednimi zarzutami. Miotalem się między winą i niewinnością, tak że teraz zdawały się jednym i tym samym. Nerwy miałem w stanie ciągłego napięcia, moja twarz przybrała sztywny, wymijający wyraz, upodobniając się powoli do twarzy brata Jacka i pozostałych przywódców. Później trochę się rozluźniłem; trzeba było wykonywać pracę, postanowiłem więc grać na zwłokę. I mimo poczucia winy i niepewności nauczyłem się zapominać, że jestem samotnym czarnym bratem, i wchodzić pewnie do pomieszczeń pełnych białych. Broda do góry, nie za szeroki uśmiech, dłoń wyciągnięta do silnego, ciepłego uścisku. A wszystko z odpowiednią mieszaniną arogancji i praktycznej pokory, aby wszystkich zadowolić. Rzuciłem się w wir wykładów, broniąc praw kobiet; i chociaż dziewczyny nadal mnie rajcowały, starałem się oddzielać biologię od ideologii, co nie zawsze było łatwe, bo odnosiłem wrażenie, jakby wiele sióstr uzgodniło między sobą (i przyjęło, że podzielam ich zdanie), że ideologia jest jedynie zbyt dużą zasłoną dla rzeczywistych spraw życiowych.

Stwierdziłem, że większość śródmiejskiej publiczności zdawała się oczekiwać jakiegoś nienazwanego czegoś, kiedy tylko się pojawiałem. Wyczuwałem to w chwili, kiedy przed nimi stawałem, i nie miało to nic wspólnego z czymkolwiek, co mogłem powiedzieć. Bo wystarczyło, że się pojawiłem przed nimi i od chwili, w której zwrócili na mnie wzrok, wydawali się pozbywać jakiegoś dziwnego brzemienia – nie śmiechu, nie łez, żadnej stałej, nie zmieszanej z innymi emocji. Nie pojmowałem tego. I nasilało to moje poczucie winy. Kiedyś w środku przemówienia spojrzałem na morze twarzy i pomyślałem: Czy oni wiedzą? Czy o to chodzi? – i niemal zepsułem cały wykład. Ale jednego byłem pewien, zupełnie inaczej podchodzili do innych czarnych braci, którzy tak często zabawiali ich opowieściami, że widownia zaczynała się śmiać, zanim jeszcze ci goście otworzyli usta. Nie, to było coś innego. Jakaś forma oczekiwania, nastrój czekania, nadzieja na coś podobnego do usprawiedliwienia, jak gdyby spodziewali się, że jestem kimś więcej niż tylko kolejnym mówcą czy artystą estradowym. Wydawało się zachodzić tutaj coś, co było ukryte przed moją świadomością. Odgrywałem pantomimę bardziej wymowną od najbardziej ekspresyjnych

słów. Byłem w tym ich partnerem, ale nie mogłem tego zgłębić, tak jak nie mogłem zgłębić tajemnicy tego mężczyzny w drzwiach. Być może, mówiłem sobie, jest to coś w twoim głosie. W twoim głosie i w ich pragnieniu zobaczenia w tobie żywego dowodu ich wiary w Bractwo, więc by odzyskać spokój, przestałem o tym myśleć.

Później, pewnej nocy, kiedy zasnąłem, przygotowując notatki do nowej serii wykładów, telefon wezwał mnie na pilne zebranie w głównej siedzibie organizacji i wyszedłem z domu z uczuciem strachu. To koniec, pomyślałem, chodzi albo o te zarzuty, albo o tę kobietę. Zostać usidlonym przez kobietę! Co im powiem – że nie można jej się było oprzeć, a ja jestem tylko człowiekiem? Co to miało wspólnego z odpowiedzialnością, z tworzeniem Bractwa?

I tylko tyle mogłem zrobić, by zmusić się do pójścia na zebranie, i się spóźniłem. W pokoju było duszno; trzy małe wentylatory miały ciężkie powietrze, a bracia siedzieli bez marynarek wokół poobijanego stołu, na którym lśnił paciorkami wilgoci dzbanek z wodą z lodem.

– Bracia, przepraszam za spóźnienie – powiedziałem. – Zatrzymało mnie parę ważnych szczegółów dotyczących jutrzejszego wykładu.

– No to mogłeś sobie zaoszczędzić kłopotu, a komitetowi niepotrzebnie straconego czasu – rzekł brat Jack.

– Nie rozumiem cię – odparłem, przeszyty nagłym dreszczem.

– Chodzi mu o to, że nie będziesz się już zajmował sprawą kobietą. Koniec z tym – wyjaśnił brat Tobitt, a ja przygotowałem się na atak, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, brat Jack strzelił we mnie zaskakującym pytaniem:

– Co się stało z bratem Todem Cliftonem?

– Z bratem Cliftonem... ależ ja go nie widziałem od wielu tygodni. Miałem zbyt wiele zajęć w śródmieściu. A co się stało?

– Zniknął – powiedział brat Jack – zniknął! A więc nie trać czasu na zbyteczne pytania. Nie po to po ciebie posłano.

– Ale od jak dawna o tym wiadomo?

Brat Jack uderzył w stół.

– Wiemy tylko tyle, że przepadł. Zajmij się naszymi sprawami. Ty, bracie, masz natychmiast wrócić do Harlemu. Stoimy tam w obliczu kryzysu, bo brat Tod Clifton nie tylko zniknął, ale nie wykonał przydzielonego mu zadania. Natomiast Ras Agitator i jego banda rasistowskich gangsterów wykorzystują to i nasilają swoją agitację. Masz tam wrócić i podjąć środki, byśmy odzyskali znaczenie w tamtej społeczności. Dostaniesz niezbędne siły i złożysz nam sprawozdanie na zebraniu poświęconym omówieniu strategii, o którym zostaniesz powiadomiony jutro. I proszę – podkreślił to uderzeniem młotka – przyjdź punktualnie!

Tak mi ulżyło, że nie omawiano żadnego z moich problemów, że nie zapytałem nawet, czy skontaktowano się z policją w sprawie jego zniknięcia. Coś było nie tak z całą tą sprawą, bo Clifton był zbyt odpowiedzialnym człowiekiem i miał za dużo do stracenia, by tak po prostu zniknąć. Czy miało to jakiś związek z Rasem Agitatorem? Ale to wydawało się nieprawdopodobne; Harlem był jednym z rejonów, gdzie mieliśmy najmocniejszą pozycję, i zaledwie przed miesiącem, kiedy mnie przeniesiono do śródmieścia, wyśmiano by Rasa, gdyby próbował nas zaatakować. Gdybym nie starał się tak bardzo nie urazić komitetu, utrzymywałbym ściślejszy kontakt z Cliftonem i resztą członków bractwa z Harlemu. Teraz czułem się tak, jakbym obudził się nagle z głębokiego snu.

Rozdział 20

Nie byłem tu od tak dawna, że ulice wydały mi się obce. Rytm życia w śródmieściu był wolniejszy, a mimo to jakoś szybszy; w gorącym wieczornym powietrzu wyczuwałem inne napięcie. Torowałem sobie drogę przez letnie tłumy nie do biura rejonu, ale do Jolly Dollar Barrelhouse'a, ciemnej nory mieszczącej bar z grillem na Ósmej Alei, gdzie zwykle o tej mniej więcej porze można było zastać przy wieczornym piwie jednego z moich najlepszych łączników, brata Maceo.

Przez okno ujrzałem mężczyzn w roboczych ubraniach i kilka podpitych kobiet pochylonych nad barem, a w przejściu pomiędzy barem i bufetem paru mężczyzn w czarno-niebieskich sportowych koszulkach w kratkę jadło coś z rusztu. Obok szafy grającej w głębi kręciła się grupka mężczyzn i kobiet. Ale kiedy wszedłem, nie dostrzegłem brata Maceo, przepchnąłem się więc do baru, postanowiwszy poczekać na niego przy piwie.

– Dobry wieczór, bracia – powiedziałem, znalazłszy się obok dwóch mężczyzn, których widziałem tu już wcześniej, ale spojrzeli tylko na mnie dziwnie, a brwi wyższego z nich podniosły się pod pijanym kątem, kiedy popatrzył na towarzysza.

– Gównno – powiedział ten wysoki.

– Ty żeś to pedział, człowieku; to twój krewniak?

– Gównno, żaden mój krewniak!

Odwrociłem się i spojrzałem na nich; powietrze w pomieszczeniu jakby nagle zgęstniało.

– Musi być nachlany – powiedział drugi. – Może myśli, że jest twoim krewnym.

– No to jego whisky wmawia mu cholerne kłamstwo. Nie byłby ja jego krewnym, nawet jakbym był... Hej, Barrelhouse!

Odsunąłem się, patrząc na nich z uczuciem niepewności. Nie sprawiali wrażenia pijanych, a ja nie powiedziałem nic obraźliwego i byłem pewien, że wiedzą, kim jestem. O co chodziło? Pozdrowienie Bractwa było równie znane jak „Się masz” czy „Jak leci?”

Zobaczyłem, jak Barrelhouse toczy się z drugiego końca baru, w białym fartuchu tak wciętym przez pasek, że wyglądał jak ten rodzaj metalowej beczki z piwem, która ma pośrodku biegnący wokół rowek; a na mój widok zaczął się uśmiechać.

– No proszę, niech mnie szlag, jeśli to nie ten dobry brat – powiedział, wyciągając rękę. – Gdzie się podziewałeś, bracie?

– Pracowałem w śródmieściu – odparłem, czując przyływ wdzięczności.

– Świetnie, świetnie! – rzekł Barrelhouse.

– Interesy dobrze idą?

– Wolałbym o tym nie mówić, bracie. Interesy idą kiepsko. Bardzo kiepsko.

– Przykro mi to słyszeć. Lepiej daj mi piwo – powiedziałem – jak już obsłużysz tych panów. – Przyjrzałem się im w lustrze.

– Jasna sprawa – rzekł Barrelhouse, po czym sięgnął po szklanę i nalał do niej piwa. – Co sobie życzysz, stary? – zapytał wysokiego.

– Słuchaj, Barrel, chcieli my zadać ci jedno pytanie – powiedział wysoki. – Chcieli my tylko wiedzieć, czy możesz nam powiedzieć, czym niby bratem jest ten tutaj gość? Wchodzi se tutaj, mówiąc do każdego „bracie”.

– To mój brat – powiedział Barrel, trzymając w długich palcach pieniącą się szklanę. – Coś ci w tym nie pasuje?

– Słuchaj, człowieku – odezwałem się ponad barem – taki mamy sposób mówienia. Nie miałem na myśli nic złego, nazywając cię bratem. Przykro mi, że mnie źle zrozumiałeś.

– Bracie, twoje piwo – powiedział Barrelhouse.

– A więc on jest twoim bratem, tak, Barrel?

Oczy Barrela zwięzły się, kiedy pochylił olbrzymią klatkę piersiową nad barem, robiąc nagle smutną minę.

– Dobrze ci tu, MacAdams? – zapytał ponuro. – Smakuje ci piwo?

– Pewnie – odparł MacAdams.

– Wystarczająco zimne?

– Pewnie, ale Barrel...

– Podoba ci się ta fajna muzyka z szafy? – spytał Barrelhouse.

– Do diabła, tak, ale...

– I nasza dobra, czysta, towarzyska atmosfera?

– Pewnie, ale ja nie o tym mówię – odparł tamten.

– Taa, ale ja o tym mówię – powiedział Barrelhouse żałośnie. – A jak ci się to podoba, to niech ci się podoba, i nie próbuj wkurzać innych klientów. Ten człowiek tutaj zrobił dla tej społeczności więcej, niż ty kiedykolwiek zrobisz.

– Jakiej społeczności? – rzekł MacAdams, patrząc na mnie jak na powietrze. – Słyszę, że dostał białej gorączki i wyniósł się stąd...

– Można słyszeć różne rzeczy – powiedział Barrelhouse. – W męskiej toalecie jest trochę papieru. Powinieneś wyczyścić sobie uszy.

– Mniejsza o moje uszy.

– Daj spokój, Mac – powiedział jego towarzysz. – Zapomnij o tym. Czy ten facet nie przeprosił?

– Ja żem powiedział: „Mniejsza o moje uszy” – rzekł MacAdams. – Powiedz po prostu swojemu bratu, że powinien uważać, kogo bierze za swoich krewniaków. Niektórzy z nas nie cenio tak bardzo jego polityki.

Przenosiłem wzrok z jednego na drugiego. Uważałem, że wyrosłem już ze stadium bójek ulicznych, a jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogłem zrobić po powrocie do tej społeczności, było wplątanie się w burdę. Spojrzałem na MacAdamsa i udeszyłem się, kiedy towarzysz popchnął go w przeciwny koniec baru.

– Ten MacAdams myśli, że jest twardy – oznajmił Barrelhouse. – Takim jak on nikt nie może dogodzić. Ale mówiąc szczerze, teraz mnóstwo ludzi tak uważa.

Potrząsnąłem głową z zakłopotaniem. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z podobną wrogością.

– A co się dzieje z bratem Maceo? – zapytałem.

– Nie wiem, bracie. Teraz nie przychodzi tu tak regularnie. Wszystko się tutaj zmienia. Niedużo pieniędzy tu krąży.

– Wszędzie jest ciężko. Takie czasy. Ale co się tutaj dzieje, Barrel? – spytałem.

– Och, wiesz, jak to jest, bracie; jest krucho z forszą, a kupa ludzi, którzy dostali dzięki wam pracę, straciła ją. Wiesz, jak jest.

– Mówisz o ludziach z naszej organizacji?

– Paru z nich w niej jest. Takich jak brat Maceo.

– Ale dlaczego? Dobrze sobie radzili.

– Pewnie, że tak – dopóki walczyliście o nich. Ale odkąd przestaliście, zaczęli wyrzucać ludzi na ulicę.

Popatrzyłem na niego, ogromnego i szczerego przede mną. Nie mogłem uwierzyć, że Bractwo zaprzestało swojej pracy, a jednak on nie kłamał.

– Daj mi jeszcze jedno piwo – powiedziałem. Potem zawołał go ktoś z tyłu, więc nalał mi to piwo i odszedł.

Pilem je powoli, mając nadzieję, że zanim skończę, pojawi się brat Maceo. Kiedy się nie zjawił, machnąłem ręką do Barrelhouse'a i poszedłem do biura rejonu. Może będzie mi mógł to wyjaśnić brat Tarp, albo przynajmniej powie mi coś o Cliftonie.

Przeszedłem przez ciemny kwartał na Siódmą Aleję i ruszyłem nią; sprawy zaczynały wyglądać poważnie. Po drodze nie widziałem ani jednej oznaki aktywności Bractwa. W gorącej bocznej uliczce natknąłem się na parę oświetlającą zapałkami chodnik obok krawężnika; klęczeli, jakby szukali zgubionej monety, a zapałki rozbłyskały mdłym płomieniem przed ich twarzami. Potem znalazłem się w dziwnie znajomym kwartale i oblałem się potem – doszedłem niemal do drzwi Mary, odwróciłem się więc i pospiesznie odszedłem.

Barrelhouse przygotował mnie na widok zaciemnionych biur rejonu, ale nie na to, że kiedy tam wejść, będę na próżno wołał w ciemnościach brata Tarpa. Poszedłem do pokoju, gdzie sypiał, ale nie było go tam; potem ruszyłem przez ciemny hol do mojego starego gabinetu i wyczerpany rzuciłem się na krzesło przy biurku. Wszystko zdawało mi się wymykać i nie potrafiłem wymyślić żadnego szybkiego kontrposunięcia, które pozwoliłoby nad tym zapanować. Staralem się zastanowić, do kogo spośród członków komitetu rejonowego mógłbym zadzwonić z prośbą o informacje na temat Cliftona, ale i z tego nic nie wyszło, bo gdybym wybrał kogoś, kto uważał, że poprosiłem o przeniesienie do śródmieścia, ponieważ nienawidziłem ludu, z którego się wywodziłem, skomplikowałoby to tylko sprawy. Bez wątplenia będą tacy, którym nie spodoba się mój powrót, najlepiej więc będzie stawić czoło im wszystkim naraz, by nie dać nikomu szansy na zorganizowanie żadnego oporu przeciwko mnie. Najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z Tarpem, któremu ufałem. Kiedy przyjdzie, może da mi jakieś pojęcie o stanie spraw, a może powie mi, co tak naprawdę stało się z Cliftonem.

Ale brat Tarp nie przybył. Wyszedłem, kupiłem pojemnik kawy i wróciłem, by spędzić noc na ślęczeniu nad zapiskami z rejonu. Kiedy minęła trzecia nad ranem, a Tarp nadal nie wracał, poszedłem do jego pokoju i rozejrzałem się. Był pusty, zniknęło nawet łóżko. Jestem zupełnie sam, pomyślałem. Wydarzyło się wiele rzeczy, o których mi nie powiedziano; coś, co nie tylko zniszczyło zainteresowanie członków organizacją, ale nawet, jak świadczyły zapiski, skłoniło ich do masowego jej opuszczenia. Barrelhouse powiedział, że organizacja przestała walczyć, i tylko w ten sposób dało się wyjaśnić odejście brata Tarpa. Jeśli oczywiście nie doszło do jakichś nieporozumień między nim a Cliftonem albo innymi przywódcami. A wróciwszy do biurka, zauważyłem, że zniknął też podarowany przez niego portret Douglasa. Sprawdziłem, czy mam w kieszeni ogniwo łańcucha, ale przynajmniej tego nie zapomniałem zabrać ze sobą. Odsunąłem papiery na bok; nie powiedziały mi nic o tym, dlaczego sprawy miały się tak, jak się miały. Podniósłszy słuchawkę telefonu, wybrałem numer Cliftona, lecz nikt nie odbierał. W końcu zrezygnowałem i ułożyłem się do snu w moim fotelu. Wszystko musiało poczekać aż do zebrania w sprawie strategii. Powrót do rejonu przypominał powrót do wymarłego miasta.

Ku mojemu zdziwieniu w holu było dość dużo członków, kiedy się obudziłem, a ponieważ nie miałem żadnych wytycznych komitetu, jak postępować, podzieliłem ich na zespoły w celu odszukania brata Cliftona. Nikt nie mógł mi udzielić żadnych pewnych informacji. Brat Clifton pokazywał się w rejonie aż do czasu swojego zniknięcia. Nie doszło do żadnych kłótni między nim a członkami komitetu i był tak samo lubiany jak zawsze. Nie doszło też do żadnych starć z Rasem Agitatorem – chociaż w minionym tygodniu Ras bardzo się uaktywnił. Jeśli chodziło o utratę członków i wpływów, było to wynikiem nowego programu, który wzywał do odłożenia naszych dawnych metod agitacji. Ku mojemu zdziwieniu nacisk przeniósł się ze spraw lokalnych na bardziej ogólnonarodowe i międzynarodowe i uważano, że w tej chwili interesy Harlemu nie są najważniejsze. Nie wiedziałem, co z tym począć, ponieważ w śródmieściu nie nastąpiła żadna taka zmiana

programu. Zapomniano o Cliftonie i wszystko, co miałem teraz robić, wydawało się zależeć od wyjaśnienia złożonego przez komitet, czekałem więc z coraz większym niepokojem na wezwanie na zebranie poświęcone strategii.

Zebrania takie odbywały się zwykle około pierwszej, a powiadamiano nas o nich z dużym wyprzedzeniem. Ale do jedenastej trzydzieści nie dostałem ani jednego słowa i zacząłem się martwić. O dwunastej ogarnęło mnie niepokojące poczucie osamotnienia. Coś się szykowało, ale co, jak, dlaczego? W końcu zadzwoniłem do centrali, ale nie udało mi się złapać żadnego z przywódców. Co jest, zastanawiałem się, a potem dzwoniłem do szefów innych rejonów z takim samym rezultatem. I teraz byłem już pewien, że zebranie się już odbywa. Ale dlaczego beze mnie? Czy zbadali zarzuty Wrestruma i doszli do wniosku, że są prawdziwe? Wydawało się, że liczba członków zmniejszyła się po moim przeniesieniu do śródmieścia. A może chodziło o tę kobietę? Cokolwiek było tego przyczyną, teraz z pewnością nie był odpowiedni czas na to, aby wykluczyć mnie z udziału w zebraniu; sprawy w rejonie stały się zbyt pilne. Pospieszyłem do centrali.

Kiedy przyjechałem, zebranie było w toku, tak jak się spodziewałem, i zostawiono informację, że nikt nie może go zakłócić. Było oczywiste, że nie zapomnieli mnie powiadomić. Opuściłem budynek wściekły. Świetnie, pomyślałem, kiedy postanowią mnie wezwać, będą musieli mnie znaleźć. Przede wszystkim nigdy nie powinni byli mnie przynosić, a teraz, skoro odesłano mnie z powrotem, bym posprzątał ten bałagan, powinni mi jak najszybciej pomóc. Nie ucieknę więcej do śródmieścia ani nie zaakceptuję żadnego programu, który przyślą bez konsultacji z komitetem z Harlemu. Później postanowiłem, ni z tego, ni z owego, kupić sobie nowe buty i poszedłem na Piątą Aleję.

Było gorąco, chodniki nadal wypełniały typowe dla tej godziny tłumy, które wracały z ociąganiem do pracy. Szedłem blisko krawężnika, aby uniknąć zderzeń z innymi i gwałtownych zmian tempa, szczebioczących kobiet w letnich sukienkach, i wkroczyłem w końcu z uczuciem ulgi do pachnącego skórą, klimatyzowanego wnętrza sklepu obuwniczego.

Kiedy wyszedłem z powrotem na żar ulicy, moje stopy poruszały się lekko w nowych letnich butach, i przypomniałem sobie, jaką przyjemność w dawnych chłopięcych latach sprawiała nam zmiana zimowych butów na tenisówki, i wyścigi w dzielnicy, które zawsze się potem odbywały, to lekkostope doznanie unoszenia się, szybkości. No cóż, pomyślałem, masz już ostatnie zawody biegaczy za sobą, więc lepiej wracaj do rejonu, bo mogą cię wezwać. Przyspieszyłem kroku, przebierając zadbanymi i lekkimi stopami, kiedy przebijałem się przez natłok ogorzałych od słońca twarzy. Aby uniknąć tłumu na Czterdziestej Drugiej Ulicy, skręciłem w Czterdziestą Trzecią, i to tutaj właśnie sprawy zaczęły się gmatwać.

Przy krawężniku stał mały wózek z bogatym asortymentem jasnych brzoskwiń i gruszek, a sprzedawca, rumiany mężczyzna z bulwiastym nosem, o błyszczących, czarnych, włoskich oczach, spojrzał na mnie porozumiewawczo spod ogromnego białopomarańczowego parasola, a potem na tłum, który zgromadził się przed budynkiem po drugiej stronie ulicy. Co mu się stało? pomyślałem. Potem byłem już po drugiej stronie ulicy i mijałem grupę osób stojących do mnie tyłem. Urywany, sugestywny głos wstawiał gadkę, której znaczenia nie mogłem pojąć, i miałem już minąć ten tłumek, gdy zobaczyłem pewnego chłopaka. Był to szczupły, brązowoskóry młodzian, w którym natychmiast rozpoznałem bliskiego przyjaciela Cliftona i który patrzył teraz uważnie ponad dachami samochodów tam, gdzie kawałek dalej, obok poczty po drugiej stronie ulicy, widać było zbliżającego się wysokiego policjanta. Może on będzie coś wiedział, pomyślałem, kiedy rozejrzawszy się dookoła, dostrzegł mnie i zmieszany przerwał nagle obserwację.

– Hej, słuchaj – zacząłem, a kiedy zwrócił się w stronę tłumu i gwizdnął, nie wiedziałem, czy pokazuje mi, żebym zrobił to samo, czy daje znak komuś innemu. Okręciłem się szybko i ujrzałem, że robi krok w stronę dużego kartonu stojącego przy budynku i zakłada jego płócienne pasy na ramię, spoglądając jeszcze raz na policjanta i ignorując mnie.

Zaintrygowany wszedłem w tłum i precyzyjnie się do przodu, gdzie zobaczyłem przed moimi stopami kwadratowy kawałek tektury, na którym coś się szybko poruszało. Była to jakaś zabawka, przeniósłem więc wzrok na zafascynowane twarze ludzi i ponownie w dół, i tym razem ujrzałem to. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. Szeroko uśmiechnięta lalka z pomarańczowej i czarnej bibułki, o głowie i stopach utworzonych z cienkich, płaskich, tekturowych krążków, którą jakiś tajemniczy mechanizm unosił i opuszczał, wprawiał w niezborne, rozedrgane, irytująco zmysłowe ruchy, w taniec, który całkowicie nie przystawał do jej czarnej, podobnej do maski twarzy. To nie jest zwykły pajac na sznurku, ale co? – pomyślałem, widząc lalkę, która miotła się z gwałtownym wyzwaniem kogoś dokonującego publicznie poniżającego aktu, tańczyła tak, jakby czerpała jakąś perwersyjną przyjemność ze swoich ruchów. A przez chichot tłumu słyszałem szelest jej pomarszczonego papieru, podczas gdy ten sam głos wstawiał dalej półgębkiem gładką gadkę:

*Potrząśnij nim! Potrząśnij nim!
Oto Sambo, panie i panowie, tańcząca lalka.
Potrząśnijcie nim, złapcie za szyję, rozciągnijcie i postawcie
– On robi resztę. Tak!*

*On was rozśmieszy, on was ucieszy, ucieeeszy.
Będziecie chcieli tańczyć i tańczyć –
Proszę, panie i panowie, oto Sambo,
Tańcząca lalka.
Kup go dla dziecka. Daj go swojej dziewczynie, a będzie cię kochała, kochaaala!
On cię rozbawi, on cię rozśmieszy do łez.
Potrząśnij nim, potrząśnij nim, nie rozerwiesz go,
Bo to jest Sambo tańczący, Sambo podrygujący,
Sambo urzekający, Sambo Boogie Woogie, papierowa lalka.
I to wszystko za dwadzieścia pięć centów, za ćwierć dolara...
Panie i panowie, on da wam radość, podejdźcie i poznajcie go, Sambo...*

Wiedziałem, że powinienem wracać do rejonu, ale martwe, giętkie podrygiwanie uśmiechniętej lalki trzymało mnie w miejscu i walczyłem ze sobą, rozdarty między chęcią przyłączenia się do śmiechu i pragnieniem skoczenia na nią obiema nogami, kiedy nagle upadła i zobaczyłem czubek buta handlarza naciskający na okrągłą tekturkę, która tworzyła stopę lalki, i szeroką czarną dłoń sięgającą w dół, jej palce wprawnie podnoszące głowę lalki i ciągnące ją do góry, rozciągające ją na podwójną jej długość, a potem puszczejące, by znowu zaczęła tańczyć. I nagle głos przestał pasować do ręki. Poczułem się tak, jakbym wszedł do płytkiego stawu i brodził w nim, gdy zapadło się dno, a woda zamknęła nad moją głową. Podniosłem oczy.

– Nie ty... – zacząłem. Ale patrzył gdzieś obok mnie nie widzącym wzrokiem. Stałem jak sparaliżowany, patrząc na niego, wiedząc, że nie śnię, słysząc:

*Co sprawia mu radość, co sprawia, że tańczy,
Ten Sambo, ten džambo, ten chłopak w podskokach?
To coś więcej niż zabawka, panie i panowie, to Sambo, tańcząca lalka, cud dwudziestego
wieku.
Patrzcie na tę rumbę, na ten suzy-q, to Sambo-Boogie,
Sambo-Woogie, nie trzeba go karmić, śpi złożony, zabije wasze przygnębienie
I wasze wywłaszczenie, żyje z blasku waszego pańskiego uśmiechu*

I tylko dwadzieścia pięć centów, tylko braterskie ćwierć dolara, bo Sambo chce, żebym jadł.

Sprawia mu przyjemność, kiedy widzi, jak jem.

Po prostu bierzesz go i potrząsasz nim... a on robi resztę.

Dziękuję pani...

To był Clifton, kołysał się lekko w przód i w tył w kolanach, ugiął nogi, nie poruszając stopami, unosił prawe ramię i wskazywał sztywno na podskakującą lalkę, gdy półgębkiem zachwalał swój towar.

Znowu rozległ się gwizd i zobaczyłem, że zerka szybko w stronę swojej czujki, tego chłopaka z kartonem.

– Kto jeszcze chce małego Sambo, zanim weźmiemy go na mambo? Mówcie, panie i panowie, kto chce małego...?

I znowu ten gwizd.

– Kto chce Sambo, tańczącego, podrygującego? Pośpieszcie się, panie i panowie. Na małego Sambo, dawcę radości, nie ma koncesji. Nie można opodatkować radości, a więc mówcie, panie i panowie...

Nasze oczy spotkały się na sekundę i obdarzył mnie pogardliwym uśmiechem, po czym dalej zachwalał swój towar. Poczujęm się zdradzony. Spojrzałem na lalkę i poczułem ucisk w gardle. Za flegmą wezbrała wściekłość, kiedy zakołysałem się na piętach i pochyliłem do przodu. Potem nastąpił błysk bieli i coś zabębniło, jakby krople ulewnego deszczu spadły na gazetę, i zobaczyłem, jak lalka przewraca się do tyłu, zmieniona w wilgotną od śliny, zmiętą kulę bibułki, z nienawistną głową zadartą na wyciągniętej szyi, nadal uśmiechającą się ku niebu. Tłum zwrócił się ku mnie z oburzeniem. Znowu rozległ się gwizd. Zobaczyłem, że niski mężczyzna z wydętym brzuchem spogląda najpierw w dół, potem na mnie ze zdziwieniem, i wybucha śmiechem, wskazując to na mnie, to na lalkę. Ludzie odsunęli się ode mnie. Zobaczyłem, że Clifton podchodzi do budynku, gdzie obok tego chłopca z kartonem dojrzałem teraz cały rząd lalek ustawionych jak tancerki rewiiowe, miotających się w perwersyjnym przypiływie energii, i rechoczący histerycznie tłum.

– Ty, ty! – zacząłem, ale on podniósł tylko dwie lalki i zrobił krok do przodu. Teraz jednak podszedł bliżej jego stojący na czatach towarzysz.

– Nadchodzi – rzucił, wskazując głową zbliżającego się policjanta, po czym zebrał lalki, wrzucając je do kartonu, i ruszył stamtąd.

– Panie i panowie, chodźcie z małym Sambo za róg – zawołał Clifton. – Odbędzie się wielki pokaz...

Wszystko odbyło się tak szybko, że po sekundzie zostałem tam tylko ja i starsza pani w sukience w niebieskie kropki. Spojrzała na mnie, a potem z powrotem na chodnik, i uśmiechnęła się. Zobaczyłem jedną z lalek. Kobieta nadal się uśmiechała, a ja podniosłem nogę, by rozdeptać lalę, i usłyszałem jej krzyk:

– Och, nie!

Policjant był dokładnie naprzeciwko mnie, więc zamiast zmiażdżyć lalkę, schyliłem się, podniosłem ją płynnym ruchem i odszedłem. Przyjrzałem się jej dokładnie, dziwnie nieważkiej w mojej dłoni, na poły spodziewając się, że wyczuję, jak pulsuje życiem. Był to nieruchomy, pomarszczony papier. Włożyłem lalkę do kieszeni, gdzie nosiłem ogniwo z łańcucha Tarpa, i ruszyłem za rozpierzchnym tłumem. Ale nie mogłem ponownie stanąć twarzą w twarz z Cliftonem. Nie chciałem go widzieć. Mógłbym się zapomnieć i go zaatakować. Poszedłem w przeciwnym kierunku, ku Szóstej Alei, mijając policjanta. Ze też tak właśnie go znalazłem, pomyślałem. Co się stało Cliftonowi? To wszystko było tak niewłaściwe, tak niespodziewane. Jak, u licha, mógł się w tak krótkim czasie stoczyć tak

nisko, przejść od członkostwa w Bractwie do czegoś takiego? A jeśli już musiał upaść, to dlaczego próbował pociągnąć za sobą całą strukturę? Co powiedzą nie-członkowie, którzy go znają? Wyglądało to tak, jakby postanowił – jak on to ujął tamtego wieczoru, kiedy bił się z Rasem? – wypaść z historii. Z tą myślą zatrzymałem się na środku chodnika. Powiedział: „Wyskoczyć”. Ale przecież wiedział, że tylko w Bractwie możemy stać się znani, możemy uniknąć stania się nic nie znaczącymi lalkami Sambo. Takie obsceniczne małpowanie wszystkiego, co ludzkie! Mój Boże! A ja martwiłem się, że nie dano mi wziąć udziału w zebraniu! Zbagatelizuję to tysiąc razy, bez względu na to, dlaczego mnie nie wezwano. Zapomnę o tym i będę kurczowo, ze wszystkich sił, trzymał się Bractwa. Bo zerwanie z Bractwem byłoby upadkiem... Upadkiem! A te lalki, gdzie oni je znaleźli? Dlaczego wybrał taki akurat sposób zarobienia ćwierci dolara? Dlaczego nie sprzedaż jabłek, nut czy pasty do butów?

Przeszedłem obok wejścia do metra i wlokłem się dalej, do rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy, a mój umysł cały czas borykał się ze znaczeniem tego wszystkiego. A kiedy skręciłem za róg i wyszedłem na zalany słońcem, zatłoczony chodnik, ludzie stawali już wzdłuż krawężnika, osłaniając dłońmi oczy przed oślepiającymi promieniami. Ujrzałem samochody poruszające się zgodnie ze światłami, a po drugiej stronie ulicy kilku przechodniów spoglądało do tyłu, na środek tego kwartału, gdzie drzewa Parku Bryanta wznosiły się nad dwoma mężczyznami. Zobaczyłem stado gołębi zrywające się z drzew i wszystko wydarzyło się, kiedy szybko zataczały krąg, raptownie i przy akompaniamencie ruchu ulicznego – wydawało się jednak rozwijać w moim umyśle jak film w zwolnionym tempie, wyświetlany bez fonii.

Najpierw pomyślałem, że to gliniarz z jakimś czyścibutem; potem nastąpiła przerwa w ruchu samochodów i za oślepijącymi odbitym słonecznym blaskiem szynami tramwajowymi rozpoznałem Cliftona. Jego partner zniknął i Clifton miał teraz to pudło przewieszzone na pasku przez lewe ramię, a gliniarz szedł wolno za nim i nieco z boku. Zmierzała w moją stronę, minęli stoisko z prasą, i widziałem szyny w asfalcie i hydrant przy krawężniku, i fruujące ptaki, i pomyślałem: Musisz iść do nich i zapłacić za niego mandat... kiedy gliniarz go popchnął, przez co Chiton poleciał do przodu, starając się powstrzymać pudło przed uderzeniem go w nogę i mówiąc coś przez ramię, i poszedł dalej, a jeden z gołębi zanurkował w stronę ulicy i ponownie wzbił się w górę, zostawiając białe pióro wirujące w oślepiającym blasku słońca, i zobaczyłem, jak gliniarz znowu popycha Cliftona, robiąc zdecydowany krok do przodu, w swojej czarnej koszuli, ze sztywno wyrzuconym ramieniem, a Clifton potyka się, leci głową naprzód, jakby miał wyrzucić ją w chodnik, odzyskuje w końcu równowagę, znowu coś mówi przez ramię, i ci dwaj maszerują w sposób, który widziałem wiele razy, ale nigdy w wykonaniu kogoś takiego jak Clifton. I widziałem, jak gliniarz wywrzaskuje jakieś polecenie i skacze do przodu, wyrzucając rękę i chybiając, wytrącony nagle z równowagi; i nagle Clifton okręcił się szybko na palcach jak tancerz i machnął prawą ręką po krótkim łuku, a za nią przesunął do przodu i w lewo swój tułów, ruchem, który zerwał pasek pudła z jego ramienia; jednocześnie jego prawa noga powędrowała do przodu, a za nią lewa ręka wykonała płynnie hak, po którym czapka gliniarza poleciała nad ulicą, jego stopy pofrunęły w górę, a on padł ciężko, przechylając się z prawej w lewo, na chodnik, kiedy Clifton odrzucił kopnięciem na bok pudło i przycałił się z lewą nogą wysuniętą do przodu i wysoko uniesionymi rękami. I pomiędzy przemykającymi samochodami widziałem gliniarza opierającego się na łokciach jak pijak, starającego się podnieść głowę, potrząsającego nią i wypychającego ją do przodu... I gdzieś między głuchym rykiem samochodów a dobiegającym spod ziemi dudnieniem kolejki usłyszałem serię szybkich wystrzałów i zobaczyłem, że wszystkie gołębie gwałtownie nurkują, jakby uderzone tym dźwiękiem, a gliniarz siada prosto i podnosi się na kolana, patrząc bacznie na Cliftona, a gołębie opadają szybko na drzewa, a Clifton nadal stoi naprzeciw gliniarza i nagle pada.

Osunął się na kolana, jak człowiek odmawiający pacierz, akurat w chwili gdy zza stoiska z prasą wyszedł potężnie zbudowany mężczyzna w kapeluszu z opuszczonym rondem i wydał okrzyk protestu. Nie mogłem się ruszyć. Cał nad moją głową zdawało się wrzeszczeć słońce. Ktoś krzyknął. Kilku mężczyzn wybiegało na ulicę. Gliniarz stał teraz i patrzył na Cliftona, jakby był zaskoczony, z pistoletem w rękę. Zrobiłem kilka kroków do przodu, idąc teraz na oślep, nie myśląc, chociaż mój umysł wszystko to żywo rejestrował. Przeciąłem ulicę, uniosłem nogę nad krawężnik i ujrzałem teraz Cliftona z bliska, leżącego w tej samej pozycji, na boku, z rozległą wilgotną plamą na koszuli, i nie mogłem opuścić stopy. Tuż za mną przepływały samochody, ale nie mogłem zrobić kroku, który wzniosłby mnie na chodnik. Stałem tam, z jedną nogą na jezdni, z drugą uniesioną nad krawężnikiem, słysząc piskliwe gwizdki, i spojrzałem w stronę biblioteki, i zobaczyłem dwóch gliniarzy zbliżających się gwałtownym, wielkobrzusznym biegiem. Spojrzałem z powrotem na Cliftona, ten glina odpędzał mnie machnięciami pistoletu, jego głos brzmiał jak głos chłopca przechodzącego mutację.

– Wracaj na drugą stronę – rzucił. To był ten gliniarz, którego przed paroma minutami minąłem na Czterdziestej Trzeciej. Miałem wyschnięte usta.

– To mój przyjaciel. Chcę pomóc... – powiedziałem, wchodząc w końcu na krawężnik.

– On nie potrzebuje pomocy, młody. Zjeżdżaj na tamtą stronę!

Włosy gliniarza zwisały po obu stronach twarzy, jego mundur był brudny i przyglądałem mu się bez emocji, zawahałem się, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Wydawało mi się, że wszystko uległo spowolnieniu. Na chodniku z wolna tworzyła się kałuża. Wzrok mi się mącił. Podniosłem głowę. Gliniarz patrzył na mnie z zaciekawieniem. Nad nami słyszałem gwałtowny łopot skrzydeł; na karku czyjs wzrok. Odwróciłem się. Nad płotem parku pochylał się okrągłogłowy, rumiany chłopiec z gęsto usianym piegami nosem i słowiańskimi oczami i kiedy zobaczył, że się odwróciłem, zapiszczał coś przeraźliwie do kogoś za nim, a jego twarz rozświetliła radość... Co to znaczy, zastanawiałem się, odwracając się w stronę tego, w stronę czego nie chciałem się odwrócić.

Było tam teraz trzech gliniarzy, jeden obserwował tłum, a pozostali oglądali Cliftona. Pierwszy znowu miał czapkę na głowie.

– Słuchaj, młody – powiedział bardzo wyraźnie. – Dzisiaj miałem już dosyć kłopotów – przejdiesz na tę drugą stronę?

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jeden z gliniarzy na klęczkach badał Cliftona i zapisywał uwagi w notesie.

– Jestem jego przyjacielem – oznajmiłem i ten, który robił notatki, podniósł wzrok.

– On jest sztywny, koleś – powiedział. – Nie masz już przyjaciela.

Spojrzałem na niego.

– Hej, Mickey – krzyknął ten chłopiec nad nami – ten facet jest zimny, odjechał!

Spojrzałem w dół.

– Zgadza się – powiedział klęczący gliniarz. – Jak się nazywasz?

Powiedziałem mu. Odpowiadałem na jego pytania dotyczące Cliftona najlepiej jak potrafiłem, dopóki nie przyjechała karetka. Chociaż raz przyjechała szybko. Patrzyłem w odrętwieniu, jak wnieśli go do środka, wkładając razem z nim pudło z lalkami. Po drugiej stronie ulicy nadal kłębił się tłum. Potem karetka odjechała, a ja ruszyłem z powrotem do metra.

– Hej, proszę pana – dobiegł z góry piskliwy głos chłopca. – Pana przyjaciel wie, jak się bić. Buch, bach! Raz dwa i gliniarz siedzi na dupie!

Pochyliłem głowę przed tymi ostatnimi wyrazami uznania i odchodząc w słońcu, starałem się wymazać tę scenę z umysłu.

Zszedłem po schodach do metra, nic nie widząc, pogrążony w myślach. W metrze było chłodno; oparłem się o filar, słysząc huk pociągów przejeżdżających z drugiej strony, czując pęd powietrza. Dlaczego człowiek miałby świadomie wyskoczyć z historii i sprzedawać sprośności, myślałem z roztargnieniem. Dlaczego miałby postanowić się rozbroić, zrezygnować ze swojego głosu i porzucić jedyną organizację dającą mu szansę „określenia się”? Peron zadrżał i spojrzałem w dół. W prądzie powietrza zawirowały strzępy papieru i szybko opadły) gdy pociąg przejechał. Dlaczego on się odwrócił? Dlaczego postanowił zejść z peronu i wpaść pod pociąg? Dlaczego postanowił pogrążyć się w nicości, w pustce anonimowych twarzy, bezdźwięcznych głosów, poza historią? Próbowałem spojrzeć na to z dystansu słów wyczytanych w książkach, na pół zapomnianych. Bo historia zapisuje życie ludzi według pewnego schematu: kto z kim spał i co z tego wyszło; kto walczył, kto wygrał i kto przeżył, by później o tym kłamać. Wszystkie sprawy, powiadają, zapisane są jak należy – to jest wszystkie ważne sprawy. Ale niezupełnie, bo w rzeczywistości zapisuje się tylko to, co jest znane, widziane, słyszane, i tylko te wydarzenia, które kronikarz uzna za ważne, te kłamstwa, dzięki którym ci, co go utrzymują, utrzymują władzę. Ale historykiem Cliftona, jego sędzią, jego świadkiem i jego katem będzie ten gliniarz, a ja byłem jedynym bratem w przyglądającym się temu tłumie. A ja, jedyny świadek obrony, nie znałem ani rozmiaru jego winy, ani natury jego zbrodni. Gdzie są dzisiaj historycy? I jak to zapiszą?

Stałem tam, a pociągi zanurzały się i wynurzały, rzucając niebieskie iskry. Co oni myśleli o nas, ludziach przemijających? O takich jak ja, zanim znalazłem się w Bractwie, przelotnych ptakach, którzy byliśmy zbyt nieznani, by doczekać się klasyfikacji naukowej, zbyt cisi, by nasze głosy wykryły najczulsze urządzenia rejestrujące dźwięki, zbyt wieloznaczeni, by można nas opisać za pomocą najbardziej wieloznacznych słów, i zbyt odlegli od ośrodków historycznych decyzji, by podpisywać dokumenty historyczne czy choćby przyklaskiwać tym, którzy je podpisywali? My, którzy nie pisaliśmy powieści, dzieł historycznych ani żadnych innych książek. Co z nami, myślałem, widząc znowu w wyobraźni Cliftona i siadając na ławce, kiedy tunelem przemknął zimny powiew powietrza.

Na peron weszła gromada ludzi, niektórzy z nich byli Murzynami. Tak, pomyślałem, co z tymi z nas, którzy wystrzelili z Południa do ruchliwych wielkich miast jak diabełki z pudełka zerwane ze swoich sprężyn – tak nagle, że nasz chód stał się podobny do chodu nurków pracujących na dużych głębokościach i cierpiących na chorobę kesonową? Co z tymi facetami, czekającymi nieruchomo i w milczeniu na peronie, tak nieruchomo i cicho, że ścierają się z tłumem przez swój bezruch, stojącymi hałaśliwie przez samo swoje milczenie, ostrymi jak krzyk przerażenia przez swoją ciszę? Co z tymi trzema młodzieńcami, wchodzącymi teraz na peron, wysokimi i szczupłymi, idącymi sztywno, z rozkołysanymi ramionami, w swoich porządnie wyprasowanych, za ciepłych na lato garniturach, w zbyt wysokich i zbyt ciasno otaczających szyje kołnierzykach, identycznych kapeluszach z czarnego, taniego filcu, osadzonych na wierzchu głowy z surową formalnością nad ich twardymi, zbitymi włosami? Odniosłem wrażenie, jakbym nigdy wcześniej nie widział takich jak oni, idących wolnym krokiem, kołyszących ramionami, wymachujących nogami od bioder w spodniach, które rozszerzały się powyżej mankietów dopasowanych do kostek, w długich i wąskich w biodrach marynarkach, za szerokich w ramionach, by nosili je mężczyźni urodzeni na Zachodzie. Tych facetów, których ciała wydawały się... Jak to powiedział o mnie jeden z moich nauczycieli? „Jesteś jak jedna z tych afrykańskich rzeźb, zniekształconych ze względu na projekt”. Jaki i czyj projekt?

Patrzyłem, jak poruszają się niczym tancerze podczas jakiejś ceremonii pogrzebowej, kołysząc się, idąc naprzód, z tajemniczymi czarnymi twarzami, krocząc wolno peronem metra, a ciężkie buty o podkutych obcasach stukają rytmicznie podczas marszu. Wszyscy musieli ich widzieć albo słyszeć ich stłumiony śmiech, albo czuć ciężki zapach brylantyny na ich włosach – a może w ogóle ich nie zauważali, bo byli mężczyznami poza czasem

historycznym, byli nietknięci, nie wierzyli w Bractwo, bez wątpienia nigdy o nim nie słyszeli, a może, jak Clifton, w tajemniczy sposób odrzucili jego tajemnice, przelotni ludzie o nieruchomych twarzach.

Wstałem i poszedłem za nimi. Wzdłuż peronu stały wracające z zakupów kobiety z tobołkami i paczkami i niecierpliwi mężczyźni w słomkowych kapeluszach i lnianych garniturach. I nagle pomyślałem: Czy oni przyjeżdżają, by pochować innych czy zostać pogrzebanymi, dać życie czy je otrzymać? Czy inni ich widzą, myślą o nich, nawet ci stojący na tyle blisko, by przemówić do nich? A gdyby oni odpowiedzieli, to czy ci niecierpliwi biznesmeni w konwencjonalnych garniturach i zmęczone gospodynie domowe ze swoimi łupami zrozumieliby to? Co by powiedzieli? Bo ci chłopcy mówią żargonem, przelotnym językiem pełnym wiejskiego uroku, snują przelotne myśli, chociaż być może śnią te same stare, starożytne sny. Byli ludźmi poza czasem – jeśli nie znaleźli się w Bractwie. Ludźmi poza czasem, którzy wkrótce odejdą i zostaną zapomniani... Ale kto wiedział (i teraz zacząłem tak gwałtownie drżeć, że musiałem się oprzeć o pojemnik na śmieci) – kto wiedział, czy nie są zbawcami, prawdziwymi przywódcami, nosicielami czegoś cennego? Zarządcami czegoś niewygodnego, przytłaczającego, czego nienawidzili, bo skoro żyli poza sferą historii, nikt nie byłby w stanie podziwiać ich wartości, a oni sami nie potrafili jej docenić i zrozumieć, na czym polega. A jeśli brat Jack się mylił? Jeśli historia nie była jakąś siłą z laboratoryjnego eksperymentu, lecz hazardystą, a ci chłopcy jego asem w rękawie? A jeśli historia nie była rozsądnym obywatelem, lecz szcwanym jak lis szaleńcem, a ci chłopcy jego agentami, jego wielką niespodzianką! Jego zemstą? Albowiem istnieli poza nią, w ciemnościach, razem z Sambo, tańczącą papierową lalką; zabierali ją na mambo z moim upadłym bratem, Todem Cliftonem (Tod, Tod), uciekali i robili uniki przed siłami historii, zamiast im się przeciwstawić.

Przyjechał pociąg. Wszedłem za nimi. Było wiele miejsc, a ci trzej usiedli razem. Stałem, trzymając się środkowego słupka i patrząc na wnętrze wagonu. Po jednej stronie zobaczyłem białą zakonnice w czerni odmawiającą różaniec, a po przeciwnej stronie, przy drzwiach, stała druga, odziana całkowicie na biało, dokładny duplikat pierwszej, z tą tylko różnicą, że była czarna i miała gołe stopy. Żadna z nich nie patrzyła na drugą, lecz jedynie na swój krzyż, i nagle parsknąłem śmiechem, bo sparafrazował mi się w głowie wierszyk, który dawno temu usłyszałem w Golden Day;

*Chleb i wino,
Chleb i wino,
Krzyż twój
Nie jest tak ciężki jak mój...*

A zakonnice jechały dalej ze spuszczoneymi głowami.

Spojrzałem na chłopców. Siedzieli tak samo nienaturalnie, jak chodzili. Od czasu do czasu jeden z nich spoglądał na swoje odbicie w oknie i poprawiał rondo kapelusza, a pozostali przyglądali mu się w milczeniu, wymieniali porozumiewawcze, ironiczne spojrzenia, a potem patrzyli prosto przed siebie. Chwiałem się, kiedy pociąg się kołysał, i czułem gorące powietrze buchające z wentylatorów w suficie. Kim jestem dla tych chłopców, zastanawiałem się. Być może przez przypadek kimś takim jak Douglass. Może mniej więcej co sto lat pojawiają się w społeczeństwie ludzie tacy jak oni, jak ja, żyją z dnia na dzień, płyną z prądem, a przecież zgodnie z całą logiką historii my, ja, powinniśmy byli zniknąć około pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, przestać istnieć w zrjonalizowanym społeczeństwie. Być może, tak jak oni, byłem reliktem, małym, odległym meteorytem, który zgasł wieleset lat temu, a teraz istniał tylko dzięki światłu, które pędzi przez przestrzeń zbyt szybko, by zdać sobie sprawę, że jego źródło stało się bryłą ołowiu... To było głupie, takie

myśli. Spojrzałem na chłopców; jeden klepnął drugiego w kolano i zobaczyłem, jak wyjmując z wewnętrznej kieszeni trzy zwinięte czasopisma, daje dwa towarzyszom, a jedno zatrzymuje dla siebie. Pozostali wzięli je w milczeniu i zaczęli czytać, całkowicie zaabsorbowani. Jeden trzymał swoje czasopismo wysoko przed twarzą i przez chwilę widziałem jak żywą tę scenę: lśniące szyny, hydrant, przewrócony policjant, nurkujące ptaki, a w środku Clifton, który pada. Potem zobaczyłem okładkę komiksu i pomyślałem: Clifton znałby ich lepiej niż ja. Znał ich cały czas. Przyglądałem się im uważnie, dopóki nie wyszli z pociągu, kołysząc ramionami, wystukując ciężkimi obcasami odległe, tajemnicze przesłania w krótkiej ciszy postoj pociągu.

Wyszedłem z metra słaby, poruszając się w upale, jakbym dźwigał na barkach ciężki głaz, ważący tyle co góra. Nowe buty raniły mi stopy. Teraz, przebijając się przez ciżbę ludzką na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, zdawałem sobie boleśnie sprawę z obecności innych mężczyzn ubranych jak ci chłopcy, i dziewcząt w ciemnych, utrzymanych w egzotycznych kolorach pończochach i kostiumach, które były surrealistycznymi odmianami stylów zamożnych klas ze śródmieścia. Byli tam cały czas, ale jakoś ich dotąd nie zauważałem. Nie zauważałem ich nawet wtedy, kiedy odnosiłem największe sukcesy w mojej pracy. Znajdowali się poza rytmem historii, a moim zadaniem było włączenie ich weń, włączenie ich wszystkich. Patrzyłem na rysy ich twarzy; trudno byłoby znaleźć takie, które byłyby niepodobne do rysów kogoś, kogo znałem na Południu. W głowie rozbrzmiewały mi zapomniane nazwiska, pojawiające się jak zapomniane sceny w snach. Poruszałem się z tłumem, lał się ze mnie pot, słuchałem miażdżącego ryku pojazdów, narastającego dźwięku megafonu ze sklepu z płytami, z którego dobywał się grzmiący, powolny blues. Przystanąłem. Czy to wszystko, co zostanie zapisane? Czy to była jedyna prawdziwa historia tych czasów, nastrój wygrywany przez grzmiące trąbki, puzony, saksofony i bębny, piosenka z górnolotnymi, nieodpowiednimi słowami? Myśli kłębiły mi się w głowie. Czułem się tak, jakbym na tej krótkiej ulicy musiał przejść obok wszystkich, których kiedykolwiek znałem, i nikt nie uśmiechnął się do mnie ani nie zawołał po imieniu. Nikt nie zatrzymał na mnie wzroku. Szedłem w gorączkowym osamotnieniu. Koło rogu Piątej i Dziesiątej wyskoczyło na chodnik paru chłopców z pełnymi garściami batoników, gubiąc je po drodze, kiedy biegli tuż przed jakimś mężczyzną. Zbliżyli się i minęli mnie pędem, a ja stłumiłem impuls podcięcia nóg temu mężczyźnie i zmieszałem się jeszcze bardziej, kiedy stojąca dalej staruszka wystawiła nogę i machnęła ciężką torbą. Mężczyzna przewrócił się i potoczył po chodniku, a ona z tryumfem potrząsnęła głową. Ogarnęło mnie poczucie winy. Stałem na brzegu chodnika, przyglądając się tłumowi gotowemu rzucić się na tego mężczyznę, dopóki nie pojawił się policjant i nie rozproszył ich. I chociaż wiedziałem, że nikt nie mógł na to nic poradzić, czułem się odpowiedzialny. Cała nasza praca na niewiele się zdała, nie dokonaliśmy żadnej większej zmiany. A to wszystko było moją winą. Byłem tak zafascynowany ruchem, że zapomniałem sprawdzić, jakie przynosi rezultaty. Spałem. Śniłem.

Rozdział 21

Kiedy wróciłem do biura rejonu, grupka młodych członków przerwała na moment żarty, aby mnie powitać, ale nie potrafiłem podzielić się z nimi wiadomością o tym, co się stało. Przeszedłem do mojego gabinetu, kiwnąwszy im tylko głową, zamknąłem drzwi za ich głosami i usiadłem, gapiąc się przez okno na drzewa. Ich świeża niegdyś zieleń była teraz ciemna i wyschnięta, a gdzieś w dole potrząsnął swoim dzwonkiem i wydał okrzyk wędrowny sprzedawca sznurów do bielizny. Później, chociaż odpychałem ją od siebie, wróciła ta scena – nie śmierci, ale pokazu lalek. Dlaczego straciłem głowę i splunąłem na lalkę, zastanawiałem się. Co poczuł Clifton, kiedy mnie zobaczył? Musiał czuć do mnie odrazę, kiedy tak zachwalał swój towar, a mimo to mnie zignorował. Tak, i musiała go mile ubawić moja polityczna głupota. Poniosło mnie i dałem wyraz mojemu osobistemu oburzeniu, zamiast potępić znaczenie lalek, jego, ten obsceniczny pomysł, i skorzystać z okazji pouczenia tłumu. Nie traciliśmy żadnej okazji pouczenia, a ja zawiodłem. Zyskałem tylko tyle, że śmiali się jeszcze głośniej... Poparłem i utwierdziłem zacofanie społeczne... Scena zmieniła się – leżał w słońcu i tym razem zobaczyłem smugę dymu zostawianą przez samolot kreślący litery na niebie, a koło mnie stała potężna kobieta w zielonej sukience i mówiła: – Och, och!

Odwrociłem się, spojrzałem na mapę, wyjąłem z kieszeni lalkę i rzuciłem ją na biurko. Żołądek podszedł mi do gardła. Umrzeć za coś takiego! Podniosłem z obrzydzeniem lalkę i spojrzałem na pomarszczony papier. Złączone razem tekturowe stopy zwisały w dół, rozciągając papierowe nogi w elastyczne fałdy – konstrukcja z bibułki, tektury i kleju. A jednak czułem do tego nienawiść jak do żywej istoty. Co sprawiało, że zdawała się tańczyć? Jej tekturowe ręce były na końcach złożone w pięści, o palcach zarysowanych pomarańczową farbą, i zauważyłem, że ma dwie twarze, po obu stronach tekturowego krążka, obie szeroko uśmiechnięte. Dobiegł do mnie głos Cliftona, recytującego, co trzeba zrobić, by tańczyła, i przytrzymałem ją za stopy i rozciągnąłem jej szyję, a ona przechyliła się i upadła. Spróbowałem ponownie, obróciwszy ją ku sobie drugą twarzą. Wykonała zmęczony podskok, zakręciła się i zwała jak kłoda.

– No dalej, zabaw mnie – powiedziałem, rozciągając ją. – Zabawiałaś przecież tłum. – Odwróciłem ją. Druga twarz szczyrzyła się tak samo szeroko jak pierwsza. Uśmiechała się z tyłu do Cliftona, kiedy z przodu uśmiechała się do tłumu, a uciecha tłumu stała się jego śmiercią. Uśmiechała się nadal, kiedy zrobiłem z siebie durnia i splunąłem na nią, i wciąż się uśmiechała, kiedy Clifton mnie zignorował. Potem dostrzegłem cienką czarną nitkę i wyciągnąłem ją z pomarszczonego papieru. Na jej końcu była pętka. Założyłem ją na palec i wstałem, aby nitka się napięła. I tym razem lalka zatańczyła. Clifton cały czas wprawiał ją w taniec, a ta czarna nitka była niewidoczna.

Dlaczego go nie uderzyłeś? zadałem sobie pytanie; nie spróbowałaś złamać mu szczęki? Dlaczego go nie zraniłeś i nie uratowałaś? Mogłeś wszcząć bójkę i zostalibyście obaj aresztowani bez żadnej strzelaniny... Ale dlaczego w ogóle stawiał on opór temu gliniarzowi? Był już wcześniej aresztowany, wiedział, na ile może sobie pozwolić z gliną. Co powiedział ten gliniarz, że tak rozzłościło to Cliftona, iż stracił głowę? I nagle zaświtało mi, że mógł być wściekły, z a n i m jeszcze zaczął się opierać, zanim w ogóle zobaczył tego gliniarza. Zrobiło mi się duszno; poczułem, że słabnę. A jeśli on był przekonany, że to ja się sprzedałem? Była to denerwująca myśl. Siedziałem, obejmując się ramionami, jakbym miał się zaraz rozpaść. Przez chwilę rozważałem tę możliwość, ale była zbyt straszna. Mogłem przyjąć odpowiedzialność tylko za żywych, nigdy za umarłych. Mój umysł odwracał się od tej

ewentualności. To był polityczny incydent. Spojrzałem na lalkę, myśląc: Politycznym odpowiednikiem takiej rozrywki jest śmierć. Ale to zbyt szeroka definicja. Jakie jest jej znaczenie ekonomiczne? Ze życie człowieka warte jest tyle co papierowa lalka za ćwierć dolara... Ale to nie stłumiło myśli, że to moja złość pomogła mu pospieszyć na spotkanie śmierci. Mimo to mój umysł buntował się przeciw temu. Bo co ja miałem wspólnego z kryzysem, który doprowadził go do załamania i utraty wiary? A przede wszystkim co wspólnego miałem z tym, że sprzedawał te lalki? I w końcu musiałem dać sobie spokój i z tymi pytaniami. Nie byłem detektywem, a z punktu widzenia polityki jednostki nie mają żadnego znaczenia. Strzelanina była wszystkim, co z niego zostało, Clifton dokonał wyboru i postanowił wyskoczyć z historii i, oprócz obrazu, który pozostawiło to w mojej pamięci, zapisany został tylko ten skok, i tylko to było ważne.

Siedziałem sztywno, jakbym czekał, że znowu usłyszę te wystrzały, zmagając się z ciężarem, który zdawał się mnie przytłaczać. Słyszałem dzwonek sprzedawcy sznurów do bielizny... Co powiem komitetowi, kiedy ukażą się w gazetach relacje o tym wydarzeniu? Do diabła z komitetem. Jak wyjaśnię te lalki? Ale dlaczego miałbym im cokolwiek mówić? Co możemy zrobić, żeby się nie dać? To było moim zmartwieniem. Na podwórku znowu zadźwięczał dzwonek. Spojrzałem na lalkę. Nie przychodziły mi do głowy żadne powody, z których Clifton zajął się sprzedawaniem akurat tych lalek, ale było dosyć powodów, żeby wyprawić mu publiczny pogrzeb, ucpełem się więc teraz tego pomysłu, jakby od niego zależało moje życie. Mimo że chciałem się od niego odwrócić, jak wcześniej chciałem się odwrócić od bezwładnego ciała Cliftona na chodniku. Ale mieliśmy zbyt małe szanse, bym mógł sobie pozwolić na taką słabość. Musieliśmy użyć przeciw nim każdej politycznie skutecznej broni; Clifton to rozumiał. Trzeba go było pochować, a nie słyszałem, by miał jakichś krewnych; ktoś musiał dopilnować, by umieszczono go w ziemi. Owszem, te lalki były sprostne, a jego postępek należało uważać za zdradę, ale on był tylko sprzedawcą, nie ich wynalazcą, i trzeba było zrobić wszystko, by ludzie się dowiedzieli, że jego śmierć miała większe znaczenie niż incydent czy przedmiot, który ją spowodował. Zarówno jako sposób pomszczenia go, jaki zapobieżenia innym takim śmierciom, i... tak, i przyciągnięcia z powrotem w nasze szeregi utraconych członków. Będzie to bezwzględne, ale taka bezwzględność w interesie Bractwa, bo ogromnej potędze przeciwnej strony mogliśmy przeciwstawić tylko nasze umysły i ciała. Musieliśmy maksymalnie wykorzystać to, co mieliśmy. Bo oni mieli siłę, by wykorzystać papierową lalkę, najpierw do tego, żeby zniszczyć jego integralność, a potem jako pretekst do zabicia go. W porządku, wobec tego my wykorzystamy jego pogrzeb dla przywrócenia mu z powrotem tej integralności... Bo była ona wszystkim, co miał czy czego pragnął. I teraz widziałem lalkę jak przez mgłę, a na chłonny papier, z którego była zrobiona, opadły głucho krople wilgoci...

Siedziałem pochylony, gapiąc się w przestrzeń, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i podskoczyłem jak na huk wystrzału, chowając lalkę do kieszeni i pospieszenie wycierając oczy.

– Proszę – powiedziałem.

Drzwi otworzyły się powoli. Weszła ciasno zbита grupka młodych członków, w ich twarzach widać było pytanie. Dziewczęta płakały.

– To prawda? – odezwali się.

– Ze on nie żyje? Tak – odparłem, patrząc w przestrzeń między nimi. – Tak.

– Ale dlaczego...?

– To była prowokacja i morderstwo! – powiedziałem, a moje emocje zaczęły się zmieniać w złość.

Stali z pytającymi minami.

– On nie żyje – powiedziała jakaś dziewczyna głosem bez przekonania. – Nie żyje.

– Ale o co im chodzi z tym sprzedawaniem lalek? – zapytał wysoki chłopak.

– Nie wiem – powiedziałem. – Wiem tylko, że został zastrzelony. Choć był nieuzbrojony. Wiem, jak się czujecie, widziałem, jak upadł.

– Zabierzcie mnie do domu! – zawyła jedna z dziewczyn. – Zabierzcie mnie do domu!

Wyszedłem zza biurka, złapałem ją, małą brązowską istotkę w skarpetkach do kostek, i przycisnąłem do siebie.

– Nie możemy iść do domu – oznajmiłem – nikt z nas. Musimy walczyć. Chciałbym wyjść na powietrze i zapomnieć o tym, gdybym mógł. Nie trzeba nam łez, lecz gniewu. Musimy teraz pamiętać, że jesteśmy bojownikami, a w takich wypadkach musimy widzieć sens naszej walki. Musimy odpowiedzieć ciosem. Każde z was ma zgromadzić tylu członków, ilu się da. Musimy przygotować odpowiedź.

Jedna z dziewcząt wciąż płakała żałośnie, kiedy wychodzili, ale poruszali się szybko.

– Chodź, Shirley – powiedzieli, odciągając dziewczynę od mojego ramienia.

Próbowałem skontaktować się z centralą, ale znowu nie udało mi się nikogo złapać. Zadzwoiłem do Chtonicznego, ale nikt nie odbierał telefonu. Zwołałem więc komitet czołowych członków rejonu i sami zabraliśmy się powoli do dzieła. Próbowałem znaleźć chłopaka, który był z Cliftonem, ale zniknął. Wysłano na ulice członków z puszkami, by zebrali fundusze na pogrzeb. Komitet złożony z trzech starych kobiet poszedł do kostnicy, aby zażądać wydania zwłok. Rozprowadziliśmy czarno obrzeżone ulotki, oskarżające komisarza policji. Powiadomiono kaznodziejów, by poprosili członków swoich kongregacji o wysyłanie do burmistrza listów protestacyjnych. Historia zastrzelenia Cliftona szybko się rozchodziła. Posłano jego zdjęcie do murzyńskich gazet, które je zamieściły. Ludzie byli poruszeni i rozgniewani. Organizowano mityngi uliczne. A ja, pozbywszy się (dzięki działaniu) niezdecydowania, poświęciłem się całkowicie organizacji pogrzebu, chociaż poruszałem się w swego rodzaju odrętwiałym zawieszaniu. Przez dwa dni i dwie noce nie kładłem się w ogóle do łóżka, tylko ucinałem sobie krótkie drzemki przy biurku. Jadłem bardzo mało.

Pogrzeb został tak przygotowany, by przyciągnąć jak największą liczbę osób. Zamiast wyprawiać go w kościele czy kaplicy, wybraliśmy Mount Morris Park i zaapelowaliśmy do wszystkich byłych członków, by przyłączyli się do konduktu.

Odbył się w sobotę, w popołudniowym upale. Niebo zaścieniała cienka warstwa chmur i przybyły setki ludzi. Krążyłem wokół nich, wydając polecenia i rzucając słowa zachęty w gorączkowym oszołomieniu, a mimo to zdawało mi się, że obserwuję to wszystko z boku. Pojawili się bracia i siostry, których nie widziałem od dnia powrotu. I członkowie ze śródmieścia oraz oddalonych rejonów. Przyglądałem się im ze zdziwieniem, kiedy się zbierali, i zastanawiałem nad głębią ich żalu i smutku, kiedy zaczęły się formować szyki.

Były do połowy opuszczone flagi i czarne chorągwie. Były obrzeżone czernią transparenty z napisem:

BRAT TOD CLIFTON NASZA ZASTRZELONA NADZIEJA

Był wynajęty zespół perkusistów z udrapowanymi krepą bębnami. Była orkiestra trzydziestu muzyków. Nie było żadnych samochodów i bardzo mało kwiatów.

Kondukt posuwał się wolno, a orkiestra grała smutne, romantyczne marsze wojskowe. Kiedy milkła, zespół perkusistów wybijał na bębnach stłumiony rytm. Atmosfera była gorąca i napięta, więc dostawcy unikali tego rejonu i wzmocniono pododdziały policji. W górze i w dole ulic ludzie wyglądali ze swych mieszkań przez okna, a na dachach w przysłoniętym cienką woalką słońcu stali chłopcy. Szedłem na czele ze starymi przywódcami społeczności. Kondukt posuwał się powoli i kiedy oglądałem się od czasu do czasu do tyłu, widziałem

młodych modnisiów w marynarkach z wywatowanymi ramionami, mężczyzn w kombinezonach i bilardzistów dołączających do orszaku pogrzebowego. Z zakładów fryzjerskich wychodzili mężczyźni z namydlonymi twarzami, ze zwisającymi z szyi serwetami, i komentowali widok przyciszonymi głosami. I zastanawiałem się: Czy oni wszyscy są znajomymi Cliftona, czy przyszli tylko na spektakl, dla muzyki o wolnym tempie? Z tyłu powiał gorący wiatr, przynosząc obrzydliwy, słodka wy odór, podobny do zapachu mającej cieczkę suki.

Obejrzałem się. Słońce świeciło na morze nie odkrytych głów, a ponad flagami, chorągwiemi i lśniącymi rogami dostrzegłem tanią szarą trumnę, poruszającą się wysoko na ramionach najwyższych towarzyszy Cliftona, którzy co pewien czas przekazywali ją płynnie innym. Nieśli go wysoko i nieśli go dumnie, a w ich oczach widniał gniew i smutek. Trumna płynęła jak ciężko załadowany statek w kanale, posuwający się zakosami nad pochylonymi i zanurzonymi głowami. Słyszałem stałe dudnienie bębnow i stłumione werble, a wszystkie inne dźwięki zastygły w milczeniu. Z tyłu tupot nóg, z przodu tłumy ciągnące się kwartałami wzdłuż jezdni. Były łyzy i stłumione łkanie i wiele twardo patrzących, czerwonych oczu. Posuwaliśmy się naprzód.

Przeszliśmy najpierw wijącymi się, biedniejszymi ulicami, czarnym obrzeżem smutku, a później skręciliśmy w Siódmą Aleję i poszliśmy w stronę Lenox. Potem pojechałem z przewodzącymi braćmi taksówką do parku. Jeden z braci z wydziału parków otworzył wieżę obserwacyjną, a pod czarnym żelaznym dzwonem wzniesiono proste podwyższenie z desek i kozłów z surowego drewna i kiedy kondukt zaczął wchodzić do parku, staliśmy wysoko nad ziemią. Na nasz znak ów brat uderzył w dzwon i bębenki uszne wypełniło mi stare, głuche, wstrząsające wnętrzościami Dum-Dong-Dum.

Spojrzałem w dół i ujrzałem, że wijący się tłum idzie pod górę w rytm stłumionego dźwięku bębnow. Dzieci przerwały swoje zabawy na trawnikach, by popatrzeć, a w pobliskim szpitalu wyszły na dach pielęgniarki; ich białe kostiumy błyszczały w odsłoniętym teraz słońcu jak lilie. A do parku płynęły tłumy ze wszystkich stron. Stłumione bębny, to bijące, to dudniące, rozprzestrzeniały w powietrzu martwą ciszę, modlitwę za nieznanego żołnierza. I patrząc w dół, poczułem się zagubiony. Dlaczego tutaj byli? Dlaczego do nas przyszli? Ponieważ znali Cliftona? Czy dlatego że jego śmierć dała im okazję dla wyrażenia protestu, czas i miejsce, by się zgromadzić, stać obok siebie, dotykając się, pocąc, oddychając, patrząc wspólnie w tym samym kierunku? Czy któreś z tych wyjaśnień było wystarczające samo w sobie? Czy oznaczało miłość czy upolitycznioną nienawiść? I czy polityka mogła być wyrazem miłości?

Nad parkiem rozpościerała się cisza zrodzona z wolnego, stłumionego dudnienia bębnow, chrzęstu stóp na alejkach. Potem gdzieś spośród konduktu wzniosł się w pieśni starczy, żaloszny, męski głos, początkowo drżąc i zacinając się samotnie, aż w końcu eufonium z orkiestry złapało tonację i podjęło melodię, jeden głos dogonił drugi i wzniosł się ponad niego, a ten drugi poleciał za nim, dwa czarne gołębie wzbiły się ponad białą jak czaszka stodołę, by opadać i wznosić się w nieruchomym, niebieskim powietrzu. I przez kilka taktów czysty, słodki ton eufonium i ochryply baryton starego śpiewały w duecie w gorącej, ciężkiej ciszy. *Odeszło już wiele tysięcy.* I stojąc wysoko nad parkiem, poczułem, że coś mnie ściska za gardło. Była to pieśń z przeszłości, z przeszłości w kampusie i jeszcze wcześniejszej przeszłości w domu. A teraz niektóre ze starszych osób w tłumie zaczęły się przyłączać. Przedtem nie myślałem, że może to być marsz, ale teraz maszerowali zgodnie z wolnym rytmem pieśni ku szczytowi wzgórza. Odszukałem wzrokiem muzyka grającego na eufonium i w końcu zobaczyłem szczupłego czarnego mężczyznę z twarzą zwróconą ku słońcu, śpiewającego przez uniesioną w górę czarą tuby. A kilkaset jardów za nim ujrzałem twarz maszerującego obok młodych mężczyzn niosących trumnę starego człowieka, który rozbudził tę pieśń, i poczułem ukłucie zazdrości. Była to zniszczona, stara, żółta twarz o przymkniętych

oczach i kiedy jego gardło wyrzucało tę pieśń, zobaczyłem szramę po nożu wokół zadartej w górę szyi. Śpiewał całym swoim ciałem, frazując każdy wiersz równie naturalnie, jak szedł, a jego głos wznosił się nad pozostałymi, zlewając się z głosem klarownego eufonium. Spoglądałem nań teraz wilgotnymi oczami, słońce prażyło mi głowę i czułem podziw dla tego śpiewającego tłumu. Zupełnie jakby ta pieśń była tam cały czas, a on o tym wiedział i obudził ją, i wiedziałem, że ja o tym też wiedziałem, ale nie wyzwoliłem jej z powodu nieokreślonego wstydu albo strachu. Ale on wiedział i ją obudził. Przyłączali się do śpiewu nawet biali bracia i siostry. Patrzyłem na tę twarz, starając się zgłębić jej tajemnicę, ale nic mi nie powiedziała. Patrzyłem na trumnę i na maszerujących, słuchając ich, a jednocześnie zdając sobie sprawę, że słucham czegoś w sobie, i przez chwilę słyszałem druzgoczące uderzenia mojego serca. Coś głębokiego wstrząsnęło tłumem, a dokonali tego ten stary i ten mężczyzna z eufonium. Poruszyli coś głębszego niż protest czy religia; chociaż teraz wezbrały we mnie z długo wypieraną i zapomnianą złością obrazy wszystkich spotkań kościelnych w moim życiu. Ale to była przeszłość, a dla wielu spośród tych, którzy teraz docierali na szczyt wzgórza i pokrywali je zwartym, ciągle rozszerzającym się tłumem, nigdy nie była ona wspólna z moją przeszłością, a część z nich urodziła się w innych krajach. A mimo to wszyscy byliśmy poruszeni; ta pieśń pobudziła nas wszystkich. Nie jej słowa, gdyż były to te same stare, zrodzone w niewolnictwie słowa; zdawało się, jakby ten śpiewak zmienił emocje kryjące się pod słowami, a jednocześnie nadal dźwięczała ponad nimi ta stara, transcendentna emocja, pełna rezygnacji tęsknota, pogłębiona teraz przez coś, dla czego teoria Bractwa nie dała mi żadnej nazwy. Stałem tam, starając się ją powściągnąć, kiedy wniesli trumnę z Todem Cliftonem do wieży i dźwigali ją do góry po krętych schodach. Postawili ją na podeście i spojrzałem na kształt tej taniej, szarej trumny i pamiętałem jedynie brzmienie jego nazwiska.

Pieśń się skończyła. Teraz szczyt wzgórza jeżył się chorągwiemi, rogami i wzniesionymi ku górze twarzami. Spojrzałem wzdłuż Piątej Alei aż do Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, gdzie za wachlarzem wózków z hot dogami i przekąskami stały szeregi policjantów, i między wózkami zobaczyłem sprzedawcę orzeszków ziemnych, stojącego pod latarnią uliczną, na której zebrały się gołębie, a potem ujrzałem, że rozpościera ręce, zwrócone dłońmi ku górze, i że nagle pokrywają go, głowę, barki i ramiona, trzepoczące, ucztujące ptaki.

Ktoś mnie trącił i drgnąłem. Nadeszła pora na pożegnalną mowę. Ale brakowało mi słów, nigdy nie byłem na pogrzebie członka Bractwa, nie miałem najmniejszego pojęcia o stosownym rytuale. Ale oni czekali. Stałem tam samotny; nie było mikrofonu, który by mi pomógł, jedynie ta trumna przede mną, na grzbietach krzywych murarskich kozłów.

Spojrzałem na ich omiatane promieniami słońca twarze, szukając słów i czując daremność tych poszukiwań i bezsens całego tego zgromadzenia oraz rosnącą złość. Bo zebrały się tu tysiące ludzi. Na co czekali? Co chcieli usłyszeć? Dlaczego przyszli? Z jakiego powodu bieżąca sytuacja różniła się od tej sytuacji, kiedy to ów rumianolicy chłopiec odczuł dreszczyk emocji na widok padającego na ziemię Cliftona? Czego chcieli i co mogli zrobić? Dlaczego nie przyszli, kiedy mogli powstrzymać to wszystko?

– Na co czekacie? Co mam wam powiedzieć? – krzyknąłem nagle, dziwnie rześkim głosem w tym bezwietrznym powietrzu. – Co dobrego z tego wyniknie? A jeśli powiem wam, że to nie jest pogrzeb, że to jest uroczystość świąteczna, że jeśli tu zostaniecie, to orkiestra w końcu zagra *Co tam, do diabła, wszędzie jest zabawa?* A może spodziewacie się zobaczyć jakieś czary, zmarłego wstającego z trumny i znowu chodzącego? Idźcie do domu, on nie żyje i nic go nie wskrzesi. To początek końca i nie będzie żadnych bisów. Nie będzie cudów i nie ma tutaj nikogo, żeby wygłosił kazanie. Idźcie do domów, zapomnijcie o nim. On leży w tej skrzyni, od niedawna martwy. Idźcie do domów i nie myślcie o nim. On nie żyje, a wy musicie zrobić wszystko, co możecie, by myśleć o sobie.

Urwałem. Szeptali i patrzyli w górę.

– Powiedziałem, żebyście poszli do domu – krzyknąłem – ale wy nadal tu stoicie. Nie wiecie, że tu, w tym słońcu, jest gorąco? I co z tego, że czekacie na to, co mogę wam powiedzieć? Czy mogę wam opowiedzieć w ciągu dwudziestu minut o tym, co składało się na dwadzieścia jeden lat i zakończyło w dwadzieścia sekund? Na co czekacie, skoro mogę wam jedynie powiedzieć, jak się nazywał? A kiedy wam powiem, co będziecie wiedzieli, czego nie wiedzieliście już wcześniej, czego nie znaliście, oprócz, być może, jego nazwiska?

Słuchali uważnie, patrząc jakby nie na mnie, lecz na układ mojego głosu w powietrzu.

– Dobrze, słuchacie w słońcu, a ja postaram się wam powiedzieć w słońcu. Później idźcie do domu i zapomnijcie o tym. Zapomnijcie o tym. Nazywał się Clifton i zastrzelili go. Nazywał się Clifton, był wysoki i niektórzy uważali, że przystojny. I chociaż on sam w to nie wierzył, uważam, że był. Nazywał się Clifton, miał czarną twarz, a jego włosy były gęstwiną ciasno zwiniętych loków – możecie je nazwać barankiem. Jest martwy, obojętny i dla nikogo, oprócz paru dziewczyn, nie jest to ważne... Rozumiecie to? Widzicie go? Pomyślcie o waszym bracie albo kuzynie Johnie. Miał szerokie usta, o zakrzywionych w górę kącikach. Często się uśmiechał. Miał dobre oczy i szybkie pięści, i miał serce. Dużo myślał a i czuł głęboko. Nie nazwę go szlachetnym, bo cóż to słowo może mieć wspólnego z jednym z nas? Nazywał się Clifton, Tod Clifton, i jak każdy człowiek zrodzony został z kobiety, by trochę pożyć, upaść i umrzeć. Oto opowieść o nim, co do minuty. Nazywał się Clifton i przez pewien czas żył wśród nas, i wzbudził nieco nadziei w męskiej młodzieży, a my, którzy go znaliśmy, kochaliśmy go, i umarł. Dlaczego więc czekacie? Usłyszeliście już wszystko. Dlaczego czekacie na więcej, skoro mogę jedynie to powtórzyć?

Stali; słuchali. Nie dawali żadnych znaków.

– Dobrze, wobec tego powiem wam. Nazywał się Clifton, był młody i był przywódcą, a kiedy upadł, miał dziurę w skarpetce, a kiedy leżał wyciągnięty na chodniku, nie wydawał się taki wysoki jak wtedy, kiedy stał. A więc umarł, a my, którzy go kochaliśmy, zebraliśmy się tutaj, by go opłakiwać. Takie to proste i takie krótkie. Nazywał się Clifton i był czarny, i zastrzelili go. Czy to nie wystarczy? Czy to nie jest wszystkim, co musicie wiedzieć? Czy to nie wystarczy, by zaspokoić wasze pragnienie tragedii i odesłać was do domu, byście się przespali i doszli do siebie? Idźcie, napijcie się i zapomnijcie o tym. Albo przeczytajcie o tym w „The Daily News”. Nazywał się Clifton i zastrzelili go, a ja tam byłem i widziałem, jak padał. Wier teraz wiecie to samo, co ja wiem.

Oto fakty. Stał i upadł. Upadł na kolana. Upadł na kolana i krwawił. Krwawił i umarł. Upadł jak kłoda, jak każdy człowiek, a jego krew rozprysnęła się jak każda krew; była czerwona jak każda krew, mokra jak każda krew, i ukazałaby odbicie nieba i budynków, i ptaków, i drzew, albo waszych twarzy, gdybyście spojrzeli w jej matowiejące lustro – i wyszła w słońcu, jak wysycha krew. To wszystko. Rozlali jego krew i krwawił. Powalili go i umarł; krew utworzyła kałużę na chodniku, przez chwilę lśniła, a po chwili zmatowiała, potem pokryła się kurzem, a potem zaschła. Oto ta historia, oto jak się to skończyło. To stara historia i jest w niej zbyt wiele krwi, by was podekscytować. Poza tym krew jest ważna tylko wtedy, kiedy wypełnia żyły żywego człowieka. Nie macie dość takich historii? Nie macie dość tej krwi? Dlaczego więc słuchacie, dlaczego nie odchodzicie? Jest tu gorąco. Unosi się odór płynu do balsamowania zwłok. W tawernach podają zimne piwo, w Savoyu będą aksamitne saksofony, w zakładach fryzjerskich i salonach piękności opowiadać się będzie mnóstwo wywołujących zdrowy śmiech kłamstw, w wieczornym chłodzie w dwunastu kościołach wygłaszać będą kazania, a w kinach śmiać się do rozpuku. Idźcie posłuchać w radiu *Amosa i Andy'ego* i zapomnijcie o tym.

Tutaj macie tylko tę samą starą historię. Nie ma tu nawet młodej żony w czerwieni, by go opłakiwała. Nie ma tu czego żałować, nie ma nikogo, kto by się załamał i zaczął krzyczeć. Niczego, co napełniłoby was tym starym, dobrym uczuciem przerażenia. Ta historia jest zbyt krótka i zbyt prosta. Nazywał się Clifton, Tod Clifton, był nieuzbrojony, a jego śmierć była

równie bezsensowna jak jego życie daremne. Walczył o braterstwo na setkach rogów ulic i myślał, że dzięki temu będzie bardziej człowiekiem, ale umarł jak pies na drodze.

No dobrze – zawołałem, ogarnięty rozpaczą. Nie układało się to tak, jak chciałem, nie było to polityczne. Brat Jack w ogóle by tego nie zaaprobował, ale musiałem to ciągnąć dalej tak, jak umiałem. – Słuchajcie mnie, stojącego na tej tak zwanej górze! – krzyknąłem. – Pozwólcie, że powiem, jak było naprawdę! Nazywał się Tod Clifton i był pełen złudzeń. Myślał, że jest człowiekiem, a był tylko Todem Chitonem. Zastrzelono go z powodu prostej pomyłki w osądzie i wykrwawił się, i jego krew zaschła, i wkrótce tłum zdeptał i starł jej ślad. Była to normalna pomyłka, jaką popełnia wielu ludzi: myślał, że jest mężczyzną i że mężczyźni nie pozwalają się popychać. Ale w śródmieściu było gorąco i zapomniał o swojej historii, zapomniał o czasie i miejscu. Stracił kontakt z rzeczywistością. Był tam gliniarz i czekająca publiczność, ale on był Todem Cliftonem, a gliniarze są wszędzie. Gliniarz? Co można o nim powiedzieć? Był gliniarzem. Dobrym obywatelem. Ale tego gliniarza swędział palec, i szukał on rymu do słowa „spluwa”, i znalazł go, kiedy Clifton upadł. Raport policyjny przedstawił wyniki dochodzenia i rym był gotowy. Rozejrzyjcie się wokół. Zobaczcie, co on zrobił, zajrzyjcie w swoje wnętrza, a poczujecie jego straszną siłę. Ta było całkowicie naturalne. Krew popłynęła jak w komiksowym zabójstwie na komiksowej ulicy w komiksowym mieście w komiksowy dzień w komiksowym świecie.

Tod Clifton odszedł do wieczności. Ale co to ma wspólnego z wami, stojącymi w tym upale pod tym zawoalowanym słońcem? Jest częścią historii i odzyskał prawdziwą wolność.

Czyż nie zapisali jego nazwiska w regulaminowym notesie? Rasa: kolorowy! Wyznanie: nieznane, urodzony prawdopodobnie jako baptysta. Miejsce urodzenia: Stany Zjednoczone. Jakies miasto na Południu. Najbliżsi krewni: nieznan. Adres: nieznan. Miejsce zatrudnienia: bezrobotny. Przyczyna zgonu (dokładnie): opór stawiany rzeczywistości w postaci rewolweru kalibru .38 w rękach aresztującego go funkcjonariusza na Czterdziestej Drugiej, między biblioteką a wejściem do metra, w popołudniowym upale, rany po trzech pociskach wystrzelonych jeden po drugim, przy czym jedna kula przebiła prawą komorę serca i utkwiała tam, druga, rozerwawszy zwoje kręgosłupa, poszła w dół, by utkwic w miednicy, trzecia, przebiwszy plecy, poleciała Bóg wie gdzie.

Takie było krótkie, gorzkie życie brata Toda Cliftona. Teraz leży w tej skrzyni z zakręconymi śrubami. Jest w tej skrzyni, a my jesteśmy tam razem z nim i kiedy skończę o tym mówić, będziecie mogli sobie pójść. W tej skrzyni jest ciemno i ciasno. Ma popękany sufit i zapchaną ubikację w korytarzu. Są tam szczury i karaluchy i jest to za drogie, o wiele za drogie mieszkanie. Jest tam nieprzyjemne powietrze, a tej zimy będzie w niej zimno. Tod Clifton ma mało miejsca dla siebie i potrzebuje przestrzeni. „Powiedz im, żeby wyszli z tej skrzyni” – oznajmiłby, gdybyście mogli go słyszeć. „Powiedz im, żeby wyszli z tej skrzyni i poszli nauczyć gliniarzy, jak zapomnieć o tym rymie. Powiedz im, żeby ich nauczyli, że kiedy wołają na ciebie «szuwaks», aby uzyskać rym do «spluwa», to spluwa obraca się przeciw nim”.

To wszystko. Za parę godzin Tod Clifton będzie kupą zimnych kości w ziemi. I nie dajcie się ogłupić, bo te kości już nie powstaną. Wy i ja nadal będziemy w tej skrzyni. Nie wiem, czy Tod Clifton miał duszę. Wiem tylko, że czuję w sercu ból, że mam poczucie straty. Nie wiem, czy wy macie duszę. Wiem tylko, że jesteście ludźmi z krwi i kości i że krew zostanie przelana, a kości staną się zimne. Nie wiem, czy wszyscy gliniarze są poetami, ale wiem, że wszyscy gliniarze noszą spluwy. I wiem też, jak się nas nazywa. Tak więc w imieniu brata Cliftona mówię wam: strzeżcie się spluw, idźcie do domu, bądźcie chłodni, trzymajcie się z dala od słońca. Zapomnijcie o nim. Kiedy żył, był naszą nadzieją, ale dlaczego mamy martwić się o nadzieję, która umarła? Tak więc można powiedzieć tylko jedno i już to powiedziałem. Nazywał się Tod Clifton, wierzył w Bractwo, rozbudził nasze nadzieje i umarł.

Nie mogłem mówić dalej. Na dole czekali ludzie, osłaniając oczy dłońmi i chusteczkami do nosa. Wystąpił jakiś kaznodzieja i przeczytał coś ze swojej Biblii, a ja spoglądałem na tłum z uczuciem porażki. Pozwoliłem, by to przemówienie potoczyło się swoim własnym torem, nie udało mi się wprowadzić do niego kwestii politycznych. A oni stali tam smagani słońcem i skapani w pocie, słuchając, jak powtarzam to, co już wiedzieli. Teraz kaznodzieja skończył, ktoś dał znak kapelmistrzowi i rozległa się poważna muzyka, kiedy żałobnicy znosili trumnę po krętych schodach. Tłum nie ruszał się, kiedy wolno przezeń przechodziliśmy. Czułem jego wielkość, nieznaność i stłumione napięcie – łez czy złości, nie potrafiłem powiedzieć. Ale czułem to, kiedy przechodziliśmy przez tłum i kroczyliśmy po zboczcu wzgórza do karawanu. Tłum pocił się i pulsował, i chociaż był milczący, jego oczy mówiły mi wiele. Przy krawężniku stał karawan i kilka samochodów i po paru minutach siedzieliśmy na swoich miejscach, a tłum nadal stał i patrzył, gdy wywoziliśmy Toda Cliftona. A kiedy spojrziałem tam po raz ostatni, zobaczyłem nie tłum, lecz zastygłe twarze pojedynczych mężczyzn i kobiet.

Odjechaliśmy, a kiedy samochody przestały się poruszać, ujrzeliśmy grób i umieściliśmy go w nim. Grabarze bardzo się pocili i znali swój fach, a akcent mieli irlandzki. Szybko zasypali grób i odjechaliśmy. Tod Clifton spoczywał w ziemi.

Wracałem ulicami tak zmęczony, jakbym sam wykopał ten grób. Zdezorientowany i apatyczny przeciskałem się przez tłumy, które zdawały się płynąć w jakiejś mgle, jak gdyby cienkie wilgotne chmury pogrubiały i osiadły wprost na naszych głowach. Chciałem iść w jakieś spokojne miejsce, by odpocząć i nie myśleć o niczym, ale pozostawało jeszcze wiele do zrobienia; trzeba było sporządzić plany, trzeba było ująć w karby organizacyjne emocje tłumy. Włókłem się południowym chodnikiem pod południowym niebem, zamykając od czasu do czasu oczy przed oślepiającymi czerwieniami, żółciami i zieleniami tanich sportowych koszul i letnich sukienek. Tłum gotował się, pocił, falował; kobiety z torbami na zakupy, mężczyźni w wyglansowanych na wysoki połysk butach. Nawet na Południu zawsze czyścili buty do połysku. „Lśniące buty, lśniące buty, dzwoniło mi w głowie. Na Ósmej Alei stały oś przy osi wózki sprzedawców, zaimprovizowane markizy ocieniały wędnące owoce i warzywa. Czułem smród gnijącej kapusty. W cieniu obok swojej ciężarówki stał sprzedawca melonów, trzymając długi plaster melona o pomarańczowym miąższu, zachwalając swój towar ochryplymi odwołaniami do nostalgii, wspomnień z dzieciństwa, zielonego cienia i letniego chłodu. Na małych stolikach leżały zgrabne stosy pomarańcz, orzechów kokosowych i awokado. Przechodziłem obok nich, torując sobie drogę przez wolno poruszający się tłum. Na jednym z wózków, pod daremnym prysznicem soku z przedziurawionej puszki, płonęły gorączkowo, niczym efektowne szmaty, zeschnięte i przywędłe kwiaty, wzgardzone w śródmieściu. Tłum był zbiorowiskiem kipiących postaci, widzianych przez zaparowane szkło z wnętrza pralki; a na ulicach przyglądał się wszystkiemu pododdział konnej policji, wymijające oczy pod krótkimi, błyszczącymi daszkami czapek, pochylone do przodu ciała, cugle luźno w pogotowiu, ludzie i konie z ciała i krwi naśladowujący ludzi i konie z kamienia. *Tod* Toda Cliftona, pomyślałem. Przekupnie przekrzykiwali warkot samochodów, a ja zdawałem się słyszeć ich z daleka, niepewny, co wołają. Na bocznej uliczce dzieci na pociętych trójkołowych rowerkach paradowały po chodniku z jednym z transparentów: BRAT TOD CLIFTON, NASZA ZASTRZELONA NADZIEJA.

I przez tę mgłę znowu wyczułem napięcie. Nie dało się temu zaprzeczyć; było tam i należało coś zrobić, zanim wykipi w tym upale.

Rozdział 22

Kiedy zobaczyłem ich siedzących bez marynarek, pochylonych do przodu, obejmujących dłońmi kolana, nie byłem zaskoczony. Cieszę się, że to wy, pomyślałem, to będzie sprawa bez łez. Było tak, jakbym spodziewał się ich tam zastać, zupełnie jak w tych snach, w których spotykałem dziadka patrzącego na mnie przez bezwymiarową przestrzeń śnionego pokoju. Spoglądałem na niego bez zaskoczenia i bez emocji, chociaż nawet we śnie wiedziałem, że normalną reakcją jest zaskoczenie i że jego brakowi nie można ufać, że należy się mieć na baczności.

Stanąłem w pokoju i obserwowałem ich, kiedy zrzuciłem marynarkę; zgromadzili się wokół małego stołu, na którym spoczywał dzban z wodą, szklanka i kilka dymiących popielniczek. Połowa pokoju była ciemna i paliła się tylko jedna lampa, bezpośrednio nad stołem. Przyglądali mi się w milczeniu, brat Jack z uśmiechem, który nie sięgał głębiej niż jego usta, głową przekrzywioną na bok, badawczym, przesywającym wzrokiem; pozostali z twarzami bez wyrazu, z oczyma, które miały niczego nie ujawniać i budzić wielką niepewność. Z ich papierosów unosił się spiralami dym, kiedy siedzieli i czekali, doskonale opanowani. A więc w końcu przyszliście, pomyślałem, podchodząc i opadając na jedno z krzeseł. Położyłem rękę na stole i poczułem jego chłód.

– No i jak poszło? – spytał brat Jack, wyciągając złożone dłonie na stole i patrząc na mnie z głową przechyloną na bok.

– Widzieliście ten tłum – powiedziałem. – W końcu ich wyprowadziliśmy z domów.

– Nie, nie widzieliśmy tego tłumy. Jak było?

– Byli poruszeni – odparłem – wielu z nich. Poza tym nie wiem. Byli z nami, ale do jakiego stopnia, nie wiem... – I przez chwilę słyszałem własny głos w ciszy wysokiej sali.

– Ach, taaak! Czy to wszystko, co ma nam do powiedzenia wielki taktyk? – rzekł brat Tobitt. – W którym kierunku zostali poruszeni?

Patrzyłem na nich, zdając sobie sprawę z drętwości moich emocji, które wpłynęły w jeden kanał, zbyt daleko i zbyt głęboko.

– O tym niech zadecyduje komitet. Byli przejęci; to wszystko, co mogliśmy zrobić. Staraliśmy się wielokrotnie skontaktować z komitetem, żeby poprosić o wytyczne, ale bez rezultatu.

– Więc?

– Więc zabraliśmy się do tego sami na moją osobistą odpowiedzialność.

Oczy brata Jacka się zwęziły.

– Słucham? – spytał. – Na twoją co?

– Na moją osobistą odpowiedzialność – odparłem.

– Na jego osobistą odpowiedzialność – powiedział brat Jack. – Słyszeliście to, bracia? Czyja go dobrze usłyszałem? Skąd to wzięłeś, bracie? – rzekł. – To zdumiewające, skąd to wzięłeś?

– Od twojej ma... – zacząłem, ale w porę się zreflektowałem. – Od komitetu – oznajmiłem.

Nastąpiła chwila ciszy. Patrzyłem na niego; jego twarz poczerwieniała, a ja próbowałem się zorientować, o co chodzi. W środku brzucha drgał mi jakiś nerw.

– Wszyscy wyszli na ulice – podjąłem, aby wypełnić tę ciszę. – Dostrzeżliśmy okazję, a społeczność zgodziła się z nami. Niedobrze, że was nie było...

– Widzicie, przykro mu, że nas nie było – rzekł brat Jack. Podniósł rękę. Widziałem głęboko wryte linie na jego dłoni. – Ten wielki taktyk z osobistą odpowiedzialnością żałuje, że nas nie było...

Czy on nie widzi, jak ja się czuję, pomyślałem, czy nie rozumie, dlaczego to zrobiłem? Do czego on zmierza? Tobitt jest głupcem, ale dlaczego on to podejmuje?

– Mogliście zrobić następny krok – powiedziałem, wyduszając z siebie te słowa. – Posunęliśmy się tak daleko, jak mogliśmy...

– Na twoją osobistą od-po-wie-dzial-ność – stwierdził brat Jack, kiwając głową w rytm słów.

Przyjrzałem mu się teraz bacznie.

– Polecono mi odzyskać poparcie dla nas, więc starałem się. W jedyny sposób, jaki znam. Za co mnie krytykujecie? Co złego zrobiłem?

– A więc teraz – powiedział, trąc oczy delikatnym, okrężnym ruchem pięści – nasz wielki taktyk pyta, co zrobił złego. Czy to możliwe, żeby zrobił coś nie tak? Słyszycie go, bracia?

Rozległo się kaszlnięcie. Ktoś nalał wody do szklanki i słyszałem, jak wypełnia się ona bardzo szybko, a potem jak ostatnie krople skapują z szyjki dzbana, szemrząc niczym toczący się strumyczek. Spojrzałem na brata Jacka, a mój umysł pracował gorączkowo, starając się zorientować, o co im chodzi.

– Chcesz powiedzieć, że on dopuszcza możliwość, że popełnił błąd? – rzekł Tobitt.

– To zwykła skromność, bracie. Najzwyklejsza skromność. Mamy tutaj nadzwyczajnego taktyka, Napoleona strategii i osobistej odpowiedzialności. Jego hasłem jest „Kuj żelazo, póki gorące”. „Korzystaj z okazji, kiedy możesz”, „Chwyć byka za rogi” i tak dalej.

Wstałem.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, bracie. Co próbujesz powiedzieć?

– Oto dobre pytanie, bracia. Usiądź, proszę, jest gorąco. On chce wiedzieć, co próbujemy powiedzieć. Mamy tutaj nie tylko nadzwyczajnego taktyka, ale również osobę, która docenia subtelność wyrażenia.

– Owszem, i sarkazm, kiedy jest na miejscu – rzekłem na to.

– 1 dyscyplinę? Usiądź, proszę, jest gorąco...

– I dyscyplinę. I polecenia, i konsultacje, kiedy można je uzyskać – dodałem.

Brat Jack uśmiechnął się szeroko.

– Siadaj, siadaj... A cierpliwość?

– Kiedy nie jestem śpiący i wyczerpany – odparłem – i nie jest mi tak gorąco jak teraz.

– Nauczysz się – powiedział. – Nauczysz się i okażesz ją nawet w takich okolicznościach. Zwłaszcza w takich okolicznościach; na tym polega jej wartość. To czyni ją cierpliwością.

– Tak, chyba teraz tego się uczę – powiedziałem. – Właśnie teraz.

– Bracie – rzekł oschle – nie masz pojęcia, ilu rzeczy się uczysz... Usiądź, proszę.

– Dobrze – powiedziałem, znowu siadając. – Ale, odkładając na moment moją prywatną edukację, chciałbym, żebyście pamiętali, że ci ludzie mają do nas obecnie mało cierpliwości. Moglibyśmy wykorzystać ten czas z większym pożytkiem.

– A ja mógłbym ci powiedzieć, że politycy nie są osobami prywatnymi – rzekł brat Jack – ale nie zrobię tego. W jaki sposób moglibyśmy wykorzystać to z większym pożytkiem?

– Ujmując ich gniew w karby organizacyjne.

– A więc znowu ukazuje się nam wielki taktyk. Dzisiaj jest on bardzo zajęтым człowiekiem. Najpierw oracja nad ciałem Brutusa, a teraz wykład o cierpliwości ludu murzyńskiego.

Tobitt nieźle się bawił. Widziałem, jak papieros drży w jego ustach, kiedy pstryka zapalką, by go zapalić.

– Składam wniosek, byśmy wydali broszurę z jego uwagami – rzucił, przeciągając palcem po brodzie. – Powinny wywołać zjawisko przyrodnicze...

Lepiej przerwać to od razu, pomyślałem. Moja głowa stawała się lżejsza, a mięśnie klatki piersiowej stężały.

– Słuchajcie – powiedziałem – zabito nieuzbrojonego człowieka. Jeden z braci, wybitny człowiek, został zastrzelony przez policjanta. Straciliśmy prestiż w tej społeczności. Dostrzegłem szansę na zmobilizowanie ludzi, przystąpiłem więc do działania. Jeśli się myliłem, to źle zrobiłem, i powiedzcie to wprost, bez tego pieprzenia. Po to, żeby poradzić sobie z tłumem, trzeba czegoś więcej niż sarkazm.

Brat Jack poczerwieniał, pozostali wymienili szybkie spojrzenia.

– On nie czytał gazet – powiedział ktoś.

– Zapomniałeś – rzekł brat Jack – że to nie było konieczne; on tam był.

– Tak, byłem tam – powiedziałem. – Jeśli masz na myśli to zabójstwo.

– No widzicie – rzekł brat Jack. – Był na miejscu zbrodni.

Brat Tobitt pchnął dłońmi krawędź stołu.

– I mimo to zorganizowałeś ten jarmarczny pokaz towarzyszący pogrzebowi!

Zaczęły mi drgać nozdrza. Odwróciłem się powoli ku niemu, zmuszając się do uśmiechu.

– A czy możliwy jest jarmarczny pokaz bez ciebie jako głównej atrakcji, bracie Tfubitt? Co było złego w tym pogrzebie?

– Teraz robimy postępy – powiedział brat Jack, siadając okrakiem na krześle. – Nasz strateg poruszył bardzo interesującą kwestię. Co było złego, pyta. W porządku, odpowiem. Pod twoim przywództwem zdradzieckiemu sprzedawcy ohydnych narzędzi antymurzyńskiego, rasistowskiego szowinizmu urządzono pogrzeb jak bohaterowi. Nadal pytasz, co było w tym złego?

– Ale nie zrobiono niczego ze zdrajcą – powiedziałem.

Podniósł się do połowy, ściskając oparcie krzesła.

– Wszyscy słyszeliśmy, że to przyznałeś.

– Zrobiliśmy dramat z zastrzelenia nieuzbrojonego czarnego człowieka.

Podniósł ręce do góry. Do diabła z wami, pomyślałem. Do diabła z wami. On był człowiekiem!

– Ten czarny człowiek, jak go nazywasz, był zdrajcą – oznajmił brat Jack. – Zdrajcą!

– Co znaczy „zdrajca”, bracie? – spytałem i ze złośliwym rozbawieniem, zacząłem wyliczać na palcach. – Był człowiekiem i Murzynem; człowiekiem i bratem; człowiekiem i zdrajcą, jak mówisz; a potem był martwym człowiekiem i, żywy czy martwy, pełen był sprzeczności. Tak pełen, że przyciągnął pół Harlemu. Przyszli na nasze wezwanie i stali tam w prażącym słońcu. A więc co znaczy „zdrajca”?

– A więc teraz się wycofuje – powiedział brat Jack. – Obserwujcie go, bracia. Postawiwszy nasz ruch w sytuacji, w której wciskamy w gardła Murzynom zdrajcę, pyta, co znaczy „zdrajca”.

– Tak – rzekłem. – Tak, i jak mówisz, to dobre pytanie, bracie. Niektórzy nazywają mnie zdrajcą, bo pracowałem w śródmieściu; niektórzy nazwaliby mnie zdrajcą, gdybym pracował w administracji państwowej, a inni, gdybym po prostu siedział cicho w kącie. Oczywiście wzięłem pod uwagę to, co zrobił Clifton...

– I bronisz go!

– Nie za to. Napelniło mnie to takim samym wstrętem jak was. Ale do diabła, czy zastrzelenie nieuzbrojonego człowieka nie jest ważniejsze pod względem politycznym niż fakt, że sprzedawał on obsceniczne lalki?

– A więc odwołałeś się do osobistej odpowiedzialności – powiedział brat Jack.

– Tylko to mi pozostało. Pamiętajcie, że nie zostałem wezwany na zebranie poświęcone strategii.

– Nie widziałeś, z czym igrasz? – rzekł Tobitt. – Nie masz żadnego szacunku dla twojego ludu?

– Danie mu okazji do tego było niebezpiecznym błędem – odezwał się jeden z pozostałych.

Spojrzałem na niego.

– Komitet może mi to odebrać, jeśli zechce. Ale zanim to się stanie – dlaczego jesteście wszyscy tak zdenerwowani? Gdyby jedna dziesiąta tych ludzi patrzyła na te lalki tak jak my, to nasza praca byłaby o wiele łatwiejsza. Te lalki to nic nie znaczący drobiazg.

– Drobiazg – powiedział Jack. – Drobiazg, który może wybuchnąć nam prosto w twarz. Westchnąłem.

– Waszym twarzom nic nie grozi, bracie – stwierdziłem. – Nie rozumiesz, że oni nie myślą w tak abstrakcyjnych kategoriach? Gdyby myśleli, to ten nowy program prawdopodobnie by się nie zawalił. Bractwo to nie Murzyni; żadna organizacja nie jest murzyńska. W śmierci Cliftona widzicie tylko to, że może zaszkodzić prestiżowi Bractwa. Postrzegacie go tylko jako zdrajcę. Ale Harlem nie widzi tego w taki sposób.

– Teraz robi nam wykład o odruchach warunkowych ludu murzyńskiego – rzekł Tbbitt.

Spojrzałem na niego. Byłem bardzo zmęczony.

– A jakież jest źródło twojego wielkiego wkładu do tego ruchu, bracie? Kariera w burlesce? I skąd się bierze twoja dogłębna wiedza o Murzynach? Pochodzisz ze starej rodziny plantatorów? Czy w twoich snach przewija się twoja murzyńska mamka?

Otworzył usta i zamknął je jak ryba.

– Przyjmij do wiadomości, że jestem mężem wspaniałej, inteligentnej murzyńskiej dziewczyny – powiedział.

A więc dlatego jesteś taki zadziorny, pomyślałem, widząc teraz, jak pada na niego światło pod ostrym kątem i tworzy cień w kształcie trójkąta pod jego nosem. A więc to tak... i jak ja odgadłem, że ma to związek z kobietą?

– Przepraszam, bracie – powiedziałem. – Źle cię oceniłem. Znasz nasze prawdziwe uczucia i motywy. Prawdę mówiąc, sam musisz praktycznie być Murzynem. Jak się nim stałeś – przez zanurzenie czy wtrysk?

– Słuchaj no – powiedział, odsuwając krzesło.

No dalej, pomyślałem, zrób tylko jakiś ruch. Tylko jeden mały ruch.

– Bracia – odezwał się Jack, nie spuszczać ze mnie oczu. – Trzymajmy się dyskusji. Jestem zaintrygowany. Co mówiłeś?

Obserwowałem Tobitta. Piorunował mnie wzrokiem. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Mówiłem, że my tutaj wiemy, że policjantów nie obchodziły poglądy Cliftona. Zastrzelono go, bo był czarny i stawiał opór. Przede wszystkim dlatego, że był czarny.

Brat Jack zmarszczył brwi.

– Znowu wyjeżdżasz z rasą. A co oni myślą o tych lalkach?

– Wyjeżdżam z tym, z czym jestem zmuszony wyjechać – odrzekłem. – A co do tych lalek, to ludzie wiedzą, że jeśli chodzi o tych gliniarzy, Clifton równie dobrze mógł sprzedawać nuty, Biblię, macę. Gdyby był biały, żyłby nadal. Albo gdyby pogodził się z tym, że go popychano...

– Czarni i biali, biali i czarni – powiedział Tobitt. – Musimy słuchać tych rasistowskich bredni?

– Ty nie musisz, bracie Murzynie – odparłem. – Masz informacje prosto ze źródła. To źródło to Mulatka? Nie odpowiadaj, bracie – jedyną wadą tego źródła jest to, że jest za wąskie. Chyba nie myślicie, że ten tłum pojawił się dzisiaj dlatego, że Clifton był członkiem Bractwa?

– A dlaczego się pojawił? – spytał Jack, przyjmując pozycję, jakby przygotowywał się do skoku.

– Dlatego, że daliśmy im okazję do wyrażenia uczuć, do utwierdzenia się w nich.

Brat Jack potarł oko.

– Wiesz, że stałeś się niezłym teoretykiem? – powiedział. – Zdumiewasz mnie.

– Wątpię, bracie, ale nic tak nie skłania człowieka do myślenia jak odizolowanie go – odparłem.

– Owszem, to prawda; część naszych najważniejszych idei wymyślono w więzieniu. Tylko że ty nie siedziałeś w więzieniu, bracie, i nie po to cię zatrudniono, żebyś myślał. Zapomniałeś o tym? Jeśli tak, to posłuchaj: Nie zatrudniono cię po to, żebyś myślał. – Mówił powoli i wyraźnie, i pomyślałem: Ach tak... ach, więc taka jest prawda – naga i zgniła. Więc teraz mówią otwarcie...

– Zatem wiem teraz, gdzie jestem – stwierdziłem – i z kim...

– Nie wypaczaj znaczenia tego, co powiedziałem. Za nas wszystkich myśli komitet. Za nas wszystkich. A ciebie zatrudniono po to, żebyś przemawiał.

– Zgadza się, zostałem zatrudniony. Tyle było mowy o braterstwie, że zapomniałem, gdzie jest moje miejsce. Ale założmy, że chcę wyrazić jakąś myśl, przedstawić jakąś ideę...

– My dostarczamy wszystkich idei. Mamy dokładny program. Idee są częścią naszego aparatu. Tylko odpowiednie idee na odpowiednie okazje.

– Założmy, że źle oceniliście tę okazję?

– Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, masz milczeć.

– Nawet jeśli mam rację?

– Nic nie mówisz, dopóki nie zostanie to przyjęte przez komitet. Jeśli nie zostanie, to radzę, żebyś powtarzał to, co ci ostatnio powiedziano.

– A jeśli moi ludzie domagają się, żebym przemawiał?

– Komitet będzie miał odpowiedź!

Popatrzyłem na niego. W pokoju było gorąco, cicho i duszno od dymu. Pozostali dziwnie na mnie patrzyli. Usłyszałem szarpiący uszy skrzyp papierosa, rozgniatanego w szklanej popielniczce. Odepchnąłem krzesło do tyłu, oddychając powoli, w sposób kontrolowany. Znalazłem się na niebezpiecznej drodze, pomyślałem o Cliftonie, i starałem się z niej zejść. Nic nie powiedziałem.

Nagle Jack uśmiechnął się i wrócił do swojej ojcowskiej roli.

– Pozwól nam zajmować się teorią i sprawą strategii – podjął. – My mamy doświadczenie. Skończyliśmy tę szkołę, a tobie, chociaż jesteś bystry, brak paru klas. A były to ważne klasy, zwłaszcza dla uzyskania wiedzy strategicznej. Bo taka jest potrzebna, żeby mieć obraz całości. W grę wchodzi więcej rzeczy, niż dostrzega wzrok. Kiedy opanujesz widzenie na daleką odległość, na krótką odległość i całościowe, może nie będziesz znieślawiał politycznej świadomości ludu Harlemu.

Czy on nie rozumie, że staram się im wskazać, co jest rzeczywiste, jak jest naprawdę, pomyślałem. Czy członkostwo w ruchu ma mnie zobojętnić na sprawy Harlemu?

– Dobrze – powiedziałem. – Niech będzie po twojemu, bracie, tyle że o politycznej świadomości Harlemu akurat coś wiem. To jest klasa, której nie pozwolono by mi nie skończyć. Opisuję część rzeczywistości, którą znam.

– 1 to jest najbardziej wątpliwe ze wszystkich twoich twierdzeń – powiedział Tobitt.

– Wiem – odparłem, przeciągając kciukiem po krawędzi stołu – twoje prywatne źródło mówi ci coś innego. Historię tworzy się w nocy, co, bracie?

– Ostrzegałem cię – rzekł Tobitt.

– Mówię ci jak brat bratu, bracie – rozejrzyj się lepiej. Może się przekonasz, że dzisiaj po raz pierwszy od wielu tygodni ludzie posłuchali naszego wezwania. I powiem ci coś jeszcze – jeśli po tym, co zrobiono dzisiaj, nie pójdziemy za ciosem, to może być ostatnia...

– A więc w końcu zabrał się do przewidywania przyszłości – powiedział brat Jack.

– To możliwe... chociaż mam nadzieję, że tak się nie stanie.

– Ma kontakt z Bogiem – powiedział Tobitt. – Z czarnym Bogiem.

Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się. Miał szare oczy o bardzo szerokich źrenicach, na szczękach napięły mu się mięśnie. Opuściłem gardę, a on ruszył ostro do ataku.

– Ani z Bogiem, bracie, ani z twoją żoną – powiedziałem. – Nigdy zresztą Jego ani jej nie spotkałem. Ale pracuję wśród tych ludzi. Poproś żonę, żeby zabrała cię do tutejszych spelunek, do zakładów fryzjerskich i kościołów, bracie. I do salonów piękności w sobotę, kiedy robią sobie fryzury. W takich sytuacjach opowiada się, bracie, całą nie utrwaloną w zapiskach historię. Nie uwierzyłbyś w to, ale to prawda. Powiedz jej, żeby cię zabrała wieczorem w jakieś przejście między tanimi czynszówkami, postój tam i posłuchaj, o czym mówią. Poślij ją na róg, niech ci opowie, co się tam wygaduje. Dowiesz się, że mnóstwo ludzi ma nam za złe, że zawiedliśmy i nie poprowadziliśmy do działania. Będę się tego trzymał, tak jak trzymam się tego, co widzę i czuję, i tego, co słyszałem i wiem.

– Nie – powiedział brat Jack, wstając – będziesz się trzymał postanowień komitetu. Mamy już tego dość. Decyzje podejmuje za ciebie komitet, a on nie ma zwyczaju nadawać nadmiernego znaczenia błędnym poglądom ludu. Co z twoją dyscypliną?

– Nie występuję przeciwko dyscyplinie. Staram się być przydatny. Staram się wskazać fragment rzeczywistości, której komitet nie zauważył, jak mi się wydaje. Dzięki jednej demonstracji moglibyśmy...

– Komitet jest przeciwko takim demonstracjom – przerwał mi brat Jack. – Takie metody nie są już skuteczne.

Odniosłem wrażenie, że coś się wysunęło spode mnie, i kątem oka zauważyłem nagle przedmioty w ciemnej części sali.

– Ale czy nikt nie zauważył, co się dzisiaj stało? – zapytałem. – Co to było, sen? Co było nieskutecznego w zgromadzeniu tego tłumu?

– Takie tłumy są zaledwie naszymi surowcami, jednym z surowców, które trzeba ukształtować zgodnie z naszym programem.

Rozejrzałem się wokół stołu i potrząsnąłem głową.

– Nic dziwnego, że obrzucają mnie wyzwiskami i oskarżają nas o to, że ich zdradziliśmy...

Nastąpiło poruszenie.

– Powtórz to – krzyknął brat Jack, robiąc krok do przodu.

– To prawda, powtórzę to. Aż do dzisiejszego popołudnia twierdzili, że Bractwo ich zdradziło. Mówię wam o tym, co mnie powiedziano, i dlatego właśnie zniknął brat Clifton.

– To wierutne kłamstwo – oświadczył brat Jack.

Aja popatrzyłem na niego, przeciągle teraz, myśląc: Jeśli tak, jeśli tak...

– Nie nazywaj mnie kłamcą – powiedziałem cicho. – Niech żaden z was nigdy mnie tak nie nazywa. Opowiedziałem wam, co słyszałem. – Trzymałem teraz dłoń w kieszeni i ścisnąłem ogniwo z łańcucha brata Tarpa. Przyjrzałem się każdemu z nich z osobna, starając się opanować, ale czując, że mi się to nie udaje. Kręciło mi się w głowie, jakbym wirował na ponaddzwiękowej karuzeli. Jack spojrzał na mnie z obudzonym na nowo zainteresowaniem w oczach i pochylił się do przodu.

– Więc słyszałeś to – powiedział. – Dobrze, zatem teraz posłuchaj tego: Nie kształtujemy naszej polityki według błędnych i infantylnych poglądów ludzi z ulicy. Naszym zadaniem nie jest pytać ich, co myślą, ale mówić, co mają myśleć!

– Ty to powiedziałeś – rzekłem – i sam im możesz to oznajmić. Kim ty w ogóle jesteś, wielkim białym ojcem?

– Nie ojcem, lecz ich przywódcą. I twoim. I nie zapominaj o tym.

– Moim przywódcą na pewno, ale jaki dokładnie jest twój związek z nimi?

Jego rude włosy zjeżyły się.

– Jako przywódca Bractwa jestem ich przywódcą.

– Ale czy masz pewność, że nie jesteś ich wielkim białym ojcem? – zapytałem, przyglądając mu się uważnie, świadom gorącej ciszy. Poczułem, jak napinają mi się mięśnie nóg, więc szybko schowałem stopy pod krzesło. – Czy nie byłoby lepiej, gdyby mówili do ciebie: Panie Jack?

– Uważaj – zaczął, zrywając się na nogi, by przechylić się nad stołem; zrobiłem półobrót z krzesłem, stawiając je na tylnych nogach, a on zasłonił mi światło, chwytając się brzegu stołu, bełkocząc i przechodząc na jakiś obcy język, krztusząc się, kaszląc i trzęsąc głową, kiedy balansowałem na palcach, żeby wypchnąć ciało do przodu; widziałem go nad sobą, a pozostałych za nim, gdy nagle wydało mi się, że coś wystrzeliło z jego twarzy. Masz zwidy, pomyślałem i usłyszałem, że to coś uderza gwałtownie o stół i toczy się; wyrzucił błyskawicznie rękę, chwycił jakiś przedmiot wielkości dużej kulki do gry i wrzucił go, plop! do szklanki, i widziałem, jak woda tryska w górę postrzępionym, załamującym światło wzorem, by rozprysnąć się i opaść szybkimi kroplami na politurowany blat stołu. Odniosłem wrażenie, że pokój się spłaszczył. Wystrzeliłem na wysoki płaskowyż ponad nimi i opadłem, poczułem wstrząs na końcu kręgosłupa, kiedy nogi krzesła uderzyły o podłogę. Karuzela przyspieszyła; słyszałem jego głos, ale już nie słuchałem. Gapiłem się na szklankę, na przechodzące przez nią światło, rzucające przezroczysty, precyzyjnie żłobkowany cień na ciemne słoje stołu, a na jej dnie leżało oko. Szklane oko. Maślankowate, białe oko, zniekształcone przez promienie światła. Oko patrzące na mnie nieruchomo z ciemnej wody w studni. Później spojrzałem na niego, stojącego nade mną, obrysowanego światłem na tle ciemnej części sali.

– ...Musisz pogodzić się z dyscypliną. Albo pogodzisz się z decyzjami, albo się wyniesiesz...

Przeniósłem wzrok na jego twarz, przepełniony głębokim oburzeniem. Jego lewe oko zapadło się, ukazując czerwień żywego mięsa tam, gdzie nie domknęła się powieka, a jego spojrzenie straciło swą władczość. Spoglądałem to na jego twarz, to na szklankę, myśląc: Wybebeszył się, żeby wprawić mnie w zakłopotanie... A pozostali cały czas o tym wiedzieli. Nie są nawet zdziwieni. Gapiłem się na oko, zdając sobie sprawę, że Jack chodzi tam i z powrotem i krzyczy.

– Bracie, słuchasz mnie? – Przystanął, zezując na mnie z cyklopową irytacją. – O co chodzi?

Podniosłem na niego wzrok, niezdolny do udzielenia odpowiedzi.

Wtedy zrozumiał i podszedł do stołu ze złośliwym uśmiechem.

– A więc o to. A więc krępuje cię to, tak? Jesteś sentymentalny – rzekł i potrząsnął szklanką, przez co oko obróciło się w wodzie tak, że teraz zdawało się zerkać na mnie z dna. Uśmiechnął się, podnosząc szklankę na wysokość pustego oczodołu i kręcąc nią. – Nie wiedziałeś o tym?

– Nie i nie chciałem wiedzieć.

Ktoś się roześmiał.

– Widzisz, to dowodzi, od jak dawna jesteś z nami. – Opuścił szklankę. – Straciłem oko podczas wykonywania obowiązków. Co o tym myślisz? – spytał z dumą, która jeszcze bardziej mnie rozżłościła.

– Nic mnie nie obchodzi, jak je straciłeś, byleby tylko pozostawało na miejscu.

– To dlatego, że nie doceniasz znaczenia poświęcenia. Polecono mi wykonać zadanie i wykonałem je. Rozumiesz? Mimo że musiałem stracić oko, by to zrobić...

Promieniał teraz, trzymając w górze szklankę z okiem, jakby był to order zasługi.

– Nie tak jak ten zdrajca Clifton, co? – rzekł Tobitt.

Pozostali byli rozbawieni.

– Dobrze – powiedziałem. – Dobrze! To był bohaterstwo czyn. Ocaliłeś świat, a teraz zakryj tę krwawiącą ranę!

– Nie przeceniaj tego – rzekł Jack, już spokojniejszym tonem. – Bohaterami są ludzie, którzy giną. To był drobiazg – po fakcie. Mała lekcja dyscypliny. A wiesz ty, co to jest dyscyplina, bracie Osobista Odpowiedzialność? To poświęcenie, poświęcenie, POŚWIĘCENIE!

Uderzył szklanką w stół, opryskując mi wodą grzbiet dłoni. Zatrząśłem się jak liść. A więc takie jest znaczenie dyscypliny, pomyślałem, poświęcenie... tak, i ślepotą; on mnie nie widzi. On nawet mnie nie widzi. Czy mam go udusić? Nie wiem. On nie może w żadnym razie. Nadal nie wiem. Widzisz! Dyscyplina jest poświęceniem. Tak, i ślepotą. Tak. I tym, że ja tutaj siedzę, kiedy on stara się mnie onieśmielić. Właśnie, tym swoim cholernym, niewidzącym, szklanym okiem... Powinieneś mu pokazać, że pojąłeś? Czy nie powinieneś? Czy on sam nie powinien tego wiedzieć? Szybko! Powinieneś czy nie powinieneś? Popatrz na to tam, dobra robota, prawie doskonała imitacja, która wygląda jak żywa... Powinieneś czy nie? Może dostał je tam, gdzie nauczył się tego języka, w którym zaczął nagle mówić. Nie powinieneś? Każ mu mówić w tym nieznanym języku, języku przyszłości. Dyscyplina jest nauką, tak powiedział? Tak? Ja się trzymam? Siedzisz tu, nie? Trzymasz się, nie? Powiedział, że się nauczysz, więc się uczysz, on cały czas o tym wiedział. To iluzjonista, nie powinniśmy mu pokazać? A więc siedź spokojnie, tak trzeba, i ucz się, mniejsza o to oko, bo jest martwe... Dobrze już, patrz na niego, zobacz, jak się teraz obraca, w lewo, w prawo, podchodzi do ciebie krótkonożnie. Zobacz go, he! he! jednooki kurator. Dobrze, dobrze... He, he! Krótkonogi orator. Dobrze! Przechytrz go! Ten kłamliwy dialektyczny orator... Dobrze. No proszę, uczysz się... Zapanuj nad tym... Cierpliwości... Tak...

Spojrzałem na niego ponownie, jakby po raz pierwszy, i dostrzegłem zadziornego jak kogucik mężczyznę z wysoko sklepionym czołem i pustym oczodołem, który niezupełnie się zgadzał ze swoją powieką. Patrzyłem teraz na niego uważnie; migające mi przed oczami czerwone plamy powoli znikwały i miałem takie uczucie, jakbym się budził ze snu. Zatoczyłem koło.

– Zdaję sobie sprawę, jak się czujesz – powiedział, stając się aktorem, który właśnie skończył odgrywać swoją rolę w sztuce i znowu mówi naturalnym głosem. – Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem siebie w ten sposób, i nie było to przyjemne. I nie myśl, że nie wolałbym wrócić do dawnej postaci. – Sięgnął do szklanki po swoje oko i widziałem, jak jego gładki, półkolisty, niewyraźny kształt prześlizguje się między dwoma palcami Jacka i kręci, i kręci po szklance, jakby szukając drogi ucieczki. Potem je wyłowił, otrząsnął z wody i chuchał na nie, kiedy szedł przez ciemną stronę pokoju.

– Ale kto wie, bracia – powiedział, odwrócony tyłem – jeśli nasza praca zakończy się pomyślnie, to być może społeczeństwo da mi żywe oko. Taka rzecz bynajmniej nie jest fantastycznym wymysłem, chociaż straciłem je już dosyć dawno temu... A tak w ogóle to która jest godzina?

Ale jakie społeczeństwo sprawi, że on mnie zobaczy, pomyślałem, słysząc, jak Tobitt odpowiada:

– Szósta piętnaście.

– Wobec tego chodźmy już stąd, mamy przed sobą długą podróż – powiedział, przecinając pokój. Miał teraz oko na miejscu i uśmiechał się. – No i jak teraz wyglądam? – spytał mnie.

Kiwnąłem głową, byłem bardzo zmęczony. Po prostu kiwnąłem głową.

– Dobrze – powiedział. – Mam szczerą nadzieję, że tobie się to nigdy nie przydarzy. Szczerą.

– Gdyby się przydarzyło, to może polecisz mnie swojemu okuliście – rzekłem – wtedy może nie zobaczą siebie tak, jak inni mnie nie widzą.

Spojrzał na mnie dziwnie, a potem się roześmiał.

– Widzicie, bracia, żartuje. Znowu żywi braterskie uczucia. Ale tak czy inaczej mam nadzieję, że nigdy nie będziesz potrzebował czegoś takiego. Tymczasem spotkaj się z

Hambro. Przedstawi ci ten program w zarysie i da ci instrukcję. Jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, pozostaw sprawy ich biegowi. To wydarzenie, które stanie się ważne tylko wtedy, jeśli my tak postanowimy. W przeciwnym razie zostanie zapomniane – powiedział, wkładając marynarkę. – I przekonasz się, że tak jest najlepiej. Bractwo musi działać jako skoordynowany zespół.

Popatrzyłem na niego. Znowu zacząłem czuć nieprzyjemny zapach i potrzebowałem kąpieli. Pozostali podnosili się teraz z krzeseł i ruszali w stronę drzwi. Wstałem, czując, że koszula przylepiła mi się do pleców.

– 1 ostatnia rzecz – rzekł cicho Jack, kładąc mi rękę na ramieniu. – Panuj nad tą złością, to też dyscyplina. Naucz się gromić swoich przeciwników wśród braci ideami, zręcznością polemiczną. To drugie jest dla naszych wrogów. Zachowaj to dla nich. I idź się przespać.

Zacząłem drzeć. Jego twarz zdawała się przybliżać i oddalać, oddalać i przybliżać. Potrząsnął głową i uśmiechnął się ponuro.

– Wiem, jak się czujesz – powiedział. – Niedobrze, że cały ten wysiłek nie zdał się na nic. Ale to samo w sobie też jest dyscypliną. Mówię ci o tym, czego się nauczyłem, a jestem od ciebie dużo starszy. Dobranoc.

Spojrzałem na jego oko. A więc on wie, jak się czuję. Na które oko tak naprawdę nie widzi?

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc, bracie – odparli wszyscy oprócz Tobitta.

To będzie noc, ale nie dobra, pomyślałem, wołając ostatnie „Dobranoc”.

Wyszli, a ja wziąłem marynarkę, poszedłem do swojego gabinetu i usiadłem przy biurku. Słyszałem, jak schodzą po schodach i zamykają drzwi na dole. Czułem się, jakbym obejrzał mamą komedię. Tylko że to była rzeczywistość, a ja w niej żyłem, i było to jedyne historycznie znaczące życie, jakie mogłem przeżyć. Gdybym je porzucił, nie osiągnąłbym niczego. Byłbym tak martwy i pozbawiony znaczenia jak Clifton. Pomacałem dłonią w ciemnościach, znalazłem lalkę i opuściłem ją na biurko. Był martwy, a teraz z jego śmierci nic nie wyniknie. Był nieprzydatny nawet dla padlinożerców. Czekał zbyt długo, dotyczące go wytyczne zdążyły się zmienić. Musiał obywać się pogrzebem. I to było wszystko. Była to kwestia zaledwie paru dni, ale nie udało mu się, a ja nic nie mogłem zrobić. Ale przynajmniej nie żył i miał to za sobą.

Siedziałem tam chwilę, czując coraz większą wściekłość i walcząc z tym. Nie mogłem odejść i musiałem utrzymywać kontakt, by walczyć. Ale nigdy już nie będę taki sam. Nigdy. Po dzisiejszym wieczorze nie będę nawet wyglądał tak samo ani czuł tak samo. Jaki będę, nie wiedziałem; nie mogłem wrócić do tego, jaki byłem – choć nie było tego dużo – ale straciłem zbyt dużo, by być, jaki byłem. Część mnie umarła z Todem Cliftonem. A więc spotkam się z Hambro, niezależnie od tego, jakie to ma znaczenie. Wstałem i przeszedłem do sali. Na stole nadal stała szklanka. Zmiotłem ją, tak że poleciała przez ciemną salę, dudniąc i koziołkując. Potem zszedłem na dół.

Rozdział 23

W barze na dole było gorąco i tłoczno i trwał gorący spór na temat zastrzelenia Cliftona. Stałem blisko drzwi i zamówiłem bourbona. Potem ktoś mnie zauważył i próbowali wciągnąć mnie do rozmowy.

– Nie dzisiaj, proszę – powiedziałem. – On był jednym z moich najlepszych przyjaciół.

– No jasne – odparli, a ja wypilem jeszcze jednego bourbona i wyszedłem.

Kiedy znalazłem się na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, podeszła do mnie grupa obrońców praw obywatelskich z petycją domagającą się zwolnienia policjanta winnego śmierci Cliftona, a kwartał dalej znana mi kobieta, która była ulicznym kaznodzieją, wykrzykiwała kazanie o rzezi niewinnych. Zabójstwo poruszyło o wiele większą grupę, niż sobie wyobrażałem. Dobrze, pomyślałem, może to jednak nie przycichnie. Może lepiej spotkam się z Hambro jeszcze dzisiaj wieczorem.

Na całej ulicy stały małe grupki ludzi, a ja szedłem coraz szybciej, aż nagle znalazłem się na Siódmej Alei, gdzie pod latarnią uliczną, otoczony największym tłumem, stał Ras Agitator – ostatni człowiek na świecie, którego chciałem zobaczyć. I zaledwie się odwróciłem, zobaczyłem, że pochyła się pomiędzy swoimi flagami i krzyczy:

– Patrzcie, patrzcie, nasze panie i panowie! Oto idzie przedstawiciel Bractwa. Czy Ras dobrze widzi? Czy ten dzentelmen stara się przejść niezauważony? Zapytajcie go o to. Na co czekacie, proszę pana? Co robicie w sprawie naszego czarnego chłopaka zastrzelonego z powodu waszej oszukańczej organizacji?

Odwrócili się, zauważyli mnie i otoczyli. Niektórzy podeszli od tyłu i próbowali wepchnąć mnie bardziej w tłum. Agitator pochylił się, z wyciągniętą w moim kierunku dłonią, pod zielonym światłem sygnalizacyjnym.

– Zapytajcie go, co robio w tej sprawie, panie i panowie. Bojo sie – czy może biali i ich czarne pacholki zbierajo sie, żeby nas zdradzić?

– Zabierz łapy! – krzyknąłem, kiedy ktoś chwycił mnie za ramię.

Usłyszałem przeklinający mnie po cichu głos.

– Pozwólcie temu bratu odpowiedzieć! – zawołał ktoś.

Ich twarze coraz bardziej napierały na mnie. Chciało mi się śmiać, bo nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, czy biorę udział w zdradzie, czy nie. Ale oni nie byli w nastroju do śmiechu.

– Panie i panowie, bracia i siostry – odezwałem się – nie odpowiem na taki atak. Skoro wszyscy mnie znacie i wiecie, co robię, myślę, że nie jest to konieczne. Ale wykorzystywanie pechowej śmierci jednego z naszych najbardziej obiecujących młodych mężczyzn dla zaatakowania organizacji, która podejmuje działania w celu położenia kresu takim aktom przemocy, wydaje się haniebne. Która organizacja wystąpiła pierwsza przeciw temu zabójstwu! Bractwo! Kto pierwszy poderwał ludzi? Bractwo! Kto będzie zawsze pierwszy we wspieraniu sprawy ludzi? Znowu Bractwo!

Działaliśmy i zawsze będziemy działali, zapewniam was. Ale w nasz własny, zdyscyplinowany sposób. I będziemy działać pozytywnie. Nie chcemy marnować naszej i waszej energii na przedwczesne i źle obliczone działania. Jesteśmy Amerykanami, my wszyscy, czarni i biali, bez względu na to, co mówi wam ten człowiek na drabinie. Amerykanami. A znieważanie imienia zmarłego pozostawiamy temu dzentelmenowi na górze. Bractwo pogrążone jest w smutku i głęboko odczuwa stratę swojego członka. I postanowiliśmy, że jego śmierć będzie początkiem głębokich i trwałych zmian. Łatwo jest

począć na chwilę, kiedy człowiek zostanie spokojnie pogrzebany, a potem stanąć na drabinie i szkalować pamięć wszystkiego, w co wierzył. Ale stworzenie z jego śmierci czegoś trwałego wymaga czasu i dokładnego planu...

– Szanowny panie – krzyknął Ras – do rzeczy. Nie odpowiadasz na moje pytanie. Co robicie w sprawie tego zabójstwa?

Przesunąłem się ku skrajowi tłumu. Gdyby się to rozwinęło, mogłoby być fatalnie.

– Przestań wykorzystywać zmarłego dla własnych, egoistycznych celów – powiedziałem.
– Daj mu spocząć w spokoju. Przestań pastwić się nad jego trupem!

Przeczyszczałem się przez tłum, a on wpadł we wściekłość, usłyszawszy okrzyki:

– Powiedzcie mu o tym!

– Rabuś grobów!

Wymachiwał rękami i wskazywał na mnie dłonią, wrzeszcząc:

– Ten człowiek to płatny pacholek białego ciemniźcyela! Gdzie on był przez parę ostatnich miesięcy, kiedy cierpiały nasze czarne dzieci i kobiety...

– Pozwól zmarłemu spoczywać w spokoju – krzyknąłem.

Ktoś zawołał:

– Człowieku, wracaj do Afryki. Wszyscy znają tego brata.

Dobrze, pomyślałem, dobrze. Potem usłyszałem za sobą odgłosy przepychanki i obróciwszy się szybko, zobaczyłem w pobliżu dwóch mężczyzn. Byli to ludzie Rasa.

– Posłuchaj pan – oznajmiłem mu – jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, to odwołaj swoich zbirów. Zdaje się, że dwóch z nich idzie za mną.

– To parszywe kłamstwo! – krzyknął.

– Jeśli coś mi się przydarzy, są świadkowie. Człowiek, który chce wykopać zmarłego, zaledwie zdąży go pochować, jest zdolny do wszystkiego, ale ostrzegam cię...

Rozległy się gniewne krzyki niektórych osób z tłumu i zobaczyłem, że ci dwaj idą dalej jakby nigdy nic, przechodzą obok mnie z nienawiścią w oczach i znikają za rogiem. Ras atakował teraz Bractwo, a inni odpowiadali mu z tłumu; cofnąłem się w stronę Lenox i mijałem kino, kiedy mnie dopadli i zaczęli tłuc. Ale tym razem wybrali złe miejsce – przyszedł mi z pomocą bileter, więc uciekli z powrotem na mityng uliczny Rasa. Podziękowałem bilerowi i ruszyłem dalej. Miałem szczęście, nie zrobili mi nic złego, ale Ras znowu poczynił sobie śmiało. Na mniej ludnej ulicy mogliby mnie poważnie zranić.

Doszedłszy do alei, stanąłem przy krawężniku i pomachałem na taksówkę, ale się nie zatrzymała. Przejechała karetka pogotowia, a potem następna taksówka z włączonym licznikiem. Obejrzałem się. Czuję, że obserwują mnie gdzieś z góry ulicy, ale ich nie widziałem. Dlaczego nie nadjeżdża żadna taksówka! Potem na krawężniku obok mnie przystanęło trzech mężczyzn w eleganckich, letnich, kremowych garniturach i coś w ich wyglądzie uderzyło mnie jak młotkiem. Wszyscy byli w ciemnych okularach. Widziałem to z tysiąc razy, ale nagle coś, co wcześniej uważałem za bezmyślne naśladowanie hollywoodzkiej fanaberii, nabrało ogromnego osobistego znaczenia. Dlaczego nie, pomyślałem, dlaczego nie, przeszedłem szybko przez ulicę i zanurzyłem się w klimatyzowanym chłodzie drogerii.

Zobaczyłem je w gablotce wypełnionej daszkami przeciwsłonecznymi, siatkami na włosy, gumowymi rękawiczkami, kartami ze sztucznymi rzęsami i złapałem najciemniejsze soczewki, jakie udało mi się znaleźć. Były z zielonego szkła, tak ciemnego, że wydawało się czarne, i natychmiast je włożyłem, pogrążając się w czerni, i wyszedłem na zewnątrz.

Ledwie widziałem; było już prawie ciemno, a na ulicach kłębił się tłum w ciemnozielonej mgłę. Przeszedłem powoli na drugą stronę, stanąłem obok zejścia do metra i czekałem, aż dostosują mi się oczy. Kiedy przyglądałem się złowrogiemu światłu, ogarnęła mnie dziwna fala podniecenia. A teraz wśród gorących podmuchów spod ziemi wyłamali się ludzie i czułem pociągi wprawiające chodnik w drżenie. Podjechała taksówka, by wysadzić pasażera, i miałem już do niej wsiąść, kiedy weszła po schodach jakaś kobieta i stanęła przede mną z

uśmiechem. A to co znowu, pomyślałem, widząc ją stojącą tam, uśmiechającą się w obcisłej letniej sukience; dużą, młodą kobietę, która pachniała perfumami Christmas Night i podeszła teraz blisko.

– Rinehart, kochanie, to ty? – zapytała.

Rinehart, pomyślałem. A więc to działa. Położyła rękę na moim ramieniu i zanim zdążyłem pomyśleć, usłyszałem, jak mówię:

– To ty, kochanie? – I czekałem, wstrzymawszy oddech.

– No, przynajmniej raz jesteś punktualny – powiedziała. – Ale co robisz z gołą głową, gdzie masz ten kapelusz, który ci kupiłam?

Chciało mi się śmiać. Spowijał mnie teraz zapach Christmas Night i widziałem, jak jej twarz się przybliża, oczy rozszerzają.

– Ale przecież ty nie jesteś Rinehart, człowieku. Czego chcesz? Nawet nie mówisz jak Rine. O co ci chodzi?

Roześmiałem się, odsuwając od niej.

– Chyba oboje się pomyliliśmy – powiedziałem.

Zdezorientowana zrobiła krok do tyłu, ściskając torebkę i przyglądając mi się.

– Naprawdę nie miałem złych zamiarów – wyjaśniłem. – Przepraszam. Za kogo mnie wzięłaś?

– Za Rineharta i lepiej uważaj, żeby cię nie przyłapał, jak go udajesz.

– Dobrze – powiedziałem. – Ale wydawałaś się taka zadowolona, że go widzisz, że nie mogłem się oprzeć pokusie. On jest prawdziwym szczęściarzem.

– Mogłabym przysiąc, że jesteś... Człowieku, idź sobie, zanim wpędzisz mnie w kłopoty – rzuciła, ruszając na bok, więc odszedłem.

Było to bardzo dziwne. Ale z tym kapeluszem to dobry pomysł, pomyślałem, przyspieszając teraz i rozglądając się, czy nie ma w pobliżu ludzi Rasa. Traciłem czas. Wszedłem do pierwszego sklepu z kapeluszami, kupiłem najszerszy, jaki mieli na składzie, i włożyłem. W tym, pomyślałem, będę widoczny nawet podczas zawiei – tyle że wezmą mnie za kogoś innego.

Potem wróciłem na ulicę i ruszyłem w stronę metra. Wzrok szybko mi się przystosował; świat nabrał zielonej intensywności, reflektory samochodów jarzyły się jak gwiazdy, twarze były tajemniczymi, rozmazanymi plamami, jaskrawe neony kin przybladły i jarzyły się słabym, ponurym światłem. Śmiały, dumnym krokiem zmierzałem z powrotem w stronę wiecu Rasa. To był prawdziwy sprawdzian, gdyby się udało, pojechałbym do Hambro bez dalszych kłopotów. Mógłbym się spokojnie poruszać po dzielnicy w czekającym nas groźnym okresie.

Zbliżyło się paru mężczyzn, pochłaniając chodnik zawadiackim, długim krokiem, który wprawiał ich ciężkie, jedwabne koszule w rytmiczne falowanie na ciałach. Oni też mieli ciemne okulary, a na głowach kapelusze z opuszczonymi rondami. Modni się, pomyślałem, akurat w chwili kiedy przemówili.

– Sie masz, koleś – powiedzieli.

– Rinehart, powiedz nam, na co stawiasz – powiedzieli.

O, do diabła, to jego znajomi, pomyślałem, machając im ręką i idąc dalej.

– Wiemy, co robisz, Rinehart – krzyknął jeden z nich. – Rozegraj to spokojnie, stary, rozegraj to spokojnie!

Machnąłem ponownie, jakby żartem. Roześmiali się za mną. Zbliżałem się teraz do końca kwartału, mokry od potu. Km był ten Rinehart i na co stawiał? Będę musiał dowiedzieć się o nim więcej, żeby uniknąć dalszych nieporozumień...

Przejechał samochód z ryczącym radiem. Z przodu słyszałem Agitatora wrzeszczącego ochryple do tłumu. Potem przysunąłem się bliżej i zatrzymałem na widoku, w przejściu pozostawionym dla przechodniów. Z tyłu słuchacze stali w dwóch rzędach pod oknem sklepu.

Przede mną roztapiali się w zabarwionym na zielono mroku. Agitator gestykulował gwałtownie, rzucając gromy na bractwo.

– Nadszed czas działania. Musimy wygonić ich z Harlemu – wrzeszczał. I przez sekundę myślałem, że mnie spostrzegł, i zeszywniałem. – Ras powiedział: „Wygonić ich”! Czas, żeby Ras Agitator stał się Rasem NISZCZYCIELEM.

Rozległy się okrzyki zgody i rozejrzałem się wokół; dostrzegłem mężczyzn, którzy szli za mną, i pomyślałem: Co to znaczy – „niszczycielem”?

– Powtarzam, czarne panie i panowie, nadszed czas działania! Ja, Ras Niszczyciel, powtarzam, nadszed czas!

Drżałem z podniecenia; nie rozpoznali mnie. To działa, pomyślałem. Widzą kapelusz, nie mnie. To jakieś czary. Ukrywa mnie przed ich oczami... Ale nagle straciłem pewność. Kto mógłby mnie zauważyć, kiedy Ras wzywa do zniszczenia wszystkiego, co białe w Harlemie? Potrzebny był lepszy sprawdzian. Jeśli mam przeprowadzić mój plan... Jaki plan? Do diabła, nie wiem, zaraz...

Wywinąłem się z tłumu i ruszyłem do Hambro.

Pozdrowiła mnie przechodząca grupa młodych mężczyzn w marynarkach z wywatowanymi ramionami:

– Sie masz, koleś – zawołali – Sie masz!

– Sie macie! – powiedziałem.

Było tak, jakbym ubierając się i chodząc w pewien sposób, zapisał się do korporacji, w której rozpoznawano mnie od pierwszego rzutu oka – nie po rysach, ale po ubraniu, uniformie, kroku. Ale to zrodziło kolejną niepewność. Nie byłem modnisiem, lecz jakiegoś rodzaju politykiem. Czy aby na pewno? Co stałoby się podczas prawdziwego sprawdzianu? Co zrobiliby ci faceci, którzy zachowywali się tak obraźliwie w Jolly Dollar? Byłem w połowie Ósmej Alei, kiedy ta myśl przyszła mi do głowy, zawróciłem więc i pobiegłem do autobusu jadącego w tamtą stronę.

Wokół baru siedziało wielu stałych klientów. Pomieszczenie było zatłoczone, a Barrelhouse był na posterunku. Czuję, jak w nos wrzyna mi się oprawka okularów, kiedy przekrzywiłem kapelusz i przecisnąłem się do baru. Barrelhouse spojrzał na mnie szorstko, wydymając usta.

– Jaką markę pijesz dzisiaj, koleś? – zapytał.

– Niech będzie Ballantine – powiedziałem moim normalnym głosem.

Obserwowałem jego oczy, kiedy postawił przede mną piwo i pacnął swoją ogromną dłonią o bar, czekając na pieniądze. Wtedy z bijącym sercem wykonałem mój stary gest, rzucając monetę na bar, i czekałem. Moneta zniknęła w jego garści.

– Dzięki, koleś – rzucił, po czym przeszedł dalej, zostawiając mnie w rozterce. Bo wyglądało na to, że Barrelhouse rozpoznał kogoś, ale nie mnie. Nigdy nie mówił do mnie „koleś”. To działa, pomyślałem, może nawet bardzo dobrze.

Z pewnością coś działało na mnie, i to głęboko. Mimo to poczułem ulgę. Było gorąco. Może to ten upał. Piłem zimne piwo, patrząc na tył sali, na boksy. W dymnozielonej mgiełce kłębił się niczym postaci z koszmarnego snu tłum mężczyzn i kobiet. Hałasowała szafa grająca i miałem wrażenie, że zaglądam w głąb mrocznej jaskini. A teraz ktoś odsunął się na bok i patrząc wzdłuż krzywizny baru, zauważyłem za podskakującymi głowami i ramionami szafę grającą, rozświetloną jak zły sen o ogniu piekielnym, wrzeszczącą:

Jelly, Jelly

Jelly,

Przez całą noc.

A jednak, pomyślałem, przyglądając się bukmacherowi wypłacającemu wygraną za zakład, jest to miejsce, do którego Bractwo zdecydowanie przeniknęło. Niech Hambro to wyjaśni, razem z całą resztą, którą ma wyjaśnić.

Wysuszyłem szklankę i odwróciłem się, by wyjść, kiedy po drugiej stronie, przy ladzie z jedzeniem, zobaczyłem brata Maceo. Odruchowo ruszyłem ku niemu, nie pamiętając o moim przebraniu, dopóki nie znalazłem się prawie przy nim; wtedy się opanowałem i poddałem to przebranie kolejnemu sprawdzianowi. Sięgnąłem niedbale przez jego ramię, wziąłem zatłuszczony jądłospis, który leżał pomiędzy cukierniczką a butelką z ostrym sosem, i udałem, że czytam go przez ciemne okulary.

– Jak żeberka, koleś? – spytałem.

– Dobre, przynajmniej te, co jem.

– Taa? A ile wiesz o żeberkach?

Podniósł powoli głowę i spojrzał w bok, na kurczaki obracające się na rożnie przed niskimi, niebieskimi płomykami.

– Myślę, że wiem o nich tyle samo co ty – powiedział – a pewnie więcej, bo pewnie jadłem je parę lat dłużej niż ty i w paru miejscach więcej. A wogóle czemu myślisz, że możesz tu se przyść i wygłupiać się ze mno?

Odwrócił się i spojrzał mi teraz wyzywająco w twarz. Był bardzo zadziorny i chciało mi się śmiać.

– Dobra, spokojnie – warknąłem. – Można chyba zapytać, nie?

– Dostałeś odpowiedź – powiedział, odwracając się teraz zupełnie na swoim stołku. – Tak więc chyba tera wyciągniesz nóż.

– Nóż? – powiedziałem, powstrzymując śmiech. – Kto mówił coś o nożu?

– Myślisz o tym. Ktoś mówi coś, co ci się nie podoba, i tacy faceci jak ty zara wyciągają swoje sprężynowce. No dobra, dalej, wyciągaj go. Jestem gotowy umrzeć w każdej chwili. Zobaczmy, jaki jesteś chojrak, no dalej!

Sięgnąłem po cukierniczkę, a ja nagle odniosłem wrażenie, że ten stary przede mną wcale nie jest bratem Maceo, ale kimś przebranym za niego, żeby zbić mnie z tropu. Okulary działały zbyt dobrze. Jest starym, dzielnym bratem, pomyślałem, ale to nigdy nie wystarczy.

Wskazałem na jego talerz.

– Pytałem cię o te żeberka – powiedziałem – a nie o twoje żebra. Kto mówił coś o nożu?

– Mniejsza z tym, po prostu go wyciągnij – rzekł. – Zobaczmy, jaki jesteś. Amoże czekasz, aż się odwrócę plecami. W porządku, masz, oto moje plecy – powiedział, obracając się szybko na stołku, z ręką na cukiernicze.

Klienci odwracali się, żeby popatrzeć, przysuwali bliżej.

– O co chodzi, Maceo? – spytał ktoś.

– O nic, z czym nie mogę sobie poradzić, włazi tutaj ten pewny siebie sukinsyn i blefuje...

– Spokojnie, stary – powiedziałem – nie gadaj tyle, bo narobisz sobie kłopotów – myśląc: Dlaczego mówię w taki sposób?

– Nie musisz się o to martwić, sukinsynu, wyciągaj tego swojego sprężynowca!

– Przyłóż mu, Maceo, załatw skurwysyna!

Określiłem teraz orientacyjnie położenie tego ostatniego głosu i odwróciłem się tak, żeby widzieć Maceo, tego podżegacza i klientów blokujących dostęp do drzwi. Nawet szafa grająca umilkła i czułem zagrożenie wzrastające tak szybko, że instynktownie przechyliłem się ponad ladą i chwyciłem butelkę piwa, drżąc na całym ciełe.

– W porządku – rzuciłem – skoro tego chcecie, w porządku! Następny, który powie coś głupiego, oberwie tym!

Maceo poruszył się, a ja zamarkowałem cios butelką; ujrzałem, jak robi unik z ręką gotową do rzutu cukierniczką i powstrzymaną tylko dlatego, że napierałem na niego, na

ciemnoskórego, starego człowieka w kombinezonie i szarej, znoszonej, tekstylnej czapce z długim daszkiem, który przez zielone szkła wyglądał jak zjawa ze snu.

– Rzuć tym – powiedziałem – no dalej – przytłoczony szaleństwem całej tej sytuacji. Oto postanowiłem sprawdzić, jak zareaguje na przebranie mój znajomy, i teraz gotów byłem powalić go ciosem na kolana – nie dlatego, że chciałem, ale że zmuszały mnie do tego miejsce i okoliczności. Tak, tak, było to absurdalne, ale rzeczywiste i groźne, i gdyby się poruszył, przyłożyłbym mu tak brutalnie, jak tylko bym zdołał. Musiałem to zrobić w obronie własnej, bo inaczej ci pijacy daliby mi wycisk. Maceo był spięty i spoglądał na mnie zimno, i nagle usłyszałem dudniący głos:

– W mojej knajpie nie będzie bójek! – Był to Barrelhouse. – Odłóżcie wszyscy te rzeczy, bo one kosztują.

– Hej, Barrelhouse, pozwól im walczyć!

– Mogą się bić na ulicy, nie tutaj... Hej, wy wszyscy – krzyknął – spójrzcie no tu...

Zobaczyłem teraz, jak pochyła się do przodu, z pistoletem w potężnej dłoni, opierając ją pewnie na barze.

– A teraz odłóżcie to wszyscy – powiedział żałośnie. – Ja was proszę, żebyście odłożyli moją własność.

Brat Maceo patrzył to na mnie, to na Barrelhouse'a.

– Odłóż to, stary – powiedziałem, myśląc: Dlaczego tak się unoszę, skoro tak naprawdę to nie jestem ja?

– Ty odłóż swoje – odparł.

– Obaj odłóżcie; a ty, Rinehart – rzekł Barrelhouse, wskazując na mnie pistoletem – wynoś się z mojej knajpy i trzymaj się z daleka. Nie potrzebujemy tutaj twoich pieniędzy.

Chciałem zaprotestować, ale on podniósł dłoń.

– Ja nic do ciebie nie mam, Rinehart, nie zrozum mnie źle. Ale po prostu nie lubię kłopotów – oznajmił.

Brat Maceo odstawił teraz cukierniczkę, więc odstawiłem butelkę i wycofałem się do drzwi.

– Aha, Rine – rzucił Barrelhouse – i nie próbuj wyciągnąć pistoletu, bo ten tutaj jest naładowany i mam na niego pozwolenie.

Wycofałem się do wyjścia ze zjezonymi włosami, obserwując ich obu.

– Następnym razem nie zadawaj pytań, kiedy nie chcesz usłyszeć odpowiedzi – zawołał Maceo. – A jakbyś kiedy chciał dokończyć to sprzeczkę, to bede tutaj.

Na zewnątrz poczułem, jak eksploduje wokół mnie powietrze, i przystanąłem tuż za drzwiami, śmiejąc się z nagłą ulgą z żartu, który znowu stał się żartem, i oglądając się na wojowniczego starego w czapce z długim daszkiem i zakłopotane spojrzenia tłumu. Rinehart, Rinehart, pomyślałem, kim jest ten Rinehart?

Nadal chichotałem, kiedy w następnym kwartale czekałem na zmianę świateł obok grupki mężczyzn, którzy stali na rogu, dzieląc się butelką taniego wina i dyskutując o śmierci Cliftona.

– Trzeba nam trochę karabinów – powiedział jeden z nich. – Oko za oko.

– Tak, do diabła, karabinów maszynowych. Daj mi tego jabola, Muckleroy.

– Jakby nie ta ustawa Sullivana, ten cały Nowy Jork byłby jedno wielko strzelniczo – oznajmił inny.

– Trzymaj tego jabola, tylko nie próbuj szukać domu w tej butelce.

– To jedyny dom, jaki mam, Muckleroy. Chcesz mnie go odebrać?

– Człowieku, łyknij se i puść dalej to cholerno butelke.

Ruszyłem, aby ich obejść, i usłyszałem, jak któryś z nich mówi:

– I co pan powie, panie Rinehart, jak tam wisi pański ogon?

Nawet tutaj, pomyślałem, przyspieszając krok.

– Jest ciężki, człowieku – powiedziałem, znając na to odpowiedź – bardzo ciężki.

Roześmiali się.

– Do rana będzie lżyszy.

– Halo, panie Rinehart, może by pan dał mi jako robotę? – rzekł jeden z nich, podchodząc do mnie, a ja machnąłem ręką i przeszedłem na drugą stronę ulicy, po czym ruszyłem szybko Ósmą do następnego przystanku autobusowego.

Sklepy i warzywniaki spowijał teraz mrok, a po chodnikach biegały i wrzeszczały dzieci, robiąc uniki to w jedną, to w drugą stronę między dorosłymi. Szedłem zdumiony zlewającą się płynnością kształtów widzianych przez te okulary. Czyżby w taki sposób ukazywał się świat Rinehartowi? Wszystkim tym chłopakom w ciemnych okularach? – „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś... wtedy zaś...” – nie mogłem sobie przypomnieć reszty.

Niosła torbę z zakupami i ostrożnie stąpała po chodniku.

Dopóki nie dotknęła mojego ramienia, myślałem, że mówi do siebie.

– Przepraszam, synu, ale wyglądasz, jakbyś próbował dzisiaj przejść obok mnie cichcem. Jaka jest ostatnia liczba?

– Liczba? Jaka liczba?

– Przecież wiesz, o co mnie chodzi – podniosła głos, opierając dłonie na biodrach i patrząc wprost na mnie. – O dzisiejszo ostatnio liczbę. Może nie jesteś Rine Pośrednik?

– Rine Pośrednik?

– Tak, Rinehart od loterii. Kogo próbujesz nabrać?

– Ale ja się tak nie nazywam, proszę pani – powiedziałem, jak potrafiłem najwyraźniej, i odsunąłem się od niej. – Pomyliła się pani.

Otworzyła szeroko usta.

– Nie? No to dlaczego wyglądasz zupełnie jak on? – zapytała z głębokim powątpiewaniem w głosie. – Coś takiego. Ide do domu; jak mi się wyśni mój sen, to poszukam tego łajdaka. No i potrzebne mi so pieniądze.

– Mam nadzieję, że pani wygrała – powiedziałem, wytyczając wzrok, by ją wyraźnie ujrzyć – i że on pani wypłaci wygraną.

– Dzięki, synu, wypłaci, wypłaci. Tera widzę, żeś ty nie Rinehart. Przepraszam, że cie zatrzymałam.

– Nic się nie stało – rzekłem.

– Jakbym spojrzała na twoje buty, to bym od razu wiedziała...

– Dlaczego?

– Bo Rine Pośrednik nosi te z tępymi noskami.

Patrzyłem, jak odchodzi, kuśtykając, kołysząc się niczym stary statek Syjonu. Nic dziwnego, że wszyscy go znają, pomyślałem, w tym interesie trzeba się wszędzie kręcić. Po raz pierwszy od dnia, w którym zastrzelono Cliftona, zwróciłem uwagę na moje czarno-białe buty.

Kiedy podjechał do chodnika i zaczął powoli się toczyć obok mnie samochód patrolowy, wiedziałem, co będzie, zanim jeszcze jeden z gliniarzy otworzył usta.

– To ty, Rinehart? – zapytał ten, który nie prowadził. Był biały. Widziałem odznakę lśniąca na jego czapce, ale numer był niewyraźny.

– Nie tym razem, oficerze – odparłem.

– Co ty, do diabła, gadasz; odbiło ci? Buntujesz się?

– Myli się pan – powiedziałem. – Ja nie jestem Rinehart.

Samochód zatrzymał się, w moje oczy za zielonymi szklami buchnął snop światła z latarki. Gliniarz splunął na ulicę.

– Lepiej nim zostać do rana – oznajmił – i lepiej umieść naszą dolę w tym samym miejscu co zawsze. Za kogo ty, do diabła, się uważasz? – zawołał, a samochód przyspieszył i odjechał.

I zanim zdążyłem się odwrócić, z sali bilardowej na rogu wybiegł tłum mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręku pistolet automatyczny.

– Co te sukinsyny chciały ci zrobić, koleś? – zapytał.

– Nic, wzięli mnie za kogoś innego.

– Za kogo?

Spojrzałem na nich – byli kryminalistami czy po prostu ludźmi wzburzonymi po zastrzeleniu Cliftona?

– Za jakiegoś faceta o nazwisku Rinehart – powiedziałem.

– Rinehart... Hej, słyszycie? – prychnął ten facet z pistoletem. – Rinehart! Te ajrysze muszo być ślepe jak krety. Każdy widzi, że ty nie jesteś Rinehart.

– Ale on naprawdę wygląda jak Rine – powiedział inny, patrząc na mnie z rękami w kieszeniach spodni.

– Jak cholera.

– Do diabła, człowieku, o tej porze Rinehart jeździ tym swoim cadillakiem. O czym ty, do diabła, gadasz?

– Słuchaj, facet – powiedział ten z pistoletem – nikt ci nie może kazać zachowywać się jak Rinehart. Musisz być obrotny w głębie, mieć nieczułe serce i być gotowy na wszystko. Ale jak te ajrysze znów się do ciebie przyczepio, daj nam znać. Mamy zamiar skończyć z tym ichnim rozwalaniem łbów.

– Jasne – odparłem.

– Rinehart – powiedział znowu. – A to skurwiel.

Odwrócili się i weszli z powrotem do sali bilardowej, a ja ruszyłem przed siebie, by jak najszybciej wynieść się z tej dzielnicy. Zapomniawszy na chwilę o Hambro, skierowałem się na wschód zamiast na zachód. Chciałem zdjąć okulary, ale postanowiłem tego nie robić. Mogli mnie nadal szukać ludzie Rasa.

Było teraz spokojniej. Nikt nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, chociaż ulice były pełne pieszych, kłębiących się w tajemniczym odcieniu zieleni. Może znalazłem się w końcu poza jego terytorium, pomyślałem i pociąłem próbę umieszczenia Rineharta w krajobrazie Harlemu. Kręcił się tu przez cały czas, ale ja patrzyłem w inną stronę. On i jemu podobni kręcili się tu, ale ja patrzyłem obok nich, dopóki ich obecności nie uświadomiła mi śmierć Cliftona (a może sprawił to Ras?). Co, u licha, kryło się pod powierzchnią rzeczywistości? Jeśli ciemne okulary i biały kapelusz zdołały tak szybko wymazać moją tożsamość, to kto naprawdę był kim?

Perfumy były egzotyczne i zdawały się ciągnąć za mną chodnikiem, kiedy zdałem sobie wreszcie sprawę z towarzystwa kobiety, idącej za mną swobodnym krokiem.

– Czekałam, kiedy mnie rozpoznasz, tatuśku – rozległ się jej głos. – Od dawna czekam na ciebie.

Głos był przyjemny, o nieco chropawym zabarwieniu, i bardzo zaspany.

– Nie słyszysz mnie, tatuśku? – spytała. I zaczęłam się odwracać, by na nią spojrzeć, ale powiedziała: – Nie, tatuśku, nie oglądaj się, może mnie śledzić mój stary Idź po prostu koło mnie, a ja d powiem, gdzie się ze mną spotkasz. Przysięgam, że myślałam, że nigdy nie przyjdiesz. Będiesz mógł spotkać się ze mną dziś wieczorem?

Przysunęła się teraz blisko mnie i poczułem, że wkłada mi rękę do kieszeni marynarki.

– W porządku, tatuśku, nie musisz się na mnie wściekać, oto twoja należność; no to jak, spotkasz się ze mną?

Stałem jak wryty, chwyciłem ją za rękę i spojrzałem na nią, egzotyczną dziewczynę nawet za zielonymi szklami, spoglądającą na mnie z uśmiechem, który nagle zamarł jej na ustach. – Rinehart, tatuśku, o co chodzi?

A więc znowu to samo, pomyślałem, trzymając ją mocno.

– Nie jestem Rinehart, moja panno – powiedziałem. – I po raz pierwszy dziś wieczorem naprawdę tego żałuję.

– Ale Bliss, tatuśku... Rinehart! Nie chcesz chyba mnie upokorzyć... Tatuśku, co ja takiego zrobiłam?

Złapała mnie za ramię i stanęliśmy twarzą w twarz pośrodku chodnika. I nagle zapisała:

– Uuuu! Naprawdę nie jesteś Rinehart! A ja próbowałam dać ci jego pieniądze. Odwal się ode mnie, ty durniu. Odwal się!

Cofnąłem się. Miała wykrzywioną twarz, kiedy tupiała wysokimi obcasami i krzyczała. Usłyszałem, jak ktoś za mną mówi:

– Hej, co się tu dzieje?

I rozległ się tupot, kiedy pędem odskoczyłem za róg od jej wrzasku. Taka śliczna dziewczyna, pomyślałem, taka śliczna dziewczyna.

Zatrzymałem się parę kwartałów dalej, bez tchu. I zarówno zadowolony, jak i wściekły. Do jakiego stopnia ludzie mogą zgłupieć? Wszystkim nagle odbiło? Była to jasna ulica, chodniki pełne ludzi. Stałem przy krawężniku, starając się złapać oddech. W górze ulicy jarzył się nad chodnikiem napis z krzyżem:

STACJA ŚWIĘTEJ DROGI UJRZYJ ŻYWEGO BOGA

Litery jarzyły się ciemną zielenią i zastanawiałem się, czy to okulary nadają im takie zabarwienie, czy też jest to rzeczywisty kolor neonowych rurek. Obok mnie przeszło paru zataczających się pijaków. Skierowałem się do Hambro, mijając mężczyznę siedzącego na krawężniku z głową zwieszoną na kolana. Przejeżdżały samochody. Podeszło do mnie dwoje dzieci o poważnych twarzach i podało mi ulotki, których przyjęcia najpierw odmówiłem, a potem wróciłem i je wziąłem. W końcu musiałem wiedzieć, co się dzieje w tej społeczności. Wziąłem ulotkę i podszedłem bliżej latarni, czytając.

Ujrzyj niewidzialnego

Stanie się wedle woli Twojej, o Panie!

Widzę wszystko, wiem wszystko, mówię wszystko, leczę wszystko.

Zobaczysz nieznanne cuda.

Wielebny B. P. RINEHART, *Technolog Duchowy*

Stare jest zawsze nowe

Stacje Drogi w Nowym Orleanie, domu tajemnicy, Birminghamie, Nowym Jorku, Chicago, Detroit i Los Angeles

Żaden problem nie jest za trudny dla Boga.

Przyjdź do Stacji Drogi.

UJRZYJ NIEWIDZIALNEGO!

Bierz udział w naszych posługach,
spotkaniach modlitewnych trzy razy w tygodniu
Połącz się z nami w
NOWYM OBJAWIENIU
STAREJ RELIGII!

UJRZYJ WIDZIANEGO NIEWIDZIANEGO
UJRZYJ NIEWIDZIALNEGO WY,
KTÓRZY JESTEŚCIE ZMĘCZENI,
PRZYJDŹCIE DO DOMU!

ROBIĘ TO, CO CHCECIE, ŻEBY BYŁO ZROBIONE!
NIE CZEKAJCIE!

Upuściłem ulotkę do rynsztoka i ruszyłem dalej. Szedłem wolno, oddychanie nadal przychodziło mi z trudem. Czy to możliwe? Wkrótce doszedłem do tego napisu. Znajdował się nad sklepem przekształconym w kościół; wkroczyłem do niskiego holu i wytarłem twarz chusteczką. Dobiegła mnie staromodna modlitwa, jakiej nie słyszałem od wyjazdu z kampusu; a i tam rozlegała się ona tylko wtedy, kiedy poproszono o poprowadzenie modłów odwiedzających uczelnię wiejskich kaznodziejów. Głos wznosił się i opadał w rytmicznej, onirycznej recytacji – po części wyliczance ziemskich prób, które przechodziła kongregacja, po części nabożnym popisie wirtuozerii wokalne, po części prośbie do Boga. Nadal wycierałem twarz i zezowałem na sceny biblijne wymalowane niezdarnie na oknach, kiedy podeszły do mnie dwie starszuszki.

– Dobry wieczór, wielebny Rineharcie – odezwała się jedna z nich. – Jak się ma nasz drogi pastor w ten ciepły wieczór?

Och nie, pomyślałem, ale może zgoda sprawi mniej kłopotów niż zaprzeczanie, i odparłem:

– Dobry wieczór, siostry – tłumiąc głos chusteczką i czując na dłoni zapach perfum tamtej dziewczyny.

– To siostra Harris, wielebny. Przyszła przyłączyć się do naszej grupki.

– Niech cię Bóg błogosławi, siostrze Harris – powiedziałem, ściskając jej wyciągniętą dłoń.

– Wiesz, wielebny, słyszałam twoje kazanie wiele lat temu. Byłeś ledwie dwunastoletnim chłopcem, jeszcze w Wirginii. A teraz przyjeżdżam na Północ, i widzę, że, chwalić Boga, nadal głosisz ewangelie, wykonujesz Boże dzieło. Nadal nauczasz starej religii w tym nikczemnym mieście...

– Hm, siostrze Harris – powiedziała druga siostra – lepiej chodźmy do środka i zajmijmy miejsca. Poza tym pastor ma jeszcze coś do zrobienia. Chociaż przyszedł tutaj trochę wcześniej, prawda, wielebny?

– Tak – odparłem, przecierając chusteczką usta. Były matczynymi starszuskami w południowym typie i nagle poczułem nieokreśloną rozpacz. Chciałem im powiedzieć, że Rinehart jest oszustem, ale teraz dobiegł nas krzyk ze środka kościoła i usłyszałem grzmot muzyki.

– Tylko posłuchaj tego, siostrze Harris. To ten nowy rodzaj gitarowej muzyki, którą, jak ci mówiłam, sprowadził dla nas wielebny Rinehart. Czy nie jest niebiańska?

– Bogu niech bedo dzięki – powiedziała siostra Harris. – Bogu niech bedo dzięki!

– Przepraszamy, wielebny, ale muszę się zobaczyć z siostrą Judkins w sprawie tych pieniędzy, co zebrała na fundusz budowy. A zeszłego wieczoru sprzedałam, wielebny, dziesięć nagrań twojego porywającego kazania. Jedno nawet tej białej, co u niej robie.

– Niech cię Bóg błogosławi – usłyszałem swój głos, nabrzmiały rozpaczą – niech cię Bóg błogosławi.

Potem otworzyły się drzwi i zajrzałem ponad ich głowami do małego, zatłoczonego pomieszczenia, pełnego mężczyzn i kobiet siedzących na rozkładanych krzesłach, na jego przód, gdzie szczupła kobieta w rdzawoczamej szacie wykonywała namiętne boogie-woogie na pianinie, wraz z młodym mężczyzną w piusce, który wydobywał szlachetne riffy z elektrycznej gitary, podłączonej do wzmacniacza, wiszącego na suficie ponad lśniąca bielą i złotem amboną. Jakiś mężczyzna w eleganckiej szacie barwy kardynalskiej czerwieni, z wysokim, koronkowym kołnierzem, stał, opierając się na ogromnej Biblii, a teraz zaczął kierować porywającym hymnem, który kongregacja wykrzykiwała w nieznanym języku. A za nim, wysoko na ścianie, układały się w łuk złote litery:

NIECH SIĘ STANIE ŚWIATŁO!

Cała ta scena drżała mętnie i tajemniczo w zielonym świetle, a potem drzwi się zamknęły i stłumiły dźwięk.

Tego było już dla mnie za wiele. Zdjąłem okulary, biały kapelusz wsunąłem ostrożnie pod pachę i odszedłem. Czy to możliwe, myślałem, czy to naprawdę możliwe? Wiedziałem, że tak. Słyszałem o tym już wcześniej, ale nigdy nie znalazłem się tak blisko. Mimo wszystko, czy on mógł być w jednej osobie Rine'em bukmacherem, Rine'em hazardzistą, Rine'em dającym łapówki, Rine'em kochankiem i Rine'em wielebny? Czy on w ogóle był rzeczywistą osobą? Ale jak mogłem w to wątpić? Był człowiekiem, który wiele potrafił, który sobie świetnie radził. Rinehart zaradny. Istniał naprawdę, tak jak ja istniałem naprawdę. Jego świat był pełen możliwości, a on o tym wiedział. Wyprzedzał mnie o wiele lat, a ja byłem głupcem. Musiałem być szalony i ślepy. Świat, w którym żyliśmy, nie miał granic. Rozległy, wrzący, gorący świat płynności, a Rine łajdak czuł się w nim jak u siebie w domu. Być może tylko Rine łajdak czuł się w nim jak u siebie w domu. Było to niewiarygodne, ale być może tylko w niewiarygodne można było uwierzyć. Być może prawda była zawsze kłamstwem.

Być może, myślałem, ta cała sprawa powinna spłynąć ze mnie jak krople wody ze szklanego oka Jacka. Powinienem zastosować właściwą klasyfikację polityczną, zaszufladkować Rineharta i jego sytuację i szybko o tym zapomnieć. Oddalałem się od kościoła tak szybko, że znalazłem się z powrotem w biurze, zanim przypomniałem sobie, że szedłem do Hambro.

Byłem zarówno przygnębiony, jak i zafascynowany. Chciałem poznać Rineharta, a mimo to, myślałem, jestem przybity, bo wiem, że nie muszę go poznawać, że samo uświadomienie sobie jego istnienia, błędne utożsamianie mojej osoby z jego osobą, przekonało mnie, że Rinehart to ktoś rzeczywisty. Nie może tak być, ale tak jest. A może tak być, tak właśnie jest, ponieważ nic o tym nie wiadomo. Jackowi podobna możliwość nie przyszlaby w ogóle do głowy, ani Tobittowi, który myśli, że jest w centrum wydarzeń. Za mało wiedziano, zbyt dużo było ukryte w mroku. Pomyślałem o Cliftonie i o samym Jacku; ile naprawdę wiedziano o nich obu? Ile wiedziano o mnie? Czy stanął mi na drodze ktoś z mojego dawnego życia? A to, że Jack nie ma jednego oka, odkryłem po tak długim czasie.

Zaczęło mnie swędzieć całe ciało, jakby dopiero co oswobodzono mnie z gipsu i jakbym nie przywykł jeszcze do swobody ruchów. Na Południu znali cię wszyscy, ale przyjazd na Północ był skokiem w nieznaną. Ile dni mogłeś chodzić ulicami tego wielkiego miasta, nie spotykając nikogo, kto cię znał, i ile nocy? Mogłeś naprawdę narodzić się na nowo. Ta myśl była przerażająca, bo świat wydawał się teraz przepływać przed moimi oczami. Skoro zostały usunięte wszelkie granice i ograniczenia, wolność była nie tylko rozpoznaniem konieczności, ale również rozpoznaniem możliwości. I kiedy siedziałem tam rozdygotany, mignęły mi przed oczami możliwości, które ukazywały wielorakie osobowości Rineharta, i odwróciłem od nich

wzrok. Były zbyt ogromne i zbyt łatwo można było się w nich pogubić, by je rozważyć. Potem spojrziałem na wypolerowane szkła okularów i wybuchnąłem śmiechem. Staralem się po prostu użyć ich jako przebrania, a tymczasem stały się instrumentem politycznym, bo jeśli mógł je wykorzystywać w swojej działalności Rinehart, to bez wątpienia mogłem i ja w mojej. Było to zbyt proste, a przecież otworzyły już przede mną nowy fragment rzeczywistości. Co powiedziałyby na to komitet? Co mówiła im o takim świecie ich teoria? Przypomniałem sobie opowieść o czyścibucie, którego traktowano na Południu z honorami tylko dlatego, że zamiast zwyczajnego dobbsa czy stetsona nosił biały turban, i zacząłem skrecać się ze śmiechu. Jack oburzyłby się już na samą sugestię istnienia takiego stanu rzeczy. A przecież była to prawda; to był ten prawdziwy chaos, który, jak myślał, opisywał – teraz wydawało się, że było to tak dawno temu... Poza Bractwem znajdowaliśmy się poza historią; ale kiedy byliśmy w nim, nie widziano nas. Był to okropny stan rzeczy, nie byliśmy nigdzie. Chciałem wybić to sobie z głowy, a mimo to przedyskutować, poradzić się kogoś, kto powiedziałyby mi, że jest to tylko przelotne, emocjonalne złudzenie. Chciałem, by z powrotem podstawiono pod świat podpory. Tak więc teraz musiałem naprawdę spotkać się z Hambro.

Podniósłszy się, by wyjść, spojrziałem na mapę na ścianie i zacząłem się śmiać z Kolumba. Co za Indie znalazł! Byłem już prawie na końcu korytarza, kiedy sobie wszystko przypomniałem, i wróciłem, i włożyłem kapelusz i okulary. Były mi potrzebne, żeby przenieść mnie cało przez ulice.

Wziąłem taksówkę. Hambro mieszkał na zachód od Osiemdziesiątej Ulicy i w przedpokoju wsunąłem kapelusz pod pachę, a okulary włożyłem do kieszeni, w której znajdowało się ogniwo z łańcucha brata Tarpa i lalka Cliftona. Kieszeni tej zaczynało zagrażać przeciążenie.

Sam Hambro wprowadził mnie do małego, obrzeżonego książkami gabinetu. Z innej części mieszkania dobiegał dziecięcy głos śpiewający *Humpty Dumpty*, co obudziło we mnie upokarzające wspomnienie mojego pierwszego wielkanocnego występu, podczas którego stałem przed zgromadzoną w kościele publicznością, zapomniawszy słów...

– Moje dziecko – powiedział Hambro – protestuje przeciwko pójściu do łóżka. Uparciuch z tego dzieciaka.

Dziecko śpiewało *Hickory Dickory Dock*, bardzo szybko, kiedy Hambro zamknął drzwi. Mówił coś o dziecku i spojrziałem na niego z nagłą irytacją. Po co tu przyszedłem, skoro głowę miałem zaprzątniętą Rinehartem?

Hambro był tak wysoki, że gdy założył nogę na nogę, obie jego stopy dotykały podłogi. Był moim nauczycielem w okresie indoktrynacji i teraz uświadomiłem sobie, że nie powinienem być tutaj przychodzić. Prawniczy umysł Hambro był zbyt ściśle logiczny. Uznałby Rineharta po prostu za przestępcę, a moją obsesję za popadnięcie w czysty mistycyzm... Lepiej łudź się nadzieją, że tak to potraktuje, pomyślałem. Potem postanowiłem, że zapytam go o warunki w śródmieściu i wyjdę...

– Słuchaj, bracie Hambro – przerwałem mu – co będzie z moim rejonem?

Spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem.

– Stałem się jednym z tych nudziarzy, którzy za dużo gadają o swoich dzieciach?

– Och, nie, nie o to chodzi – odparłem. – Miałem ciężki dzień. Jestem zdenerwowany. Chyba przez śmierć Cliftona i przez to, że sprawy w rejonie układają się tak źle...

– Oczywiście – rzekł, nadal się uśmiechając – ale dlaczego tak się martwisz tym rejonem?

– Bo sprawy wymykają się nam z rąk. Dzisiaj próbowali mnie poturbować ludzie Rasa, a jesteśmy coraz słabsi.

– To przykre – powiedział – ale nie da się z tym zrobić niczego, co nie pokrzyżowałoby szerszych planów. Niestety, bracie, trzeba będzie tamtejszych członków poświęcić.

Odległe dziecko przestało teraz śpiewać i zaległa martwa cisza. Patrzyłem na kościsty spokój jego twarzy, szukając tam potwierdzenia szczerości jego słów. Czuję jakąś głębo-

odmianę. Było tak, jak gdyby moje odkrycie Rineharta utworzyło pomiędzy nami przepaść, ponad którą, chociaż siedzieliśmy tak blisko siebie, że mogliśmy się dotknąć, nasze głosy ledwie się niosły, a potem opadały bez echa. Próbowałem się pozbyć tego wrażenia, ale oddalenie, tak wielkie, że żaden z nas nie mógł uchwycić emocjonalnego tonu drugiego, pozostało.

– Poświęcić? – usłyszałem swój głos. – Mówisz to bardzo swobodnie.

– Tak czy inaczej, wszystkich, którzy odchodzą, trzeba uważać za straconych. Trzeba się ściśle trzymać nowych wytycznych.

Brzmiało to nierealnie, jak gra antyfonalna.

– Ale dlaczego? – zapytałem. – Dlaczego trzeba zmieniać wytyczne w moim rejonie, skoro potrzebne są stare metody – zwłaszcza teraz? – Jakoś nie mogłem nadać tym słowom potrzebnego tonu zaniepokojenia, a pod tym wszystkim nie dawało mi spokoju, tłukło mi się po głowie, coś o Rineharcie; coś, co miało ścisły związek ze mną.

– To proste, bracie – mówił Hambro. – Zawieramy tymczasowe sojusze z innymi ugrupowaniami politycznymi i interesy jednej grupy braci trzeba poświęcić dla interesu całości.

– Dlaczego nie powiedziano mi o tym? – spytałem.

– Komitet powiadomi cię w odpowiednim czasie... Poświęcenie jest teraz konieczne...

– Ale czy nie powinni się poświęcić dobrowolnie ci, którzy wiedzą, co robią? Moi ludzie nie rozumieją, dlaczego się ich poświęca. Oni nawet nie wiedzą, że są składani w ofierze – a przynajmniej, że przez nas... – A jeśli, przemknęło mi przez myśl, chcą być oszukiwani zarówno przez Bractwo, jak i przez Rineharta?

Wyprostowałem się w fotelu, a moja twarz musiała przybrać dziwny wyraz, bo Hambro, który opierał łokcie na poręczach swojego fotela, złączając dłonie koniuszkami palców, podniósł brwi, jakby oczekiwał, że będę mówił dalej. Potem powiedział:

– Zdyscyplinowani członkowie rozumieją.

Wyjąłem ogniwo z łańcucha brata Tarpa i założyłem na kłykcie. Nie zauważył.

– Nie zdajecie sobie sprawy, że została nam tylko garstka zdyscyplinowanych członków? Ten pogrzeb przyciągnął dzisiaj setki ludzi, którzy odsuną się od nas, jak tylko się zorientują, że nie idziemy za ciosem. A teraz napada się na nas na ulicach. Nie potraficie tego zrozumieć? Inne grupy rozprawdzają petycje, Ras wzywa do przemocy. Komitet się myli, jeśli sądzi, że to ucichnie.

Wzruszył ramionami.

– To ryzyko, które musimy podjąć. Wszyscy musimy poświęcić się dla dobra ogółu. Trwałe zmiany osiąga się dzięki poświęceniu. Stosujemy się do praw rzeczywistości, musimy więc ponosić ofiary.

– Ale ta społeczność domaga się równości poświęcenia – powiedziałem. – Nigdy nie prosiliśmy o specjalne traktowanie.

– To nie jest takie proste, bracie – rzekł. – Musimy bronić naszych zdobyczy. Niektórzy muszą ponosić większe ofiary niż inni. Tego nie da się uniknąć...

– Ci „niektórzy” to moi ludzie...

– W tym przypadku tak.

– A więc słabi muszą się poświęcać dla silnych? Czy tak, bracie?

– Nie, poświęca się część całości – a my będziemy działać dalej, dopóki nie ukształtujemy nowego społeczeństwa.

– Nie pojmuję tego – powiedziałem. – Po prostu nie pojmuję. Stajemy na głowie, starając się nakłonić ludzi, by poszli za nami, a kiedy to robią, zostawiamy ich samym sobie. Nie rozumiem tego.

Hambro uśmiechnął się wyniośle.

– Nie musimy się martwić agresywnością Murzynów. Ani w tym nowym okresie, ani w żadnym innym. Prawdę mówiąc, musimy ich trochę poskromić dla ich własnego dobra. To naukowa konieczność.

Patrzyłem na niego, na pociągłą, kościstą twarz, niemal taką jak twarz Lincolna. Mogłem go polubić, pomyślałem, on wydaje się naprawdę miłym i szczerym człowiekiem, a jednak mówi mi coś takiego...

– A więc naprawdę w to wierzysz – stwierdziłem cicho.

– Całym sobą. Autentycznie – powiedział.

Przez chwilę myślałem, że wybuchnę śmiechem. Albo grzmotnę go ogniem Tarpa. Autentycznie! On mi mówi o autentyczności! Nakreśliłem krąg w powietrzu. Starłem się zbudować moją autentyczność na roli w Bractwie, a teraz przeciekło mi to przez palce jak woda, rozpląnęło się w powietrzu. Czym była autentyczność? Co miała wspólnego ze światem, w którym mógł istnieć i prosperować Rinehart?

– Ale co się zmieniło? – zapytałem. – Czyż nie sprowadzono mnie tutaj po to, bym wzmacnił ich agresywność? – W moim głosie brzmiały smutek i brak nadziei.

– W tamtym konkretnym okresie – odparł Hambro, pochylając się nieco do przodu. – Tylko w tamtym okresie.

– A co się teraz wydarzy? – zapytałem.

Wypuścił kółko dymu, niebieskoszary krąg, który wzięcia! do góry, gotując się w sobie, wisiał przez chwilę w powietrzu, a potem rozpadł się w rozfalowane pasmo.

– Głowa do góry! – oświadczył. – Posuniemy się do przodu. Tylko teraz trzeba prowadzić ich wolniej...

Jak wyglądałby przez zielone okulary? pomyślałem, mówiąc:

– Jesteś pewien, że nie mówisz, że trzeba ich powstrzymać?

Zachichotał.

– Posłuchaj – rzekł. – Nie rozciągaj mnie na katowskim kole dialektyki. Jestem bratem.

– Chcesz powiedzieć, że trzeba zahamować stare koło historii – stwierdziłem. – A może małe kółka w tym kole?

Jego twarz spoważniała.

– Chcę powiedzieć tylko tyle, że trzeba ich prowadzić wolniej. Nie można pozwolić, żeby zakłócili tempo realizacji głównego planu. Chronologia wydarzeń jest niezwykle ważna. Poza tym nadal będziesz miał do wykonania pewne zadanie, tylko że teraz będzie ono bardziej oświatowej natury.

– A co z tym zabójstwem?

– Ci, którzy są niezadowoleni, odejdą, a tych, którzy zostaną, będziesz uczył...

– Myślę, że nie zdołam – powiedziałem.

– Dlaczego? To równie ważne.

– Dlatego, że oni są przeciwko nam, poza tym czułbym się jak Rinehart... – wyrwało mi się, a on spojrzał na mnie.

– Jak kto?

– Jak szarlatan – odparłem.

Plambro się roześmiał.

– Myślałem, że tego już się nauczyłeś, bracie.

Spojrzałem na niego szybko.

– Czego się nauczyłem?

– Ze to jest niemożliwe, żeby nie wykorzystywać ludu.

– To rinehartyzm... cynizm...

– Co?

– Cynizm – powtórzyłem.

– Nie cynizm – realizm. Chodzi o to, żeby wykorzystywać ludzi w ich najlepszym interesie.

Pochyliłem się do przodu, uświadamiając sobie nagle nierealność tej rozmowy. – A kto ma to oceniać? Jack? Komitet?

– Oceniamy to, zachowując naukowy obiektywizm – powiedział głosem, w którym pobrzmiwał uśmiech, i nagle zobaczyłem szpitalną maszynę, poczułem się, jakby znowu mnie w niej zamknięto.

– Nie łudź się – rzekłem. – Jedyнным naukowym obiektywizmem jest maszyna.

– Dyscyplina, nie maszyneria – oznajmił. – Jesteśmy naukowcami. Musimy zaryzykować i oprzeć się na naszej nauce i woli zwycięstwa. Chciałbyś wskrzesić Boga, aby złożyć na niego odpowiedzialność? – Potrząsnął głową. – Nie, bracie, sami musimy podejmować takie decyzje. Nawet jeśli czasami musimy wydawać się szarlatanami.

– Czeka was parę niespodzianek – powiedziałem.

– Może tak, może nie – odparł. – W każdym razie sama nasza pozycja w awangardzie zmusza nas, byśmy robili i mówili to, co jest konieczne, aby nakłonić jak największą liczbę ludzi do skierowania się ku temu, co wyjdzie im na dobre.

Nagle nie mogłem już tego znieść.

– Spójrz na mnie! Spójrz na mnie! – powiedziałem. – Wszędzie, gdzie się zwróciłem, ktoś chciał mnie poświęcić dla mojego własnego dobra – tylko że to oni na tym korzystali. A teraz znowu zaczynamy tę starą karuzelę poświęceń. W którym momencie się zatrzymamy? Czy to jest nowa, prawdziwa definicja – czy Bractwo to poświęcenie słabych? Jeśli tak, to w którym momencie się zatrzymamy?

Hambro patrzył przed siebie, jak gdyby mnie tam nie było.

– W odpowiednim momencie zatrzyma nas nauka. No i oczywiście jako jednostki musimy życzliwie podważać zasadność naszych przekonań. Nawet jeśli przynosi to niewiele dobrego. Ale z drugiej strony – wzruszył ramionami – jeśli posuniesz się w tym kierunku za daleko, nie możesz pretendować do roli przywódczej. Stracisz pewność siebie. Nie będziesz dostatecznie silnie przekonany o swojej racji, by przewodzić innym. Dlatego musisz pokładać wiarę w tych, którzy ci przewodzą – w kolektywną mądrość Bractwa.

Wyszedłem w gorszym stanie, niż przyszedłem. Parę budynków dalej usłyszałem, jak za mną woła, i zobaczyłem, że zbliża się w mroku.

– Zostawiłeś kapelusz – powiedział, wręczając mi go wraz z odbitymi na powielaczu instrukcjami przedstawiającymi zarys nowego programu. Popatrzyłem na kapelusz i na niego, myśląc o Rineharcie i niewidzialności, ale wiedziałem, że dla niego nie miałyby to nic wspólnego z rzeczywistością. Pożegnałem się z nim, życząc mu dobrej nocy, i poszedłem gorącymi ulicami do Central Parku, zmierzając w stronę Harlemu.

Złożenie w ofierze i przywództwo, pomyślałem. Dla niego było to proste. Dla nich było to proste. Ale, do diabła, ja byłem i jednym, i drugim. Składającym ofiarę i ofiarą. Ja nie mogłem od tego uciec, a Hambro nie musiał się tym zajmować. To również była rzeczywistość, moja rzeczywistość. On nie musiał przykładać noża do swojego gardła. Ciekawe, co by powiedział, gdyby to on był ofiarą?

Szedłem w ciemnościach przez park. Przejeżdżały samochody. Od czasu do czasu zza drzew i żywopłotów dobiegały czyjeś głosy, piskliwy śmiech. Czułem zapach spalonej przez słońce trawy. Niebo, na tle którego migąło światło ostrzegawcze dla samolotów, było nadal zachmurzone. Pomyślałem o Jacku, ludziach na pogrzebie, Rineharcie. Prosił nas o chleb, a ja mogłem im dać najwyżej szklane oko – nawet nie elektryczną gitarę.

Zatrzymałem się i opadłem na ławkę. Powinienem się wycofać, pomyślałem. To jedyna uczciwa rzecz, którą mogłem zrobić. W przeciwnym razie mógłbym im tylko powtarzać, by mieli nadzieję i starali się trzymać tych, którzy słuchają. Czy to właśnie uosabiał również Rinehart – zasadę nadziei, za którą chętnie płacili? W przeciwnym razie nie pozostawało nic

poza zdradą, a to oznaczałoby powrót na służbę do Bledsoe i Emersona, skok z garnka absurdu w ogień śmieszności. A jedno i drugie byłoby zdradą samego siebie. Ale nie mogłem się wycofać; musiałem załatwić sprawy z Jackiem i Tobitem. Byłem to winien Cliftonowi, Tarpowi i pozostałym. Musiałem wytrwać... i wtedy przyszła mi do głowy myśl, która wstrząsnęła mną do głębi: Nie musisz się martwić o tych ludzi. Skoro tolerują Rineharta, zapomną o tym i nawet dla nich jesteś niewidzialny. Trwało to tylko ułamek sekundy i natychmiast ją odrzuciłem; mimo to błysnęła na ciemnym niebie mojego umysłu. Tak właśnie było. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ nie zdawali sobie sprawy z tego, co się stało, ani z moich nadziei, ani z mojego zawodu. Moja ambicja i autentyczność były dla nich niczym, a zawód, którego doznałem, nie miał dla nich żadnego znaczenia, tak jak zawód, którego doznał Clifton. Tylko w Bractwie zdawała się istnieć szansa dla takich jak my, zaledwie promyk światła, ale za gładką i ludzką fasadą oka Jacka odkryłem amorficzny kształt i surową, czerwoną brutalność. Ale nawet to nie miało znaczenia dla nikogo oprócz mnie.

Cóż, istniałem, a jednak byłem niewidzialny, to była podstawowa sprzeczność. Istniałem, a jednak nie byłem widziany. Było to przerażające i kiedy tam siedziałem, wyczułem inny, przerażający świat możliwości. Bo teraz wiedziałem, że mogę się zgadzać z Jackiem, nie zgadzając się z nim. Mogłem mówić ludziom w Harlemie, by mieli nadzieję, chociaż nie było żadnej nadziei. Może mógłbym mówić im, by mieli nadzieję, dopóki nie znajdę podstawy czegoś rzeczywistego, jakiejś solidnej podstawy do działania, które wprowadzi ich na płaszczyznę historii. Ale do tego czasu musiałbym nimi poruszać, sam nie poruszony... Musiałbym stać się Rinehartem.

Oparłem się o mur biegnący wzdłuż parku, myśląc o Jacku i Hambro, i o wydarzeniach tego dnia, i zatrząsnęłem się z wściekłości. To wszystko było oszustwem, nieprzyzwoitym oszustwem! Uważali się za znawców świata. Co oni wiedzieli o nas, oprócz tego, że było nas tak wielu, że pracowaliśmy w pewnych zawodach, mieliśmy do zaoferowania tak wiele głosów i dostarczaliśmy tak wielu uczestników jakiegoś organizowanego przez nich marszu protestu? Opierałem się o mur, gorąco pragnąc ich upokorzyć, udowodnić im, że się mylą. I teraz wszystkie doznane w przeszłości upokorzenia stały się cennymi składnikami mojego doświadczenia i po raz pierwszy, opierając się w ten parny wieczór o ten kamienny mur, zacząłem akceptować moją przeszłość, a kiedy ją zaakceptowałem, poczułem wzbierające we mnie wspomnienia. Czułem się tak, jakbym nagle nauczył się zaglądać za róg; przez głowę przemykały mi obrazy minionych upokorzeń i widziałem, że są czymś więcej niż tylko oddzielnymi przeżyciami. Były mną; określały mnie. Ja byłem moimi przeżyciami, a moje przeżycia były mną, i żadni ślepcy, choćby nie wiadomo jak stali się potężni, nawet gdyby podbili cały świat, nie mogli mi ich odebrać ani zmienić nawet najlżejszego śwędzenia, drwiny, śmiechu, płaczu, blizny, bólu czy wściekłości. Oni są ślepi, ślepi jak nietoperze, poruszają się jedynie według odbitych dźwięków swoich własnych głosów. A ponieważ są ślepi, zniszczą sami siebie, a ja im w tym pomogę. Roześmiałem się. Myślałem, że mnie zaakceptowali, ponieważ uważali, że kolor skóry nie ma znaczenia, podczas gdy w rzeczywistości nie miał znaczenia, gdyż nie widzieli ani kolorów, ani ludzi... Obchodziło ich tylko to, że byliśmy tak wielką liczbą nazwisk nagryzmołonych podczas sfakszowanych głosowań, do wykorzystania w dogodnej chwili i do wyrzucenia, gdy nie byliśmy potrzebni. To był żart, absurdalny żart. A teraz zerknąłem w głąb swego umysłu i zobaczyłem Jacka, Nortona i Emersona zlewających się w jedną białą postać. Byli prawie tacy sami, każdy z nich starał się wmusić mi swój obraz rzeczywistości i miał w nosie to, jak świat wygląda w moich oczach. Byłem po prostu materiałem, surowcem do wykorzystania. Przeszedłem od aroganckiej absurdalności Nortona i Emersona do absurdalności Jacka i Bractwa i wszystko okazało się takie samo – tyle tylko, że teraz poznałem moją niewidzialność.

A więc zaakceptuję to, zbadam to, korę i rdzeń. Zagłębię się w tym obiema nogami, a oni się zakrzuszą. Och, ależ się zakrzuszą. Nie wiedziałem, co miał na myśli mój dziadek, ale byłem gotów wypróbować jego radę. Pokonam ich potakiwaniem, osłabię uśmiechami, pogodzę ze śmiercią i zniszczeniem. Tak, i pozwolę, żeby mnie połykali, aż zwymiotują albo pękną. Niech się zakrzuszą tym, czego nie chcą widzieć. Niech się tym zadławiają. To było jedyne ryzyko, którego nie wzięli pod uwagę. To było ryzyko, o którym nigdy się nie śniło ich filozofom. Nie wiedzieli też, że mogą się zdyscyplinować aż do zagłady, że może ich zniszczyć potakiwanie. O, będę im potakiwał, ależ będę im potakiwał! Będę im potakiwał, aż się porzygają i potopiają. Chcieli ode mnie jednego beknienia na potwierdzenie, więc wydam je na cały głos. Tak! Tak! TAK! Tylko tego wszyscy od nas chcieli, żebyśmy byli słyszani, a nie widziani, i to słyszani jedynie jako jeden wielki, optymistyczny chór, który powtarza: Tak, panie, tak, panie, tak, panie! Dobrze, będę mówił tak, tak i oui, oui i si, si i sie robi, sie robi; i będę chodził im po bebechach w podkutyh buciorach. Nawet tym supergrubym rybom, których nigdy nie widziałem na zebraniach komitetu. Chcieli maszyny? Dobrze, stanę się superczułym potwierdzaczem ich błędnych koncepcji i tylko po to, by nie stracić ich zaufania, będę miał tylko czasami rację. O, dobrze się im przysłużę i postaram się, żeby czuli niewidzialność, skoro nie mogą jej zobaczyć, i przekonają się, że może być ona równie silnym źródłem skażenia jak rozkładające się ciało czy kawałek zepsutego mięsa w gulaszu. A jeśli zostaną zraniony? To też dobrze. A poza tym – czyż oni nie wierzą w poświęcenie? Są subtelnyimi myślicielami – czy byłoby to zdradą? Czy to słowo stosowało się do człowieka niewidzialnego? Czy mogli rozpoznać wybór w tym, co nie było widziane...?

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej wpadałem w jakąś niezdrową fascynację tą możliwością. Dlaczego nie odkryłem jej wcześniej? Jakże inne mogłoby wtedy być moje życie! Jak strasznie inne! Dlaczego nie dostrzegłem tych możliwości? Jeśli dzierżawca pola mógł uczyć się na uniwersytecie, pracując latem jako kelner i robotnik w fabryce czy jako muzyk, i zostać lekarzem, to dlaczego nie można by zrobić tego wszystkiego w jednym i tym samym czasie? A czyż tamten stary niewolnik nie był naukowcem – a przynajmniej czyż nie nazywano go tak, nie uważano za takiego – nawet kiedy stał z kapeluszem w ręku, kłaniając się i szurając w starczej i nieprzyzwoitej służalczości? Mój Boże, jakież istniały możliwości! A to kręcenie, to gadanie o postępie! Kto znał wszystkie sekrety; czyż nie zmieniałem nazwiska i ani razu nikt mi nie zarzucił, że nie jestem tym, za kogo się podaję? A to kłamstwo, że sukces był pięciem się do góry. Cóż za podłe kłamstwo, dzięki któremu dominowali nad nami. Do sukcesu mogłeś dążyć, nie tylko pnać się w górę, ale również schodząc w dół; w górę i w dół, wycofując się i idąc do przodu, w bok i na ukos, i w kółko, spotykając swoje dawne ja, przychodzące i odchodzące, i może wszystko jednocześnie. Jak mogłem tego nie zauważać tak długo? Czyż nie wyrosłem wśród polityków-hazardzistów, sędziów-przemysłowców i szeryfów, którzy byli włamywaczami; również i członków Ku-Klux-Klanu, którzy byli kaznodziejami i członkami stowarzyszeń charytatywnych? Do diabła, czyż Bledsoe nie próbował mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Czuję się bardziej trupem niż żywym człowiekiem. To był dopiero dzień; dzień, który nie mógłby być bardziej wstrząsający, nawet gdybym się dowiedział, że człowiek, którego zawsze nazywałem ojcem, w rzeczywistości nie był w ogóle ze mną spokrewniony.

Poszedłem do mieszkania i padłem w ubraniu na łóżko. Było gorąco, a wentylator tylko mieszał powietrze, tworząc ciężkie, ołowiane fale, pod którymi leżałem, obracając ciemne okulary i przyglądając się hipnotycznemu migotaniu szkieł, kiedy starałem się obmyślać plan. Ukryję mój gniew i uspię ich; zapewnię, że społeczność w pełni zgadza się z ich programem. A na dowód przedstawię sfalszowane listy obecności, wypełniwszy karty członkowskie na fikcyjne nazwiska – osób bezrobotnych, rzecz jasna, by uniknąć pytań o składki. Tak, a po rejonie będę się poruszał nocą i w chwilach zagrożenia w białym kapeluszu i ciemnych okularach. Była to ponura perspektywa, ale taki był sposób na zniszczenie ich, przynajmniej

w Harlemie. Nie widziałem możliwości stworzenia rozłamu i zorganizowania konkurencyjnego ruchu, bo jaki byłby następny krok? Dokąd byśmy poszli? Nie mieliśmy żadnych potencjalnych sojuszników, z którymi moglibyśmy połączyć się jak równi z równymi; nie mieliśmy też czasu ani teoretyków, którzy opracowaliby nasz własny ogólny program – chociaż czułem, że gdzieś między Rinehartem i niewidzialnością kryły się wielkie możliwości. Ale nie mieliśmy pieniędzy, aparatu wywiadu – ani we władzach, ani wśród przedsiębiorców, ani w związkach zawodowych – i żadnych środków łączności z naszymi ludźmi, oprócz niezycliwych gazet, paru stewardów w wagonach sypialnych, którzy przynosili wieści z odległych miast, i grupy służących, którzy donosili o zupełnie nieciekawym życiu prywatnym swoich chlebodawców. Gdybyśmy tylko mieli jakichś prawdziwych przyjaciół, którzy widzieli w nas coś więcej niż dogodne narzędzia kształtowania rzeczywistości według swoich pragnień! Ale do diabła z tym, pomyślałem, pozostanę tutaj i stanę się zdyscyplinowanym optymistą i pomogę im pójść wesoło do piekła. Skoro nie mogę pomóc im ujrzeć rzeczywistości naszego życia, to pomogę im ją lekceważyć, aż wybuchnie im prosto w twarz.

Martwiło mnie tylko jedno – ponieważ wiedziałem już, że prawdziwych celów nie ujawniano nigdy na zebraniach komitetu, potrzebny mi był jakiś kanał informacji, przez który mógłbym się dowiedzieć, co tak naprawdę kierowało ich działaniami. Ale skąd go wziąć? Gdybym przeciwstawił się przeniesieniu do śródmieścia, miałbym teraz wystarczające poparcie w społeczności, by d o m a g a ć się, żeby tamci się ujawnili. Tak, ale gdybym nie został przeniesiony, żyłbym nadal w świecie złudzeń. Ale teraz, kiedy znalazłem główny wątek rzeczywistości, jak mam się go trzymać? Wydawali się blokować mnie na każdym zakręcie, zmuszać, bym walczył z nimi w ciemności. W końcu rzuciłem okulary na łóżko i zapadłem w niespokojną drzemkę, podczas której przeżywałem na nowo wydarzenia kilku ostatnich dni, tyle tylko, że to ja ginąłem zamiast Cliftona, obudziłem się więc wyżęty, spocony i świadom zapachu perfum.

Leżałem na brzuchu, z głową spoczywającą na grzbiecie dłoni, zastanawiając się, skąd dochodzi ta woń? I gdy zauważyłem okulary, przypomniałem sobie, że chwyciłem za rękę dziewczynę Rineharta. Leżałem bez ruchu i zdawało mi się, że przysiadła na wezglowiu łóżka, jasnooki ptak o błyszczącej głowie i dorodnych piersiach, a ja byłem w lesie i bałem się, że spłoszę tego ptaka. Potem rozbudziłem się na dobre i ptak zniknął, a z nim obraz dziewczyny w mojej głowie. Co by się wydarzyło, gdybym ją był poprowadził, jak daleko bym zaszedł? Taka ponętna dziewczyna zadawała się z Rinehartem. Nagle usiadłem, ciężko oddychając i zadając sobie pytanie, jak Rinehart rozwiązałby problem informacji, i od razu nasunęła mi się wyraźnie odpowiedź: do tego potrzebna była kobieta. Zona, dziewczyna albo sekretarka jednego z przywódców, która chciałaby swobodnie ze mną rozmawiać. Cofnąłem się myślami do moich pierwszych doświadczeń w Bractwie. Z zakamarków pamięci wyskakiwały wspomnienia drobnych wydarzeń, niosąc ze sobą obrazy uśmiechów i gestów pewnych kobiet, spotkanych po wiecach czy na przyjęciach: tańczę z Emmą w Chtonicznym, ona blisko, miękko oparta o mnie, gorące, szybkie skupienie się mojego pożądania i moje zakłopotanie, gdy zauważyłem w kącie perorującego Jacka, i Emma przytula się do mnie, jej unieruchomione piersi naciskają na mnie, patrzy z tym zalotnym błyskiem w oczach i mówi: – Ach, pokusa – a ja rozpaczliwie szukam finezyjnej odpowiedzi i znajduję tylko jedną. – Och, ale zawsze istnieje pokusa – mimo wszystko zaskakując sam siebie, i słyszę, jak się śmieje: – *Touché! Touché!* Powinieneś przyjść któregoś popołudnia i pofechtować ze mną. – Było to w pierwszych dniach, kiedy czułem silne ograniczenia i miałem Emmie za złe jej śmiałość i opinię, że powinienem być czarniejszy, by odgrywać rolę przywódcy Harlemu. Cóż, nie było już żadnych ograniczeń, komitet zadbał o to. Była dobrą zwierzyną i może w końcu przekona się, że jestem wystarczająco czarny. Na jutro zwołano zebranie komitetu, a ponieważ będą to urodziny Jacka, czeka nas potem przyjęcie w Chtonicznym. Tak więc

przeprowadzę atak z dwóch stron w najkorzystniejszej sytuacji. Zmuszają mnie do stosowania metod Rineharta, a więc dawajcie tych naukowców!

Rozdział 24

Zacząłem im potakiwać następnego dnia i spisałem się znakomicie. Społeczność nadal rozchodziła się w szwach. Przy najdrobniejszych incydentach tworzyły się tłumy. Rozbijano okna sklepów, a rano doszło do kilku starć między kierowcami autobusów i pasażerami. Gazety wymieniały podobne incydenty, które wydarzyły się nocą. Rozbito lustrzaną fasadę sklepu przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i przechodząc tam, zauważyłem grupkę chłopców, którzy oglądali swoje zniekształcone odbicia, kiedy tańczyli przed wyszczerbionym szkłem. Obserwowała to grupa dorosłych, odmawiających rozejścia się na polecenie policjanta i mruczących coś o Cliftonie. Nie podobało mi się to, jak wyglądają sprawy, choć pragnąłem pomieszać szyki komitetowi.

Kiedy przyszedłem do biura, byli tam już członkowie organizacji z doniesieniami o utarczkach w innych częściach rejonu. Zupełnie mi się to nie podobało; przemoc była bezcelowa i, przy poparciu Rasa, wymierzona w istocie przeciwko samej społeczności. Jednak mimo poczucia pogwałconej odpowiedzialności byłem zadowolony z rozwoju wydarzeń i zająłem się realizacją mojego planu. Wysłałem członków z poleceniem, by wmieszali się w tłum i starali się zniechęcać do przemocy, i wysłałem list otwarty do prasy, oskarżając ją o „zniekształcanie” i rozdmuchiwanie drobnych incydentów.

Później tego popołudnia poinformowałem braci w centrali, że wszystko się uspokaja i że zainteresowaliśmy dużą część społeczności kampanią sprzątnięcia, dzięki której oczyścimy podwórka, przejścia między domami i puste działki ze śmieci i odpadków i odwrócimy myśli Harlemu od Cliftona. Było to tak bezczelne zagranie, że niemal straciłem przekonanie o mojej niewidzialności, kiedy stałem przed nimi. Ale bardzo im się to spodobało, a kiedy wręczyłem im podrobioną listę nowych członków, powitali ją z entuzjazmem. Okazało się, że mieli słuszną rację; program był właściwy, wydarzenia postępowały w przewidzianym kierunku, historia była po ich stronie, a Harlem ich uwielbiał. Siedziałem tam, uśmiechając się w duchu, kiedy przysłuchiwałem się uwagom, które później padały. Widziałem rolę, którą miałem odegrać, tak wyraźnie jak rude włosy Jacka. W ironicznym skoku świadomości, który był niczym zaglądnienie za róg, pojawiły mi się w głowie wydarzenia z mojej przeszłości, zarówno te, które akceptowałem, jak i te, które ignorowałem. Miałem być wyjaśniaczem, a moje zadanie polegać miało na negowaniu istnienia nieprzewidywalnego ludzkiego elementu w całym Harlemie, aby mogli go zignorować, gdyby w jakikolwiek sposób przeszkadzał w realizacji ich planów. Miałem im zawsze ukazywać obraz radosnej, biernej, pogodnej, chłonnej masy, zawsze gotowej przyjąć każdy ich pomysł. Kiedy powstałyby sytuacje, w których inni zareagowaliby słusznym gniewem, mówiłbym, że jesteśmy spokojni i niewzruszeni (a gdyby chcieli, byśmy pałali złością, spreparowalibyśmy odmienny obraz, dzięki zwykłym stwierdzeniom w materiałach propagandowych; fakty były nieważne, nierzeczywiste); a gdyby innych zdezorientowały ich manipulacje, miałem ich zapewniać, że to my przeniknęliśmy do prawdy dzięki naszej rentgenowskiej intuicji. Gdyby inne ugrupowania były zainteresowane zdobyciem bogactwa, ja miałem zapewniać braci i wątpiących członków z innych rejonów, że my odrzucamy bogactwo jako demoralizujące i z samej swej istoty upadające; gdyby inne mniejszości kochały kraj mimo swoich żalów, ja zapewniałbym komitet, że my, uodpornieni na takie absurdalnie ludzkie, mieszane uczucia, absolutnie go nienawidzimy; i co było największą sprzecznością ze wszystkich, kiedy oskarżaliby amerykańską scenę o zepsuciu i zwyrodnieniu, ja miałem mówić, że my jesteśmy cudownie zdrowi, chociaż uwieźliśmy w jej żyłach i ścięgna, bez możliwości uwolnienia

się. Tak, panie, tak, panie! Chociaż niewidzialny, będę ich uspokajającym głosem zaprzeczenia; wytobittuję Tobitta, a jeśli chodzi o ten worek gówna, Wrestruma – no cóż. Kiedy tam siedziałem, jeden z nich rozdymał rzekome pozyskanie nowych członków do rangi sprawy o ogólnonarodowym znaczeniu. Iluzja tworzyła kontriluzję. Gdzie to się skończy? Czyżby wierzyli w swoją własną propagandę?

Później w Chtonicznym wszystko było jak dawniej. Urodziny Jacka były okazją do szampana i gorący wieczór kanikuły stał się bardziej nieprzewidywalny niż zwykle. Czułem się bardzo pewien siebie, ale tutaj mój plan nieco zawiódł. Emma była dość wesoła i żywo reagowała, ale coś w jej surowej, przystojnej twarzy ostrzegło mnie, żebym zostawił ją w spokoju. Miałem wrażenie, że chociaż mogłaby się chętnie poddać (żeby zadowolić siebie), to była zbyt obyta i biegła w intrygach, by narazić na szwank swoją pozycję kochanki Jacka, ujawniając mi cokolwiek ważnego. Tak więc tańcząc i ścierając się z Emmą, rozglądałem się za drugą kandydatką.

Znaleźliśmy się razem przy barku. Miała na imię Sybil, należała do niewiast, które przypuszczały, że moje wykłady o sprawie kobiecej oparte były na gruntowniejszej wiedzy niż tylko polityczna, i parokrotnie wykazała chęć bliższego poznania mnie. Zawsze udawałem, że nie rozumiem, o co jej chodzi, bo nie tylko moje pierwsze tego rodzaju doświadczenie nauczyło mnie, żebym unikał takich sytuacji, ale tutaj, w Chtonicznym, była zazwyczaj wstawiona i smutna – była akurat tego typu nie rozumianą mężatką, jakiej, nawet gdyby mnie interesowała, unikałbym jak zarazy. Ale teraz jej zgryzota i fakt, że była żoną jednej z grubych ryb, czyniły z niej idealną kandydatkę. Była bardzo samotna i wszystko poszło bardzo gładko. Na tym hałaśliwym przyjęciu urodzinowym – po którym miała się odbyć następnego wieczoru uroczystość publiczna – nie zwracano na nas uwagi, więc kiedy wyszła dość wcześnie, odprowadziłem ją do domu. Czuła się zaniedbywana, a on był stale zajęty i kiedy się z nią rozstawałem, umówiliśmy się na randkę na następny wieczór u mnie. George, jej mąż, miał być na obchodach urodzin Jacka, nie będzie mu więc jej brakowało.

Był gorący, bezdeszczowy, sierpniowy wieczór. Niebo na wschodzie rozświetliła błyskawica, a w wilgotnym powietrzu wyczuwało się bezwietrzne napięcie. Popołudnie spędziłem na przygotowaniach, wyszedłszy z biura pod pretekstem choroby, bym nie musiał brać udziału w uroczystości. Nie miałem ani chętki, ani kolekcji znaczków, ale w salonie stał wazon z chińskimi liliami, a na stoliku obok łóżka drugi, z różami American Beauty; przywiozłem też zapas wina, whisky i likieru, dodatkowych kostek lodu oraz owoców, sera, orzechów, słodczy i innych delikatesów z Vendôme. Krótko mówiąc, starałem się wszystko urządzić tak, jak moim zdaniem zrobiłby to Rinehart.

Ale sknociłem to od samego początku. Zrobiłem zbyt mocne drinki – które smakowały jej aż za bardzo; i poruszyłem sprawy polityki – których nie znosiła – zbyt wcześnie. Mimo całego tego obcowania z ideologią w ogóle nie interesowała się polityką i nie miała najmniejszego pojęcia o intrygach, które zajmowały jej męża dniem i nocą. Bardziej interesowała się trunkami, w czym musiałem jej towarzyszyć szklaneczką za szklaneczką, i małymi dramatami, które wymyśliła i osnuła wokół postaci Joego Louisa i Paula Robesona. I chociaż nie miałem ani postury, ani temperamentu potrzebnych do odegrania którejś z tych ról, oczekiwała, że albo zadudnię basem *Old Man River*, albo będę robił zabawne sztuczki z moimi mięśniami. Byłem zakłopotany i rozbawiony i wyszły z tego niezłe zawody, w których ja starałem się utrzymać nas dwoje w kontakcie z rzeczywistością, ona zaś obsadzała mnie w swoich fantazjach w roli brata Tabu-z-kórym-wszystko-jest-możliwe.

Zrobiło się późno i kiedy wszedłem do pokoju z kolejną porcją trunków, rozpuściła włosy i przywołała mnie skinieniem ze złotą spinką w zębach, mówiąc:

– Chodź do mamy, mój śliczny – z łóżka, na którym usiadła.

– Pani drink, madame – powiedziałem, wręczając jej szklanekę i mając nadzieję, że drink zniechęci ją do nowych pomysłów.

– Chodź, mój drogi – powiedziała z fałszywą skromnością. – Chcę ci coś powiedzieć.

– Co? – spytałem.

– Muszę powiedzieć to szeptem, mój śliczny.

Usiadłem, a jej usta zbliżyły się do mojego ucha. I nagle poczułem się tak, jakby uderzyła mnie obuchem. Odsunąłem się. W postawie, w jakiej tam siedziała, było niemal coś pruderyjnego, a mimo to złożyła mi właśnie skromną propozycję, bym wykonał z nią pewien bardzo odrażający rytuał.

– Co takiego?! – zawołałem, a ona to powtórzyła. Czy życie stało się nagle szalonym rysunkiem Thurbera?

– Proszę, zrobisz to dla mnie, prawda, śliczny?

– Mówisz poważnie?

– Tak – odparła – tak!

W jej twarzy była teraz jakaś nieskazitelność, która świadczyła o tym, że Sybil nie jest zdeprawowana, co jeszcze bardziej mnie zmieszało, bo ani nie żartowała, ani nie próbowała mnie obrazić; i nie potrafiłem powiedzieć, czy to przemawia do mnie obrzydlistwo z niewinności, czy niewinność wychodząca bez szwanku z nieprzyzwoitej intrygi tego wieczoru. Wiedziałem tylko, że ten cały romans jest nieporozumieniem. Nie miała żadnych informacji, postanowiłem więc pozbyć się jej z mieszkania, zanim będę musiał zmierzyć się ostatecznie albo z tym obrzydlistwem, albo z niewinnością, i dopóki jeszcze mogłem to nadal traktować jako żart. Co z tym zrobiłby Rinehart, pomyślałem i zdecydowałem, że nie pozwolę jej sprowokować się do przemocy.

– Ale, Sybil, widzisz przecież, że ja nie jestem taki. Żywię do ciebie czułe, opiekuńcze uczucie... Słuchaj, tutaj jest jak w piecu, może ubierzemy się i pójdziemy na spacer do Central Parku?

– Ale ja tego potrzebuję – powiedziała, zdejmując udo z uda i prostując się niecierpliwie.

– Możesz to zrobić, dla ciebie, śliczny, będzie to łatwe. Zagroź, że mnie zabijesz, jeśli ci się nie oddam. No wiesz, mów do mnie szorstko, śliczny. Moja przyjaciółka powiedziała, że ten facet powiedział: „Ściągaj majtki”... i...

– Co powiedział?! – spytałem.

– Naprawdę tak powiedział – odparła.

Spojrzałem na nią. Rumieniała się, jej policzki, nawet piegowata pierś, były jasnoczerwone.

– Mów dalej – rzekłem, kiedy położyła się na plecach. – Co się potem stało?

– No... brzydko ją nazwał – oznajmiła, wahając się z fałszywą skromnością. Była przywiedłą, podstarzałą dziewczyną z kasztanowymi, naturalnie falującymi włosami, które teraz rozrzucone były na poduszce. Bardzo się czerwieniła. Czy miało mnie to podniecić, czy też było nieświadomym przejawem odrazy? – Naprawdę bardzo brzydko – podjęła. – Och, on był zwierzem, potężnym, z białymi zębami, takim, jakich nazywają „ogierami”. I powiedział: „Ściągaj majtki, suko”, a ona to zrobiła. To taka śliczna dziewczyna, naprawdę delikatna, o cerze jak truskawki ze śmietaną. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek tak ją nazwał.

Uniosła się teraz do pozycji półleżącej, wgniatając łokciami poduszkę, kiedy spojrzała mi w twarz.

– No i co się stało, złapali go? – zapytałem.

– Och, oczywiście, że nie, mój śliczny, powiedziała o tym tylko dwóm przyjaciółkom. Nie mogła pozwolić, żeby usłyszał o tym jej mąż. On... ale to za długa historia.

– To straszne – powiedziałem. – Nie sądzisz, że powinniśmy iść...?

– Prawda? Była roztrzęsiona przez parę miesięcy... – Jej twarz drgała, przybrała nieokreślony wyraz.

– Co z tobą? – zapytałem, bojąc się, że może się rozplakać.

– Och, właśnie się zastanawiałam, jak ona się naprawdę czuła. Naprawdę się zastanawiam.
– Nagle spojrzała na mnie tajemniczo. – Mogę ci powierzyć wielki sekret?

Wyprostowałem się.

– Tylko mi nie mów, że to byłaś ty.

Uśmiechnęła się.

– Och, nie, to była moja droga przyjaciółka. Ale wiesz co, mój śliczny – powiedziała, nachylając się ku mnie konfidencjonalnie – myślę, że jestem nimfomanką.

– Ty? Neeee!

– Aha. Czasami mam takie myśli i sny. Nigdy się im nie oddaję, ale naprawdę myślę, że jestem nimfomanką. Kobieta taka jak ja musi sobie wyrobić żelazną dyscyplinę.

Roześmiałem się w duchu. Niedługo będzie staruszką, korpulentną, z podwójnym podbródkiem i trzema fałdami tłuszczu na brzuchu. Powyżej kostki u nogi pokazał się cienki złoty łańcuszek. A jednak zaczynałem sobie uświadamiać, że jest w niej coś ciepłego, irytująco kobiecego. Poglądziłem ją po ręce.

– Dlaczego masz takie myśli o sobie? – zapytałem, a ona podniosła się i szarpnęła za róg poduszki, wyciągając z niej cętkowane piórko i oskubując puch z jego stosiny.

– Z powodu stłamszenia – oznajmiła z wielką finezją. – Mężczyźni za bardzo nas stłamsili. Oczekują od nas, że zrezygnujemy z nazbyt wielu ludzkich rzeczy. Ale chcesz znać inny sekret?

Pochyliłem głowę.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówiła dalej, prawda, mój śliczny?

– Nie, Sybil.

– Odkąd po raz pierwszy usłyszałam o tym, a byłam wtedy bardzo małą dziewczynką, chciałam, żeby mi się to przydarzyło.

– To, co przydarzyło się twojej przyjaciółce?

– Aha.

– Dobry Boże, czy kiedykolwiek powiedziałaś o tym komuś innemu?

– Oczywiście, że nie. Nie odważyłabym się. Jesteś wstrząśnięty?

– Trochę. Ale dlaczego mnie o tym mówisz?

– Och, wiem, że mogę ci zaufać. Po prostu wiedziałem, że zrozumiesz; nie jesteś taki jak inni mężczyźni. Jesteśmy do siebie w pewnym sensie podobni.

Uśmiechnęła się teraz, wyciągnęła rękę i popchnęła mnie lekko, i pomyślałem: Znowu się zaczyna.

– Połóż się i pozwól mi popatrzeć na ciebie na tym białym prześcieradle. Jesteś śliczny, zawsze tak uważałam. Jak ciepły heban na tle czystego śniegu – widzisz, jak na mnie wpływasz, sprawiasz, że wyrażam się poetycko. „Ciepły heban na tle czystego śniegu” – czy to nie poezja?

– Jestem wrażliwym typem, nie strój sobie ze mnie żartów.

– Ale naprawdę taki jesteś i czuję się przy tobie taka swobodna. Nie masz pojęcia.

Spojrzałem na czerwone ślady pozostawione przez ramiączka jej stanika, myśląc: Kto tu się na kim mści? Ale dlaczego mam się dziwić, skoro to właśnie słyszą przez całe życie. Skoro robi się z tego potężną władzę, a oni nauczeni są czcić wszelkiego rodzaju władzę? Mimo wszystkich tych przestróg niektórzy chcą się o tym przekonać na własnej skórze. Zwycięzeni zwycięzcy. Może pragnie tego w tajemnicy wielka liczba kobiet; może dlatego wrzeszczą, kiedy zupełnie nie wchodzi to w grę...

– O właśnie – powiedziała. – Patrz na mnie w taki sposób, jakbyś chciał mnie rozerwać. Uwielbiam cię, kiedy tak na mnie patrzysz!

Roześmiałem się i dotknąłem jej brody. Przyparła mnie do lin, czułem się oszołomiony jak po potężnym ciosie, nie mogłem jej oddać i nie mogłem się rozzłościć. Pomyślałem o zrobieniu jej wykładu na temat szacunku, jaki należy się partnerowi łóżkowemu w naszym

społeczeństwie, ale nie oszukiwałem się już, że znam to społeczeństwo albo miejsce w nim, do którego pasowałem. Poza tym, pomyślałem, ona uważa, że jesteś błaznem dostarczającym rozrywki. Tego też ją nauczono.

Podniosłem szklanę, a ona przyłączyła się i też wypła łyk, przysuwając się bliżej.

– Zrobisz to, prawda, mój śliczny? – zapytała, wydymając jak dziecko usta, które teraz, bez szminki wyglądały jak obtarte.

A więc dlaczego nie miałbyś jej dostarczyć rozrywki, być dżentelmenem czy kimkolwiek, za kogo cię uważa... Za kogo cię uważa? Za udomowionego gwałciciela, najwyraźniej, eksperta od sprawy kobiecej. Może naprawdę nim jesteś, wytresowanym i nauczonym porządku, reagującym na polecenia dla przyjemności pań. A więc sam zastawiłem na siebie tę pułapkę.

– Weź to – powiedziałem, wtykając jej do ręki kolejną szklanę. – Jak się napijesz, będzie lepiej, bardziej realistycznie.

– O tak, będzie cudownie. – Wzięła drinka i spojrzała na mnie w zamyśleniu. – Mam już dosyć takiego życia, mój śliczny. Niedługo będę stara i nic mi się nie przydarzy. Wiesz, co to znaczy? George dużo gada o prawach kobiet, ale co on wie o potrzebach kobiety? On, ze swoimi czterdziestoma minutami przechwałek i dziesięcioma działaniami. Och, nie masz pojęcia, co dla mnie robisz.

– Ani ty, co robisz dla mnie, droga Sybil – rzekłem, napełniając ponownie szklanki. W końcu moje napitki zaczynały działać.

Strząsnęła swoje długie włosy na ramiona i założyła kolano na kolano, obserwując mnie uważnie. Zaczęła się jej chwiać głowa.

– Nie pij za dużo, mój śliczny – powiedziała. – George’a to zawsze pozbawia ikry.

– Nie martw się – odparłem. – Naprawdę dobrze gwałcę, kiedy jestem pijany.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Uuu, to nalej mi jeszcze jednego – powiedziała, wyciągając ku mnie skwapliwie swoją szklanę.

– Co się tutaj odbywa – nowe narodziny narodu?

– Co powiedziałaś, mój śliczny?

– Nic, to kiepski żart. Zapomnij o tym.

– To właśnie mi się w tobie podoba, mój śliczny. Nie opowiedziałeś mi ani jednego z tych wulgarnych dowcipów. No dalej, mój śliczny – powiedziała – nalej.

Nalałem jej jeszcze jednego i jeszcze jednego; prawdę mówiąc, nalałem nam obojgu całkiem sporo kolejek. Byłem daleko stamtąd; to nie działało się ani ze mną, ani z nią, i czułem pewną połączoną ze zmieszaniem litość, której nie chciałem czuć. Potem spojrzała na mnie, podniosła się i uderzyła mnie tam, gdzie zabolalo.

– No dalej, bij mnie, tatuśku... ty... ty czarny osiłku. Czemu czekasz tak długo? – spytała.

– Szybko, przywal mi! Nie chcesz mnie?

Byłem wystarczająco zirytowany, by ją uderzyć. Leżała agresywnie chłonna, zarumieniona, jej pępek nie był kielichem, lecz dziurą w targanej wstrząsami ziemi, napięty i rozległy. Potem powiedziała:

– Zaczynaj, zaczynaj!

A ja odparłem:

– Pewnie, pewnie. – Rozejrzałem się nieprzytomnie, zacząłem lać na nią trunek i przestałem, a moje emocje wezbrały, kiedy zobaczyłem na stole jej szminkę i chwyciłem ją ze słowami: – Tak, tak. – Po czym pochyliłem się i napisałem z wściekłością na jej brzuchu w pijackim natchnieniu:

SYBIL, ZGWAŁCIŁ CIĘ
ŚWIĘTY MIKOŁAJ

NIESPODZIANKA

i przerwałem w tym miejscu, dygocząc nad nią z kolanami na łóżku, kiedy czekała z niepewną nadzieją. Była to szminka o fioletowym, metalicznym odcieniu i kiedy Sybil dyszała w oczekiwaniu, litery rozciągały się i drżały, wspinając się w górę i schodząc w dolinę, a ona była rozpalona jak luminescencyjny sztyld.

– Szybko, piękny, szybko – powiedziała.

Spojrzałem na nią, myśląc: Poczekaj, aż zobaczy to George – jeśli George zabierze się kiedykolwiek do oglądania tego. Przeczyta wykład o pewnym aspekcie sprawy kobiecej, o którym nigdy nie pomyślał. Leżała anonimowa pod moim wzrokiem, dopóki nie ujrzałem jej twarzy, zmienionej przez uczucie, którego nie mogłem zaspokoić, i pomyślałem: Biedna Sybil, wzięłaś sobie chłopca do wykonania zadania dla mężczyzny i nic nie było tak, jak miało być. Nawet czarny osiłek nie sprostał temu zadaniu. Straciła teraz panowanie nad alkoholem i nagle pochylałem się i pocałowałem ją w usta.

– Cśśś, bądź cicho – powiedziałem – nie pora na to, kiedy jesteś... – a ona uniosła głowę, chcąc więcej, więc pocałowałem ją znowu i ukoilem, i zasnęła, a ja znowu postanowiłem zakończyć tę farsę. Takie gry były dobre dla Rineharta, nie dla mnie. Wyszedłem, potykając się, z pokoju, wziąłem mokry ręcznik i zacząłem ścierać dowód mojego przestępstwa. Był tak nieustępliwy jak grzech, zajęło mi to więc trochę czasu. Woda się do tego nie nadawała, whisky byłoby czuć, więc ostatecznie musiałem posłużyć się benzyną. Na szczęście nie obudziła się, dopóki prawie nie skończyłem.

– Zrobiłeś to, mój śliczny? – zapytała.

– Oczywiście – odparłem. – Czy nie tego chciałaś?

– Tak, ale chyba nie pamiętam...

Spojrzałem na nią i zachciało mi się śmiać. Starła się mnie zobaczyć, ale ledwie widziała na oczy, a jej głowa stale przechylała się w jedną stronę; mimo to nie ustawała w wysiłkach i nagle ogarnął mnie wesoły nastrój.

– A tak w ogóle – powiedziałem, próbując zrobić coś z jej włosami – jak ma pani na imię?

– Sybil – odparła z oburzeniem, prawie z płaczem. – Śliczny, przecież wiesz, że jestem Sybil.

– Kiedy cię dorwałem, nie wiedziałem.

Jej oczy rozszerzyły się, a przez twarz przemknął chwiejny uśmiech.

– Racja, nie mogłeś wiedzieć, prawda? Nigdy wcześniej mnie nie widziałeś. – Była uszczęśliwiona, prawie widziałem, jak ta myśl nabiera kształtu w jej głowie.

– Zgadza się – stwierdziłem – wyskoczyłem ze ściany. Obezwładniłem cię w pustym holu – pamiętasz? Zdusiłem twoje przerażone wrzaski.

– Dobrze walczyłam?

– Jak lwica broniąca młodych...

– Ale ty byłeś takim silnym, wielkim zwierzem, że zmusiłeś mnie do poddania się. Nie chciałam tego, prawda, mój śliczny? Zmusiłeś mnie wbrew mojej woli.

– Pewnie – powiedziałem, podnosząc jakąś jedwabną część garderoby. – Obudziłaś we mnie bestię. Obezwładniłem cię. Ale co mogłaś zrobić?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę i na sekundę jej twarz znowu przybrała taki wyraz, jakby miała się rozpłakać. Ale wykwitł na niej jeszcze jeden uśmiech.

– No i czy nie byłam dobrą nimfomanką? – spytała, przyglądając mi się uważnie. – Naprawdę dobrą?

– Nawet nie masz pojęcia – odparłem. – George powinien mieć cię na oku.

Obróciła się z irytacją na bok.

– Guzik prawda! George nie poznałby nimfomanki, nawet gdyby poszła z nim do łóżka!

– Jesteś cudowna – powiedziałem. – Opowiedz mi o George’u. Opowiedz mi o tym wielkim mózgu, inicjatorze przemiany społeczeństwa.

Zerknęła na moją twarz, marszcząc brwi.

– Kto, George? – powiedziała, zezując na mnie jednym zapuchniętym okiem. – George jest ślepy jak kret i nic o tym nie wie. Słyszałeś kiedy o czymś takim, piętnaście lat! Zaraz, z czego się śmiejesz, mój śliczny?

– Z siebie – odparłem, zaczynając ryczeć ze śmiechu – tylko z siebie...

– Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się śmiał tak jak ty, mój śliczny. To cudowne!

Wciągałem jej teraz sukienkę przez głowę i jej głos dobiegał do mnie stłumiony przez szantung. Potem obciągnąłem materiał na biodra i z kołnierza wychyliła się jej chwiejąca się głowa, z włosami znowu w nieładzie.

– Mój śliczny – wydyszała – zrobisz to jeszcze kiedyś?

Odstąpiłem na krok i spojrzałem na nią.

– Co?

– Proszę, mój śliczny – powiedziała z drżącym uśmiechem.

Zacząłem się śmiać.

– Pewnie – rzekłem – pewnie...

– Kiedy, mój śliczny, kiedy?

– Kiedykolwiek – odparłem. – Może w każdy czwartek o dziewiątej?

– Uuu, mój śliczny – powiedziała, obejmując mnie w staromodny sposób. – Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo takiego jak ty.

– Jesteś pewna? – spytałem.

– Naprawdę nie spotkałam, mój śliczny... słowo honoru... wierzysz mi?

– Jasne, dobrze jest być widzianym, ale musimy już iść – powiedziałem, widząc, że zamierza paść na łóżko.

Zrobiła nadąsaną minę.

– Muszę się trochę przespać, mój śliczny – oznajmiła.

– Dostyc już spałaś – odparłem.

– Ach, mój śliczny, tylko chwilkę...

– Dobrze, tylko chwilkę.

Wypiliśmy jeszcze po jednym i spojrzałem na nią; poczułem nawrót współczucia i wstępu do siebie i ogarnęło mnie przygnębienie.

Patrzyła na mnie poważnie, z głową przechyloną na bok.

– Mój śliczny – powiedziała – wiesz, co myśli Sybil? Myśli, że próbujesz się jej pozbyć.

Spojrzałem na nią z głębi pustki i ponownie napełniłem jej szklankę i moją. Co ja jej zrobiłem, co pozwoliłem jej zrobić? Czyżby to wszystko przesiąknęło do mnie? Moje działanie... moja – to bolesne słowo tworzyło się tak bezładnie jak jej trzęsący się uśmiech – moja odpowiedzialność? Wszystko? Jestem niewidzialny.

– Proszę – powiedziałem – wypij.

– Iy też, mój śliczny – odparła.

– Tak – rzekłem. Padła mi w ramiona.

Musiałem się zdrzemnąć. Dobiegło mnie dzwonienie lodu w szklance, przenikliwy dźwięk dzwonek. Czuję głęboki smutek, jakby w ciągu tej godziny nadeszła zima. Leżała z rozpuszczonymi kasztanowymi włosami, patrząc na mnie ciężkopowiekami, niebieskimi, pokrytymi cieniem oczami. Z oddali dobiegł nowy dźwięk.

– Nie odpowiadaj, mój śliczny – powiedziała głosem nie zsynchronizowanym z ruchem ust.

– Co? – spytałem.

– Nie odbieraj, niech dzwoni – powiedziała, wyciągając palce o czerwonych paznokciach.

Wziąłem to z jej rąk, rozumiejąc teraz.

– Nie odbieraj, mój śliczny – powiedziała.

Telefon zadzwonił teraz w mojej dłoni i bez żadnego powodu przemknęły mi przez głowę jak szybka woda słowa dziecięcej modlitwy. Potem:

– Halo – odezwałem się.

Był to rozgorączkowany, nierozpoznawalny głos z rejonu.

– Bracie, lepiej zaraz przyjdź tutaj... – powiedział.

– Jestem chory – odparłem. – Co się stało?

– Mamy kłopoty, bracie, a ty jesteś jedynym, który może...

– Jakie kłopoty?

– Duże kłopoty, bracie, próbują...

Rozległ się ostry dźwięk tłuczonego szkła, odległy, wysoki i wyraźny, a po nim trzask, i połączenie zostało przerwane.

– Halo – powiedziałem, widząc chwiejącą się Sybil i jej usta mówiące:

– Śliczny.

Spróbowałem zadzwonić do rejonu, ale numer był zajęty, sygnał pulsował mi w uchu: Amen-Amen-Amen; i siedziałem tam przez chwilę. Czy to jakaś sztuczka? Czy wiedzieli, że jestem z nią? Odłożyłem słuchawkę. Jej oczy patrzyły na mnie spod niebieskiego cienia.

– Ślicz...

Wstałem i pociągnąłem ją za rękę.

– Chodźmy, Sybil. Jestem potrzebny w centrum. – I dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że tam pójdę.

– Nie – powiedziała.

– Ależ tak. Chodź.

Padła z powrotem na łóżko, ignorując mnie. Puściłem jej ramię i rozejrzałem się niepewnie. Co za kłopoty o tej porze? Dlaczego powinienem tam iść? Przyglądała mi się, oczami pogrążonymi w niebieskim cieniu. Czułem w sercu przygnębienie i głęboki smutek.

– Wróć, mój śliczny – powiedziała.

– Nie, przewietrzmy się trochę – odparłem.

I teraz, unikając czerwonych, lśniących paznokci, chwyciłem ją za nadgarstki i pociągnąłem w stronę drzwi. Zachwialiśmy się i jej usta musnęły moje, kiedy się tak kołysaliśmy. Przywarła do mnie i na chwilę ja przywarłem do niej, z uczuciem niezmiernego smutku. Potem czknęła, a ja spojrzałem bezmyślnie na pokój. W naszych szklankach migotał bursztynowy płyn.

– Mój śliczny – powiedziała – życie mogłoby być zupełnie inne...

– Ale nigdy nie jest – rzekłem.

– Mój śliczny – powtórzyła.

Warkotał wentylator, a w rogu stała moja teczka, pokryta drobinami kurzu jak wspomnieniami – wieczoru, podczas którego odbyła się walna rozprawa. Czułem na sobie jej gorący oddech, odsunąłem ją więc delikatnie i oparłem o ościeże drzwi, by nie straciła równowagi, a potem podszedłem nagle, szybki jak powracający do pamięci pacierz, do teczki, wytarłem kurz o nogawkę i odczułem niespodziewany ciężar, gdy wsunąłem ją pod ramię. Wewnątrz niej coś zabrzęczało.

Przyglądała mi się nieruchomo, płomiennym wzrokiem, kiedy ująłem ją pod rękę.

– Jak się czujesz, Sybil? – zapytałem.

– Nie idź, mój śliczny – rzekła. – Niech George się tym zajmie. Żadnych przemówień dziś wieczorem.

– Chodź – powiedziałem, ująłem ją dość stanowczo za ramię i pociągnąłem, kiedy obrócona ku mnie westchnęła ze smutną miną.

Zeszliśmy na ulicę. Nadal szumiało mi w głowie od alkoholu, a kiedy spojrzałem w ogromną pustkę mroku, poczułem się, jakbym miał się rozpłakać... Co się działo w centrum? Dlaczego miałem się martwić o biurokratów, ślepców?

Jestem niewidzialny. Patrzyłem na cichą ulicę, słysząc, jak ona wlecze się za mną, nucąc jakąś melodyjkę, coś świeżego, naiwnego i beztroskiego. Sybil, moja spóźniona i przedwczesna miłość... Ach! Pulsowało mi gardło. Do ciała ściśle przylegał upał ulicy. Rozglądałem się za taksówką, ale nie było żadnej. Przeszła obok mnie, roznosząc nierzeczywistą woń perfum. Podążyliśmy do następnego kwartału i nadal nie było widać taksówki. Jej wysokie obcasy stukwały nierówno po chodniku. Zatrzymałem ją.

– Biedny śliczny – powiedziała. – Nie znam jego imienia...

Odwrociłem się jak uderzony.

– Co?

– Anonimowy zwierz, śliczny ogier – rzekła z uśmiechem na spuchniętych ustach.

Patrzyłem na nią, drepczącą na wysokich obcasach, *zgrzyt, zgrzyt*, po chodniku.

– Sybil – powiedziałem, bardziej do siebie niż do niej – gdzie to się skończy? – Coś każało mi iść.

– Aach – roześmiała się – w łóżku. Nie odchodź, mój śliczny, Sybil cię utuli.

Potrząsnąłem głową. Gwiazdy były wysoko, wysoko, i obracały się. Potem zamknąłem oczy, a one przepływały czerwone pod moimi powiekami; później, opanowawszy się trochę, wziąłem ją za ramię.

– Słuchaj, Sybil – powiedziałem – postój tu chwilę, a ja skoczę na Piątą po taksówkę. Stój tutaj, kochana, i czekaj.

Chwialiśmy się przed budowlą o antycznym wyglądzie i ciemnych oknach. W plamach światła na jej fasadzie widać było ogromne greckie medaliony ponad ciemnym, zawiłym wzorem w kamieniu i ustawiłem Sybil przy werandzie z wyrzeźbionym kamiennym potworem. Oparła się o nią ze zmierzwionymi włosami, patrząc na mnie w świetle latarni ulicznych i uśmiechając się. Jej głowa cały czas opadała na bok, prawe oko miała rozpaczliwie zamknięte.

– Jasne, mój śliczny – powiedziała.

– Zaraz wracam – rzuciłem na odchodnym.

– Śliczny – zawołała – mój śliczny.

Oto prawdziwe uczucie, pomyślałem, oddalając się od niej, oto uwielbienie dla Płąsającego Niedźwiadka. Cóż znaczy „śliczny”? Jestem niewidzialny...

Szedłem przez cichą ulicę, mając nadzieję, że przejedzie jakaś taksówka, zanim pokonam całą drogę. Przede mną, na Piątej, płonęły jasne światła, przez ziejący wylot ulicy przemknęło kilka samochodów, a za nią i nad nią wznosiły się drzewa – wielkie, ciemne, wysokie. Co się dzieje, zastanawiałem się. Dlaczego wzywano mnie o tak późnej porze – i kto wzywał?

Pędziłem naprzód na niepewnych nogach.

– Śliczny – zawołała za mną. – Śliczny!

Pomachałem jej, nie odwracając się. Nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy więcej. Szedłem dalej.

Na Piątej przejechała obok mnie taksówka i próbowałem ją zatrzymać, ale usłyszałem tylko czyjś głos, przepływający wesoło obok mnie. Spojrzałem w górę oświetlonej alei, wypatrując innej taryfy, usłyszałem nagle zgrzyt hamulców i odwróciłem się, by zobaczyć, że taksówka się zatrzymała i że kiwa na mnie biała ręka. Taksówka cofnęła się, podjechała do mnie i przystanęła z impetem. Roześmiałem się. To była Sybil. Powlokłem się do niej, podszedłem do drzwi. Uśmiechnęła się do mnie z jej wnętrza, z głową oprawioną w okno, nadal opadającą na bok, z włosami spływającymi w dół.

– Wsiadaj, śliczny, i zabierz mnie do Harlemu...

Potrząsnąłem głową, o ciężała i smutną.

– Nie – powiedziałem – mam pracę, Sybil. Lepiej jedź do domu...

– Nie, śliczny, weź mnie ze sobą.

Odwróciłem się do kierowcy z ręką na klamce. Był niski, ciemnowłosy i pełen dezaprobaty; błysk czerwonego światła sygnalizacyjnego zabarwiał koniuszek jego nosa.

Dałem mu adres i ostatni banknot pięciodolarowy. Wziął go z wyrzutem w oczach.

– Nie, śliczny – powiedziała – chcę jechać do Harlemu, chcę być z tobą!

– Dobranoc – rzekłem, odchodząc od krawężnika.

Byliśmy pośrodku kwartału i zobaczyłem, że odjeżdżają.

– Neeee – zawołała – nieee, śliczny. Nie odchodź... – W drzwiach pokazała się jej twarz, dzikooka i biała. Patrzyłem, jak taksówkarz szybko i pogardliwie znika z widoku, tylne światła były tak czerwone jak jego nos.

Kroczyłem przed siebie z zamkniętymi oczami, zdając się płynąć i starając się przewietrzyć głowę, potem otworzyłem je i przeszedłem po bruku ku ogrodzeniu parku. Wysoko nade mną sunęły krętym zjazdem samochody, przesywając ciemność przednimi światłami. Wszystkie taksówki były zajęte, wszystkie zmierzały do śródmieścia. Ośrodek grawitacji. Ciężko stąpałem dalej, kręciło mi się w głowie.

W pobliżu Sto Dziesiątej Ulicy znowu ją zobaczyłem. Czekala pod latarnią, machając ręką. Nie byłem zdziwiony; stałem się fatalistą. Podeszedłem powoli, słysząc jej śmiech. Była przede mną i zaczęła biec, boso, swobodnie, jak we śnie. Biec. Chwiejnie, ale szybko, a ja byłem zdziwiony i nie mogłem jej dogonić, ołowianonogi, widziałem ją przed sobą i zawołałem:

– Sybil! Sybil! – biegnąc na nogach jak z ołowiu wzdłuż ogrodzenia parku.

– Dalej, śliczny – krzyknęła, oglądając się i potykając. – Złap Sybil... Sybil. – Biegła boso i bez pasa do pończoch wzdłuż parku.

Biegłem z ciężką teczką pod pachą. Coś mi mówiło, że muszę się dostać do biura...

– Sybil, zaczekaj! – krzyknąłem.

Biegła, kolory jej sukienki rozbłyskiwały jak płomienie w jasnych miejscach ciemności. Szeleszczący ruch, przebierające niezgrabnie nogi i błyskające białe pięty, wysoko uniesiona sukienka. Niech sobie ucieka, pomyślałem. Ale teraz przecięła ulicę i biegła szaleńczo po to tylko, by osunąć się przy krawężniku, wstała i znowu się osunęła, grzmotnęła tyłkiem, nie mogąc się zupełnie utrzymać na nogach, kiedy straciła impet.

– Śliczny – odezwała się, kiedy podeszedłem. – Cholera, śliczny, popchnąłeś mnie?

– Wstań – powiedziałem spokojnie. – Wstań.

Chwyciłem ją za miękkie ramię. Wstała z szeroko otwartymi do uścisku ramionami.

– Nie – rzuciłem – dzisiaj nie jest czwartek. Muszę się tam dostać... Co oni dla mnie szykują, Sybil?

– Kto, śliczny?

– Jack i George... Tobitt i wszyscy?

– Wykończyłeś mnie, śliczny – rzekła. – Zapomnij o nich... banda kretynów... bez żadnego pojęcia, no wiesz. Nie my stworzyliśmy ten śmierdzący świat, śliczny. Zapomnij...

Zobaczyłem taksówkę w samą porę, zbliżała się szybko od strony rogu, piętrowy autobus mając dwa kwartały za nią. Taksówkarz obejrzał się, wystawiając głowę przez okno, siedząc wysoko za kółkiem, po czym szybko zawrócił i podjechał. Miał zgorszona, niedowierzającą minę.

– No dalej, Sybil – oznajmiłem – i bez żadnych sztuczek.

– Przepraszam, stary – powiedział kierowca zatroskanym głosem – ale chyba nie bierzesz jej do Harlemu, co?

– Nie, pani jedzie do śródmieścia – wyjaśniłem. – Wsiadaj, Sybil.

– Śliczny jest dyktatorem – oznajmiła kierowcy, który patrzył na mnie w milczeniu, jak gdybym był szalony.

– Chętny ogier – mruknął – bardzo chętny ogier!

Ale wsiadła.

– Tylko dyktator, śliczny.

– Słuchaj – powiedziałem do taksówkarza – zawieź ją prosto do domu i nie pozwól po drodze wysiąść. Nie chcę, żeby biegała po Harlemie. To wielka dama, prawdziwy skarb...

– Jasne, chłopie, nie obwiniam cię – odparł. – Tam jest niezła rozróżba.

Taksówka już odjechała, kiedy krzyknąłem:

– Co się dzieje?

– Rozwalają ten burdel – zawołał, zmieniając biegi. Popatrzyłem za nimi i poszedłem na przystanek autobusowy. Tym razem będę miał pewność, pomyślałem, wyszedłem na jezdnię, zatrzymałem autobus i wsiadłem. Jeśli wróci, stwierdzi, że mnie nie ma. I wiedziałem lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, że powinienem się pospieszyć, ale mój umysł był nadal zbyt zamglony i nie mogłem się pozbierać.

Siedziałem z teczką w garści i zamkniętymi oczami, czując, jak pode mną szybko płynie autobus. Wkrótce skreśli w Siódmą Aleję. Sybil, wybac mi, pomyślałem. Autobus toczył się do przodu.

Ale kiedy otworzyłem oczy, nie skręcaliśmy w Riverside Drive. To również przyjąłem spokojnie, cała ta noc była przekręcona na opak. Czas biegł płynnie, niewidzialny, smutny. Wyjrawszy przez okno, zobaczyłem statek płynący w górę rzeki, jego światła pozycyjne były jasnymi punktami w nocy. Dobiegł mnie chłodny zapach morza, stały i silny w szybko nabierającej wyraźnych konturów plamie zakotwiczonych łodzi, ciemnej wody i odpływających świateł. Po drugiej stronie rzeki leżało Jersey i przypomniałem sobie moje wejście do Harlemu. Odległa przeszłość, pomyślałem, odległa przeszłość. Wydawała się jakby zatopiona w rzece.

Z mojej prawej strony wznosiła się wysoka kościelna wieża, zwieńczona czerwonymi światłami ostrzegawczym. A teraz mijaliśmy grób bohatera i przypomniałem sobie wizytę w tym miejscu. Szło się w górę po schodach, do środka, i patrzyło daleko w dół, by ujrzeć go spoczywającego w spokoju, udrapowane flagi...

Sto Dwudziesta Piąta Ulica pojawiła się szybko. Wygramoliłem się i usłyszałem, jak autobus odjeżdża, kiedy stanąłem twarzą w stronę wody. Wiała lekka bryza, ale teraz, kiedy ruch się skończył, powrócił upał i przywarł do mnie. Daleko przed sobą, w ciemności, zobaczyłem monumentalny most, wstęgi świateł nad ciemną rzeką, a bliżej, wysoko ponad linią brzegu, Palisady, wysokie skały nadbrzeżne, z rewolucyjną agonią przygasłą w buntowniczych światłach kolejek górskich. „Czas teraz...” zaczynał się napis biegnący w poprzek rzeki, ale dlaczego, pomyślałem ze śmiechem, mam się przejmować czasem, kiedy historia wchodzi na mnie w podkutyh buciorach? Przeszedłem na drugą stronę ulicy, do wodotrysku z wodą do picia, poczułem wodę, chłodzącą, spływającą, a potem zmoczyłem chusteczkę i przetarłem twarz, oczy. Woda błyszczała, bulgotała, rozpryskiwała się mżawką. Wysunąłem twarz do przodu, czując wilgotny chłód, słysząc dziecięcą radość wodotrysku. Później usłyszałem inny dźwięk. Nie była to rzeka ani skręcające samochody, które mknęły przez ciemność, lecz jakby odgłos tłumy albo szybkiej rzeki podczas powodzi.

Ruszyłem do przodu, znalazłem schody i zszedłem po nich na dół. Pod mostem ciągnęła się kamienna rzeka ulicy i przez sekundę patrzyłem na fale bruku, jakbym spodziewał się ujrzeć wodę, jakby czerpał z niego wodotrysk na górze. Mimo to wejść tam i przejść do Harlemu. Poniżej schodów lśniły stalowe szyny tramwajowe. Przyspieszyłem, dźwięk zbliżał się, rozbrzmiewał tysiącami głosów, szumiał, ogarniał mnie, porażał powietrze drętwością, kiedy ruszyłem pod zjazd. Doszedł świergot, gruchanie, stłumiony ryk, który jakby starał się coś mi powiedzieć, przekazać jakąś wiadomość. Przystanąłem, rozglądając się wokół; dźwigary odmaszerowały rytmicznie w mrok, nad brukiem płonęły czerwone światła. Potem znalazłem się pod mostem i wydało mi się, jakby czekały na mnie, na nikogo innego, tylko na

mnie poświęcone mi i przeznaczone dla mnie – przez całą wieczność. I uniosłem wzrok w stronę tego dźwięku, a mój umysł tworzył obraz skrzydeł, kiedy coś spadło mi na twarz i spłynęło po niej, i poczułem teraz smród, i zobaczyłem, że ten zakrzepły potok leje mi się na marynarkę, i zasłoniłem teczką głowę, i pobiegłem przed siebie, słysząc, jak to bębni wokół mnie jak deszcz. Biegłem między tymi smagającymi strugami, myśląc: Nawet te ptaki, nawet gołębie i wróble, i przekłete mewy! Biegłem na oślep, kipiąc z wściekłości i rozpacz i zanosząc się od gorzkiego śmiechu. Uciekając przed ptakami ku czemu, nie wiedziałem. Biegłem. A w ogóle dlaczego znalazłem się tutaj?

Biegłem przez noc, biegłem w sobie. Biegłem.

Rozdział 25

Kiedy dotarłem do Morningside, strzały brzmiały jak odległe obchody Czwartego Lipca, szedłem więc pospiesznie dalej. Na ulicy św. Mikołaja nie paliły się latarnie. Pojawił się grzmiący dźwięk i zobaczyłem czterech mężczyzn, którzy biegli w moją stronę i pchali coś, co wstrząsało chodnikiem. Była to kasa pancerna.

– Słuchajcie – zacząłem.

– Z drogi, do diabła!

Odskoczyłem w bok i czas nagle zastygł, jak w przerwie między ostatnim uderzeniem siekiery a przewróceniem się wysokiego drzewa, w której po głośnym hałasie następuje głośna cisza. Później zdałem sobie sprawę z tego, że w drzwiach i wzdłuż krawężnika czają się jakieś postaci; a potem czas wybuchł i leżałem na ulicy, świadomy, ale niezdolny powstać, zmagając się z ulicą i widząc błyski, kiedy na rogu alei wypalały pistolety, dostrzegając z lewej strony tych mężczyzn nadal spieszących z dudniącą kasą pancerną, a za mną dwóch policjantów, niemal niewidzialnych w czarnych koszulach, wysuwających przed siebie tryskające płomieniami pistolety. Jeden z toczących kasę padł do przodu, a dalej, za rogiem, kula uderzyła w oponę samochodu, uwolnione powietrze wrzasnęło przeraźliwie jak wielkie zwierzę w agonii. Przekręciłem się i klapnąłem na bok, chcąc doczołgać się do krawężnika, ale nie mogłem, poczułem nagle na twarzy ciepłą wilgoć i ujrzałem, jak kasa wpada z impetem na skrzyżowanie, a ci mężczyźni skręcają za róg, w mrok, z łoskotem, i znikają; znikają teraz, kiedy czmychająca kasa skręciła w bok, wpadła na skrzyżowanie i utknęła na trzeciej szynie, i wznieciła zasłonę isker, rozświetlającą kwartał jak niebieski sen; sen, który śniłem i przez który widziałem gliniarzy stojących jak na strzelnicy, z jedną nogą wysuniętą do przodu, wolną ręką podpartą pod bok, strzelających jak do tarczy.

– Dzwon do centrali! – zawołał jeden z nich i zobaczyłem, jak odwracają się i znikają w miejscu, gdzie przyćmiony połysk szyn tramwajowych ginął w mroku.

Nagle kwartał ożył. Mężczyźni, którzy zdawali się wyrastać spod chodników, pędzili w stronę sklepów nade mną, krzycząc z podnieceniem. A teraz krew miałem na twarzy i mogłem się poruszać, podniosłem się na kolana, kiedy ktoś z tłumu pomagał mi wstać.

– Jesteś ranny, koleś?

– Chyba... nie wiem... – Widziałem ich niewyraźnie.

– Cholera! On ma dziurę w głowie! – powiedział jakiś głos.

Zaświeciła mi w twarz latarka, zbliżyła się. Poczułem twardą dłoń na głowie i odsunąłem się.

– To tylko draśnięcie – rzekł inny głos. – Jakbyś dostał z czterdziestki piątki w mały palec, musiałbyś upaść!

– Ten tam upadł ostatni raz – krzyknął ktoś z chodnika. – Załatwili go na cacy.

Otarłem twarz; huczało mi w głowie. Czegoś mi brakowało.

– Trzymaj, kolego, to twoje?

Była to moja teczka, wyciągnięta ku mnie za rączkę. Chwyciłem ją zdjęty nagle paniką, jakbym o mały włos nie stracił czegoś niesłychanie cennego.

– Dzięki – powiedziałem, wpatrując się w ich niewyraźne, niebieskawo zabarwione rysy. Spojrzałem na trupa. Leżał twarzą do przodu, wokół niego kłębił się tłum. Uświadomiłem sobie nagle, że to ja mogłem tak leżeć skurczony, i odniosłem wrażenie, że już go tam widziałem w jasnym świetle południa, dawno temu... jak dawno? Znałem jego nazwisko,

pomyślałem i nagle kolana poleciały mi do przodu. Usiadłem, moja pięść, zaciśnięta na teczce, grzmotnęła o bruk, głowa opadła. Chodzili wokół mnie.

– Zejdz z mojej nogi, człowieku – usłyszałem. – Przestań się rozpychać. Starczy miejsca dla wszystkich.

Wiedziałem, że coś muszę zrobić i że moja niepamięć nie jest prawdziwa, tak jak się wie, że zapomniane szczegóły pewnych snów nie zostały naprawdę zapomniane, lecz pominięte. Wiedziałem to i starałem się sięgnąć pamięcią przez szarą zasłonę, która zdawała się wisieć za moimi oczami, tak nieprzezroczysta jak niebieska kurtyna, zasłaniająca ulicę za kasą pancerną. Zawroty głowy minęły i udało mi się wstać, ściskając teczkę w garści i przyciskając do czoła chusteczkę. W gorze ulicy rozbrzmiewał brzęk rozbijanych dużych tafli szkła, a przez niebieską tajemniczość mroku migotały chodniki jak roztrzaskane lustra. Nie działała sygnalizacja świetlna na całej ulicy, wszystkie odgłosy dnia straciły swoje stałe znaczenie. Gdzieś włączył się alarm przeciwwłamaniowy, pusty, bezsensowny dźwięk, po którym rozległy się radosne okrzyki szabrowników.

– Dalej – krzyknął ktoś w pobliżu.

– Idziemy, kolego – powiedział mężczyzna, który mi pomógł. Wziął mnie pod rękę, chudy mężczyzna, który miał przewieszoną przez ramię dużą tekstylną torbę. – Jesteś w takim stanie, że lepiej cie tutaj nie zostawiać – dodał. – Zachowujesz się jak pijany.

– Gdzie idziemy? – zapytałem.

– Gdzie? Do diabła, człowieku. Wszędzie. Musimy się ruszać, a nie gadać, gdzie możemy iść... Hej, Dupre! – zawołał.

– Słuchaj, człowieku... Niech to szlag! Nie wołaj mnie tak głośno po nazwisku – odpowiedział jakiś głos. – Tutaj, jestem tutaj, biorę sobie parę roboczych koszul.

– Weź parę dla mnie, Du – powiedział pierwszy.

– Dobra, ale nie myśl, że jestem twój tato – nadeszła odpowiedź.

Spojrzałem na chudego, czując przyływ przyjaznych uczuć. Nie znał mnie, jego pomoc była bezinteresowna...

– Hej, Du – zawołał – pójdziemy to zrobić?

– Tak, do diabła, tylko weźme se te koszule.

Tłum wchodził do sklepów i wychodził niczym mrówki kręcące się wokół rozsypanego cukru. Od czasu do czasu słychać było brzęk szkła, wystrzały; wozy strażackie na odległych ulicach.

– Jak sie czujesz? – spytał chudy.

– Nadal niepewnie – powiedziałem – i słabo.

– Zobaczmy, czy przestało krwawić. Taa, będzie dobrze.

Widziałem go jak przez mgłę, chociaż głos dochodził wyraźnie.

– Jasne – powiedziałem.

– Człowieku, masz szczęście, że żyjesz. Te sukinsyny naprawdę teraz strzelają – stwierdził. – Na Lenox strzelali w powietrze. Jakbym mógł gdzie znaleźć karabin, to bym im pokazał! Masz, łyknij sobie dobrej szkockiej – rzekł, wyjmując z bocznej kieszeni marynarki litrową butelkę. – Mam schowano cało skrzynkę z tego sklepu z alkoholem. Tam wystarczy, że se pooddychasz i jesteś pijany, człowieku. Pijany! Stuprocentowa, szlachetna whisky płynie rynsztokami.

Pociągnąłem łyk i wzdrygnąłem się, gdy whisky spływała mi do żołądka, ale byłem wdzięczny za wstrząs, o który mnie przyprawiła. Wokół trwał rozrywający, rozdzierający ruch ludzi, ciemnych postaci w niebieskiej poświacie.

– Patrz, jak to robio – powiedział, patrząc na mroczne poczynania tłumu. – Ja jestem już zmęczony. Byłeś na Lenox?

– Nie – odparłem, widząc kobietę przechodzącą obok nas wolnym krokiem z rzędem około tuzina kurczaków powieszonych za szyje na kiju od nowej miotły...

– Do diabła, powinieneś to zobaczyć, człowieku. Wszystko rozwalone. Teraz kobiety obrobiły to do czysta. Widziałem jedno staruszkę z cało półtuszo krowy na plecach. Człowieku, nogi się pod nią ugiwały, jak próbowała zatargać to do domu... O, idzie Dupre – rzekł, przerywając.

Zobaczyłem, że z tłumu wychodzi mały, twardy człowiek, niosący kilka pudełek. Na głowę włożył trzy kapelusze, przez ramię przerzucił kilka par szelek, a kiedy do nas podszedł, zobaczyłem, że na nogach ma lśniące, nowe gumowe buty do bioder. Miał wypchane kieszenie, a na ramieniu dźwigał worek, który ciężko się za nim kołysał.

– Cholera, Dupre – powiedział mój przyjaciel, wskazując na jego głowę – wzięłeś taki jeden dla mnie? Jaka to marka?

Dupre zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Tyle tam tych kapeluszy, a ja mam wyjść z innym niż dobbs? Człowieku, zwariowałeś? Same nowe dobbsy w ładnych kolorach? Chodź, idziemy, zanim wróco gliny. Niech to szlag, zobacz, jak to buzuje!

Spojrzałem na zasłonę niebieskiego ognia, przez którą przedzierały się niewyraźne postaci. Dupre krzyknął w tamtą stronę i kilku mężczyzn wyszło z tłumu i przyłączyło się do nas. Ruszyliśmy stamtąd, mój przyjaciel (Scofield – mówili do niego pozostali) mnie prowadził. Bolała mnie głowa, nadal krwawiła.

– Wygląda, jakbyś też miał jakieś łupy – powiedział, wskazując na moją teczkę.

– Niewiele – rzekłem, myśląc: Łupy? Łupy? I nagle zrozumiałem, dlaczego jest ciężka, przypomniałem sobie rozbitą skarbonkę Mary i monety i zdałem sobie sprawę, że otworzyłem teczkę i włożyłem do niej wszystkie moje papiery – legitymację Bractwa, anonimowy list, razem z lalką Cliftona.

– Napełnij to, człowieku. Nie wstydz się. Poczekaj, aż wejdziemy do jakiegoś lombardu. Ten Du napchał się towaru ile wlezie w worek do bawełny. On to ma łeb do interesów.

– No niech mnie szlag – odezwał się mężczyzna z mojej drugiej strony. – Tak żem myślał, że to jest worek do bawełny. Skąd on go wziął?

– Przywióz ze sobą, jak przyjechał na Północ – wyjaśnił Scofield. – Du przysięga, że jak będzie wracał, to ten worek będzie pełen dziesięciodolarówek. Na to, co dzisiaj zacharapcił, będzie potrzebował całego magazynu. Napełnij te teczkę, kolego. Weź se coś.

– Nie chcę – powiedziałem. – Mam już w niej dosyć. – I teraz przypomniałem sobie bardzo wyraźnie, dokąd chciałem iść, ale nie mogłem ich zostawić.

– Może masz rację – rzekł Scofield. – Z tego, co wiem, może być nawet pełna diamentów czy czegoś takiego. Człowiek nie powinien być chciwy. Chociaż już czas, żeby doszło do czegoś takiego.

Szliśmy dalej. Czy powinienem ich zostawić, iść do rejonu? Gdzie oni byli, na urodzinach?

– Jak się to wszystko zaczęło? – zapytałem.

Scofield wydawał się zdziwiony.

– Za cholere nie wiem, człowieku. Jakiś gliniarz zastrzelił babe czy coś tam.

Zbliżył się do nas inny mężczyzna, a w pobliżu rozległ się dźwięk rzuconego na bruk kawałka ciężkiej stali.

– A gównno – powiedział. – Nie od tego się zaczęło. Od tego faceta, jak on się nazywał...?

– Jakiego? – spytałem. – Jak się nazywał?

– Od tego młodego gościa!

– No wiesz, wszyscy się wściekają z jego powodu...

Clifton, pomyślałem. To z powodu Cliftona. To dla Cliftona. Noc dla Cliftona.

– E tam, nie gadaj – powiedział Scofield. – Może ja nie widział tego na własne oczy? Koło ósmej na rogu Lenox i Sto Dwudziestej Trzeciej ten ajrysz przyłożył chłopakowi, bo coś

tam zwiń, no i wtedy wyleciała matka tego chłopaka, a ten ajrysz lunoł jo w twarz i wtedy sie zaczęło.

– Byłeś tam? – zapytałem.

– Tak jak tutaj. Jakiś gość powiedział, że ten chłopak wpieklił ajrysza, bo zacharapcił cukierek, co sie tak nazywa jak jakaś biała.

– No, ja żem słyszał, że to było inaczej – wtrącił inny mężczyzna. – Kiedy ja żem przyszed, mówili, że to sie zaczęło bez jakoś biało, co próbowała odbić chłopaka czarnej.

– A do diabła z tym, kto to zaczął – powiedział Dupre. – Ja tylko chce, żeby to troche trwało.

– To była biała dziewczyna, tak, ale to nie od tego sie zaczęło. Była nachlana – oznajmił inny głos.

Ale przecież nie mogła to być Sybil, pomyślałem, bo to się już wcześniej zaczęło.

– Chceta wiedzieć, kto to zaczął? – zawołał z okna lombardu jakiś mężczyzna trzymający okulary. – Naprawdę chceta wiedzieć?

– Pewnie – powiedziałem.

– No to nie musita iść dalej. Zaczął to ten wielki przywódca, Ras Niszczyciel!

– Ten przygłup? – ktoś zapytał.

– Słuchaj, sukinsynu!

– Nikt nie wie, jak to sie zaczęło – powiedział Dupre.

– Ktoś musi wiedzieć – rzekłem.

Scofield podsunął mi swoją whisky. Odmówiłem.

– Do diabła, człowieku, po prostu wybuchło. To bez to kanikułę.

– Kanikułę?

– A jak, bez ten upał.

– Mówię wam, że sie wściekli bez to, co sie przytrafiło temu młodemu, jak on sie nazywał...

Mijaliśmy teraz jakiś budynek i usłyszałem rozpaczliwe wołanie:

– Sklep kolorowego! Sklep kolorowego!

– No to wywieś szyld, sukinsynu – odpowiedział mu inny głos. – Pewnie jesteś taki sam zgniłek jak cała reszta.

– Posłuchajta gnoja. Ten jeden raz w życiu cieszy sie, że jest kolorowy – rzucił Scofield.

– Sklep kolorowego – powtórzył automatycznie głos.

– Hej! Jesteś pewien, że nie masz ani odrobiny białej krwi?

– Tak, panie! – odparł głos.

– Mam mu przyłożyć?

– Za co? On nic nie ma. Zostaw sukinsyna w spokoju.

Parę drzwi dalej doszliśmy to sklepu z artykułami żelaznymi.

– To pierwszy przystanek, chłopcy – powiedział Dupre.

– 1 co teraz? – zapytałem.

– A ty kto? – rzekł, podnosząc głowę w trzech kapeluszach.

– Nikt, jeden z chłopaków... – zacząłem.

– Na pewno cie nie znam?

– Na pewno – odparłem.

– On jest w porządku, Du – powiedział Scofield. – Gliny go postrzeliły.

Dupre spojrział na mnie i kopnął coś – funt masła, które poleciało, rozsmarowując się po ulicy.

– Przygotowujemy się, żeby zrobić coś, co trzeba zrobić – oznajmił. – Najpierw musimy znaleźć latarkę dla każdego... I postarajmy się o trochę organizacji. Niech każdy nie biega za każdym. Chodźcie!

– Chodź, kolego – powiedział Scofield.

Nie czułem potrzeby, żeby im przewodzić albo ich zostawić; byłem zadowolony, że idę za nimi; chciałem zobaczyć, dokąd i po co mnie poprowadzą. I cały czas nie opuszczała mnie myśl, że powinienem udać się do rejonu. Weszliśmy do tego sklepu, w ciemność połyskującą metalem. Poruszali się ostrożnie i słyszałem, jak szukają, zrzucają przedmioty na podłogę. Zadzwonila kasa.

– Tu so jakieś latarki – zawołał ktoś.

– Ile? – zapytał Dupre.

– Dużo, człowieku.

– Dobra, daj każdemu jedno. Majo baterie?

– Nie, ale tego też jest tu kupa, z tuzin pudełek.

– Dobra, daj mi jedno z bateriami, żebym mógł znaleźć wiadra. A potem daj każdemu światło.

– Tu so jakieś wiadra – powiedział Scofield.

– No to tera musimy tylko zobaczyć, gdzie trzyma naftę.

– Naftę? – zapytałem.

– Naftę. No i żeby nikt mnie tu nie palił – zawołał.

Stałem obok Scofielda, słuchając rumoru, kiedy wziął kilkanaście wiader włożonych jedno w drugie i podał je dalej. Teraz sklep ożył światłami latarek i przemykającymi cieniami.

– Świećta na podłogę – zawołał Dupre. – Po co majo widzieć, kto my so. A tera stańta rzędem i trzymajta wiadra, a ja je napełnię.

– Posłuchaj starego Du... to skubaniec, co, kolego? Zawsze lubiał przewodzić. No i zawsze pakuje mnie w kłopoty.

– A do czego my się przygotowujemy? – zapytałem.

– Zobaczysz – powiedział Dupre. – Hej, ty tam. Wyłaż z za lady i bierz ten kubeł. Nie widzisz, że w kasie nic nie ma? Że jakby było, to ja sam by to wzioł?

Nagle ustał brzęk wiader. Przeszliśmy na zaplecze. W świetle latarki widziałem rząd beczek z naftą, ustawionych na półkach. Stał przed nimi Dupre w swoich nowych woderach i napełniał każde wiadro naftą. Przesuwaliśmy się powoli obok niego. Kiedy skończył, wyszliśmy na ulicę. Stałem w ciemności, coraz bardziej podniecony, kiedy rozległy się wokół mnie ich głosy. Co to wszystko miało znaczyć? Co powinienem o tym myśleć, co zrobić?

– Z tym towarem – powiedział Dupre – lepiej idźmy środkiem ulicy. To jest zaraz za rogiem.

Kiedy odchodziliśmy, wbiegła między nas grupa chłopców i moi towarzysze skierowali na nich swoje latarki, ukazując śmigające postaci w blond perukach, powiewające połami skradzionych fraków. Za nimi pojawiła się ścigająca ich zawzięta banda, uzbrojona w atrapy karabinów z Magazynu Wojska i Marynarki. Roześmiałem się razem z innymi – święte święto za Cliftona.

Z tyłu dobiegły wrzaski, śmiechy; przed nami tupot nóg biegnących chłopców, odległe wozy strażackie, strzały, a w spokojniejszych chwilach stałe filtrowanie rozbitego szkła. Czułem zapach nafty, kiedy wylewała się z wiader i rozchlapywała na ulicy.

Nagle Scofield złapał mnie za ramię.

– Dobry Boże, spójrz tam!

I zobaczyłem tłum mężczyzn pchających wóz Bordena do rozwożenia mleka, na którym, otoczona rzędem latami kolejowych, siedziała potężna kobieta w perkalowym fartuchu i popijała piwo ze stojącej przed nią beczki. Mężczyźni przebiegali z furią parę jardów i stawali, odpoczywając między dyszlami, przebiegali parę jardów i stawali, krzycząc, śmiejąc się i pijąc z dzbana, a ona odrzucała do tyłu głowę i krzyczała z pasją pełnym głosem o tembrze śpiewaczki bluesowej:

Gdyby nie sędzia,

*Joe Louis zabiłby
Jima Jefferiego
Piwo za darmo!!*

rozlewając wkoło piwo chochlą.

Odsunęliśmy się na bok zdumieni, kiedy kłaniała się z gracją w prawo i w lewo jak podchmielona grubaska podczas parady cyrkowej, z chochlą niczym łyżką do sosu w ogromnej dłoni. Potem się roześmiała i pociągnęła solidnie, sięgając jednocześnie nonszalancko wolną ręką i wyrzucając kwartę po kwarcie mleka na ulicę. I cały czas ci mężczyźni biegli z wozem przez rumowisko.

– Lepiej niech ktoś zatrzyma tych głupków – powiedział Scofield z oburzeniem. – To sie nazywa posunąć sie za daleko. Jak oni, do diabła, chco jo stamtąd zdjąć, skoro sie nachla tego piwa? Niech mnie kto odpowie. Jak oni chco jo stamtąd zdjąć? Porozrzucać tyle dobrego mleka!

Ta ogromna kobieta wytrąciła mnie z równowagi. Mleko i piwo... Czułem smutek, patrząc, jak wóz przechyla się niebezpiecznie, gdy skręcali za róg. Szliśmy dalej, omijając potłuczone butelki, a wylewająca się nafta mieszała się z białym, rozlanym mlekiem. Ile się wydarzyło? Dlaczego byłem rozdarty? Skręciliśmy za róg. Wciąż bolała mnie głowa.

Scofield dotknął mojego ramienia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Doszliśmy do ogromnej kamienicy czynszowej.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem.

– Większość z nas tu mieszka – odparł. – Chodź.

A więc o to chodzi, po to potrzebna jest im nafta. Nie mogłem w to uwierzyć, nie mogłem uwierzyć, że mają odwagę to zrobić. Wszystkie okna wydawały się puste. Sami je zaciemnili. Widziałem teraz tylko przy blasku latarki albo płomienia.

– Gdzie będziesz żył? – zapytałem, spoglądając wysoko, wysoko w górę.

– Nazywasz to życiem? – odparł Scofield. – To jedyny sposób, żeby sie tego pozbyć, człowieku...

Szukałem oznak wahania w ich nieokreślonych kształtach. Stali, patrząc na budynek wznoszący się nad nami, pochyleni do przodu, ze zgarbionymi ramionami, płynna ciemność nafty falowała ciężko w zbłąkanych płamkach światła, które biło w ich kubły. Nikt nie powiedział „nie”, ani słowem, ani postawą. A w ciemnych oknach i na dachach mogłem teraz dojrzeć sylwetki kobiet i dzieci.

Dupre ruszył w stronę budynku.

– Słuchajta mnie tera wszyscy – powiedział, a jego groteskowa głowa w trzech kapeluszach pokazała się na szczycie schodów. – Macie stąd wyprowadzić wszystkie kobiety, dzieciaki, starych i chorych. A kiedy weźmieta swoje wiadra na schody, to macę pójść aż do samej góry. Do samej góry! Ajak tam dojdzieta, to macie świecić latarkami po wszystkich pokojach, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt tam nie został, a potem, jak ich wyprowadzita, zacznijta rozlewać naftę. Jak jo rozlejeta, ja krzyknę, ajak krzyknę trzy razy, to zapalita zapalki. A potem niech każdy ratuje swój tyłek!

Nie przyszło mi do głowy, żeby im przeszkodzić albo ich zapytać... Mieli plan. Już widziałem kobiety i dzieci schodzące po stopniach. Płakało jakieś dziecko. I nagle wszyscy się zatrzymali, odwrócili i spojrzeli w ciemność. Gdzieś w pobliżu ciemnością wstrząsnął nie pasujący do niej huk, młot pneumatyczny, który grzmiał jak karabin maszynowy. Przerwali z czujnością żerujących jeleni, a potem wrócili do swojej pracy, kobiety i dzieci ruszyły ponownie.

– Dobrze, ludzie. Wy, panie, zejdźta na ulice, do facetów, z którymi chceta zostać – powiedział Dupre. – I trzymajta dzieciaki!

Ktoś walnął mnie w plecy, okręciłem się szybko i ujrzałem, jak jakaś kobieta przepycha się koło mnie, wchodzi na schody i łapie Duprego za ramię, a ich postaci zdawały się zlewać w jedną, kiedy rozległ się jej głos, cienki, dźwięczny i rozpaczliwy.

– Proszę, Dupre – powiedziała – proszę. Wiesz, że niedługo bede rodzić... wiesz, że bede. Gdzie ja pójdę, jak to teraz zrobisz?

Dupre wyrwał się jej i wszedł na wyższy stopień. Spojrzał na nią z góry, potrząsając trzykapeluszną głową.

– Zejdź z drogi, Lottie – rzekł cierpliwie. – Czemu musisz to tera zaczynać? Skończyli my już z tym i wiesz, że nic nie zmienię. A tera słuchajta, wy wszystkie – powiedział, sięgając za cholewę gumowego buta, wyjmując nikłowany rewolwer i wymachując nim – nie myślta, że ktoś tu zmieni zdanie. I nie chce tu żadnych kłótni.

– Masz cholemo racje, Dupre. My so z tobo!

– Mój dzieciak umar na suchoty w tej pułapce, ale załóżę się, że nikt się tu więcej nie urodzi – oznajmił. – No to tera, Lottie, zejdź na ulice i daj nam, mężczyznom, robić swoje.

Cofnęła się z płaczem. Patrzyłem na nią, kobietę w papciach, o wezbranych piersiach, z ciężkim i wysokim brzuchem. W tłumie odciągnęły ją kobiece ręce, a jej duże, mokre oczy obróciły się na chwilę ku mężczyźnie w gumowych butach.

Co to za człowiek, co powiedziałyby o nim Jack? Jack, Jack! A gdzie on teraz jest?

– Chodźmy, kolego – powiedział Scofield, szturchając mnie. Poszedłem za nim, przekonany o oburzającej nierzeczywistości Jacka. Weszliśmy do środka, zapalając latarki. Przed nami widziałem Duprego. Był typem człowieka, na którego spotkanie, zrozumienie czy poważanie nie przygotowało mnie nic w moim życiu, człowiekiem, który aż do tej pory znajdował się poza planem. Wkroczyliśmy do pomieszczeń zaśmieconych oznakami szybkiej ucieczki. Było gorąco, duszno.

– To moje mieszkanie – oświadczył Scofield. – Ale się pluskwy zdziwio!

Rozlewaliśmy wokół naftę, na stary materac, na podłogę; potem, przy świetle latarek, przeszliśmy na korytarz. Ze wszystkich zakątków budynku dochodził odgłos kroków, rozlewanej nafty, od czasu do czasu modlitewny protest jakiegoś staruszka zmuszanego do wyjścia. Mężczyźni pracowali teraz w milczeniu, jak krety w głębi ziemi. Zdawało się, że czas się zatrzymał. Nikt się nie śmiał. Potem z dołu dobiegł głos Duprego.

– Dobra, chłopcy. Wszystkich my wyprowadzili. Tera, zaczynając od najwyższego piętra, macie zapalać. Bądźta ostrożne i się nie podpalta...

W wiadrze Scofielda zostało jeszcze trochę nafty i zobaczyłem, jak bierze szmatę i zanurza ją w niej; potem trzasnęła zapalka i zobaczyłem, jak pokój ogarniają płomienie. Buchnął żar i cofnąłem się. Scofield majaczył niewyraźnie na tle czerwonego żaru, patrzył na płomienie i krzyczał:

– Niech was szlag, pieprzone sukinsyny! Nie myśleli wy, że to zrobię, ale zrobiłem. Nie naprawicie tego. No i jak wam się to podoba?

– Chodźmy – powiedziałem.

Pod nami zbiegali po schodach mężczyźni, przeskakując po pięć, sześć stopni na raz, poruszając się w niesamowitym świetle błysków i płomieni długimi jak ze snu susami. I teraz opanowała mnie dzika egzaltacja. Zrobili to, pomyślałem. Zorganizowali to i przeprowadzili, sami podjęli tę decyzję i sami wprowadzili ją w czyn. Zdolni do czynu...

Z góry dobiegł grzmot kroków, ktoś zawołał:

– Uciekaj, człowieku, na górze jest piekło. Ktoś otworzył drzwi na dach i buchajo płomienie.

– Dalej – powiedział Scofield.

Ruszyłem, czując, że coś mi się wymyka, i w połowie następnego biegu schodów uświadomiłem sobie, że nie mam teczki. Zawahałem się chwilę, ale miałem ją zbyt długo, by teraz ją zostawić.

– Chodź, kolego – zawołał Scofield – nie możemy się tu pałętać.

– Za chwilę – odparłem.

Obok mnie przebiegli pędem mężczyźni. Pochyliłem się, trzymając się poręczy, i precyzyjnie się z powrotem w górę, oświetlając latarką każdy stopień, posuwając się powoli, znajdując ją z odciśniętym na skórzanym boku śladem stopy, otoczonym pokruszonymi kawałkami tynku; podniosłem ją teraz i odwróciłem się, by popędzić znowu na dół. Nafta nie zejdzie łatwo, pomyślałem z bólem. Ale to było to; to, o czym wiedziałem, wychylało się z ciemnego zakamarka mojego umysłu; to, o czym wiedziałem, co próbowałem powiedzieć komitetowi i co zlekceważyli. Skoczyłem w dół, trzęsąc się z dzikiego podniecenia.

Na podeście zobaczyłem pełne wiadro nafty, chwyciłem je i wrzuciłem pod wpływem impulsu do płonącego pokoju. Drzwi wypełnił ogromny obłok obrzeżonego dymem płomienia, pełznącego ku mnie. Pobiegłem dalej, krztusząc się i kaszłając. Zrobili to sami, pomyślałem, wstrzymując oddech – zaplanowali to, zorganizowali, podłożyli ogień.

Wypadłem na powietrze i eksplodujące dźwięki nocy i nie wiedziałem, czy był to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka, ale przez chwilę stałem na ganku, mając za sobą czerwone wejście do budynku, i słyszałem ten głos, wołający mnie po nazwisku, które nosiłem w Bractwie.

Poczułem się, jakby obudzono mnie ze snu, i przez chwilę patrzyłem i słuchałem tego głosu, niemal ginącego w zgiełku krzyków, pisków, alarmów przeciwwłamaniowych i syren.

– Czy to nie cudowne, bracie – wołał. – Powiedziałeś, że nas poprowadzisz, naprawdę powiedziałeś...

Zszedłem na ulicę, powoli, ale przepelniony gorączkową wewnętrzną chęcią oddalenia się od tego głosu. Gdzie się podział Scofield?

Większość oczu, białych w czerwonym od płomieni mroku, patrzyła na budynek.

Ale teraz usłyszałem, jak ktoś pyta:

– Kobieto, mówisz, że kto to jest?

A ona powtórzyła z dumą moje nazwisko.

– Gdzie on idzie? Złap go, człowieku, szuka go Ras!

Wszedłem w tłum, zanurzyłem się powoli, płynnie w ciemny tłum, cała powierzchnia mojej skóry w pogotowiu, na plecach dreszcz, patrząc, słuchając poruszających się wokół mnie ludzi, dyszących, sapiących, szmeru mowy, świadom tego, że teraz, kiedy chciałem ich widzieć, kiedy pragnąłem ich zobaczyć, nie mogłem; czułem ich, ciemną masę w ruchu ciemną nocą, czarną rzekę przedzierającą się przez czarną ziemię; a Ras i Tarp mogli iść za mną i nie wiedziałbym o tym. Stopiłem się z tą masą, poruszającą się zaśmieconą ulicą, wśród kałuż nafty i mleka, moja osobowość została unicestwiona. Potem znalazłem się w następnym kwartale, słysząc ich gdzieś w tłumie poza mną; przedzierałem się przez dźwięk syren i alarmów przeciwwłamaniowych, by wchłonąć mnie szybszy tłum, i przepychałem się, na poły biegnąc, na poły idąc, próbując zobaczyć, co jest za mną, i zastanawiając się, gdzie się podziela reszta. Z tyłu słychać teraz było strzały, a po obu moich stronach tłum rzucał kosztami na śmieci, cegłami i kawałkami metalu w okna wystawowe. Szedłem przed siebie, czując, że jakaś potężna siła jest bliska wyzwolenia. Przepchnąwszy się na bok, stanąłem w wejściu do jakiegoś budynku i patrzyłem, jak się przesuwają, czując pewną mściwą satysfakcję, kiedy myślałem o wiadomości, która mnie tutaj sprowadziła. Kto do mnie zadzwonił, jeden z członków z rejonu czy ktoś, kto brał udział w uroczystych obchodach urodzin Jacka? Kto chciał, żebym przyjechał do rejonu, kiedy było już za późno? Dobrze, pójdę tam teraz. Przekonam się, co teraz myślą mózgi organizacji. A tak w ogóle to gdzie oni teraz są i jakie głębokie wnioski wyciągają? Jakie *ex post facto* nauki z historii? Aten trzask w telefonie – czy to był początek tego, co się teraz dzieje, czy po prostu Jackowi wypadło oko? Wybuchnąłem pijackim śmiechem, a wybuch ten rozsadził mi bólem głowę.

Nagle strzelanina ustała i w ciszy, która po niej nastąpiła, usłyszałem głosy, kroki, ciężkie oddechy.

– Hej, kolego – powiedział ktoś obok mnie – gdzie idziesz? – Był to Scofield.

– Tu jest tak, że albo uciekniesz, albo padniesz – odparłem. – Myślałem, że tam zostałeś.

– Nawiałem, człowieku. Zaczął się palić dom dwa wejścia dalej i musieli wezwać straż pożarną... Cholera! Jakby nie ten hałas, to bym przysiągł, że te kule to komary.

– Uważaj! – krzyknąłem ostrzegawczo, odciągając go z miejsca, gdzie leżał jakiś mężczyzna oparty o słupek, zaciskając opaskę wokół zranionego ramienia.

Scofield zapalił latarkę i przez sekundę widziałem tego czarnego mężczyznę o twarzy popielatej od szoku, patrzącego na krew tryskającą rytmicznie na chodnik. Potem, pod wpływem nieodpartego impulsu, pochyliłem się i skręciłem opaskę, czując ciepłą krew na dłoni, widząc, jak pulsujący strumień ustaje.

– Zatrzymałeś to – powiedział jakiś młody mężczyzna, patrząc na rannego.

– Chodź tu – rzekłem – weź to i trzymaj mocno. Zabierz go do lekarza.

– A tyś nie lekarz?

– Ja? – spytałem. – Ja? Czyś ty zwariował? Jeśli chcesz, żeby żył, zabierz go stąd.

– Albert poszedł po doktora – odparł chłopak. – Aleja żem myślał, żeś ty doktor. Ty...

– Nie – rzekłem, spoglądając na moje zakrwawione ręce – nie, ja nie. Trzymaj to mocno, dopóki nie przyjdzie lekarz. Ja bym nie potrafił wyleczyć bólu głowy.

Wytarłem dłonie o teczkę, patrząc na tego wielkiego mężczyznę z zamkniętymi oczami, opartego plecami o słupek, trzymającego się rozpaczliwie opaski uciskowej zrobionej z jaskrawego nowego krawata.

– Chodź – powtórzyłem.

– Powiedz no – rzekł Scofield, kiedy ruszyliśmy dalej – czy tamta kobieta nie nazwała cie „bratem”?

– Bratem? Nie, musiała to powiedzieć do jakiegoś innego faceta.

– Wiesz, człowieku, myślę, że już cie gdzieś widziałem. Byłeś kiedy w Memphis...? Zobacz, co tu idzie – powiedział, wskazując palcem, spojrzałem więc w ciemność i zobaczyłem oddział policjantów w białych hełmach, szarżujących zwartym szykiem i rozsypujących się w poszukiwaniu schronienia, kiedy ze szczytów domów posypał się grad cegieł. Niektóre z białych hełmów, pędząc do drzwi, zaczęły strzelać i usłyszałem, że Scofield stęknął i osunął się na ziemię, a ja padłem obok niego, widząc czerwony wybuch ognia i słysząc przeraźliwy wrzask, opadający z góry jak skaczący do wody pływak, zakończony ciężkim, tępym uderzeniem o bruk. Poczuję się, jakby wylądował w moim żołądku, przyprawiając mnie o mdłości, i skuliłem się, patrząc obok Scofielda, który leżał tuż przede mną, i dostrzegając ciemny rozgnieciony kształt z dachu, a dalej ciało policjanta, którego biały hełm tworzył mały biały, świecący kopczyk w ciemności.

Przysunąłem się teraz do Scofielda, by zobaczyć, gdzie został trafiony, akurat w chwili, gdy okręcił się i zaczął wściekłym głosem przeklinać policjantów, którzy starali się przyjść z pomocą temu leżącemu, a potem wyciągnął się na całą długość i strzelił z niklowanego pistoletu, takiego jak ten, którym wcześniej wymachiwał Dupre.

– Do diabła, połów się, człowieku – wrzasnął przez ramię. – Od dawna chce ich rozwalić.

– Ale nie tym – powiedziałem. – Wynośmy się stąd.

– Do diabła, człowieku, mogę z tego strzelać – odparł.

Przeturlałem się teraz za stertę skrzynek wypełnionych gnijącymi kurczakami, a po mojej lewej stronie, na zaśmieconym krawężniku, przykucnęli za przewróconym wózkiem dostawczym mężczyzna i kobieta.

– Dehart – przemówiła kobieta – chodźmy na wzgórze, Dehart. Tam, gdzie so szanowane ludzie!

– Na wzgórze, cholera! Zostajemy tutaj – odparł mężczyzna. – To się dopiero zaczyna. Jak się z tego zrobi prawdziwe zamieszki rasowe, to chce być tutaj, gdzie bedo walki.

Słowa te uderzyły mnie jak pociski wystrzelone z bliska, burząc całą moją satysfakcję. Odniosłem wrażenie, jakby to wypowiedziane słowo nadało znaczenie tej nocy, jakby ją niemal stworzyło, powołało do istnienia w chwili, gdy jego głos słabo drżał w głośnym, zbuntowanym powietrzu. A w definiowaniu, w nadawaniu kształtu tej furii, zdawał się obracać mną w koło i zacząłem rozpamiętywać dni, które minęły od śmierci Cliftona... Czy to mogła być odpowiedź, czy to mogło być to, co zaplanował komitet, odpowiedź na pytanie, dlaczego zrezygnowali z naszych wpływów, oddając pole Rasowi? Nagle usłyszałem ochryply wystrzał ze śrutówki i skierowałem wzrok za lśniący pistolet Scofielda, ku bezwładnemu, skurczonemu kształtowi z dachu. To było samobójstwo, bez strzelb to było samobójstwo, a tutaj nie można było kupić strzelby nawet w lombardzie; a jednak uświadomiłem sobie z trwogą, że hałas, który w tej chwili oznaczał głównie starcie ludzi z przedmiotami – sklepami, magazynami – może szybko przerodzić się w starcie ludzi z ludźmi, z przewagą liczebną i ogniową przeciwnika. Widziałem to teraz, widziałem wyraźnie i w rosnącym wymiarze. To nie było samobójstwo, lecz morderstwo. Zaplanował je komitet. A ja mu w tym pomogłem, byłem jego narzędziem. Narzędziem akurat w chwili, kiedy uważałem, że jestem wolny. Udając, że się zgadzam, rzeczywiście się zgodziłem, stałem się odpowiedzialny za tę bezwładną, skurczoną postać na bruku, oświetloną płomieniami i ogniem wystrzałów, i za wszystkich innych, których ta noc przygotowywała na śmierć.

Teczka obijała się ciężko o moje nogi, gdy uciekałem, zostawiwszy za sobą Scofielda klnącego, że zabrakło mu amunicji; biegłem jak szalony i uderzyłem teczką w głowę psa, który skoczył na mnie z tłumu i opadł na bruk ze skowytym. Z prawej strony znajdowała się cicha, wysadzana drzewami ulica domów mieszkalnych, więc skręciłem w nią. Pędziłem ku Siódmej Alei, ku biuru rejonu, przepehiony teraz zgrozą i nienawiścią. Zapłacą za to, myślałem, zapłacą. Zapłacą!

Na ulicy, w świetle późno wzeszłego księżyca, panowała martwa cisza, odgłosy strzelaniny osłabły i w tej chwili rozbrzmiewały gdzieś daleko. Zamieszki wydawały się trwać w innym świecie. Zatrzymałem się na parę minut pod niskim, okrytym bujnym listowiem drzewem, patrząc na dobrze utrzymane, spowite koronkowym cieniem chodniki wzdłuż cichych domów. Miałem wrażenie, jakby zniknęli wszyscy mieszkańcy, uchodząc przed nadciągającą powodzią, zostawiając domy z wszystkimi oknami zasłoniętymi, w kompletnej ciszy. Później usłyszałem pojedyncze kroki zbliżające się ku mnie wytrwale przez noc, niesamowite kłapania, po których nastąpił precyzyjny, halucynacyjny krzyk:

Czas płynie

Dusza za duszą ginie

Nadejście Pana

Się zbliiiza!

– jak gdyby ten człowiek pędził przez wiele dni, przez wiele lat. Przebiegł truchtem koło mnie stojącego pod drzewem, plaskając w ciszy gołymi stopami po chodniku, pokonał kilka stóp, a potem znowu wydał ten wysoki, halucynacyjny krzyk.

Wbiegłem na aleję, gdzie w świetle płonącego sklepu z alkoholem zobaczyłem trzy stare kobiety, które mknęły w moją stronę z podniesionymi spódnicami, wyładowanymi jedzeniem w puszkach.

– Nie mogę się jeszcze przed tym powstrzymać, ale zmiłuj się, Panie – powiedziała jedna z nich. – Zmiłuj się, Jezu, zmiłuj się, słodki Jezu...

Ruszyłem naprzód, z oparami alkoholu i palącej się smoły w nozdrzach. W dole alei, po lewej stronie, nadal świeciła się jedna latarnia uliczna, a jej blask dochodził tam, gdzie długi

kwartał po mojej prawej przecinała ulica, i ujrzałem tłum, który szturmował duży sklep naprzeciwko skrzyżowania, wlewając się do środka; z wewnątrz sypał się grad puszek, salami, wątrobianek, świńskich głów i flaków na tych, którzy tłoczyli się na zewnątrz, wśród eksplodujących białych torebek z mąką; i teraz z mroku przecinającej aleję ulicy wyjechało galopem dwóch konnych policjantów, wznosząc się potężną i ciężkokopytną masą, szarżując prosto na rojący się tłum. I widziałem, jak konie skaczą do przodu, i tłum pęka i odpływa do tyłu jak fala, i wrzeszczy, i przeklina, a niektórzy się śmieją – do tyłu i w koło, i na aleję, potyka się i popycha; kiedy konie, z wysoko uniesionymi głowami i wędzidłami okrytymi pianą, przeskoczyły przez krawężnik i opadły na sztywne nogi, i jechały po opróżnionym chodniku jak na łyżwach, niesione siłą szarży, bokiem teraz, na sztywnych nogach, spod których sypały się iskry, aż do miejsca, gdzie inny tłum rabował inny sklep. I serce mi się ścisnęło, kiedy pierwszy tłum wrócił do szabrowania z niewzruszonym spokojem i szyderczymi okrzykami, jak brodzce, które się zbiegają, by oczyścić brzeg po gwałtownym cofnięciu się fali.

Przeklinając Jacka i Bractwo, obszedłem stalową kratę wyrwaną z drzwi lombardu i ujrzałem policjantów odjeżdżających galopem i jeźdźców podrywających konie do następnego ataku, ponurych i wprawnych w białych stalowych hełmach, i rozpoczynających szarżę. Tym razem upadł jakiś mężczyzna i zobaczyłem, że któraś kobieta uderza z rozmachem lśniącą patelnią w zad konia, a koń rży i zaczyna padać. Zapłacą za to, pomyślałem, zapłacą. Zbliżyli się ku mnie, kiedy biegłem, tłum mężczyzn i kobiet, niosących skrzynki piwa, sera, sznury kiełbasy, melony, worki cukru, szynki, mąkę kukurydzianą, lampy naftowe. Gdyby się tylko zdołali powstrzymać tutaj, tutaj; tutaj, zanim przybędą ci ze strzelbami. Pobiegłem dalej.

Teraz nie było strażów. Ale kiedy będą, pomyślałem, ile czasu minie, zanim się to zacznie?

– Weź poleć boczku, Joe – zawołała jakaś kobieta. – Weź poleć boczku, Joe, weź Wilsona.

– Boże, Boże, Boże – krzyczał mroczny głos z ciemności.

Biegłem dalej, ogarnięty poczuciem bolesnego osamotnienia, dotarłem do Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i skierowałem się na wschód. Przegalopował obok mnie oddział policji konnej. Mężczyźni z pistoletami maszynowymi ochraniaли bank i duży sklep jubilerski. Przesunąłem się na środek ulicy i popędziłem wzdłuż torów tramwajowych.

Księżyc był teraz wysoko i potrzaskane szkło na ulicy lśniło jak woda wezbranej rzeki, po której powierzchni biegłem jak we śnie, unikając jedynie zrzuceniem losu zderzeń ze zniekształconymi przedmiotami zmytymi przez powódź. Potem nagle wydało mi się, że tonę, wciągany pod wodę – przede mną zwiślało ze słupa latami ciało, białe, nagie i straszliwie kobiece. Poczułem, że okręcam się szybko ze zgrozą, tak jakbym wywijał jakieś koszarne salto. Kręciłem się, nadal poruszając się odruchowo, w jedną i drugą stronę, a potem zatrzymałem się i ujrzałem tam następne i następne, siedem ciał – a wszystkie wisiły przed spaloną witryną sklepową. Potknąłem się, słysząc chrzęst kości pod stopami, i zobaczyłem rozsypany na bruku szkielet, jeden z tych, które pełnią rolę pomocy naukowych, toczącą się czaszkę, oderwaną od kręgosłupa, i uspokajałem się na tyle długo, by zauważyć nienaturalną sztywność wiszących nade mną ciał. Były to manekiny...

– Atrapy! – powiedziałem głośno.

Bezwłose, łyse i sterylne kobiece. I przypomniałem sobie chłopców w blond perukach, spodziewając się, że wybuchnę śmiechem, ale nagle poczułem się bardziej zdruzgotany komizmem tej sceny niż wcześniejszą zgrozą. Ale czy one są nieprawdziwe, pomyślałem, nieprawdziwe? A jeśli jedna, choćby jedna jest prawdziwa – jest... Sybil? Ścisnąłem teczkę w ramionach, wycofując się, i pobiegłem...

Posuwali się w ciasnym szyku, niosąc drągi i pałki, śrutówki i gwintówki, prowadzeni przez Rasa Agitatora, który stał się Rasem Niszczycielem na potężnym czarnym koniu. Nowym Rasem, noszącym się z wyniosłym, wulgarnym dostojeństwem, ubranym w strój abisyńskiego wodza; na głowie futrzana czapka, ramię dzierżące tarczę, peleryna ze skóry jakiegoś dzikiego zwierza na ramionach. Postacią bardziej ze snu niż z Harlemu, nawet z Harlemu tej nocy, a jednak rzeczywistą, żywą, niepokojącą.

– Porzućcie to głupie grabienie – zawołał do grupy przed jakimś sklepem. – Przyłączcie się do nas, żeby się włamać do zbrojowni i zdobyć broń i amunicję!

I słysząc ten głos, otworzyłem teczkę i zacząłem szukać moich ciemnych okularów, moich rinehartów, po to tylko, by wyciągnąwszy je, zobaczyć, jak potłuczone szkła padają na ulicę. Rinehart, pomyślałem, Rinehart! Odwróciłem się. Z tyłu za mną była policja; gdyby zaczęła się strzelanina, dostałbym się w ogień krzyżowy. Szperałem po omacku w teczkę, natrafiając na papiery, potrzaskane żeliwo, monety, w końcu moje palce zacisnęły się na ogniwie z łańcucha Tarpa i wsunąłem je na knykcie, starając się myśleć. Zaczął mnie ogarniać nowy nastrój, gdy podeszli, większym tłumem, niż udało się Rasowi zgromadzić kiedykolwiek wcześniej. Kroczyłem spokojnie do przodu, trzymając ciężką teczkę, ale poruszając się z pewnym nowym poczuciem mojego ja, któremu towarzyszyło uczucie niemal ulgi, niemal westchnienia. Wiedziałem nagle, co muszę zrobić, wiedziałem to, zanim jeszcze zdołało się ukształtować w pełni w moim umyśle.

Ktoś zawołał:

– Patrzcie!

I Ras pochylił się na koniu, zobaczył mnie i rzucił w moją stronę, nie do wiary, włócznią, a ja padłem do przodu na widok ruchu jego ramienia, fikając koziołka jak akrobata, i usłyszałem wstrząs, kiedy dzida przebiła jeden z wiszących manekinów. Wstałem, a ze mną podniosła się moja teczka.

– Zdrajca! – krzyknął Ras.

– To ten brat – powiedział ktoś. Skupili się wokół konia, podnieceni i niezbyt zdecydowani, a ja stawiałem im czoło, wiedząc, że nie jestem gorszy od niego ani lepszy i że wszystkie te miesiące złudzeń i ta noc chaosu wymagały zaledwie kilku prostych słów, łagodnego, nawet potulnego, powściągliwego działania, by oczyścić atmosferę. By obudzić ich i mnie.

– Nie jestem już ich bratem – zawołałem. – Oni chcą zamieszek na tle rasowym, a ja jestem temu przeciwny. Im więcej nas zostanie zabitych, tym bardziej będzie im się to podobało...

– Nie zważajcie na jego kłamliwy język – wrzasnął Ras. – Powieście go, by dać czarnym nauczkę, a nie będzie więcej zdrajców. Koniec z Wujami Tomami. Powieście go tam, przy tych cholernych manekinach!

– Przecież każdy to widzi – krzyknąłem. – To prawda, zdradzili mnie ci, których uważałem za naszych przyjaciół – ale oni też liczyli na tego człowieka. Potrzebowali tego niszczyciela, żeby dokonał ich dzieła. Opuścili was, żebyście w rozpacz poszli za tym człowiekiem na zagładę. Nie rozumiecie tego? Chcą, żebyście byli winni zamordowania samych siebie, żebyście sami złożyli się w ofierze!

– Brać go! – ryknął Ras.

Wysunęło się do przodu trzech mężczyzn, wyciągnąłem więc ręce do góry, całkiem odruchowo wykonując tak naprawdę rozpaczliwy oratorski gest niezgody i sprzeciwu, kiedy krzyknąłem:

– Nie!

Ale moja dłoń uderzyła we włócznię i wyszarpnąłem ją, chwytając w połowie drzewca i kierując ostrzem do przodu.

– Oni chcą, żeby to się wydarzyło – podjąłem. – Zaplanowali to. Chcą, żeby do śródmieścia weszły tłumy z pistoletami maszynowymi i karabinami. Chcą, żeby ulice spływały krwią, waszą krwią, czarną krwią i białą krwią, by móc wykorzystać waszą śmierć, smutek i klęskę w swojej propagandzie. To proste, znacie to od dawna. „Wykorzystaj czarnucha, aby złapać czarnucha”. No i wykorzystali mnie do złapania was, a teraz wykorzystują Rasa do pozbycia się mnie i przygotowania was na ofiarę. Nie rozumiecie tego? Czy to nie jest jasne...?

– Powiesić tego kłamliwego zdrajcę! – krzyknął Ras. – Na co czekacie?

Zobaczyłem, że grupa mężczyzn rusza do przodu.

– Zaczekajcie – powiedziałem. – Zabijcie zatem mnie za mnie samego, za mój błąd, poprzestańcie na tym. Nie zabijajcie mnie za tych i dla tych, którzy siedzą w śródmieściu, śmiejąc się z figla, którego nam splełali...

Ale już to mówiąc, wiedziałem, że na nic się to nie zda. Brakowało mi słów, elokwencji, kiedy więc Ras zagrzmiał: – Powiesić go! – stałem naprzeciwko nich i wydawało mi się to nierzeczywiste. Stałem naprzeciw nich, wiedząc, że ten szalenięc w cudzoziemskim stroju był rzeczywisty, a mimo to nierzeczywisty, wiedząc, że chce mojej śmierci, że uważa, iż jestem odpowiedzialny za te wszystkie noce i dnie, i za całe to cierpienie, i za to wszystko, nad czym nie potrafiłem zapanować, a ja nie byłem żadnym bohaterem, byłem jedynie niski i ciemnoskóry, obdarzony zaledwie pewnym darem wymowy i bezgraniczną zdolnością robienia z siebie głupca, które odróżniały mnie od całej reszty; widziałem ich, rozpoznałem ich w końcu jako tych, których zawiodłem i których byłem teraz, tylko teraz, przywódcą, chociaż przewodziłem im, biegłem przed nimi, tylko w dziele rozwiewania moich złudzeń.

Popatrzyłem na Rasa na koniu i na ich garstkę strzelb i uświadomiłem sobie absurdalność całej tej nocy i prostego, a mimo to niezwykle złożonego, układu nadziei i pragnienia, strachu i nienawiści, który przywiódł mnie tutaj, kiedy nadal biegłem i wiedziałem już, kim jestem i gdzie jestem, i wiedziałem też, że nie muszę już biec, uciekać od Jacków, Emersonów, Bledsoe i Nortonów, lecz jedynie od ich zakłopotania, niecierpliwości i odmowy uznania tej pięknej absurdalności ich i mojej amerykańskiej tożsamości. Stałem tam, wiedząc, że dzięki mojej śmierci, dzięki powieszeniu mnie przez Rasa na tej ulicy podczas tej niszczycielskiej nocy, przybliżę ich może o ułamek krwawego kroku do określenia, kim są, kim jestem i byłem. Ale to określenie, ta definicja, byłoby zbyt wąskie; byłem niewidzialny, a powieszenie nie przywróciłoby mi widzialności, nawet dla ich oczu, ponieważ chcieli mojej śmierci nie z powodu mnie samego, lecz z powodu pogoni, w której brałem udział przez całe życie, z powodu sposobu, w jaki goniłem, byłem goniony, ścigany, operowany, eliminowany – chociaż w znacznym stopniu nie mógłbym robić nic innego, zważywszy na ich ślepotę (czyż nie tolerowali zarówno Rineharta, jak i Bledsoe?) i moją niewidzialność. A to że ja, mały czarny człowiek z przybranym nazwiskiem, mam umrzeć, ponieważ duży czarny człowiek pogrążył się w nienawiści i dezorientacji co do natury rzeczywistości, nad którą zdawali się panować wyłącznie biali, równie ślepi jak on, było zbyt oburzająco absurdalne. I wiedziałem, że lepiej jest żyć własną absurdalnością niż umierać z powodu absurdalności innych, czy to Rasa, czy Jacka.

A więc kiedy Ras krzyknął: – Powiesić go! – wypuściłem włócznię i przez chwilę było tak, jakbym oddawszy życie, zaczął znowu żyć, patrzyłem, jak dosięga go, kiedy odwrócił głowę, by krzyknąć, i przeszywa oba policzki, i widziałem, jak tłum, zastyga w milczeniu, gdy Ras mocował się z włócznią, która zacisnęła mu szczęki. Niektórzy podnieśli broń, ale byli zbyt blisko, by strzelić, i uderzyłem pierwszego ogniwem Tarpa, a drugiego w brzuch teczka, a potem pobiegłem przez ograbiony sklep, słysząc brzęczenie alarmu przeciwwłamaniowego, kiedy brnąłem po porozrzucanych butach, przez przewrócone gabloty, krzesła – tam gdzie przez tylne wejście widziałem światło księżyca. Szli za mną jak niesione podmuchem płomienie, a ja wyprowadziłem ich przez sklep na aleję, i gdyby

strzelili, trafiliby mnie, ale ważne było dla nich, by mnie powiesić, zlinczować, bo tak działali, tak nauczono ich działać. Powinienem umrzeć przez powieszenie, jak gdyby tylko powieszenie załatwiło sprawę, a nawet wyrównało rachunki. Tak więc biegłem, oczekując śmiertelnego ciosu między łopatkami albo w tył głowy, a kiedy biegłem, starałem się dotrzeć do Mary. Nie była to świadomie powzięta decyzja, lecz coś, z czego nagle zdałem sobie sprawę, biegnąc wśród kałuż mleka czarną ulicą, zatrzymując się, by zamachnąć się ciężką tęczką i ogniwem łańcucha, wyslizgując się z ich rąk.

Gdybym tylko mógł się odwrócić, opuścić ręce i powiedzieć: – Słuchajcie, ludzie, dajcie mi spokój, wszyscy jesteśmy czarni... Nikogo to nie obchodzi. – Chociaż teraz wiedziałem, że n a s to obchodzi, zaczęło ich w końcu na tyle obchodzić, by przystąpili do działania – tak myślałem. Gdybym tylko mógł powiedzieć: – Słuchajcie, znowu nabrali nas na sztuczkę, tę samą starą sztuczkę w nowej odmianie – przestańmy biec, szanujmy się i kochajmy nawzajem... – Gdybym tylko... – myślałem, wbiegając teraz w inny tłum i sądząc, że ich zgubiłem, dopóki nie otrzymałem ciosu w szczękę, kiedy jeden z nich zagroził mi z krzykiem drogę; poczułem, jak odbija się ogniwo łańcucha, gdy trafiłem go w głowę, i puściłem się pędem, wbiegając z alei w poprzeczną ulicę, gdzie znieacka uderzył mnie strumień rozpylonej wody, który zdawał się lać z góry. Była to magistrala wodna, która pękła, wyrzucając w noc wściekłą kurtynę kropel. Biegłem do Mary, ale się kierowałem w górę ociekającej ulicy, ku centrum, zamiast w dół, i kiedy zacząłem się przedzierać przez zasłonę wody, w prysznic wjechał policjant, na koniu czarnym i ociekającym, kłusującym i przytłaczającym, potężnym i nierzeczywistym, rżącym i stukającym kopytami o chodnik, pędzącym na mnie, gdy osunąłem się na kolana, i zobaczyłem przepływające nade mną potężne, pulsujące cielsko, stukot kopyt i wrzaski, i szum wody dochodzący z oddali, jak gdybym siedział w wyściełanym pomieszczeniu, a potem ponad, tuż obok, włosie ogona, które wściekle smagnęło mnie po oczach. Kręciłem się w kółko, machając na oślep tęczką, z obrazem ogona ognistej komety palącej mi powieki; odwróciłem się i na oślep machnąłem tęczką i ogniwem łańcucha, i usłyszałem, że zaczyna się galop, gdy obracałem się bezradnie, a teraz ruszyłem wprost w pełną, nagą siłę wody, czując jej potęgę jak cios, mokrą, dudniącą i zimną, a potem przeszedłem przez nią i odzyskawszy częściowo zdolność widzenia, ujrzałem, jak skacze nad nią następny koń, myśliwy biorący przeszkodę, jeździec przechylony w tył, koń wznoszący się, potem uderzony i połknięty przez wysoki strumień. Pokuśtykałem w dół ulicy, z ogonem komety w oczach, widząc teraz nieco lepiej, i obejrzałem się, by zobaczyć tę wodę tryskającą jak szalony gejzer w świetle księżycy. Do Mary, myślałem, do Mary.

Przed domami ciągnęły się rzędy żelaznych ogrodzeń, podpartych od tyłu niskimi żywopłotami. Wszedłem więc za jedno z nich niepewnym krokiem i położyłem się, ciężko dysząc, by odpocząć po spotkaniu z miazdzącą siłą wody. Ale zaledwie się położyłem, czując w nosie suchy, psi zapach żywopłotu, kiedy jacyś ludzie przystanęli przed domem i oparli się o płot. Pociągali z butelki, która między nimi krążyła, a w ich głosach nie było słyhać silnych emocji.

– A to ci dopiero noc – powiedział jeden z nich. – To ci dopiero noc, co?

– Taka sama jak reszta.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo sie pierdoło, i lejo, i pijo, i kłamio... daj mi to butelke.

– Taa, ale dzisiaj żem widział rzeczy, jakich żem wcześniej nie widział.

– Ty myślisz, żeś ty coś widział? Do diabła, żałuj, żeś nie był na Lenox ze dwie godziny temu. Znasz tego byka Rasa Niszczyciela? Człowieku, on pluł krwio.

– Ten wariat?

– Cholera, tak, człowieku, sprawił se wielkiego czarnego konia i futrzano czapkę i jakosi wyliniało skórę ze lwa czy z czegoś na ramiona i robił piekło. Niech mnie szlag, jak to nie był

widok, jak jechał na tej chabecie, wiesz, takiej jak te, co ciągną wozy z warzywami, i sprawił se kowbojskie siodło i jakiesi wielgie ostrogi.

– No nie!

– Tak, do diabła! Jeździł w te i wewte po kwartale i dar się: „Zniszczyć ich! Wyrzucić ich! Wykurzyć! Ja, Ras, wam rozkazuje”. Kapujesz – ciągnął – „Ja, Ras, wam rozkazuje zniszczyć ich do ostatniego kawałka zepsutej ryby!” No i wtedy jakiś wesolek wystawia głowę z okna i krzyczy basem: „Przełoń ich, kowboju. Daj im popalić i popieprzyć”. I, człowieku, ten stuknięty sukinsyn na tej szkapie, co wyglądała jak śmierć jedząca kanapkę, wyciąga czterdziestkę piątkę i zaczyna grzać w te okno... I człowieku, jak wszyscy zaczęli pryskać! Po sekundzie został tam tylko stary Ras na tej chabecie i w tej lwiej skórze na plecach. Szaleństwo, człowieku! Wszyscy inni próbują coś zacharapć ze sklepów, a on i jego chłopaki chcą krwi!

Leżałem jak człowiek uratowany z topieli, nastawiając uszu, wciąż niepewny, czy żyję.

– Ja tam był – powiedział inny głos. – A widział ty, jak policja konna dobrała się mu do dupy?

– Nie, cholera... Masz, weź łyka.

– No, to wtedy powinien ty go zobaczyć. Kiedy zobaczył, że te gliny jado na nich, sięgnął za siodło i wyciągnął jakoś tarcze.

– Tarcze?

– Tak, do diabła! Tako ze szpikulcem w środku. Ale to nie wszystko; jak zobaczył te gliny, krzyknął do jednego z tych swoich cholernych pachółków, żeby mu podał włócznie, i taki mały, niski facet wyleciał na ulicę i dał mu ją. No wiecie, tako jak te, co noszą afrykańskie faceci na filmach...

– A gdzieżeś, do diabła, ty był, człowieku?

– Ja? Ja jestem z boku, gdzie jakiś byk włamał się do sklepu i sprzedaje w oknie zimne piwo... Wziął się za interes – roześmiał się ten głos. – Pije się jakiegoś budweisera i myślę o tym, co się dzieje – a tu w górze ulicy pokazuje się gliny, jado jak kowboje, człowieku; a jak zobaczył ich ten Ras jak mu tam, to wydał ryk jak lew i się cofnął i wspiół konia, i zaczął wbijać ostrogi w dupę tego konia tak szybko, jak leco pięciocentówki w metrę po godzinach pracy... i chooolera! Wtedy żeś powinien go widzieć! Daj no pociągnąć łyka, koleś.

Dzięki. I cwałuje, babach-babach, z to włócznio wytknięto do przodu i z to tarczo na ramieniu, do ataku, człowieku. I wrzeszczy coś po afrykańsku czy antylsku, czy po jakimś, i pochyla głowę nisko, jakby znał się na tym gównie, człowieku; jedzie jak Earle Sande w piątym na Jamajce. Ten stary czarny koń zarżał i pochylił swoje głowę – nie wiem, gdzie się tego nauczył ten sukinsyn – ale, panowie, przysięgam! Kiedy poczuł to stał w zadzie, to ruszył jak okręt na zatracenie! Zanim gliniarze się zorientowali, co w nich uderzyło, Ras już jest w ich środku i jeden wyciągnął łapę, żeby złapać to włócznie, i stary Ras się okręcił i walnął go w łeb, i gliniarz już leci na dół, a jego koń staje dęba, i stary Ras cofa swojego i próbuje przebić innego gliniarza, a te inne konie kotłują się i stary Ras próbuje przebić włócznio jeszcze jednego, ale jest za blisko i ten koń pierdzi, sra i szcza, i okręcają się oba, a ten gliniarz macha pistoletem i za każdym razem jak się zamachnie, stary Ras podrzuca ręką tarcze, a drugo wali go to włócznio, i, człowieku, słyhać, jak ten pistolet grzechocze o to tarcze, jakby ktoś zrzucił śruby z dwunastego piętra. I wiecie co? Kiedy stary Ras zobaczył, że jest za blisko, żeby dziabnąć włócznio gliniarza, okręcił konia, odjechał kawałek, i obrócił się szybko twarzą do nich i znów zaszarżował – tak chciał ich krwi! Tylko że tym razem gliniarze mieli już dosyć tego gówna i jeden zaczął strzelać. I to dopiero był cios! Stary Ras nie miał czasu wyciągnąć swojego rewolweru, więc rzucił to włócznio i słyhać było, jak stęka i gada coś o rodzinie tego gliniarza, a potem on i ten koń popędzili w górę ulicy, skacząc jak ten cholerny Silver!

– Człowieku, co ty gadasz?

– To prawda, niech mnie szlag, jak kłamie.

Roześmiali się za płotem i odeszli, a ja leżałem skulony, chcąc się śmiać, ale wiedząc, że Ras nie jest zabawny czy też, że jest nie tylko zabawny, lecz również niebezpieczny, że się myli, ale jest usprawiedliwiony, że jest szalony, a jednak przy zdrowych zmysłach... Dlaczego przedstawili to tak, że wydawało się zabawne, tylko zabawne? pomyślałem. A jednak wiedziałem, że było. Było zabawne, groźne i smutne. Jack to zauważył, albo odkrył to przypadkiem, i wykorzystał dla przygotowania ofiary. A mnie wykorzystano jako narzędzie. Dziadek mylił się, kiedy mówił, że trzeba im przytakiwać aż do ich śmierci i zagłady, albo od jego czasów za bardzo się to wszystko zmieniło.

Był tylko jeden sposób, by ich zniszczyć. Podniosłem się z za żywopłotu w świetle chudnącego księżycy, mokry i rozdygotany w gorącym powietrzu, i ruszyłem szukać Jacka, nadal w tym samym kierunku. Wyszedłem na ulicę, słuchając odległych odgłosów zamieszek i widząc w wyobraźni obraz pary oczu na dnie rozbitej szklanki.

Trzymałem się ciemniejszej strony ulic i cichych obszarów, myśląc, że gdyby naprawdę chciał ukryć swoją strategię, pojawiłby się w rejonie, być może w samochodzie z megafonem, i odgrywałby przyjaznego doradcę, z Wrestrumem i Tobitem u boku.

Byli w cywilnych ubraniach i pomyślałem: Gliny – lecz zobaczyłem kij bejsbolowy i kiedy zacząłem się odwracać, usłyszałem:

– Hej, ty!

Zawahałem się.

– Co masz w tej teczce? – powiedzieli i gdyby zapytali mnie o cokolwiek innego, to może stanąłbym nieruchomo. Ale na to pytanie ogarnęła mnie fala wstydu i oburzenia i ruszyłem biegiem, nadal kierując się ku Jackowi. Ale byłem teraz na nieznanym terytorium i ktoś usunął z jakiegoś powodu pokrywę wjazdu, i poczułem, że lecę w dół, w dół; długie spadanie, które zakończyło się na stercie węgla, skąd wzbił się obłok kurzu, i leżałem w czarnych ciemnościach na czarnym węglu, nie biegnąc już, nie kiyjąc się ani nie przejmując, słysząc przesuwanie się odłamków, kiedy skądś z góry spływały ich głosy.

– Widziałeś, jak się zapadł, trzask! Właśnie chciałem walnąć sukinsyna.

– Uderzyłeś go?

– Nie wiem.

– Słuchaj, Joe, myślisz, że sukinsyn nie żyje?

– Może. Ale na pewno jest w ciemnościach. Nie widać nawet jego oczu.

– Czarnuch w stercie węgla, co, Joe?

Ktoś krzyknął w głąb zsyphu:

– Hej, czarny chłopaku! Wyjdź stamtąd. Chcemy zobaczyć, co masz w tej teczce.

– Zejdźcie tu i weźcie mnie.

– Co jest w tej teczce? – powiedziałem, wybuchając nagle śmiechem. – Co o tym myślisz?

– Ja?

– Wy wszyscy – odparłem.

– Zwariowałeś – powiedział.

– Ale i tak mam cię w tej teczce!

– Co ukradłeś?

– Nie widzisz? – zapytałem. – Zapal zapałkę.

– O czym on, do diabła, mówi, Joe?

– Zapal zapałkę, ten smark to czubek.

Wysoko nade mną zobaczyłem mały płomyk, który strzelił światłem. Stali z pochylonymi głowami, jak w modlitwie, nie mogąc mnie dojrzeć pośród węgla.

– Zejdźcie na dół – powiedziałem. – Ha! Ha! Cały czas miałem was w teczce, a wy nie znaliście mnie wtedy i nie widzicie mnie teraz.

– Ty sukinsynu! – krzyknął jeden z nich z oburzeniem. Potem zapalka zgasła i usłyszałem, jak coś pada miękko na węgiel obok mnie. Rozmawiali na górze.

– Ty przeklęty czarny sukinsynu – zawołał któryś – zobaczymy, jak ci się to spodoba – i usłyszałem, jak z głuchym szczękiem opada pokrywa zsypu. Z góry posypał się deszcz drobin kurzu, kiedy udeptywali pokrywę, i przez chwilę ślizgałem się oszołomiony i zdziwiony na stercie węgla, spychając jego bryły w dół i patrząc przez czarną przestrzeń do góry, do góry, gdzie na sekundę zabłysło przez krąg otworów w stali mdłe światełko zapalki. Potem pomyślałem: Jest tak, jak zawsze było, tylko że teraz o tym wiem – i położyłem się na węglu, spokojny teraz, włożywszy teczkę pod głowę. Mogę otworzyć to rano, odsunąć pokrywę. Teraz byłem zmęczony, zbyt zmęczony; moje myśli uciekały, widziałem dwoje szklanych oczu toczących się jak krople roztopionego ołowiu. Tutaj było tak, jakby zamieszki się skończyły, i poczułem szarpnięcie snu, wydało mi się, że odpływam po czarnej wodzie.

To rodzaj śmierci bez wieszania, pomyślałem, śmierci za życia. Rano odsunę pokrywę... Mary, powinienem był iść do Mary. Pójdę teraz do Mary w jedyny sposób, w jaki mogłem pójść... Oddalałem się nad czarną wodą, płynąc, wzdychając... śpiąc niewidzialnie.

Ale miałem nigdy nie dotrzeć do Mary i okazałem się zbyt optymistą, myśląc, że rano odsunę pokrywę wjazdu. Przepływały nade mną wielkie, niewidoczne fale czasu, ale ranek nigdy nie nadszedł. Nie było ani ranka, ani żadnego światła, które obudziłoby mnie, spałem więc i spałem, aż w końcu otrzeźwił mnie głód. Potem podniosłem się w ciemnościach i kręciłem po omacku, dotykając szorstkich ścian, a przy każdym kroku węgiel usuwał mi się spod stóp jak zdradziecki piasek. Próbowałem dosięgnąć wjazdu, ale natrafiałem tylko na przestrzeń, nieprzerwaną i nieprzeniknioną. Potem spróbowałem znaleźć drabinę, która zwykle prowadzi z takiej studzienki do góry, ale jej tam nie było. Musiałem mieć światło i teraz na czworakach, trzymając się kurczowo teczki, przeszukiwałem węgiel, dopóki nie znalazłem pudełka zapalek, które upuścili ci mężczyźni – jak dawno temu? – ale były tam tylko trzy, więc żeby je oszczędzać, zacząłem szukać papieru dla zrobienia pochodni, macając powoli stertę węgla. Potrzebowałem tylko kawałka papieru, żeby opuścić tę norę, ale nic nie znalazłem. Następnie przeszukałem kieszenie, nie natykając się nawet na żaden banknot ani folder reklamowy, ani ulotkę Bractwa. Dlaczego zniszczyłem ulotkę Rineharta? No cóż, jeśli należało zrobić pochodnię, pozostało mi tylko jedno. Musiałem otworzyć teczkę. Tylko w niej miałem jakieś papiery.

Zacząłem od świadectwa ukończenia szkoły średniej, przytykając do niego jedną cenną zapalkę z uczuciem wyniosłej ironii, uśmiechając się nawet, gdy zobaczyłem, jak szybkie, ale słabe światło odpycha mrok. Znajdowałem się w głębokiej piwnicy, pełnej bezkształtnych przedmiotów, które ciągnęły się dalej, niż sięgał mój wzrok, i zrozumiałem, że aby oświetlić sobie drogę wyjścia, będę musiał spalić wszystkie papiery z teczki. Poruszałem się teraz powoli w stronę ciemniejszej czerni, oświetlając sobie drogę tymi słabymi pochodniami. Następna miała być lalka Cliftona, ale tak uparcie nie chciała się palić, że musiałem sięgnąć do teczki po coś innego. Wtedy, przy świetle buchającej dymem lalki, rozprostowałem złożoną kartkę. Był to ów anonimowy list, który palił się tak szybko, że pospieszenie rozłożyłem następną – skrawek papieru z zapisanym przez Jacka nazwiskiem, które miałem nosić w Bractwie. Czuję jeszcze perfumy Emmy, nawet w wilgoci tej piwnicy. I teraz, widząc w potężniejących płomieniach odręczne pismo na tych dwóch kartkach, oparzyłem rękę i osunąłem się na kolana z wytrzeszczonymi oczyma. To było to samo pismo. Klęknąłem oszołomiony, patrząc, jak pochłaniają je płomienie. To, że on czy ktokolwiek inny w tych odległych czasach mógł nadać mi nazwisko i puścić mnie w ruch jednym i tym samym pociągnięciem pióra, przekraczało już ludzkie pojęcie. Zacząłem nagle wyć, podnosząc się w ciemnościach i skacząc na oślep przed siebie, objijając się o ściany, rozrzucając węgiel i gasząc w złości moje słabe światełko.

Ale nadal kręciłem się w tej czerni, uderzałem o szorstkie ściany wąskiego korytarza, tłukłem głową i przeklinałem, aż w końcu potknąłem się i wpadłem na jakieś przepierzenie, i runąłem głową do przodu, kaszląc i krztusząc się, i znalazłem się w innym pozbawionym wymiarów pomieszczeniu, gdzie dalej zwijałem się na posadzce z oburzenia. Jak długo to trwało, nie wiem. Mogły to być dni, tygodnie; straciłem poczucie czasu. Iza każdym razem gdy przerywałem, by odpocząć, oburzenie wracało i znowu wybuchałem wściekłością. Wreszcie kiedy już prawie nie mogłem się ruszać, coś mi powiedziało: „Dosyć tego, nie zabijaj się. Dosyć się nabiegałeś, wreszcie z nimi skończyłeś”, i osunąłem się, twarzą do ziemi, i leżałem tam skrajnie wyczerpany, zbyt zmęczony, aby zamknąć oczy. Nie był to stan ani snu, ani czuwania, ale jakiś pośredni, w którym tkwiłem jak sójka Trueblooda, pokłuta przez szerszenie tak, że miała sparaliżowane całe ciało oprócz oczu.

Ale teraz posadzka zamieniła się w jakiś sposób w piasek, a ciemność w światło, i leżałem tam jako więzień grupy składającej się z Jacka, starego Emersona, Bledsoe, Nortona, Rasa, dyrektora szkoły i wielu innych, których nie potrafiłem rozpoznać, ale z których wszyscy mnie wykorzystali, którzy teraz cisnęli się wokół mnie, kiedy leżałem obok rzeki o czarnej wodzie w pobliżu miejsca, gdzie zbrojony most wznosił się ostrym tukiem nie wiadomo dokąd. Protestowałem przeciwko temu, że mnie przetrzymują, a oni domagali się, żebym do nich wrócił, i byli zirytowani moją odmową.

– Nie – powiedziałem. – Skończyłem z waszymi iluzjami i kłamstwami. Skończyłem z gonieniem w piętkę.

– Niezupełnie – powiedział Jack, zagłuszając gniewne żądania pozostałych – ale wkrótce skończysz, jeśli nie wrócisz. Odmów, a my uwolnimy cię od twoich złudzeń.

– Nie, dziękuję, sam się uwolnię – odparłem, usiłując podnieść się z wbijającego mi się w skórę piasku.

Ale teraz podeszli z nożem i chwycili mnie; i poczułem jaskrawoczerwony ból, a oni wzięli dwie okrwawione kluchy i rzucili je na most, i widziałem przez przeszywający mnie ból, jak się wznoszą i zawisają pod szczytem zakrzywionego łuku mostu, i jak ściekają z nich przez światło słoneczne krople do ciemnoczerwonej wody. I kiedy pozostali się śmiali, przed moimi wyostrzonymi przez cierpienie oczami cały świat powoli zasnuwał się czerwienią.

– Teraz jesteś pozbawiony złudzeń – powiedział Jack, wskazując na moje nasienie marniejące w powietrzu. – Jakie to uczucie być pozbawionym złudzeń?

I spojrzałem w górę przez ból tak silny teraz, że powietrze zdawało się ryczeć z brzękiem metalu, słysząc: JAKIE TO UCZUCIE BYĆ POZBAWIONYM ZŁUDZEŃ...

I teraz odpowiedziałem:

– Bolesne i puste – kiedy zobaczyłem, jak jakiś lśniący motyl okrąża trzykrotnie moje okrwawione członki, wysoko pod łukiem mostu. – Ale spójrzcie – powiedziałem, wskazując dłonią. A oni spojrzeli i parsknęli śmiechem i na widok ich zadowolonych twarzy i zrozumienia roześmiałem się jak Bledsoe, co ich zaskoczyło. Zbliżył się do mnie zaciekawiony Jack.

– Dlaczego ty się śmiejesz? – zapytał.

– Bo za pewną cenę widzę teraz to, czego nie mogłem zobaczyć – odparłem.

– Co on myśli, że widzi? – zapytali.

I Jack podszedł bliżej, z groźną miną, a ja się roześmiałem.

– Nie boję się teraz – powiedziałem. – Ale jeśli spojrzysz, zobaczysz... To nie jest niewidzialne...

– Co zobaczy? – zapytali.

– Ze tam wiszą nie tylko moje pokolenia, marnując się w wodzie... – I teraz ból wezbrał i już ich nie widziałem.

– Ale co? Mów dalej – powiedzieli.

– *Ale wasze słońce...*

– *Tak?*

– *I wasz księżyc...*

– *On zwariował!*

– *Wasz świat...*

– *Wiedziałem, że jest mistycznym idealistą! – powiedział Tobitt.*

– *Mimo to – rzekłem – tam jest wasz wszechświat, a to kapanie na wodę, które słyszycie, to cała historia, którą stworzyliście, którą macie zamiar tworzyć. Teraz śmiejecie się, naukowcy. Posłuchajmy, jak się śmiejecie!*

I teraz wysoko nade mną most zdawał się odsuwać w miejsce, którego nie mogłem dojrzeć, krocząc jak robot, człowiek z żelaza, o nogach dźwięczących ponuro podczas marszu. A potem podniosłem się z trudem, przepełniony smutkiem i bólem, i krzyknąłem:

– *Nie, nie, musimy go zatrzymać!*

I obudziłem się w czerni.

W pełni teraz rozbudzony, po prostu leżałem jak sparaliżowany. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Później postaram się znaleźć wyjście, ale teraz mogłem tylko leżeć na posadzce, przeżywając raz jeszcze ten sen. Twarze ich wszystkich były tak wyraźne, że zdawali się stać przede mną w świetle reflektora. Oni wszyscy byli gdzieś tam na górze, czyniąc na świecie chaos. A niech psują. Ja z wszystkim skończyłem i wbrew temu, co mi się przyśniło, byłem cały.

I teraz uświadomiłem sobie, że nie mogę wrócić do Mary ani do żadnej części mojego dawnego życia. Mogłem jedynie podejść do niego z zewnątrz, a dla Mary byłem tak samo niewidzialny jak dla Bractwa. Nie, nie mogłem wrócić do Maiy ani na kampus, ani do Bractwa, ani do domu. Mogłem jedynie iść naprzód albo zostać tutaj, pod ziemią. A więc zostanę tutaj, dopóki mnie nie wykurzą. Tutaj przynajmniej będę mógł przemyśleć wszystko w spokoju, a jeśli nie w spokoju, to w ciszy. Zamieszkać w podziemiu. Koniec zawierał się w początku.

Epilog

A więc teraz wiecie już wszystko, co jest ważne. A przynajmniej prawie to wiecie. Jestem niewidzialnym człowiekiem, a to umieściło mnie w norze – albo pokazało mi norę, w której byłem, jeśli wolicie – i choć niechętnie, pogodziłem się z tym faktem. Co innego mogłem zrobić? Kiedy się do tego przyzwyczaisz, rzeczywistości nie można się oprzeć, tak samo jak pałce, a pałka wrzuciła mnie do tej piwnicy, zanim to pojąłem. Może tak musiało być, nie wiem. Tak samo nie wiem, czy pogodzenie się z tą nauzką umieściło mnie na tyłach czy w awangardzie. To być może jest nauzką dla historii i pozostawię to do rozstrzygnięcia Jackowi i jemu podobnym, podczas gdy ja sam próbuję poniewczasie studiować nauzkę własnego życia.

Pozwólcie, że będę z wami szczery – to sztuka, którą, nawiasem mówiąc, uważam za najtrudniejszą. Kiedy ktoś jest niewidzialny, odkrywa, że takie problemy, jak dobro i zło, uczciwość i nieuczciwość, szczerłość i nieszczerłość, mają tak zmienne kształty, iż myli jedno z drugim, w zależności od tego, kto akurat przez niego patrzy. Cóż, teraz próbuję spojrzeć sam przez siebie i wiąże się z tym pewne ryzyko. Nigdy nie nienawidzono mnie bardziej niż wtedy, kiedy starałem się być szczery. Albo kiedy, tak jak teraz, starałem się dokładnie wyrazić to, co moim zdaniem jest prawdą. Nikt nie był zadowolony – nawet ja. Nigdy natomiast nie kochano i nie doceniano mnie bardziej niż wtedy, kiedy starałem się „usprawiedliwiać” i potwierdzać czyjeś błędne przekonania, albo kiedy starałem się udzielić moim przyjaciółom niepoprawnych, absurdalnych odpowiedzi, które chcieli usłyszeć. W mojej obecności mogli rozmawiać i zgadzać się ze sobą, świat był określony i ustalony, a oni to uwielbiali. Zbyt często, po to, by ich usprawiedliwić, musiałem chwytając się za gardło i ścisnąć, aż oczy wychodziły mi z orbit, a język wywieszał się i machał jak drzwi pustego domu podczas wichury. O tak, to ich uszczęśliwiało, a mnie przyprawiało o mdłości. Zatem rozchorowałem się od potwierdzeń, od mówienia „tak” wbrew mówieniu „nie” przez mój żołądek – nie wspominając o mózgu.

Nawiasem mówiąc, jest taki obszar, w którym uczucia człowieka są bardziej racjonalne niż jego rozum, i to właśnie na tym obszarze ciągnie się jego wolę w kilku kierunkach jednocześnie. Możecie z tego kpić, aleja teraz to wiem. Ciągnięto mnie i w jedną, i w drugą stronę dłużej, niż pamiętam. A mój problem polegał na tym, że zawsze starałem się iść w kierunku wskazanym przez każdego, tylko nie przeze mnie. Nazywano mnie też raz tak, a innym razem inaczej, ale nikt nie chciał naprawdę usłyszeć, jak sam siebie nazywam. Zatem po latach starań o przyjęcie opinii innych w końcu się zbuntowałem. Jestem człowiekiem niewidzialnym. Tak oto przebyłem daleką drogę i powróciłem niczym bumerang w miejsce odległe od tego punktu w społeczeństwie, do którego pierwotnie dążyłem.

A więc zszedłem do tej piwnicy; poddałem się hibernacji. Odszedłem od tego wszystkiego. Ale tego nie było dość. Nie mogłem trwać nieruchomo nawet w hibernacji. Bo niech to szlag, jest umysł, u m y s ł . Nie pozwalał mi spocząć. Nie wystarczyły gin, jazz i sny. Nie wystarczyły książki. Nie wystarczył mi ten wulgarny żart, który trzymał mnie na chodzie. A mój umysł wracał i wracał do dziadka. I mimo tej farsy, która zakończyła moją próbę potakiwania Bractwu, nadal prześladowuje mnie rada, której udzielił na łożu śmierci... Może ukrył jej znaczenie głębiej, niż myślałem, może odrzucił mnie jego gniew – nie potrafię powiedzieć. Czy mógł mieć na myśli – do diabła, mu s i a ł mieć na myśli zasadę, to, że mamy potwierdzać zasadę, na której stworzony został ten kraj, a nie ludzi, a przynajmniej nie tych ludzi, którzy odpowiadali za tę przemoc. Czy chodziło mu o to, żeby mówić „tak”, bo

wiedział, że ta zasada jest potężniejsza od tych ludzi, potężniejsza niż te rzesze i ta nikczemna władza, i wszystkie metody, które stosowała, by skazać swoje imię? Czy chodziło mu o to, by potwierdzać tę zasadę, którą oni sami wyśnili, by wyrwać się z chaosu i mroków feudalnej przeszłości, i którą sami pogwałcili i sprowadzili do absurdu nawet w swoich zepsutych umysłach? Czy może chodziło mu o to, byśmy wzięli odpowiedzialność za to wszystko, za tę zasadę i za tych ludzi, bo byliśmy dziedzicami, którzy muszą stosować tę zasadę, gdyż żadna inna nie pasuje do naszych potrzeb? Nie dla władzy ani dla zemsty, ale dlatego, że wobec okoliczności naszego pochodzenia, tylko w ten sposób mogliśmy osiągnąć transcendencję? Czy było tak, że właśnie my spośród wszystkich, nade wszystko, najwięcej ze wszystkich, musieliśmy potwierdzać tę zasadę, ten plan, w imię którego odczłowieczano nas i składano w ofierze – nie dlatego, że zawsze będziemy słabi, ani dlatego, że baliśmy się czy byliśmy oportunistami, lecz dlatego, że byliśmy od nich starsi, w sensie tego, czego wymagało życie na świecie z innymi, i dlatego, że wyczerpali z nas trochę – nie dużo, ale trochę – ludzkiej chciwości i małości, tak, oraz strachu i przesądu, które ich napędzały. (O tak, oni też pędzą, pędzą aż do utraty tchu.) Albo czy było tak, że chodziło mu o to, że powinniśmy potwierdzać tę zasadę, bo, nie z naszej winy, złączeni byliśmy ze wszystkimi innymi na tym głośnym, półwidzialnym, pełnym zgiełku świecie, tym świecie, który Jack i inni jemu podobni, mający już dość bycia zwykłymi pionkami w daremnej grze „tworzenia historii”, postrzegali, z milczącym przyzwoleniem Nortona i jemu podobnych, jako żyzne pole do eksploatacji? Czyżby wiedzieli, że również za nich musieliśmy powiedzieć „tak” tej zasadzie, bo w przeciwnym razie zwrócą się przeciw nim i zniszczą zarówno ją, jak i nas?

Pogódź ich ze śmiercią i zniszczeniem, radził dziadek. Do diabła, czyż nie byli swoją własną śmiercią i zniszczeniem, chyba że ta zasada byłaby żywa w nich i w nas? A oto na czym polega cały dowcip: czy nie jesteśmy z nimi złączeni w takim samym stopniu jak rozłączeni i czy nie umrzemy, kiedy oni umrą? Nie potrafię tego rozgryźć; umyka mi to. Ale czego ja naprawdę chcę, zadawałem sobie pytanie. Z pewnością nie swobody jakiegoś Rineharta ani władzy jakiegoś Jacka, ani po prostu swobody decydowania o tym, by dalej nie gonić. Nie, ale następnego kroku nie mogłem zrobić, pozostałem więc w tej norze.

Zwróćcie uwagę, że nikogo nie winię za ten stan rzeczy ani nie krzyczę po prostu: *mea culpa*. Prawda jest taka, że człowiek nosi w sobie załazek swojej choroby, przynajmniej ja noszę jako człowiek niewidzialny. Nosiłem w sobie chorobę i chociaż przez długi czas starałem się umieszczać ją w świecie zewnętrznym, próba jej opisanie ukazuje mi, że przynajmniej jej połowa znajduje się we mnie. Ogarniała mnie powoli, jak owa dziwna przypadłość, która dotyka tych czarnych, którzy powoli zmieniają się w albinosów, bo ich pigment znika jak pod wpływem jakiegoś okrutnego, niewidzialnego promieniowania. Chodzisz z tym załazkiem choroby latami, wiedząc, że coś jest nie tak, a potem nagle odkrywasz, że jesteś przezroczysty jak powietrze. Początkowo wmawiasz sobie, że to brzydki żart albo że wynika tak z „sytuacji politycznej”. Ale w głębi duszy zaczynasz podejrzewać, że powinieneś winić sam siebie, i stoisz nagi i drżący pod spojrzzeniami milionów oczu, które patrzą przez ciebie, nic nie widząc. To jest prawdziwa choroba duszy, włócznia w boku, ciągnięcie za szyję przez miasto wypełnione dyszącym z wściekłości tłumem, inkwizycja, uścisk żelaznej dziewicy, rozprucie brzucha, z którego wypadają jelita, podróż do komory z zabójczym gazem, która kończy się w tak higienicznie czystym piekarniku – tyle tylko, że jest to jeszcze gorsze, bo dalej głupio żyjesz. Ale żyć musisz, możesz więc albo kochać się biernie ze swoją chorobą, albo ją wypalić i przejść do następnej sprzecznej fazy.

Tak, ale co j e s t następną fazą? Jakże często starałem się ją znaleźć! Co i rusz wychodziłem na górę, by jej szukać. Bo jak prawie wszyscy inni w naszym kraju, zacząłem ze sporą dozą optymizmu. Wierzyłem w ciężką pracę, postęp i działanie, ale teraz, po tym jak najpierw byłem „pro”-społeczny, a potem „anty”, nie wyznaczam sobie żadnego miejsca w społeczeństwie ani żadnych granic, a taka postawa jest sprzeczna z trendem tych czasów. Ale

mój świat stał się światem nieskończonych możliwości. Cóż za zwrot – ale niemniej jest to dobry zwrot i dobry pogląd na życie, a człowiek nie powinien przyjmować żadnego innego; tyle nauczyłem się pod ziemią. Dopóki jakiejś bandzie nie uda się umieścić świata w kaftanie bezpieczeństwa, jego definicją jest możliwość. Wyjdź poza granice wąskiego obszaru, który ludzie nazywają rzeczywistością, a wkroczysz w chaos – zapytajcie Rineharta, on jest w tym mistrzem – albo w wyobraźnię. Tego również nauczyłem się w piwnicy, i to nie dzięki zabiciu zmysłu spostrzegania; jestem niewidzialny, ale nie ślepy.

Nie, naprawdę, świat jest tak samo konkretny, wredny, zły i cudowny jak przedtem, tyle że teraz lepiej rozumiem mój stosunek do niego i jego do mnie. Przebyłem daleką drogę od owych dni, kiedy, pełen złudzeń, żyłem życiem publicznym i starałem się funkcjonować zgodnie z założeniem, że świat jest trwały, tak samo jak wszystkie związki na nim. Teraz wiem, że ludzie są różni i że całe życie jest podzielone, i że prawdziwe zdrowie jest tylko w podziale i różnorodności. I to kolejny powód, dla którego zostałem w mojej norze, bo na górze wzrasta namiętność do zmuszania ludzi, by stosowali się do jednego wzorca. Jak w moim koszmarnym śnie, Jack i ci chłopcy czekają z nożami, szukając najdrobniejszego pretekstu, by... no, „wytupać ptaszka”, a nie nawiązuję tu do kroku tańca, chociaż przez ich poczynania stary orzeł niebezpiecznie się chwieje.

Nawiasem mówiąc, skąd się bierze ta cała namiętność do ujednoczenia? – liczy się jedynie różnorodność. Niech człowiek podtrzyma swoją różnorodność, a nie będzie żadnych tyrańskich państw. Przecież jeśli nadal będą parli ku ujednoczeniu, zgodności z jednym wzorcem, to skończy się na tym, że zmuszą mnie, człowieka niewidzialnego, do stania się białym, co nie jest kolorem, lecz brakiem koloru. Czy muszę dążyć do bezbarwności? Ale poważnie, i bez snobizmu, pomyślcie, ile świat by stracił, gdyby do tego doszło. Ameryka utkana jest z wielu nici; ja bym je uznał i pozwolił, by tak zostało. Wielką prawdę naszego kraju, każdego kraju, wyraża powiedzenie „zwycięzca nic nie bierze”. Życie trzeba przeżyć, nie kierować nim, a człowieczeństwo zdobywa się, grając dalej w obliczu pewnej porażki. Naszym przeznaczeniem jest stać się jednością, ale w wielości... To nie proroctwo, lecz opis. A zatem jednym z największych żartów na świecie jest spektakl, w którym biali uciekają przed czernią, stając się z dnia na dzień coraz czarniejsi, a czarni dążą ku bieli, blaknąc i szarząc. Wydaje się, że nikt z nas nie wie, kim jest ani dokąd zmierza.

Co mi przypomina o czymś, co zdarzyło się onegdaj w metrze. Najpierw zobaczyłem starego dżentelmena, który w tamtym momencie się zgubił. Wiedziałem, że się zgubił, bo kiedy patrzyłem wzdłuż peronu, zauważyłem, że podchodzi do paru osób i odwraca się, nie odezawszy się do nich. Zagubił się, pomyślałem, i będzie tak podchodził do każdego, aż w końcu zobaczy mnie i zapyta o drogę. Może czuje się skrępowany tym, że musi przyznać nieznanemu białemu, że się zgubił. Może stracenie orientacji, gdzie jesteś, implikuje groźbę stracenia orientacji, kim jesteś? Pewnie o to chodzi, pomyślałem – utrata orientacji w terenie jest utratą twarzy. No i oto podchodzi, aby zapytać o drogę człowieka zagubionego, niewidzialnego. Dobrze, nauczyłem się żyć bez drogi i bez kierunku. Niech pyta.

Ale wtedy znalazł się zaledwie o parę stóp ode mnie i poznałem go; był to pan Norton. Stary dżentelmen był chudszy i pomarszczony, ale wytworny jak zawsze. Na jego widok odżyło we mnie na chwilę moje dawne życie i uśmiechnąłem się przez łyż palące mi oczy. Potem to minęło, umarło, i kiedy zapytał mnie, jak dojechać do Centre Street, przyjrzałem się mu z mieszanymi uczuciami.

- Nie zna mnie pan? – zapytałem.
- A powinienem? – rzekł.
- Widzi mnie pan? – zapytałem, obserwując go uważnie.
- Ależ oczywiście... Proszę pana, wie pan, jak się dostać na Centre Street?
- No tak. Ostatnim razem było to Golden Day, teraz jest to Centre Street. Skurczył się pan. Ale naprawdę nie wie pan, kim jestem?

– Młodzieńcze, spiesz mi się – oznajmił, zwijając dłoń w trąbkę i przykładając do ucha. – Dlaczego powinienem cię znać?

– Bo jestem pana przeznaczeniem.

– Moim przeznaczeniem, powiedział pan? – Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem, cofając się. – Młodzieńcze, dobrze się czujesz? Jak mówiłeś – do którego pociągu mam wsiąść?

– Nie mówiłem – odparłem, potrząsając głową. – Nie wstyd panu?

– Wstyd? WSTYD! – powiedział z oburzeniem.

Roześmiałem się nagle z tego pomysłu.

– Bo, panie Norton, skoro pan nie wie, gdzie pan jest, to prawdopodobnie nie wie pan, kim pan jest. Tak więc przyszedł pan do mnie ze wstydu. Wstyd panu, prawda?

– Młodzieńcze, żyję na tym świecie dostatecznie długo, by niczego się nie wstydzić. Kręci ci się w głowie z głodu? Skąd znasz moje nazwisko?

– Ależ ja jestem pana przeznaczeniem, ja pana stworzyłem. Dlaczego miałbym pana nie znać? – powiedziałem, podchodząc bliżej i widząc, jak się cofa i opiera plecami o filar. Wyglądał jak osaczone zwierzę. Myślał, że jestem szalony. – Niech się pan nie boi, panie Norton – dodałem. – Tam dalej na peronie jest strażnik. Jest pan bezpieczny. Niech pan wsiądzie do dowolnego pociągu; wszystkie jadą do Golden D...

Ale na peron wtoczył się ekspres i staruszek całkiem żwawo zniknął już w jego drzwiach. Stałem tam, śmiejąc się histerycznie. Śmiałem się przez całą drogę do mojej nory.

Kiedy się już jednak wyśmiałem, zostałem z powrotem z moimi myślami – jak do tego wszystkiego doszło? I zadawałem sobie pytanie, czy to nie jest tylko żart, i nie potrafiłem odpowiedzieć. Od tamtej pory opanowuje mnie czasami dzikie pragnienie, by powrócić do tego jądra ciemności” po drugiej stronie linii Masona – Dixona, ale wtedy przypominam sobie, że prawdziwa ciemność znajduje się w moim umyśle, i pomysł ten ginie w tym mroku. Mimo to pragnienie utrzymuje się. Czasami odczuwam chęć, by ponownie potwierdzić to wszystko, objąć ponownie we władanie całe to nieszczęsne terytorium i wszystkie rzeczy miłe i niemiłe, które się na nim znajdują, bo wszystko to jest częścią mnie. Dotychczas jednak dotarłem tylko dotąd, bo całe życie widziane z nory niewidzialności jest absurdalne.

Dlatego zatem piszę, męcząc się, by przelać to na papier? Dlatego, że wbrew sobie nauczyłem się paru rzeczy. Bez możliwości działania cała wiedza sprowadza się do „odłóż *ad acta* i zapomnij”, a ja nie potrafię ani odłożyć *ad acta*, ani zapomnieć. Nie zapomną też o mnie pewne myśli; odkładają się podczas mojego letargu, mojego samozadowolenia. Dlaczego to mnie ma się śnić ten koszmar? Dlaczego mam się poświęcać i tkwić z boku – jeśli nie po to, by przynajmniej powiedzieć o tym paru osobom? Wydaje się, że nie ma ucieczki. Oto zebrałem się w sobie, by rzucić światu w twarz całą przepelniającą mnie złość, ale teraz, kiedy spróbowałem to wszystko opisać, powraca stara fascynacja odgrywaniem roli i znowu ciągnie mnie na górę. Tak więc poniosłem porażkę, zanim jeszcze skończyłem (może moja złość jest zbyt wielka, a może, jako mówca, użyłem zbyt wielu słów). Ale poniosłem porażkę. Już sam ten akt, sama próba spisania tego wszystkiego, zdezorientował mnie i zanegował część tej złości i nieco goryczy. Zatem stało się tak, że teraz oskarżam i bronię, albo czuję się przygotowany do obrony. Potępiam i afirmuję, mówię „nie” i mówię „tak”, mówię „tak” i mówię „nie”. Oskarżam, gdyż choć jestem w to zamieszany i częściowo za to odpowiedzialny, zostałem tak zraniony, że czuję przeraźliwy ból i że stałem się niewidzialny. A bronię, bo na przekór wszystkim stwierdzam, że kocham. Po to, by spisać choćby część tego, muszę kochać. Nie sprzedaję wam żadnego fałszywego przebaczenia, jestem człowiekiem zdesperowanym... ale straciecie zbyt wiele ze swojego życia, straciecie jego sens, jeśli nie podejdziecie do niego z taką samą miłością jak nienawiścią. Tak więc ja podchodzę do niego przez podziak. A więc oskarżam i bronię, nienawidzę i kocham.

Może dzięki temu staję się nieco bardziej ludzki, jak mój dziadek. Kiedyś myślałem, że dziadek nie jest zdolny do snucia myśli o człowieczeństwie, ale się myliłem. Dlaczego stary niewolnik miałby posługiwać się takim zwrotem jak: „To i to albo to sprawiło, że stałem się bardziej ludzki”, jak to zrobiłem ja w mojej mowie w hali sportowej? Do diabła, on nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości co do swojego człowieczeństwa – zostawiał to swojemu „wolnemu” potomstwu. Przyjmował swoje człowieczeństwo tak, jak przyjmował tę zasadę. Była jego zasadą i żyje ona nadal w całej swej ludzkiej i absurdalnej różnorodności. Tak więc teraz, spróbowałem to opisać, rozbroiłem się podczas tego aktu. Nie uwierzysz w moją niewidzialność i nie dostrzeżesz, że jakakolwiek zasada, która odnosi się do ciebie, może się odnosić do mnie. Nie dostrzeżesz tego, chociaż obu nas czeka śmierć, jeśli ci się to nie uda. Niemniej jednak już to samo rozbrojenie doprowadziło mnie do podjęcia pewnej decyzji. Skończyła się hibernacja. Muszę zrzucić starą skórę i wyjść, by zaczerpnąć powietrza. W powietrzu unosi się jakiś odór, który z tej odległości, z podziemia, sprawia wrażenie albo zapachu śmierci, albo wiosny – mam nadzieję, że wiosny. Ale nie pozwól mi się oszukać, jest śmierć w zapachu wiosny, w twoim zapachu i w moim zapachu. A jeśli niewidzialność nie nauczyła mnie niczego więcej, to przynajmniej nauczyła mój nos klasyfikować smrody śmierci.

Schodząc pod ziemię, odegnałem to wszystko, oprócz umysłu, u m y s ł u . A umysł, który wymyślił plan życia, nie może nigdy tracić z pola widzenia chaosu, na tle którego i przeciw któremu ten plan został stworzony. Odnosi się to nie tylko do społeczeństw, ale i do jednostek. A zatem postarawszy się nadać formę chaosowi, który żyje w formie waszych pewników, muszę wyjść, muszę się wyłonić. A we mnie nadal toczy się walka – jedna połowa mówi z Louistem Armstrongiem: „Otwórz okno i wypuść zepsute powietrze”, gdy druga mówi: „Przed żniwami to była dobra zielona kukurydza”. Oczywiście Louis żartował, on nie wypuściłby Złego Powietrza, bo zrujnowałoby to muzykę i taniec, kiedy liczyło się to, że z czary trąbki starego Złego Powietrza wydobywała się dobra muzyka. Stare Złe Powietrze jest tutaj nadal ze swoją muzyką, tańcem i różnorodnością, a ja wyjdę i będę z moją. I jak już powiedziałem, decyzja została podjęta. Zrzucam starą skórę i zostawię ją tutaj, w tej norze. Wychodzę, nie mniej niewidzialny bez niej, ale i tak wychodzę. I przypuszczam, że jest to cholernie dobra pora. Można nawet przedobrzyć z hibernacją, jeśli się nad tym zastanowić. Być może jest to moje najcięższe przestępstwo przeciw społeczeństwu, nadmiernie przeciągnąłem moją hibernację, bo istnieje możliwość, że nawet człowiek niewidzialny ma do odegrania społecznie odpowiedzialną rolę.

– A – słyszę, jak mówicie – a więc była to tylko przynęta, by zanudzić nas tymi bzdurami. On tylko chciał, żebyśmy słuchali, jak się piekli! – Ale to tylko po części prawda: co innego mogłem zrobić, skoro jestem niewidzialny i niematerialny, skoro jestem pozbawionym ciała głosem? Co innego niż spróbować powiedzieć wam, co się naprawdę działo, kiedy wasze oczy patrzyły przeze mnie? Ale to właśnie mnie przeraża:

Kto wie, czy, na niższych częstotliwościach, nie mówię w waszym imieniu?